

Nakładem Wydawnictwa Sonia Draga
ukazały się następujące powieści tej autorki:

W krainie białych obłoków
Pieśń Maorysów

Pamięci Einsteina i Marii Curie

WZRASTANIE

**CANTERBURY PLAINS, GREYMOUTH, CHRISTCHURCH, CAMBRIDGE
1907 – 1908 – 1909**

– Na wyścigi! Chodź, Jack, ścigamy się do Kręgu Kamiennych Wojowników!

Gloria wcale nie czekała na odpowiedź, lecz siedząc na swoim rudym jak lis pony, natychmiast zajęła pozycję startową koło konia Jacka. Kiedy tylko Jack skinął głową, przycisnęła lekko łydkę do boku zwierzęcia – drobna klacz natychmiast ruszyła galopem.

Jack McKenzie, młody mężczyzna o kręconych włosach w kolorze dojrzalego kasztana i spokojnych zielono-brązowych oczach, także skłonił swojego konia do galopu i popędził za dziewczynką przez rozległe, niekończące się łąki Kiward Station. Jack nie miał żadnej szansy, aby dogonić Glorię na swoim silnym, ale zbyt wolnym koniu. A on sam był po prostu za duży i za ciężki na dżokeja, nie chciał też odebrać dziewczynce przyjemności wygranej. Gloria była bardzo dumna ze swojego szybkiego jak strzała pony pochodzącego z Anglii, który sprawiał wrażenie pełnokrwistego rumaka w małym wydaniu. Jack pamiętał, że był to pierwszy prezent urodzinowy jej rodziców, z którego Gloria rzeczywiście się cieszyła. Zawartość paczek przysyłanych z Europy, które docierały tutaj w nieregularnych odstępach czasu, była zwykle mało spektakularna: suknia z falbanami z odpowiednim wachlarzem i kastanietami z Seville, pantofelki w złotym kolorze z Mediolanu, torebka ze strusiej skóry z Paryża... Były to przedmioty niezbyt przydatne na owczej farmie w Nowej Zelandii, a w dodatku okazywały się o wiele zbyt ekstrawaganckie na okazjne wizyty w Christchurch.

Ale rodzice Glorii w ogóle nie brali tego pod uwagę, wręcz przeciwnie. William i Kura Martynowie prawdopodobnie sądzili, że zaszokowanie nieco prowincjonalnego towarzystwa z Canterbury Plains poprzez powiew „wielkiego świata” będzie raczej czymś zabawnym. Oboje nie mieli żadnych zahamowań ani też odrobiny nieśmiałości i oczywiście zakładali, że ich córka myśli dokładnie tak samo.

Jack, galopując w karkołomnym tempie po polnych drogach, próbował przynajmniej nie stracić dziewczynki z oczu i myślał przy tym o matce Glorii. Kura-marō-tini, córka jego przyrodniego brata, była egzotyczną pięknoscią, obdarzoną w dodatku niezwykłym głosem. Muzykalności nie odziedziczyła zapewne po swoich białych przodkach, lecz zawdzięczała ją raczej matce, maoryskiej pieśniarce o imieniu Marama. Kura-marō-tini już od dzieciństwa pragnęła podbić operowy świat Europy i bezustannie kształciła swój głos. Jack dorastał razem z nią na Kiward Station i do dziś wspominał z przerażeniem jej niekończące się lekcje śpiewu i gry na fortepianie. Z początku wszystko wskazywało na to, że mieszkająca w wiejskich zakątkach Nowej Zelandii Kura nie ma żadnych szans na urzeczywistnienie swego marzenia. Aż do chwili, kiedy znalazła wielbiciela w osobie swego męża Williama Martyna, który dobrze wiedział, jak wykorzystać talenty żony. Od lat oboje podróżowali po Europie z grupą maoryskich pieśniarzy i tancerzy, Kura była gwiazdą zespołu, jego zaś członkowie grający na współczesnych instrumentach europejskich w oryginalny sposób interpretowali tradycyjną muzykę Maorysów.

– Wygrałam!

Gloria po mistrzowsku zatrzymała swojego ruchliwego konika pośród skalnych formacji, które zwano „Kręgiem Kamiennych Wojowników”.

– A tam z tyłu są owce! – dodała.

Małe stado owiec maciorek było właściwym powodem konnej przejażdżki Jacka i Glorii. Zwierzęta były zupełnie samodzielne i pasły się wśród skał na terenie, który był świętością dla miejscowego plemienia Maorysów. Prowadząca farmę Gwyneira McKenzie-Warden bardzo szanowała religijne uczucia pierwotnych mieszkańców tych obszarów, choć ziemia ta należała prawnie do Kiward Station. Było tu dosyć łąk zarówno dla owiec, jak i dla bydła, i zwierzęta nie musiały naruszać swą obecnością świętych miejsc Maorysów. Dlatego właśnie Gwyneira poprosiła Jacka przy obiedzie, aby spędził stamtąd owce, co spotkało się z gorącym protestem Glorii.

– To przecież ja mogę zrobić, babciu! Nimue musi się jeszcze uczyć!

Od kiedy Gloria rozpoczęła intensywne treningi ze swoim psem pasterskim, domagała się powierzania jej coraz poważniejszych zadań na farmie, ku wielkiemu zadowoleniu Gwyneiry. Także tym razem babcia uśmiechnęła się do wnuczki i skinęła głową przyzwalająco.

– Dobrze, ale Jack będzie ci towarzyszył – odparła, choć nie za bardzo potrafiła stwierdzić, dlaczego nie chciała puścić dziewczynki samej. W gruncie rzeczy nie było powodów do obaw: Gloria знаła farmę jak własną kieszeń, a z kolei wszyscy mieszkańcy Kiward Station znali i bardzo kochali Glorię.

Gwyneira nie była tak przesadnie ostrożna, jeśli chodziło o własne dzieci. Jej najstarsza córka Fleurette już jako ośmiolatka jeździła konno do oddalonej o cztery mile małej szkoły, którą wówczas prowadziła na sąsiedniej farmie przyjaciółka Gwyneiry, Helen. Ale Gloria – to co innego. Na niej, jako jedynej uznawanej przez Gwyneirę dziedzicze Kiward Station, skupiały się wszystkie nadzieje babki. Bo tylko w żyłach Glorii i Kury płynęła krew założycieli farmy – Wardenów. Matka zaś Kury, Marama, pochodziła z miejscowego plemienia Maorysów; Glorię uznawali więc także pierwotni mieszkańcy tych ziem. Było to o tyle istotne, że między Tongą, wodzem szczepu Ngai Tahu, i Wardenami od lat toczyła się ostra rywalizacja. Tonga miał nadzieję, że kiedyś zdobędzie większe wpływy w kraju w efekcie małżeństwa Glorii z którymś z Maorysów z jego szczepu, choć co prawda ta strategia już raz zawiodła, jeśli chodzi o matkę Glorii, Kurę. A Gloria jak dotychczas nie wykazywała specjalnego zainteresowania życiem i kulturą plemion Maorysów. Dziewczynka wprawdzie mówiła płynnie językiem Maorysów i chętnie słuchała starych legend i opowieści z historii swego ludu, które opowiadała jej babka Marama, ale najbardziej związana czuła się tylko z Gwyneirą, jej drugim mężem Jamesem McKenzie, a przede wszystkim z ich synem Jackiem.

Związek, jaki rozwinął się między Glorią a Jackiem, był zawsze dość osobliwy. Młody mężczyzna był piętnaście lat starszy niż wnuczka jego przyrodniego brata, ale to przede wszystkim on w pierwszych latach życia Glorii chronił ją przed humorami jej rodziców i brakiem zainteresowania z ich strony. Jack nigdy nie przepadał za Kurą-marō-tini i jej muzyką, ale Glorię polubił od chwili jej pierwszego krzyku – co należało rozumieć dosłownie, jak żartował jego ojciec. Gloria już jako niemowlę zaczynała głośno płakać, kiedy tylko Kura uderzała w klawisze fortepianu. Spotykało się to z całkowitym zrozumieniem ze strony Jacka, który zabierał wtedy dziecko i nosił je z sobą wszędzie, zupełnie jak szczeniaka.

Nie tylko Jack dotarł tymczasem do kamiennego kręgu, ale także pies Glorii Nimue, suka rasy border collie. Zwierzę dyszało głośno i patrzyło na swoją panią niemal z wyrzutem. Suka nie lubiła, kiedy Gloria jeździła konno, i była szczęśliwsza, zanim szybki jak strzała pony przybył tutaj z Anglii. Ale teraz Nimue, słysząc ostry gwizd Glorii, natychmiast ruszyła w stronę owiec, które pasły się wśród skał. Jack i Gloria patrzyli z przyjemnością i dumą, jak suka błyskawicznie spędziła rozproszone owce w stado i przybiegła do nich w oczekiwaniu kolejnych rozkazów. Gloria z dużym znanstwem prowadziła stado w kierunku farmy.

– Widzisz, dałabym radę sama. – Dziewczynka spojrzała na Jacka z triumfem. – Powiesz o tym babci?

Jack z powagą skinął głową.

– Pewnie, Glory. Babcia będzie z ciebie dumna, z Nimue też.

Gwyneira McKenzie ponad pięćdziesiąt lat temu przywiozła z Walii do Nowej Zelandii pierwszego psa rasy border collie i zaczęła hodować tu i szkolić te psy. Dziś była szczęśliwa, widząc, jak dobrze Gloria potrafi się obchodzić ze zwierzętami.

Andy McArán, stary brygadzysta na farmie, obserwował Jacka i Glorię, kiedy ci wreszcie zapędzili stado do zagrody, której płot zbudował jeszcze on sam. McArán już od dawna nie musiał pracować, ale chętnie podejmował się jakichś zajęć na farmie i w tym celu każdego dnia siodłał swojego konia, aby przejechać na Kiward Station z miejscowości Haldon. Jego żonie nie za bardzo się to podobało, czym Andy w ogóle się przejmował – wręcz przeciwnie. Ożenił się późno i nie był w stanie przyzwyczaić się do tego, że ktokolwiek mówił mu, co ma robić.

– Prawie jak wtedy Miss Gwyn. – Stary uśmiechnął się z uznaniem, kiedy Gloria zamknęła bramę za owcami. – Brakuje tylko tych rudych włosów i... – Andy nie dokończył, aby nie urazić Glorii. Ale Jack słyszał podobne uwagi aż za często i dzięki temu doskonale potrafił odczytać myśli Andy'ego: stary pasterz żałował, że Gloria nie odziedziczyła po swojej prababce delikatnej figury elfa ani też jej pociągłej, pięknej twarzy – co było dziwne, bo Gwyneira przekazała swoje rude, kręcone włosy i delikatną postać niemal wszystkim kobietom z rodu. Gloria wdała się raczej w Wardenów: miała twarz o ostrych rysach, oczy osadzone blisko siebie i wąskie usta. Ale ta twarz ginęła niemal w burzy otaczających ją jasnobrązowych, bujnych i mocno kręconych włosów. Codzienne ich czesanie było męczarnią i przed rokiem dziewczynka w przypływie przekory po prostu je obcięła. Oczywiście wszyscy dokuczali jej od tego czasu, pytając, czy zamierza „stać się całkiem chłopcem” – zwłaszcza że wcześniej jeszcze zwędziła bryczesy, które jej babka Marama uszyła dla kogoś z maoryskich chłopców. Ale Jack był zdania, że Gloria o wiele lepiej wyglądała w krótkich, mocno kręconych włosach, a szerokie spodnie do jazdy konnej też pasowały lepiej do jej nieco krępego, silnego ciała niż suknie. Jeśli więc chodzi o figurę, Gloria wdała się w swoich maoryskich przodków i dlatego nigdy nie wyglądałaby dobrze w odzieży pochodzącej z zachodniej Europy.

– Ta dziewczyna rzeczywiście nie ma w sobie nic ze swojej matki – zauważył James McKenzie. Obserwował przyjazd Glorii i Jacka z wykuszu w sypialni Gwyneiry, gdzie bardzo lubił przebywać: choć było tu nieco chłodno, wolał to miejsce niż wygodny fotel w salonie. James skończył niedawno osiemdziesiąt lat i wiek dawał mu się mocno we znaki. Od pewnego czasu dokuczały mu silne bóle stawów, które utrudniały każdy ruch. A w dodatku James nienawidził chodzenia o lasce. Niechętnie przyznawał się do tego, że schody prowadzące w dół do salonu stawały się coraz poważniejszą przeszkodą, dlatego znalazł wymówkę i twierdził, że ze swojego miejsca w wykuszu może o wiele lepiej doglądać tego, co się dzieje na farmie.

Gwyneira wiedziała lepiej: James nigdy nie czuł się dobrze w wytwornym salonie Kiward Station. Jego świat zawsze zamykał się w typowo męskich pomieszczeniach. I tylko z miłości do Gwyn godził się z tym, że mieszkał w iście wielkopańskiej posiadłości i tu wychowywał swojego syna. James najchętniej wybudowałby dla swojej rodziny dom z drewnianych bali i tam przesiadywałby przed kominkiem, do którego sam narębałby drzewa. Ale wraz z wiekiem marzenie to traciło na atrakcyjności i teraz James rozkoszował się tylko ciepłem, o które dbała służba.

Gwyneira położyła mu rękę na ramieniu, także patrząc na Glorię i swojego syna.

– Ona jest piękna – powiedziała. – Jeśli kogoś dnia znajdzie się dla niej odpowiedni mężczyzna...

James przewrócił oczami i westchnął, mówiąc:

– Tylko nie to znowu. Bogu dzięki ona jeszcze nie lata za chłopakami. Kiedy tylko pomyślę o Kurze-maró-tini i o tym maoryskim chłopcu, który narobił jej tyle kłopotów... Ile ona wtedy miała lat? Trzydzieści?

– Och, ona była po prostu przedwcześnie dojrzała! – broniła swej wnuczki Gwyneira. Zawsze kochała Kurę-maró-tini. – Wiem, że niespecjalnie ją lubisz. Ale jej problem polegał tylko na tym, że ona właściwie nie należała do nas.

Gwyneira szcztokowała swoje mocno kręcone włosy, ciągle jeszcze bujne, długie i intensywnie rude, mimo coraz bardziej przeważającej bieli. Ale poza tym trudno było dostrzec u tej prawie siedemdziesięcioletniej kobiety jakieś oznaki jej wieku. Gwyneira McKenzie-Warden była tak szczupła jak za czasów swojej dawno minionej młodości. Wprawdzie twarz miała wychudłą i poorly drobny zmarszczkami, ale też nigdy nie chroniła jej przed słońcem i deszczem. Bycie damą w eleganckim towarzystwie nie odpowiadało jej zupełnie i ciągle uważała za szczęśliwy przypadek fakt, że wbrew wszelkim niebezpieczeństwom w wieku siedemnastu lat opuściła szlachecki dom swoich rodziców w Walii i odważyła się rozpocząć ryzykowną małżeńską przygodę w zupełnie nowym, nieznanym i odległym świecie.

– Problem Kury polega na tym, że kiedy ona była jeszcze w stanie cokolwiek sobie przyswoić, nikt nie nauczył jej mówienia słowa „nie” – mruknął James. Tego rodzaju dyskusje na temat Kury-maró-tini prowadzili oboje od lat i w gruncie rzeczy był to jedyny temat, który w małżeństwie Gwyneiry i Jamesa był czymś w rodzaju materiału wybuchowego.

Gwyn potrząsnęła lekceważąco głową.

– No, to znowu brzmi tak, jak gdybym się jej bała – powiedziała gniewnie. Także ten zarzut nie był niczym nowym, choć jego autorem nie był James, lecz przyjaciółka Gwyneiry, Helen O'Keefe. I już sama myśl o Helen, która zmarła przed rokiem, była przyczyną bolesnego ukłucia żalu u Gwyneiry.

James uniósł brwi do góry.

– Bać się Kury-maró-tini? Przecież nigdy się jej nie obawiałaś – droczył się z żoną, dodając: – Dlatego też od trzech godzin przesuwasz w kółko po biurku tam i z powrotem ten list, który przyniósł stary Andy. Otwórz go wreszcie, Gwyn! Między tobą a Kurą-maró-tini jest osiemnaście tysięcy mil. Ona cię nie ugryzie.

Andy McArán i jego żona mieszkali w położonej niedaleko niewielkiej miejscowości Haldon. To w tamtejszym urzędzie pocztowym odkładano przesyłki adresowane na farmę Kiward Station, Andy zaś chętnie pełnił funkcję listonosza, kiedy pojawiały się listy „zza morza”. W rewanżu oczekiwał – jak wszyscy plotkarze w Haldon – kilku kolejnych wieści o pełnym egzotyki artystycznym życiu dziwnej dziedziczki rodziny Wardenów. James lub Jack chętnie dostarczali najnowszych wiadomości na temat szalonego życia Kury-maró-tini, a Gwyneira zwykle wtedy nie interweniowała. W końcu były to tylko radosne wieści: Kura-maró-tini i William byli szczęśliwi, wszystkie bilety na ich występy były sprzedane, a jedno tournée goniło drugie. W Haldon oczywiście ludziom gęby się nie zamykały: czy William rzeczywiście jest wierny już niemal dziesięć lat swojej Kurze-maró-tini? Bo kiedy oboje mieszkali na Kiward Station, niczym niezakłócone szczęście trwało zaledwie rok. A jeśli to małżeństwo rzeczywiście było teraz tak spełnione i szczęśliwe – to czemu dotychczas nie zostało pobłogosławione kolejnymi dziećmi?

Gwyneira otwierała drżącymi palcami kopertę opieczętowaną w Londynie i było jej wszystko jedno. Tak naprawdę interesował ją tylko stosunek Kury-maró-tini do Glorii. Dotychczas charakteryzował go wyłącznie brak zainteresowania ze strony matki i Gwyneira modliła się w duchu, aby tak było dalej.

James, patrząc na żonę czytającą list, domyślał się, że tym razem zawierał on jakieś poruszające wiadomości, a nie ciągle te same doniesienia o kolejnych sukcesach spektaklu *Haka meets piano*. James spodziewał się tego już wtedy, kiedy zobaczył kopertę zaadresowaną nie wyrażnymi literami Kury-maró-tini, lecz swobodnym charakterem pisma Williama.

– Chcą zabrać Glorię do Anglii – powiedziała Gwyneira bezdźwięcznie, opuszczając trzymany w rękach list na stół.

– Oni... – Gwyn szukała odpowiedniego fragmentu w liście Williama – oni bardzo cenią naszą pracę przy jej wychowywaniu, ale martwią się, czy „kreatywno-artystyczne zdolności” Glorii będą tutaj odpowiednio wspierane! James, Gloria nie ma w ogóle żadnych „kreatywno-artystycznych zdolności”!

– I dzięki Bogu – stwierdził James. – A jak oni oboje zamierzają obudzić w tym dziecku tę nową Glorię? Czy ona ma pojechać z nimi na kolejne tournée? Ma śpiewać, tańczyć, grać na flecie?

Kura-maró-tini opanowała po mistrzowsku grę na flecie *putorino* i był to zawsze najważniejszy punkt jej programu – oczywiście Gloria także umiała grać na flecie. Ale ku zmartwieniu jej babki Maramy dziewczynka nie potrafiła wydobyć z tego instrumentu ani jednego tonu, który nie byłby fałszywy, nie mówiąc już o słynnym dźwięku *wairua*, znanym jako głos duchów.

– Nie, ona ma zamieszkać w internacie. Posłuchaj tylko: „Wybraliśmy dla niej małą i bardzo idyllicznie położoną szkołę koło Cambridge, która zapewnia szeroką edukację dla dziewcząt, szczególnie w zakresie duchowo-artystycznym...” – przeczytała Gwyneira. – Edukacja dla dziewcząt! Jak to w ogóle rozumieć? – wymamrotała gniewnie.

James się roześmiał.

– Gotowanie, pieczenie, haftowanie? – zaproponował. – Nauka francuskiego? Gry na fortepianie?

Gwyn wyglądała tak, jak gdyby ją torturowano. Ona sama musiała się tego wszystkiego uczyć jako córka wiejskiego szlachcica, ale na szczęście majątek Silkhamów nigdy nie był na tyle duży, aby mogli sobie pozwolić na kształcenie córek w internacie. Dlatego Gwyn zdołała uniknąć najgorszych stron, jakie niosło z sobą kształcenie dzieci z dala od domu, a za to mogła sobie przyswoić wiele pożytecznych umiejętności, jak jazda konna i układanie psów.

James wstał z trudem i objął ją ramionami.

– Gwyn, na pewno nie będzie tak źle. Podróż do Anglii to pestka, od kiedy na tej trasie pływają statki parowe. Wielu ludzi wysła swoje dzieci do internatu. A Glorii też nie zaszkodzi, jak się trochę rozejrzy w świecie. I krajobraz wokół Cambridge też jest bardzo piękny, podobnie jak tutaj. Gloria będzie mieszkać z dziewczynkami w swoim wieku, nauczy się gry w hokeja czy też czegoś, co się tam robi... No dobrze, kiedy będzie się udawać na konne przejażdżki, to musi przywyknąć do damskiego siodła. Trochę szlif i obycia w towarzystwie to nic złego i przyda jej się, bo ci miejscowi baronowie od bydła też robią się coraz bardziej wytworni...

Wielkie farmy w Canterbury Plains, które istniały tu już od ponad pięćdziesięciu lat, przynosiły ogromne zyski bez zbyt dużych nakładów pracy właścicieli. W efekcie niektórzy z „owczych baronów” już w drugiej lub trzeciej generacji wiedli wytworny żywot bogatych właścicieli ziemskich. Ale były też farmy, które zostały sprzedane i służyły przede wszystkim jako siedziby odznaczonych weteranów wojennych będących już na emeryturze.

Gwyn odetchnęła głęboko.

– Już wiem, co prawdopodobnie jest przyczyną tego wszystkiego – westchnęła. – Nie powinnam była pozwalać na tę fotografię z koniem. Ale ona tak bardzo chciała, tak była szczęśliwa z powodu tego pony...

James wiedział, o czym mówiła Gwyn: raz do roku jego żona robiła wiele szumu wokół tego, aby zrobić fotografię Glorii dla jej rodziców. Zwykle ubierała dziewczynkę w możliwie najbardziej sztywną i nudną niedzielną sukienkę; tym razem jednak Gloria się uparła, aby zrobić jej zdjęcie w siodle, na jej nowym pony. „To *mom* i *dad* podarowali mi Princess! – argumentowała. – Na pewno się ucieszą, kiedy i ona będzie na zdjęciu”.

Gwyneira nerwowo poprawiała dopiero co wyszczotkowane i upięte włosy, a mimo to w końcu znów wysunęło się kilka niesfornych kosmyków.

– Powinnam była uprzeć się przynajmniej przy tym, aby usiadła w damskim siodle i w sukience do jazdy konnej.

James ujął łagodnie jej rękę i pocałował.

– Znasz przecież Kurę-maró-tini i Williama. Kto wie, może to rzeczywiście ten pony jest przyczyną wszystkiego, ale równie dobrze mogłaś posłać zdjęcie w niedzielnej sukni – wtedy pewnie napisaliby, że powinna koniecznie zacząć się uczyć gry na fortepianie. Może po prostu przyszedł ten czas i musieli sobie wreszcie przypomnieć, że mają córkę.

– Dostęć późno sobie o tym przypomnieli! – rozłościła się Gwyn. – I dlaczego przynajmniej z nami o tym nie porozmawiają? Przecież w ogóle nie znają Glory. I od razu do internatu! Ona jest jeszcze taka młoda...

James przyciągnął żonę do siebie i przytulił ją. Wolał widzieć ją wściekłą niż tak zmartwioną i pełną niepokoju jak teraz.

– Dużo angielskich dzieci już w wieku czterech lat jedzie do internatu – przypomniawszy jej. – A Glory ma dwanaście lat. Poradzi sobie.

Prawdopodobnie nawet jej się tam spodoba.

– Będzie zupełnie sama... – powiedziała cicho Gwyn. – Będzie tęsknić za domem.

James przytaknął.

– Z początku pewnie wszystkie dziewczęta tęsknią. Ale to da się przeboleć.

Gwyneira uniosła się nagle.

– Jeśli majątek rodziców jest oddalony o dwadzieścia mil, to z pewnością sobie z tym poradzą. Ale jeśli chodzi o Glory, to będzie osiemnaście tysięcy mil! Wyślemy ją na drugi koniec świata, do ludzi, którzy jej nie znają ani nie kochają!

Gwyneira zagryzła wargi. Aż do tej chwili nigdy tego nie przyznawała, wręcz przeciwnie, zawsze broniła Kury-maró-tini, ale w gruncie rzeczy to był niezaprzeczalny fakt: Kura-maró-tini zupełnie nie dbała o córkę. Podobnie jak William Martyn, jej mąż.

– Czy nie możemy zrobić tak, jak gdybyśmy nie dostali tego listu? – Gwyn przytuliła się do Jamesa, a on przypomniał sobie młodszą Gwyneirę, która uciekała do pasterzy w oborze, kiedy nie mogła się uporać ze wszystkimi oczekiwaniami swojej nowej, nowozelandzkiej rodziny. Ale teraz sprawa była o wiele poważniejsza niż przepis na stek po irlandzku...

– Gwyn, kochanie, to oni wtedy przyślą następny list! To nie jest przejściowy kaprys Kury-maró-tini, który zwykle mijają przy kolejnym koncercie. Ten list napisał William, to wszystko jego pomysł. Prawdopodobnie nosi się z zamiarem wydania Glorii przy najbliższej okazji za mąż za jakiegoś hrabiego...

– Ale on przecież dawniej nienawidził Anglików – odparła Gwyneira. William Martyn był rzeczywiście całkiem niedawno bojownikiem o niepodległość Irlandii.

James wzruszył ramionami.

– William zawsze chętnie zmieniał zdanie.

– Gdyby Gloria przynajmniej nie była sama – westchnęła Gwyn. – Długa podróż statkiem, ci wszyscy obcy ludzie...

James skinął głową. Mimo swych prób uspokojenia Gwyn doskonale ją rozumiał. Gloria kochała pracę na farmie, ale brakowało jej owej żądzy przygód, która cechowała Gwyn i jej córkę Fleurette. Pod tym względem dziewczynka była inna niż one obie, choć nie tylko – także ich wspólny protoplasta Gerald Warden nigdy nie obawiał się ryzyka, a co dopiero Kura-maró-tini i William. Może to było dziedzictwo Maorysów. Babka Glorii, Marama, była pełna łagodności i przywiązania do ziemi. Oczywiście wędrowała ze swoim szczepem z miejsca na miejsce, ale kiedy miała samotnie opuścić krainę Ngai Tahu, nie czuła się zbyt pewnie.

– A jeśli wyślemy z nią jakąś inną dziewczynkę? – zastanawiał się James. – Czy ona nie ma przyjaciółki wśród Maorysek?

Gwyneira potrząsnęła głową.

– Nie sądzisz chyba, że Tonga zgodzi się wysłać jakąś dziewczynkę ze szczepu do Anglii! – stwierdziła. – Nie mówiąc już o tym, że nie mogę sobie przypomnieć żadnej, która byłaby choć trochę zaprzyjaźniona z Glorią. W każdym razie... – Twarz Gwyn rozjaśniła się nagle. – Tak, to byłaby jakaś możliwość – dodała z raptownym ożywieniem.

James czekał cierpliwie, aż ona dokończy swą myśl.

– Ona jest oczywiście bardzo młoda...

– Kto? – spytał w końcu.

– Lilian – odpowiedziała Gwyn. – Z Lilian Gloria zawsze się dobrze rozumiała, kiedy Elaine była tutaj ostatniego roku. Właściwie była to jedyna dziewczynka, z którą Glory się bawiła. A Tim sam przecież chodził do szkoły w Anglii. Może spodoba mu się ten pomysł...

Kiedy Gwyn wymieniła imię Lilian, po twarzy Jamesa przemknął nikły uśmiech. Jeszcze jedna prawnuczka, ale tym razem krew z jego krwi. Elaine, córka Fleurette, po wyjściu za mąż wyjechała do Greymouth. Jej córka Lilian była najstarszym z czwórki dzieci, jedyną dziewczynką i właściwie kimś w rodzaju nowego wydania Gwyneiry, Fleurette i Elaine: miała ognistorude włosy, była bardzo żywa i obdarzona ciągle

dobrym nastrojem. Gloria była z początku nieco onieśmielona, kiedy rok wcześniej ze swoją babką odwiedziła farmę. Ale Lilian szybko przełamała lody. Paplała bezustannie o swojej szkole, o przyjaciółkach, koniach i domowych psach, jeździła razem z Głorią konno, ścigając się z nią, nalegała, by ta nauczyła ją dialektu Maorysów i żeby potem odwiedziły razem szczyt na Kiward Station. Gwyneira pierwszy raz widziała wtedy, jak Gloria chichocze razem z inną dziewczyną i powierza jej szeptem jakieś tajemnice. Obie próbowały podpatrywać Rongo Rongo, akuszerkę i *tohunga* Maorysów, w czasie rzucania czarów, a Lilian strzegła jak skarbu kawałka nefrytu, który Rongo Rongo w końcu jej podarowała. Dziewczynka była też niez mordowana w wymyślaniu własnych historii i opowieści.

– Spytam mojego taty, czy pozwoli mi zatrzymać ten kamień – oświadczyła poważnie. – I wtedy powieszę go sobie na szyi na złotym łańcuszku. A jak kiedyś poznam mężczyznę, którego potem poślubię, to dzięki temu on będzie... on będzie... – Lilian nie mogła się zdecydować, czy użyć określenia: „płonąć jak żarzące się węgle”, czy też: „wibrować jak dziko dudniące serce”.

Gloria nie podzielała jej uczuć. Dla niej nefryt był tylko nefrytem, a nie narzędziem służącym do tego, aby kogoś zaczarować. Ale mimo to chętnie śledziła sposób, w jaki Lilian snuła swoje fantazje.

– Lilian jest przecież młodsza niż Gloria – zwrócił uwagę James. – Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że Elaine już teraz będzie gotowa się z nią rozstać. Obojętnie, co na ten temat sądzi Tim.

– Zapytać nie zaszkodzi – stwierdziła energicznie Gwyn. – Zaraz do nich napiszę. Jak sądzisz, czy powinniśmy powiedzieć o tym Głorii?

James westchnął i przejechał ręką po swych mocno kręconych włosach – dawniej brązowych, teraz zupełnie siwych. Był to jego typowy gest, który Gwyneira bardzo lubiła.

– Nie dziś i nie jutro – stwierdził w odpowiedzi na pytanie Gwyn. – Ale jeśli dobrze rozumiem Williama, po Wielkanocy rozpoczyna się nowy rok szkolny. Wówczas Gloria powinna już być w Cambridge. Opóźnienie w niczym by się jej nie przysłużyło. Jeśli w środku roku szkolnego zawita do szkoły jako nowa, będzie jej jeszcze trudniej.

Gwyn skinęła głową zmęczona.

– Ale musimy o tym powiedzieć Miss Bleachum – powiedziała nieszczęśliwym głosem. – Ona będzie musiała poszukać sobie nowej posady. Cholera, mamy domową nauczycielkę, która się rzeczywiście sprawdziła, i teraz coś takiego!

Sarah Bleachum uczyła Głorię od chwili, kiedy ta powinna była zacząć się uczyć, i dziewczynka była z nią bardzo związana.

– No, przynajmniej Glory nie będzie zostawać w tyle za angielskimi dziewczętami, to pewne – pocieszała się Gwyn.

Miss Bleachum uczęszczała do akademii pedagogicznej w Wellington i ukończyła naukę z najlepszymi ocenami. Szczególną miłością darzyła nauki przyrodnicze i wiedziała, jak rozbudzić zainteresowania Głorii w tym kierunku. Obie z wielką namiętnością zaczytywały się w książkach traktujących o florze i faunie Nowej Zelandii, a kiedy Gwyneira wyciągnęła skądś rysunki swego pierwszego męża Lucasa Wardena, entuzjazm nauczycielki nie miał granic. Lucas zbadał i skatalogował przede wszystkim populację insektów swojej ojczyzny. Miss Bleachum podziwiała jego pedantyczne rysunki różnych gatunków wet. Gwyneira patrzyła na te stworzenia raczej z mieszanymi uczuciami. Olbrzymie insekty nigdy nie wydawały jej się sympatyczne.

– To był mój pradziadek, prawda? – spytała wtedy z dumą Gloria.

Gwyneira skinęła głową. W rzeczywistości Lucas był raczej jej prawujkiem, ale tego nie musiała dziecku mówić. Lucas byłby szczęśliwy, wiedząc, że ma taką mądrą prawnuczkę, która w dodatku podzielała jego zainteresowania.

Czy w angielskiej szkole ktoś będzie cenił wielką pasję Głorii i to, że interesowała się insektami i temu podobnym robactwem?

– Zostaw, potrafię sam wysiąść! – Timothy Lambert odrzucił niemal szorstko pomoc swojego służącego Roly'ego. A przy tym właśnie tego dnia było mu wyjątkowo trudno zdjąć szynę, opuścić nogi z siedzenia bryczki na stopień i pomagając sobie kulami, stanąć na ziemi. Był to jeden z jego gorszych dni – czuł się rozdrażniony i miał wrażenie, że jest wyjątkowo niezdar. Tak było prawie zawsze, kiedy zbliżała się kolejna rocznica nieszczęścia, któremu zawdzięczał swoje kalectwo. Tym razem miał upłynąć już jedenasty rok od chwili zawalenia się pokładu w kopalni Lamberta i jak co roku kierownictwo kopalni chciało uczcić tę rocznicę małą uroczystością żałobną. Członkowie rodzin wszystkich ofiar, a także zatrudnieni obecnie górnicy potrafili docenić ten gest, podobnie zresztą jak obecne wzorowe środki bezpieczeństwa w kopalni. Ale Tim znów miał się znaleźć w centrum zainteresowania i na niego kierować się będą spojrzenia wszystkich. I oczywiście Roly O'Brien będzie po raz tysięczny opowiadał, jak wówczas uratował go Tim, syn właściciela kopalni. Tim nienawidził tych spojrzeń, w których mieszały się podziw dla jego bohaterstwa i przerażenie.

A teraz Roly cofnął się urażony i patrzył z bliskiej odległości, jak jego pan powoli wysiadał z bryczki. Gdyby Tim zaczął się przewracać, Roly byłby natychmiast na miejscu, aby do tego nie dopuścić – jak zawsze w ciągu ostatnich dwunastu lat. Roly O'Brien był nieocenionym pomocnikiem, ale czasami denerwował Tima, szczególnie w takich dniach jak ten dzisiejszy, kiedy jego cierpliwość po prostu się kończyła.

Roly zaprowadził konia do stajni, podczas kiedy Tim kuśtykał powoli w stronę domu. Jak zawsze widok jednopiętrowej białej budowli z drewna nappełnił go otuchą. Po ślubie z Elaine zbudował tę posiadłość w możliwie krótkim czasie – mimo protestów rodziców, którzy radzili mu, aby pomyślał o bardziej reprezentacyjnej rezydencji. Ich własna willa, położona dwie mile dalej w stronę miasta, była o wiele bliższa wiejskim wyobrażeniom na temat domu zarządcy kopalni. Ale Elaine nie chciała mieszkać w Lambert Manor z teściami, a wielkopańska, dwupiętrowa budowla ze schodami prowadzącymi do wejścia i licznymi sypialniami na pierwszym piętrze nie odpowiadała także potrzebom Tima. W dodatku nie był on właścicielem kopalni; większość akcji przedsiębiorstwa należała od dawna do inwestora o nazwisku George Greenwood. Rodzice Tima posiadali jedynie udziały w akcjach, a on sam był zatrudniony jako zarządca.

– *Daddy!* – Lilian, córka Tima i Elaine, otworzyła gwałtownie drzwi akurat wtedy, gdy Tim zdążył się pochylić w ten sposób, aby przesunąć środek ciężkości ciała i móc się oprzeć tylko na jednej kuli, podczas kiedy drugą ręką chwycił się klamki, nie chcąc stracić równowagi. Za Lilian pojawił się Rube, najstarszy syn Tima, i patrzył z wyraźnym rozczarowaniem, jak Lilian znów zwyciężyła w codziennych wyścigach, w których chodziło o to, kto pierwszy znajdzie się przy drzwiach, aby otworzyć je ojcu.

– *Daddy!* Musisz posłuchać, co dziś ćwiczyłam! – Lilian uwielbiała grać na fortepianie i śpiewać, choć nie zawsze robiła to dobrze. – *Annabell Lee*, znasz to? To taka smutna pieśń. Ale Annabel jest taaaka piękna, a księżę tak okropnie ją kocha, ale potem...

– Dziewczyńskie bzdury! – złościł się Rube, który miał siedem lat, ale dokładnie wiedział, co jego zdaniem było głupie. – Zobacz lepiej mój pociąg, *daddy!* Zbudowałem całkiem sam nową lokomotywę!...

– Nieprawda! *Mammy* ci pomogła! – poskarżyła Lilian.

Tim przewrócił wymownie oczami.

– Kochanie, przykro mi, ale słowa „pociąg” nie mogę dzisiaj znieść...

Potargał pieszczotliwie rudobrzową czuprynę syna. Cała czwórka dzieci miała rude włosy – Elaine otrzymała w spadku ich intensywnie płomienny kolor. Ale chłopcy bardziej przypominali Tima. Elaine cieszyła się każdego dnia, widząc ich buzie pełne radości i odwagi oraz spojrzenia brązowo-zielonych oczu.

Twarz Tima wypogodziła się w końcu, kiedy zobaczył swą żonę idącą w jego stronę niewielkim korytarzem, gdzie już powitały go dzieci. Elaine była piękną kobietą – miała błyszczące zielone oczy, jasną, niemal przezroczystą cerę, a jej twarz wprost tonęła w burzy mocno kręconych rudych włosów. Tuż za nią dreptała stara suka Callie.

Elaine pocałowała Tima w policzek.

– Co ona znowu zrobiła? – spytała na powitanie.

Tim zmarszczył czoło.

– Czy ty umiesz czytać w myślach? – odpowiedział pytaniem, wyraźnie zakłopotany.

Elaine się roześmiała.

– Nie wprost, ale taki wyraz twarzy masz tylko wtedy, kiedy rozmyślasz na temat sposobu zamordowania Florence Biller. A ponieważ zwykle nie masz nic przeciwko kolejom, będzie to z pewnością związane z tym nowym połączeniem kolejowym.

Tim skinął głową.

– Dobrze to ujęłaś. Ale pozwól mi najpierw wejść. Co robią nasze młodsze pociechy?

Elaine przytuliła się do męża, umożliwiając mu w ten sposób, aby ten nieznacznie się na niej oparł. Pomogła mu wejść do pokoju, który był bardzo przytulnie urządzone meblami z drewna czarnej sosny, po czym zdjęła z niego marynarkę, zanim Tim opadł w wygodny fotel przed kominkiem.

– Jeremy namalował jelenia, ale podpisał go „jeż” – opowiadała Elaine. – I nie wiemy, czy pomylił się przy rysowaniu, czy w podpisywaniu... – Jeremy miał sześć lat i właśnie uczył się pisać pierwsze litery. – A Bobby zrobił naraz już cztery kroki.

Mały, jak gdyby chciał to udowodnić, podreptał w stronę Tima, który podniósł dziecko, posadził sobie na kolanach i zaczął je łaskotać. Wydało mu się, że wszystkie kłopoty z Florence Biller nagle gdzieś znikły.

– Jeszcze siedem kroków i może się żenić – powiedział Tim ze śmiechem i mrugnął do Elaine. Kiedy w swoim czasie Tim uczył się chodzić po wypadku, jego pierwszym celem było zrobienie jedenastu kroków – tyle wynosiła odległość od drzwi kościoła do ołtarza. Elaine i Tim zaręczyli się zaraz po nieszczęściu w kopalni.

– Lily, nie słuchaj teraz! – powiedziała Elaine do córki, która właśnie zamierzała o coś zapytać. Lilian marzyła o księciu z bajki i „wesele” było jej ulubioną zabawą. – Lepiej usiądź przy fortepianie i jeszcze raz wysłij *Annabell Lee* do aniołów. A *daddy* opowie mi, dlaczego tak nagle przestał lubić koleje żelazne...

Lilian pobiegła do instrumentu, podczas kiedy młodszych chłopców znów pochłonęła zabawa kolejką, którą zbudowali na podłodze.

Elaine nalala Timowi whisky i usiadła koło niego. Tim nigdy nie pił dużo i zwykle nie robił tego przed jedzeniem, już choćby dlatego, aby nie stracić kontroli nad swoimi ruchami. Ale dziś sprawiał wrażenie tak wyczerpanego i zdenerwowanego, że Elaine się wydało, iż kilka łyków na pewno dobrze mu zrobi.

– Właściwie nie warto o tym mówić – rzekł w końcu Tim. – Tylko Florence Biller znów pertraktowała z towarzystwem kolei żelaznych i nie zaprosiła do rozmowy pozostałych właścicieli kopalni. Dowiedziałem się o tym przypadkowo od George'a Greenwooda, który też bierze udział w pracy przy budowie torów. A razem moglibyśmy wynegocjować o wiele lepsze warunki. Ale zdaje się, że Florence ma nadzieję, iż wszyscy

w Greymouth po prostu nie zauważają nowych torów i tylko Billerowie skorzystają na uproszczonym transporcie węgla. Matt i ja zażądaliśmy w każdym razie podłączenia szyn także dla Lambertów. Jutro przyjadą ludzie z budowy torów i będziemy rozmawiać o podziale kosztów. Oczywiście do Billerów przeciągną tory od razu – Florence będzie miała dworzec towarowy najpóźniej za sześć tygodni.

Tim wypił ostrożnie łyk whisky. Elaine wzruszyła ramionami.

– Ona jest dobrą kobietą interesu.

– Ona jest bestią! – rozłościł się Tim i z pewnością wyraził się mniej drastycznie niż większość pozostałych właścicieli kopalń i dostawców z całego regionu. Biller była kobietą interesu – twardą i bezwzględną – i potrafiła wykorzystać każdą słabość przeciwnika. Zarządzała kopalnią swego męża żelazną ręką. Jej sztygarzy i sekretarze drżeli przed nią, choć co prawda ostatnio pojawiły się pogłoski, że jej młody zastępca w biurze cieszy się wyjątkowymi względami szefowej. Co jakiś czas któryś z jej współpracowników na krótko odgrywał rolę faworyta, a zdarzyło się to już dokładnie trzy razy. Elaine i Tim znali kilka tajemnic dotyczących małżeństwa Caleba i Florence i wiedzieli swoje. Florence Biller miała troje dzieci...

– Nie mam pojęcia, jak Caleb z nią wytrzymuje – powiedział Tim i odstawił szklanekę na stół. Napięcie, które odczuwał jeszcze kilkanaście minut temu, powoli ustępowało. Rozmowa z Lainie zawsze dobrze mu robiła, a słyszana w tle gra Lilian na fortepianie, pełna bardziej entuzjazmu niż inspiracji, dodatkowo poprawiała nastrój.

– Myślę, że Caleb też odbiera jej niezbyt uczciwe interesy jako co najmniej nieprzyjemne – stwierdziła Elaine. – Choć w gruncie rzeczy jest mu to obojętne. Ona zostawia w spokoju jego, a on ją – na tym chyba polega umowa między nimi.

Caleb Biller nie interesował się prowadzeniem kopalni. Był prywatnym nauczycielem i uważał się za specjalistę w zakresie sztuki i muzyki Maorysów. Przed ślubem z Florence nosił się krótko z zamiarem całkowitego wycofania się z rodzinnego interesu i prowadzenia życia muzyka – jeszcze dzisiaj zajmował się aranżacją muzyki do programu Kury-maró-tini Martyn. Ale Caleb nie potrafił poradzić sobie z treścią, a jego łyk przed publicznością dorównał ostatnio jego i tak niewiele mniejszej obawie przed straszną Florence Biller. I w tej chwili tylko nominalnie prowadził kopalnię Billerów. Faktycznie to Florence była szefem całego przedsiębiorstwa.

– Chciałbym tylko, żeby ona nie prowadziła swoich interesów tak jak wojny – westchnął Tim. – Rozumiem, że chce, by wszyscy traktowali ją poważnie, ale... mój Boże, inni też mają swoje problemy.

Przez Tim'a przemawiało doświadczenie. Gdy zaczynał pracować jako zarządca kopalni, niektórzy dostawcy próbowali wykorzystać jego kalectwo i dostarczać towary niższej jakości albo wnosić nieuzasadnione reklamacje. Zakładano, że Tim nie będzie w stanie dokładnie nadzorować dostaw. Ale Tim miał swoje oczy i uszy także poza biurem. Jego zastępca Matt Gawain doglądał wszystkiego dokładnie, a Roly O'Brien miał doskonałe kontakty z górnikami. Pracował całymi dniami bez względu na to, czy Tim go potrzebował, czy nie, i wieczorami był często tak samo usmarowany pyłem jak górnicy. Co prawda brud nie przeszkadzał Roly'emu, ale nigdy już nie chciał zjechać na dół do kopalni, odkąd po wypadku dwa dni leżał zasypany razem z Timem.

Dzisiaj Tim był bardzo szanowany jako szef kopalni i nikt już nie próbował go oszukać. U Florence Biller wszystko zapewne przebiegało podobnie i teraz mogłaby już zawrzeć pokój ze swoimi męskimi konkurentami. Ale Florence dalej walczyła z niesłabnącą energią. Nie tylko pragnęła, aby jej kopalnia stała się najlepszą kopalnią w Greymouth, ale chciała opanować całe zachodnie wybrzeże, a nawet górnictwo całego kraju.

– Jest coś do jedzenia? – spytał Tim żonę. Powoli stawał się coraz bardziej głodny.

Elaine skinęła głową.

– Tak, wszystko jest w piecu. To potrwa jeszcze chwilę. A ja... ja chciałam przedtem jeszcze coś z tobą omówić.

Tim spostrzegł, że popatrzyła przy tym na Lilian. Zapewne chodziło właśnie o nią.

– To było bardzo piękne, Lily – zwróciła się Elaine do dziewczynki, kiedy tylko ta skończyła grać. – Wszyscy jesteśmy tak bardzo przejęci losem Annabel. Nie byłabym w stanie nakryć teraz do stołu. Zrobisz to dla nas, Lily? A Rube ci pomoże?

– On na pewno upuści przy tym jakiś talerz! – złościła się Lilian, ale posłusznie poszła do jadalni.

Chwilę później usłyszeli brzęk tłuczonego szkła. Elaine przewróciła oczami, a Tim zaśmiał się wyrozumiale.

– Jeśli chodzi o prace domowe, to ona nie ma szczególnych uzdolnień – zauważył. – Powinniśmy raczej przekazać jej kierownictwo kopalni.

Elaine się uśmiechnęła.

– Albo pomyśleć o artystyczno-kreatywnej edukacji dla dziewcząt.

– O czym? – Tim sprawiał wrażenie wyraźnie zaskoczonego.

Elaine wyciągnęła z fałdów swojej sukni kopertę.

– Ten list od babci Gwyn przyszedł dzisiaj. Jest mocno przygnębiona – William i Kura-maró-tini chcą jej odebrać Głorię.

– Tak nagle? – Tim nie sprawiał wrażenia mocno zaciekawionego. – Jak do tej pory interesowała ich tylko kariera Kury-maró-tini. A teraz nagle przypomniała im się rodzina?

– To akurat nie – stwierdziła Elaine. – Oni myślą o szkole z internatem dla Głorii. A to dlatego, że babcia Gwyn marnuje jej artystyczno-kreatywne zdolności.

Tim się roześmiał. Zapomniał już zupełnie o swoich kłopotach w biurze, a Elaine cieszyła jego rozbawioną twarzą, w której ciągle można było dostrzec wiele chłopczości.

– No, nie można powiedzieć, żeby tak całkiem nie mieli racji. Nie mam nic przeciwko Kiward Station i twoim dziadkom, ale nie jest to ostoja sztuki i kultury.

Elaine wzruszyła ramionami.

– A ja nie mam wrażenia, że Głorii czegokolwiek tam brak. Ta mała wydaje się całkiem szczęśliwa, choć jest, co prawda, trochę nieśmiała. Potrzebowała sporo czasu, aby się zżyć nawet z Lily. Tu rozumiem babcie Gwyn. Martwi się i ma obawy, czy wysłać dziecko samo w taką podróż.

– No i co? – spytał Tim. – Coś ci leży na sercu, prawda? Co chciałaś ze mną omówić, Lainie?

Elaine podała mu list Gwyneiry.

– Babcia Gwyn pyta, czy nie chcielibyśmy wysłać Lilian razem z Głorią. To ponoć bardzo renomowany internat. I w ten sposób można by pomóc Głorii, aby się uporała z bólem związanym z rozstaniem.

Tim uważnie przestudiował list.

– Cambridge to zawsze było dobre miejsce – stwierdził. – Ale czy ona nie jest trochę za młoda? Nie mówiąc już o tym, że takie internaty kosztują majątek.

– Wszystkie koszty ponosiliby McKenzie – odparła Elaine. – Gdyby to tylko nie było tak okropnie daleko...

Umilkła, bo do salonu weszła Lilian. Mała zawiązała sobie na szyi o wiele za duży fartuch i potykała się na nim co drugi krok. Jak zwykle pobudziło to rodziców do śmiechu. Piegowata buzia Lily miała w sobie coś zabawnego, choć jej oczy były raczej pełne zamyślenia i rozmarzenia. Włosy dziewczynki były delikatne i rude, podobnie jak włosy jej matki i babki, choć nie tak mocno kręcone. Lilian zaplotła je w dwa warkocze i w swym za dużym fartuchu wyglądała jak skrzat, który postanowił przebrać się za służącą.

– Stół jest nakryty, *mummy*. I myślę, że sos też jest gotowy.

Rzeczywiście aromatyczny zapach sosu do pieczenia dotarł z kuchni aż do pokoju.

– A ile szklanek udało ci się zbić? – spytała Elaine z udawaną srogością. – Tylko nie kłam, bo słyszeliśmy tutaj.

Lilian się zaczerwiowała.

– Żadnej... Tylko... Tylko filizankę Jeremy'ego...

– *Mummyyyyyy!* Ona rozbiła moją filizankę! – rozpląkał się głośno Jeremy. Bardzo lubił swoją i tak już wyszczerbioną filizankę z ceramiki. – Zrób coś, żeby była cała, *mummy!* Albo *daddy!* *Daddy* jest inżynierem i potrafi naprawiać różne rzeczy!

– Ale nie rozbite filizanki, głuptasie! – odezwał się Rube.

Między dziećmi rozgorzała gwałtowna, głośna kłótnia, w efekcie której Jeremy rozszlochał się jeszcze bardziej.

– Porozmawiamy później – zakończył sprawę Tim i pozwolił, aby Elaine pomogła mu wstać z fotela. W towarzystwie obstawał raczej przy całkowitej niezależności i pozwalał jedynie na to, aby Roly niósł jego teczkę. Ale wobec Elaine nie wahał się okazywać słabości.

– Najpierw musimy to stado nakarmić.

Elaine skinęła głową i w kilku słowach uspokoiła dzieci.

– Rube, twój brat nie jest głupi, przeproś go. Jeremy, przy odrobinie szczęścia *daddy* sklei ci tę filizankę i będziesz mógł trzymać w niej kredki. A poza tym jesteś już na tyle duży, że możesz pić ze szklanki, jak wszyscy. A ty, Lily, sprzątnij, proszę, nuty, zanim zaczniemy jeść. Rube, ty tak samo, spakuj kolejkę.

Elaine podniosła swojego najmłodszego syna i posadziła go w wysokim krzeselku w jadalni. Tim miał na niego uważać, podczas kiedy ona będzie podawać do stołu. Było to właściwie zadanie służącej Mary Flaherty, ale w piątek Mary miała wolne popołudnie. Dlatego też było jasne, czemu Roly nie pojawił się tu raz jeszcze po skończeniu pracy u Tima. Zwykle Roly niechętnie rozstawał się ze swoim panem i miał zwyczaj wypytywania, czy jest coś jeszcze do zrobienia. Przy tej okazji zamieniał też kilka słów z Mary.

Elaine sądziła, że oboje gdzieś poszli w ten ciepły letni wieczór i wymieniali między sobą więcej pocałunków niż słów.

Jednakże Mary przyrządziła jeszcze przed wyjściem sos i Elaine musiała go tylko wyjąć z pieca. Smakowita woń oderwała Rubego od składania kolejki – a kiedy Elaine chciała zawołać Lilian, ta stała już w drzwiach.

Dziewczynka miała twarz rozjaśnioną radością i wymachiwała listem od Gwyneiry McKenzie, który Tim przez nieuwagę zostawił na stoliku koło fotela.

– Czy to prawda? – spytała zadyszana. – Babcia Gwyn wyśle mnie do Anglii? Tam, gdzie mieszkają księżniczki? I to do takiego intre... internatu, do takiej szkoły, gdzie można denerwować nauczycieli i gdzie po południu chodzi się na party, i w ogóle?

Tim Lambert często opowiadał dzieciom o swojej szkole w Anglii oraz o czasie w niej spędzonym, a jego pobyt w internacie wydawał się nieprzerwanym pasmem kawałów i przygód. Lily nie mogła się doczekać, aby pójść w ślady ojca. Podskakiwała podekscytowana i pytała:

– Będę mogła pojechać, prawda, *mummy?* *Daddy?* Kiedy pojedziemy?

– To już mnie tutaj nie chcecie?

Urażone spojrzenie Glorii przenosiło się z jednego na drugiego dorosłego, a w jej wielkich oczach błyszczały łzy.

Gwyneira nie była w stanie znieść wyrazu tych oczu. Sama omal się nie rozpląkała, kiedy chwyciła dziecko w ramiona.

– Gloria, nie ma mowy o tym, że cię nie chcemy.

James McKenzie pocieszał dziewczynkę zamiast babki i marzył o łyku whisky. Gwyneira wybrała czas po wspólnej kolacji, aby zawiadomić Glorię o decyzji jej rodziców. Bez wątpienia dlatego, że liczyła na pomoc swoich „obu mężczyzn”. James czuł się jednak bardzo niezręcznie w roli kogoś, komu powierzono rolę wychowawcy dziecka Wardenów. A Jack wcale nie pozostawiał wątpliwości co do tego, co sądzi o pomysłach Williama i Kury-maró-tini.

– Każdy człowiek chodzi do szkoły – powiedział, ale nie brzmiało to zbyt przekonująco. – Też przecież byłem kilka lat w Christchurch.

– Ale wracałeś tutaj w każdy weekend! – szlochała Gloria. – Proszę, proszę, nie wysyłajcie mnie stąd! Ja nie chcę do Anglii! Jack...

Dziewczynka patrzyła na swojego wieloletniego opiekuna, szukając u niego pomocy. Jack wiercił się niespokojnie na krześle i liczył z kolei na pomoc swoich rodziców. Przecież to doprawdy nie była jego wina. Wręcz przeciwnie – Jack stanowczo opowiedział się przeciwko wysłaniu Glorii z farmy Kiward Station do Anglii.

– Poczekaj trochę – radził swojej matce. – List może zaginać w drodze. A jeśli napiszą jeszcze raz, to odpowiesz im krótko i stanowczo, że Glory jest jeszcze za mała na taką długą podróż. A jak Kura-maró-tini nadal będzie obstawała przy swoim pomysle, to niech tu przyjedzie i zabierze małą.

– Ale tego się nie da zrobić ot tak, po prostu – odparła Gwyneira. – Ona ma swoje zobowiązania koncertowe.

– Właśnie – stwierdził Jack. – Ona będzie musiała się udać do samego diabła i na pół roku zrezygnować z aplauzów swojej publiczności po to, żeby zmusić córkę do pójścia do tej szkoły. A jeśli tak ma być, to wymaga to przygotowań, trwających przynajmniej rok. Najpierw wymiana listów, potem podróż... Glory zyskałaby na tym dwa lata. Miałaby prawie piętnaście lat, kiedy wyruszałaby w podróż do Anglii.

Gwyneira całkiem poważnie rozważała tę propozycję. Ale podjęcie decyzji nie przychodziło jej tak łatwo jak synowi. Jack nie przejawiał żadnych obaw, jeśli chodziło o Kure-maró-tini. Ale Gwyn wiedziała, że istnieją środki nacisku, których można użyć, nawet będąc po tamtej stronie oceanu. Gloria była wprawdzie dziedziczką, ale na razie farma Kiward Station należała do Kury-maró-tini Martyn. Gdyby Gwyneira sprzeciwiła się jej życzeniom, wystarczyłby jeden podpis pod umową kupna-sprzedaży i nie tylko Gloria, ale cała rodzina McKenzie musiałaby opuścić farmę.

– Coś takiego nie przyjdzie jej do głowy – stwierdził Jack, ale James McKenzie doskonale rozumiał obawy żony. Kura-maró-tini prawdopodobnie w ogóle już się nie zastanawiała nad stosunkami własności na farmie, ale po Williamie można było się spodziewać spontanicznych działań. Także James nie dałby się do niczego zmusić, podobnie jak jego syn. Ale dla niego Kiward Station nigdy nie była czymś specjalnie ważnym. Dla Gwyneiry zaś ta farma była całym życiem.

– Niedługo tutaj wrócisz – tłumaczyła swojej zrozpaczonej prawnuczce i próbowała odwrócić jej uwagę. – Podróż szybko minie i za kilka tygodni będziesz mogła być tu znowu.

– Na wakacje? – pytała Gloria pełna nadziei.

Gwyneira po namyśle potrząsnęła głową. Nie miała serca okłamywać dziewczynki.

– Nie. Wakacje są zbyt krótkie. Zastanów się: jeśli podróż statkiem trwa sześć tygodni, mogłabyś przyjechać na letnie wakacje tylko po to, aby powiedzieć dzień dobry. I następnego dnia musiałabyś już wracać.

Gloria rozszlochała się znowu.

– Czy będę mogła zabrać Nimue? I Princessin?

Gwyneira miała takie uczucie, jak gdyby czas się cofnął. Też chciała w swoim czasie wiedzieć, czy będzie mogła zabrać swojego psa i konia, kiedy ojciec zaaranżował jej zaręczyny w Nowej Zelandii. Jednak młodzianka Gwyn wówczas nie płakała. A jej przyszły teść Gerald Warden potrafił ją uspokoić.

I oczywiście mogła zabrać z sobą w długą podróż do nowego kraju Cleo, swojego psa, oraz Igraine, ukochaną klacz. Ale Gloria miała jechać nie na owczą farmę, tylko do szkoły dla dziewcząt.

Gwyneira miała wrażenie, że serce jej pęka, ale znów potrząsnęła głową.

– Nie, kochanie. Tam nie wolno zabierać psów. A konie... nie wiem, ale wiele szkół na wsi ma swoje własne konie. Prawda, James?

Popatrzyła na męża, szukając u niego pomocy, jak gdyby stary hodowca bydła był ekspertem w wychowywaniu dziewcząt w angielskich internatach.

James wzruszył ramionami.

– Czy tak, Miss Bleachum? – spytał.

Sarah Bleachum, domowa nauczycielka Glorii, dotychczas zachowywała dystyngowane milczenie i nie brała udziału w rozmowie. Była niepozorna, jeszcze dość młodą kobietą, miała zwyczaj upinania swych ciemnych włosów zupełnie jak starsza matrona, a naprawdę ładne jasnozielone oczy zawsze miała skromnie spuszczone. Miss Bleachum ożywiła się tylko wtedy, kiedy widziała przed sobą dzieci. Była znakomitą nauczycielką z powołania i wykształcenia i tęskniłaby za nią nie tylko Gloria, ale także dzieci Maorysów na Kiward Station.

– Sądzę, że tak, Mr James – odpowiedziała powściągliwie. Rodzina Sarah Bleachum wyemigrowała, kiedy ona sama była jeszcze niemowlęciem. Nie mogła więc udzielić żądanej informacji z własnego doświadczenia.

– Ale te szkoły bardzo się różnią. A Oaks Garden jest chyba szkołą zorientowaną bardziej na sztukę. Mój kuzyn pisał, że dziewczęta rzadko uprawiają tam sport.

Przy ostatnim zdaniu Miss Bleachum zrobiła się wręcz purpurowa.

– Pani kuzyn? – podchwycił drwiąco James. – Czyżbyśmy coś przeoczyli?

Ponieważ Miss Bleachum nie mogła już bardziej się zaczerwienić, jej twarz na przemian to bladła, to pokrywała się brunatnymi plamami.

– Ja... eee... mój kuzyn Christopher właśnie objął swoją pierwszą posadę jako pastor koło Cambridge. Oaks Garden należy do jego parafii.

– Czy on jest sympatyczny? – spytała Gloria, która chwytała się każdego cienia nadziei. Gdyby przynajmniej był tam jakiś krewny Miss Bleachum...

– On jest bardzo sympatyczny – zapewniła ją Miss Bleachum. James i Jack z zafascynowaniem obserwowali, jak przy tych słowach jej twarz znów w raptowny sposób zmieniała kolor.

– Ale tak czy tak nie będziesz tam całkiem sama. – Gwyneira wreszcie mogła święcić swój triumf. Tim i Elaine obiecali jej poprzedniego dnia, że Lilian pojedzie razem z Glorią do Anglii. – Twoja kuzynka Lily jedzie z tobą. Ją przecież lubisz, prawda, Glory? Razem będziecie się naprawdę dobrze bawiły!

Gloria sprawiała wrażenie nieco weselszej, choć w dobrą zabawę naprawdę nie mogła uwierzyć.

– Jak właściwie wyobrażacie sobie tę całą podróż? – odezwał się nieoczekiwanie Jack. Wiedział co prawda, że w towarzystwie Glorii nie powinien był zgłaszać żadnych zastrzeżeń, ale wszystko wydało mu się naraz jakieś pełne fałszu i niedopowiedzeń. Nie mógł się powstrzymać. – Czy dwie małe dziewczynki mają zupełnie same przebywać na statku? Z jakimiś sztydami na szyjach, gdzie będzie napisane: „Prześłać do Oaks Garden, Cambridge”?

Gwyneira spojrzała gniewnie na syna, chociaż to właśnie ona powinna była się czuć złapana na gorącym uczynku. Rzeczywiście nie poświęciła ani jednej myśli dokładnemu planowaniu podróży.

– Oczywiście, że nie. Kura-maró-tini i William chyba je odbiorą.

– Ach tak? – spytał Jack. – Zgodnie z planami ich kolejnych tournée w marcu mają być w Petersburgu. – Jack bawił się prospektem, który leżał na stoliku koło kominka. Kura-maró-tini i William stale informowali rodzinę o swoich planach podróży, a Gwyneira z poczucia obowiązku wieszala na ścianie w pokoju Glorii plakaty z kolejnych występów rodziców.

– Gdzie oni będą...? – Gwyneira urwała nagle. Miała ochotę sama siebie spoliczkować. Nie należało tego wszystkiego omawiać w obecności Glorii.

– Będziemy więc musieli znaleźć kogoś, kto będzie towarzyszył dziewczynkom.

Miss Bleachum najwyraźniej walczyła sama z sobą, nie mogąc przezwyciężyć własnej nieśmiałości.

– Gdybym ja... e... ja... nie chciałabym się narzucać, ale jeśli... to znaczy... ja mogłabym... – Krew znów uderzyła jej do twarzy.

– Jak to się czasy zmieniają – zauważył drwiąco James. – Pięćdziesiąt lat temu aranżowało się małżeństwa w odwrotną stronę.

Miss Bleachum wydawała się bliska utraty przytomności.

– Jak?... Skąd? – zdołała wydukać.

James uśmiechnął się, próbując dodać jej odwagi.

– Miss Bleachum, jestem stary, ale nie ślepy. Jeśli pragnie pani większej dyskrecji, musi się pani odzwyczaić od czerwienienia się już na samą wzmiankę o pewnym przewielebnym.

Miss Bleachum znów zbladła.

– Proszę nie sądzić, że...

Gwyneira patrzyła na nią z wyraźną irytacją.

– Czy ja dobrze wszystko zrozumiałam? Chciałaby pani towarzyszyć dziewczynkom w drodze do Anglii, Miss Bleachum? Czy pani wie, że będzie pani w drodze przynajmniej trzy miesiące?

Miss Bleachum nie wiedziała, w którą stronę ma patrzeć, a Jack zrobił jej dodatkową przykrość.

– Mamo, Miss Bleachum próbuje nam właśnie w możliwie elegancki sposób powiedzieć, że rozważa, czy nie zająć wakującego miejsca żony pewnego pastora w Cambridge – stwierdził, uśmiechając się znacząco. – O ile potwierdzi się owo powinowactwo dusz, co do którego ona sądzi, że odczuwają je obie strony po wieloletniej wymianie listów z kuzynem Christopherem w Cambridge. Czy dobrze się wyraziłem, Miss Bleachum?

Młoda kobieta z wyraźną ulgą skinęła głową.

– Czy chce pani wyjść za mąż, Miss Bleachum? – spytała Gloria.

– Jest pani zakochana? – pytała Lilian.

Tydzień przed wyjazdem do Anglii Elaine wraz z córką przybyły na farmę Kiward Station i Gloria znów potrzebowała dwóch dni, aby przezwyciężyć nieśmiałość w stosunku do krewnych. Tymczasem Elaine pocieszała Gwyneirę. Elaine sądziła, że właśnie ze względu na pełną rezerwy postawę Glorii wobec rówieśników nie jest to najgorszy pomysł, aby przez kilka lat zapewnić dziewczynce możliwość wychowywania się w internacie.

– Kurze-maró-tini w swoim czasie też by to nie zaszkodziło – stwierdziła.

Stosunek Elaine do kuzynki poprawił się dopiero tuż przed wyjazdem Kury-maró-tini do Europy.

– Jeśli o nią chodzi, byłoby to wręcz jeszcze bardziej wskazane. Ale w gruncie rzeczy jest to ten sam problem: takie wychowywanie na księżniczkę przez domowe nauczycielki i lekcje w pojedynkę wcale nie robi dzieciom dobrze. No i jeśli chodzi o Kurę-maró-tini, to przewróciło jej się w głowie, a Gloria przez to zdziaczała. Może być, że podoba jej się życie wśród tych wszystkich poganiaczy bydła, koni i owiec. Ale to jest dziewczynka, babciu Gwyn. I choćby w interesie dalszego dziedzictwa Kiward Station czas już, aby zaczęła to sobie uświadamiać.

Jak dotychczas wszystko wydawało się iść w dobrym kierunku. Po dwóch dniach spędzonych z pełną energią i radością Lilian ożywiła się także Gloria i dziewczynki rozumiały się znakomicie. Całymi dniami łobuzowały na farmie, jeździły konno na wyścigi, wieczorami przytulały się do siebie w łóżku i powierzały sobie jakieś arcyważne dziewczynskie tajemnice, o których Lilian paplała już następnego ranka.

Miss Bleachum nie wiedziała, gdzie podziak oczy i jak szybko ma się na przemian czerwienić i blednąć, kiedy mała zapytała o jej życie uczuciowe.

Za to Lilian nie sądziła, aby było w tym coś przykrego czy niezręcznego.

– To takie ekscytujące płynąć przez ocean dlatego tylko, że kocha się jakiegoś mężczyznę, którego się nigdy nie widziało na oczy – paplała.

– Zupełnie jak w *Johnie Rileyu*. Zna pani to, Miss Bleachum? John Riley pływał siedem lat po morzu, a jego ukochana czekała na niego.

I kochała go tak bardzo, że mówiła, że wolałaby umrzeć, gdyby on zginął... A potem go nie rozpoznała, kiedy wrócił. Czy ma pani fotografie

swojego ukoch... to jest... swojego kuzyna, Miss Bleachum?

– Proszę, córka barowej pianistki! To przecież twoja piosenka! – drażnił James swoją nieco zszokowaną wnuczkę Elaine, która też się czerwieniła. Lilian zaczęła jadać kolację wspólnie z nauczycielką tylko po to, aby móc ją swobodnie wypytywać.

Elaine przed ślubem z Timem przez kilka lat grywała na pianinie w pubie i hotelu Lucky Horse. Była zdecydowanie bardziej muzykalna niż jej córka, ale Lilian miała słabość do różnych historii, jakie kryły się w słowach ballad i ludowych pieśni. A dzięki Elaine były one w swoim czasie ulubioną rozrywką licznych górników. Dziewczynka lubiła rozbudowywać treści zawarte w słowach piosenek i przekazywać je w formie opowiadań.

Elaine tym razem nakazała córce, aby natychmiast przestała.

– Lily, nie przystoi zadawać takich pytań. To są prywatne sprawy, na temat których Miss Bleachum nie musi ci udzielać wyjaśnień. Proszę wybaczyć, Miss Bleachum.

Młoda guwernantka uśmiechała się grzecznie, choć z wyrazem udręczenia w oczach.

– Lilian ma rację, to właściwie żadna tajemnica. Mój kuzyn Christopher i ja prowadzimy regularną korespondencję już od dzieciństwa. W ostatnich latach staliśmy się... ee... sobie bliżsi. Oczywiście mam jego fotografię, Lilian, i pokażę ci ją na statku.

– I wtedy wszystkie trzy będziemy mogły go rozpoznać! – pocieszała wszystkich Gloria. W czasie lekcji Miss Bleachum nosiła okulary o bardzo grubych szklach, które w towarzystwie zwykła wstydliwie zdejmować. Gloria przypuszczała, że jej nauczycielka mogłaby nie dostrzec ani też nie rozpoznać mężczyzny swojego życia i doskonale rozumiała jej obawy w tym względzie.

Gwyneira w głębi ducha dziękowała Bogu za pedagogiczne zdolności i umiejętności Miss Bleachum. Kiedy Gloria w tym czasie o coś prosiła lub o coś pytała, guwernantka mówiła, że o wszystkim opowie jej w czasie długiej podróży do Anglii. Na statku będzie możliwość, aby opowiedzieć sobie tę czy tamtą historię, przeczytać taką czy inną książkę, a nawet obejrzeć fotografię ukochanego. W efekcie Gloria rzeczywiście cieszyła się na podróż. A jeśli chodzi o Lilian, to dziewczynka marzyła już o bezkresnym morzu, o delfinach, które będzie można zobaczyć, i o falach, na których statek będzie galopować jak na koniu. Ale Lily opowiadała też o piratach i o tonących statkach – trochę niebezpieczeństwa było dla niej czymś w rodzaju kwintesencji całej podróży.

Gwyneira niczego sobie teraz nie życzyła tak bardzo, jak szczęśliwego spotkania Sarah i Christophera Bleachumów. Jeśli młoda kobieta rzeczywiście poślubiłaby wielebnego gminy, do której należała szkoła Glorii, to dziewczynka miałaby w pobliżu zaufaną i bliską osobę dorosłą. I może nie będzie tak źle, jak jej się z początku wydawało.

Gwyneira zmusiła się do uśmiechu, kiedy dziewczęta wsiadły wreszcie do dorożki, którą Jack miał je zawieźć na statek. Elaine także jechała z nimi i miała wrócić pociągiem z Christchurch do Greymouth.

– Pojedziemy przez Bridley Path! – cieszyła się Lilian i natychmiast przypomniawszy wszystkim z dziesięć opowieści z dreszczykiem na temat górskiej drogi między Christchurch a portem Lyttelton. W swoim czasie tą drogą wlekli się ostatkiem sił śmiertelnie znużeni osadnicy, zbyt biedni na to, aby pozwolić sobie na przejazd bryczką zaprzężoną w muły, która wówczas regularnie tamtędy kursowała. Ale Gwyneira wołała opowiedzieć o wspaniałym widoku, jaki rozpościerał się już na samym końcu podjazdu: rozległa przestrzeń Canterbury Plains w słonecznych promieniach, a dalej zapierająca dech w piersiach panorama Alp. Oczy starej damy błyszczały ciągle, kiedy o tym opowiadała. W takiej właśnie chwili przed wielu laty zakochała się w kraju, który miał być jej nową ojczyzną.

Jednak droga, w którą udawały się dziewczęta, prowadziła w zupełnie innym kierunku. I Gwyneira nie wspomniała o tym, że górzysty, bezludny i niezagospodarowany krajobraz, który kiedyś jako pierwszy pojawił się przed ich oczami, jej przyjaciółka Helen porównała do wzgórz piekła.

Żadna podróż nie wydawała się Jackowi McKenzie równie trudna, jak ta z Glorią i Lilian do Christchurch i potem przez Bridle Path. A przecież drogi, zbudowane już przed wieloma laty i utrzymywane w znakomitym stanie, nie stanowiły żadnej przeszkody, a zaprzężone do bryczki silne anglonormandzkie klacze pędziły szybko naprzód. Niemal zbyt szybko dla Jacka, który byłby skłonny sporo oddać za to, aby móc zatrzymać czas.

Ciągle uważał za poważny błąd uleganie kaprysom rodziców Glorii, których ofiarą miała się stać ona sama. Ale przy tym powtarzał sobie, że przecież świat się na tym nie kończy. Gloria miała w Anglii uczęszczać do szkoły i po jej ukończeniu wrócić. Wiele dzieci z bogatych nowozelandzkich rodzin spotykał ten sam los i większość z nich nie miała złych wspomnień z tego okresu.

Lecz jeśli chodzi o Glorię, Jack wiedział, że było to coś zupełnie innego. Odczuwał ogromny sprzeciw na samą myśl, że dziewczynka miała zostać oddana pod opiekę Kury-maró-tini. Zbyt dobrze pamiętał noce, kiedy zabierał krzyczące niemowlę z kołyski, podczas gdy jego matka najspokojniej w świecie spała tuż obok głębokim snem. A ojciec Glorii poświęcił nieco uwagi tylko kwestii nadania dziecku imienia. „Gloria” miało symbolizować jego „tryumf odniesiony w nowym kraju”, choć nie wiadomo, co konkretnie miał na myśli. Jack odbierał to imię jako zbyt pompatyczne dla małej dziewczynki. Ale pokochał to dziecko już od pierwszej chwili. I teraz odbierał niemal jako zdradę fakt, że Gloria miała być wysłana sama do Anglii. Czyli na wyspę, którą miała dzielić z Kurą-maró-tini. Jack odetchnął w swoim czasie, kiedy to właśnie dzięki samej Kurze-maró-tini między nią a rodziną McKenzie znalazła się ogromna przestrzeń oceanu.

Bądź co bądź przynajmniej Gloria była teraz w o wiele lepszym nastroju. Dzielnie walczyła ze łzami, kiedy po raz ostatni objęła babcię Gwyn. I rozpłakała się tylko w czasie pożegnania ze zwierzętami.

– Kto wie, czy będę mogła jeździć na Princess, kiedy wrócę – szlochała. I żadnemu z dorosłych nie przyszły na myśl jakieś słowa pociechy. Kiedy Gloria ukończy szkołę w Anglii, będzie miała przynajmniej osiemnaście lat, w zależności od tego, do jakiej klasy będzie chodzić. Drobny pony będzie dla niej wówczas na pewno za mały.

– Pokryjemy ją anglonormandzkim ogierem – powiedział Jack na pocieszenie. – Wtedy będzie czekać na ciebie jej źrebak. Będzie miał mniej więcej cztery lata i będziesz mogła go ujeźdzać.

Na myśl o tym na twarzy Glorii pojawił się nieśmiały uśmiech.

– To wcale nie będzie tak długo trwało, prawda?

Jack potrząsnął głową.

– Nie, to w ogóle nie będzie tak długo – potwierdził.

W drodze do Christchurch Gloria znów chichotała z Lilian, podczas kiedy Elaine, pełna bólu z powodu rychłego pożegnania, i Miss Bleachum, teraz przestraszona własną odwagą, rozmawiały w skupieniu. Jack w czasie jazdy raz po raz przeklinał w myślach Kurę-maró-tini.

Podróźni spędzili noc w hotelu w Christchurch i następnego dnia wcześniej rano ruszyli w dalszą drogę przez Bridle Path. Statek miał wypłynąć z portu o świcie, a Gloria i Lilian prawie spały, kiedy Jack prowadził swój zaprzęg przez góry. Elaine trzymała w objęciach córkę, a Gloria wspierała się na kozioł i przytuliła do Jacka.

– Jeśli... jeśli będzie mi całkiem źle, przyjedziesz i zabierzesz mnie stamtąd, prawda? – wyszeptała rozspanym głosem, kiedy Jack w końcu zniósł ją na dół i postawił na ziemi między walizkami i skrzyniami.

– Nie będzie tak źle, Glory – pocieszał ją. – Pomyśl tylko o Princess. Ona też pochodzi z Anglii. A tam też są owce i konie, tak samo jak tutaj.

Jack natrafił na spojrzenie Miss Bleachum, która nerwowo zagryzła wargi, słysząc jego słowa. Poczucie obowiązku niemal kazało jej poprawić Jacka. Wcześniej zdążyła się już dokładnie dowiedzieć: w Oaks Garden nie było ani owiec, ani koni. Ale współczucie kazało jej milczeć. Sarah Bleachum także kochała Glorię.

I nadeszła wreszcie ta chwila, kiedy Jack i Elaine stali na nabrzeżu, machając rękami na pożegnanie, podczas kiedy olbrzymi parowiec wypływał z zatoki.

– Mam nadzieję, że postępujemy słusznie – westchnęła Elaine, gdy wreszcie opuścili ręce. Dzieci od dawna nie mogły ich już widzieć. – Tim i ja zupełnie nie jesteśmy tego pewni, ale Lily tak bardzo chciała jechać.

Jack nie odpowiedział. Cała jego uwaga skupiła się na rozpaczliwej walce ze łzami. Ale na szczęście musieli się śpieszyć, bo pociąg Elaine do Greymouth odjeżdżał około południa i Jack musiał mocno popędzać konie, aby zdążyli.

Toteż nie było wielkich scen pożegnalnych między krewniakami. Elaine pocałowała tylko Jacka w policzek.

– Nie smuć się – powiedziała. – Kiedy przyjadę następnym razem, zabiorę z sobą chłopców. Pokażesz im, jak się tresuje psy!

Od kiedy istniało połączenie kolejowe między wschodnim a zachodnim wybrzeżem, wszelkie odległości się zmniejszyły. Elaine za kilka miesięcy znów mogła przyjechać w odwiedziny, także babcia Gwyn i James jeździli już koleją żelazną na zachodnie wybrzeże.

Jack wyszedł w końcu z dworca i skierował swój zaprzęg na drogę prowadzącą do Avon. George Greenwood i jego żona Elizabeth mieli dom w pobliżu rzeki – a mówiąc ściślej, to Elizabeth odziedziczyła mały miejski dom po swojej przybranej matce. George często żartował, że tylko dlatego ożenił się z Elizabeth. Kiedy chciał się osiedlić w Christchurch, niemal nie było wolnych mieszkań w szybko rozwijającym się mieście, które tymczasem rozrosło się tak bardzo, że dom Greenwoodów leżał w samym jego centrum. Jack chciał się zobaczyć z George’em, aby zadać mu parę pytań na temat handlu wełną. A Elizabeth zaprosiła go, aby spędził u nich noc. Młody mężczyzna, chcąc nie chcąc, się zgodził, choć właściwie nie miał nastroju do konwersacji. Najchętniej pojechałby z powrotem na Kiward Station w ponurym milczeniu.

Elizabeth Greenwood, szacowna matrona o nieco zaokrąglonych kształtach i niebieskich, przyjaznych oczach, zauważyła jego nieszczęśliwą minę, gdy tylko otworzyła mu drzwi. Inna dama z jej warstwy zleciłaby to służącej, ale Elizabeth pochodziła z rodziny, gdzie panowały inne stosunki i była osobą bardzo skromną.

– Rozweselimy cię trochę – obiecała i objęła go serdecznie.

Elizabeth i Gwyneira McKenzie przybyły z Anglii do Nowej Zelandii tym samym statkiem. Elizabeth doskonale знаła historię Kiward Station, a Jack był dla niej kimś w rodzaju krewniaka.

– Mój Boże, chłopcze, patrzysz tak, jak gdybyś wysłał małą Glorię na szafot! – Elizabeth troskliwie zdjęła z Jacka przeciwdeszczowy płaszcz – na dworze padała mżawka. Ten typ pogody znakomicie pasował do jego nastroju. – A przecież dziewczęta będą naprawdę szczęśliwe w Anglii! Nasza Charlotte wcale nie chciała wracać! I została jeszcze kilka lat dłużej.

Elizabeth uśmiechnęła się i otworzyła przed Jackiem drzwi do małego pokoju, w którym przyjmowała gości.

– Mamo, to przecież nieprawda! – Dziewczyna, która siedziała w pokoju, musiała słyszeć ostatnie słowa matki i spojrzała na nią z wyrzutem. – Zawsze tęskniłam za Canterbury Plains... Ten widok przez Plains aż na Alpy czasami mi się śnił. Nigdzie nie ma tak

przejrzystego powietrza jak tutaj...

Łagodny, śpiewny głos. Może taki, jaki byłby głos Elizabeth, gdyby ona sama nie kontrolowała go z żelazną konsekwencją. Elizabeth jako dziecko sepleniła, a ponieważ pochodziła z najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Londynu, całe życie pracowała nad tym, by nie mówić dialektem i żeby jej głos nabrał właściwej barwy.

A to była chyba Charlotte, najmłodsza córka Elizabeth. Jack słyszał już, że znów przyjechała do Christchurch. I to tym samym statkiem, który zabrał mu Glorię. Ale kiedy dziewczyna odwróciła się do niego i wstała, by się przywitać, Jack zapomniał o swoim bólu rozstania.

– Chociaż w Anglii bardzo mi się podobało.

Łagodny głos, jak powiew wiatru, który porusza dzwonki i one wtedy dzwonią...

Mówiąc, Charlotte cały czas zwracała się do swojej matki i Jack cieszył się z tego. Musiał zadać sobie sporo trudu, by się opanować i nie gapić na dziewczynę. Gdyby odezwała się do niego choćby jednym słowem, żadna rozsądna odpowiedź nie przeszłaby mu teraz przez gardło.

Charlotte Greenwood była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek dane było widzieć Jackowi. Nie była tak niska jak większość jego krewniaczek, ale była delikatna i drobnej budowy. Jej cera była niemal przezroczysta i biała jak najszlachetniejsza porcelana. Dziewczyna miała blond włosy, podobnie jak jej matka i siostra Jenny, ale nie tak jasne. Jackowi przypominały kolor ciemnego miodu. Charlotte związała je z tyłu głowy w koński ogon, ale luźne kosmyki opadały w bujnych lokach na ramiona. Jednak najbardziej ekscytujące były jej wielkie ciemnobrązowe oczy. Jackowi się wydało, że ta dziewczyna to jakaś dobra wróżka albo owa czarodziejska istota z piosenki *Annabell Lee*, którą stale, choć ciągle fałszywie śpiewała mała Lilian.

– Mogę przedstawić? Moja córka Charlotte, Jack McKenzie – przerwała Elizabeth milczenie Jacka.

Charlotte wyciągnęła do niego dłoń, a Jack zareagował impulsywnie – wykonał gest, którego nauczył się na zajęciach dobrego wychowania, ale na który dotychczas nie zdobył się w stosunku do żadnej kobiety z Canterbury Plains: pochylił się i pocałował dziewczynę w rękę.

Charlotte się uśmiechnęła.

– Pamiętam pana, Jack – powiedziała przyjaźnie. – Był pan na tym koncercie, który dawała tutaj pańska... kuzynka, zanim wyruszyła do Anglii. Płynęłam wtedy tym samym statkiem, wie pan o tym?

Jack skinął głową. Jego wspomnienie o pożegnalnym koncercie Kury-maró-tini w Christchurch było bardzo mgliste. Wysłuchał całego programu właściwie tylko po to, żeby w żadnym wypadku nie spuścić z oczu Glorii.

– Bardzo się pan wtedy troszczył o pewną małą dziewczynkę, a ja byłam trochę zazdrosna...

Jack spojrzął na Charlotte z niedowierzaniem. Miał wtedy osiemnaście lat, a ona...

– Wolałam się wtedy bawić drewnianym konikiem i potem budować wież z klocków z dziećmi Maorysów, zamiast siedzieć cicho i słuchać, choć właściwie miałam już na to dość lat – wyznała dziewczyna śpiewnym głosem.

Jack się uśmiechnął.

– A więc też nie należy pani do wielbicieli mojej... dokładnie rzecz biorąc, to moja przyrodnia siostrzenica...

Charlotte spuściła oczy. Miała długie rzęsy w kolorze ciemnego miodu. Jack był oczarowany.

– Może jednak miałam na to za mało lat – przeprosiła. – W każdym razie...

Podniosła powieki i z uprzejmej konwersacji zgrabnie przeszła do poważnej dyskusji na temat pewnego artystycznego występu, przy czym mówiła bez ogródek:

– Co prawda Mrs Martyn traktuje dziedzictwo swojego ludu nie całkiem tak, jak ja rozumiem pielęgnowanie skarbów ich kultury.

W zasadzie spektakl *Ghost Whispering* wykorzystuje tylko pewne elementy tej kultury, które interpretatorce wydają się być potrzebne tylko po to, aby... no, aby się przysłużyć jej sławie. A przecież muzyka Maorysów, tak jak ja ją rozumiem, ma raczej komunikatywny aspekt...

Jack wprawdzie nie rozumiał, o czym Charlotte właściwie mówiła, ale czuł, że mógłby jej słuchać godzinami. Za to Elizabeth Greenwood ostentacyjnie wzniosła oczy do nieba.

– Charlotte, przestań, znów wygłaszasz wykład, a twoi słuchacze uprzejmie umierają z głodu. Ale do tego jesteśmy już przyzwyczajeni.

Charlotte została dłużej w Anglii, aby studiować w college'u. Coś z historią i literaturą...

– Historia kolonii i literatura porównawcza, *mom* – poprawiła Charlotte łagodnie. – Przykro mi, jeśli pana zanudzam, Mr McKenzie...

– Proszę mówić mi po prostu Jack. – Jack zmusił się z trudem do opanowania. Najchętniej w całkowitym milczeniu wpatrywałby się w dziewczynę niemal z nabożną czcią. Ale jednak przeważał w nim figlarz, który kazał mu się odezwać w następujących słowach:

– A ponieważ należymy do trójki, a najwyższej czwórki ludzi na tej planecie, którzy nie wielbią talentów Kury-maró-tini Martyn, to tym samym znaleźliśmy się w bardzo ekskluzywnym klubie, Miss Greenwood...

– Charlotte – poprawiła ze śmiechem. – Ależ ja wcale nie chciałam stawiać pod znakiem zapytania osiągnięć pańskiej... przyrodniej siostrzenicy. Miałam przyjemność usłyszeć ją w Anglii i bez wątpienia jest ona bardzo utalentowaną artystką. Mogę spokojnie powiedzieć, że sama nie jestem zbyt muzykalna. Ale razi mnie, jak w jej wypadku mity są wyrwane z określonego kontekstu, a także to, że historia pewnego ludu... no, jest po prostu sprowadzona do roli banalnej liryki miłosnej.

– Charlotte, idź i zaproponuj naszemu gościowi drinka przed kolacją. Jack, George też zaraz przyjdzie i wie, że będziesz na kolacji. A nasza Charlotte postara się o bardziej zrozumiałą konwersację. Kochanie, jeśli będziesz mówić tak pompatycznie, nigdy nie znajdziesz męża!

Charlotte zmarszczyła gładkie czoło, jak gdyby chciała powiedzieć coś niezbyt grzecznego. Umilkła jednak i posłusznie zaprowadziła Jacka do salonu. Zaproponowała mu whisky, ale Jack odmówił.

– Nie przed zachodem słońca – powiedział.

Charlotte uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Ale wygląda pan tak, jakby potrzebował pan czegoś na wzmocnienie. Może herbaty?

Kiedy pół godziny później George Greenwood zawitał do domu, zastał swoją córkę i Jacka pochłoniętych ożywioną rozmową. Przynajmniej tak to wyglądało na pierwszy rzut oka. Jack rzeczywiście nie ruszył swojej filiżanki z herbatą i przysłuchiwał się temu, co Charlotte opowiadała o swoim dzieciństwie w angielskich internatach. I zgodnie z tym, co mówiła, też nie wyglądało to źle – a śpiewny głos Charlotte naprawdę złagodził troskę Jacka o Glorię. Jeśli angielskie internaty opuszczały takie anielskie istoty jak Charlotte, to małej nie powinno się stać nic złego. Choć co prawda Charlotte uczęszczała do szkoły, której zadaniem było troszczyć się nie tylko o duchowy, ale także fizyczny rozwój swoich wychowanek. Charlotte opowiadała o jeździe konnej, grze w hokeja, krokietu i o różnych wyścigach.

– A co z rozwojem „artystyczno-kreatywnym”? – spytał Jack.

Charlotte zmarszczyła czoło – znów w ten sam zachwycający sposób. Jack mógłby patrzeć godzinami, jak poruszała się skóra nad jej brwiami.

– Malowałyśmy trochę – odpowiedziała. – A kto chciał, mógł oczywiście grać na fortepianie i na skrzypcach. Poza tym miałyśmy chór. Ale mnie nie wolno było w nim śpiewać. Jestem zupełnie niemuzykalna.

W to ostatnie Jack nie mógł uwierzyć: dla niego każde słowo Charlotte było jak pieśń. Ale w końcu muzykalność nie należała też do jego najmocniejszych stron.

– Miejmy więc nadzieję, że los małej Glorii będzie podobny – dodał George Greenwood. Wysoki, ciągle szczupły, ale już zupełnie siwowłosy mężczyzna przysunął sobie fotel przed kominek i zajął w nim miejsce. Charlotte naląła mu whisky.

– Nie sądzę jednak, że dziewczętom uczącym się w Oaks Garden oszczędzona będzie edukacja muzyczna. Priorytety wychowania państwa

Martyn są zupełnie inne niż nasze.

Jack popatrzył na George'a zupełnie zdezorientowany. Charlotte mówiła przedtem o przedmiotach fakultatywnych, ale zgodnie z tym, co mówił George, angielskie uczennice były przemocą sadzane przy fortepianie.

– Te internaty nie wszystkie są takie same, Jack – mówił dalej George, dziękując skinieniem głowy żonie za drinka, którego mu podała. – Rodzice mają wybór między bardzo różnymi koncepcjami kształcenia. Niektóre szkoły, na przykład, przywiązują dużą wagę do tradycyjnego wychowania dziewcząt. Tam dzieci nie uczą się wiele więcej niż prowadzenia gospodarstwa domowego albo tylko tyle literatury i sztuki, żeby móc potem iść z mężem na wernisaż czy też plotkować w towarzystwie przy herbacie na temat ostatnich wydarzeń na rynku księgarskim. Inne szkoły – jak na przykład ta, do której uczęszczała Charlotte, a przedtem Jenny – oferują o wiele lepsze wykształcenie ogólne i uchodzą po trosze za szkoły reformowane. Tematem gorących sporów jest to, czy dziewczęta mają się tam uczyć łaciny, czy też chemii i fizyki. W każdym razie absolwentki takiej szkoły niekoniecznie wychodzą za mąż natychmiast po jej ukończeniu, lecz kontynuują naukę w college'u czy też na jakimś uniwersytecie, gdzie dziewczętom wolno studiować. Jak nasza Charlotte.

George mrugnął do córki porozumiewawczo.

– A inne szkoły przywiązują zasadniczą wagę do sztuk pięknych, cokolwiek to znaczy...

Jack słuchał z początku bardzo uważnie, ale kiedy tylko padły słowa „wyjść za mąż”, zapomniał o Glorii i popatrzył na Charlotte. Wiedział, że nie powinien pytać: na tym etapie znajomości byłoby to nader niestosowne. Ale nie potrafił się powstrzymać.

– A teraz, kiedy pani wróciła z Anglii... Miss... eee... Charlotte... ma pani zapewne... pewne zamiary, to znaczy... ee...

George Greenwood zmarszczył czoło. Właściwie był przyzwyczajony do tego, że Jack mówił pełnymi zdaniem.

Charlotte się uśmiechnęła. Wydawało się, że rozumiała.

– Pyta pan, czy jestem zaręczona? – odpowiedziała, mrugnawszy.

Jack zrobił się czerwony. Nagle zrozumiał, co czuła Sarah Bleachum.

– Nigdy bym się nie odważył... takie pytanie...

Charlotte się roześmiała. Bez śladu sztuczności czy zawstydzenia.

– Ale przecież nie ma w tym nic złego! Tym bardziej że w gazecie dawno już pisaliby o tym, że mój ojciec przywłókł mnie z tej Anglii za włosy po to, abym zaślubiła tutaj kogoś z wiejskich dzentelmenów...

– Charlotte! – zganił ją George. – Jak gdybym ja kiedykolwiek...

Charlotte wstała i pocałowała ojca w policzek.

– Nie denerwuj się, *dad*. Oczywiście nigdy byś mnie do czegoś takiego nie zmuszał. Ale podobałoby ci się, gdybym wyszła za mąż, przyznaj! A co dopiero *mom*!

George Greenwood westchnął.

– Oczywiście cieszylibyśmy się, i ja, i mama, gdybyś znalazła odpowiedniego męża, Charlotte, zamiast uchodzić za intelektualistkę. Studiowanie kultury Maorysów! A czy komukolwiek przyniesie to jakiś pożytek?

Jack nastawił uszu.

– Interesuje się pani kulturą Maorysów, Charlotte? – spytał szybko. – Czy mówi pani ich językiem?

George z teatralną rozpaczą wznosił oczy ku niebu. Bez wątplenia to po nim Charlotte odziedziczyła swoje oczy, choć jej nie były tylko brązowe – migotały w nich zielone iskierki.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział zamiast córki. – Dlatego też mówię, że cały ten plan nie jest nic wart. Tylko z łaciną i francuskim niedaleko zajedziesz, Charlotte...

George lamentował ciągle, kiedy Elizabeth wreszcie zaprosiła wszystkich do stołu.

Charlotte podniosła się natychmiast. Najwyraźniej słyszała zastrzeżenia ojca nie po raz pierwszy i wyglądało na to, że brakowało jej odpowiednich argumentów, aby je podważyć.

Teraz jednak to Elizabeth Greenwood zaczęła nadawać ton rozmowie przy stole. Jedzenie było jak zawsze doskonałe, konwersacja krążyła wokół różnych kwestii, ale przeważnie skupiała się na tematach dotyczących życia towarzyskiego w Christchurch i Canterbury Plains. Jack słuchał jednym uchem i snuł własne plany. Ożywił się dopiero wtedy, kiedy rozmowa pod koniec kolacji znów zeszyła na zamiary Charlotte. Dziewczyna chciała się zwrócić do Maorysa imieniem Reti, który zarządzał handlem wełną w firmie George'a, i poprosić go o lekcje języka jego ludu. George sprzeciwiał się temu bardzo stanowczo.

– Reti ma co innego do roboty! – tłumaczył. – A poza tym ten język jest bardzo skomplikowany i trudny. Musiałabyś się uczyć wiele lat, chcąc opanować go na tyle dobrze, żeby być w stanie zrozumieć opowieści tych ludzi i przenieść je na papier...

– Ach, ten język nie jest aż tak znowu skomplikowany – wtrącił Jack. – Na przykład ja mówię płynnie językiem Maorysów.

George znów przewrócił oczami.

– Ale ty, Jack, wychowywałeś się nieomal w ich wsi.

– A nasi Maorysi na Kiward Station mówią równie dobrze po angielsku! – mówił Jack z triumfem. – Charlotte, gdyby pani przyjechała na jakiś czas do nas, moglibyśmy coś dla pani zorganizować. Na przykład moja, że tak powiem, w połowie szwagierka Marama jest *tohunga*. Czyli właściwie jest pieśniarką. Ale najważniejsze opowieści i legendy też powinna znać. A Rongo Rongo, akuszerka i czarownica szczepu, także mówi po angielsku.

Twarz Charlotte wyraźnie się rozjaśniła.

– Widzisz, *daddy*? To jest możliwe! A Kiward Station to duża farma, prawda? Czy ona należy do tej... do tej... żywej legendy, Miss... aa... – Miss Gwyn – wtrącił George, wyraźnie wściekły. – Ale ona prawdopodobnie ma dość na całe życie rozpieszczonych dziewcząt interesujących się kulturą.

– Nie, nie – zaprzeczył Jack. – Moja matka jest... – Urwał.

Nazwanie Gwyneiry osobą wspierającą sztuki piękne byłoby z pewnością przesadą. Ale oczywiście farma Kiward Station, podobnie jak wszystkie farmy na Canterbury Plains, była domem bardzo gościnnym. A Jack nie mógł już sobie wyobrazić, żeby Gwyneira nie była zachwycona tą dziewczyną...

Tu znowu wtrąciła się Elizabeth.

– Ależ George! Co ty mówisz? Miss Gwyn z całą pewnością wspierałaby Charlotte w jej badaniach! Ona zawsze interesowała się kulturą Maorysów!

To akurat Jack słyszał po raz pierwszy w życiu. Gwyneira miała co prawda dobry kontakt z Maorysami, wiele ich zwyczajów odpowiadało jej praktycznej naturze, nie miała też skłonności do uprzedzeń, ale właściwie interesowała się przede wszystkim hodowlą bydła i szkoleniem psów.

Elizabeth uśmiechnęła się do Jacka.

– Nie powinieneś traktować rodziny McKenzie jak kompletnych ignorantów w kwestii kultury – zwróciła się do męża. – W końcu Miss Gwyn przyjeżdża do Christchurch na każde przedstawienie teatralne, nie mówiąc o innych wydarzeniach... Miss Gwyn to podpora towarzystwa, Charlotte!

– A czy Jenny nie pracowała rok na farmie Kiward Station? – zwróciła się z kolei Charlotte do matki.

Jack przytaknął z ożywieniem. O tym nie pomyślał zupełnie. Rzeczywiście, Jennifer, starsza córka Greenwoodów, spędziła cały rok na farmie Kiward Station, ucząc tam dzieci Maorysów. Taki był przynajmniej pretekst jej pobytu...

– O pracy nie może być w ogóle mowy! – mruknął George Greenwood. W swoim czasie wysłał obie swoje córki do reformowanej szkoły i pozwolił im na kilkuletnie studia, ale ich praca zarobkowa – to już leżało poza granicami jego wyobraźni.

– Tak, oczywiście! – szczebiotała Elizabeth. – Twoja siostra poznała tam swojego męża!

Elizabeth rzuciła mężowi spojrzenie, które miało być wiele mówiące. A ponieważ George nadal nic nie rozumiał, patrzyła na przemian to na Jacka, to na Charlotte.

Faktycznie Jennifer Greenwood poznała swojego męża Stephena na weselu Kury-maró-tini. Steve był starszym bratem Elaine; po ukończeniu studiów prawniczych któregoś lata pomagał na farmie Kiward Station. Był to dla Jenny powód, aby także się tam wtedy znaleźć. A teraz Stephen pracował jako adwokat firmy dla Greenwood Enterprises.

Wydawało się, że George wreszcie pojął.

– Oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, aby Charlotte odwiedziła Kiward Station – oświadczył. – Zabiorę ją z sobą, jak tylko będę jechał do Canterbury Plains.

Charlotte spojrzała promiennie na Jacka.

– Cieszę się, Jack!

Jack miał wrażenie, że zatracca się w jej spojrzeniu.

– Ja... ja będę liczył dni...

Lilian Lambert liczyła dni w czasie podróży statkiem. Po pierwszych, bardzo emocjonujących chwilach zaczęła się wkrótce nudzić. Oczywiście było to bardzo przyjemne, kiedy delfiny towarzyszyły statkowi, a od czasu do czasu można było też zobaczyć olbrzymie barakudy albo nawet wieloryby. Ale Lilian właściwie interesowała się bardziej ludźmi, a załoga statku „Norfolk” nie stanowiła dla niej zbyt ciekawego obiektu. Na statku było tylko około dwudziestu pasażerów, głównie starszych ludzi, którzy jechali w odwiedziny do dawnej ojczyzny; kilka osób podróżowało też w interesach. Ci ostatni nie zwracali uwagi na dzieci, ci pierwsi zaś uważali wprawdzie Lilian za miłą osobkę, ale nie byli w stanie zaoferować ciekawych tematów do rozmowy.

Opowieści babci Helen i babci Gwyn o ich podróży do Nowej Zelandii stwarzały zawsze niezwykłą, pełną ekscytujących momentów atmosferę – nacechowaną z jednej strony rodzającą się tęsknotą za opuszczonym domem, a z drugiej zarówno radością, jak i obawą przed tym, co oczekiwało pasażerów na drugim końcu świata. Niczego takiego nie dawało się odczuć na „Norfolk”. I oczywiście nie było dolnego pokładu pełnego ubogich emigrantów. „Norfolk” był wyposażony w nowoczesny system chłodzenia i transportował do Anglii mięso wołowe. Nieliczni pasażerowie podróżowali pierwszą klasą. Jedzenie było znakomite, kajuty wygodne, ale ruchliwa Lilian czuła się jak ptak zamknięty w klatce. Marzyła o końcu podróży i cieszyła się na pobyt w Londynie. Miss Bleachum miała spędzić ze swoimi podopiecznymi kilka dni w stolicy Anglii i wybrać dla nich odpowiednie mundurki szkolne oraz pozostałą garderobę.

– Jeśli naszykujemy dla nich wszystko w Christchurch, na pewno będą to rzeczy, które w Londynie dawno wyszły z mody – zauważyła praktyczna Gwyneira. Ona sama nigdy nie przywiązywała zbytnej wagi do mody i odzieży, ale wiedziała ze swoich dziewczynskich czasów, jak ważne było to w londyńskich kręgach towarzyskich. Gloria i Lilian nie powinny sprawiać wrażenia, że są wsiowymi dziewczętami. A już zwłaszcza wrażliwa Gloria z pewnością źle znośliaby kpiny uczennic i ich uwagi na temat wiejskiego ubioru.

Podróż, w przeciwieństwie do Lilian, bardzo cieszyła Glorię – choć co prawda o tyle, o ile dziewczynka była w stanie dostrzec coś pięknego poza Kiward Station. Gloria polubiła morze i przesiadywała całymi godzinami na pokładzie, przyglądając się rozbawionym delfinom. I bardzo odpowiadało jej to, że pozostali podróżni zostawiali ją w spokoju. Miss Bleachum i Lilian wystarczały jej zupełnie jako towarzystwo. Słuchała podekscytowana, kiedy Miss Bleachum czytała jej ze specjalnie zabranych księżek coś na temat wielorybów czy ryb morskich, i próbowała dociec, na jakiej zasadzie działa napęd parowca. W efekcie ciągle rosnącego zainteresowania morzem i podróżą statkiem udało jej się nawiązać kontakty z członkami załogi. Marynarze zagadywali cichą, nieśmiałą dziewczynkę i próbowali przezwyciężyć jej rezerwę, pokazując jej różne węzły marynarskie, a nawet pozwalając jej pomagać sobie przy niektórych pracach na pokładzie. Gloria czuła się wtedy niemal jak w domu pośród pasterzy bydlę na Kiward Station. W końcu kapitan zabrał ją na mostek, gdzie przez kilka sekund mogła potrzymać stery ogromnego statku. Interesowały ją zarówno nawigacja, jak i życie zwierząt w morzu. Artystyczne wydarzenia, które były powodem spotkań części pasażerów, czy też muzyka rozbrzmiewająca z gramofonu dla rozrywki pasażerów w jadalni, były jej zupełnie obojętne.

Sarah Bleachum patrzyła na to z rosnącą troską. Jej kuzyn – który już kilkakrotnie wyraził swój zachwyt wobec faktu, że ona będzie towarzyszyć dziewczynkom w podróży do Cambridge – przysłał jej także prospekt szkoły Oaks Garden. Zamieszczony tam plan nauczania potwierdził najgorsze obawy Sarah. Przedmioty przyrodnicze odgrywały tylko bardzo nieznaczną rolę. Zamiast tego dziewczęta były uczone muzykowania, malowania, odgrywania sztuk teatralnych, musiały także studiować literaturę piękną. Sarah nigdy nie wysłałaby Glorii do takiego instytutu.

Glorii po raz pierwszy dosłownie odebrało mowę, kiedy statek dotarł do Londynu. Nigdy jeszcze nie widziała tak ogromnych domów, a przynajmniej nie taką ich ilość. Choć przecież także w Christchurch i Dunedin wznoszono już monumentalne budowle. Na przykład katedra w Christchurch spokojnie wytrzymywała porównanie z europejskimi budowlami sakralnymi. Ale tu Gloria mogła podziwiać katedrę, uniwersytet, Christcollege i wiele innych gmachów. Natomiast nieprzebrane morze domów angielskiej stolicy wydawało się ją przytłaczać. Do tego dochodził nieustanny hałas: robotnicy portowi, straganiarze, ludzie na ulicy – wszyscy mówili podniesionymi głosami, a nawet wręcz krzyczeli. W Londynie wszystko było głośniejsze niż w domu, a ludzie ciągle dokądś pędzili i śpieszyli się.

Lilian rozkwitła w tej atmosferze. Wkrótce mówiła równie szybko jak Anglicy, śmiała się razem z kwiaciarkami i wygłupiała z chłopcami hotelowymi. Natomiast Gloria nie mówiła zupełnie nic, od kiedy zesłała na ląd koło doków w londyńskim porcie. Patrzyła tylko wielkimi oczami dookoła siebie i starała się nie stracić z oczu Miss Bleachum. Sarah, która bądź co bądź studiowała w Wellington, dość dobrze radziła sobie z wielkomiejskim zgiełkiem, ale doskonale rozumiała problemy swojej uczennicy. Ostrożnie próbowała wydobyć Glorię z jej ślimaczej skorupy, w której się zamknęła, i zachęcić ją do czegokolwiek, ale dziewczynka ożywiła się nieco jedynie podczas odwiedzin w zoo.

– Lwom to się nie podoba – stwierdziła, kiedy obserwowały zwierzęta zamknięte w ciasnych klatkach. – Tu jest za mało miejsca. I one nie chciałyby, aby wszyscy tak się na nie gapili.

Ostentacyjnie zasłoniła ręką oczy, podczas kiedy Sarah i Lilian śmiały się z żartów małp.

Także musical w teatrze, na który Kura-maró-tini i William kupili dla nich bilety, nie zafascynował Glorii. Był to zresztą jedyny znak życia, jaki rodzice zostawili w Londynie dla swojej córki, zanim wyruszyli do Rosji. Śpiewacy wydali się Glorii sztuczni i afektowani, muzyka za głośna, a ona sama nie czuła się dobrze w sukienkach, które musiała nosić w Londynie.

Nie dziwiło to Sarah Bleachum. Lilian wyglądała w swojej marynarskiej sukience zachwycająco, ale na widok Glorii miało się wrażenie, że ubrano ją w teatralny kostium. Dziewczynka zalała się łzami, kiedy tylko zobaczyła swój szkolny mundurek. Ubrana w spódniczkę w fałdy i blesz wyglądała fatalnie, zupełnie jak wciśnięta w długą do kolan spódnicę i bluzę sięgającą bioder. Biała bluzka powodowała, że jej cera wyglądała szaro. W dodatku Gloria zupełnie nie była w stanie sprostać wymaganiom dnia codziennego. Chciała wszystkiego dotknąć, poczuć, jak odbiera to jej skóra, a jeśli coś otworzyła, rozebrała na części czy też tylko obmacała, bezwiednie wycierała sobie ręce o ubranie. Bryczesom na Kiward Station nie szkodziło to zupełnie – pasterze bydlę w końcu zachowywali się tak samo – ale biała bluzka i jasnoniebieski blesz zupełnie się nie nadawały do takiego traktowania.

Sarah odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie wsiadły do pociągu jadącego do Cambridge. Życie na wsi powinno dobrze zrobić jej uczennicom. I z pewnością będzie pozbawione tego chaotycznego pośpiechu i hałasu. Zgodnie z tym, co pisał Christopher, Sawston – miejscowość, gdzie znajdowała się Oaks Garden – było właściwie idylliczną wioską. Sama Sarah natomiast z biciem serca wyczekiwała spotkania z kuzynem. Wynajęła już pokój u pewnej wdowy, która chyba uchodziła za podporę całej gminy, ale szczerze mówiąc, młoda nauczycielka miała nadzieję, że otrzyma posesję w Oaks Garden. Sarah nie opowiadała rodzinie McKenzie o swoich staraniach, już choćby po to, aby nie robić niepotrzebnych nadziei Glorii. Ale pragnęła poznać Christophera z bezpiecznej pozycji, jaką daje stała praca, i nie chciała sprawiać wrażenia ubogiej krewnej bez żadnych środków finansowych. Oczywiście miała swoje oszczędności, a rodzina McKenzie była bardziej niż szczodra. Ale

mimo to Sarah nie miała zbyt wiele czasu przed poznaniem swego być może przyszłego małżonka. A wolała podejmować decyzje powoli i z rozważą. Jeden rok szkolny byłby więc idealny, aby móc coś postanowić. Zamierzała wydawać w Sawston tylko tyle pieniędzy, ile będzie to naprawdę konieczne, i odkładać pensję, aby w najgorszym wypadku móc ewentualnie wrócić do Nowej Zelandii i nie przyznawać się rodzinie McKenzie do porażki. Byłoby to bardzo nieprzyjemne, gdyby była zmuszona przyjąć wielkoduszną ofertę McKenziech, którą przedstawiła jej Gwyneira.

– Jeśli pani oczekiwania się nie spełnią, Miss Bleachum, wystarczy telegram i przyślemy pani pieniądze na drogę powrotną. Jesteśmy szczęśliwi, że zajmie się pani dziewczynkami i w ogóle nie potrafimy tego wynagrodzić. Z drugiej strony wiem aż za dobrze, jak mogą się zakończyć takie wymuszone małżeństwa. Byłam tego świadkiem.

I tu Miss Gwyn opowiedziała o swojej przyjaciółce Helen. W swoim czasie nie pozostało jej nic innego jak poślubić mężczyznę, którego listy skłoniły ją do podróży na drugi koniec świata. Nie był to szczęśliwy związek.

Teraz w każdym razie Sarah obserwowała przez okno, jak ciasna zabudowa miasta powoli ustępowała miejsca przedmieściom, a w końcu wiejskim krajobrazom Anglii. Gloria sprawiała wrażenie o wiele szczęśliwszej, kiedy zobaczyła pierwsze konie na zielonych łąkach, a Lilian była tak podekscytowana, że trudno ją było utrzymać na miejscu. A przy tym znów w centrum zainteresowania dziewcząt znalazło się życie uczuciowe Miss Bleachum. Sarah powoli doszła do wniosku, że uszczypliwości Jamesa McKenzie w stosunku do Elaine Lambert nie były pozbawione podstaw. Lilian bez wątpienia dorastała w bardzo otwartej atmosferze. I rzeczywiście mogło być tak, że dziewczyny pracujące w barze oraz właścicielki hoteli należały do grona bliższych przyjaciółek Elaine.

– To przecież tylko nowa szkoła, Miss Bleachum – paplała Lilian. – Ale dla pani musi to być taaaakie ekscytujące, zobaczyć swego ukochanego! Czy zna pani *Trees, they grow high*? Tam dziewczyna poślubia syna pewnego lorda. Ale on jest o wiele młodszy niż ona i... a ile lat ma właściwie przewielebny?

Sarah westchnęła i spojrzała z troską na Glorię, która im bliżej Cambridge, robiła się coraz bardziej milcząca. A przy tym okolice, przez które jechał pociąg, przypominały właściwie Canterbury Plains. Oczywiście wszystko było tu mniejsze; nie było bezkresnych łąk, a zagrody dla owiec nawet Sarah, która nie miała pojęcia o hodowli, wydały się tak małe jak chustki do nosa. Gęstość zaludnienia tego obszaru też była o wiele większa; między polami i łąkami co rusz można było dostrzec farmy i małe wioski. Za to o wiele rzadziej pojawiały się bogate dwory, choć być może nie leżały one na tyle blisko linii kolejowej, aby można je było zobaczyć z okien pociągu. Gloria nerwowo obgryzała paznokcie; był to brzydki nawyk, którego nabrała na statku. Jednak Sarah nie chciała jej ganić. Dziewczynce i bez wyrzutów z jej strony z trudnością przychodziło pogodzenie się z tak licznymi zmianami w życiu.

– Chyba będę mogła pisać listy, Miss Bleachum? – spytała Gloria cicho, kiedy konduktor zapowiedział Cambridge jako następną stację. Sarah pogłaskała ją po włosach.

– Ależ oczywiście, Glorio. Wiesz przecież, że wielebny i ja pisujemy do siebie od lat. Co prawda musi upłynąć kilka tygodni, zanim list dotrze na miejsce.

Gloria skinęła głową i oderwała zębami skórę przy paznokciu.

– To jest tak daleko – wyszeptala. Sarah podała jej chusteczkę – palec Glorii krwawił.

Wielebny Christopher Bleachum czekał na dworcu. Wypożyczył małą bryczkę, bo sam nie posiadał własnego powozu i jeździł w odwiedziny konno. Gdyby miał się ożenić, będzie musiał sprawić sobie jakiś pojazd. Christopher westchnął. Jeśli rzeczywiście miałoby do tego dojść, zmiany będą ogromne. Dotychczas w ogóle o tym nie myślał. Ale ta historia z Mrs Walker przed kilkoma miesiącami... a przedtem owa dziewczyna w seminarium teologicznym. Christopher przecież nic nie mógł poradzić na to, że kobiety się za nim uganiały. Po prostu zbyt dobrze wyglądał – miał ciemne kręcone włosy i lekko smagłą cerę, którą zawdzięczał zapewne jakiemuś przodkowi z południowych krajów ze strony matki. Miał też pełne ciepła, niemal czarne oczy. I delikatne rysy oraz głęboki, łagodny głos, dzięki któremu był znakomitym śpiewakiem. Potrafił też uważnie słuchać. Wydawało się, że słuchając, zagląda każdemu w głąb duszy, tak przynajmniej mawiali jego zachwyceni parafianie. Christopher nie szczędził dla nich czasu i wykazywał ogromne zrozumienie niemal dla wszystkiego, z czym do niego przychodzili. Ale przy tym był także mężczyzną. Jeśli młoda kobieta prosiła o kilka słów pociechy i potrzebowała czegoś więcej niż tylko owych słów, wielebny zwykle z trudem mógł się powstrzymać.

Dotychczas w związku z tym miały miejsce dwa nieprzyjemne incydenty – i Christopher musiał przyznać, że i tak miał szczęście. W końcu zawsze dbał o dyskrecję, a przeażnie także kobiety były tym zainteresowane. Jednak na temat Mrs Walker, rozkapryszonej młodej mężatki, której mąż częściej odwiedzał pub niż jej łóżko, plotkowano już dużo i głośno. Tak głośno, że dowiedział się o tym biskup – co nastąpiło po tym, kiedy Christopher zmuszony był bić się z jej mężem w niedzielę po nabożeństwie. Oczywiście to ten typ zaczął, ale przecież Christopher nie mógł sobie pozwolić na coś takiego. Świadkowie stanęli zdecydowanie po jego stronie, jednakże biskup nie pozostawił żadnych wątpliwości co do swojego zdania na ten temat.

– Powinien pan się ożenić, wielebny Bleachum! A mówiąc wprost, pan się musi ożenić! Bóg jest łaskawy i dobry i ustrzeże pana przed dalszymi pokusami... Tak, tak, wiem, że nie uważa się pan za winnego ani teraz, ani też w tym przypadku sprzed dwóch lat, mówię o owej dziewczynie w seminarium. Ale proszę spojrzeć na to tak: pański ożenek sprawi, że także kobiety nie będą patrzeć na pana jak na zwierzynę łowną. Ewa zaprzestanie wodzić pana na pokuszenie...

Ale tu Christopher miał nóż na gardle. Młode damy z jego gminy, które mogłyby być brane pod uwagę, w jego oczach uchodziły raczej za pokutę niż za pokusę. A biskup dał mu zaledwie kilka miesięcy, aby mógł się rozejrzeć na przykład w Londynie za kimś bardziej odpowiednim. A kiedy jeszcze jeden z jego konfratrów oferował mu wielokrotnie swoją rozkapryszoną i wymagającą pokładów dobrej woli córkę, Christopher wpadł w panikę. Ostatni list kuzynki Sarah przyszedł akurat we właściwej chwili. Christopher korespondował z Sarah od dzieciństwa i zawsze bawiło go to, jak niewinnie, z jakim zawstydzeniem kuzynka reagowała na jego aluzje i próby flirtu. Na przysłanej fotografii Sarah wyglądała trochę jak prowincjuszka, ale sprawiała dość sympatyczne wrażenie i jako taka znakomicie nadawała się do tego, aby zająć miejsce małżonki pastora. Dlatego w swoim ostatnim liście Christopher wyraził się jaśniej. A potem niespodziewany przypadek zesłał mu jeszcze do parafii dwie wychowanice Sarah, a w dodatku dzięki temu samemu przypadkowi ona sama zyskała możliwość bezpłatnej podróży. Christopher postanowił powitać Sarah jako zesłaną przez Boga. Miał tylko błogą nadzieję, że Pan na niebiosach wykazał się nieco szczęśliwszą ręką w dziele stworzenia, niż w przypadku niezamężnych dziewcząt w jego okolicy.

A teraz Christopher spacerował po peronie i znów przyciągał spojrzenia obecnych tu kobiet.

– Dzień dobry, wielebny!

– Co u pana słycać, wielebny?

– To było wspaniałe niedzielne kazanie, wielebny, musimy w kółku kobiet jeszcze raz wrócić do tego porównania...

Większość tych dam była zdecydowanie za stara, aby przywieść Christophera na pokuszenie. Ale małutka i drobna Mrs Deamer, która właśnie się do niego uśmiechnęła i zachwycała się jego kazaniem, mogłaby mu się z pewnością spodobać. Gdybyż tylko nie była już zajęta – Christopher w Boże Narodzenie ochrzcił jej pierwsze dziecko.

W tym momencie na peron wreszcie wjechał pociąg. Christopher ledwo mógł ustać w miejscu.

– Powinna pani założyć okulary, Miss Bleachum – radziła troskliwie Gloria. Na peronie panował ożywiony ruch, a bez okularów nauczycielka była niemal ślepa.

– W żadnym wypadku! – pisnęła Lilian. – Miss Bleachum, chyba widzę wielebne! Mój Boże, ależ on jest przystojny! Proszę nie zakładać okularów, bo pomyśli, że nie jest pani piękna!

Sarah Bleachum, kompletnie zdezorientowana argumentami dziewczynek, z trudnością panowała nad sobą wobec perspektywy rychłego spotkania z kuzynem. W pośpiechu zbierała walizki, pakunki i szła w stronę wyjścia. W końcu niemal się przewróciła na pudle z kapeluszami, a potem potknęła się na stromym zejściu na peron. Gloria próbowała odebrać od niej część rzeczy. Właściwie to konduktor powinien zająć się bagażami pasażerów pierwszej klasy, ale Gloria była zadowolona, że ma jakieś zajęcie. Za to Lilian podskakiwała na peronie i zaczęła zaraz wymachiwać ręką.

– Wielebny? Szuka nas pan, wielebny?

Christopher Bleachum się rozejrzył. Rzeczywiście, to były one. Powinien był się rozejrzeć koło wagonów pierwszej klasy; w końcu rodzice tych dzieci byli dobrze sytuowani. I przynajmniej jedno z tych dzieci było śliczne. Żywy, rudowłosy skrzat z pewnością wyrośnie na śliczną młodą damę. Ta druga mała wydawała się jeszcze niewyrośnięta; a przynajmniej miało to z pewnością jeszcze potrwać, zanim z brzydkiego kaczątką rozwinie się łabędź. I tak kurczowo trzymała się rąbka spódnicy swojej guwernantki. Sarah... Christopher potrzebował się niemal zmusić, aby patrząc na tę młodą kobietę, pomyśleć o jej imieniu, którego tak często używał w listach. Sarah Bleachum nie sprawiała wrażenia kogoś z wyraźną osobowością ani też kobiety obdarzonej choćby cieniem jakiejś charyzmy. Najwyraźniej była to jedna z tych biednych wron bez twarzy, które prowadziły dzieci innych ludzi na spacer do parku, bo im samym nie dane było mieć potomstwo. Sarah miała na sobie ciemnoszarą suknię i jeszcze ciemniejszą pelerynę, pod którą znikaly wszelkie kształty ciała. Jej ciasno upięte ciemne włosy ukryte były pod brzydkim kapeluszem przypominającym czepek siostry zakonnej, a wyraz twarzy wahał się między zakłopotaniem a bezradnością. W każdym razie była to twarz w miarę proporcjonalna. Christopher odetchnął z ulgą. Sarah Bleachum była istotą bezbarwną, ale niebrzydką.

– Niech pani wreszcie założy okulary! – naciskała Gloria. Oczywiście jej nauczycielka była ładniejsza bez okularów, ale z pewnością nie zrobi to dobrego wrażenia, jeśli będzie iść przed siebie, potykając się za skaczącą Lilian. Bądź co bądź to właśnie Lilian wskazywała kierunek. Szła bez żadnego skrępowania w stronę wielebnego.

Christopher postanowił przejąć inicjatywę. Bez wahania, ale i bez zbędnego pośpiechu podążył w stronę Sarah i dzieci.

– Sarah? Sarah Bleachum?

Młoda kobieta uśmiechnęła się do niego niepewnie.

„Ma ładne oczy. Jakies takie rozmarzone, w kolorze jasnej zieleni. Może pierwsze wrażenie było mylące”.

Ale wtedy Sarah wygrzebała z torby okulary. Jej rysy momentalnie znikły pod monstrialną oprawą, a grube szkła spowodowały, że oczy stały się podobne do szklanych kulek.

– Christopher! – rozpromieniła się i podniosła ręce. Nie wiedziała, co ma robić dalej. Jak należy się zachować w takim momencie?

Christopher uśmiechnął się do niej, ale miała wrażenie, że patrzył na nią taksującym wzrokiem. Sarah opuściła oczy.

– Sarah. Jak dobrze, że jesteście. Czy podróż była bardzo męcząca? A która z tych dwóch ślicznotek jest Glorią?

Wielebny, mówiąc te słowa, lekko pogładził Lilian po włosach. Gloria przytuliła się jeszcze mocniej do Miss Bleachum. Już teraz zdecydowała, że nie polubi wielebnego bez względu na to, jak bardzo będzie się starał być miły. Bo Gloria dostrzegła wyraz jego twarzy w chwili, kiedy Sarah założyła okulary. A teraz ta nienaturalna wesołość. Dlaczego powiedział, że Gloria jest śliczna? Gloria nie była śliczna i dobrze o tym wiedziała.

– To jest Gloria Martyn – przedstawiła ją Sarah, bo dzięki temu pojawiła się możliwość niewinnej konwersacji. – A to rudowłose stworzenie to Lilian Lambert.

Wielebny sprawiał wrażenie nieco zdezorientowanego. Przez dłuższy czas studiował w Londynie i miał dzięki temu sposobność zobaczenia na scenie Kury-maró-tini. Nie dostrzegł żadnego rodzinnego podobieństwa między nią a którąkolwiek z dziewczynek, ale jeśli już, to prędzej wskazałyby na śliczną i pełną otwartości Lilian jako córkę śpiewaczki, a nie na nieśmiałą i zamkniętą Glorię. Christopher szybko się opanował.

– I one obie mają się uczyć w Oaks Garden? To mam dla was dobrą wiadomość, dziewczynki. Dziś wypożyczyłem bryczkę i jeśli chcecie, mogę was tam zaraz zawieźć.

Spodziewał się zachwyty ze strony dzieci, ale Lilian najwyraźniej go nie słuchała, Gloria zaś wydawała się przerażona tym pomysłem.

– Szkoła... to znaczy... mają przysłać powóz – oświadczyła Sarah, dla której to wszystko działo się zbyt szybko. Gdyby Christopher odwiózł teraz dziewczynki do Oaks Garden, to w drodze powrotnej byłaby z nim sama! Czy coś takiego w ogóle uchodziło?

– Ach, załatwiłem to. Miss Arrowstone oczekuje nas. Wie, że przywiozę dziewczynki.

Christopher uśmiechnął się zachęcająco, podczas kiedy Gloria wydawała się bliska łez.

– Ależ Miss Bleachum, czy nie miałyśmy tam przyjechać dopiero rano... ee... to znaczy, wszystkie uczennice oczekiwane są jutro. Co będziemy robiły same w szkole?

Sarah przytuliła mocniej Glorię.

– Kochanie, całkiem same z pewnością nie będziecie. Kilka dziewczynek zawsze przyjeżdża wcześniej. A niektóre nawet zostają tam na okres ferii...

Sarah zagryzła wargi. Nie powinna była tego mówić, bo przecież dokładnie ten sam los czekał Glorię i Lilian.

– Miss Arrowstone cieszy się na wasz przyjazd! – oświadczył wielebny. – A zwłaszcza na twój, Glorio!

Miało jej to dodać otuchy, ale Gloria nie wierzyła. Bo niby dlaczego dyrektorka szkoły w Anglii miałyby się cieszyć akurat z powodu przyjazdu Glorii Martyn z Kiward Station?

Dziewczynka milczała zmieszana, podczas kiedy Christopher załadował na swój powóz bagaże dzieci oraz skrzynie z dobytkiem Miss Bleachum i zaprosił je do środka. Elegancko pomógł Sarah wejść, a Miss Bleachum zaczerwieniła się, kiedy poczuła utkwione w siebie spojrzenia przynajmniej trzech mieszkanków Sawston. Tego wieczoru jej osoba z pewnością będzie tematem rozmów w całej wsi.

Rozbawiona Lilian paplała głośno przez całą drogę. Podobał jej się krajobraz wokół Sawston; cieszyła się na widok koni i krów na łąkach ciągnących się wzdłuż drogi, podobały jej się kamienne domy mijanych wsi. W Nowej Zelandii piaskowca używano jedynie w dużych miastach. W wsiach takich jak Haldon, a także w małych miastach, jak na przykład Greymouth, domy budowane były przeważnie z drewna.

– Oaks Garden też jest chyba takim domem, prawda? – pytała dziewczynka.

Wielebny potrząsnął głową.

– Szkoła Oaks Garden to dom o wiele, wiele większy. To dawny dwór, niemal zamek. Należał kiedyś do rodziny szlacheckiej, ale ostatnia dziedziczka zmarła bezpotomnie i życzyła sobie, aby jej dom i majątek stały się podwalinami szkoły. A lady Ermingarde kochała sztuki piękne. Dlatego właśnie Oaks Garden dba szczególnie o kreatywno-artystyczne wykształcenie swoich wychowanek.

– A są tam konie? – spytała cicho Gloria.

Wielebny znów zaprzeczył.

– Nie dla uczennic. Sądzę, że dozorca dysponuje jakimś powozem, ktoś musi przecież robić zakupy, a od czasu do czasu trzeba także przywieźć z pociągu uczennice. Ale jazdy konnej nie ma w planie nauczania. Ani tenisa...

Wydawało się, że tego ostatniego wielebny też żałuje.

Gloria milczała dalej, aż wreszcie powóz wjechał przez bogato zdobioną bramę do parku otoczonego żeliwnym ogrodzeniem. Szkoła nie na darmo nosiła swoją nazwę. Przyległości otaczające budynek były z pewnością efektem pracy miłośnika ogrodów doskonale znającego się na swoim fachu. A dorodne dęby, które przeważyły w rozległym parku, z pewnością zasadzono setki lat temu. Ogromne drzewa rosły też wzdłuż szerokiego podjazdu prowadzącego do szkoły. Tu jednak architekt nie wykazał się zbyt wielkim geniuszem. Była to masywna, prosta budowla bez żadnych wykuszy czy wieżyczek, tak typowych dla angielskich dworów.

Już na sam jej widok Gloria poczuła się przybita. Rozglądała się w nadziei, że gdzieś zobaczy stajnie. Muszą przecież tu być! Może gdzieś

z tyłu...

Ale oto wielbny zatrzymał powóz przed ogromną dwuskrzydłową bramą. Sprawiał wrażenie, że czuje się tu jak u siebie w domu, i nawet nie odał sobie trudu, aby posłużyć się dzwonkiem u drzwi. Ale najwyraźniej nie było to potrzebne, bo wielka hala wejściowa wydawała się czymś w rodzaju miejsca publicznego. Jednak Sarah Bleachum nie obiecywała zbyt wiele: Lilian i Gloria wcale nie były pierwszymi dziewczynkami, które przyjechały tego dnia. Kilka z nich chodziło razem tam i z powrotem, trzymając w rękach swoje torby i walizki, chichocząc i najwyraźniej robiąc plany co do wspólnego zamieszkania w pokojach. Grupa starszych dziewczynek obrzuciła ciekawymi spojrzeniami nowo przybyłe. Lilian uśmiechnęła się do nich, podczas kiedy Gloria wyglądała tak, jak gdyby chciała się zagrzebać w fałdach spódnicy Miss Bleachum.

Młoda guwernantka łagodnie odsunęła ją od siebie.

– Nie bądź taka nieśmiała, Glorio. Co pomyślisz o tobie inne uczennice?

Wydawało się, że Glorii było to zupełnie obojętne. Ale jednak odsunęła się od swojej nauczycielki i rozejrzała się. Pomieszczenie wejściowe sprawiało wrażenie całkiem przytulnego. Przy czymś w rodzaju recepcji stała starsza, bardzo opiekuńczo wyglądająca kobieta i cierpliwie odpowiadała na pytania dziewcząt. A poza tym były tu fotele i stoliki do picia herbaty, przeznaczone najwyraźniej dla czekających rodziców i uczennic. I rzeczywiście można było dostrzec kilka matek, także ojców, którzy dawali swoim córkom ostatnie wskazówki na temat zachowania w kolejnym roku szkolnym.

– Chciałabym, abys zadała sobie więcej trudu przy grze na skrzypcach, Gabrielle! – usłyszała Gloria i przerażała się. Dziewczynka nie wyglądała na starszą od niej. Czy od niej też będą oczekiwać, że nauczy się grać na skrzypcach?

Wielebny podszedł do recepcji i przywitał starszą damę.

– Dzień dobry, Miss Barnum. Przywiozłem pani nasze ptaszki kiwi! Czyż nie tak mówi się w Nowej Zelandii, Sarah? Imigranci kiedyś sami nadali sobie ten przydomek, od nazwy tamtejszego ptaka, prawda, Sarah?

Sarah Bleachum skinęła głową wyraźnie urażona. Ona sama nigdy nie nazwałaby siebie „kiwi”.

– On jest prawie ślepy... – powiedziała cicho Gloria. – I wcale nie potrafi latać. Ale ma doskonały węch i wszystko czuje. Rzadko kiedy da się go zobaczyć, ale za to można usłyszeć jego krzyk. To jest jego wołanie – czasami woła przez całą noc, ale nigdy przy pełni księżyca. On jest dość... hm... włochaty...

Kilka dziewczynek zachichotało.

– Dwa ślepe ptaki! – zaśmiała się ta o brązowych włosach, którą rodzice nazwali Gabrielle. – Skąd one się tu wzięły?

– Wygląda na to, że już wszystko poczułyśmy, bo też mamy dobry węch – odparowała natychmiast Lilian. – Nie, po prostu przyleciałyśmy w takie miejsce, gdzie się najgorzej gra na skrzypcach!

Gabrielle w odpowiedzi spojrzała rozgniewanym wzrokiem, a inne dziewczęta zaśmiały się złośliwie. Wyglądało na to, że gra na skrzypcach nie jest najmocniejszą stroną Gabrielle.

Sarah się uśmiechnęła, ale w poczuciu obowiązku zganiła Lilian za niewyparzony język. Miss Barnum zwróciła się z podobną uwagą do Gabrielle. A potem odezwała się do nowo przybyłych:

– Witajcie w Oaks Garden. Cieszę się, że mogę was poznać, a zwłaszcza ciebie, Lilian, bo ty będziesz mieszkała w zachodnim skrzydle, a tam ja jestem gospodynią. Dostaniesz Pokój Mozarta. Suzanne Carruters, jedna z twoich współmieszkanek, także już jest. Przedstawię was sobie później.

Gloria miała szeroko otwarte i pełne przerażenia oczy. Za to Lilian głośno wyraziła swoje myśli:

– Czy nie możemy zamieszkać razem, Miss Barnum? Jesteśmy przecież kuzynkami! – Lilian wsparła swoją prośbę jednym ze spojrzeń typu: „proszę, proszę”.

Ale Miss Barnum potrząsnęła głową.

– Gloria jest od ciebie o wiele starsza. Na pewno wolałaby mieszkać z rówieśnikami. A tobie też będzie się podobało, kiedy poznasz inne dziewczynki. Klasy średnie mieszkają w skrzydle wschodnim, a młodsze w zachodnim.

– Czy nie mogłaby pani zrobić wyjątku? – dopytywała się Miss Bleachum. Czula niemal namacalnie, jak Gloria znów zamyka się w sobie. – Dziewczynki jeszcze nigdy przedtem nie wyjeżdżały od siebie z domu...

– Z innymi uczennicami jest podobnie – wyjaśniła surowo gospodyni. – Przykro mi, dziewczynki, przyzwyczajacie się do tego. Ale najpierw musicie poznać Miss Arrowstone – oczekuje was w swoim biurze. Wielebny, wie pan, gdzie to jest, prawda?

Biuro rektorki szkoły znajdowało się na pierwszym piętrze głównego budynku, podobnie jak pokój nauczycielski i kilka klas. Prowadziły tam zakręcone, bogato zdobione schody, nad którymi wisiały ogromne malowidła przedstawiające sceny z mitologii greckiej i rzymskiej.

Lilian przyglądała się im ciekawie.

– Dlaczego ta dziewczyna galopuje na krowie? – spytała, czym doprowadziła Miss Bleachum niemal do śmiechu.

– To jest Europa na byku – odpowiedziała młoda nauczycielka.

Po minie Glorii można było poznać wyraźnie, że wykorzystywanie bydła jako zwierzęcia do jazdy wierzchem było jej zdaniem kompletną głupotą. Dosiad Europy wydał jej się też niedostatecznie mocny i za płytki. A w ogóle, dlaczego ktoś maluje takie nonsensy?

– Jestem pewna, że poznacie tę historię w czasie lekcji – powiedziała Sarah, która zupełnie nie miała ochoty opowiadać teraz swoim wychowankom o uwodzeniu fenickich księżniczek przez greckich bogów. A już zwłaszcza w obecności swojego kuzyna.

Christopher zaś zastukał właśnie do drzwi pokoju rektorki.

– Proszę wejść! – dobiegł z wnętrza ostry, najwyraźniej przyzwyczajony do wydawania rozkazów głos.

Sarah zeszytniała, a Gloria próbowała stać się niewidoczna, ukrywając się za jej spódnicą. Tylko Lilian nie była onieśmielona na widok korpulentnej rektorki siedzącej za masywnym dębowym biurkiem. Dziewczynka wpatrzyła się za to zafascynowana w nadzwyczaj misterną fryzurę, w jaką ułożone były jej ciemnobrązowe włosy.

– Królowa! – wyszeptał wielebny w stronę Sarah, uśmiechając się tajemniczo. Dziewczęta rzeczywiście dostrzegły podobieństwo rektorki do fotografii zmarłej przed kilkoma laty królowej Wiktorii. Miały przed sobą twarz o bardzo surowym wyrazie, niemal pozbawioną zmarszczek, o wodnistych, bladych oczach i wąskich wargach. Na pewno nie należało do przyjemności być zaproszoną tutaj przez tę damę z powodu najbardziej błahego uchybienia. Ale teraz Miss Arrowstone uśmiechała się przyjaźnie.

– Czy dobrze usłyszałam? Uczennice z Nowej Zelandii? Z... – Przenosiła pytające spojrzenie z wielebnego na Sarah.

Sarah właśnie zamierzała przedstawić się sama, ale Christopher ubiegł ją, mówiąc:

– Miss Sarah Bleachum, Miss Arrowstone. To moja kuzynka. I moja przyszła... ee... – Spojrzał wyraźnie zawstydzony, a uśmiech Miss Arrowstone stał się jeszcze bardziej promienny.

Za to Sarah nie za bardzo była w stanie popatrzeć przyjaźnie na rektorkę. Christopher mówił o ewentualnych zaślubinach jako o fakcie już postanowionym. Najwyraźniej też opowiedział o niej jako o narzeczonej wszystkim swoim znajomym i przyjaciołom.

– Jestem nauczycielką, Miss Arrowstone – sprostowała sztywno Sarah. – Gloria Martyn była dotychczas moją uczennicą, a ponieważ mam krewnych w Europie... – zmierzyła Christophera krótkim spojrzeniem – wykorzystałam okazję, aby przywieźć tutaj obie dziewczynki i odnowić związki rodzinne.

Miss Arrowstone wydała dźwięk przypominający chichot.

– Związki rodzinne, a tak... – powiedziała z wyraźną złośliwością w głosie i dodała: – Cieszymy się w każdym razie w imieniu wielebnego, a parafia też bardzo potrzebuje kobiecej ręki. – Znów zachichotała. – Ale z pewnością pójdzie pani wielebnemu bardzo na rękę w czasie tej...

hm, wizyty w parafii, prawda?

Sarah chciała wyjaśnić, że właściwie bardziej liczyła na posadę nauczycielki w tej szkole, ale Miss Arrowstone skierowała już swoją uwagę na inny cel. Nagle z zaciekawionej matrony stała się znów surową panią rektor. Przyjrzała się uważnie obu dziewczynkom przez okulary, których szkła były niemal tak grube jak okulary Sarah, a na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

Gloria odwróciła się, nie mogąc znieść tego spojrzenia.

Bądź co bądź, Miss Arrowstone przynajmniej nie pomyliła jej z Lilian. Rektorka zasięgnęła dokładnych informacji na temat nowych uczennic i wiedziała, że Gloria jest starszą z obu dziewczynek.

– A więc ty jesteś Gloria Martyn – stwierdziła. – No, nie masz nic z twojej matki.

Gloria skinęła głową. Do tego stwierdzenia była już przyzwyczajona.

– A przynajmniej nie na pierwszy rzut oka – kontynuowała Miss Arrowstone. – Ale twoi rodzice wspomnieli, że masz wiele nieodkrytych talentów muzycznych i twórczych.

Gloria popatrzyła na nią z zakłopotaniem. Może lepiej będzie przyznać się od razu.

– Ja... ja nie umiem grać na fortepianie – powiedziała cicho.

Miss Arrowstone roześmiała się.

– Tak, słyszałam już o tym, dziecko. Twoja matka jest tym mocno zgnębiona. Ale przecież masz dopiero trzynaście lat, a więc nie jest jeszcze za późno, aby nauczyć się grać na jakimś instrumencie. Chciałabyś się nauczyć gry na fortepianie? A może na skrzypcach albo na wiolonczeli?

Gloria się zaczerwieniła. Nie za bardzo wiedziała, co to jest wiolonczela. Ale już z pewnością wiedziała, że nie będzie chciała na niej grać.

Na szczęście Lilian wyratowała ją z niespodziewanych tarapatów.

– Ja gram na fortepianie! – oświadczyła donośnie.

Miss Arrowstone popatrzyła na nią surowo.

– Oczekujemy od naszych uczennic, że odzywają się tylko wtedy, kiedy są pytane – zganiła ją. – Ale poza tym to oczywiście dobra wiadomość, że pociąga cię ten instrument. Jesteś Lilian Lambert, prawda? Siostrzenica Mrs Martyn?

Kura-marotini zrobiła tu zapewne niezłe wrażenie i Miss Arrowstone zaraz to potwierdziła:

– Miss Kura-marotini osobiście odwiedziła nasz dom, aby zapisać tu swoją córkę – zwróciła się do Sarah i Christophera. – Sprawia nam przy tym radość i zaszczyt, dając tu mały prywatny koncert. Wszystkie dziewczynki były pod wielkim wrażeniem i cieszą się, że będą mogły cię poznać, Glorio.

Gloria zagryzła nerwowo wargi.

– I oczywiście cieszą się także na znajomość z tobą, Lilian – mówiła dalej Miss Arrowstone. – Jestem pewna, że nasza nauczycielka muzyki, Miss Tayler-Bennington, doceni twoje umiejętności gry na fortepianie. Czy mogę pani zaproponować herbatę, Miss Bleachum?... A pan, wieleby? Dziewczynki mogą już iść na dół. Miss Barnum pokaże im ich pokoje.

Miss Arrowstone widocznie zwykła pijać herbatę z rodzicami i krewnymi swych wychowanek, ale nic nie wskazywało na to, że byłaby skłonna sama udać się z dziewczętami do ich pokojów i cokolwiek im zaoferować.

– Ach jej, czyli ja mieszkam w skrzydle zachodnim! – powiedziała z powagą Lilian. Najwyraźniej zapomniała już, co przed chwilą mówiła Miss Arrowstone na temat zakazu odzywania się bez wyraźnego wezwania. – Jestem więc „Lily of the West”!

– Lilian! – zganiła ją przerażona Sarah, podczas gdy wieleby parsknął głośnym śmiechem. Miss Arrowstone zmarszczyła groźnie czoło. Na szczęście nic nie wskazywało na to, że zna piosenkę *Lilia Zachodu*, opowiadającą o niewiernej barmance, która doprowadziła do zguby swojego ukochanego. Takie piosenki śpiewano raczej w pubach, a nie w salonach.

Gloria patrzyła na swoją nauczycielkę wzrokiem pełnym rozpacz.

– Idź z nią, Glorio – powiedziała łagodnie Miss Bleachum. – Miss Barnum przedstawi ci twojej gospodyni. Na pewno będzie ci się dobrze mieszkalo.

– I pożegnaj się ze swoją nauczycielką – dodała Miss Arrowstone. – Przed następną mszą niedzielną z pewnością jej nie zobaczysz.

Gloria próbowała się opanować, ale miała twarz zalaną łzami, kiedy dygała przed Miss Bleachum. A Sarah po prostu przytuliła dziewczynkę do siebie i ucałowała ją.

Miss Arrowstone obserwowała to z wyraźną dezaprobatą.

– Ta mała jest za bardzo w panią wpatrzona – stwierdziła, kiedy dziewczynki opuściły pokój. – Dobrze jej robi, kiedy łączące was więzy nieco się rozluźnią i ona znajdzie się wśród innych dziewcząt. A pani – znów zachichotała konspiracyjnie – pani niebawem będzie miała własne dzieci.

Sarah zaczerwieniła się gwałtownie i niewiele myśląc, podjęła próbę zdobycia posady.

– Na razie jednak nie chciałabym rezygnować ze swojego zawodu – powiedziała. – Chciałabym jeszcze przez kilka lat popracować w szkole i w związku z tym...

– Jak pani to sobie wyobraża, moja kochana? – przerwała jej Miss Arrowstone głosem pełnym udawanej słodyczy i nalała Sarah herbaty. – Wieleby będzie pani potrzebował u swojego boku. Nie wiem, jak to jest po drugiej stronie kuli ziemskiej, ale w naszym systemie szkolnym nauczycielki w zasadzie są niezamężne.

Sarah niemal namacalnie poczuła zatraskiwanie się pułapki, w którą wpadła. Miss Arrowstone nie zatrudni jej z pewnością. A więc pozostaje tylko możliwość poszukania sobie posady nauczycielki domowej gdzieś na wsi. Choć co prawda nikt nie robił tu wrażenia kogoś na tyle zamożnego. I prawdopodobnie wszystkie matrony we wsi nie będą chciały stać na drodze „szczęścia wielebnego”. Sarah pomyślała, że będzie musiała poważnie porozmawiać z kuzynem. Bo w gruncie rzeczy dobrze to o nim świadczyło, że był tak otwarcie zdecydowany poślubić Sarah tylko z powodu wyznawanego jej w listach, nie do końca jasnego pokrewieństwa dusz. Ale będzie musiał się zgodzić na przynajmniej kilka tygodni czasu potrzebnych Sarah do podjęcia decyzji. Nieśmiało spojrziała z boku na mężczyznę siedzącego obok niej. Czy kilka tygodni rzeczywiście wystarczy na to, aby go poznać?

Glorię przedstawiono Miss Coleridge, która była gospodynią we wschodnim skrzydle. Miss Coleridge była starsza niż Miss Barnum i wydawała się jej dokładnym przeciwieństwem. Nie była pulchna ani dobrotliwa, lecz chuda i surowa.

– Ty jesteś Gloria Martyn? Ależ nie masz nic ze swojej matki! – W ustach Miss Coleridge brzmiało to szczególnie dezaprobująco.

Gloria tym razem zrezygnowała ze skinięcia głową. Miss Coleridge rzuciła jej kolejne, bardzo niechętnie spojrzenie i skupiła się na swoich zapiskach. Znów w przeciwieństwie do Miss Barnum nie pamiętała, gdzie mają mieszkać jej dziewczęta.

– Martyn... Martyn... a, tu, mamy. Pokój Tycjana.

Podczas kiedy pokoje w skrzydle zachodnim wzięły swe nazwy od nazwisk słynnych kompozytorów, to pokoje w skrzydle wschodnim nazwano od nazwisk słynnych malarzy. Przy czym Gloria jeszcze nigdy nie słyszała nazwiska „Tycjan”. Za to słuchała uważnie, kiedy Miss Coleridge bardzo rzeczowo czytała dalej.

– Razem z Melissą Holland, Fioną Hills-Galant i Gabrielle Wentworth-Hayland.

Gabrielle i Fiona już tam są.

Gloria szła za Miss Coleridge, przemierzając liczne, mroczne już o tej porze dnia korytarze wschodniego skrzydła. Idąc, próbowała sobie wmówić, że w tej szkole jest na pewno ze dwadzieścia dziewcząt o imieniu Gabrielle, ale nie było to zbyt prawdopodobne. I rzeczywiście, kiedy Miss Coleridge otworzyła drzwi do pokoju, Gloria zobaczyła śliczną, choć nieco wychudłą buzię dziewczynki o brązowych włosach,

którą spotkała już przy recepcji. Gabrielle chowała właśnie swoje szkolne mundurki do jednej z wąskich szafek. Druga dziewczynka – Gloria dostrzegła delikatną blondynkę, która przedtem spacerowała z Gabrielle w holu – zapewne uporała się z tą pracą i ustawiała rodzinne fotografie na swoim nocnym stoliku, tuż pod reprodukcjami jakichś bardzo ozdobnych olejnych obrazów, które zdobiły również ściany całego pokoju. Gloria uważała portrety i obrazy historyczne za okropne. Później miała się dowiedzieć, że tu oddawano hołd malarzowi, od którego nazwiska pochodziła nazwa pokoju. Wszystkie obrazy na ścianach były dziełem Tycjana.

– Fiono, Gabrielle, to wasza nowa współmieszkanka – przedstawiła krótko Miss Coleridge. – Gloria pochodzi z...

– ... z Nowej Zelandii, wiemy już, pani gospodyni! – odpowiedziała grzecznie Gabrielle i dygnęła. – Poznałyśmy ją już zaraz po tym, kiedy tu przyjechała.

– No to będziecie miały sobie dużo do opowiadania – powiedziała Miss Coleridge, najwyraźniej zadowolona, że nie będzie musiała przełamywać lodów między dziewczynkami. – Zabierzcie z sobą Glorię na kolację.

Po czym wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Gloria stała nieruchomo przy wejściu. Które łóżko miało być jej? Fiona i Gabrielle zajęły już łóżka pod oknami. Glorii było to w gruncie rzeczy obojętne. Chciała mieć tylko jakiś koc, który mogłaby sobie naciągnąć na głowę.

Niepewnie usiadła na łóżku stojącym w kącie najbliżej drzwi. Wydawało jej się, że najlepiej będzie się nadawać do tego, aby się w nim schować pod kocem. Ale obie dziewczynki nie miały zamiaru zostawić Glorii samej sobie.

– No to mamy tu naszego ślepego ptaszka! – zauważyła Gabrielle zjadliwie. – Ale słyszałam, że ten ptaszek powinien pięknie śpiewać. Czy ta maoryska piosenkarka to nie twoja matka?

– Doprawdy? Jej matka jest jakąś Muuurzynką? – Fiona umyślnie przeciągnęła sylabę tego słowa. – Ale ona sama właściwie nie jest czarna... – Dziewczynka przyglądała się Glorii w nieprzyjemny, natarczywy sposób.

– Może to kukułcze jajo... – zachichotała Gabrielle.

Gloria przełknęła ślinę.

– Ja... my... u nas w domu nie ma kukułki...

Nie rozumiała, dlaczego obie dziewczynki zaczęły się śmiać. Nie rozumiała też, co zrobiła Fionie i Gabrielle, i nie pojmowała, dlaczego tak zupełnie bez powodu można się stać obiektem kpin i złośliwości. Wiedziała tylko, że pułapka się zamknęła.

Nie miała szans, aby dokądkolwiek uciec.

Charlotte Greenwood przyjechała ze swoimi rodzicami na farmę Kiward Station. Upłynęły właśnie cztery tygodnie od chwili, kiedy poznała Jacka w Christchurch i wkrótce potem otrzymała bardzo formalne zaproszenie od Gwyneiry McKenzie. Oficjalną okazją była mała uroczystość po pomyślnym spędzie owiec z gór. Teraz, w marcu, w górach zaczynała się zima i był to zwykły czas sprowadzania zwierząt na farmę. Działo się to każdej jesieni i niekoniecznie było powodem do świętowania. Ale Jack nalegał i wielokrotnie prosił matkę, aby zaprosiła Greenwoodów, każda okazja była więc dobra.

Teraz promieniał radością na widok Charlotte wysiadającej z powozu. Dziewczyna miała na sobie prostą brązową suknię, dzięki czemu kolor jej włosów sprawiał wrażenie jeszcze cieplejszego. Jej duże piwne oczy błyszcząły, a Jackowi zdawało się, że dostrzega w nich złote iskierki.

– Czy miała pani przyjemną podróż, Charlotte? – spytał i wydał się przy tym samemu sobie niezdarny. Właściwie powinien był jej pomóc przy wysiadaniu, ale widząc ją, po prostu stanął jak wryty i wlepił w nią oczy.

Charlotte się uśmiechnęła, a na jej policzkach pojawiły się dołeczki. Jack był zafascynowany.

– Drogi są o wiele lepsze, niż myślałam – odpowiedziała swoim śpiewnym głosem.

Jack skinął głową. Chciał koniecznie powiedzieć coś inteligentnego, ale w obecności Charlotte nie potrafił myśleć jasno. Kiedy przed nią stał, pragnął ze wszystkich sił dotknąć jej, chronić, związać się z nią... ale jednocześnie wiedział, że jeśli nie uda mu się wreszcie zrobić na niej jakiegoś w miarę pozytywnego wrażenia, to ona zawsze będzie go uważała za wiejskiego głupka.

Ale bądź co bądź udało mu się w miarę swobodnie przedstawić dziewczynę swoim rodzicom, a James McKenzie zaprezentował się z galanterią, której brakowało jego synowi w obecności Charlotte.

– Wychowanie w internacie wydaje mi się teraz czymś bardzo korzystnym – stwierdził James – jeśli w jego efekcie dziewczynki zamieniają się w tak urocze istoty jak pani, Charlotte. Czy interesuje się pani kulturą Maorysów?

Charlotte skinęła głową.

– Chciałabym bardzo nauczyć się ich języka – oświadczyła. – Jack mówi chyba płynnie po maorysku... – Zmierzyła Jacka spojrzeniem, które obudziło czujność Jamesa. Wyraz błyszczących oczu syna już przedtem go zaintrygował. Ale wydało mu się, że także Charlotte jest nim zainteresowana.

– O, to z pewnością spędzi najbliższe trzy miesiące, ucząc panią słów takich jak Taumatawhatangihangakoauauotamateaturipukakapikimaungahoroukupokaiwhenuakitanatahu. – Tu James mrugnął do dziewczyny.

Charlotte zagryzła wargi.

– To oni mają... takie długie słowa?

Poczuła wątpliwości co do sensu swego zamiaru. I znów zmarszczyła czoło w ów zabawny, ale i poważny sposób, który tak zachwyił Jacka już przy pierwszym spotkaniu.

Chęć uspokojenia dziewczyny pozwoliła mu jednak zebrać myśli i zdobyć się na kilka spokojnych słów. Potrząsnął głową, mówiąc:

– To słowo oznacza szczyt górski na Wyspie Północnej – wyjaśnił. – I uchodzi ono także wśród Maorysów za takie, na którym można sobie połamać język. Najlepiej będzie, jak zacznie pani od prostych słów. Na przykład *kia ora*...

– ... znaczy „dzień dobry” – podchwyciła Charlotte, uśmiechając się.

– A *haere mai*...

– Witamy! – przetłumaczyła Charlotte, która najwyraźniej zdążyła się już nauczyć co najmniej kilku podstawowych słów. – Kobieta to *vahine*.

Jack się uśmiechnął.

– *Haere-mai, vahine* Charlotte.

Charlotte chciała coś odpowiedzieć, ale zabrakło jej słów.

– A jak jest „mężczyzna”? – spytała.

– *Tane* – pomógł jej James.

– *Kia-ora, tane* Jack! – zwróciła się znów do Jacka.

James McKenzie spojrział porozumiewawczo na swoją żonę Gwyneirę. Ona także obserwowała uważnie powitanie młodych ludzi.

– Wygląda na to, że nie potrzebują okrzęnej drogi w postaci przepisu na *irish stew* – uśmiechnęła się Gwyneira, robiąc do Jamesa aluzję na temat ich pierwszego spotkania i początków ich miłości. Szukała w pamięci maoryskiego słowa oznaczającego tymianek, które to zioło kiedyś znalazł dla niej James.

– Ale cytaty z Biblii mogą niebawem mieć znaczenie – podchwycił James, patrząc domyślnie na Charlotte i Jacka. W tym czasie, kiedy Gwyneira przyjechała do Nowej Zelandii, jedyną przetłumaczoną na język maoryski książką była właśnie Biblia. Kiedy więc Gwyneirze brakowało jakiegoś słowa, zawsze się zastanawiała, w jakim kontekście można było je znaleźć w Biblii. „Gdzie ty pójdziesz, tam i pójde...”.

Podczas kiedy Gwyneira i James gawędzili z Elizabeth i George'em Greenwoodami, Jack oprowadzał Charlotte po farmie, na której teraz, po spędzie owiec, panował ożywiony ruch. Wszystkie owce – zdrowe i dobrze odżywione – były teraz w owczarniach, wełnę miały czystą, gęstą i grubą. To ona pozwalała zwierzętom przetrwać zimą, a potem, po okresie strzyży, była zasadniczym źródłem dobrobytu farmy Kiward Station. Opowiadanie o owcach przychodziło Jackowi o wiele łatwiej niż salonowa konwersacja, toteż powoli odzyskiwał zwykłą pewność siebie. W końcu powędrowali oboje do maoryskiej wioski, a swobodny kontakt Jacka z jej mieszkańcami zrobił duże wrażenie na Charlotte. Dziewczyna wyraźnie dobrze się czuła w wiosce położonej idyllicznie nad jeziorem, a misterne płaskorzeźby zdobiące domy zebrań wprost ją zachwyciły.

– Jeśli ma pani ochotę, możemy jutro pojechać konno do O’Keefe Station – powiedział Jack. – Tu, w tym osiedlu, mieszkają tylko ci ludzie, którzy codziennie przychodzą do pracy na farmie. Ale sam szczerp przeprowadził się na starą farmę Howardów, O’Keefe Station. Maorysi otrzymali tę ziemię jako wyrównanie za spory przy kupnie Kiward Station. Właśnie tam mieszka pieśniarka Marama, a także zielarka Rongo. Oboje mówią po angielsku i znają wiele *moteates*...

– To są pieśni, które opowiadają o jakiejś historii, prawda? – spytała Charlotte.

Jack skinął głową i dodał:

– Jest wiele rodzajów pieśni: żałobne, kołysanki, opowieści o zemście, o sporach międzyplemiennych... To jest właśnie to, czego pani szuka.

Charlotte spojrzała na niego z uśmiechem.

– A nie ma opowieści o miłości? – spytała.

– Oczywiście, są także opowieści o miłości! – pośpieszył Jack z wyjaśnieniem. I zrozumiał. – Czy chciałaby pani... zapisać którąś z nich?

– Jeśli się da... – odpowiedziała Charlotte z zakłopotaniem. – Ale może... jest jeszcze za wcześnie, aby cokolwiek zapisywać? Może

najpierw należałoby... więcej przeżyć? Rozumie pan? Chciałabym... poznać lepiej...

Jack poczuł, jak nagle krew uderza mu do głowy.

– Kogo? – spytał. – Maorysów czy mnie?

Charlotte się zaczerwieniła.

– A czy jedno nie prowadzi do drugiego? – spytała z uśmiechem.

Rodziny McKenzie i Greenwood uzgodniły, że Charlotte zostanie na farmie Kiward Station trzy miesiące, aby rozpocząć badania kultury maoryskiej, którą się tak żywo interesowała. Gwyneira i Elizabeth wymieniły przy tym porozumiewawcze spojrzenia. Obie doskonale wiedziały, co się zaczęło między młodymi ludźmi, i obie to aprobowały. Gwyneira uważała Charlotte za zachwycającą dziewczynę – mimo że nie zawsze rozumiała natychmiast, o czym dziewczyna mówiła, lecz wydawało się, że dotyczyło to także jej rodziców. Ale Charlotte w ogóle trudno było przerwać, kiedy zaczynała mówić fachowym językiem literackim. Elizabeth przestała się wreszcie obawiać, że córka skończy jako jedna z najlepszych wykładowczyń na uniwersytecie w Dunedin lub Wellington. Wydawało się, że Charlotte znalazła coś, co pochłaniało ją bardziej niż świat nauki.

Dziewczyna jeździła z Jackiem po farmie, z uwagą słuchała Gwyneiry, gdy ta wyjaśniała jej wszystkie szczegóły na temat jakości owczej wełny, i ze śmiechem ćwiczyła przenikliwe gwizdy, za pomocą których pasterze wydawali komendy swoim psom collie. Maorysi i stajenni opiekujący się bydłem odnosili się do niej z początku z dużą rezerwą – młoda dziewczyna z Anglii, ubrana w suknię uszytą zgodnie z najnowszą modą i o nienagannych manierach, bardzo ich onieśmiała. Ale Charlotte umiała przełamać pierwsze lody. Szybko nauczyła się *hongī*, tradycyjnego maoryskiego sposobu pozdrawiania się – wiedziała, że nie chodzi tutaj jedynie o wzajemne pocieranie sobie nosów, lecz o lekkie dotknięcie nosa i czoła witanej osoby. Jej elegancka sukienka do jazdy konnej wkrótce się wytarła i dziewczyna niebawem zamieniła damskie siodło na o wiele wygodniejsze siodło męskie.

Za fasadą dobrze wychowanej młodej dziewczyny, jaką Charlotte bez wątpienia była, kryło się dziecko natury – ale i bojowniczką o prawa kobiet. Charlotte godzinami dyskutowała ze zdumioną Gwyneirą o publikacjach Emmeline Pankhurst i była wręcz rozczarowana, kiedy się dowiedziała, że w Nowej Zelandii kobiety już od dawna miały prawa wyborcze. W Anglii wraz z innymi studentkami wychodziła na ulicę, aby o to walczyć, i świetnie się przy tym bawiła. James McKenzie drażnił się z nią, oferując jej cygara; palenie papierosów uchodziło za wyraz protestu sufrażystek – członkiń radykalnego prawicowego ruchu kobiet. Jack i Gwyneira zaśmiewali się do łez, kiedy Charlotte rzeczywiście w końcu któreś wzięła i odważnie zapaliła. Ale w gruncie rzeczy wszyscy byli zgodni co do tego, że dziewczyna wniosła wiele radości i życia w rytm jednostajnych dni na farmie Kiward Station, i także Jack przezwyciężył nieśmiałość i wkrótce normalnie rozmawiał w jej towarzystwie. Zawsze jednak, kiedy dostrzegał dziewczynę, czuł szybkie bicie serca, a jego oczy rozbłyskiwały, kiedy natrafiał na jej spojrzenie. Nie do końca potrafił się uporać z nieśmiałością, jaką ciągle odczuwał w jej obecności, i w końcu to Charlotte wyciągnęła go w którąś księżycową noc na dwór, mówiąc, że koniecznie chce zajrzeć do koni. Ostrożnie wsunęła swą dłoń w jego rękę.

– Czy to prawda, że Maorysi w ogóle się nie całują? – spytała.

Jack właściwie tego nie wiedział. Nigdy go nie pociągały maoryskie dziewczyny: ich przeważnie czarne włosy i egzotyczne rysy za bardzo mu przypominały Kurę-marō-tini. A jeśli o nią chodzi, Jack zbyt często słyszał kpiące wypowiedzi w rodzaju: „Gdyby ona była ostatnią kobietą na ziemi, to Jack poszedłby do klasztoru!”.

– Można przypuszczać, że tymczasem Maorysi nauczyli się całować od nas, *pakeha*... – wyszeptła Charlotte. – Czy nie sądzisz, że można się tego nauczyć?

Jack przełknął ślinę.

– Bez wątpienia – odpowiedział. – Jeśli znajdzie się właściwy nauczyciel...

– Jeszcze nigdy tego nie robiłam – powiedziała Charlotte.

Jack uśmiechnął się i ostrożnie wziął ją w ramiona.

– Zaczniemy od pocierania nosów – zażartował już choćby po to, aby ukryć własne zdenerwowanie.

Ale dziewczyna rozchyliła lekko wargi. Nie musieli się niczego uczyć. Jack i Charlotte byli dla siebie stworzeni.

Rozkwit tej miłości nie przeszkodził Charlotte w jej studiach. Bawiło ją flirtowanie z Jackiem w języku Maorysów i tu znalazła cierpliwego nauczyciela także w osobie Jamesa McKenzie. Po trzech miesiącach spędzonych na Kiward Station Charlotte potrafiła wymówić nie tylko stare maoryskie słowa służące do łamania języków, ale zapisała już pierwsze mity Maorysów po angielsku, a także po maorysku. To ostatnie udało jej się oczywiście z pomocą Maramy, która wspierała ją ze wszystkich sił. Charlotte miała osobliwe uczucie, że czas się zatrzymał. Ale wreszcie pojawiły się ważne powody, aby zakończyć pobyt na farmie Kiward Station.

– Oczywiście, że chętnie zostałabym dłużej – oświadczyła Charlotte swoim rodzicom, którzy przyjechali zabrać córkę do domu – ale obawiam się, że to nie uchodzi.

Zaczerwieniła się, mówiąc to, ale jednocześnie uśmiechnęła się do Jacka, a on niemal upuścił widelec z wrażenia. Zamierzał właśnie ukroić sobie kawałek pieczeni jagnięcej, ale wszystko wskazywało na to, że nagle stracił apetyt. Chrząknął, chcąc ukryć zakłopotanie.

– Tak... yy... Maorysi widzą to inaczej i my chcemy przecież podtrzymać stare zwyczaje *pakeha*. A tam... no, kiedy dziewczyna jest zaręczona, to nie ma niczego niestosownego w tym, że ona pod jednym dachem ze swoim przyszłym mężem...

Charlotte pogłaskała tkliwie rękę Jacka, który nerwowo gniótł serwetkę.

– Jack, chciałeś przecież, żeby było tak, jak trzeba! – powiedziała, ganiąc go łagodnie. – Miałeś przecież poprosić mojego ojca o rozmowę w cztery oczy i oficjalnie poprosić go o moją rękę...

– Mówiąc krótko, wydaje się, że ci młodzi ludzie już się zaręczyli – zauważył James McKenzie, po czym wstał i otworzył butelkę „lepszego” wina. – Jack, mam osiemdziesiąt lat. Nie mogę czekać i czekać, aż ty się wreszcie odważysz zadać tak proste pytanie. Tym bardziej że przecież wszystko już jest dawno zdecydowane. A w moim wieku pieczeń należy jeść wtedy, kiedy jest świeża, bo potem zrobi się łykowata i niełatwo będzie ją przeżuć. A więc wzniesmy toast za Jacka i Charlotte i zaczniemy wreszcie jeść kolację! Są jakieś zastrzeżenia?

Elizabeth i George Greenwoodowie nie mieli żadnych zastrzeżeń. Wręcz przeciwnie, byli wyraźnie uradowani i cieszyli się z tego związku. Oczywiście w wyższych kręgach towarzyskich w Christchurch i Canterbury Plains zahuczy od plotek. Jack cieszył się wprawdzie ogromnym szacunkiem, ale „owczy baronowie” nie zapomnieli, że był owocem związku Gwyneiry i złodzieja bydła. Najgłośniejsi plotkarze nie omieszkają też przypomnieć, że między weselem Gwyneiry i Jamesa McKenzie a narodzinami Jacka nie upłynęło dziewięć miesięcy, i oczywiście każdy wiedział, że Jack nie był dziedzicem farmy Kiward Station. Mógł jedynie objąć stanowisko jej zarządcy. Córka bogatego George’a Greenwooda mogła więc zrobić lepszą partię, ale wszystko to wydawało się nie mieć znaczenia dla jej ojca. Charlotte miała otrzymać pokaźny posag, a George znał Jacka jako godnego zaufania pracownika, który w dodatku miał za sobą kilka semestrów studiów rolniczych. Nawet gdyby Kura-marō-tini Martyn miała kiedyś sprzedać farmę, poróżnić się w jakiś sposób z rodziną McKenzie, albo gdyby Gloria Martyn sama przejęła farmę, to dla Jacka z pewnością znalazłaby się praca zarządcy. George nie martwił się więc o utrzymanie swojej córki. Chciał przede wszystkim widzieć ją szczęśliwą – i zamężną! O sufrażystce z rodziny Greenwoodów plotkowano by z pewnością więcej

niż o dawno zapomnianych grzechach klanu Warden-McKenzie.

I ostatecznie uznano półroczny okres narzeczeństwa za najbardziej sówsonny, i zaliczono w jego poczet także trzymiesięczny pobyt Charlotte na farmie Kiward Station. Jack i Charlotte pobrali się wiosną, zaraz po wiosennym wyprowadzeniu owiec w góry. Elizabeth zaplanowała romantyczne wesele w ogrodzie nad brzegami Avon, ale niestety pogoda nie dopisała: rozpadało się mocno, więc goście tłoczyli się pod rozstawionymi przezornie namiotami i w salonach domu Greenwoodów. Jack i Charlotte szybko wymknęli się z tłumu gości i zaraz następnego dnia pojechali na farmę Kiward Station. Za aprobatą wszystkich młoda para zajęła te pokoje, które w początkach swego małżeństwa dzielili William i Kura Martynowie. William urządził je z wielkim smakiem, rozmachem, ale i bardzo drogo. Jednakże Charlotte nie miała nic przeciwko temu, by tam mieszkać i być otoczoną tymi meblami. Jack upierał się jedynie przy nieco skromniejszym urządzeniu sypialni i poprosił stolarza w Haldon o wykonanie prostego łóżka oraz szaf z drewna miejscowych drzew.

– Ale żadnych kauri! – zażądała z uśmiechem Charlotte. – Wiesz przecież, że Tane Mahuta, bóg lasu, doprowadził do rozstania Papa i Rangi!

Papatuanuku, czyli ziemia, oraz Ranginui – niebo, byli pierwotnie w mitologii maoryskiej parą kochanków, która ciasno objęta spoczywała gdzieś w kosmosie. I któregoś dnia ich dzieci postanowiły rozdzielić rodziców – w efekcie powstało światło, powietrze i roślinność na ziemi. Ale Rangi, niebo, niemal codziennie płakał z powodu rozłąki z ukochaną.

Jack się roześmiał i wziął żonę w ramiona.

– Nas nic już nie rozdzieli – powiedział stanowczo.

Charlotte wprowadziła tylko kilka niewielkich zmian w dawnym pokoju muzycznym Kury.

– Umiem trochę grać na pianinie, ale więcej niż jedno doprawdy nie będzie mi potrzebne – oświadczyła. W salonie McKenziach stał ciągle jeszcze wspaniały fortepian Kury. – A już na pewno nie chcę żadnego pianina obok naszej sypialni. To ma być przecież... – Zacerwieniła się. Jeśli ktoś otrzymał wychowanie w angielskim internacie, nie potrafił swobodnie mówić o rodzeniu dzieci.

Jack odczuwał to podobnie. Było dla niego zrozumiałe samo przez się, że dzieci nie należało zamykać gdzieś w jakimś pokoju daleko od rodziców. A począwszy od dnia wesela, robił, co mógł, aby jak najszybciej mieć potomstwo.

Choć Jack i Charlotte byli szczęśliwi na Kiward Station, George się upierał, aby młodzi pojechali w zwyczajową podróż poślubną.

– Czas, abyś gdzieś wyjechał, Jack! – oświadczył w końcu, kiedy Jack wynajdywał kolejne liczne powody, aby tylko nie opuszczać farmy. – Owce są szczęśliwe w górach, a z kilkoma sztukami bydła rodzice i robotnicy doskonale sobie poradzą.

– Z kilkoma *tysiącami* sztuk bydła – zauważył Jack.

George przewrócił oczami.

– Przecież nie musisz codziennie osobiście odprowadzać ich do łóżka – stwierdził trzeźwo. – Weź przykład z twojej żony! Ona aż się pali do tego, żeby zobaczyć Pancake Rocks!

Charlotte proponowała podróż na zachodnie wybrzeże wyspy, choć nie pociągały jej tamtejsze cuda natury. Tak naprawdę interesowała ją wymiana myśli i doświadczeń z najsłynniejszym badaczem kultury maoryskiej Wyspy Południowej, Calebem Billerem. Mówiła o tym stale, od kiedy tylko usłyszała, że siostrzenica Jacka Elaine i jej mąż nie tylko mieszkają w tej samej miejscowości co Caleb Biller, ale że się także z nim znają.

– O ile wiem, Lambertowie i Billerowie nie są przyjaciółmi, raczej wręcz przeciwnie – przypomniał jej Jack, ale Charlotte zupełnie to nie zraziło.

– Z pewnością nie są śmiertelnymi wrogami – oświadczyła. – Ale jeśli nawet, to zaprowadzimy pokój między nimi. A poza tym nie musimy wszyscy siedzieć razem, kiedy będę rozmawiała z Calebem Billerem. Wystarczy, jak nas sobie przedstawią. A ty, Jack, możesz tymczasem szukać złota! Przecież zawsze chciałeś to zrobić!

Jack rzeczywiście opowiedział jej o swoich młodzieńczych marzeniach, żeby zostać poszukiwaczem złota. Tym bardziej że jeśli o to chodziło, swego czasu James McKenzie miał sporo szczęścia w Australii. Ale Jack stawał się coraz bardziej podobny do swojej matki i teraz interesowały go przede wszystkim owce. Być może płukanie piasku i wypatrywanie złotych drobin było bardzo ekscytujące, ale Jack był za bardzo przywiązany do ziemi.

– To raczej powinniśmy odwiedzić O’Keefe w Queenstown – zamruczał. – W Greymouth wydobywa się węgiel. A to za bardzo mnie nie pociąga.

– Do Queenstown pojedziemy w przyszłym roku! – postanowiła Charlotte. – Chcę wreszcie poznać twoją siostrę. Ale teraz – do Greymouth, to przecież proste, bo w końcu jest tu linia kolejowa!

Jeśli o to chodziło, Jack nie mógł zaprotestować. Tylko kilka godzin jazdy pociągiem dzieliłoby go od jego ukochanych owiec i krów, a w dodatku George Greenwood dał im do dyspozycji swój własny wagon salonkę. Luksusowy wehikuł miał być doczepiony do regularnie kursującego pociągu i młoda para mogła się rozkoszować jazdą, siedząc w pluszowych fotelach albo nawet leżąc w łóżku i pijąc szampana. Dla Jacka co prawda nie stanowiło to wielkiej atrakcji: podobnie jak kiedyś, wolał galopować na koniu niż jechać koleją, noc zaś spędzona gdzieś pod gwiazdami była jego zdaniem o wiele bardziej romantyczna niż trzęsące się łóżko w wagonie. Ustąpił jednak wobec entuzjazmu i radości Charlotte.

Tim i Elaine Lambertowie byli jeszcze mniej zachwyceni.

– Naprawdę chcesz zaprosić do nas Florence Biller? – spytał Elaine przerażony Tim. – To, z całym szacunkiem, twoja ciotka i powinowata, ale doprawdy zbyt wiele wymagasz!

– Charlotte chciałaby tylko poznać Caleba Billera – uspokajała Elaine. – A przecież chyba nie wypada mi zaprosić tylko jego samego na kolację. Jak by to wyglądało? Będziemy dla nich przez cały wieczór mili i będziemy rozmawiać o... O czym właściwie mówi się z Florence, poza górnictwem?

Tim wzruszył ramionami.

– Może spróbujesz rozmawiać z nią o czymś, o czym zwykle mówią kobiety? Rodzina? Dzieci?

Elaine zachichotała.

– No, nie wiem, może lepiej tego tematu nie drążyć. Czy to prawda, że ona jest znów w ciąży? Chyba dość się już nachwaliła swojego przystojnego sekretarza i wyprawiła go do Westport?

Tim uśmiechnął się szeroko.

– No, to byłby ciekawy temat. Może uda ci się doprowadzić do tego, że ona się zacerwieni. Czy to w ogóle się komukolwiek udało?

Tim złożył trzymany w ręku serwetkę – wszyscy skończyli właśnie wspólną kolację, a siedzącym przy stole chłopcom zamykały się oczy. Elaine i Timowi ciągle wydawało się to dość niezwykle, że przy stole siedzą tylko młodsze dzieci i oni wobec tego nie muszą za bardzo uważać na słowa. W obecności bystrej, rozgarniętej Lilian rodzice inaczej formułowałiby wypowiedzi na temat dzieci Florence Biller.

– To się chyba udało Calebowi, kiedy swego czasu nalał jej samego wina i ponoć użył wtedy przy jakiejś okazji określenia „śliczny chłopiec”.

– Lainie! – Tim nie wytrzymał i roześmiał się. Rzeczywiście Caleb wyraził się w ten sposób, kiedy jeszcze przed laty opowiadał Kurze-marotini o obiektach swojego pożądania. Nie chciał się żenić, ale zabrakło mu wówczas odwagi, aby zacząć wieść wolny żywot jako artysta i korzystać z życia zgodnie ze swoimi upodobaniami seksualnymi. I w końcu doszło do małżeństwa z Florence, z którego jednak, jak się wydawało, obie strony były względnie zadowolone.

– Zaprosimy też ich dzieci – postanowiła Elaine. – A przynajmniej ich obu najstarszych synów. Wówczas nie będą siedzieli zbyt długo, a w razie czego będziemy plotkować o angielskich internatach. Ich najstarszy syn Benjamin jest mniej więcej w wieku Lily, prawda?

Tim przytaknął.

– Tak, i ma jechać w tym roku do Cambridge. To rzeczywiście dobry pomysł, aby go zaprosić. A jakby co, to zaczniemy gadać o hodowli owiec. Jack może o tym opowiadać godzinami i założę się, że będzie to temat, w którym Florence nie będzie miała ostatniego słowa.

Tim Lambert był właściwie zdecydowany, że nie będzie się starał polubić młodej żony Jacka – już choćby z tego powodu, że wymusiła na nim spotkanie z Florence Biller. Ale Charlotte natychmiast podbiła serce i jego, i Elaine, a także serca ich małych synów. Udało jej się też „nie dostrzegać” kalectwa Tima i traktować je całkiem swobodnie, jako coś zupełnie normalnego. Było dużo śmiechu przy opowieściach Charlotte jako sufrażystki, a Elaine stanowiła znakomitą i wdzięczną publiczność. Z zachwyconymi chłopcami Tima i Elaine Charlotte nie tylko bawiła się kolejką, ale też przywiozła im cały asortyment prostych instrumentów muzycznych Maorysów i opowiedziała historie o *haka*, których treść chłopcy natychmiast głośno odtworzyli.

– Myślę, że Kura-marō-tini nie powinna się obawiać ich konkurencji! – śmiała się Elaine, zatykając sobie uszy. – Nawet gdyby tu była Lilian i grałaby do wtóru na fortepianie. Moje pisklęta odziedziczyły po Lambertach raczej kiepską muzykalność.

– A co właściwie słyhać u Lilian? Ona coś pisze? – Jack wykorzystał sposobność, aby zadać nurtujące go od dawna pytanie. Mimo że praca na farmie i małżeństwo dość dokładnie wypełniały jego życie, to jednak stale martwił się o Glorię. Listy od niej, które przychodziły w regularnych odstępach czasu, raczej go irytowały, niż uspokajały, i zdaniem Jacka wcale nie świadczyły o tym, że dziewczynka jest szczęśliwa i zadowolona. Gwyneirze i Jamesowi wystarczyło to, że Gloria tak rzeczowo pisze o swoich lekcjach muzyki, czytaniu książek w ogrodzie oraz letnich piknikach nad brzegami rzeki Cam. Dla Jacka były to listy suche i tak naprawdę nic niemówiące. Nie mógł odnaleźć w nich osobowości Glorii, miał wrażenie, że pisze je ktoś inny.

Ale Elaine skinęła głową z uśmiechem, mówiąc:

– Oczywiście, że Lilian pisze. To jedno z ich zadań, w każde sobotnie popołudnie piszą listy do domu... co dla Lily nie jest żadnym problemem, ona zawsze miała i ma dużo do opowiedzenia. Co prawda zastanawiam się, jak jej się udaje przesmuglować te listy przez cenzurę. Przecież nauczycielki chyba robią od czasu do czasu wrywkowe kontrole, prawda? – Elaine zwróciła się z tym pytaniem do Charlotte, ale młoda kobieta w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Nauczycielki raczej dochowują tajemnicy korespondencji. Tak przynajmniej było w tej szkole, do której ja uczęszczałam, ale tylko jeśli chodzi o starsze uczennice – powiedziała. – Za to u młodszych zwykle sprawdza się te listy pod względem gramatyki.

– A co takiego niecenzuralnego pisze Lilian? – spytał Jack zaniepokojony. – Czy ona nie jest tam szczęśliwa?

Elaine się roześmiała.

– Jest szczęśliwa, jak najbardziej. Ale obawiam się, że jej wyobrażenia na temat szczęścia odbiegają nieco od tego, co na ten temat sądzą nauczycielki. Zobacz, przeczytaj sam. – Tu Elaine wyciągnęła z kieszeni swojej sukni ostatni list od córki. To, że miała go stale przy sobie, dowodziło, jak bardzo brakowało jej Lily w domu. Elaine nabrała zwyczaju noszenia listu Lily i czytania go przy każdej sposobności tak długo, aż nadszedł kolejny.

„Kochana *mummy*, kochani *daddy*, kochani bracia – czytał Jack. – Dostałam zły stopień z wypracowania z angielskiego, w którym miałymy streścić opowiadanie Mr Poego. Było ono tak smutne, że wymyśliłam inne zakończenie i tym się chyba naraziłam. Historie, które pisał Mr Poe, są czasami smutne, a czasami aż niesamowite. A przecież upiórów ani duchów wcale nie ma. Wiem o tym, bo w ostatni weekend byłam z Amandą Wolveridge w Bloomingbridge Castle. Jej rodzina ma prawdziwy zamek i właściwie powinien w nim straszyć jakiś duch. Jednak mimo że siedziałyśmy z Amandą całą noc, to nie widziałyśmy żadnego. Pojawił się tylko jej głupi brat schowany pod prześcieradłem. A poza tym jeździłyśmy na konikach Amandy i sprawiło nam to dużo radości. Mój pony był najszybszy. Rube, możesz mi przysłać jedną wetę? Tydzień temu wsadziłyśmy pająka do mapy Miss Comingden-Proust, którą ona miała rozłożyć. Strasznie się przeraziła i wskoczyła na krzesło. I wtedy zobaczyłyśmy jej majtki. Weta byłaby na pewno lepsza, bo one czasem skaczą za kimś, kto ucieka...”

Charlotte zachichotała, jak gdyby sama była jeszcze małą dziewczynką, która robi psikusy swoim nauczycielkom. Olbrzymie insekty z Nowej Zelandii mogły rzeczywiście zrobić duże wrażenie w angielskich szkołach.

Jack śmiał się także, choć ciągle czuł niepokój. Ten list był czarujący; wszyscy mieli przed oczami paplającą Lilian. Listy Glorii w porównaniu z nim robiły niemal upiorne wrażenie. Były to suche sprawozdania i opisy, w których nie można było się doszukać niczego bliższego na temat życia jej samej i dziewcząt mieszkających w internacie. Jack pomyślał, że musi się dowiedzieć czegoś więcej. Nie miał tylko pojęcia, jak się do tego zabrać.

Gloria nienawidziła każdej sekundy w Oaks Garden i wydawało się, że wszystko tu sprzysięgło się przeciwko niej.

Zaczęło się od nielubianych od samego początku współmieszkanek, które nie zostawiały na niej suchej nitki. Może zazdrościły Glorii sławnej matki, ale możliwe, że po prostu szukały odpowiedniego kozła ofiarnego, kogoś, na kim mogłyby wyładować swoją złość. Tego Gloria nie wiedziała, za bardzo też nie zastanawiała się nad tym. A przede wszystkim nie potrafiła odplacić tą samą monetą za kpiny i złośliwości dziewcząt – ani też nie potrafiła tego zignorować. Wiedziała przecież, że nie była piękna i że w szkolnym mundurku wyglądała żałośnie i niezdarnie. A jej głupotę i brak jakichkolwiek uzdolnień bezlitośnie uzmysławiano jej niemal codziennie.

Szkoła, w której znalazła się Gloria, raczej nie była ostoją talentów twórczych – mimo że główny nacisk kładziono w niej na wspieranie i kształcenie sztuk pięknych. Większość uczennic niezdarnie pałała płótna farbami i tylko przy wydatnej pomocy nauczyciela niektórym z nich udawało się w miarę poprawnie namalować dom lub ogród w perspektywie. Gloria dzieliła ich los. Gabrielle Wentworth fałszowała na skrzypcach strasznie, podobnie jak Melissa na wiolonczeli. Nieliczne dziewczęta miały rzeczywiście jakąś żyłkę artystyczną, pozostałe w najlepszym wypadku były tylko zafascynowane muzyką czy też malarstwem. Ale mimo to Lilian Lambert nie miała żadnych zahamowań, aby odegrać przed swoją przyszłą nauczycielką muzyki *Annabell Lee*, i dziwiła się, że Miss Tayler-Bennington nie wpadła potem w zachwyt. Lily nie była utalentowana bardziej niż Gloria, ale nauka muzyki sprawiała jej przyjemność, podobnie jak większości dziewcząt. Co prawda indywidualne lekcje gry na instrumencie były nudne i męczące, za to zajęcia śpiewu w chórze lubiły wszystkie uczennice – wszystkie oprócz Glorii. Choć rzeczywiście żadna z dziewcząt w czasie pierwszych zajęć nie musiała przeżyć takich tortur, jak córka Kury-maró-tini Martyn.

Gloria miała złe przeczucia, kiedy prowadząca chór Miss Wedgewood zawołała ją jako jedną z pierwszych na podium i kazała coś zaśpiewać.

– Córka słynnej Mrs Martyn! – Miss Wedgewood miała rozpromienioną i pełną dumy twarz. – Tak się cieszę, że przyszłaś do naszej szkoły. Nasze alty są nieco gorzej obsadzone i jeśli choć tylko w połowie masz głos taki jak twoja matka, to wesprzesz je znakomicie! Zaśpiewaj nam ton A!

Nauczycielka uderzyła w klawisz fortepianu, a Gloria posłusznie spróbowała powtórzyć dźwięk. Przed nią próbowały to zrobić trzy inne dziewczynki – z bardzo mizernym rezultatem, a Miss Wedgewood, westchnąwszy lekko, przydzieliła je w odpowiedzi do innych głosów w chórze. Jednak żaden głos nie był tak zduszony jak głos Glorii, która czuła się nieprzyjemnie już tylko dlatego, że musiała sama stać przed klasą przy fortepianie. Aluzja do matki jeszcze ją dobiła. Drugiego dźwięku Gloria nie była w stanie w ogóle z siebie wydobyć, nie mówiąc już o dźwięku poprawnym. A przecież miała silny i naprawdę przyjemnie brzmiący głos. Jednak zabrakło jej wiary w siebie oraz odrobiny odwagi i w rezultacie nie potrafiła w miarę dobrze zaśpiewać najprostszej piosenki, a stojąc teraz na podium, omal nie osunęła się na podłogę.

– Doprawdy, nie masz nic, ale to nic ze swojej matki! – stwierdziła z wyraźnym rozczarowaniem Miss Wedgewood i przesunęła Glorię do ostatniego rzędu. Gabrielle dostrzegła tu kolejną szansę, aby zwalić na nią wszystkie błędy. Od tej chwili, jeżeli któryś alt źle coś zaintonował, przyczyną było to, że Gloria irytowała inne dziewczynki, mimo że starała się śpiewać tak, aby inne uczennice prawie jej nie słyszały. Jediną osobą, która może mogłaby ją obronić, była Lilian. Ale ona śpiewała w pierwszym rzędzie – głośno i fałszywie.

Dla Glorii praktycznie nie miał znaczenia fakt, że Lilian, choć co prawda tylko teoretycznie – dzieliła z nią ławkę. Dziewczynki zostały przydzielone do różnych klas i kursów i spotykały się tylko w czasie zajęć śpiewu w chórze oraz w czasie przerw w ogrodzie. Ale tam Lilian już po kilku dniach otaczały inne dziewczynki – miała mnóstwo przyjaciółek, z którymi stale się wygłupiała, i choć nie wykluczała z ich kręgu Glorii i witała ją z radością, to Gloria nie czuła się wśród nich dobrze. Młodsze uczennice traktowały Glorię jako przedstawicielkę klas stopnia średniego, toteż patrzyły na nią z mieszaniną podziwu, zazdrości i ostrożności. Między poszczególnymi klasami w Oaks Garden panowała ostra rywalizacja; co prawda dziewczęta odwiedzały się wzajemnie, ale raczej po to, aby nawzajem robić sobie kawały. Gloria oczywiście zupełnie nie była do tego skłonna, ale poniekąd mimo woli przyczyniła się do wielu kłopotów, jakie miały miejsce w skrzydle zachodnim wkrótce po tym, jak Lilian zaprosiła ją na „party o północy”. Zgodnie ze wskazówkami Gloria przekradła się korytarzami i tym razem właściwie całkiem dobrze się bawiła w gronie znacznie młodszych od siebie dziewczynek, jedząc z nimi ciasto i pijąc lemoniadę. Lilian zabawiała koleżanki jakimiś szalonymi opowieściami, które fascynowały Glorię już na farmie Kiward Station i wreszcie także ona, Gloria, ta zawsze milcząca i nieśmiała dziewczynka, chichotała i bawiła się niemal tak, jak przyjaciółki Lilian. Ale oczywiście Gabrielle i pozostałe współmieszkanek Glorii nakryły ją, kiedy wracała do pokoju, po czym szybko zmusiły Glorię do tego, że przyznała się do winy i natychmiast wydały też Lilian gospodyni. Miss Barnum przyłapała dziewczynki, jeszcze kiedy sprzątały po przyjęciu, i natychmiast posypały się ostre kary. W rezultacie wina za smutne zakończenie przyjęcia spadła na Glorię.

– Ale przecież ja ci wierzę! – mówiła Lilian ze współczuciem. Dziewczynki spotkały się w czasie „karnej musztry” w ogrodzie. Kary w Oaks Garden polegały na wielogodzinnych spacerach, zwykle w deszczu. Właściwie nie wolno było przy tym mówić, ale doprowadzić do tego, aby Lily trzymała buzię zamkniętą na kłódkę, graniczyło wręcz z cudem.

– Ta Gabrielle to prawdziwa bestia! Ale przez nią inne dziewczyny teraz nie chcą, żebyś do nas przychodziła. Przykro mi, naprawdę! Gloria była więc nadal sama i jej życie ograniczało się wyłącznie do przeżyć w internacie. Pod tym względem los był dla Lilian o wiele łaskawszy. Prawie na każdy weekend była zapraszana przez którąś ze swoich przyjaciółek do domu i spędzała sobotę i niedzielę u jej rodziny. Wprawdzie uczennice Oaks Garden pochodziły niemal z całej Anglii, ale mniej więcej połowa z nich mieszkała w pobliżu i to one właśnie chętnie zapraszały koleżanki z zagranicy do posiadłości rodziców. W internacie, gdzie nie było właściwie żadnych możliwości rozrywki, zostawała zwykle niewielka grupka mniej lubianych dziewcząt, wśród których zawsze była Gloria. Dziewczęta były więc zwykle w ponurych nastrojach, zwłaszcza pochodzące z zagranicy Gabrielle i Fiona, które były blisko zaprzyjaźnione – i które nader chętnie wyładowywały swój zły humor na Glorii.

Ale przynajmniej w każdą niedzielę dziewczęta musiały chodzić na nabożeństwo, gdzie Gloria spotykała Miss Bleachum – były to jej jedyne jasne i dobre chwile w całym tygodniu. Choć co prawda także młoda guwernantka nie sprawiała wrażenia zbyt szczęśliwej. Gloria była bardzo zdumiona, kiedy zobaczyła ją już w pierwszą niedzielę w Sawston przy organach.

– Nie wiedziałam, że umie pani grać na organach – powiedziała nieśmiało, kiedy wreszcie mogły porozmawiać po nabożeństwie. – Czy nie mówiła pani prababci Gwyn, że nie udziela pani lekcji muzyki?

Sarah Bleachum przytaknęła.

– Glory, kochanie, gdybyś miała choć odrobinę słuchu, to zauważyłabyś dlaczego! – zażartowała, ale nagle umilkła, widząc boleśnie urażoną twarz Glorii. Na farmie Kiward Station nie traktowano braku muzykalności Glorii jako czegoś nagannego – a już nikomu nie przyszłoby do głowy, aby z tego powodu szydzić czy dokucać dziewczynce. Sama Gloria śmiała się razem ze wszystkimi, kiedy zaśpiewała

coś fałszywie. Ale teraz wydało jej się, że żartobliwa samokrytyka Sarah dotknęła ją bardziej niż słyszana dawniej najłżejsza reprimenda. – Nie miałam nic złego na myśli i nie chciałam cię urazić, Glory – przeprosiła ją natychmiast Sarah. – Co się z tobą dzieje? Masz kłopoty w szkole, bo jesteś pod tym względem równie mało uzdolniona co ja?

Gloria walczyła ze łzami.

– Przecież pani jest uzdolniona! Nawet gra pani w kościele!

Sarah westchnęła. Miała za sobą kilka dyskusji z Christopherem na temat jej występu w kościele. Dotychczas na organach grała Miss Tayler-Bennington, nauczycielka muzyki z Oaks Garden, i oczywiście robiła to o wiele lepiej niż Sarah. Ale Christopher upierał się, aby Sarah poprzez to „wesła” do społeczności gminy, jak to nazywał. Przedstawił Sarah wszystkim jako swoją kuzynkę, ale we wsi oczywiście krążyły plotki o małżeństwie, które miało zostać niebawem zawarte. Prawie każda kobieta, z którą Sarah miała okazję rozmawiać, nawiązywała do tego mniej lub bardziej bezpośrednio – i oczywiście podsuwała pomysły, co przyszła pani pastora mogłaby zrobić dla gminy. Sarah przejęła więc prowadzenie kółka biblijnego i szkółki niedzielnej, ale mimo jej niezaprzeczalnych talentów pedagogicznych jej zaangażowanie nie spotykało się z akceptacją czy też wzajemnością.

– Sarah, moja droga, wszystkie panie się skarżą – oświadczył Christopher zaledwie po upływie dwóch tygodni. – Propagujesz naukę na zajęciach naszego kółka biblijnego. Wszystkie te historie ze Starego Testamentu – czy koniecznie musisz o tym opowiadać?

– Myślałam, że będę z nimi czytać te teksty biblijne, w których pojawiają się kobiety – usprawiedliwiła się Sarah. – A właśnie w Starym Testamencie są najpiękniejsze historie na ten temat.

– Najpiękniejsze? Jak na przykład opowieść o Deborah, która udaje się na pole bitwy razem z dowódcą wszystkich wojsk? Albo ta o Jael, która z kolei morduje swojego wroga za pomocą kółka od namiotu? – Christopher z niechęcią potrząsnął głową.

– No tak, kobiety w Starym Testamencie były trochę... hm... bardziej energiczne niż te w Nowym. Na przykład Estera...

– Sarah, powiedz, czy ty sympatyzujesz z ruchem sufrażystek? To trochę za bardzo wywrotowe.

– Przecież to Biblia – zauważyła Sarah.

– Ale są tam w końcu piękniejsze fragmenty! – Christopher z namaszczeniem położył rękę na Nowym Testamencie. I już podczas najbliższego niedzielnego kazania zaprezentował Sarah, jak wyobrażał sobie rozwinięcie tematu „Kobieta i Biblia”.

– Notliwa, dobra kobieta jest szlachetniejsza niż najcenniejsze perły! – grzmiał z ambony, rozpoczynając kazanie, po czym wspomniął krótko o uchybieniach, jakich dopuściła się Ewa, aby zaraz przejść do wychwalania mężczyzny, któremu dane było osiąść na własność dobrą niewiastę. – Wdzięk kobiety pokrzepia męczyznę, a jej mądrość jest jak orzeźwienie dla jego członków!

Wszystkie panie z gminy zaczerwieniły się jak na komendę, były jednak dumne z pochwały i zafascynowane słuchały dalej o poświęceniu się Maryi, jej zawierzeniu woli Pana oraz macierzyńskich przymiotach. Kazanie Christophera spotkało się z powszechną aprobatą.

– Na następnym spotkaniu kółka biblijnego przeczytasz Magnificat i opowiesz o tym, jak została pobłogosławiona Święta Dziewica – polecił Sarah. Był w doskonałym nastroju po wygłoszonym kazaniu. – To na szczęście nie jest takie długie jak inne opowieści biblijne. Kobiety chcą porozmawiać o czymś innym.

Rzeczywiście, w czasie spotkań kółka biblijnego przeważnie plotkowano zamiast obowiązkowego odmawiania modlitw, a wilebny był ulubionym tematem rozmów. Wszystkie kobiety ze wsi durzyły się w nim i opowiadały Sarah o jego dobrych uczynkach dla gminy.

– Ale pani będzie z pewnością dobrą żoną dla wilebnego – stwierdziła protekcyjnie któregoś dnia Mrs Buster, gospodyni Sarah. Była to starsza, przed laty owdowiała kobieta i Christopher u niej właśnie znalazł kwatery dla Sarah. Dawna guwernantka Glorii musiała przyznać, że pokój był rzeczywiście czysty i wygodny, choć prawdę mówiąc, o jakiejś prywatności nie było mowy. Kiedy Mrs Buster chciała o czymś porozmawiać, Sarah musiała być zawsze do dyspozycji. Młoda kobieta ratowała się poprzez długie spacery – przeważnie w deszczu.

Poważniejsze spory i zatargi między gminą a Sarah pojawiły się dopiero wtedy, kiedy Christopher powierzył jej prowadzenie szkółki niedzielnej. Sarah kochała nauki przyrodnicze i zgodnie z jej pedagogicznymi przekonaniem na pytania uczniów należało odpowiadać zgodnie z prawdą.

– O czym ty wtedy myślałaś? – pytał wzburzony Christopher, kiedy po pierwszej lekcji z dziećmi musiał odpierać gwałtowne protesty rozwścieczonych rodziców. – Jak mogłaś opowiadać dzieciom, że pochodzimy od małp?

Sarah wzruszyła ramionami.

– Billy Grant chciał się dowiedzieć, czy Bóg rzeczywiście stworzył wszystkie zwierzęta w ciągu sześciu dni. A tę teorię obalił przecież Karol Darwin. Wyjaśniłam mu więc, że w Biblii jest na ten temat piękna opowieść, która tylko pomaga nam zrozumieć cud stworzenia. Ale potem powiedziałam dzieciom, jak było naprawdę.

Christopher gwałtownym ruchem wczepił ręce we włosy.

– To wcale nie jest udowodnione! – oburzył się. – A nawet jeśli ty jesteś o tym przekonana, to nie należy mówić o tym w czasie lekcji w szkółce niedzielnej. Bądź w przyszłości bardziej ostrożna, jeśli coś opowiadasz dzieciom! Nie jesteśmy tutaj na jakimś końcu świata, gdzie krzewi się defetystyczne teorie...

Sarah nie chciała się do tego przyznać nawet przed samą sobą, ale im częściej wyobrażała sobie siebie jako przyszłą pastora, tym bardziej tęskniła za owym końcem świata. Dotychczas zawsze uważała się za dobrą chrześcijankę, ale powoli rosła w niej obawa, że tutaj takie przeświadczenie nie wystarczy. Miała wrażenie, że brakuje jej wiary i żarliwości – a z całą pewnością jej zasoby miłości bliźniego nie wystarczały do tego, aby codziennie zajmować się przeważnie małostkowymi i urojonymi zmartwieniami parafian. Kontakty z dziećmi zawsze sprawiały jej więcej radości i zadowolenia. I wydawało jej się, że mała Gloria bardzo cierpi z powodu jakichś prawdziwych problemów.

Mimo nader wyraźnego zniecierpliwienia, jakie Christopher okazywał Sarah – po niedzielnych nabożeństwach zawsze byli oboje zapraszani na obiad do rodziny któregoś z parafian, a wilebny nie nosił niepunktualności – dawna guwernantka zawsze znajdowała trochę czasu dla Glorii i słuchała uważnie, co dziewczynka miała jej do powiedzenia. Cichaczem uciekały obie na cmentarz za kościołem – nie było tam zbyt przyjemnie, ale tylko tu mogły być zupełnie same. I znów Sarah nie ważyła się przed sobą przyznać do czegoś, o czym od dawna już wiedziała Gloria: obie tak samo rozpaczliwie szukały miejsca, gdzie mogłyby się schować przed światem.

– Dostają wciąż złe stopnie, Miss Bleachum – skarżyła się Gloria w przekonaniu, że to zainteresuje nauczycielkę bardziej niż jej codzienne problemy ze złośliwą Gabrielle. – Nie umiem śpiewać ani czytać nut. Dla mnie to wszystko brzmi tak samo. A rysować też tak dobrze nie umiem, chociaż... kilka dni temu widziałam żabę, zieloną jak trawa. Miss Bleachum, ta żaba miała malutkie przyssawki na łapkach i ja je narysowałam, tak jak mój pradziadek Lucas. Najpierw narysowałam duży obraz żaby, a potem na małym narysowałam te przyssawki. Proszę popatrzeć, Miss Bleachum!

Gloria z dumą wyciągnęła trochę już rozmazany rysunek wykonany węglem. Sarah była pod wrażeniem: zajęcia z rysowania w perspektywie padły tu na bardzo podatny grunt. Dziewczynka narysowała zwierzę, oddając wszystkie szczegóły ze zdumiewającą dokładnością.

– Ale Miss Blake-Sutherland była zdania, że to obrzydliwe. Nie wolno mi rysować rzeczy obrzydliwych, sztuka ma odzwierciedlać piękno. A Gabrielle dostała czwórkę, bo narysowała kwiat. Ale on wcale nie wyglądał tak, jak prawdziwy kwiat...

Sarah Bleachum westchnęła. Gloria nie wydawała się zupełnie pozbawiona wszelkich talentów, choć przedstawienie świata zgodnie z kanonami sztuki będzie dla niej z pewnością zawsze obce i niezrozumiałe.

– Ale Miss Blake-Sutherland prawdopodobnie wcale o tym nie wie – ciągnęła dalej Gloria. – Tu w Anglii w ogóle nie uczą botaniki, zoologii też nie, a w każdym razie niewiele. Na geografii jest nudno, to, co robimy na lekcjach, to jest zabawa dla niemowląt. I wcale nie ma łaciny, za to jest francuski...

– Ale przecież francuskiego też się uczyliśmy – stwierdziła Sarah, czując wyrzuty sumienia. Dopiero rok temu zaczęła udzielać Glorii lekcji tego języka. Dziewczęta w Oaks Garden prawdopodobnie uczyły się francuskiego już od pierwszej klasy.

Gloria przytaknęła. Wiedziała, że była daleko w tyle za koleżankami z klasy, także jeśli chodzi o francuski. Ale to podsunęło Sarah pewien pomysł.

– A może będę mogła udzielać ci korepetycji – zaproponowała. – Na przykład w sobotę albo w niedzielę po południu. Odpowiadałoby ci to, czy też byłoby to dla ciebie zbyt wiele?

Twarz Glorii się rozjaśniła.

– To byłoby cudowne, Miss Bleachum! – odpowiedziała.

Jedno popołudnie weekendu, w czasie którego mogłaby uciec przed złośliwościami Gabrielle i Fiony – dla Glorii byłoby to niemal coś w rodzaju raju na ziemi.

– Może pani napisać do babci Gwyn w sprawie zapłaty – dodała.

Ale Sarah potrząsnęła głową.

– Lubię to robić, Glory, i nie chcę pieniędzy. Musimy tylko porozmawiać z Miss Arrowstone. A co będzie, jeśli ona się nie zgodzi...?

Chociaż Christopher jej to odradzał, Sarah udała się do internatu zaraz następnego dnia i zaczęła walczyć z Miss Arrowstone. Rektorka z początku wcale nie była uradowana jej propozycją.

– Miss Bleachum, byliśmy przecież zgodne co do tego, że dziewczęta muszą mieć, że tak powiem, odciętą pępówinę, która łączy je z panią. Gloria robi wrażenie dziwaczki, nie potrafi się dogadać z koleżankami z klasy i broni się jak może przed treściami materiału nauczania. Czasami jest wręcz krnąbrna, z uporem odrzuca wszystko, czego dziewczęta uczą się na lekcjach! Nauczycielka historii biblijnej przyprowadziła ją ostatnio do mnie, bo ona w wypracowaniu opowiedziała się wprost za ideologią darwinistyczną! I zamiast o grzechu pierworodnym napisała coś o powstawaniu gatunków! Zrugalam ją za to ostro i wyznaczyłam jej surową karę.

Sarah się zaczerwieniła.

– Ta dziewczynka była wychowywana w zupełnym oderwaniu od życia! – oświadczyła Miss Arrowstone, nie kryjąc już oburzenia. – I bez wątplenia pani też nie jest tutaj bez winy. Mała całkiem zdziczała na tej owczej farmie. Trochę wychowania w domu i parę lekcji z guwernantką prawdopodobnie niewiele pomogło. A w dodatku te stosunki rodzinne tam w Nowej Zelandii... Czy to prawda, co opowiada Lilian? Czy jej dziadek rzeczywiście był złodziejem bydła?

Sarah Bleachum nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– To pradziadek Lilian – poprawiła, dodając: – A Gloria nie jest spokrewniona z Jamesem McKenzie.

– Ale dorastała przecież w domu tego wątpliwego ludowego bohatera, prawda? To wszystko jest bardzo podejrzane... A kim jest ten „Jack”? – Miss Arrowstone wyciągnęła z szuflady biurka kartkę papieru.

Sarah rozpoznała duże litery Glorii i poczuła gwałtowną złość.

– Czy pani czyta korespondencję dziewcząt? – spytała z oburzeniem.

Miss Arrowstone spojrzała na nią karcącym wzrokiem.

– W zasadzie nie, Miss Bleachum. Ale ten list...

Uczennicom Oaks Garden zalecano, aby regularnie pisały listy do domu. Zarezerwowana była na to ostatnia lekcja w piątkowe popołudnie. Wszystkie dziewczęta otrzymywały papier listowy, a nauczycielka nie tylko pilnowała spokoju w klasie, ale także odpowiadała na pytania dotyczące prawidłowej pisowni trudniejszych słów. Było to konieczne szczególnie w młodszych klasach: dziewczęta takie jak Lilian Lambert były bardzo podekscytowane w trakcie pisania i zupełnie zapomniały o przecinkach i kropkach. Ale w klasie Glorii lekcje te przebiegały zwykle bardzo spokojnie. Tylko niektóre dziewczęta miały dużo do powiedzenia rodzicom, ale wszystkie uczennice szybko nauczyły się pisać przede wszystkim o mniejszych lub większych sukcesach, jakie odnosiły w szkole – były to dobre stopnie, ładne rysunki, czy też kolejny dobrze wyćwiczony utwór na skrzypcach.

Tylko jedna Gloria siedziała w milczeniu nad swoją kartką i nie bardzo wiedziała, co ma napisać. Bez względu na to, ile zadawała sobie trudu, czuła, że jej sformułowane z takim trudem słowa zupełnie nie oddawały nędznego położenia, w jakim się znalazła. A przecież miała przed oczami obrazy wszystkich wydarzeń minionego tygodnia: poniedziałkowy ranek, kiedy wśród ubrań znalazła swoją białą bluzkę – kompletnie pogniecioną, choć tak starannie i z wielkim trudem wyprasowaną poprzedniego dnia... Gabrielle odwiedzili w niedzielę rodzice; wróciła po całodziennym wycieczce pełna wrażeń i bardzo zmęczona, nie na tyle jednak, aby nie zrobić Glorii kolejnego złośliwego kawału. I w rezultacie Gloria otrzymała natychmiast surową naganę od gospodyni, jak zawsze zresztą przy kontroli ubrań. Jej białe bluzki zaraz po włożeniu i tak wydawały się pogniecione, nawet jeśli poprzedniego wieczoru były idealnie gładkie. Może przyczyną był jej wełniany, fatalnie dobrany blezer? A może Gloria po prostu ruszała się więcej niż pozostałe dziewczynki? Albo to tylko jej gospodyni lepiej się przyjrzała? Przecież niektóre młodsze uczennice, wśród nich także Lilian Lambert, też nie zawsze miały na sobie stosowną odzież, ale one wyglądały przynajmniej wesoło i zabawnie. A Gloria widziała w oczach Miss Coleridge swoje odbicie i sama sobie wydawała się brzydka i źle ubrana.

– Wstyd dla naszej szkoły! – oświadczyła Miss Coleridge i zapisała na konto Glorii kilka kolejnych punktów karnych. Gabrielle zachichotała szyderczo.

Albo zaraz następnego dnia, we wtorek, kiedy w planie były zajęcia śpiewu w chórze. Tym razem na lekcję przyszła sama rektorka i uparła się, aby kilka nowych uczennic coś zaśpiewało. Wśród nich była oczywiście Gloria – prawdopodobnie wszystko było zorganizowane wyłącznie z jej powodu. Miss Arrowstone chciała się koniecznie dowiedzieć, czy córka słynnej Mrs Martyn rzeczywiście jest tak beznadziejna, jak twierdziła Miss Wedgewood. No i oczywiście Gloria zawiodła zupełnie – i została dodatkowo zrugana za fatalną postawę na podium.

– Glorio, dziewczynka powinna się zachowywać jak dama! Wyprostuj się, podnieś głowę, popatrz na słuchaczy! Także dzięki temu głos brzmi o wiele przyjemniej...

Gloria uniosła ramiona, chowając między nimi głowę. Nie chciała, aby jej się ktokolwiek przyglądał. I nie była damą.

W końcu przestała śpiewać zaczęłą piosenkę, z płaczem zbiegła z podium i schowała się w ogrodzie. Zjawiła się w szkole dopiero na kolację, więc znów otrzymała kilka kolejnych punktów karnych.

A potem środa i ta niesłychana historia z grzechem pierworodnym. Gloria dowiedziała się o tym w czasie zajęć w szkółce niedzielnej, ale nie słuchała zbyt uważnie. „Dziedziczenie” oznaczało dla Glorii jakość wełny owiec, instynkt nakazujący psom strzec stada i te cechy koni, dzięki którym nadawały się one mniej lub bardziej do jazdy wierzchem. Można to było poprawić poprzez odpowiednie krzyżowanie gatunków, ale Adam i Ewa nie mieli tu zbyt wielkiego wyboru. Gloria była więc gotowa wybaczyć im wspaniałomyślnie grzech pierworodny. A ponieważ przy temacie „raj” ciągle miała przed oczami rozległy krajobraz Kiward Station oraz wszystko to, co Sarah Bleachum i James McKenzie opowiadali jej o tamtejszych roślinach i zwierzętach, w pisanim wypracowaniu gładko prześlizgnęła się przez Księgę Rodzaju i przeszła do kwestii ewolucji różnych gatunków zwierząt w odpowiednich biotopach. I zakończyła całość w sposób następujący: „Człowiek nie rozwinął się w Nowej Zelandii. Maorysi twierdzą, że przybyli tu z Hawaiki, czyli Hawajów, a *pakeha* z Anglii. Ale ponieważ nie ma tam małp, to pierwsi ludzie przybyli najprawdopodobniej z Afryki lub z Indii. Jednak raj znajdował się chyba gdzieś indziej, bo nie ma tam jabłek”.

Gloria w ogóle nie rozumiała, dlaczego z powodu tych zdań wezwano ją do rektorki i surowo zganiono. Za karę musiała trzy razy przepisać historię stworzenia świata i dowiedziała się przy tej okazji, że raj znajdował się między rzekami Tygrys i Eufrat i że jabłka w ogóle nie pojawiły się w Biblii. Dziewczynce wszystko to wydało się co najmniej osobliwe.

I wreszcie czwartek i ta okropna lekcja gry na fortepianie, w czasie której Gabrielle celowo podmieniła Glorii nuty. Gloria niewiele była w stanie zrobić, mając przed oczami nuty dla zaawansowanych, a Miss Tayler-Bennington, karząc ją za niedbalstwo, kazała jej grać z pamięci. Wszystkie żmudne godziny ćwiczeń z całego tygodnia były więc daremne. Bez nut Glorii nie wychodziło zupełnie nic. A po południu musiała jeszcze „odpracować” punkty karne – polegało to na długim spacerze, w czasie którego musiała zachować całkowite milczenie. Oczywiście znów padał deszcz i Gloria niemiłosiernie zmarzła w swoim szkolnym mundurku.

O tym wszystkim nie mogła przecież napisać do domu. Nawet nie była w stanie tego opisać, bo zaraz zaczynała płakać. Zmarnowała kolejną godzinę, patrząc gdzieś prosto przed siebie nieruchomym wzrokiem, zupełnie nie dostrzegając katedry, tablicy ani Miss Coleridge, która tego dnia sprawowała nadzór.

Kiedy w końcu wzięła do ręki pióro, zanurzyła stalówkę w kałamarzu tak głęboko, że krople atramentu spadały na papier razem ze łzami. A potem była w stanie napisać tylko tych kilka słów: „Jack, proszę, proszę, zabierz mnie stąd do domu!”.

– Widzi pani, Miss Bleachum! – powiedziała Miss Arrowstone z wyraźną nieżyczliwością. – Czy mieliśmy wysłać taki „list”?

Sarah, bardzo skonsternowana, wpatrywała się w te kilka słów, które były rozpaczliwym wołaniem o pomoc. Zagryzła wargi.

– Rozumiem, że musi pani być surowa – powiedziała. – Ale to, co proponuję, to jedynie kilka dodatkowych godzin francuskiego. To także pomoże Glorii odnaleźć się wśród koleżanek w klasie, jeśli będzie miała jakieś lepsze wyniki w nauce. A w weekend przecież nie opuści żadnych lekcji.

Sarah była zdecydowana spotykać się z Glorią potajemnie, gdyby Miss Arrowstone się nie zgodziła. Ale rektorka nieoczekiwanie złagodniała.

– A więc dobrze, Miss Bleachum. Jeśli wielebny nie będzie miał nic przeciwko temu...

Sarah znów z trudem powstrzymała wybuch gniewu. A co wspólnego mógł mieć Christopher z tym, że ona będzie uczyć Glorię? I w ogóle dlaczego Sarah miałaby prosić go o pozwolenie, jeśli chciała kogoś uczyć? Opanowała się jednak. Gdyby ściągnęła na siebie gniew Miss Arrowstone, nic by nie zyskała.

– A tak nawiasem mówiąc, w niedzielę wielebny wygłosił bardzo ładne kazanie na temat miejsca kobiety w Biblii – zauważyła rektorka, odprowadzając Sarah do drzwi. – Gdyby mogła mu to pani powtórzyć. My wszystkie byłyśmy bardzo poruszone...

Gloria spóźniła się na swoją pierwszą lekcję w niedzielne popołudnie. Była wystraszona i zapłakana.

– Przykro mi, Miss Bleachum, ale najpierw mam napisać list – tłumaczyła się. – Dziś wieczór muszę go pokazać Miss Coleridge. Ale ja...

Sarah westchnęła.

– A więc zacznijmy od tego. Masz z sobą papier listowy?

*Kochana babciu Gwyn, kochany dziadku Jamesie, kochany Jacku,
Przesyłam Wam pozdrowienia z Anglii. Chciałam napisać wcześniej, ale muszę się dużo uczyć. Mam lekcje gry na fortepianie i śpiewam w chórze. Na lekcjach języka angielskiego czytamy wiersze Mr Edgara Allana Poego. Niektórych wierszy uczymy się na pamięć. Robię duże postępy w nauce rysunku. W weekendy spotykam się z Miss Bleachum. A w niedziele chodzimy na nabożeństwa.
Bardzo Was wszystkich kocham.
Wasza Gloria*

„Korepetycje” w niedzielne popołudnia szybko stały się dla Glorii najważniejszym wydarzeniem całego tygodnia. Zaczynała się cieszyć i czekać na nie już w poniedziałki, a jeśli któryś dzień był szczególnie koszmarny, marzyła, że jest już u boku swej młodej nauczycielki i w myślach skarżyła się jej na swój los. Oczywiście Miss Bleachum nie ograniczała się tylko do lekcji języka francuskiego. Choć rzeczywiście przez pierwszą godzinę obie w wielkim skupieniu poświęcały się nauce – w końcu Miss Arrowstone i madame Laverne, nauczycielka francuskiego, miały przecież zobaczyć postępy. Ale potem Gloria opowiadała o swoich codziennych kłopotach z Gabrielle i innymi dziewczynkami, a Sarah udzielała jej licznych wskazówek, jak sobie z tym poradzić.

– Nie możesz pozwalać im na wszystko, Glorio! – tłumaczyła Sarah. – I nie będzie to uwłaczające, jeśli czasem poprosisz o pomoc twoją gospodynię. Szczególnie jeśli chodzi o tak złośliwe żarty, jak ten z atramentem!

Gabrielle zniszczyła szkolną bluzkę Glorii, plamiąc ją umyślnie atramentem.

– A jeśli nie chcesz skarżyć wprost, to poproś gospodynię, aby wzięła twoje rzeczy w depozyt. Albo wstań w nocy, popatrz, czy dziewczęta znowu nie robią ci jakiegoś złośliwego kawału, i też zamień im ubrania. Gabrielle będzie się miała z pyszna, kiedy zobaczy, że zrobiła plamy z atramentu na własnej bluzce i że ty się tymczasem ubrałaś i wyszłaś. Macie przecież mniej więcej ten sam rozmiar. Albo wciśnij brudne czy też pogniecione rzeczy innej koleżance z pokoju. Wtedy ona zwali winę na Gabrielle. I też masz prawo zrobić tej dziewczynie jakiś kawał...

Gloria przytaknęła wprawdzie, ale bez zbytniego zapału. Nie stać ją było choćby na odrobinę fantazji, jeśli chodziło o żartowanie z innych. Po prostu nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby zrobić Gabrielle. Ale w końcu wymyśliła, że wtajemniczy we wszystko Lilian. Ostatecznie Lilian i jej przyjaciółki stale robiły jakieś kawały nauczycielom i innym uczennicom, a historia o pająku w złożonej mapie była swego czasu na ustach wszystkich.

Lilian – mały, rudowłosy skrzat – wysłuchiwała cierpliwie opowieści o wszystkich kłopotach Glorii i w odpowiedzi uśmiechnęła się szelmowsko.

– To jest ta wredna koza, która nas wydała wtedy po party o północy, prawda? – upewniła się. – No to ja już coś wymyślę!

Podczas kolejnej lekcji gry na skrzypcach Gabrielle stwierdziła, że jej instrument był całkowicie rozstrojony. Dla muzycznych uczennic nie stanowiło to żadnego problemu, ale Gabrielle wcale nie miała lepszego słuchu niż Gloria i zwykle przekupywała cukierkami pewną bardzo uzdolnioną dziewczynkę z klasy Lilian, aby ta nastroiła jej skrzypce przed zajęciami. Teraz musiała zrobić to sama, i to na oczach Miss Tayler-Bennington. Ośmieszyła się zupełnie, a Lilian chichotała z satysfakcją.

Gloria poczuła coś w rodzaju triumfu wobec tak udanego żartu, ale nie była to prawdziwa radość. Nie potrafiła się cieszyć, kiedy widziała, że ktoś inny cierpi, i nie lubiła się kłócić. Gwyneira przypisywała cechujące Glorię pragnienie harmonii jej maoryskiemu pochodzeniu; w końcu jej babka Marama miała bardzo podobny charakter. Ale w Oaks Garden interpretowano całkowitą gotowość do zgody jako słabość. Nauczycielki określały Glorię jako „drętwą”, a uczennice dręczyły ją, jak tylko mogły.

Jedynie w niedzielne popołudnia, w czasie lekcji z Miss Bleachum, Gloria stawała się pogodną i bardzo ciekawą świata dziewczynką, jaką była dawniej. W takich chwilach, unikając wścibskich oczu i uszu Christophera czy też Mrs Buster, Gloria i jej nauczycielka, robiwszy wszystkie francuskie ćwiczenia, chodziły zwykle na długie spacerki. Zachwycona Gloria zbierała w sadzawce żabi skrzek, a Sarah znalazła pewne ukryte miejsce w ogrodzie Mrs Buster, gdzie można go było schować w słoiku i podpatrywać, jak dojrzewa. A potem Gloria przyglądała się zafascynowana, jak rozwijają się kijanki. Za to Mrs Buster przeraziła się śmiertelnie, kiedy któregoś dnia dwadzieścia maleńkich żabek zaczęło skakać po jej grządkach. Sarah potrzebowała kilku godzin, aby je zebrać i zanieść do sadzawki, za co znów została surowo zganiona przez wielebne.

– To nie było zbyt wytworne, moja droga! Powinnaś raczej pomyśleć o tym, jak stać się wzorem dla kobiet z gminy!

– Czy wyjdzie pani za mąż za wielebnego? – Gloria zadała Sarah to pytanie któregoś letniego dnia. W szkole trwały co prawda wakacje, ale Gloria oczywiście nie mogła pojechać do Nowej Zelandii, a jej rodzice też przebywali akurat w tych częściach świata, gdzie córka nie była im potrzebna. Tym razem podróżowali po Norwegii, Szwecji i Finlandii. W szkole nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na dziewczęta, które tam pozostały, i Gloria niemal każdego dnia wymykała się na wieś, aby odwiedzić Miss Bleachum. Chętnie pomagała w czasie przygotowań do gminnego jarmarku i święta lata, osładzając w ten sposób Sarah nielubiane obowiązki.

Ku zdumieniu Sarah Gloria dogadywała się doskonale z kobietami z gminy. Mieszkańcy wsi byli prostymi ludźmi, podobnie jak mieszkańcy Haldon lub rodziny pasterzy bydła, z którymi dziewczynka dawniej spędzała tak dużo czasu. O Kurze-maró-tini Martyn i jej niezwykłym głosie nikt tu nigdy nie słyszał. Gloria w ich oczach była tylko jedną z uczennic z internatu, podobnie jak wiele innych dziewcząt. I kiedy ludzie ze wsi przekonali się, że nie jest zarozumiała ani arogancka jak wiele innych dziewcząt z Oaks Garden, szybko zaczęli traktować ją tak, jak dzieci ze wsi. W dodatku zobaczyli, że Gloria o wiele bardziej lubiła pleść girlandy, wieszać lampiony, nakrywać stoły, niż grać na fortepianie czy recytować wiersze. Była bardzo pomocna, wszyscy ją chwalili i w końcu jej samej zaczęło być z sobą dobrze. W gruncie rzeczy odnajdywała się w gminie lepiej niż Sarah, która tak naprawdę źle się czuła wśród mieszkańców wsi. Także dlatego nie potrafiła szybko odpowiedzieć na pytanie zadane jej przez Glorię.

– Nie wiem jeszcze – odpowiedziała po dłuższym wahaniu. – Wszyscy zakładają, że tak będzie, ale...

– Czy kocha go pani, Miss Bleachum?

To nieco wścibskie pytanie zadała Lilian – któżby inny? Także ona spędzała część wakacji w internacie i oczywiście nudziła się śmiertelnie. Ale już w następnym tygodniu miała pojechać do Somerset – jedna z jej przyjaciółek zaprosiła ją do majątku swoich rodziców i Lilian cieszyła się, że będzie jeździć na kucyku oraz brać udział w przyjęciach w ogrodzie.

Sarah znów się zaczerwieniła, choć co prawda już nie tak intensywnie, jak przed kilkoma miesiącami. Zdążyła się już przyzwyczać do ciągłych pytań o planowane zamążpójście.

– Myślę, że... tak – wyszeptwała, choć nie była już tego taka pewna. Uczciwa odpowiedź brzmiałaby inaczej: Sarah tego po prostu nie wiedziała, już choćby dlatego, że ciągle jeszcze nie potrafiła zdefiniować pojęcia „miłość”. Dawniej sądziła, że odczuwa coś w rodzaju silnego pokrewieństwa dusz z Christopherem, ale od kiedy była w Anglii, coraz częściej ogarniała ją w tym względzie wątpliwość. Powoli stawało się dla niej jasne, że ona i wielebny niewiele mieli z sobą wspólnego. Sarah dążyła do prawdy i poznania. Kiedy uczyła, chciała przede wszystkim wyjaśnić swoim uczniom otaczający ich świat. W wymiarze religijnym odpowiadałoby to takiej gorliwości, jaka była potrzebna w pracy na misji. To jednak zupełnie nie pociągało Sarah. Zaczynała rozumieć – i musiała przyznać to ze wstydem – że jest jej zupełnie obojętne, w co ludzie wierzą. Prawdopodobnie także dlatego nigdy nie miała problemów ze swoimi maoryskimi uczniami. Oczywiście czytała z nimi Biblię – ale wcale nie czuła oburzenia ani gniewu, kiedy dzieci przeciwstawiały jej treściom maoryskie legendy i opowieści. Jedynie, co robiła, to

poprawiała przy tej okazji ich angielszczyznę.

O wiele bardziej oburzała ją ignorancja – a z nią miała w Sawston do czynienia aż nazbyt często. Także Christopher wydawał się na nią mało odporny, ale Sarah szybko zauważyła, że jej kuzyn nie zawsze wyznawał te poglądy, które wszem i wobec głosił. Wielebny był człowiekiem wykształconym i inteligentnym, ale prawda nie była dla niego tak ważna, jak jego opinia w gminie. Chciał być przede wszystkim kochany, podziwiany i szanowany – i gotów był w tym celu kręcić się na wietrze jak kurek na wieży. Jego interpretacje Biblii były jasne i proste – i nie pozostawiały nawet cienia wątpliwości. Wielebny lubił schlebiać wszystkim członkiniom gminy i powstrzymywał się od wszelkiej krytyki jej męskiej części. Sarah, słysząc to, nieraz odczuwała gniew. Pragnęła jasnego i zdecydowanego stanowiska, bo zbyt często musiała wysłuchiwać skarg kobiet, których małżonkowie tracili w pubie wszystkie pieniądze, a potem bili swoje żony, kiedy te odważyły się protestować. Ale Christopher miał zwyczaj wyciszać te sprawy. Sarah nie miała złudzeń, że będzie sobie z tym lepiej radzić, kiedy już zostanie jego małżonką. Wręcz przeciwnie, krzywdzone kobiety będą oczekiwały od niej znacznie więcej niż teraz – młoda kobieta wolała nie myśleć o sporach i różnicach zdań, jakie pojawią się wówczas między nią a wielebnym.

Jednak mimo tego wszystkiego Christopher Bleachum coraz bardziej ją pociągał. Kiedy już pogodziła się z tym, że właściwie jest z nim tak jakby oficjalnie zaręczona, pozwalała, aby wielebny zabierał ją na pikniki i wycieczki. Już choćby po to, by uciec przed męczącą nudą wsi. I kiedy tylko była z nim sama, odczuwała działanie jego uroku i wdzięku, podobnie jak wszystkie kobiety w gminie. Miała wówczas wrażenie, że Christopher jest tylko dla niej, że nie interesuje go na tym świecie nic i nikt – tylko właśnie ona, Sarah. Wielebny patrzył jej w oczy, przytakiwał z całą powagą, słuchając jej wypowiedzi, a czasami... czasami jej dotykał. Zaczęło się od delikatnego, niemal przypadkowego pogłaskania jej ręki, kiedy oboje jednocześnie sięgnęli po pieczone udko kurczaka na którymś z pikników. A potem było to celowe dotknięcie jej dłoni trochę w celu podkreślenia jakiejś wygłaszanej właśnie uwagi.

Sarah aż zadygotała wobec takiego zbliżenia i zrobiło jej się nagle gorąco, kiedy poczuła ciepło jego palców. A gdy wziął ją kiedyś za rękę, aby w czasie spaceru pomóc jej przejść przez nieco bardziej bagniste miejsce, Sarah poczuła się tak pewnie i bezpiecznie jak nigdy. Była także zdenerwowana i zaniepokojona, on jednak puścił jej rękę natychmiast, kiedy tylko droga stała się znów łatwa, a w końcu Sarah pozwoliła sobie na uczucie rozkoszowania się jego dotykiem. Wydawało się, że Christopher wyczuł to niemal instynktownie. I kiedy Sarah była zupełnie rozluźniona, zatrzymał dłużej jej rękę w swojej dłoni, a któregoś razu delikatnie i tklawie bawił się jej palcami i powiedział, że jest piękna. Sarah znów poczuła niepokój, ale bardzo chciała uwierzyć w te słowa i nie sądziła, że mógł kłamać ktoś, kto trzymał jej rękę w taki sposób. Zadygotała wewnątrz, ale wreszcie któregoś dnia zaczęła się cieszyć już na samą perspektywę takich zbliżeń. Była pełna nerwowego oczekiwania, ale i radości, i kiedyś Christopher objął ją ramieniem i usłyszała kilka słów pełnych tklawości. Pocałował ją raz w sitowiu koło sadzawki, tej samej, w której Gloria zbierała żabi skrzek. Poczuła jego wargi na swoich, co sprawiło, że w pierwszej chwili straciła oddech, a potem także rozsądek. Nie była już w stanie myśleć, kiedy Christopher trzymał ją w ramionach; jedyne, co czuła, to wszechogarniające ją szczęście i rozkosz. Przecież to musiała być miłość, takie zatracanie się, niemal rozplýwanie w czyichś ramionach. Pokrewieństwo dusz – to przyjaźń, ale to... to była miłość... z całą pewnością...

Sarah Bleachum знаła oczywiście słowo „pożądanie”. Ale w zestawieniu z Christopherem, a już zwłaszcza z nią samą, było ono wręcz nie do pomyślenia. Tak, to, co czuła, to było coś świętego, dobrego – to była właśnie miłość. A ona była błogostawieństwem dla zaręczonej pary.

Ostrożne próby zbliżenia do Sarah były dla Christophera Bleachuma raczej czymś w rodzaju ciężkiego mozołu niż przyjemności. Zdawał sobie sprawę, że Sarah jest pruderyjna – seminaria nauczycielskie prawie nie różniły się od klasztorów, od zatrudnionych wychowawczyń oczekiwano całkowitej wstrzemięźliwości pod każdym względem, a uczące się tam młode kobiety znajdowały się ciągle pod surowym nadzorem. Ale mimo to Christopher miał nadzieję, że zdoła szybciej zdobyć zaufanie Sarah, tym bardziej że długotrwałe starania nigdy nie sprawiały mu przyjemności. Christopher uwielbiał, kiedy to jego uwodzono. Był przyzwyczajony, że kobiety usychały za nim z tęsknoty i doskonale interpretował wysyłane przez nie nawet te najbardziej zawołowane sygnały. Ukradkowe, nieśmiałe spojrzenia, uśmiechy, nieznaczne skinięcia głową... Nie trzeba było wiele, aby rozpałić wielebnego, zwłaszcza kiedy kobieta była piękna i nie ukrywała swoich ponętnych krągłości. Christopher zaczynał wówczas swą zakazaną zabawę, w której był prawdziwym wirtuozem. Zgrabnie formułował zawołowane aluzje i pochlebstwa, uśmiechał się, kiedy pozornie zawstydzone kobiety się czerwień, a mimo to nie cofały ręki i drżały, a on najpierw palcami, a potem ustami pieścił podaną dłoń. Bo w końcu to kobiety chciały coraz więcej i więcej i to one same wyszukiwały w tym celu przeważnie bardzo dyskretne zakątki... Związana z takimi miejscami tajemniczość podniecała Christophera jeszcze bardziej, a kobiety pozwalały, aby szybko przechodził do rzeczy. Także dlatego wolał kobiety doświadczone. Długotrwałe zdobywanie dziewicy i uczenie jej wszystkich radości, jakie niosła z sobą miłość – to wielebnemu w ogóle nie sprawiało przyjemności.

Jednak czegoś takiego właśnie wydawała się oczekiwać Sarah. Wiedziała dostatecznie dużo na temat miłości fizycznej, aby się jej obawiać, ale jednocześnie pragnęła jej, bo zdawała sobie sprawę, że wiązały się z nią rozkosz i radość. Leżeć pod nim sztywno, na wszystko przyzwalać i nigdy się z tego powodu nie skarżyć – nie, tak nie zachowywałyby się z pewnością. A przecież ciągle jeszcze nie wypowiedziała sakramentalnego „tak”! Nie do pomyślenia jednak było, że mogłoby być inaczej, skoro on przedstawił ją już w całej swojej parafii jako swą przyszłą małżonkę! Przecież Christopher był cały czas przekonany, że ona nadaje się znakomicie na żonę pastora – choć na początku doszło między nimi do kilku zatargów.

Sarah była kobietą mądrą i solidnie wykształconą; gdyby się zmieniła, stosując się choć odrobinę do jego wskazówek, mogłaby przejąć wiele obowiązków w gminie. Niestety – często wykazywała się zdumiewającą krnąbrnością. Christopher bardzo nie lubił, kiedy włóczyła się po wsi z tą dziewczyną nazwiskiem Martyn, zamiast zaangażować się bardziej w życie gminy. Na szczęście Sarah była skłonna do kompromisów. Od czasu pamiętnej dyskusji na temat teorii Darwina nie komentowała już wprawdzie treści zawartych w Biblii, ale często rezygnowała z wychowywania w duchu religijnym uczniów w szkółce niedzielnej. Zamiast tego chodziła z nimi na długie wycieczki, pokazywała im piękno przyrody, a dzieci dzięki temu uczyły się więcej na temat roślin i zwierząt niż na temat miłości bliźniego czy konieczności ciągłej pokuty. Jak dotychczas nikt z rodziców się nie skarżył, a zimą miało się to i tak zakończyć.

– Nie sądzę, że wielebny Bleachum jest zakochany w Sarah – paplała Lilian, kiedy obie wracały powoli do szkoły.

Gloria cieszyła się, że były razem, bo przygotowania do gminnego festynu przeciągnęły się i zrobiło się bardzo późno. Szkolną bramę już z pewnością zamknięto i Gloria byłaby zmuszona zadzwonić, a to z pewnością pociągnęłoby za sobą kolejną burę. Lilian twierdziła jednak, że zna co najmniej dwie możliwości potajemnego pokonania płotu.

– Jak to? – zdziwiła się Gloria. – Kocha ją z pewnością!

Gloria nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktoś na tym świecie nie kochał Sarah Bleachum.

– Ale on nie patrzy na nią w taki sposób, jakby ją kochał – odparła Lilian. – Nie tak... no, nie tak... sama już nie wiem. Tylko że tak to on patrzy na Mrs Walker. I na Brigit Pierce-Barrister.

– Brigit? – spytała Gloria. – Chyba zwariowałaś!

Brigit Pierce-Barrister była jedną z uczennic Oaks Garden. Uczęszczała do ostatniej klasy i była starsza niż większość uczennic – podobnie jak Glorię, bardzo późno wysłano ją do internatu, bo przez długi czas uczyła się w domu. Miała już siedemnaście lat i była właściwie młoda, dobrze rozwiniętą kobietą. Młodsze uczennice uśmiechały się z zażenowaniem na widok jej „nabrzmiałych piersi”, doskonale widocznych pod opiętym szkolnym mundurkiem.

– Wielebny nie może być przecież zakochany w Brigit!

Lilian zachichotała.

– A dlaczego nie? Brigit w każdym razie jest w nim zakochana. A także Mary Stellington, podsłuchałam ją. Obie się w nim durzą, a Mary zrobiła dla niego zakładkę do książek z suszonych kwiatów i podarowała mu ją w czasie święta letniego przesilenia. I do tej pory gapi się bezmyślnie na swoją Biblię w nadziei, że on tej zakładki używa i przy tym o niej myśli. A Brigit powiedziała, że ma śpiewać w czasie następnego nabożeństwa i boi się, że nie będzie w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, kiedy go zobaczy...

To akurat Gloria była w stanie doskonale zrozumieć.

– Nawet dziewczyny z mojej klasy się w nim durzą. I Gabrielle też. Gloria, musiałaś przecież coś zauważyć.

Gloria westchnęła. Już od dawna nie słuchała szeptów Gabrielle i jej przyjaciółek. Glorii w ogóle nie mieściło się w głowie, że którakolwiek z dziewczynek mogła się durzyć w wielebnym. Po pierwsze był o wiele za stary dla wszystkich dziewcząt. A poza tym... Gloria nie była w stanie nic na to poradzić, ale jakoś nie lubiła wielebnego. Było w nim coś takiego, co wydawało jej się nieszczerze i nieuczciwie. Christopher starał się jej zawsze schlebiać, kiedy się spotykali, ale nigdy nie patrzył jej przy tym w oczy. Oprócz tego Gloria nie znosiła, kiedy jej dotykał. A jej zdaniem wielebny Bleachum miał zwyczaj stawać zbyt blisko osoby, z którą rozmawiał, i pozornie uspokajającym gestem kłaść jej rękę na ramieniu. Gloria tego nienawidziła.

– Ja oświadczyć nigdy nie wysłabym za niego za mąż – paplała dalej Lilian. – Już samo to, że on obłapia i obmacuje wszystkie kobiety. Jak kiedyś wyjdę za mąż, to mój mąż ma tylko mnie dotykać i tylko do mnie mówić te wszystkie piękne słowa, a nie do wszystkich kobiet, które spotka. I tylko ze mną będzie mu wolno tańczyć. Założysz się, że wielebny Bleachum zatańczy na letnim festynie z Brigit? Patrz, to właśnie jest to drzewo. Dasz radę wskoczyć na dolną gałąź? Potem bez trudu można się wspiąć wyżej i przejść przez płot.

Gloria spojrzała na nią urażona.

– Oczywiście, że jestem w stanie tam wejść. Ale czy po drugiej stronie też jest jakaś gałąź?

Lilian skinęła głową.

– Jasne, to bardzo łatwe. Wspinaj się po prostu za mną!

Kilka minut później dziewczęta bezpiecznie wylądowały w szkolnym ogrodzie. Rzeczywiście była to bardzo łatwa droga i Gloria pomyślała, że sama powinna była ją odkryć. Zganiła się w myślach za swoją niezdarność, co często robiła. Kiedy w końcu przestanie być taka prostolinijna i uczciwa? A jeszcze w dodatku Lilian naprawdę ją przerażała. Jeśli wielebny rzeczywiście nie kochał Sarah, to może się z nią wcale nie ożeni. I Sarah wróci do Nowej Zelandii, i poszuka sobie innej posady. A co wówczas, na miłość boską, będzie z Gloria?

Podczas letniego festynu w gminie Sarah Bleachum zupełnie nie była w nastroju do radosnej zabawy. Nie siedziała koło młodych dziewcząt – Mrs Buster znalazła dla niej miejsce przy stole przeznaczonym dla najszacowniejszych matron gminy. Sarah najpierw nadzorowała sprzedaż ciast i innych miejscowych wyrobów, z których dochód przeznaczony był dla najuboższych, a potem musiała prowadzić nudne i długie konwersacje. Oczywiście musiała też kupić coś dla siebie. Z niechęcią oglądała teraz wykonaną szydełkiem przez Mrs Buster osłonkę do jajek i taką samą powłoczkę na dzbanek do herbaty. Jedno i drugie miało utrzymać właściwą temperaturę jaj i herbaty, pełniło też wątpliwą zdaniami Sarah funkcję ozdobną.

– Przecież tyle rzeczy jest potrzebnych w gospodarstwie domowym – tłumaczyła jej Mrs Buster w przekonaniu, że jej dzieła, zakupione przez Sarah, wkrótce ozdobią stół wielebnego. I wszystko wskazywało na to, że Mrs Buster była z tego powodu bardzo szczęśliwa. Sarah przytaknęła uprzejmie. Wszystkie oferowane tu wyroby uważała po prostu za brzydkie, ale pomyślała, że nabyte przez nią przedmioty są równie dobre jak każde inne.

Sam wielebny widział ją tego popołudnia tylko z daleka. Najpierw rozmawiał z kilkoma paniami z gminy, a teraz z kolei dyskutował z pozornym ożywieniem z Miss Arrowstone. Rektorka przybyła na festyn wraz z dziewięcioma uczennicami, które podobnie jak Gloria nie mogły wyjechać do domu, i dwiema nauczycielkami, które z kolei nie miały żadnego pomysłu na spędzenie wakacji gdzie indziej niż w Sawston. Dziewczynki zabawiały się, plotąc dla siebie wianki z kwiatów, a rudowłosa Lilian, ubrana w świąteczną sukienkę, wyglądała jak mała wróżka. Gloria siedziała wśród nich i znów patrzyła markotnie przed siebie. Ktoś musiał jej znowu dokuczyć, bo zdjęła z głowy swój wianek i odrzuciła go z wyraźną niechęcią. I tak zresztą nie trzymał się na jej sztywnych, mocno kręconych włosach, które tego dnia miała rozpuszczone. Zwykle próbowała je zaplatać, co było bardzo trudne, a gdy się w końcu udało, warkocze sterczały na boki, jak gdyby były usztywnione jakimiś drutami. Sarah pocieszała dziewczynę, mówiąc, że włosy muszą urosnąć i wówczas uplecione warkocze będą opadać pod własnym ciężarem, podobnie jak u innych dziewcząt. Ale Gloria nie za bardzo w to wierzyła.

Brigit Pierce-Barrister spoglądała tęsknie w stronę wielebnego. Ona z kolei wyglądała jak korpulentna nimfa, a jej sukienka była zbyt dziecinna w zestawieniu z kobiecą figurą dziewczyny. Sarah zastanawiała się, dlaczego Miss Arrowstone nie kazała dziewczynie przynajmniej upiąć włosów.

Brigit podeszła teraz do wielebnego i coś do niego powiedziała – Christopher odpowiedział, patrząc jej w oczy i uśmiechając się. Sarah poczuła nagle ukłucie zazdrości. Była to bzdura; ta mała mogła się w nim durzyć, ale wielebny z pewnością nie zachęcałby do niczego siedemnastoletniej dziewczyny.

Sarah zastanawiała się, czy nie powinna wstać i usiąść przy stole przeznaczonym dla Oaks Garden. Z pewnością rozmowa z nauczycielkami byłaby bardziej interesująca niż wysłuchiwanie plotek, które Mrs Buster wymieniała ze swoimi przyjaciółkami. Ale Christopher z pewnością znów zrugałby Sarah za to – a ona nienawidziła być powodem jego złości czy niechęci. Niepokoiło ją to, bo z początku nie miała żadnych oporów, kiedy mu się z jakiegoś powodu sprzeciwiała. Od kiedy wyznali sobie miłość, Christopher wprawdzie ganił ją rzadziej, „karał” ją jednak ciągle, choć co prawda nieco bardziej subtelnie. Kiedy Sarah rozgniewała go jakimiś słowami albo tym, co robiła, wielebny jej nie dostrzegał i ignorował ją potem całymi dniami, nie trzymał też jej ręki w ów wprost chwytający za serce sposób – i oczywiście nie brał jej w ramiona ani nie całował.

Sarah wcześniej nigdy nawet nie myślała o słowach i pełnych tklivości pieszczotach. Nigdy nie marzyła o mężczyznach, a o nich właśnie w najgłębszej tajemnicy szeptały dziewczęta w seminarium. Kilka razy zdarzyło jej się ukradkiem pogłodzić własne ciało pod kołdrą. Ale teraz czuła palącą wręcz tęsknotę i cierpiała, kiedy Christopher nagle zaczynał zachowywać wobec niej chłodny dystans. W takich dniach ogarniał ją niepokój, leżała potem nocą z szeroko otwartymi oczami i rozmyślała, czym mogła go rozzłościć i co może zrobić, aby się z nim pogodzić. W wyobraźni po raz kolejny przeżywała jego pocałunki, słyszała jego pełen tklivości głos.

Raz przemknęło jej przez głowę słowo „opętana”, ale zachnęła się pełna oburzenia na siebie samą, że w ogóle mogła użyć takiego słowa w kontekście swojej miłości do Christophera. Słowa „oczarowana” lub „zachwycona” były jej zdaniem o wiele bardziej słuszne. Sarah czuła, że w ramionach Christophera znajdzie całkowite spełnienie, i pragnęła jakoś dać wyraz temu marzeniu. O ile wręcz zeszytniała i zastygła w bezruchu, kiedy wielebny dotknął jej po raz pierwszy, to teraz miała wrażenie, że rozplywa się na samą myśl o tym. Nie była w stanie go pieścić i w jego ramionach stawała się zupełnie bezwolna. W takich chwilach nie mogła się wprost doczekać ustalenia terminu ślubu. Christopher był właściwie pewien jej ostatecznego „tak”, a romantyczne oświadczenia uważał za zbędne. Były chwile, kiedy taka sytuacja denerwowała Sarah. Ale kiedy tylko go zobaczyła, a już tym bardziej kiedy jej dotknął, natychmiast zapomniała o wszystkim. Zastanawiała się, czy nie należałoby mu napomknąć o tym, że powinien dać na zapowiedzi. Ale jej duma zawsze była silniejsza od jej słabości.

Podobnie było teraz, kiedy kapela powoli zajmowała swoje miejsca i rozpoczynały się tańce. Sarah oczekiwała, że Christopher jako pierwszą poprosi właśnie ją, ale on rzeczywiście podszedł do Miss Wedgewood. I ku ogólnemu zdumieniu poprosił ją do walca, a zaraz potem Mrs Buster.

– No widzisz, on wcale nie tańczy z Miss Bleachum! – szeptała triumfalnie Lilian do Glorii. – W ogóle nic sobie z niej nie robi.

Ostatnie, co Gloria chciała tego dnia słyszeć, to kolejne złe wiadomości. Dopiero co otrzymała list od rodziców, w którym ci zapowiadali

swój przyjazd w czasie jesiennych ferii. Właściwie mieli ją odwiedzić jeszcze tego lata, ale na razie chcieli spędzić więcej czasu w Paryżu, gdzie przebywali do tej pory.

– Mogłabyś tam przecież pojechać! – powiedziała zdziwiona Lilian i to było dokładnie to, o czym myślała Gloria. Martynowie nie obawiali się niczego, wiedząc, że będzie podróżowała samotnie z Nowej Zelandii do Anglii. Droga z Londynu do Paryża tym bardziej nie stanowiłaby problemu.

– Tak, gdyby oni tylko chcieli, aby ich kochana Gloria tam przyjechała – zakpiła złośliwie Fiona Hills-Galant. Dziewczyna usłyszała, co mówiła Lilian, i wykorzystała kolejną okazję, aby znów dokuczyć Glorii. – Ale z twoimi umiejętnościami gry na fortepianie, Glorii, będziesz zupełnie nieprzydatna na scenie. Gdybyś jeszcze choć jako tako wyglądała w tym wianku na głowie! Wtedy mogłabyś przynajmniej skakać po scenie! Razem z murzyńskimi tancerzami w spódniczkach z trzciny.

Gloria w odpowiedzi wściekłym ruchem zerwała wianek z głowy. Mimo kolejnych licznych prób poprawienia swojego wyglądu i tak nikt jej nie chciał! Nie do pomyślenia, że podobny los mógłby spotkać Miss Bleachum. Wielebny po prostu musiał ją kochać!

– No, w Mrs Buster z pewnością nie jest zakochany – zauważyła teraz w odpowiedzi na uwagę Lilian. Odczuwała ulgę, że tę polkę wielebny tańczy właśnie z Mrs Buster, a nie na przykład ze śliczną Mrs Winter.

– Oczywiście, że nie. Ale nie może tańczyć tylko z tymi kobietami, w których się kocha. To natychmiast rzuciłoby się w oczy – wyjaśniła Lilian przemądrzale. – Uwważaj, teraz zatańczysz z kilkoma starszymi damami, a potem z Brigit.

I rzeczywiście, Christopher najpierw pojawiał się na parkiecie z kolejnymi „podporami gminy”, aż wreszcie wrócił do stołu, przy którym siedziały dziewczęta z Oaks Garden. Akurat wniesiono wielką wagę z herbacianym *bowle* – był to rodzaj zimnego napoju z herbaty i soku owocowego, dzięki któremu tancerze mogli ugasić pragnienie. Brigit Pierce-Barrister pośpiesznie napełniła szklanekę i podała wielebnemu.

– Jest pan znakomitym tancerzem, wielebny! – schlebiała mu, uśmiechając się przy tym kokieterynie. – Ale czy to uchodzi, aby duchowny tańczył?

Christopher się roześmiał.

– Król Dawid też tańczył, Brigit – odparł. – Bóg dał swoim dzieciom muzykę i taniec po to, aby się tym cieszyły. Dlaczego więc jego słudzy z urzędu nie mają brać w tym udziału?

– A zatańczy pan ze mną? – spytała Brigit.

Christopher skinął głową i teraz nawet Gloria dostrzegła błysk w jego oczach.

– Dlaczego nie? Ale czy ty potrafisz tańczyć? Nie wiedziałem, że szkoła w Oaks Garden udziela lekcji tańca.

Brigit roześmiała się i mrugnęła porozumiewawczo.

– Nauczył mnie tego jeszcze w domu w Norfolk mój kuzyn...

Trzymała lekko za ramię wielebnego, a on zgrabnie prowadził ją po parkiecie w rytm muzyki.

Gloria spojrzała na Sarah porozumiewawczo. Młoda nauczycielka także obserwowała z uwagą swojego prawie narzeczonego. Sprawiała wrażenie bardzo spokojnej, ale Gloria знаła ją zbyt dobrze i wiedziała, że jest rozgniewana.

Brigit wtuliła się całkiem wyraźnie w ramiona wielebnego i posłusznie pozwalała prowadzić się w tańcu. Oczywiście nie było w tym nic niestosownego, ale dało się zauważyć, że dla nich obojga z pewnością nie było to nic w rodzaju obowiązkowego ćwiczenia.

– Piękna para! – zauważyła w dodatku Mrs Buster, dodając: – Chociaż oczywiście ta dziewczyna jest dla niego o wiele za młoda. A pani nie tańczy, Miss Bleachum?

Sarah chciała odpowiedzieć ostro, że owszem, tańczy, i to bardzo chętnie, o ile ją ktoś poprosi, ale się powstrzymała. Po pierwsze byłoby to bardzo niestosowne, a po drugie nie odpowiadałoby prawdzie. Sarah nie była dobrą tancerką. Tańczyć w okularach – byłoby dla niej niemiłe, gdyby musiała pokazać się w nich na parkiecie, ale z kolei bez nich była niemal ślepa. Dlatego dotychczas w ogóle rzadko miała okazję odczuwania przyjemności płynącej z tańca. W gruncie rzeczy bez wielkiego problemu mogłaby z tego zrezygnować, gdyby nie palące pragnienie znalezienia się w ramionach Christophera, tak jak teraz ta mała impertynencka Brigit na parkiecie.

– Czy ma pan jeszcze zakładkę do książek wykonaną przez Mary Stellington? – spytała Brigit. – Ach, ta mała Mary! Jest jeszcze taka dziecinna i kwiaty do tej zakładki nosiła na piersiach. A teraz wypatruje każdego dnia, czy rzeczywiście nosi ją pan przy sobie...

Christopher roześmiał się i przyciągnął Brigit do siebie jeszcze bardziej. Było to uzasadnione, bo kapela gładko przeszła z polki do walca.

– Możesz jej powiedzieć, że jestem zaszczycony – odpowiedział. – Ale masz rację, to rzeczywiście urocze dziecko... – Bawił się delikatnie jej palcami.

– Ale pan woli przecież dorosłe kobiety, prawda, wielebny? – wyszeptwała Brigit uwodzicielskim tonem. – Zastanawiam się, czy się panu podobam...

Christopher, pozornie poruszony, zagryzł wargi. Teraz właśnie rozpoczynała się gra, którą uwielbiał. Pytanie, kto komu prędzej zaoferuje swoją niewinność – dziewczyna duchownemu czy duchowny kobiecie. Ale z początku wszystko ograniczałoby się do niewinnych flirtów, słów i dotknięć. A w przypadku tak młodej dziewczyny skończyłoby się na pocałunkach. Chociaż... Brigit wydawała się bardziej doświadczonej, niż sądził...

Więcej niż dwa tańce, i to z tak młodą partnerką – to nie uchodziło wielebnemu. Dlatego Christopher po walcu rozstał się z Brigit, choć co prawda niezbyt chętnie, ale to też należało do gry. Skłonił się przed nią bardzo formalnie i odprowadził ją do stołu. Kiedy przysuwał Brigit krzesło, usłyszał rozmowę dwóch dziewczyn.

– Wiesz, on jest w niej zakochany! – szeptała Lilian z triumfem. – Mówiłam ci. Tańczy z nią, ale najchętniej to by ją pocałował. A na Miss Bleachum nawet nie spojrzy...

Christopher znieruchomiał. Znów ten rudowłosy skrzat! Cholera! Czy skłonność, jaką odczuwał do Brigit Pierce-Barrister, rzeczywiście była aż tak wyraźnie widoczna? A może ta dziewczynka miała jakiś dodatkowy zmysł? W każdym razie już na ten temat plotkowano. Jeśli Christopher nie chciał stracić twarzy, to szybko musiał coś wymyślić. Wielebny przypomniał sobie ostatnią reprimendę, jaką otrzymał od biskupa, i poczuł się parszywie. Jeśli jeszcze raz coś dotrze do uszu przełożonego, może za to zapłacić utratą posady. A Christopher tak lubił przebywać w Sawston... Przestał się wahać, uśmiechnął się raz jeszcze do uczennic i nauczycielek z Oaks Garden i ruszył w stronę Sarah.

– Czy zatańczysz ze mną, moja droga? – zapytał uprzejmie.

Sarah skinęła głową, uśmiechając się radośnie. Zaledwie przed chwilą wyglądała na rozgniewaną i wielebny zastanawiał się, czy także coś dostrzegła. Ujął ją za rękę i pomyślał, że czas na kolejny krok. Bo czyż sam już dawno temu nie zdecydował, że Sarah była mu przeznaczona przez Boga? Nadszedł czas, aby wszystko przyspieszyć.

Sarah zdjęła okulary i posłusznie poszła za swoim kuzynem na parkiet. Jak cudownie było znaleźć się znowu w jego objęciach. Sarah miała uczucie całkowitego poddania się jego prowadzeniu, ale Christopherowi się wydawało, że ma w ramionach worek mąki. Albo musiał ją ciągnąć, albo ona deptała mu po stopach. Mimo to zmusił się do pełnego tkliwości uśmiechu.

– Piękny festyn, moja droga – zauważył. – A ty masz w tym swój wielki udział. Niewiele zrobilibyśmy bez twojej pomocy.

Sarah podniosła głowę i spojrzała na niego – widziała jego twarz jak za mgłą.

– Ale niewiele czasu spędzam z tobą – poskarżyła się łagodnie. – Czy musisz tańczyć z tymi kobietami? Mrs Buster już i tak pozwoliła sobie na niemiłą uwagę...

Christopherowi zrobiło się najpierw zimno, a potem gorąco. A więc ta stara wiedźma też coś zauważyła. Tym bardziej więc nie należało zasypiać gruszek w popiele.

– Sarah, kochanie, Mrs Buster nie przepuści żadnej okazji, żeby tylko poplotkować. Ale jeśli się zgodzisz, to ona także usłyszy pewną

radosną wiadomość. Chcę się z tobą ożenić, Sarah! Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybyśmy ogłosili to dziś całemu światu?

Sarah zaczerwieniła się natychmiast i nie była już w stanie tańczyć. Wreszcie! Wreszcie o to zapyta! Jakiś cichutki głos gdzieś w głębi jej samej protestował nieśmiało – Sarah uważała, że oświadczyzny powinny mieć miejsce w nieco innych okolicznościach. I właściwie od niej samej Christopher też powinien usłyszeć sakramentalne „tak”, zanim zacznie o tym trąbić na cały świat. Ale ten głos należał do dawnej Sarah, kobiety, którą była, zanim zaczęła naprawdę kochać. Zmusiła się do uśmiechu.

– Proszę... chciałabym... to znaczy... Nie, nie mam nic przeciwko temu.

– Miss Bleachum wygląda jak uderzona obuchem – zauważyła lekceważąco Lilian.

Wielebny poprosił kapelę o chwilę ciszy i stojąc na parkiecie, ogłosił przed całą gminą, że właśnie zaręczył się oficjalnie z Sarah Bleachum. Sarah sprawiała przy tym takie wrażenie, jak gdyby chciała się zapaść pod ziemię; była blada, a na jej policzkach pojawiły się ceglastoczerwone plamy.

Gloria doskonale wiedziała, co czuła jej nauczycielka. To musiało być okropne, kiedy ona stała tam na górze, a wszyscy się na nią gapili. I w dodatku Brigit i Mrs Emily Winter bynajmniej nie patrzyły życzliwie. A Miss Wedgewood dopiero co miała zupełnie inny wyraz twarzy. Ona też z pewnością robiła sobie jakieś nadzieje, jeśli chodzi o osobę wielebnego. Bo właściwie oni oboje całkiem dobrze do siebie pasowali, kiedy widziało się ich w tańcu. W dodatku Miss Wedgewood grała na organach o wiele lepiej niż Miss Bleachum. Ale oczywiście Gloria się cieszyła, że wreszcie zapadła jakaś decyzja co do losów jej domowej nauczycielki. Teraz Miss Bleachum z pewnością tu zostanie – będzie ją mogła dalej pocieszać, dyktować jej listy do domu, a wszystko po to, aby nikt nie zauważył, jak bardzo ona, Gloria, była nieszczęśliwa.

– W każdym razie nie wydaje mi się, żeby Miss Bleachum była szczęśliwa – orzekła Lilian.

Gloria postanowiła przestać zauważać swoją kuzynkę.

Charlotte była zdania, że Jack przesadza, martwiąc się tak bardzo o Glorię.

– Oj Boże, rzeczywiście te jej listy robią wrażenie nieco drętwych – oświadczyła. – W przeciwieństwie do listów Lilian, ta z kolei jest jak żywe srebro. Ale Gloria ma już trzynaście lat i nie w głowie jej przelewanie na papier głębokich myśli. Prawdopodobnie chce jak najszybciej skończyć szkołę i nie zastanawia się nad treścią listów.

Jack zmarszczył czoło. Oboje siedzieli właśnie w pociągu jadącym z Greymouth do Christchurch i raz jeszcze wspominali najpiękniejsze chwile swojej podróży poślubnej. Było naprawdę wspaniale. Caleb Biller okazał się bardzo ciekawym partnerem do rozmów dla Charlotte i dał im obojgu wiele wskazówek, jeśli chodzi o wycieczki po kraju. Elaine i Tim rzadko wychodzili z domu – nawet jeśli Timothy się do tego nie przyznawał, to zwykły powszedni dzień doprowadzał go niejednokrotnie do krańcowego wyczerpania. Jego biodro po wypadku nie zrosło się dobrze i bolało wprost potwornie, kiedy przeszedł o kilka kroków za dużo albo kiedy siedział na zbyt twardym krześle. Tim się cieszył, kiedy w weekendy i święta mógł siedzieć w swoim fotelu i poświęcać się całkowicie rodzinie. Wędrowki i podziwianie cudów natury takich jak Pancake Rocks w ogóle nie wchodziły w grę.

Elaine, prawdziwe dziecko natury, jeździła regularnie konno, ale tylko po najbliższej okolicy. Jackowi i Charlotte chętnie pożyczała niewielką bryczkę i jednego ze swych koni, aby oboje mogli robić długie wycieczki po zachodnim wybrzeżu wyspy. Caleb Biller był tu znakomitym doradcą, a raz czy dwa razy towarzyszył młodej parze w wyprawie do znanych mu szczepów Maorysów, gdzie zostali bardzo gościnnie przyjęci. Charlotte cieszyła się, mogąc usłyszeć jedną z pieśni weselnych zwanych *haka*, którą zaintonowano specjalnie dla niej, i zaskoczyła wszystkich swoją świeżo nabytą znajomością języka.

– Ma pani wszelkie dane, aby osiągnąć wiele sukcesów, badając ich kulturę – stwierdził pod koniec wizyty Caleb. – Mało kto dotychczas zajmował się ich mitami i legendami. Kura i ja interesowaliśmy się bardziej muzyką, a mnie zachwyliło też ich rzeźbiarstwo. Ale zasłuży sobie pani na wielkie uznanie, jeśli najpierw zajmie się pani ich dawnymi opowieściami, które potem splotły się tak bardzo z nowszymi wydarzeniami w ich dziejach. Świadomie nie używam tu słowa „rozplynęły się” – istotą kultury przekazywanej ustnie jest to, że znakomicie dopasowuje się do przemian czasowych. A właśnie Maorysi są wprost mistrzami w dopasowywaniu się. I jest mi czasem bardzo przykro, kiedy widzę, jak szybko rezygnują z dawnych form swojego życia i przystosowują się do zwyczajów *pakeha*, które wydają im się bardziej komfortowe. Też będzie pani tego kiedyś żał, a dobrze by było, gdyby stare przekazy i tradycje się zachowały.

Charlotte była dumna z pochwały i z prawdziwą pasją poświęcała się swoim studiom. Jack się cieszył i aprobował to zupełnie, a tymczasem odświeżał swoją dawną przyjaźń z Elaine, pomagając jej w układaniu psów i towarzysząc w konnych przejażdżkach. Siłą rzeczy ich rozmowy schodziły na temat obu dziewcząt w angielskim internacie. I troska Jacka o Glorię rosła, kiedy Elaine opowiadała mu, co o szkole pisała w swych listach Lilian.

– Gloria nie traktuje świata płytko i powierzchownie – mówił Jack do swojej żony. – Wręcz przeciwnie, najpierw rozmyśla aż za dużo, zanim się czymś zajmie. A życie na Kiward Station pochłaniało ją w swoim czasie zupełnie. A teraz... Ani jednego pytania na temat owiec i psów... Kochała cukyki, a teraz nawet o nich nie wspomina! Nie wierzę, że tak całkowicie pochłonęły ją gra na fortepianie i malowanie!

Charlotte się uśmiechnęła.

– Dzieci się zmieniają, Jack. Przekonasz się o tym, kiedy będziemy mieli własne. Myślę, że to wkrótce nastąpi – a może jesteś innego zdania? Chciałabym mieć najpierw dziewczynkę, a potem chłopca. Ty też? A może lepiej najpierw syna?

Bawiła się włosami, najwyraźniej chcąc je rozpleść. A przy tym zerkała porozumiewawczo to na Jacka, to na szerokie łóżko, które stało pośrodku salonki George’a Greenwooda. Ale dla Jacka kochanie się w rytm stukającego pociągu było irytujące, choć zdaniem Charlotte powinna to być jedna z najważniejszych chwil ich podróży poślubnej.

Pocałował ją.

– Przyjmę to, co mi podarujesz! – powiedział tklawie i przeniósł ją na łóżko. Charlotte była lekka jak piórko, zupełnie inaczej niż Gloria, która już jako dziecko była ciężka i raczej silnej budowy... Jack jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że nagle przystosowała się do życia w internacie szkoły takiej jak Oaks Garden.

– Jeśli cię to tak niepokoi, to dlaczego do niej nie napiszesz? – spytała nagle Charlotte. Wydawało się, że czytała w jego myślach; w każdym razie czuła, że Jacka z pewnością coś gnębiło. A powodem tego była Gloria, Charlotte była tego pewna i dlatego żałowała, że nie dane jej było poznać dziewczynki bliżej. Było to niemal tak, jak gdyby z tego powodu umknęła jej jakaś ważna część osobowości Jacka. – Napisz do niej długi, bardzo osobisty list, a nie coś w rodzaju sprawozdań inwentaryzacyjnych, które co kilka dni wysyła jej Miss Gwyn. Ona też nie jest zbyt dobra w epistolografii, a jej sztywne i nudne listy są właściwie podobne do listów Glorii. Bo jak to brzmi: „Zgodnie z ostatnimi wyliczeniami stan owiec na Kiward Station wynosi jedenaście tysięcy trzysta sześćdziesiąt jeden”. Kogo to interesuje?

Jack pomyślał, że coś takiego jednak cieszy Glorię. Tak, napisze do niej długi list... Ale teraz miał co innego do roboty...

Cała wieś Sawston wydawała się całkowicie pochłonięta przygotowaniem do wesela ich wielce szanownego wielebnego. Jako datę podniosłej uroczystości wyznaczono dzień piątego września, a sam biskup nie omieszkął zawiadomić, że przyjedzie połączyć węzeł małżeński Christophera i Miss Bleachum. Biskup zaprosił też parę do siebie do domu, kiedy tylko dowiedział się o zaręczynach, i Sarah udało się zrobić na nim znakomite wrażenie. Małżonka biskupa rozmawiała z nią o obowiązkach dobrej żony pastora, wykazując wiele zrozumienia dla faktu, że Sarah czuła się tym wszystkim przeciążona.

– Do tego się pani z pewnością przyzwyczai, Miss Bleachum. A pani przyszły małżonek dopiero zaczyna karierę. Przy czym, o ile dobrze rozumiałam mojego męża, już teraz znakomicie się spisuje. Z pewnością czekają na niego jeszcze poważniejsze zadania, a kiedy będzie miał do dyspozycji chętnego do pomocy wikarego, to pani także będzie mogła poświęcić się tym zadaniom, na których będzie pani naprawdę zależało...

Sarah zadawała sobie w duchu pytanie, jakie to będą zadania. Jak dotychczas żadne prace związane z kościołem w ogóle jej nie interesowały. Ale mimo wszystkich dręczących ją wątpliwości wystarczyło zaledwie spojrzenie brązowych oczu Christophera bądź przypadkowe dotknięcie jego ręki i Sarah była natychmiast całkowicie przekonana o swoim powołaniu do roli żony pastora.

Zachowała więc całkowity spokój, kiedy Mrs Buster upierała się, aby przymierzyła suknię ślubną w stylu mniej więcej lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wysłuchiwała też cierpliwie matek wszystkich swoich uczniów ze szkoły niedzielnej – każda z nich przekonywała ją, że to właśnie jej córka lub syn powinni nieść welon lub rozsypywać kwiaty w czasie ceremonii. Sarah próbowała jedynie w możliwie dyplomatyczny sposób zwrócić uwagę, że Lilian Lambert i Gloria Martyn mają tu pierwszeństwo. Choć co prawda Gloria bardzo chętnie zrezygnowałaby z tego przywileju.

– Nie jestem przecież ładna, Miss Bleachum – wymamrotała. – Ludzie będą się tylko śmiać, kiedy będą pani druzną.

Sara potrząsnęła głową.

– Będą się także śmiali, kiedy ja założę okulary – odparła. – Choć co prawda jeszcze nie zdecydowałam, czy to zrobię. Może jednak nie.

– Ale wówczas zablądzi pani już w drodze do ołtarza – zwróciła uwagę Gloria. – A właściwie... właściwie wielebny powinien panią kochać także w okularach, prawda?

Gloria świadomie podkreśliła słowo „prawda”. Ona sama dawno już straciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie kochana tylko ze względu na to albo pomimo tego, jaka jest. Oczywiście czytała wszystkie listy, które pisała do niej babcia Gwyn, i wierzyła wszystkim członkom rodziny McKenzie, że bardzo za nią tęsknili. Ale czy oni rzeczywiście kochali Glorię? Czy też chodziło tutaj o dziedzictwo Kiward Station?

Gloria spędzała całe noce na rozmyśleniach, dlaczego babcia Gwyn poddała się tak łatwo woli jej rodziców – jak gdyby było to zrozumiałe samo przez się. Wydawało jej się, że Jack był temu przeciwny. Ale on nie odpowiedział na jej list. Nie przyjedzie, aby ją stąd zabrać. Prawdopodobnie zupełnie o niej zapomniał.

– Wielebny kocha mnie w okularach i bez, dokładnie tak samo, jak ja kocham ciebie, Glory, bez względu na to, czy w tych brzydkich sukienkach w kwiaty wyglądasz dobrze, czy źle. I twoja prababcia też cię kocha, i twoi rodzice...

Miss Bleachum zadała sobie sporo trudu, aby mówić przekonująco, ale Gloria wiedziała, że kłamała.

Za to Lilian była zachwycona wszystkim, co miała do zrobienia jako drużna Sarah, i nie potrafiła mówić o niczym więcej. Najchętniej podjęłaby się też gry na organach, ale tym zajęła się Miss Wedgewood, choć prawdę mówiąc, miała w czasie prób nabzdyczoną minę.

Christopher Bleachum był zadowolony z postępu wszystkich przygotowań, choć co prawda ogarniała go nostalgia, kiedy w czasie nabożeństwa widział Brigit Pierce-Barrister. Nie podtrzymywał już delikatnych więzi, które rozwinęły się między nim a dziewczyną. Teraz, kiedy był oficjalnie zaręczony, chciał być wiernym narzeczonym. Bez względu na to, jak trudne miałyoby to być, był też zdecydowany zostać dobrym, wiernym i troskliwym mężem Sarah – nawet jeśli Mrs Winter znów patrzyła na niego z zainteresowaniem, ale i niemal ze współczuciem. Wiedziała chyba, że Sarah wcale nie była kobietą, o której on marzyłby przez całe życie. A z drugiej strony ani Emily Winter, ani też Brigit Pierce-Barrister nie miały przecież żadnych predyspozycji ku temu, by zostać małżonką pastora. Christopher nie patrzył już na obie kobiety, ubiegał się o względy Sarah ze zdwojoną gorliwością i uważał to za bardzo chrześcijański, ale też wręcz heroiczny uczynek ze swojej strony. Sarah zaś stała się czymś na kształt wosku w jego rękach; ulegała mu zbyt łatwo i właśnie dlatego całkowicie, ale to zupełnie go nie podniecało.

Wielki dzień był coraz bliżej, a w całej gminie aż kipiało. Sarah chodziła na przymiarki i płakała rzewnymi łzami, gdy się okazało, że suknia leży fatalnie. W dodatku liczne, bardzo obfite falbany robiły jej zdaniem wrażenie dziecinnych. Jej i tak mało widoczne kształty ginęły w obfitości satyny i tiulu.

– Doprawdy, nie jestem próżna, ale nie mogę się tak pojawić przed biskupem! – skarżyła się Christopherowi. – Cenię dobrą wolę Mrs Buster i Mrs Holleer, ale one naprawdę nie umieją szyć! Teraz chcą to poprawić, lecz tu niewiele da się zrobić...

Christopher nie zajmował się dotychczas takimi sprawami, ale rozumiał Sarah, że chciała stanąć przed ołtarzem ubrana jak najbardziej stosownie. Matronom gminy oczywiście bardzo pochlebiał fakt, że mogły ubierać do ślubu narzeczoną pastora i do tej pory Christopher raczej uspokajał narzeczoną. Ale jeśli suknia rzeczywiście tak bardzo nie pasowała...

– Mrs Winter jest bardzo dobrą krawcową – powiedział. – Sądzę, że ona będzie potrafiła to wszystko poprawić. Porozmawiam z nią jutro.

– Trudno nie dopatrywać się w tym pewnej ironii – stwierdziła Emily Winter, kiedy Christopher zastukał do niej i wyłuszczył swoją prośbę. – Akurat ja mam szyć ślubną suknię dla twojej narzeczonej dziewczycy... Bo ona jest jeszcze dziewczyną, prawda?

Emily stała w drzwiach swojego domu. Nie było to spotkanie sam na sam, ale zachowywała się tak, aby wydać mu się jak najbardziej ponętną. Emily była drobną, ale doskonale zbudowaną kobietą o wyraźnych, krągłych kształtach i nieco lalkowatej twarzy z olśniewająco białą, miękką cerą. Ciężkie powieki przysłaniały zielono-brązowe oczy, a bujne, mocno kręcone brązowe włosy opadały zwykle luźno na kark, jeśli nie miała ich związanych w ciasny kok, tak jak teraz.

– Oczywiście, że nawet jej nie dotknąłem! – oświadczył Christopher. – I proszę cię, Emily, nie patrz tak na mnie. Jestem już prawie żonatym mężczyzną, a to, co było między nami, przysporzyło nam dostatecznie dużo kłopotów...

Emily roześmiała się nieco ochryple.

– A mimo to byłbyś skłonny oddać parę lat swojego życia za to, żebym to ja kroczyła koło ciebie w dniu twojego wesela i powiedziała skromne „tak” przed ołtarzem. A może już mnie nie pragniesz?

– Nie chodzi o to, czy cię pragnę, czy nie, Emily, chodzi o moją dobrą opinię. Także o twoją, nie powinnaś o tym zapominać. A więc jak, będziesz skłonna pomóc Sarah?

Christopher daremnie próbował ukryć zdenerwowanie. Emily skinęła głową i odrzekła:

– Zrobię z tej myszki wszystko, co możliwe. Powinniśmy ukryć Sarah za gęstym welonem, prawda? – Roześmiała się znowu. – Przyślij ją, proszę, do mnie jak najszybciej. Znam Mrs Buster. Suknię trzeba będzie całkowicie przerobić.

Sarah pojawiła się u niej jeszcze tego samego popołudnia i znów załapała się łzami, kiedy powtórzyła przymiarkę przed lustrem Mrs Winter. Emily wzniosła oczy do nieba. „Jeszcze w dodatku beksa” – pomyślała. Ale postanowiła dotrzymać obietnicy. Odpruła szybko wszystkie falbany i tiule i poleciła Sarah, która dotychczas nosiła tylko kostiumy, a latem luźne suknie, aby włożyła ciasny, sztywny gorset.

– Nie będę mogła w tym oddychać! – stękała Sarah, ale Emily potrząsnęła głową.

– Brak tchu bardzo przystoi młodej narzeczonej! – oświadczyła. – A gorset podniesie pani piersi i uwydatni biodra. To konieczne! Będzie pani miała teraz zupełnie inną figurę, proszę mi wierzyć!

Sarah rzeczywiście patrzyła zafascynowana w lustro i przyglądała się, jak Mrs Winter zwęzła dół sukni, powiększyła dekolt i dopasowywała całość.

– Dekolt jest zbyt otwarty! – protestowała Sarah.

Emily wykonała z tiulu sporą wkładkę, dzięki której suknia uniosła się do góry, dekolt rzeczywiście nie był już tak duży, ale też biust Sarah był teraz wyraźnie widoczny. Młoda kobieta była wyraźnie ucieszona, kiedy opuszczała dom Mrs Winter. Uparła się tylko przy długim, prostym welonie, choć Emily doradzała nieco bardziej wymyślną ozdobę głowy.

– To przynajmniej ułożę pani włosy – ustąpiła w końcu. – Z pewnością będzie to wyglądać o wiele lepiej, kiedy nie będzie pani miała włosów tak skromnie zaczesanych do tyłu.

Sarah prawie nie rozpoznała siebie samej, kiedy w dniu swojego wesela raz jeszcze stanęła przed lustrem. Emily Winter zdążyła poprawić wszystko dosłownie w ostatniej minucie i suknia leżała teraz jak ulał. Oczywiście Sarah ledwo mogła się poruszać w ciasnym gorsecie, ale jej odbicie w lustrze było aż niewiarygodne.

Lilian i Gloria wręcz zaniemówiły z podziwu.

– A może uszyłaby pani coś dla mnie... – zaczęła Gloria niepewnie.

Obie dziewczynki nie wyglądały najlepiej w swoich sukienkach, które uszyto specjalnie dla nich jako druzhen. Nie dość, że Mrs Buster uparła się przy różowym kolorze, to w dodatku krój, przypominający bombkę, nie pasował nawet do drobnej Lilian. W dodatku kolor sukienki kontrastował nieprzyjemnie z rudymi włosami Lilian. A Gloria sprawiała po prostu wrażenie grubej.

– Musisz jeszcze trochę urosnąć – stwierdziła Mrs Winter. – Wtedy wydasz się szczuplejsza. Najlepsze będą dla ciebie luźne, szerokie

sukienki. A ta szarfa w talii jest zupełnie niepotrzebna. Nie będziemy się tym jednak przejmować, bo sukienki druchen powinny być brzydkie. Nie może być tak, żeby byle kwiaciarki były ładniejsze niż panna młoda.

„W tym wypadku nie byłoby to takie trudne” – pomyślała Emily. Mimo to była bardzo zadowolona z wyników swojej pracy, choć zrobienie z Sarah Bleachum prawdziwej piękności wymagało też zupełnie innych wysiłków niż szycie. Zaczęło się od tego, że biały kolor zupełnie nie pasował do karnacji Sarah. W zestawieniu z nim jej cera wydawała się jeszcze bledsza, a rysy twarzy traciły swój wyraz. Wymyślnie upięty welon mógłby to poprawić, ale skoro Sarah uparła się przy czymś tak prostym...

Emily udrapowała welon, tak jak tylko to było możliwe na włosach Sarah, których młoda kobieta za nic nie chciała rozpuścić. Zgodziła się jedynie na ich nieco bardziej wyrafinowane upięcie i ozdobienie wiankiem, który uplotła Lilian z zebranych przez siebie letnich kwiatów. Panna młoda wyglądała w swojej kreacji naprawdę prześlicznie.

Emily Winter zrobiła wszystko, co możliwe. I miała zamiar zażądać za to zapłaty od Christophera.

Christopher Bleachum czekał na narzeczoną w zakrystii. Był szczęśliwy, że miał tu odrobinę spokoju i mógł pozbierać myśli przed zrobieniem tak decydującego kroku. Biskup gawędził ze swoimi owieczkami przed kościołem, a kobiety chyba ciągle jeszcze szykowały Sarah. Coś takiego mogło jeszcze jakiś czas potrwać. Christopher spacerował nerwowo z kąta w kąt.

Nagle usłyszał otwierające się drzwi bocznej furty, która prowadziła z cmentarza do przedsionka zakrystii. Wielebny zwykle zostawiał tam w deszczowe dni swój mokry płaszcz i buty. Ale dziś był akurat suchy wczesnojesienny dzień, a kobieta, która właśnie weszła do zakrystii, miała na sobie elegancką jasnozieloną suknię oraz ciemnozielony szal. Jej bujne, mocno kręcone włosy były spięte z tyłu klamrą i opadały luźno na ramiona. Figlarny zielony kapelusik podkreślał ich głęboki brązowy kolor.

– Emily! Co ty tu robisz?

Wielebny patrzył na kobietę zdumiony, ale i nieco poirytowany jej nagłą wizytą.

Emily Winter zmierzyła wzrokiem jego szczupłą, lecz silną postać w eleganckim czarnym surducie, który Christopher wypożyczył specjalnie na wesele.

– No a jakżeby? Prezentuję ci oto owoce mojej pracy. Spójrz... – To mówiąc, wskazała na małe, boczne okno zakrystii. Było stąd dobrze widać wiodące do kościoła schody – i właśnie tam Emily pod jakimś pretekstem kazała stanąć Sarah. Młoda narzeczoną rozmawiała z Lilian i Gloria, które wyglądały niemal jak karty wykonane z lukru. Christopher patrzył zdumiony na narzeczoną – odmienioną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Postać Sarah była teraz wyprostowana i delikatna, a satynowa suknia znakomicie wydobywała i podkreślała jej kształty. Dzięki wymyślnie splecionym i upiętym włosom jej twarz była nieco pełniejsza.

– Podoba ci się? – spytała Emily, podchodząc bliżej do Christophera.

Wielebny westchnął głęboko.

– Emily... Mrs Winter... oczywiście, że mi się podoba. Ty... Pani... dokonała cudu...

Emily się roześmiała.

– To tylko kilka czarodziejskich sztuczek. Dziś wieczorem księżniczka zamieni się z powrotem w Kopciuszka. Ale wówczas nie będzie już odwrotu...

– Już teraz nie mam odwrotu! – Christopher próbował się cofnąć, choć zrobił to niechętnie. Czuł rosnące podniecenie i urok zakazanego owocu będącego w zasięgu ręki. Co by było, gdyby raz jeszcze wziął Emily? Tutaj, obok swojego kościoła, zaledwie kilkanaście metrów od swojego biskupa... i od Sarah.

– Ale chyba nie jest za późno na kilka pięknych wspomnień – kusił Emily. – Chodź, wielebny... – Wypowiedziała to słowo powoli i namiętnie. – Mój mąż wznosi właśnie toast za szczęście młodej pary, biskup błogosławi wszystkie wiejskie bachory, a twoja Sarah pociesza swoją brzydką Głorię, mimo że ta wygląda dziś jak tłusty flaming. Nikt nie będzie nam przeszkadzał...

Zsunęła z ramion szal. Christopher zobaczył jej dekolt i zapragnął ukryć twarz w piersiach Emily.

– Chodź, Christopher, jeszcze jeden jedyny raz...

Sarah nie mogła się zdecydować. Wyglądała teraz tak pięknie – po raz pierwszy w życiu! Oczami wyobraźni widziała już promieniejące radością oczy Christophera, kiedy będzie do niego podchodziła w kościele. Z pewnością nie będzie mógł uwierzyć w jej odmianę. On będzie *musiał* ją teraz kochać jeszcze bardziej niż przedtem.

„Wszystka *jestes piękna, przyjaciółko moja!* A nie masz w tobie zmayı”... Biblijna *Pieśń nad pieśniami* z pewnością będzie miała teraz dla Christophera zupełnie inne znaczenie – także dla Sarah. Bo ona, Sarah, czuła się teraz piękna – także dzięki miłości odczuwanej do narzeczonego.

Gdyby nie te okropne, wielkie okulary! Sarah dobrze wiedziała, że jej oczy za nimi wydawały się olbrzymie, okrągłe i przypominały jej zdaniem oczy krowy, a także przysłaniały jej delikatne rysy. Marzyła o tym, aby móc ich nie zakładać na nos. Ale gdyby je teraz zdjęła, to pozbawiłaby samą siebie tak upragnionego widoku rozradowanych oczu ukochanego przed ołtarzem. I musiałyby macać na ślepo, aby znaleźć obrączkę... Gloria miała rację, mogłoby się też zdarzyć, że idąc w stronę ołtarza, po postu przewróciłaby biskupa. A coś takiego nie mogło się przecież zdarzyć. Sarah nie chciała i nie mogła być niemal ślepa w czasie własnego ślubu i wesela. Ewentualnie kilka minut bez okularów, kiedy jej ukochany będzie ją prowadził, to jeszcze wchodziło w grę. Ale nie w czasie całej ceremonii.

Ale może jednak da się coś zrobić. Christopher powinien ją zobaczyć taką piękną jeszcze przed ślubem, mimo że to ponoć przynosi nieszczęście. Aż tak źle z pewnością nie będzie, kiedy choć spojrzy na nią przed wejściem do kościoła. Sarah postanowiła wejść na chwilę do zakrystii, opowiedzieć mu, jak wspaniale pracowała Emily – a może wówczas on ją pocałuje. Tak, na pewno ją pocałuje, nie może być przecież inaczej! Sarah odgarnęła welon i uniosła lekko suknię.

– Dziewczęta, zaraz wrócę. Powiedźcie biskupowi, gdyby pytał, że zaraz będę. Możemy zaczynać za pięć minut. Ale teraz muszę... – Mówiąc to, poprawiła okulary i ruszyła pośpiesznie w stronę wejścia do zakrystii. Drzwi nie były zamknięte. Oczywiście, że nie, przecież to Christopher wszedł tędy do środka.

Niemal bez tchu w swoim gorsecie, ale także z powodu zdenerwowania, zdjęła okulary i macając drzwi, weszła do przedsionka. Drzwi do zakrystii były otwarte. A tam... tam poruszały się rytmicznie jakieś ściśle połączone z sobą ciała, w pół leżąc na fotelu... coś zielonego i czarnego... I coś różowego. Nagie ciało?

– Christopher? – Sarah namacała ukryte w fałdach sukni okulary.

– Sarah, nie! – Christopher próbował zapobiec najgorszemu, ale Sarah właśnie założyła na nos okulary.

Emily i tak nie udałoby się dość szybko opuścić sukni... a spodnie Christophera...

Widok był nie tylko hańbiący. Był odrażający.

Ale właśnie to, co zobaczyła zakochana aż do szaleństwa i ślepa z miłości Sarah Bleachum, w mgnieniu oka sprawiło, że stała się młodą, mądrą, ale i dorosłą kobietą, której nie przerażało nawet kwestionowanie własnego świata.

Przez kilka sekund patrzyła skonsternowana na półnagie ciała w pomieszczeniu tuż obok świątyni. A potem oczy Sarah rozblęły i pojawiły się w nich wściekłość i rozczarowanie.

Christopher mimo woli pomyślał o jej ulubionych bohaterkach z Biblii. Nietrudno było sobie wyobrazić, co zrobiłyby z Emily i z nim Dafne, Estera czy Jael...

Sarah jednak nie próbowała w żaden sposób atakować. Nie odezwała się ani słowem. Błada, z zaciśniętymi ustami, gwałtownym ruchem zerwała z głowy welon.

Emily się przeraziła, że rozepnie też gorset, bo sięgnęła ręką do zapięcia sukni, ale Sarah się opanowała. Nie zaszczycając już ani jednym spojrzeniem kochanków, których przyłapała na gorącym uczynku, wybiegła z zakrystii.

– Musisz się szybko ubrać, biskup... – Emily pierwsza zdołała wrócić do rzeczywistości. Ale było już za późno.

Christopher nie sądził, że Sarah będzie teraz w stanie poinformować biskupa o tym, co zaszło. Ale biskup od kilku minut stał przed kościołem i musiał widzieć Sarah, jak nagle wybiegła z zakrystii.

Wielebny instynktownie schował głowę w ramiona i szykował się na cios. Gniew Boga był już bliski...

– Przykro mi, Glory, naprawdę jest mi bardzo przykro... – Sarah kołysała w ramionach szlochającą dziewczynkę. – Ale musisz zrozumieć, że w tych okolicznościach nie mogę tu zostać. Jak będą patrzeć na mnie ludzie?

– Wszystko mi jedno! – szlochała Gloria. – Ale jeśli pani wyjedzie teraz do Nowej Zelandii... Czy babcia Gwyn naprawdę na to pozwoliła? I czy rzeczywiście przyśle pani pieniądze na podróż?

W dniu swojego wesela Sarah Bleachum wybiegła w panice z zakrystii, ale już kiedy mijała skonsternowanych gości weselnych, zaczęła gorączkowo rozmyślać. Musiała uciec z tego miejsca, i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Najpierw z Sawston, a potem z Anglii – wiedziała, że jeśli tak się nie stanie, to zwariuje.

Dotarła bez żadnych przeszkód do domu Mrs Buster, w pośpiechu zerwała z siebie suknię, a przede wszystkim ten okropny gorset, po czym włożyła pierwszy kostium, jaki znalazła w swojej szafie. A potem pozbierała wszystkie swoje suknie i rzeczy, spakowała się i ruszyła w drogę do oddalonego o siedem mil Cambridge.

Była to odległość, którą była w stanie pokonać pieszo. Z początku niemal biegła, potem szła spokojnie, a wreszcie, wyczerpana, dreptała z trudem. Ale dzięki temu jej palący gniew nieco ustąpił, a wstyd zamienił się w znużenie i wyczerpanie. W Cambridge były hotele. Sarah miała nadzieję, że nie będzie musiała płacić z góry zbyt dużej sumy. W końcu znalazła skromny, ale sprawiający bardzo przytulne wrażenie pensjonat i zapukała. I po raz pierwszy w tym okropnym dniu miała szczęście. Gospodyni, wdowa nazwiskiem Margaret Simpson, nie zadawała żadnych pytań.

– Może mi pani później opowiedzieć, co się stało... Jeśli będzie pani miała ochotę – powiedziała łagodnie i postawiła przed Sarah filiżankę herbaty. – Najpierw musi pani wypocząć.

– Muszę koniecznie pójść na pocztę – wyszeptła Sarah. Teraz, kiedy powoli ogarniał ją spokój, zaczęła przeraźliwie marznąć i dygotała na całym ciele. – Muszę wysłać depezę... do Nowej Zelandii. Sądzi pani, że to będzie tutaj możliwe?

Mrs Simpson znów nalała herbaty i okryła ramiona Sarah wełnianym swetrem.

– Oczywiście. Ale to może poczekać do jutra...

Sarah nigdy by nie pomyślała, że będzie w stanie zasnąć po takim dniu jak ten, ale ku swemu zdumieniu spała głęboko i twardo – i obudziła się następnego ranka z uczuciem uwolnienia. Oczywiście odczuwała też wstyd oraz strach przed przyszłością. Ale przede wszystkim znikła świadomość nieznosnego przymusu. W gruncie rzeczy Sarah się cieszyła, że wróci do domu. Wszystko byłoby proste, gdyby nie Gloria.

– Twoja babcia nie musi mi „pozwałać”, abym wróciła do Nowej Zelandii, kochanie – powiedziała przyjaznym, ale jednocześnie zdecydowanym głosem. – O tym, gdzie chcę mieszkać, decyduję tylko i wyłącznie ja sama. Ale babcia Gwyn obiecała, że opłaci mi podróż powrotną, jeśli moje... hm... moje nadzieje się nie spełnią. I właśnie dostałam potwierdzenie, że dotrzyma słowa.

Rzeczywiście, Gwyneira McKenzie otrzymała telegram od Sarah jeszcze tego samego dnia – Andy McAran przywiózł go z Haldon na Kiward Station – i natychmiast też wysłała Sarah pieniądze, korzystając z pośrednictwa Greenwood Enterprises. Sarah miała więc w najbliższych dniach wyruszyć do Londynu i wsiąść na pierwszy statek płynący do Lyttelton albo do Dunedin. Ale najpierw musiała powiedzieć o tym Glorii. Z ciężkim sercem zamówiła dorożkę do Oaks Garden i z podniesioną głową weszła do szkoły, ignorując zaciekawione, ale i złośliwe spojrzenia nauczycielek i gospodyń.

Zgodnie z oczekiwaniami Glorii nie można było pocieszyć w żaden sposób.

– Czy nie może pani przynajmniej zostać w Anglii? – pytała zrozpaczona dziewczynka. – Może nawet Miss Arrowstone zatrudniłaby panią? Sarah pokręciła głową.

– Po tym, co się stało, Glory? Nie, to niemożliwe. Wyobraź sobie, że musiałabym spotykać Christophera przy okazji każdego niedzielnego nabożeństwa...

– Ale czy wielebnego nie przeniosą? – pytała Gloria. – Lily uważa, że on w ogóle powinien zostać wyrzucony.

Sarah się zastanawiała, co dziewczęta słyszały albo nawet widziały. Były przecież w pobliżu zakrystii i widziały uciekającą Sarah. I przynajmniej ciekawska Lily mogła zaraz potem pobiec do zakrystii, aby zobaczyć, co się stało. Możliwe, że także biskup poszedł za zaciekawionymi dziewczynkami... Ale bez względu na to, co opowiadała Lilian Lambert i co wiedziała Gloria Martyn, wszystko wskazywało na to, że Christopher Bleachum jednak nie straci swego stanowiska. Biskup mógł być świadkiem niegodnego zachowania wielebnego, ale nie zdradziłby się z tym przed całą gminą i władzami kościelnymi. Oczywiście Christopher otrzyma bardzo ostrą reprimendę, ale hańba nieudanego wesela będzie przypisywana Sarah. I najprawdopodobniej jej paniczna ucieczka zostanie zinterpretowana jako przejaw hysterii spowodowanej lękiem przed staropanieństwem, „biedny wielebny” stanie się zaś obiektem powszechnego żalu i współczucia.

– Nie wiem, co będzie z wielebnym, ale ja w każdym razie stąd wyjadę – oświadczyła Sarah zdecydowanym głosem. – Chciałabym móc cię z sobą zabrać, ale to niemożliwe. Lecz wkrótce przecież przyjadą tu twoi rodzice, Glory. Wówczas z pewnością poczujesz się lepiej...

Gloria bardzo w to wątpiła. Z jednej strony była ciekawa swoich rodziców, a z drugiej – obawiała się tego spotkania. Jednak miłości i zrozumienia nie oczekiwała.

– Ale mogę opowiedzieć babci Gwyn, jak bardzo jesteś tu nieszczęśliwa – powiedziała Sarah bez przekonania. – Może będzie mogła coś poradzić...

Gloria zacisnęła wargi i wyprostowała się.

– Niech się pani nie trudzi – odparła cicho.

Gloria nie wierzyła już w cuda. Wydawało się, że tak naprawdę nikt na Kiward Station za nią nie tęsknił, a Jack z pewnością nie miał zamiaru przyjechać, aby ją stąd zabrać.

Zaciskała trzymane w kieszeni list, który przyszedł tego ranka. Gwyneira McKenzie w swoim rzeczywiście suchym, rzeczowym stylu donosiła o ślubie i weselu. Jack był teraz żonaty z Charlotte Greenwood. Zapewne wkrótce będą mieli dzieci. A wobec tego Jack z pewnością zapomni o Glorii.

– Naprawdę bardzo, bardzo się cieszymy, że przyjechał pan właśnie teraz! – Miss Arrowstone witała Williama Martyna wprost euforycznie i z pewnością nie było to związane z terminem jego przybycia. Zasadniczą rolę odgrywał tu raczej urok, jaki roztaczał wokół siebie ojciec Glorii. Pominąwszy kilka wyjątków, Williamowi Martynowi zawsze udawało się owinąć sobie wokół palca każdą kobietę. Pulchna rektorka szkoły mruzczała teraz jak kot i patrzyła niemal jak zakochana na wysokiego, przystojnego mężczyznę. William Martyn miał teraz dobrze ponad czterdzieści lat, ale nadal był szczupły i postawny. W jego jasnych kręconych włosach ciągle nie było ani śladu siwizny, a jasnoniebieskie oczy i uśmiech na lekko opalonej twarzy robiły nieodpartą wrażenie. Razem ze swoją ciemnowłosą, egzotyczną małżonką stanowili uderzająco piękną parę. Miss Arrowstone zastanawiała się nieraz, jak dwoje tak świetnie wyglądających i obdarzonych wyraźną charyzmą ludzi mogło być rodzicami tak przeciętnego dziecka jak Gloria.

– Otrzymaliśmy list dla Glorii, który nas, mówiąc delikatnie, nieco zaniepokoił... – Miss Arrowstone wyciągnęła kopertę z szuflady swojego

biurka.

– A jak w ogóle czuje się tu Gloria? – spytał William swoim ujmującym głosem. – Mam nadzieję, że potrafiła się żyć z koleżankami i przynosi radość nauczycielkom.

Miss Arrowstone zmusiła się do uśmiechu.

– No tak... Pana córka ciągle jeszcze zmaga się z tą zasadniczą zmianą w życiu, jaką była przeprowadzka tutaj. Chyba nieco zaniedbano jej wychowanie tam, na drugim końcu świata...

William skinął głową ze zrozumieniem i machnął lekceważąco ręką.

– Konie, bydło i owce, Miss Arrowstone – powiedział dramatycznie. – To jest wszystko, czym tam żyją ludzie i co mają w głowach. Canterbury Plains... Christchurch, które ostatnio uchodzi za wielkie miasto... Budowane teraz katedry... To wszystko brzmi bardzo obiecująco, ale gdyby tam pani pomieszkała... Jak mówiłem, konie, bydło i owce! Powinniśmy byli zabrać stamtąd Głorię o wiele wcześniej, aby mogła dorastać w innej atmosferze. Ale tak to już jest, Miss Arrowstone. Wielki sukces oznacza zawsze wiele wysiłków i wyrzeczeń.

Miss Arrowstone uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Zapewne dlatego nie przyjechał pan z małżonką, aby odebrać Głorię – zauważyła. – A tak cieszyliśmy się na kolejne spotkanie.

„I na kolejny koncert gratis” – pomyślał William, ale odpowiedział bardzo uprzejmie:

– Kura była po ostatnim tournée trochę niedysponowana. I zapewne rozumie pani, że najłżejsze przeziębienie u śpiewaków należy traktować bardzo poważnie. Dlatego uważaliśmy, że będzie lepiej, kiedy zostanie w Londynie. Mamy wynajęty apartament w hotelu Ritz...

– Nie posiada pan domu w mieście, Mr Martyn? – zdziwiła się Miss Arrowstone. Co prawda zaświeciły jej się oczy już na samą wzmiankę o słynnym hotelu, który został otwarty bardzo uroczyście dopiero przed kilkoma laty i objęty był teraz protektoratem samego księcia Walii.

William potrząsnął lekko głową z wyraźnym żalem.

– Nie posiadamy też domu na wsi, Miss Arrowstone. Temat jakiejś stylowej posiadłości poruszałem już nieraz, ale moja żona nie chce prowadzić osiadłego trybu życia. Zakładam, że to jest jej maoryskie dziedzictwo. – Uśmiechnął się. – Ale co to za list, o którym pani wspominała, Miss Arrowstone? Czy ktoś się naprzykrza naszej córce? To może być coś, do czego Gloria będzie musiała przywyknąć.

Artystom odnoszącym sukcesy zawsze towarzyszą zawistnicy...

Miss Arrowstone wyjęła kartkę z koperty i rozłożyła ją.

– Nie określiłabym tego jako „naprzykrzenie się”. I jest mi trochę nieprzyjemnie, że otworzyliśmy ten list. Ale musi pan zrozumieć... Jako ojciec córki na pewno popiera pan to, że my tu pilnujemy cnoty naszych uczennic. Otwieramy dla bezpieczeństwa listy od mężczyzn, którzy są spokrewnieni z uczennicami w jakimś nieznanym nam stopniu. Jeśli list okazuje się nieszkodliwy, co oczywiście zdarza się najczęściej, przekazujemy go, jak gdyby nic się nie stało. W przeciwnym wypadku dziewczynka musi to wytłumaczyć. Tak, i tym razem... Ale proszę przeczytać ten list samemu.

Moja najdroższa Glorio,

nie wiem doprawdy, jak mam zacząć ten list, ale jestem zbyt zaniepokojony i nie mogę dłużej czekać. Moja ukochana małżonka Charlotte zachęciła mnie, aby napisać Ci, dlaczego tak bardzo się o Ciebie martwię.

Co się właściwie u Ciebie dzieje, Glorio? Być może odbierzesz to pytanie jako coś w rodzaju naprzykrzenia się. Z Twoich listów wynika, że jesteś ciągle bardzo zajęta. Pisziesz o lekcjach rysunku, gry na fortepianie i licznych zajęciach z Twoimi nowymi przyjaciółkami. Ale mnie Twoje listy wydają się krótkie, dziwnie oschłe i niewiele mówiące. Czy to rzeczywiście możliwe, że zapomniałaś o nas wszystkich z farmy Kiward Station? Czy nie chcesz już wiedzieć, co się dzieje z Twoim kucykiem i psem? Może to głupie, ale nie widzę między wierszami Twoich listów ani śladu uśmiechu, nie słyszę też ani jednego osobistego i ciepłego słowa. Wręcz przeciwnie, czasami wydaje mi się, że te krótkie zdania zawierają jakiś smutek. Kiedy o Tobie myślę, ciągle słyszę te ostatnie słowa, które powiedziałaś tuż przed odjazdem: „Jeśli będzie mi całkiem źle, Jack, zabierzesz mnie stamtąd?”. Wtedy Cię pocieszałem, jak umiałem, bo nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Ale prawdziwa odpowiedź na to pytanie brzmi: tak. Jeśli jesteś zrozpaczona, samotna i straciłaś nadzieję, że coś się zmieni, to napisz do mnie, a ja przyjadę. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale jestem gotów Ci pomóc.

Twój kochający Cię ponad wszystko wuj

Jack

William szybko przeczytał list, marszcząc przy tym czoło.

– Miała pani całkowitą rację, że zatrzymała pani ten list, Miss Arrowstone – stwierdził. – Związek między moją córką a tym młodym mężczyzną zawsze miał w sobie coś niezdrowego. Proszę wyrzucić ten list.

Gloria była sama. Zupełnie sama.

RAJ UTRACONY

**CANTERBURY PLAINS, CAMBRIDGE, AUCKLAND, CAPE REINGA, AMERYKA,
AUSTRALIA, GREYMOUTH
1914–1915**

– Wiem, że zabrzmi to tak, jakby mówił stary Gerald Warden, ale myślę, że coś z nimi jest nie tak.

James McKenzie kuśtykał powoli przez dawny ogród różany na Kiward Station, opierając się z jednej strony na lasce, a z drugiej na ramieniu swojej żony Gwyneiry. W ostatnim czasie poruszanie się stało się dla niego wręcz męczarnią, stawy sztywniały mu coraz bardziej, a reumatyzm przypominał o niezliczonych nocach, jakie w swoim życiu spędził pod gołym niebem. James opuszczał teraz dom tylko przy wyjątkowych okazjach, jak właśnie przybycie stad owiec oraz ich pasterzy z gór. I chociaż jego syn Jack dawno już przejął prowadzenie farmy, stary brygadzysta nie mógł sobie odmówić spojrzenia na wracające z gór dobrze odżywione maciorki i młode tryki. Niezliczone stada zwierząt o białej wełnie przypominającej wręcz watę stały teraz na łąkach i w zagrodach farmy Kiward Station, od czasu do czasu gniewnie becząc, jeśli przy okazji spędu rozdzielone zostały osobniki spokrewnione lub zaprzyjaźnione. Gwyneira i James mogli być zadowoleni. Owce były w doskonałej kondycji, a niewielkie straty szybko się wyrównywały.

Jack, który kierował spędem, żartował z maoryskimi poganiaczami, obejmując tkliwie swoją żonę Charlotte.

Charlotte zaś pod jego nieobecność z pewnością się nie nudziła. Wykorzystała ten czas, odwiedzając wioski Maorysów, teraz zamieszkane tylko przez kobiety, jako że niemal wszyscy mężczyźni brali udział w spędzie, i wysłuchiwała opowieści ich żon. Już dawno zauważyła, że mężczyźni i kobiety często opowiadali te same historie w zupełnie odmienny sposób. Charlotte nauczyła się dobrze rozpoznawać te niuanse. Po spędzeniu ponad pięciu lat na Kiward Station i w efekcie ciągłego studiowania maoryskich przekazów posługiwała się językiem maoryskim płynnie, niemal lepiej niż Jack, co on już kilkakrotnie wypomnił jej w żartach.

Teraz, tuląc się do Jacka, witała wracających mężczyzn i żartowała z nimi w ich języku. Taka poufałość między małżonkami na oczach wszystkich u Maorysów nie była niczym szczególnym – jedynie zwyczaj całowania się zamiast wzajemnego pocierania nosów wydawał im się osobliwy.

Spojrzenie brązowych, ciągle bystrych oczu Jamesa McKenzie spoczywało nie tylko na licznych stadach dobrze odżywionych owiec, ale także na postaci Charlotte. Jej szczupła sylwetka była powodem pełnej troski uwagi Jamesa, którą wygłosił, drepzcząc u boku swojej żony. Starzy małżonkowie McKenzie zakupili wprawdzie sporą ilość jedzenia i whisky na ucztę, ale nie mieli zamiaru brać udziału w radosnym świętowaniu wieńczącym koniec spędu owiec. Powoli wędrowali przez ogród w stronę tylnego wejścia do domu. Po tylu latach oboje ciągle woleli wejście od kuchni, znajdujące się w pobliżu budynków owczarni, a nie wejście główne, bardzo eleganckie i robiące duże wrażenie.

– Dobre pięć lat małżeństwa, a ta dziewczyna jest chuda i sucha jak źdźbło słomy. Coś tu jest nie w porządku.

Gwyneira w zatroskaniu skinęła głową. Ten temat ciągle pojawiał się w rozmowach małżonków, ale żadne z nich nie śmiało zapytać o to wprost Jacka czy też Charlotte. Zbyt dobrze pamiętali oboje koszmar Gwyneiry, kiedy to w swoim czasie jej nieżyjący już teść Gerald Warden codziennie pozwalał sobie na komentarze na temat jej szczupłej talii i otwarcie zarzucał jej niepłodność.

– Na pewno przyczyną tego stanu nie jest brak ćwiczeń – żartobliwie stwierdziła w odpowiedzi Gwyneira. – Nie można ich od siebie oderwać i tak jest cały czas. Wprost nieprawdopodobne, że w sypialni jedno stroni od drugiego i nie kontynuują tego, co zaczęli...

James się uśmiechnął.

– A w przeciwieństwie do pewnej Miss Gwyn sprzed pół wieku Charlotte robi wrażenie bardzo szczęśliwej – drażnił się z żoną. Gwyneira była wówczas w stanie ciągłej rozpaczki i osoba Jamesa stanowiła dla niej swego rodzaju ucieczkę od koszmaru jej małżeństwa. Lucas, jej mąż, najwyraźniej nie był w stanie spłodzić dziecka i przystojny brygadzysta James McKenzie miał go poniekąd zastąpić. Młoda kobieta latami wmawiała sobie potem, że jej „eksperyment hodowlany” nie miał nic wspólnego z miłością.

Gwyneira zmarszczyła czoło.

– Jeśli chodzi o Jacka, to z pewnością też jest szczęśliwy – uściśliła. – Ona zaś kocha pracę z Maorysami. Ale poza tym... czy nie sądzisz, że jest aż za szczupła? Jest rzeczywiście śliczna, ale za chuda po prostu, nie myślę się? I te ciągłe bóle głowy...

Charlotte twierdziła, że zawsze miała skłonność do ataków migreny. W pierwszych latach małżeństwa spędzała co jakiś czas jeden dzień w swoim pokoju, leżąc w łóżku przy zasłoniętych oknach, a potem pojawiała się w jadalni blada i ze ściągniętą twarzą. Nie pomagały ani proszki przepisywane przez lekarza, ani też zioła maoryskiej akuszerki Rongo Rongo. Te ataki zdarzały się względnie rzadko, ale w pierwszych trzech miesiącach tego roku Gwyneira naliczyła ich już cztery.

– Prawdopodobnie się martwi. Zawsze chciała mieć dzieci – stwierdził James. – A co mówi Rongo Rongo? Wysłałaś ją do niej znowu?

Gwyneira wzruszyła ramionami.

– Mogę ci tylko powiedzieć, co mówi na ten temat doktor Barslow – odparła. – I zdradziła mi to sama Charlotte. Prawdopodobnie dlatego, że była bardzo szczęśliwa, bo usłyszała, że jego zdaniem wszystko jest w porządku. Nie za bardzo jednak jestem w stanie wypytać o zdrowie Charlotte Rongo Rongo. Z powodu tych starych maoryskich opowieści one obie cały czas przesiadują razem. Ale co prawda, dzięki temu o jedno zmartwienie mniej. Gdyby rzeczywiście działa się z nią coś poważnego, Rongo Rongo zauważyłaby to z pewnością.

James skinął głową.

– Jeśli się dobrze zastanowić, to chyba byłby czas, abym i ja odwiedził Rongo Rongo. Ten reumatyzm mnie wykańcza. Ale nie jestem w stanie pojechać konno na O’Keefe Station. Jak myślisz, może Rongo Rongo dałaby się namówić na odwiedzinę tutaj?

Uśmiechnął się blado.

– Żebyś mógł ją bardzo ostrożnie wypytać o najintymniejsze tajemnice Charlotte? – zakpiła dobrodusznie Gwyneira. – Ale zrób to, ja też jestem bardzo ciekawa! Tylko uważaj, ona z pewnością nic nie zdradzi! A ja będę pilnować, żebyś potem wypił każdy gorzki napar, który ona przygotowuje dla ciebie!

Rongo Rongo oczywiście dała się namówić na odwiedzinę i zastała Jamesa w łóżku. Z powodu ostatnich opadów deszczu jego reumatyzm nasilił się na tyle, że nie był w stanie nawet dokuśtykać do swojego fotela w wykuszu.

– To taki czas niedobry, Mr James, to on powoduje, że kości próchnieją – westchnęła Rongo Rongo, drobna kobieta o prawie całkiem białych włosach, ale ciągle jeszcze dziarska i ruchliwa. Zgodnie z tradycją kobiet ze swojego rodu, ona też praktykowała i nauczała sztuki ziołolecznictwa. Niestety miała tylko trzech synów i żadnej córki, którą mogłaby wykształcić na akuszerkę. Rongo przyprowadziła z sobą swoją bratanicę, ale dziewczyna nie wydawała się zbyt rożgarnięta. Niechętnie szukała ziół i amuletów, tak jak polecała jej Rongo.

– Można nieco złagodzić ból, ale wyleczyć tego reumatyzmu już się nie da. Przede wszystkim niech się pan wygrzewa i niech się pan nie broni przed słabością. To nic nie pomoże, kiedy na przekór wszystkiemu będzie pan wstawał z łóżka i zmuszał kości do ruchu. Wtedy będzie tylko jeszcze gorzej. A tu... – Rongo wzięła od swojej pomocnicy pęk ziół. – To dziś wieczór muszą dla pana zaparzyć w kuchni. Jutro Kiri to precedzi i wypije pan wszystko jednym haustem. Nawet jeśli będzie bardzo gorzkie. Niech pan zapyta Kiri, ona zażywa to samo i jest

o wiele bardziej ruchliwa niż pan!

Kiri już od dziesiątków lat pracowała jako kucharka na farmie Kiward Station i ciągle nie chciała ustąpić swojego miejsca komuś młodszemu.

– Kiri to w porównaniu ze mną dziecko! – stwierdził James. – W jej wieku jeszcze w ogóle nie znałem słów „bólę kończyn”!

Rongo uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Jednych bogowie uspokajają wcześniej, a drugich później – odpowiedziała spokojnie, ale i z wyraźnym smutkiem. – Niech pan będzie szczęśliwy, że podarowano panu tak długie życie... i potomstwo.

– Jeśli już o tym mowa... – James z trudem przekręcił się w łóżku, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję, i rozpoczął dochodzenie.

Rzeczywiście potrafił to robić lepiej niż Gwyneira, nie tylko dlatego, że był obdarzony znakomitym zmysłem dyplomatycznym.

W przeciwieństwie do swojej żony mówił też płynnie po maorysku. Rongo Rongo znała wprawdzie trochę angielski – kiedyś należała przecież do najlepszych uczennic Helen O’Keefe – ale rozmowa w ojczystym języku przychodziła jej łatwiej. Jeśli miała zdradzać tajemnice, to lepiej, żeby posługiwała się maoryskimi idiomami.

– Co się właściwie dzieje z moją synową Charlotte? Będzie w końcu miała potomstwo?

James uśmiechnął się jak konspirator, ale Rongo Rongo była poważna.

– Mr James, przekleństwem *wahine* Charlotte nie jest jej bezdzietność – odpowiedziała cicho. – Moja babka radziła mi, aby w takich przypadkach jak jej dokonać wypędzenia złego ducha i zrobiłam to już...

– Za zgodą Charlotte? – zapytał James zaskoczony.

Rongo przytaknęła.

– Tak, choć ona nie potraktowała tego poważnie. Chyba chciała tylko zobaczyć, jak to wygląda...

– To chyba niewiele pomogło – stwierdził James nieco ubawiony. Słyszał już co prawda o wielu skutecznych rytuałach zaklania, ale one pomagały tylko wtedy, kiedy ci, których dotyczyły, mocno w nie wierzyli.

Rongo z powagą potrząsnęła głową.

– Mr James, nie jest ważne, czy Charlotte wierzy w duchy. To są duchy, które muszą się obawiać siły *tohunga*...

– No i? – dopytywał się James. – Czy mieliśmy tu do czynienia z odpowiednio przerażającymi duchami?

Rongo zmarszczyła czoło, ale twarz miała wręcz nieszczęśliwą.

– Nie jestem tak potężna – przyznała. – A to są bardzo silne duchy. Poradziłam Miss Charlotte, aby zapytała o radę *pakeha tohunga* w Christchurch. Doktor Barslow nie ma więcej władzy ode mnie...

James poczuł niepokój. Rongo Rongo jeszcze nigdy nie odesłała pacjentki do angielskiego lekarza. Między doktorem Barslowem, wiejskim lekarzem z Haldon, a Rongo Rongo od lat istniało coś w rodzaju przyjacielskiej rywalizacji. Czasami jemu udawało się usunąć jakieś drobne dolegliwości, a czasami jej. Ale jeśli chodziło o Charlotte, to zawiedli oboje. A diagnoza: „Bezdzietność nie jest jej przekleństwem” czy też stwierdzenia w rodzaju: „Musicie po prostu próbować, z medycznego punktu widzenia wszystko jest w porządku” były tak samo niepokojące.

– Policzyłam dni! – powiedziała Charlotte do męża. Wyszczotkowała właśnie włosy, a Jack pochylał się i zanurzył w nich twarz, rozkoszując się ich miódowo blond obfitością. Ciągle był zaskoczony i uszczęśliwiony, że tak piękna kobieta należy do niego.

– Jeśli spróbujemy dziś, to może będziemy mieli dziecko.

Jack całował jej włosy i kark.

– Jestem gotów próbować w każdej chwili. – Uśmiechnął się. – Ale wiesz, że nie będę ci miał za złe, jeśli nie będziemy mieli dziecka. Nie potrzebuję dziedzica, chcę i pragnę tylko ciebie.

Charlotte widziała jego twarz w lustrze i cieszyła ją jego tkliwość. Wiedziała, że mówił prawdę. Robił wszystko, aby nie miała ani cienia wątpliwości, że jest z nią szczęśliwy.

– Skąd właściwie wiesz, jak masz liczyć dni? – spytał.

– Od Elaine – odpowiedziała, po czym zachichotała i zacerwieniła się. – A jej wyjaśniła to kiedyś... pewna dziewczyna lekkich obyczajów. Oczywiście chodziło o to, jak zapobiegać zajściu w ciążę. Ale to ta sama zasada, tylko odwrotnie.

– Rozmawiasz z Elaine o naszych problemach? – zdziwił się Jack. – Myślałem, że to raczej tylko nasza sprawa.

Charlotte wzruszyła ramionami.

– Znasz przecież Lainie, jest dość bezpośrednia. Kiedy była tu ostatni raz, zapytała mnie o to wprost. No i porozmawialiśmy sobie. Ach Jack, tak bardzo chciałabym mieć dziecko! Chłopcy Lainie są tacy kochani. A listy od jej małej Lilian...

– Taka mała to ona już wcale nie jest – mruknął Jack. – Gloria ma osiemnaście lat, to Lilian musi mieć czternaście albo piętnaście.

– W każdym razie jest czarująca. Nie mogę się wprost doczekać, aby ją wreszcie poznać. Za dwa lata skończy chyba tę szkołę, prawda? A Gloria już za rok! Jak szybko dzieci dorastają!

Jack przytaknął gniewnie. Po tylu latach ciągle jeszcze nie przestawało go dziwić zachowanie Glorii. Jej nic niemówiące, krótkie listy, całkowite milczenie w odpowiedzi na trzy pełne rozpaczy i pytań listy Jacka, do których napisania wręcz się zmusił... Coś tu było nie w porządku, ale zupełnie nie przychodziło mu do głowy żadne wyjaśnienie. Następnego lata miała wreszcie ukończyć naukę w tej szkole z internatem, ale jakoś ciągle nie było mowy o powrocie.

„Po ukończeniu szkoły będę podróżować z moimi rodzicami po Europie Północnej”. Tak brzmiało krótkie, suche zdanie w ostatnim liście Glorii. Ani słowa o tym, czy się z tego cieszyła, czy też wolałaby od razu wrócić do domu. Ani jednego słowa także o tym, czy będzie jej brakowało szkoły, czy może myśli o jakichś studiach... Listy Glorii ograniczały się do krótkich sprawozdań. Jeżeli nie spędzała wakacji w internacie, lecz z rodzicami, co w ciągu pięciu lat zdarzyło się tylko raz, to nie pisała wcale.

– Będziesz się cieszyć, kiedy ona wróci, prawda? – spytała Charlotte. Skończyła szczotkować włosy, wstała i zsunęła z ramion jedwabny szlafrok. Pod spodem miała na sobie jedynie cienką, delikatnie haftowaną koszulkę. Jack zauważył, że zeszczuplała jeszcze bardziej.

– Jeśli chcesz mieć dzieci, to powinnaś więcej jeść – zmienił temat i objął ją ramieniem.

Roześmiała się cicho, kiedy ją podniósł i położył na łóżku.

– Jesteś zbyt krucha, aby móc donosić dziecko.

Charlotte zadrżała lekko pod jego pocałunkami, ale raz jeszcze wróciła do sprawy Glorii. Nie lubiła rozmawiać o swojej figurze, maoryskie kobiety wystarczająco wiele razy mówiły jej, że mąż wkrótce przestanie ją lubić. Maoryscy mężczyźni woleli zdecydowanie bardziej pulchne kobiety.

– Ale będziesz rozczarowana – ostrzegł ją Jack. – Gloria, która teraz wróci, zapewne nie ma nic wspólnego z tamtą małą dziewczynką sprzed lat. Psy i konie już jej nie interesują. Woli książki i muzykę. Spodziewaj się raczej dyskusji na tematy związane ze sztuką i kulturą.

Rozsądek Jacka, kiedy czytał listy od Glorii, podpowiadał mu to właśnie. Ale serce mówiło co innego.

– Niech ona sama powie to Nimue – dodał, spojrzawszy na sukę Glorii, która podobnie jak jego pies pasterski, spała na korytarzu przed drzwiami ich sypialni. – A Gloria jest dziedziczką Kiward Station. Będzie musiała zainteresować się farmą, bez względu na jakiś internat czy szkołę.

Charlotte potrząsnęła głową.

– Czy ten pies w ogóle ją jeszcze rozpoznaje?

Jack przytaknął.

– Pies pamięta. A Gloria... Ona nie mogła stać się zupełnie innym człowiekiem. To po prostu niemożliwe.

Gloria mozolnie wiązała sobie włosy na karku – jej sztywne loki ciągle sterczały wokół głowy i były po prostu zbyt grube, aby można je było jakoś ułożyć. Ale za to były teraz długie, opadały luźno na plecy i przynajmniej z powodu chłopięcej fryzury dziewczęta z internatu już jej nie dokuczały. Choć prawdę mówiąc, Glorii było już teraz zupełnie obojętne, co mówiły na jej temat Fiona, Gabrielle i pozostałe koleżanki. Nie potrafiła stać się gruboskórna, ale za to zbudowała wokół siebie coś w rodzaju gęstej, nieprzenikliwej warstwy ochronnej i nie dopuszczała do tego, aby złośliwe docinki bolały i sprawiały jej przykrość. Jeśli Gabrielle czy któraś z pozostałych prześladowczyń coś do niej mówiły, nie zwracała uwagi na znaczenie słyszanych słów. Dotyczyło to także uwag większości nauczycielek, a zwłaszcza nowej nauczycielki muzyki, Miss Beaver. Miss Wedgewood przed trzema laty wyszła za mąż za wielbego Bleachuma i opuściła szkołę. A ponieważ Miss Beaver była gorącą wielbicieleką Kury-maró-tini Martyn, płonęła wprost chęcią poznania Glorii i dokonania wraz z nią czegoś niemal w rodzaju muzycznych cudów. I kiedy Gloria nie spełniła jej oczekiwań, nauczycielka chciała przynajmniej usłyszeć jak najwięcej szczegółów na temat tych koncertów i podróży Martynów, w których w ciągu ostatnich lat dziewczyna brała udział.

Ale Gloria niewiele potrafiła opowiedzieć. Nienawidziła wakacji spędzanych z rodzicami. Raziły ją już same spojrzenia członków zespołu, kiedy ci po raz pierwszy ją zobaczyli. A rodzice Glorii skupiali wokół siebie coraz to nowych tancerzy i śpiewaków. Maorysi przeważnie czuli się bardzo związani z ojczyzną i zwykle spędzali w zespole tylko jeden sezon. Poza tym między artystami dochodziło często do konfliktów, kiedy Martynowie werbowali prawdziwych *tohunga*, czyli tych muzyków, którzy także w swojej ojczyźnie cieszyli się wielką sławą.

Sposób, w jaki Kura interpretowała maoryskie pieśni *haka*, coraz bardziej odbiegał od ich pierwotnych, tradycyjnych wykonania. Kura-maró-tini dostosowywała się do zachodnich standardów i wymagała tego także od rdzennych artystów maoryskich. A właśnie najlepsi z nich w ogóle nie byli skłonni tego robić, dochodziło przy tym często do głośnych kłótni. Kura i William nie zatrudniali już wobec tego rdzennych Maorysów, lecz mieszaićców z *pakeha*. Bardziej odpowiadali oni zachodnim wyobrażeniom o maoryskiej urodzie i coraz częściej właśnie to stawało się głównym kryterium wyboru nowych członków zespołu. Pojawili się też nauczyciele tańca, którzy szybko przyuczali nowo zatrudnionych do kolejnego show, robili to także niektórzy z impresariów. Kura i William podróżowali w otoczeniu licznej świty, która wraz z nimi zajmowała wagon typu salonka oraz pięć wagonów sypialnych. Owe prywatne wagony podczepiane były do liniowych pociągów kursujących po całej Europie.

Kiedy Gloria jeździła z tą ekipą, musiała dzielić wagon z pięcioma dziewczętami z zespołu, czyli w rezultacie mieszkała w znacznie gorszych warunkach niż w internacie. Czasami miała szczęście i młode tancerki zajęte były wyłącznie sobą. Ale czasami też trafiały się wśród nich dziewczęta podobne do tych z internatu, które w dodatku zazdrościły Glorii słynnych i bogatych rodziców i dawały jej to wyraźne odczuć. Wówczas Gloria w czasie kolejnych tournée znów kryła się za swoją ochronną ścianą i przeważnie siedziała w milczeniu, godzinami wpatrując się w krajobraz za oknem. I podczas kiedy w internacie mawiano, że jest „rozmarzona”, to teraz, w czasie tournée, uważano ją po prostu za głupią.

– Hej, Glory, obudź się! Ciągłe jeszcze nie jesteś gotowa? – Do pokoju wpadła Lilian Lambert, jak zwykle bez pukania, i wyrwała Glorię z jej ponurych myśli. – Jak ty się znowu ubrałaś? – spytała niecierpliwie. – Przecież nie musisz wkładać szkolnego mundurka, to jest piknik! Obejrzymy sobie najpierw trening przed wyścigami łodzi, a potem będziemy świętować z chłopcami, którzy zwyciężą w wyścigach ósemek w Cambridge. To ma być przyjemność, Gloria! I poznamy tam różnych chłopców! Choć raz w roku możemy się wydostać z tego koszmarnego klasztoru, a ty co...

– Na mnie i tak żaden chłopiec nie spojrzy – odparła Gloria ponuro. – Najchętniej zostałabym w domu. Albo sama powiosłowałabym w takiej łodzi. To dopiero musi być przyjemność!

Lilian ostentacyjnie przewróciła oczami.

– Jazda, włóż teraz tę niebieską sukienkę, którą twoja matka kupiła ci w Antwerpii. Naprawdę dobrze w niej wyglądasz, bo jest luźna.

Gloria westchnęła i zerknęła z zazdrością na Lilian – jej talia przypominała talię osy. Choć z pewnością nosiła modny teraz gorset, to właściwie wcale nie był on jej potrzebny. Już teraz można było zauważyć, że figura piętnastolatki do złudzenia przypominała figurę jej matki i babki: wszystkie były drobne, szczupłe, ale jednocześnie zaokrąglone we właściwych miejscach. A Gloria musiała się wciskać w swój gorset i dosłownie katować, jeśli próbowała włożyć którąś z modnych sukienek. Szeroka, luźna sukienka z Antwerpii rzeczywiście doskonale na niej leżała, choć co prawda nie był to ostatni krzyk mody, lecz raczej rodzaj stroju będącego atrybutem bojowniczek o prawa kobiet. Najważniejszym rodzajem ubrań chętnie przez nie noszonym był żakiet połączony z szerokimi spodniami, jaki coraz częściej widywało się w wielkich miastach. Glorii bardzo się te kostiumy podobały, ale Kura potrząsała głową z dezaprobatą, widząc ubrane w nie kobiety. Gloria nawet nie próbowała myśleć, co usłyszałaby w internacie, gdyby coś takiego na siebie włożyła.

W końcu się ubrała, a Lilian była zadowolona, zwłaszcza że dodatkowo podregulowała kuzynce brwi i za pomocą zapalki, uprzednio zanurzonej w sadzy, lekko je podkreśliła.

– Tak wyglądasz o wiele lepiej! – oświadczyła wesoło. – A wokół oczu też musisz namalować bardzo cienką kreskę. Grubsza byłaby w twoim wypadku lepsza, ale Miss Arrowstone z pewnością to zauważy i dostanie jednego ze swoich ataków!

Rzeczywiście dzięki zaimprovizowanej szmince Lilian i już nie tak krzaczastym brwiom oczy Glorii wydawały się większe. Choć ona mimo to daleka była od stwierdzenia, że jest piękna, teraz przynajmniej nie mogła jak zwykle powiedzieć, że jest odrażająca. Z pewnością nie zainteresuje się nią żaden chłopak, ale na tym Glorii nie zależało. Pragnęła jedynie, aby nie zauważał jej nikt, zarówno w pozytywnym, jak i negatywnym sensie.

– Chodź szybko, zaraz odjeżdżamy! – poganiała Lilian. Mała, rudowłosa dziewczynka ciągle była przyjaciółką Glorii, choć Gloria często pytała samą siebie, co sprawiało, że Lilian – istne żywe srebro – dochowywała jej wierności w przyjaźni. Kiedy obie dziewczynki były już w klasie oznaczonej jako stopień wyższy, różnica wieku nie miała już takiego znaczenia. Choć właściwie dla Glorii przyjęcie Lilian do tej samej klasy było równoznaczne z kolejnym upokorzeniem. Podczas drugiego roku pobytu w Oaks Garden znalazła się z powrotem w tej samej klasie. Bez korepetycji Miss Bleachum po prostu nie radziła sobie z przedmiotami humanistycznymi. Lilian za to nie miała tu żadnych problemów i robiła Glorii liczne wymówki.

– To wszystko jedno, Glory, czy ty rozumiesz, czy nie, co przez swoją pisaninę chciał powiedzieć Mr Poe albo jakiś inny poeta. Oni sami prawdopodobnie też tego nie wiedzieli. Po prostu wymyśl coś. A im bardziej dziwne i osobliwe to będzie, tym lepiej. Tu właściwie nie można zrobić żadnego błędu...

Lilian nie miała zamiaru zostać artystką, ale za to była pomysłowa, miała wiele wdzięku i uroku. Miss Beaver przymykała oko na wesołe piosenki grane przez Lilian na fortepianie, jeśli tylko ona się przy tym uśmiechała i miała gotową wymówkę, dlaczego nie przyszła na ćwiczenia. Gloria w takich wypadkach ponuro milczała – a coś takiego nigdy nie spotykało się z pobożaniem.

Szkoła w Oaks Garden miała umowę z pewnym college'em w Cambridge, zgodnie z którą od czasu do czasu odbywały się wspólne uroczystości i spotkania starszych dziewcząt z internatu i młodszych studentów z college'u. Oczywiście wszystko przebiegało pod ścisłym nadzorem, ale jeśli mimo to dwoje nastolatków się zakochiwało, to taki związek praktycznie zawsze okazywał się tym właściwym. Dziewczęta musiały być dobrze przygotowane do swej przyszłej roli w społeczeństwie, a do niej należała także umiejętność utrzymywania swobodnych kontaktów z płcią przeciwną. Piętnaście podekscytowanych dziewcząt ostatnich roczników szkoły Oaks Garden jechało powozem do Cambridge, gdzie na rzece Cam odbywały się ostatnie eliminacje uczestników do legendarnych wyścigów łodzi Boat Race. Boat Race, coroczne wyścigi ósemek wioślarskich z Oksfordu i Cambridge i jednocześnie szczytowy punkt sezonu wioślarskiego, miały miejsce tydzień później w Londynie. Gloria sądziła, że składy drużyn były ustalane o wiele wcześniej – było nieprawdopodobne, że trenerzy kompletowali je tak krótko przed wyścigiem, w wyniku zaledwie jednych eliminacji. Ale w gruncie rzeczy nie było to takie ważne. Tego słonecznego sobotniego popołudnia wszyscy mieli się cieszyć i bawić. Każdy powód był dobry, aby tylko móc opuścić internat.

Ogrodnik, który w Oaks Garden pełnił także funkcję woźnicy, siedział na koźle, a konie kłusowały rażno po bitej drodze prowadzącej do Cambridge. Glorię cieszyła świeża zieleń na łąkach. Gdzieś tam pasły się na nich owce, krowy i konie, a ich jakość dorównywała jakości zwierząt hodowanych na farmie Kiward Station. Jazda przez obszar nieograniczony płotami i murami była wspaniałym przeżyciem. Co prawda park w Oaks Garden był naprawdę piękny, ale oczy Glorii szukały dali i rozległej przestrzeni. Zieleń wzgórz otaczających Cambridge uspokajała ją i cieszyła, ale dziewczyna podświadomie oczekiwała, że zza łąk wyłonią się nowozelandzkie Alpy. Powietrze w Anglii wydawało jej się nie tak przejrzyste, widoki nie tak rozległe, a światło słońca nie tak jasne jak w Canterbury Plains.

Kucharki ze szkoły Oaks Garden przygotowały piknik, a dwie nadzorujące wyjazd nauczycielki pilnowały koszy z jedzeniem, tak jakby zawierały one co najmniej skarb wagi państwowej. Także wybór idealnego miejsca na piknik nad samym brzegiem rzeki wydawał się sprawą zasadniczą. Lilian i jej przyjaciółki przez cały czas głośno na ten temat dyskutowały, a Gloria marzyła, aby móc znaleźć się jak najdalej od ich krzyku i gwaru. Zamiast patrzeć na wyścigi łodzi, wolałaby iść na spacer wzdłuż brzegu Cam, obserwować ptaki, płoszyć żaby i przyglądać się, jak skaczą do wody. Podobnie jak w dzieciństwie, nadal interesowała się przyrodą i wciąż rysowała zwierzęta, które udało jej się zobaczyć w Anglii. Co prawda nie pokazywała już tych rysunków nauczycielkom w Oaks Garden, lecz co najwyżej wysyłała je Miss Bleachum do Dunedin. Młoda nauczycielka otrzymała tam posadę w szkole dla dziewcząt i regularnie pisywała do Glorii. I to z nią Gloria odważała się snuć nieśmiałe plany na przyszłość. Miasto Dunedin posiadało uniwersytet, który przyjmował na studia również dziewczęta, choć co prawda w ograniczonej liczbie. Może tam właśnie Gloria mogłaby rozwinąć swoje zainteresowania i studiować jakiś przedmiot związany z przyrodą. Oczywiście Gloria musiałaby uzupełnić sporo materiału, ale Miss Bleachum była przekonana, że dziewczyna poradzi sobie z tym bez trudu. O powrocie na Kiward Station Gloria już od dawna nie marzyła. Wspomnienia o tym utraconym rajku były zbyt bolesne, a ona sama nie czułaby się tam już pewnie ani bezpiecznie. Jej rodzice po prostu ją stamtąd bezwzględnie wyrwali i nie było żadnej gwarancji, że nie zrobią tego po raz drugi.

Lilian i pozostałe dziewczęta zdecydowały się w końcu, w którym miejscu nad brzegiem rzeki usiądą, i było to bliżej mety wyścigów, a nie startu. Zwyciężyła więc frakcja dziewcząt, które liczyły na zainteresowanie tych chłopców, którzy ukończyli już swoje zawody. Mogli być oni wprawdzie bardziej zmachani, ale przynajmniej będą mieli wtedy czas, który z pewnością poświęcą młodym damom. Kilka innych dziewcząt argumentowało jednak, że wioślarze raczej przed startem będą wypatrywać wróżki mającej im przynieść szczęście. Musiały jednak ustąpić wobec argumentu, że przed wyścigami i przed piknikiem też można iść na długi spacer aż do punktu startu.

Zgodnie z tym Lilian wraz z kilkoma dziewczętami wyruszyła natychmiast, podczas kiedy Gloria pomagała nauczycielkom przy wypakowywaniu piknikowych koszy oraz rozkładaniu na trawie koców i serwet. Liczyła na to, że z pewnością będzie mogła się wymknąć i pójść na spacer. Co prawda znad brzegów rzeki Cam z pewnością uciekły teraz wszystkie ptaki, ale w pobliżu rósł niewielki las. Gloria miała nadzieję, że uda jej się tam zobaczyć wiewiórkę albo kunę. Oba gatunki zwierząt nie występowały na Nowej Zelandii i Gloria była zafascynowana, jeśli udawało jej się zaobserwować któreś z tych tak egzotycznych dla niej stworzeń.

Za to Lilian Lambert interesowała o wiele bardziej stworzenia wywodzące się z tego samego gatunku co ona, i to bez względu na kontynent. Choć właściwie lubiła zwierzęta i studia przyrodnicze uważałyby z pewnością za bardziej interesujące niż materiał nauczania szkoły w Oaks Garden. Ale jeśli chodziło o pytanie: „chłopcy czy wiewiórki”, to priorytety Lilian były jasne i niepodlegające dyskusji. A na molo przed zacumowanymi łodziami z Cambridge roilo się wprost od chłopców, którzy jej zdaniem byli bardzo odpowiedni. Wszyscy ubrani byli w typowe koszule lub swetry college'u, wszyscy byli też muskularni i wysportowani w efekcie codziennych treningów wioślarskich. I podobnie jak reszta dziewcząt, Lilian zerknęła ostrożnie spod swojej parasolki, uśmiechając się nieśmiało, jeśli choćby na chwilę napotkała spojrzenie kogoś z nich. Równocześnie zaś plotkowała z takim ożywieniem z przyjaciółkami, jak gdyby w ogóle nie interesowała jej płeć przeciwna. A tego dnia poświęciła dużo czasu i uwagi swojej urodzie. Miała na sobie bladozieloną sukienkę ozdobioną przy dekolcie brązową koronką. Rozpuściła też swoje rude włosy i przysłoniła je szerokim kapeluszem w kolorze zielonym, podobnie jak sukienka. Co prawda parasolka chroniąca od słońca zupełnie nie była jej potrzebna – była połowa marca i nawet jeśli pogoda nadzwyczaj sprzyjała młodym ludziom, to ciepły żakiet byłby bardziej na miejscu niż jakakolwiek ochrona przed słońcem. Ale parasolka wydała się Lilian o tyle istotna, że można nią było figlarnie kręcić, jeśli zaś chodzi o żakiet, to Lilian wolała trochę zmarznąć niż zakryć swój piękny dekolt.

Chłopcy także zerkali ciekawie na dziewczęta, wiedzieli jednak, że czekał na nich piknik, który one z pewnością będą skłonne z nimi dzielić.

Można było więc już teraz dokonać wstępnego wyboru. Dla większości chłopców nie były to pierwsze regaty i wiedzieli oni doskonale, że na starcie można spotkać te najbardziej śmiałe i rezolutne dziewczęta. Te bardziej nieśmiałe czekały później nad rzeką. I tu, przy punkcie startu, możliwa była już krótka pogawędka lub nawet flirt – jeśli się wszystko odpowiednio zgrabnie zaaranżowało. Nieliczni chłopcy, którzy mieli siostry lub kuzynki wśród uczennic internatu, byli oczywiście w uprzywilejowanej sytuacji. Jedną z przyjaciółek Lilian dostrzegła wśród chłopców swojego brata – i została wnet przedstawiona kilku studentom college’u. I zaraz też Lily oraz pozostałe dziewczęta były otoczone przez chłopców – pierwsze lody zostały przełamane. Co prawda nie doszło do słownych utarczek i przekomarzań, w czym Lilian niechybnie wiodłaby prym. Na razie wszyscy byli zakłopotani, dziewczęta mówiły o pogodzie – „przepiękna, prawdziwe szczęście” – a chłopcy o składzie drużyn. Nominacja jednego czy dwóch chłopców była jeszcze kwestią sporną, więc wioślarze dyskutowali zapalczywie i głośno.

– Ben? Proszę cię, tylko nie to piskię! Oczywiście, potrafi wiosłować, ale ma jeszcze trzy lata czasu, aby zdobyć sławę! W tym roku kolej na Ruperta. Dla niego to ostatnia szansa, uważam też, że jest o wiele lepszy...

– Ale Ben więcej trenuje...

– Ben to kujon i pracuś!

Lilian słuchała nieco znudzona, zastanawiając się, kim byli chłopcy, o których się tak zawzięcie spierano. Ben – to imię brzmiało jakoś bardziej interesująco. Chłopiec wydawał się jednym z najmłodszych i wobec tego kimś odpowiednim dla Lily. Wszyscy pozostali w tej grupie mieli przynajmniej po szesnaście lat, a większość po siedemnaście albo osiemnaście. Taka różnica wieku nieco ją przerażała.

W końcu ktoś wskazał na Ruperta, krępego, silnie zbudowanego chłopca o brązowych włosach, który także flirtował z innymi dziewczętami. Lily stwierdziła natychmiast, że jego osoba nie wchodzi dla niej w grę. Nie cierpiała tego sposobu opowiadania, ze skłonnością do blagowania i zadawania szyku, co można było rozpoznać nawet z tej odległości. A poza tym ten chłopiec wydał jej się zbyt dorosły dla niej. Ale potem jej spojrzenie padło na chłopca, który w pewnej odległości od wszystkich, w małej zatoczce zarośniętej trzinami wykonywał ćwiczenia rozciągające. Lilian stwierdziła, że chłopiec wygląda na młodszego niż pozostali i budzi zaufanie. Niby przypadkowo odeszła na bok od swojej grupy i ruszyła powoli w tamtą stronę. Poczwała, że jej serce bije nieco szybciej. Z pewnością nie będzie to dobrze widziane, że tak samodzielnie udała się na spacer. Ale w tej zatoczce rzeczywiście było bardzo ładnie i o wiele spokojniej niż przy zatłoczonym pomoście. Słyszała już ciężki oddech ćwiczącego chłopca i dostrzegła jego muskany pod cienką koszulką. A przecież mimo wszystko był szczupły i delikatnie zbudowany. Tylko mięśnie ramion i nóg zdradzały nieustanny ciężki trening wioślarza.

– Rzeczywiście sądzi pan, że to teraz coś pomoże? – zapytała Lilian.

Chłopiec odwrócił się do niej wyraźnie przestraszony. Wydawało się, że zapomniał o całym świecie. Lilian zobaczyła otwartą twarz o uważnych jasnozielonych oczach, delikatnych rysach i pełnych wargach, teraz zaciśniętych od wysiłku.

– Co takiego? – wykrztusił, oddychając ciężko.

– Ten trening – odparła Lilian. – Mam na myśli to, że jeśli pan czegoś nie potrafi, to tak krótko przed zawodami już się pan nie nauczy.

Chłopiec się roześmiał.

– To nie jest trening, tylko ćwiczenia rozgrzewające. Łatwiej się potem rozkręcić, kiedy zaczną się zawody. Wszyscy prawdziwi sportowcy tak robią.

Lilian wzruszyła ramionami.

– Nie za bardzo znam się na sporcie – wyznała. – Ale jeśli te ćwiczenia są takie dobre, to dlaczego inni ich nie robią?

– Bo wolą gadać z dziewczynami – wyjaśnił chłopiec z lekceważącym wyrazem twarzy. – Oni wcale nie podchodzą do tego poważnie.

Lilian przypomniała się słyszana poprzednio uwaga, że Ben to kujon i pracuś.

– Ma pan na imię Ben? – spytała.

Chłopiec roześmiał się znowu. Wyglądał o wiele lepiej, kiedy z jego twarzy znikł już wyraz wysiłku.

– Co oni pani o mnie naopowiadali? – spytał. – Proszę pozwolić mi zgadnąć: Ben to kujon i pracuś.

Teraz roześmiała się także Lilian, co prawda nieco kokieteryjnie. Ciągle śmiała się w ten sposób jak znany wszystkim skrzat. Chłopiec przyglądał jej się nie bez zainteresowania.

– Ale to nieprawda – zauważyła. – Widzę, że Ben także gada z dziewczyną. Pańska łódź jeszcze przegra te wyścigi!

Mrugnęła do niego, bawiąc się figlarnie parasolką. Ale wydało jej się, że Bena to już nie interesowało; uwaga o wyścigach sprawiła, że przypomniał sobie o czekającym go zadaniu i własnym świecie.

– To i tak wszystko jedno, wyznaczą z pewnością tego Ruperta – stwierdził. – Bo to on przez cały pobyt w college’u robił wszystko, aby się zasłużyć w wyścigach ósemek. A przecież przegrywaliśmy za każdym razem właśnie wtedy, kiedy on był szlakowym. Ten facet to zwykły krętacz. Ale za to potrafi się dobrze sprzedąć. No i w czasie tego ostatniego roku w college’u ma dostać jeszcze jedną szansę.

– A nie możecie z sobą współpracować? – spytała Lilian. – Myślałam, że w łodzi jest osiem miejsc?

– Ale tylko jeden szlakowy. A jest nim albo Rupert, albo ja.

Ben wrócił do swoich ćwiczeń rozciągających.

– Szlakowy to ten, który nadaje tempo, prawda? – nie dawała za wygraną Lilian.

Ben przytaknął.

– Szlakowy pilnuje jednoczesnego zanurzenia wiosła, mówiąc prościej. Do tego potrzebne jest dobre wycucie rytmu. A ono u Ruperta wynosi mniej więcej zero.

Ben się wyprostował.

Lilian wzruszyła ramionami.

– No to Cambridge ma pecha – stwierdziła. – Ale pan jest na pierwszym semestrze, prawda? Może pan jeszcze wygrać następnym razem, za rok.

Usiadła na trawie i zaczęła się przyglądać ćwiczeniom wykonywanym przez Bena. Ruchy chłopca były płynne i sprężyste, zupełnie jak u tancerza. Ben podobał się Lilian coraz bardziej.

Chłopak wykrzywił twarz.

– Jeśli w ogóle będzie jakiś następny rok. Mr Hallows, nasz nauczyciel historii, twierdzi, że będzie wojna.

Lilian spojrzała na niego ze zdziwieniem. O niebezpieczeństwie wybuchu wojny nie słyszała jeszcze nigdy, a historia, której uczono w Oaks Garden, kończyła się wraz ze śmiercią królowej Wiktorii. Wojna miała coś wspólnego z postacią Florence Nightingale, pisał też o tym Kipling, ale tak w ogóle było to jakieś wielce heroiczne przedsięwzięcie na koniach i w zbrojach rycerskich.

– A z kim będzie ta wojna? – spytała zdumiona.

Bez wzruszył ramionami.

– Też nie całkiem zrozumiałem. Oczywiście Mr Hallows nie jest całkowicie pewny. Ale może tak być. A w czasie wojny się nie wiosłuje.

– To rzeczywiście byłaby szkoda – stwierdziła Lilian. – A może pan zwyciężyć przynajmniej dziś?

Ben skinął głową, a jego oczy błysnęły.

– Dziś moja ósemka ściga się z jego ósemką.

Lilian się uśmiechnęła.

– A więc życzę panu wiele szczęścia. A poza tym nazywam się Lily. Jestem z Oaks Garden. I robimy na mecie piknik. Jeśli ma pan ochotę, może pan przyjść. Także wtedy, jeśli pan nie wygra.

– Wygram – odparł Ben z zaciętą twarzą i znów zaczął wykonywać swoje ćwiczenia rozgrzewające.

Lily została jeszcze kilka minut, ale wydawało jej się, że tylko przeschadza.

– A więc na razie! – powiedziała.

Ale Ben już nie słuchał.

Lilian śledziła wyścigi, siedząc na kocu razem z Glorią. Tej ostatniej nie udało się ucieczka spod opiekuńczych skrzydeł nauczycielek: Miss Beaver bez przerwy próbowała wciągnąć ją do rozmowy o kulturze maoryskiej, a przede wszystkim o muzyce, o czym Gloria wiedziała tyle co nic, a Miss Barnum potrzebowała pomocy przy otwarciu jednego z koszy, którego zamknięcie najwyraźniej się zepsuło. Gloria po dłuższym majsterkowaniu naprawiła uszkodzenie. Ze wszystkimi problemami technicznymi radziła sobie dobrze i tym razem wyjątkowo otrzymała pochwałę. Ale o swojej przyrodniczej wycieczce mogła zapomnieć. Tymczasem pojawiła się Lilian wraz z innymi dziewczętami – wszystkie opowiadały o chłopcach i kłóciły się o najlepsze miejsca, skąd będzie można obserwować zawody.

Także Lilian miała coś do powiedzenia. Jej nowy przyjaciel Ben dowodził jedną z ósemek i Lilian opowiadała o sterowaniu łodzią tak, jak gdyby spędziła ostatnie trzy lata na morzu.

Wyścigi wreszcie się rozpoczęły i dziewczęta dopingowały głośno swoich faworytów. Glorii wynik tych zawodów był właściwie obojętny, ale szybko zauważyła, że w ósemce Bena panowała większa dyscyplina niż u jego konkurenta. Wiosła uderzały o wodę bardziej równomiernie i szybciej, a łódź płynęła niemal jak delfin po falach. Przy czym szlakowy był najwyraźniej bardzo uzdolniony, jeśli chodziło o strategię i zdolność przewidywania. Z początku utrzymywał tempo swojej ósemki tak, że płynęła równo z drugą łodzią i dopiero po pokonaniu dwóch trzecich trasy przyśpieszyła, wyprzedzając łódź Ruperta. Łódź Bena zwyciężyła o całą długość.

Lilian podskakiwała z zachwytem.

– Wygrał! Wygrał! Teraz muszą mu pozwolić startować w Londynie. Muszą! Inaczej to nie będzie sprawiedliwe!

Gloria zastanawiała się, jak Lilian po pięciu latach pobytu w Oaks Garden może jeszcze wierzyć w sprawiedliwość. Nawet dla tak lubianych dziewczynek jak Lily otrzymywane tam stopnie i pisemne oceny stanowiły źródło nieustannej zagadki. Z upływem lat „artystyczno-kreatywne” zorientowanie szkoły nasiliło się, wiele nauczycielek robiło wrażenie dziwaczek, wszystkie zaś oceniały według bliżej niezdefiniowanych kryteriów.

Genialny szlakowy Ben miał jednak tego dnia mało szczęścia. Sprawiał wrażenie załamanego, kiedy powoli szedł w stronę dziewcząt.

Lilian zaś patrzyła na niego z radością. Właściwie sądziła, że będzie musiała go przyprowadzić, bo nie wydawało jej się, że zrobiła na nim jakieś wrażenie. Ben koncentrował się bardziej na wiosłowaniu niż na rozmowie z nią. Ale jednak coś w tym rudowłosym skrzacie zafascynowało także i jego – a może po prostu potrzebował damskiego ramienia, aby móc się wypłakać.

– Powiedziałem pani, że wybiorą Ruperta – mówił, a Lilian wydawało się, że widzi łzy w jego wyrazistych oczach. – Bez względu na to, czy wygram. I właśnie tak się stało...

Lilian patrzyła na niego ze współczuciem.

– Ale za to wyścigi były wspaniałe. I jeśli Cambridge przegra teraz z drużyną Londynu, to wszyscy będą wiedzieli dlaczego – pocieszała go.

– Proszę, niechże pan coś zje. Te pieczone udka kurcząt są bardzo dobre i może pan po prostu wziąć jedno do ręki. A tu jest wino agrestowe z naszej kuchni, nie, właściwie bardziej sok niż wino, ale bardzo dobre.

Lilian obsługiwała chłopca tak, jak gdyby było to oczywiste, a Gloria zastanawiała się, jak ona może tak beztrudno paplać. Wprawdzie nie czuła swej zwykłej obawy, jeśli chodziło o Bena – wyglądał na sporo młodszego od niej – ale Gloria nie wiedziałaby zupełnie, o czym mogłaby z nim rozmawiać.

– Jak właściwie jest w tym college’u? – pytała Lilian, co prawda z ustami pełnymi jedzenia. – Czy rzeczywiście jest tak trudno? Wszyscy mówią, że trzeba być Bóg wie jak inteligentnym, żeby się tam dostać...

Ben przewrócił oczami.

– Czasami jest to tylko kwestia odpowiedniej rodziny – odpowiedział. – Jeśli ojciec albo dziadek byli w Cambridge, to dostanie się tam jest już o wiele łatwiejsze.

– I co? – dopytywała się Lilian. – Oni byli w Cambridge? Ten pański ojciec i dziadek? A co pan w ogóle studiuje?

– Pan w ogóle nie wygląda jak student! – wmieszała się do rozmowy Hazel, przyjaciółka Lilian, której dotychczas nie udało się skłonić żadnego z chłopców do tego, aby usiadł koło niej na kocu, i wobec tego chciała koniecznie mieć jakiś udział w sukcesie Lilian. Jej uwaga nie była zbyt taktowna, a Ben się zaczerwienił.

– Przeskoczyłem kilka klas – wyjaśnił, przyznając jej tym samym rację, i uśmiechnął się do Lilian nieco krzywo. – Kujon jestem, jak już pani słyszała... A poza tym Cambridge zaoferowało mi stypendium. Literatura, języki obce i historia Anglii. Moi rodzice nie są tym wprawdzie specjalnie zachwyceni...

– To bardzo głupio z ich strony! – oświadczyła Lilian bez ogródek, wyrażając niejako to, co czuł Ben, ale co jednocześnie skłoniło Miss Beaver do surowej reprimendy.

Ben, który chcąc nie chcąc zwrócił na siebie uwagę wszystkich dziewcząt i nauczycielek, chrząknął z zakłopotaniem.

– Ja... eee... muszę wracać do moich przyjaciół... Ale może... Może miałyby pani ochotę, Miss Lilian, towarzyszyć mi i przejść się ze mną kawałek?

Lily wprost się rozpromieniła.

– Ależ oczywiście, bardzo chętnie! – oświadczyła i chciała wstać, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się i zrobiła coś innego: wyciągnęła rękę w kierunku Bena, aby ten mógł jej pomóc. Trzymając go za rękę, z gracją podniosła się z koca.

– Zaraz będę z powrotem – oznajmiła Miss Beaver, Hazel i zupełnie niezainteresowanej tym Glorii, wzięła swoją parasolkę i podreptała obok Bena.

Ben odetchnął z ulgą. Ale co robić teraz z dziewczyną? Nie mógł jej przyprowadzić do swojej zwycięskiej ósemki hałaśliwych i natrętnych chłopców. A nuż jeden z nich odbiłby mu ją. Na szczęście idąca obok niego Lilian skierowała się w stronę lasu, gdy tylko oboje znikli z pola widzenia nauczycielek.

– Tam w lesie jest cień, chodźmy. Dziś taki ciepły dzień, prawda?

To ostatnie było co prawda bardzo względne, choć bowiem jak na marzec było rzeczywiście ładnie, to raczej każdy szukałby właśnie wiosennego ciepła niż ochłody w cieniu. Ale Ben przytaknął gorliwie. I wkrótce wędrowali oboje leśną ścieżką, ciesząc się swobodą, jakiej już dawno nie było im obojgu dane zaznać wśród codziennych szkolnych rygorów. Ben wcale nie czuł się zobowiązany do tego, aby prowadzić konwersację. Czuł się wyjątkowo dobrze obok tej ślicznej, roześmianej dziewczyny, która szła obok niego. Milczał, bo i tak było niemożliwe powstrzymać potok jej wymowy. Lilian opowiadała swym dźwięcznym głosem o Oaks Garden i o tym, że była jedną z najmłodszych uczennic, kiedy tam przyjechała.

– Wysłano mnie do internatu razem z moją kuzynką Glorią. Jej rodzice chcieli tego koniecznie, ale ona jest bardzo nieśmiała i my, to znaczy nasze rodziny, mieszkamy daleko od siebie. Dlatego przyjechałam razem z nią, aby nie czuła się tak samotna. Ale ona i tak jest samotna. Niektórzy ludzie zawsze czują się samotni...

Ben skinął głową – rozumiał aż nadto dobrze, o czym ona mówiła. Lilian wydawała się instynktownie wiedzieć, jak on się tu czuł. Był sam. Niewiele miał wspólnego ze swoimi kolegami z klasy, a już tym bardziej z o wiele starszymi chłopcami z college’u. Szczęście Bena polegało na tym, że przyswajanie materiału nauczania przychodziło mu nadzwyczaj łatwo i sprawiało mu radość. Nawet jeśli zupełnie nie fascynowała go geologia, w przeciwieństwie do jego ojca, ani też ekonomia, która była z kolei prawdziwym hobby jego matki. Ben widział siebie jako

poetę. I właśnie przyłapał sam siebie na tym, że mówił o tym komuś po raz pierwszy w życiu. Lilian słuchała zafascynowana.

– Umie pan jakiś wiersz na pamięć? – spytała ciekawie. – Proszę jakiś wyrecytować!

Ben się zaczerwienił.

– Nie wiem, jeszcze nigdy nie... nie, nie potrafię. Zabrakłoby mi słów...

Lilian z udawaną przyganą zmarszczyła czoło.

– Ależ co pan mówi!? Jeśli naprawdę chce pan być poetą, to będzie pan musiał brać udział w wieczorach autorskich i spotkaniach z czytelnikami! Nie może panu wtedy zabraknąć słów!

Ben poczuł, że krew uderza mu do głowy, kiedy odwrócony od Lilian zaczął recytować:

„Gdybyś różą była, spłynąłbym na twe płatki jak rosa,
jeśliś jest liściem w czasie burzy, śpiewałbym wiatrem dla ciebie
i rozpoznalibyśmy cię zawsze, kimkolwiek i czymkolwiek byś była,
pieśni dla ciebie tworzyć pragnę, aż w marzeniu mym mnie ucałujesz”.

– O, jakie to piękne! – powiedziała Lilian z westchnieniem. – I cóż za głębokie odczuwanie!

Chłopiec popatrzył na nią trochę wystraszony, ale nie dostrzegł ani śladu kpiny na jej rozmarzonej twarzy.

– I tak się pięknie rymuje!

Ben skinął głową, a jego oczy błyszczały.

Lilian szybko wróciła do rzeczywistości.

– Ale zwrócił się pan do mnie przez „ty”! – zawołała kokieteryjnie. – Ile właściwie ma pan lat?

Ben znów się zaczerwienił.

– Prawie piętnaście – odpowiedział.

Lilian się uśmiechnęła.

– Ja też! – powiedziała. – To jest jakiś znak!

– Tak, to znak... – powtórzył Ben. – Czy zechce pani... Czy chcesz się ze mną jeszcze spotkać?

Lilian skromnie spuściła oczy.

– To jest możliwe tylko potajemnie – powiedziała z wahaniem. – Wam może wolno wychodzić z college’u, ale ja...

– Nie znasz jakiegoś sposobu? – spytał Ben nieśmiało. – To znaczy, jeśli to rzeczywiście niemożliwe... to może mógłbym przyjść po ciebie w sobotę i powiedzieć, że jestem twoim kuzynem czy coś takiego...

Lilian się roześmiała.

– Nikt by ci nie uwierzył.

Zastanawiała się, czy powiedzieć Benowi, że pochodzi z Nowej Zelandii, ale postanowiła na razie o tym nie mówić. Nie chciała rozmawiać z tym chłopcem o kopalniach węgla i złota, o połowie wielorybów i hodowli owiec, a o tym zwykle mówili ludzie stamtąd pochodzący.

A przede wszystkim nie chciała z nim mówić o swoim pokrewieństwie z Kurą-maró-tini Martyn. Lilian zauważyła, podobnie jak Gloria, że każda wzmianka o tej gwiazdzie opery przenosiła zainteresowanie rozmówcy właśnie na jej osobę. Nauczyła się zrećźnie omijać ten temat, co – ku jej zdumieniu – nigdy nie udawało się Glorii.

– Ale nie martw się, znam pewien sposób. Jeśli pójdziesz od bramy naszej szkoły wzdłuż ogrodzenia mniej więcej ćwierć mili w kierunku południowym, to dotrzesz do olbrzymiego dębu. Jego gałęzie wznoszą się nad ogrodzeniem i można się na nie łatwo wspiąć. Zaczekaj tam na mnie. Możesz mi pomóc, kiedy będę się wspinać – powiedziała Lilian i na zakończenie dodała kokieteryjnie: – Ale nie wolno ci zaglądać mi pod spódnicę!

Ben znów się zaczerwienił, ale był wyraźnie coraz bardziej oczarowany.

– Przyjdę – powiedział szybko. – Ale nie tak zaraz, to musi potrwać. Bo najpierw jadę do Londynu, z pewnością zostanę wyznaczony na wioślarza rezerwowego...

Lilian skinęła głową. Wszystko wydawało jej się w tej ciszy nadzwyczaj romantyczne.

– Mogę poczekać – powiedziała poważnie. – Ale teraz chyba musimy wracać. Hazel już się za mną rozgląda, a jest taka zazdrosna, że w pewnością wygada się przed Miss Beaver, jeśli się spóźnię.

Odwróciła się energicznie, chcąc odejść, ale Ben ją zatrzymał.

– Zaczekaj chwilę. Wiem, że to nie wypada, ale... muszę popatrzeć ci w oczy. Właściwie próbowałem to zrobić przez całe popołudnie, ale nie chciałem się na ciebie gapić. Bo nie widzę, czy one są zielone, czy brązowe?

Ben nieśmiało położył ręce na ramionach Lilian i przyciągnął ją nieco bliżej do siebie. Nigdy nie potrafiłby przyznać się jej do tego, że zwykle nosił okulary.

Lily uśmiechnęła się i zsunęła swój kapelusz na kark.

– One są czasami zielone, a czasami brązowe, a poza tym mają cętki, zupełnie jak gołębie jajo. Jak jestem wesola, to są zielone, a jak smutna, to brązowe...

– A jak jesteś zakochana? – spytał Ben.

Tamtego popołudnia już się tego nie dowiedział. Lilian zamknęła oczy, kiedy Ben ją pocałował.

– Tak dalej nie może być, Charlotte! Nawet Rongo Rongo mówi, że powinnaś pójść do lekarza w Christchurch.

Jack długo się wahał, czy ma porozmawiać z Charlotte na temat jej częstych bólów głowy, i dziś, kiedy po kolejnym długim i bardzo pracowitym dniu wrócił do domu, znów zastał ją leżącą w zaciemnionym pokoju. Miała głowę obwiązaną wełnianym szalem, jej twarz była blada i ściągnięta bólem.

– To tylko migrena, kochanie – odpowiedziała bagatelizująco. – Wiesz przecież, że mam to od czasu do czasu.

– Masz to już po raz trzeci w tym miesiącu – stwierdził Jack. – To stanowczo za często!

– To ta pogoda, kochanie... Ale zaraz wstanę. Na pewno zejść na dół na obiad. To tylko... Zawsze tak szybko kręci mi się w głowie. – Charlotte próbowała usiąść.

– Ależ nie, leż, na miłość boską! – Jack pocałował ją i używając łagodnej przemocy, położył ją z powrotem na poduszkach. – Przyniosę ci jedzenie do łóżka. Zrób mi jednak tę przyjemność i nie przypisuj tego pogodzie, porze roku czy też Bóg wie czemu. Pogoda na Canterbury Plains jest taka sama już od stuleci, zimą praktycznie każdego dnia pada deszcz, a latem właściwie też. Gdyby się od tego dostawało migreny, to całe Canterbury byłoby chore. Teraz wydobrzejesz, a potem pojedziemy do Christchurch. Odwiedzimy twoich rodziców, spędzimy tam kilka pięknych dni i pójdziemy do takiego lekarza, który wie coś więcej na temat bólów głowy niż tutejszy wiejski doktor. W porządku?

Charlotte skinęła głową. Tak naprawdę pragnęła tylko spokoju. Choć kochała Jacka, a jego bliskość zawsze działała na nią uspokajająco i nieco łagodziła cierpienie, to w tym stanie męczyła ją każda rozmowa. Na samą myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze, ale chciała się jakoś pozbierać i zjeść choćby kilka kęsów. Jack nie powinien się martwić. Wystarczyło, że martwiła się ona.

Miało jednak upłynąć sporo czasu, zanim Lilian i Ben zobaczyli się znowu. Dziewczyna wprost płonęła z chęci pójścia na swą pierwszą randkę. Już następnego dnia po wyścigach wioślarskich przyszło jej do głowy, że przecież nie podała Benowi żadnego konkretnego terminu. A teraz nie wiedziała, kiedy Ben będzie na nią czekać przy ogrodzeniu szkoły – albo czy on o niej w ogóle nie zapomniał. I kiedy nadeszło lato, a Lilian nadal nie miała żadnej wiadomości, przyjęła, że tak właśnie się stało. Ale akurat w tym czasie jedna z jej przyjaciółek, Meredith Rodhurst, pojechała na któryś weekend do domu i tam spotkała swojego brata Juliusa, który podobnie jak Ben też był studentem college'u w Cambridge. Lilian także poznała Juliusa podczas pamiętnych wyścigów wioślarskich. Meredith wróciła do internatu bardzo podekscytowana.

– Lily, czy pamiętasz jeszcze tego chłopaka, którego zaprosiłaś do nas na piknik podczas wyścigów? Miał na imię Ben, prawda?

Serce Lilian zabiło szybciej, ale zanim cokolwiek powiedziała, zaciągnęła Meredith w najbardziej odległy kąt korytarza. Nie każdy powinien słyszeć tę rozmowę.

– Oczywiście, że myślę o Benie i pamiętam go! Od kiedy los nas rozdzielił, nie upłynęła ani jedna minuta, w czasie której nie myślałabym o nim!

Meredith parsknęła śmiechem.

– Od kiedy los was rozdzielił? – powtórzyła, chichocząc, i dodała: – Zwariowałaś.

– Ja jestem zakochana! – oświadczyła Lilian z godnością.

Meredith w odpowiedzi skinęła głową.

– A on też! – powiedziała. – Mój brat powiedział, że przychodzi tu co jakiś czas i snuje się wzdłuż płotu szkoły jak zakochany kocur. Ale jak tak dalej pójdzie, to nic z tego nie będzie, bo musiałyby mieć wiele szczęścia, żeby cię przypadkowo spotkać.

Lilian rozmyślała gorączkowo.

– A mogę do niego napisać? Twój brat zna przecież jego nazwisko i...

Meredith spojrzała na nią rozpromieniona.

– Nie potrzebujesz nic pisać. Masz randkę! Powiedziałam Juliusowi, że spotkasz się z Benem przy „dębie ucieczek” w piątek o piątej.

Lilian spontanicznie rzuciła się przyjaciółce w ramiona.

– Och, Meredith, nigdy ci tego nie zapomnę! Chociaż piątek nie jest idealnym terminem, akurat mam wtedy próbę chóru, ale już ja coś wymyślę. Tylko... w co ja mam się ubrać? Muszę... muszę tyle rzeczy przygotować...

Lilian niemal natychmiast zapomniała o całym świecie. Resztę tygodnia miała spędzić na snuciu planów i liczeniu godzin. A był dopiero poniedziałek, godzina wpół do dziewiątej...

Pytanie, z którymi przyjaciółkami można było dzielić wielką tajemnicę, dręczyło Lilian przez następne dwa dni. Mogłaby godzinami opowiadać o Benie i piątkowej randce, ale ryzyko, że zostanie złapana, rosło wraz z każdą osobą, która o tym wiedziała. W końcu powierzyła swą tajemnicę tylko Hazel i Glorii, przy czym ta ostatnia nie wydawała się szczególnie zainteresowana tym, z kim spotyka się jej kuzynka. Za to Hazel drżała w oczekiwaniu na piątek razem z Lilian i pomagała jej przy wyborze sukienki oraz wszystkich koniecznych akcesoriów. Do godziny czwartej w piątek odrzuciły już pięć najróżniejszych toalet, szósta zaś sukienka, którą Lilian w końcu uznała za stosowną, miała plamę. Lilian zalała się łzami.

– Ależ to przecież można wyszczotkować – stwierdziła Hazel. – Pozwól, ja to zrobię! A wiesz już, co powiesz Miss Beaver? Wpadnie od razu w złość, kiedy pójdziesz na wagary zamiast na próbę.

– Powiem, że mnie głowa boli – odparła Lilian, niezbyt tym zainteresowana. – Albo najlepiej ty jej to powiedz. Ostatnio w ogóle mam skłonności do migreny. To bardzo praktyczna choroba, pojawia się momentalnie akurat wtedy, kiedy potrzeba. To u nas rodzinne.

– Naprawdę? – spytała Hazel.

Lilian wzruszyła ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Chociaż ponoć żona wuja Jacka na nią cierpi. Czyli nie kłamie. W każdym razie właśnie próba chóru jest idealną chwilą, aby się stąd niepostrzeżenie wymknąć. Wszyscy są wtedy czymś zajęci, także Mary Jaine.

Mary Jaine była zdeklarowaną przeciwniczką Hazel i Lilian. Dziewczęta mogły być pewne, że gdyby wiedziała o tajnych planach Lilian, natychmiast zdradziłaby je nauczycielkom. Lilian i tak miała jakieś podejrzenia, bo akurat Alison, serdeczna przyjaciółka Mary Jaine, zapukała do jej drzwi dziesięć po czwartej. Lilian właśnie włożyła wyczyszczonej letnią sukienkę w kwiaty.

– Będziesz w stanie w tym się wspinać? – spytała Hazel, sznurując stękającej Lilian gorset. Wiedziała, że w tak gorący lipcowy dzień spoci się w nim natychmiast.

– Przeniosą mnie skrzydła miłości – stwierdziła Lilian.

I właśnie w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Masz iść do Miss Arrowstone, Lily – oznajmiła Alison. – I to natychmiast.

Lilian odwróciła się szybko w jej stronę.

– Co, już naskarzyłyście? Jak to w ogóle wytropiłyście?! Przecież ty, Hazel, nic nie powiedziałaś, prawda? A Gloria... – tego, że Gloria mogłaby ją zdradzić, Lily nie wyobrażała sobie w ogóle. A jednak Miss Arrowstone musiała o czymś wiedzieć. Nawet jeśli Alison zachowywała się tak, jak gdyby się wszystkiemu dziwiła.

– Nikt mi niczego nie mówił – oświadczyła oburzona, ale i zdziwiona. – Szłam przypadkowo przez korytarz, Miss Arrowstone mnie zobaczyła i powiedziała, żebym natychmiast przyprowadziła Lily. Może ktoś przyjechał do ciebie w odwiedzinach...

Lilian zaczerwieniła się nagle. Odwiedziny? Ben? Może nie wytrzymał i postanowił spróbować udawać „kuzyna”? A może ktoś zobaczył go przy płocie i nabrał jakichś podejrzeń? Po Mary Jaine można się było wszystkiego spodziewać...

– A jak zaraz nie pójdziesz, to będziesz miała kłopoty – dodała Alison. – I właściwie po co się tak wystroić? Na próbę chóru? Przecież mamy obowiązek nosić mundurki aż do ostatniego tygodnia...

Lilian się zawahała. Przebrać się czy nie? Jeśli Miss Arrowstone rzeczywiście nie chciała od niej niczego szczególnego, to była szansa, że zdąży na randkę. Albo też Miss Arrowstone zaczęnie coś podejrzewać, jeśli teraz Lily zniecka pojawi się przed nią w niedzielnej sukni.

– No chodź już! – poganiała Alison.

Lilian podjęła decyzję. Jeśli była jeszcze jakaś szansa, aby zobaczyć Bena, to trzeba zaryzykować możliwość ewentualnych kłopotów ze strony Miss Arrowstone. Zdenerwowana Hazel podniosła kciuk w górę, życząc Lilian powodzenia, kiedy ta wychodziła z pokoju.

Rzeczywiście Miss Arrowstone nie była sama w swoim biurze. Choć natychmiast dało się zauważyć, że nie była też w dobrym nastroju. Rozmawiała z kwaśną miną z jakimś starszym panem, który wydawał się ją do czegoś usilnie przekonywać.

I odwrócił się, kiedy weszła Lilian.

– Lily! Dobry Boże, wyrosłaś na piękną dziewczynę! Jesteś taka piękna, jak twoja matka w tym wieku. I wyglądasz bardziej dorośle niż na fotografiach!

– Przyczyną może być to, że do fotografii dziewczęta wkładają mundurki – zauważyła sucho Miss Arrowstone. – A czemu zawdzięczamy wątpliwą przyjemność oglądania cię tak wypucowanej i wystrojonej, jak gdybyś szła na bal?

Lilian nie zwracała na nią żadnej uwagi.

– Wujek George! – Frunęła wprost w ramiona George'a Greenwooda, choć nie było to zbyt dystygowane. Główny inwestor kopalni Lambertów był częstym gościem w domu jej rodziców i Elaine, jej matka, już jako dziecko nazywała George'a „wujem”. Dla Lilian oraz jej braci był on też właściwie prawie krewnym, i to bardzo mile widzianym, zwłaszcza że starszy pan bardzo chętnie kupował dzieciom zabawki. I jeśli jechał do Europy, to zawsze przywoził z sobą małe cuda, jak miniatury maszyn parowych albo lalki z prawdziwymi włosami.

– To cudownie, że mnie odwiedzasz! – Lilian patrzyła radośnie na swojego przyszywanego wuja, choć znalazła też chwilę, aby zwrócić się nader uprzejmie do Miss Arrowstone. – Alison powiedziała mi, że ktoś przyjechał do mnie w odwiedzinach, więc się szybko przebrałam.

Miss Arrowstone powściągliwie parsknęła śmiechem, co miało oznaczać niedowierzanie.

– Ale ty wyglądasz zachwycająco, dziecko! – oświadczył George. – Siądź wreszcie, to ci wyjaśnię powód mojej wizyty, który nie jest, niestety, wesoły...

Lilian zbladła. Nie za bardzo wiedziała, czy wolno jej usiąść w towarzystwie tak szacownej osoby jak Miss Arrowstone. Ale jeśli tak, to dlatego, że czekała na nią jakaś straszna wiadomość.

– *Mummy... daddy...* Co się stało?

George potrząsnął głową.

– Oni mają się dobrze. Przepraszam, Lily, że cię przeraziłem. Także u twoich braci wszystko w porządku. To dlatego, że ogólnie jestem bardzo zaniepokojony... Chyba nie za bardzo jestem w stanie prowadzić teraz inteligentną konwersację.

Roześmiał się przepraszająco.

– Ale to co?... – Lilian ciągle jeszcze stała i przestępowała z nogi na nogę.

– Możesz usiąść, dziecko – powiedziała Miss Arrowstone łaskawie.

Lilian przysiadła na skraju krzesła dla odwiedzających.

George Greenwood przyjaźnie skinął głową, patrząc na nią.

– Ale może jednak ucieszysz się cel mojego przybycia – powiedział. – Choć co prawda twoi rodzice powiedzieli mi, że jesteś tu bardzo szczęśliwa. Przemawia też za tym twój zapal do nauki, no i ta szkoła... – George skinął głową z uznaniem, patrząc na Miss Arrowstone. Wyraz twarzy rektorki przypominał do złudzenia pyszczek głośkanego kota. – Ale mimo to polecono mi zabrać cię najbliższym statkiem do domu.

– Co takiego?! – Lilian aż podskoczyła na krześle. – Do domu? Do Greymouth? Akurat teraz? Ale dlaczego? Ja... To znaczy, przecież jeszcze trwa rok szkolny... – A przede wszystkim tutaj był Ben. Lilian wydało się nagle, że cały pokój zaczyna się kręcić dookoła niej.

– Czy nie słyszałaś o zamachu w Sarajewie, Lilian? – spytał George Greenwood. Tym razem popatrzył na Miss Arrowstone z wyraźną dezaprobatą, kiedy Lilian przecząco potrząsnęła głową.

– Dwudziestego ósmego czerwca został zamordowany austriacko-węgierski następca tronu.

Lilian wzruszyła ramionami.

– Przykro mi bardzo z powodu Austro-Węgier – powiedziała uprzejmie, ale ciągle niezbyt zainteresowana tym wszystkim. – I naturalnie z powodu rodziny jego cesarskiej wysokości.

– Jego żona też została zastrzelona. Ale to tak niejako przy okazji. Wszystko to może wydać ci się dziwne, ale w dobrze poinformowanych kręgach w Europie wszyscy się obawiają, że może dojść do wybuchu wojny. Już teraz rząd Austro-Węgier wysunął ultimatum w stosunku do Serbii, z żądaniem postawienia sprawcy przed sądem. Jeżeli tak się nie stanie, wypowie Serbii wojnę.

– I co? – spytała Lilian. Nie miała za bardzo pojęcia o położeniu Serbii i Austrii na mapie Europy, wiedziała tylko, że oba kraje znajdowały się dość daleko od Cambridge.

– I w efekcie tego zostaną uaktywnione różne przymierza i pakt, Lilian – odpowiedział George. – Nie mogę ci teraz dokładnie objaśnić wszystkich szczegółów, ale już teraz w wielu częściach świata po prostu wrze. Jeśli lont zostanie podpalony, to cała Europa stanie w ogniu, a możliwe, że cały świat. Nieprawdopodobne jest jednak, że walki przeniosą się na teren Australii i Nowej Zelandii. Ale zarówno twoi rodzice, jak i ja uważamy Anglię za niezbyt bezpieczną, a już zwłaszcza morze. Jeśli wybuchnie wojna, to będą miały miejsce bitwy morskie. Dlatego zanim cokolwiek się stanie, chcemy cię zabrać do domu. Może to przesadna ostrożność, tego zdania jest też twoja nauczycielka... – George wskazał ruchem głowy Miss Arrowstone – ... ale nie chcielibyśmy sobie potem robić wyrzutów.

– Ale ja chcę zostać tutaj! – wykrzyknęła Lilian. – Tu są moje przyjaciółki, tu jest... – Zaczerwieniła się nagle.

George Greenwood roześmiał się i popatrzył na nią porozumiewawczo.

– A może tu jest też twój mały przyjaciel? I może jest to kolejny powód, aby cię zabrać do domu.

Lilian nie odpowiedziała.

– No, w każdym razie to nieważne, co ty o tym sądzisz – odezwała się Miss Arrowstone lodowatym głosem. – Wydaje się, że temu panu, podobnie jak twoim rodzicom, dość obojętne jest moje zdanie na temat konieczności ukończenia raz rozpoczętego kształcenia. Jeśli dobrze

zrozumiałam Mr Greenwooda, dwudziestego ósmego lipca z Londynu wypływa statek do Christchurch i bilet dla ciebie jest już zabukowany. Jeszcze dziś wieczorem wyruszysz z Mr Greenwoodem do Londynu. Nie musisz już iść na próbę chóru. Twoje przyjaciółki pomogą ci się spakować.

Lilian chciała zaprotestować, lecz widziała, że nie miało to sensu. Ale nagle przyszło jej do głowy coś bardzo ważnego i zapytała gwałtownie:

– A... Gloria?

– Czy to znaczy, że jest wojna? – Elizabeth Greenwood delikatnie balansowała trzymaną w dwóch palcach filiżanką z herbatą. Jeśli chodziło o picie herbaty, była damą w każdym calu, nawet jeśli lekcje dobrego wychowania prowadzone przez Helen O’Keefe miały miejsce sześćdziesiąt lat temu.

Charlotte, jej córka, nie przejmowała się tym za bardzo. Młoda kobieta była teraz blada i zdenerwowana. Aby się rozgrzać, zaciskała szczerpe palce na filiżance z delikatnej porcelany. Wojna w dalekiej Europie nie interesowała jej. Jeśli chodziło o jej los, to o wiele ważniejszy był termin wizyty u doktora Alistara Barringtona, młodego, ale znanego już daleko poza granicami Christchurch lekarza internisty. Elizabeth na jej prośby poprosiła go o wizytę i dzień wcześniej Charlotte przyjechała do matki z Jackiem z Kiward Station. Oboje przenocowali w domu rodziców, tulili się do siebie, ale żadne z nich nie chciało się przyznać jedno przed drugim do swej troski i obaw. I każde z nich prześcigało się w pozornie swobodnym i niczym nieskrępowanym zachowaniu. Ale teraz Jack nie krył niepokoju. Wiadomość o wybuchu wojny przynajmniej na krótko odwróciła jego uwagę od dręczących myśli. Jego herbata już całkiem wystygła, a śniadanie wydawało się wcale mu nie smakować.

– Austro-Węgry wypowiedziały Serbii wojnę – odpowiedział na pytanie Elizabeth. – To znaczy, że dotyczy to także Rzeszy Niemieckiej. Ponoć już ogłosili tam mobilizację. A Rosja z kolei związana jest paktem z Serbią, Francja zaś z Rosją...

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– No, przynajmniej Anglia nie ma z tym nic wspólnego – zauważyła z nieukrywaną ulgą. – I tak niedobrze, kiedy inni będą rozbijać sobie głowy.

Jack potrząsnął głową.

– George widzi to inaczej – stwierdził. – Właśnie o tym ostatnio rozmawialiśmy. Wielka Brytania ma zawarte umowy z Rosją i Francją. Może z początku będzie się powstrzymywać od wszelkich działań. Ale na dłuższą metę...

– Czy to będzie długa wojna? – Charlotte nie była zbyt zainteresowana, czuła jednak, że musi coś powiedzieć. Wszystko było lepsze niż siedzieć w milczeniu i czekać na chwilę odjazdu.

Jack wzruszył ramionami, ale uspokajająco pogładził ją po ręce.

– Nie mam pojęcia. Nic nie wiem o wojnach, kochanie. Ale tutaj ona z pewnością nie dotrze. Nie martw się.

Charlotte zwróciła w jego stronę udręczoną twarz. Sytuacja w Europie była ostatnią sprawą, która mogłaby ją teraz martwić.

– Kiedy macie być u doktora Barringtona? – spytała Elizabeth. – On ci się z pewnością spodoba, Charlotte, to uroczy młody mężczyzna! Z jego ojcem przyjechalibyśmy przed laty do Nowej Zelandii tym samym statkiem. Znasz przecież Barringtonów, prawda, Jack? Wówczas jego nazywaliśmy „lordem”, a ją „lady”. Ale młody Viscount jako pierwszy porzucił ten tytuł. Wtedy to był naprawdę dziarski młody człowiek. Trochę zadurzony w Gwyneirze Silkham. A nasza Daphne nie mogła oderwać od niego oczu...

Charlotte i Jack słuchali cierpliwie, kiedy Elizabeth opowiadała kolejne historie z czasów ich przybycia do Nowej Zelandii. Dla niej przymusowa podróż statkiem do nowego kraju była czymś w rodzaju cudu jej życia. Jako zagubione, niemające żadnych szans dziecko z sierocińca w Londynie została wysłana do Nowej Zelandii i miała być tu kimś w rodzaju pomocy domowej. A przecież Elizabeth była o wiele za młoda, aby podejmować jakąkolwiek pracę, i przede wszystkim była tak naiwna i niedoświadczona, że nikt w Londynie nie chciał jej zatrudnić. Ale po przybyciu zajęła się nią Helen O’Keefe i szybko się okazało, że starsza pani potrzebuje bardziej damy do towarzystwa niż pokojówki. W końcu Helen adoptowała dziewczynkę i tym samym umożliwiła jej wejście do wyższych warstw społecznych. A dzięki małżeństwu z George’em Greenwoodem Elizabeth stała się bardzo szanowaną podporą towarzystwa w Christchurch.

Jack wreszcie spojrział niecierpliwie na zegarek.

– Kochanie, już czas. Jesteś gotowa?

Charlotte skinęła głową. Jack wyglądał na mocno zgnębionego i właśnie tak się czuł.

– Pewnie, jestem gotowa. Mam nadzieję, że lekarz nie zatrzyma nas zbyt długo. Nie masz nic przeciwko temu, jeśli w drodze powrotnej zajrzemy do jednej krawcowej...? – odpowiedziała wyraźnie zduszonym głosem.

Jack skinął głową i usiłował uśmiechnąć się swobodnie.

– Też obiecałem tacie, że rozejrzę się za szkocką whisky dla niego. Na stare lata wraca do swoich korzeni i jest zdania, że nic nie będzie lepsze na jego bóle kości niż nacieranie ich dobrą *scotch*. Nie wspominając już o jej wewnętrznym działaniu.

Wszyscy się roześmiali, ale tylko Elizabeth sprawiała wrażenie beztroskiej. Charlotte przez całe życie cierpiała na migreny, z pewnością więc i teraz te bóle głowy okażą się czymś zupełnie niegroźnym.

– Gloria! – George Greenwood był zaskoczony. Gospodyni pubu, w którym zjadł obiad jeszcze przed wizytą w Oaks Garden, a teraz czekał na Lilian, czytając gazetę, zapowiedziała przybycie młodej damy, ale George spodziewał się Lilian. Co prawda było jeszcze wcześnie, ale sądził, że Lilian cieszy się na powrót do domu.

Zamiast drobnej rudowłosej dziewczynki w stroju podróżnym stała przed nim zmęczona po szybkim biegu, grubokoścista brunetka, ubrana w jasnoniebieski, zupełnie do niej niepasujący mundurek. Gloria Martyn urosła co prawda, od kiedy George widział ją po raz ostatni, ale nie wysmukła. Tak jak kiedyś była silnie zbudowana i raczej krępa, choć George’owi nigdy nie wydawała się brzydka. Znał ją jako dziecko szczęśliwe, szanowane przez innych i już wówczas świadome faktu, że jest przyszłą dziedziczką Kiward Station. Jak mawiała żartobliwie Gwyneira, Gloria z dumą zastępowała jej męża na farmie. George widział dziewczynkę na koniu i wiedział, że była doskonałą amazonką. Patrzył zafascynowany, jak wraz ze swoim wujem Jackiem sprawnie nadzorowała strzyżę owiec, a nawet powierzano jej notowanie wyników, podczas kiedy Jack sam stawał w szranki z najlepszymi postrzygaczami. Gloria Martyn nigdy się nie myliła w notowaniu wyników, nigdy też nie próbowała w jakikolwiek sposób faworyzować Jacka. Wszystkie powierzane jej zadania już wtedy wykonywała z radością, ale i bardzo zręcznie. George był zawsze skłonny zapomnieć o jej nieśmiałości i czasami nieco niezadarnym sposobie zachowania w towarzystwie.

Dziewczyna, która teraz stała przed nim, nie miała już nic wspólnego z pewną siebie amazonką i doskonałą treserką psów. Gloria była blada, zmęczona po szybkim biegu i wyglądała jak zaszczute zwierzę. Szkolny mundur nie tylko nie leżał na niej dobrze, ale był pognieciony i cały w plamach. Gloria miała wyraz oczu zranionego i zapędzonego w pułapkę zwierzęcia.

Mimo wszystko starała się nie płakać, ale za to nie kryła gniewu, który kazał jej tu przyjść i po raz pierwszy opuścić internat bez pozwolenia. Wiadomość od Lily o pojawieniu się wuja George’a, jej oburzenie z powodu decyzji rodziców i złość z powodu tej „głupiej wojny”, która Lily popsowała spotkanie z jej Benem – to była owa kropla, która przelała czarę goryczy. Nie zwracając uwagi na swoje ubranie, popędziła przez park i dotarła do drzewa zwanego przez bardziej przedsiębiorcze uczennice „pomocą w ucieczkach”. Po drugiej stronie ogrodzenia czekał chłopiec o blond włosach, za którym tak szalała Lilian. Chyba czuł się podobnie jak Lilian – piąta już dawno minęła.

– Masz jakąś wiadomość od Lily? – spytał wyraźnie zaniepokojony, kiedy Gloria zsunęła się po gałęziach na ziemię tuż obok niego. – Dlaczego ona nie przyszła?

Gloria nie miała teraz najmniejszej ochoty nim się zajmować.

– Lilian jedzie do domu – wyjaśniła krótko. – Jest wojna.

Ben w odpowiedzi zasypał ją tysiącem pytań; Gloria nie słuchała go w ogóle, tylko pobiegła do wsi. Nie pytała Lilian, gdzie będzie mogła zastać Greenwooda, ale możliwości nie było aż tak wiele, aby nie mogła domyślić się sama. Jeśli wuj George nie zatrzymał się w jedynym pensjonacie w Sawston, to mógł czekać na Lily tylko w jednym z dwóch pubów. Gloria znalazła go w pierwszym.

– To niesprawiedliwe! – wyrzuciła z siebie gwałtownie. – Musisz mnie zabrać z sobą, wuju George'u! Może Jack mnie już nie lubi, kiedy się ożenił, ale mam prawo mieszkać na farmie Kiward Station! Nie możesz zabrać Lily, a mnie tu zostawić! To po prostu niemożliwe...

W oczach Glorii mimo wszystko pojawiły się łzy.

George poczuł się jak osaczony. Potrafił twardo pertraktować z różnymi firmami całego świata. Ale nie był przygotowywany na rozmowy z płaczącą dziewczyną.

– Glorio, usiądź, proszę, i uspokój się. Zamówię ci herbatę. Albo może lepiej lemoniadę? Wyglądasz na strasznie zgrzaną.

Gloria potrząsnęła głową. Po szybkim biegu jej mocno kręcone włosy uwolniły się częściowo ze związanego na karku ogona i otaczały całą głowę gęstą chmurą.

– Nie chcę herbaty ani lemoniady. Chcę na Kiward Station!

George łagodnie skinął głową.

– Ależ wrócisz tam kiedyś, Glorio – próbował ją uspokoić. – Ale najpierw... Co to za nonsens z Jackiem? Oczywiście, że on cię ciągle lubi, a Miss Gwyn, kiedy tylko usłyszała, że Lambertowie postanowili sprowadzić Lilian do domu, prosiła mnie wyraźnie, abym interweniował u twoich rodziców. Mogę ci pokazać depeszę...

Rysy twarzy Glorii stały się jeszcze bardziej napięte. Dziewczyna desperacko zagryzła wargi.

– I moi rodzice nie chcieli, abym pojechała do domu? Czy jest im naprawę wszystko jedno, co się ze mną stanie, kiedy tu będzie wojna?

Jak dotychczas w bardzo spokojnym Cambridge Gloria nie traciła czasu na rozmyślanie o wybuchu wojny. Ale teraz dotarło do niej, że rodzicami Lilian nie powodował jakiś kaprys, lecz uzasadniona troska.

Greenwood potrząsnął głową.

– Oczywiście, że nie, Glorio. Wręcz przeciwnie, twój ojciec potrafi o wiele lepiej ocenić tutejszą sytuację polityczną niż ja. W końcu mieszka w Europie już długo i bardzo dobrze ją poznał w czasie swoich podróży. William i Kura z pewnością będą umieli ocenić konsekwencje wybuchu tej wojny. Podobnie jak rodzice Lily, których zdaniem będą one inne. O ile wiem, też masz opuścić szkołę. William ma nadzieję, że wojna nie potrwa długo i będziesz mogła wrócić i dokończyć edukację. A tego lata masz towarzyszyć rodzicom w podróży po Ameryce. To półroczne tournée jest już dawno zaplanowane, a przynajmniej na razie nic nie wskazuje na to, że wojna przeniesie się na terytorium Stanów Zjednoczonych. Odległości między miejscowościami, w których będą się odbywać koncerty, są tam olbrzymie. Czyli nie będą ich dawać codziennie. Kura będzie miała dla ciebie więcej czasu niż zwykle i cieszy się, że wreszcie będzie mogła poznać cię bliżej.

George uśmiechnął się do Glorii krzepiąco, jak gdyby był przekonany, że przekazał jej właśnie dobrą wiadomość. Ale Gloria nadal walczyła ze łzami.

– Mam jechać do Ameryki? Jeszcze dalej?

Zamiłowanie do podróży było u Glorii raczej mocno ograniczone. I czegoż takiego mogła jeszcze chcieć od niej matka? W ciągu ostatnich trzech lat Glorii zdarzyło się trzy razy podróżować z jej siostrą, ale z uwielbianą przez publiczność pieśniarką była w stanie zamienić zaledwie kilka słów dziennie. I nie były one nigdy zbyt budujące.

„Nie zawadzaj mi, Glorio! Ubierz się przyzwoicie, Glorio! Dlaczego nie grasz częściej na fortepianie?”

Gloria nie potrafiła sobie wyobrazić, że przy dłuższym przebywaniu razem matka stanie się jej w jakikolwiek sposób bliższa. Wprawdzie była gotowa podziwiać Kurę Martyn, ale nie miały z sobą nic wspólnego.

– A potem mam jeszcze raz wrócić do szkoły?

Gloria miała teraz osiemnaście lat, prawie dziewiętnaście, i była starsza niż większość uczennic z Oaks Garden. Miała już serdecznie dość internatu.

– Tego jeszcze nie wiadomo – oświadczył George Greenwood. – Pogódź się z tym po prostu, Glorio. Mogę ci tylko powiedzieć, że twoi krewni w Nowej Zelandii nie mają na to wpływu. A gdyby to zależało od Miss Gwyn, mogłabyś wrócić choćby jutro!

George chciał zamówić dorożkę, aby Gloria nie musiała już iść piechotą do internatu – dziewczyna była tak wyczerpana i przybita – ale nie odważył się czegokolwiek jej proponować. Może wówczas rzuciłaby mu się na szyję z głośnym płaczem, a taka scena byłaby nie do zniesienia.

Postanowił za to raz jeszcze po powrocie pomówić z Miss Gwyn, Jamesem i Jackiem. Musi być przecież jakaś możliwość, aby wywrzeć wpływ na Williama i Kurę – ta dziewczyna wyglądała jak półtora nieszczęścia. A ostatnie, dzięki czemu miałyby poczuć się lepiej, to była podróż do Ameryki.

– Naprawdę nie mogę niczego stwierdzić, Mrs McKenzie – wyznał doktor Alistar Barrington. Dokładnie zbadał Charlotte, zważył ją, zmierzył i ostukał jej głowę, czego efektem były jedynie kolejne bóle. – Ale jestem bardzo zaniepokojony. Oczywiście możliwe jest, że cierpi pani na silne ataki migreny, i zdarza się, że pojawiają się one częściej. Ale razem z tymi zawrotami głowy, utratą wagi, pani... hm, nieregularnymi cyklami... – Charlotte zaczerwieniona ze wstydu wyznała lekarzowi, że mimo intensywnych starań jej pragnienie urodzenia dziecka wciąż pozostaje niespełnione.

– Czy to może być coś poważnego? – pytał Jack z troską głosem. Młody lekarz zaprosił go po badaniu do gabinetu; Jack spędził ostatnią godzinę na twardym krześle w poczekalni, dygocąc ze strachu i modląc się. Choć co prawda nie miał żadnych oporów, aby zostawić Charlotte samą z doktorem Barringtonem. Medyk okazał się sympatycznym młodym człowiekiem o szczupłej twarzy naukowca, krótkiej brodzie i bujnych brązowych włosach. Jego spokojne piwne oczy budziły w pacjentach i ich krewnych całkowite zaufanie.

– Tak też niestety może być – odpowiedział lekarz na pytanie Jacka, lekko wzruszając przy tym ramionami.

Nerwy Jacka były napięte do granic możliwości.

– Doktorze, niech pan nas nie skazuje na dalsze tortury niepewności. Proszę powiedzieć, co to może być.

Charlotte, ubrana w prostą jasnoniebieską suknię, była blada i krucha – robiła wrażenie, jakby nie chciała już nic wiedzieć. Ale Jack był człowiekiem, który potrafił się zmierzyć z niebezpieczeństwem.

– Jak już mówiłem, niczego nie mogę tu stwierdzić – powtórzył lekarz. – Ale kilka objawów... tylko kilka, Mrs McKenzie, choć nie jestem ich zupełnie pewien... może wskazywać na guza mózgu. – Doktor Barrington wyglądał teraz tak samo nieszczęśliwie, jak czuł się Jack.

– A co to znaczy? – spytał Jack.

– Także i na to pytanie nie mogę odpowiedzieć z całą pewnością, Mr McKenzie. Wszystko zależy od tego, gdzie ten guz jest zlokalizowany... i czy w ogóle można jego lokalizację ustalić... także od tego, jak szybko rośnie. To należałoby stwierdzić. A ja tego nie potrafię.

Ten człowiek był przynajmniej uczciwy i szczerzy. Charlotte wsunęła rękę w dłoń męża.

– Czy to znaczy... że muszę umrzeć? – spytała zachrypniętym głosem.

Doktor Barrington potrząsnął głową.

– To na razie nie znaczy nic. Jeśli mnie państwo pytacie, to odpowiem, że powinniście jak najszybciej odwiedzić doktora Friedmana w Auckland. To specjalista od chorób mózgu, który studiował w Berlinie u profesora von Bergmanna. Jeśli w tej części świata jest jakiś

specjalista chirurg od spraw mózgu, to jest nim właśnie on.

– To znaczy, że on mógłby ten guz... usunąć? – spytała Charlotte.

– Jeśli to jest możliwe – potwierdził doktor Barrington. – Ale o tym nie powinniście państwo na razie w ogóle myśleć. Pojedźcie do Auckland i skonsultujcie się z doktorem Friedmanem. Ale zachowajcie spokój. Niech to będzie coś w rodzaju wakacyjnej podróży. Zwiedźcie Wyspę Północną... jest naprawdę piękna. I spróbujcie zapomnieć o moich obawach. Może wróćcie za cztery tygodnie, a pańska żona będzie w ciąży. Zmiana klimatu zalecana jest zarówno przy niepłodności, jak i przy migrenie...

Charlotte kurczowo obejmowała rękę Jacka, kiedy znaleźli się na ulicy.

– Chcesz iść do krawcowej? – spytał cicho.

Charlotte chciała dzielnie przytaknąć, ale zobaczyła jego twarz i potrząsnęła głową.

– A ty? Chcesz kupić tę whisky?

Jack przyciągnął ją do siebie.

– Kupię bilety do Blenheim i na prom na Wyspę Północną. Żebyśmy się udali w naszą... wakacyjną podróż. – Miał zachrypnięty głos.

Charlotte przytuliła się do niego.

– Zawsze chciałam pojechać do Waitangi – powiedziała cicho.

– Zobaczyć lasy deszczowe... – uzupełnił Jack.

– I Tane Mahuta. – Charlotte się uśmiechnęła. Olbrzymie drzewo kauri w Waipuha Forest było czczone przez Maorysów jako bóg lasu.

– Lepiej nie – szepnął Jack. – Nie chcę mieć do czynienia z bogami, którzy rozdzielają kochanków.

W Oaks Garden z początku w ogóle nie dostrzegano wojny, nawet wtedy, kiedy Wielka Brytania w początku sierpnia ogłosiła mobilizację. Piątego sierpnia Anglia wypowiedziała wojnę Cesarstwu Niemieckiemu, a kompetentny w tych sprawach minister Horatio Kitchener uważał za możliwe wieloletnie działania wojenne. Ale większość ludzi w odpowiedzi na to potrząsała z powątpiewaniem głową. Zakładano, że ta wojna będzie krótka, i ochotnicy licznie napływali pod flagi swoich wojsk. Było to konieczne, bo angielska armia była nieliczna, rozproszona głównie w koloniach. Co prawda nie było obowiązku służby wojskowej, ale w obliczu wojennego fanatyzmu w Niemczech i Francji Anglicy nie chcieli pozostać w tyle. Bardzo szybko sformowano sześć dywizji, *navy* zaś natychmiast wysłała sto tysięcy żołnierzy do Francji.

W Oaks Garden czytano lirykę wojenną i malowano flagi. Zajęcia przyrodnicze były wprawdzie trochę bliższe życiu, ale tylko dlatego, że próbowano zapoznać uczennice z podstawowymi zasadami pierwszej pomocy.

Wszystkie te wydarzenia przemknęły obok Glorii niemal niezauważalnie. Termin jej wyjazdu był już ustalony: statek do Nowego Jorku wypływał dwudziestego sierpnia z Londynu, a Martynowie tym razem wyruszyli w podróż z bardzo małą grupą. Kolejni tancerze mieli zostać zatrudnieni dopiero na miejscu i teraz nie przywiązywano tak wielkiej wagi do ich maoryskiego pochodzenia. Ci nieliczni, którzy jechali z Martynami, byli członkami grupy od lat i doskonale rozumieli wskazówki nowych reżyserów. Jedną z wieloletnich członkiń zespołu, Tamatea, starsza Maoryska, pojawiła się w Oaks Garden dziewiętnastego sierpnia, aby zabrać Glorię.

Miss Arrowstone patrzyła na to wszystko bardzo niełaskawym okiem, kiedy zawołała dziewczynę do swego biura. Nawet nie podała herbaty drobnej ciemnokookiej kobiecie. Za to raz jeszcze wygłosiła wykład, którego w swoim czasie musiał wysłuchać George Greenwood: wykształcenie kobiet, szczególnie w kwestii sztuki, i jego nader istotna rola, jeśli chodzi o bezpieczeństwo wychowanków w czasie wojny. Tym bardziej że Anglia w żaden sposób nie była zagrożona, a już zwłaszcza Cambridge. W przekonaniu Miss Arrowstone ucieczka do kolonii była teraz oczywistą oznaką tchórzostwa. Tamatea, która mówiła łamaną angielszczyzną i niewiele rozumiała, wysłuchiwała tego wszystkiego w spokoju i otworzyła szeroko ramiona, kiedy weszła Gloria.

– Gloria! *Haere ma!* Ja cieszyć się, że cię widzieć.

Twarz Tamatei była rozjaśniona radością, kiedy chwyciła Glorię w objęcia.

– Ja też jestem szczęśliwa, *taua!* – powitała Gloria starą kobietę. Jej nieco zapomniany maoryski nie był najlepszy, ale dziewczyna cieszyła się, że przynajmniej pamiętała słowa pozdrowienia. Tamatea była bardzo szczęśliwa, mogąc je usłyszeć. Należała do tego samego pokolenia co matka Kury Marama i pochodziła z tego samego szczepu. Dla maoryskich dzieci była jedną z wielu „babć”, bez względu na to, czy były one z nią spokrewnione, czy nie. Tamatea była ich *taua*, ich babcią. Dla Glorii Tamatea była jedną z najbliższych krewnych. Stara maoryska tancerka zawsze pocieszała ją w czasie kolejnych tournée, troszczyła się o nią, kiedy Gloria walczyła z kolejnym atakiem choroby lokomocyjnej, i broniła jej przed złośliwościami młodych tancerek z grupy.

– Twoi rodzice chyba nie znaleźli czasu, aby po ciebie przyjechać – zauważyła uszczypliwie Miss Arrowstone.

Tamatea przytaknęła z uśmiechem, nie dostrzegając złośliwości.

– Tak. Muszą przygotować dużo. Dlatego wysłać mnie. Pociągami, a potem dorożką. Ty gotowa, Gloria? To idziemy.

Wyraz twarzy Miss Arrowstone, pełnej jadowitej złości, sprawił Glorii przyjemność. Dostrzegła, że Tamatea nie dała się wyprowadzić z równowagi. W gruncie rzeczy była to dobroduszna, pogodna kobieta, ale potrafiła być surowa, kiedy jej tancerki i tancerze nie trzymali się ściśle określonych zasad. I nawet odważała się krytykować Kurę-maró-tini za interpretację maoryskich pieśni, jej zdaniem nieco za bardzo zorientowaną na zachodnioeuropejską kulturę. Gloria przeważnie nie rozumiała sensu dyskusji, bo obie kłóciły się w bardzo szybkim maori. Ale widziała, że zwykle to raczej Tamatei przeważały. Była ona jedyną maoryską *tohunga*, która występowała w grupie od samego początku. Tajemnicą było, jak i dlaczego zносиła długoletnią rozłąkę ze swoim szczepem. Jednak w kłótniach z Kurą często padało imię „Marama”. Czy Tamatea była kimś w rodzaju zastępczyni matki Kury, tej powszechnie znanej w Aotearoa pieśniarki? Czy też była ostatnią strażniczką dawnych tradycji? Gloria nie wiedziała, ale cieszyła się, że nie musi tego teraz rozstrzygać.

Podróż z Tamateą była z pewnością spokojniejsza niż z Williamem i Kurą-maró-tini. Ostatnimi razami po Glorię zawsze przyjeżdżał ojciec i rozmowa ograniczała się do egzaminowania jej z materiału nauczania Oaks Garden oraz szczegółowych opisów ostatnich sukcesów Kury. To ostatnie połączone było ze skargami na koszt tancerzy i transportu.

– Cieszysz się, że jedziesz do Ameryki, *taua?* – dopytywała się Gloria, kiedy już razem siedziały w dorożce jadącej do Cambridge. Park szkoły Oaks Garden był coraz mniejszy, aż wreszcie znikł z pola widzenia, ale Gloria nie oglądała się do tyłu.

Tamatea wzruszyła ramionami.

– Dla mnie to taki sam kraj jak inne – stwierdziła. – Ale nie taki jak Ngai Tahu.

Gloria ze smutkiem skinęła głową.

– Wrócisz tam kiedyś? – spytała.

Stara kobieta pokiwała głową.

– Pewnie. Może wkrótce. Jestem za stara na scenę. Tak przynajmniej uważają twoi rodzice. W domu to nic nadzwyczajnego, kiedy babcie tańczą i śpiewają. Ale tu robią to chyba tylko młodzi ludzie. Ja już też prawie nie występuję. Przeważnie maluję dziewczyny – i oczywiście je uczę. Malowanie jest najważniejsze. Maluję na twarzach wzory ze starych tatuży. Wtedy nie widać, że tancerze nie są prawdziwymi Maorysami.

Gloria się uśmiechnęła.

– A pomalujesz też mnie, *taua?*

Tamatea przyjrzała się uważnie jej twarzy.

– U ciebie będzie to wyglądało autentycznie – powiedziała. – W tobie płynie krew Ngai Tahu.

Gloria nie wiedziała, dlaczego te słowa sprawiły, że poczuła nagłą dumę. Ale po rozmowie z Tamateą poczuła się o wiele lepiej – jak kiedyś, wiele lat temu. I dodało jej to odwagi, aby móc stanąć twarzą w twarz z matką.

William Martyn pilnował właśnie rozładowywania licznych skrzyń z rekwizytami, kiedy przed hotel Ritz zajechała Gloria z Tamateą. Martynowie znów zatrzymali się w tym londyńskim hotelu o światowej sławie i Tamatea opowiadała Glorii, że planowany był tu koncert pożegnalny, po którym Kura i jej świta mieli odjechać do Ameryki.

– Ale rezygnują z pieniędzy za ten występ. – Tamatea nie kryła braku zrozumienia. – Zbierają je dla angielskich żołnierzy albo wdów wojennych czy coś takiego... A przecież oni jeszcze tak naprawdę nie walczą. Nikt nie wie, czy w ogóle będą jacyś zabici.

Gloria mało się nie roześmiała. Stara Maoryska podróżowała już niemal przez cały świat, ale ciągle myślała kategoriami swojego szczepu.

U Maorysów wypowiedziana wojna wcale nie musiała się skończyć poważnymi walkami. Często śledzono się tylko, śpiewano bardzo wojownicze *haka* i wymachiwano dzidami, ale przeważnie kończyło się to jakimś pojednaniem.

Ale jeśli chodziło o tę wojnę, raczej nie można było na to liczyć. Wprawdzie Anglicy nie dali się jak na razie wciągnąć do walki, ale okrucieństwa Niemców w Belgii były tematem doniesień gazet w całej Europie.

– Ostrożnie z tymi skrzyniami! Zawierają cenne instrumenty! – Gloria wzdygnęła się, słysząc głośny tenor Williama Martyna, choć przecież tym razem nie ona została zganiona, lecz pracownicy firmy spedycyjnej. Wyposażenie scenicznych show Kury-maró-tini już dawno przestało się ograniczać do kilku fletów i fortepianu. Nieliczni stali członkowie grupy, jak Tamatea, grali także na większych instrumentach maoryskich, a tło dla tancerzy tworzyła stylizowana maoryska wioska z autentycznymi rzeźbami.

– O, jesteś, Tamatea. I Gloria! Miło cię widzieć, dziewczyno, wydaje się, że jeszcze urosłaś, ale to dobrze. Czas, abyś się wyciągnęła w górę... – William pośpiesznie pocałował dziewczynę w policzek. – Tamatea, zaprowadź ją szybko do matki. Kura się ucieszy, kiedy cię zobaczy, a ty, Glory, będziesz mogła jej pomóc...

William wrócił do swoich zadań. Serce Glorii biło szybko. Przy czym miała pomóc swojej matce?

William szybkim ruchem ręki wskazał portierowi багаż Glorii. Mężczyzna zabrał jej walizki do hotelu, a Gloria weszła do eleganckiego holu. Właściwie powinna była się przyzwyczaić, ale tego rodzaju hotele, w których zwykle zatrzymywali się jej rodzice, zawsze ją onieśmiały. Za to Tamatea poruszała się z wielką swobodą w tym świecie ludzi bogatych i sławnych. Stara Maoryska szła tak spokojnie po parkiecie i cennym orientalnym dywanie hotelu Ritz, jak gdyby to była trawa Canterbury Plains.

– Proszę klucz dla Glorii Martyn, córki Kury-maró-tini.

Tamatea komenderowała portierem bez żadnym oporów. Mężczyzna był zapewne nowym pracownikiem, bo Gloria jeszcze nigdy go tu nie spotkała. Siłą rzeczy musiała raz jeszcze usłyszeć znaną uwagę:

– To jest córka...?!

I zmierzyć się raz jeszcze z zaskoczonym spojrzeniem portiera. Zaczerwieniła się.

– Mrs Martyn czeka na panią – dodał portier po chwili. – Ale niestety nie mam dodatkowego klucza dla pani, Miss Martyn. Pani rodzina wynajęła apartament, w którym jeden pokój przygotowany jest dla pani.

Gloria skinęła głową. Wolałaby pokój przeznaczony wyłącznie dla niej. Po pobycie w internacie cieszyła się możliwością całkowitej samoty i zamknięcia za sobą drzwi. Tym bardziej że jej rodzice rzadko wracali wcześniej do domu. Albo odbywały się ich kolejne koncerty, albo byli zapraszani na przyjęcia czy też party.

Apartament znajdował się na najwyższym piętrze hotelu. Gloria weszła do windy jak zawsze ze strachem i wydawało jej się, że Tamatea czuje się podobnie.

– Gdyby bogowie chcieli, aby ludzie rzucali się w ramiona Rangī, to daliby im skrzydła – wyszeptła do Glorii, kiedy boy rutynowym ruchem wskazał na wspaniały widok, jaki rozciągał się z tego piętra. Stara Maoryska nie zaszczyciła widzianego stąd miasta ani jednym spojrzeniem, lecz od razu zapukała do drzwi apartamentu.

– Wejść! – Kura-maró-tini Martyn wydawała się śpiewać to proste słowo. Jej głos był silny i melodyjny, właściwie mezzosopran, choć Kura była w stanie zaśpiewać wyższe tony i mogła się uporać z większością partii sopranowych opery. Ale rozpiętość jej niezwykłego głosu obejmowała także partie altowe. Głos Kury był swego rodzaju cudem, a ona wykorzystywała to znakomicie przy swoich interpretacjach muzyki maoryskiej. Przy czym pieśni maoryskich szczepów przeważnie nie były aż tak skomplikowane i Kura wykorzystywała je bardziej jako inspiracje do aranżacji własnych kompozycji.

– Gloria! Wejść, proszę! Czekam na ciebie już od kilku godzin! – Kura Martyn siedziała przy fortepianie i przeglądała nuty. Teraz podniosła się, widząc Glorię, i podeszła do niej. Ciągle wyglądała bardzo młodo; nikt by nie powiedział, że jest matką dziesiętnastoletniej córki. Choć co prawda urodziła ją, kiedy była bardzo młodą dziewczyną – miała teraz około trzydziestu pięciu lat.

Gloria przywitała się nieśmiało i czekała na znane jej dobrze frazesy typu jaka jest duża i jak dorośle wygląda. Wydawało się, że Kure-maró-tini zawsze zaskakiwał fakt, że jej córka dorasta. Pomiedzy rzadkimi odwiedzinami w ogóle nie brała udziału w życiu Glorii i chyba nie obawiała się, że coś przeoczy. Ale za to sama, jak się wydawało, w ogóle się nie starzała. Wręcz przeciwnie, Kura-maró-tini w ostatnich latach stała się chyba jeszcze piękniejsza. Jej czarne, gęste, sięgające do bioder włosy były teraz kunsztownie upięte; prawdopodobnie była już wraz z mężem zaproszona gdzieś na wieczór. Cere miała wręcz atlasową, w kolorze przypominającym delikatną kawę z mlekiem, a kontrastowały z nią błyszczące lazurowobłękitne oczy. Powieki Kury były ciężkie, co nadawało jej oczom wyraz rozmarzenia, usta pełne, w kolorze delikatnej czerwieni. Kura-maró-tini nie nosiła ciasno sznurowanych gorsetów, ale jej sukni wieczorowych nikt nie porównałby do tych, które nosiły sufrażystki. Od kiedy stała się sławna, zlecała szyć swoich sukien według własnych projektów i zupełnie nie liczyła się z modą. Miały krój, który podkreślał jej kształty, ale jednak były na tyle szerokie, że materiał wydawał się jej nie dotykać i nieomal igrzać z jej ciałem. W ten sposób wyraźnie podkreślona i widoczna była jej wąska talia, szczupłe nogi i drobne, bardzo kobiece ciało. Kura nigdy nie nosiła na scenie „spódniczki z trzciny”, jak sama to kpiąco określała, kiedy William nakłaniał ją do tego, by ubierała się zgodnie z tradycją. Nie miała też żadnych zahamowań, jeśli chodziło o nagość swojego ciała na scenie, zupełnie jak maoryskie kobiety, które zwykle tańczyły z obnażoną górną częścią tułowia.

Tego wieczoru Kura miała na sobie dość prostą suknię z niebiesko-szmaragdowego jedwabiu.

Nie skomentowała tym razem nudnego ciemnoniebieskiego stroju podróznego Glorii, nie wspomniała też ani słowem o zmianach w wyglądzie córki.

– Kochanie, musisz mi w czymś pomóc, prawda? Wyobraź sobie, że Marisa zachorowała. I to akurat teraz, przed pożegnalnym koncertem w Anglii. Ma rzeczywiście ciężką gripę, ledwo może się utrzymać na nogach...

Marisa Clerk, eteryczna, drobna blondynka, była pianistką Kury-maró-tini. Wyjątkowo uzdolnioną i tworzącą na scenie barwny kontrast zarówno z egzotyczną pieśniarką, jak i z tancerzami, robiącymi czasami wrażenie barbarzyńców. Ale Gloria miała jak najgorsze przecucia.

– Nie, nie obawiaj się, nie będziesz musiała towarzyszyć mi na scenie. Wiemy przecież o twoich zahamowaniach... – Gloria niemal odczytała w myślach Kury dalszą część zdania: „nie mówiąc już o tym, że jesteś mało atrakcyjna...”.

Kura mówiła dalej:

– Ale dostałam właśnie nową aranżację. Caleb przeszedł samego siebie, a nie mam zbyt wielkiej nadziei, że nuty dotrą na czas.

Caleb Biller, podobnie jak kiedyś, zajmował się nadal aranżacją utworów muzycznych Kury – to razem z nim Kura planowała dawno temu swoje pierwsze występy. Spadkobierca kopalni węgla był utalentowanym muzykiem, na tyle jednak nieśmiałym wobec ludzi, że nigdy nie odważył się wejść na scenę. Zamiast iść w ślady Kury, wybrał nudne życie prywatnego nauczyciela muzyki w równie nudnym Greymouth – tej decyzji Kura nigdy nie była w stanie zrozumieć. Niemniej jednak Caleb ciągle brał udział w jej karierze i wyczuwał niemal instynktownie, czego pragnęła jej publiczność. Od dawna już dostarczał jej własne kompozycje, a nie aranżacje cudzych utworów.

– A to jest rodzaj przepięknej ballady. W tle słychać śpiewaną *haka*, jako podkład do bardzo prostego tańca. Tamatea nauczyła tego tancerzy w pięć minut. Na pierwszym zaś planie duchy opowiadają pewną historię, która jest treścią tej ballady. Najpierw słychać utwór muzyczny na pianinie i *putorino* – tylko głos ducha, bardzo eteryczny – a potem znów pianino i śpiew. Bardzo chętnie zaśpiewałabym to już jutro na przedstawieniu. Byłoby to bardzo piękne i dostojne zakończenie, ale też i coś, co pobudza nasz apetyt na coś nowego. Ludzie powinni przychodzić na moje show, kiedy wrócimy z Ameryki. Ale właśnie teraz Marisa nie jest w stanie czegokolwiek zrobić. A powinnam jeszcze przynajmniej kilka razy przećwiczyć partię fletu, bo trzeba to dopasować do całości, wiesz, co mam na myśli, prawda, Glory?

Gloria nie rozumiała praktycznie nic oprócz tego, że matka najwyraźniej oczekiwała od niej, że zastąpi Marisę przynajmniej na próbach.

– Zagrasz dla mnie na fortepianie ten fragment, Glorio? Tutaj są nuty, usiądź. To bardzo proste.

Kura poprawiła wysokość krzesła i wzięła do ręki mały flet, który leżał na fortepianie. Gloria bezradnie kartkowała stos ręcznie zapisanych nut. Od pięciu lat uczyła się grać na pianinie, powinna więc mieć dostatecznie zręczne palce. Jeśli ćwiczyła wystarczająco długo, była w stanie zagrać nawet trudniejsze utwory, ale zawsze było to poprzedzone ciężką pracą. Jeszcze nigdy jednak nie grała bez przygotowania. Dotychczas jej nauczycielka muzyki wykonywała najpierw sama jakiś utwór, a potem takt za taktem ćwiczyła razem z Gloria trudniejsze fragmenty. I dopiero po kilku tygodniach żmudnych ćwiczeń Gloria potrafiła zagrać utwór tak, jak Miss Beaver.

Teraz jednak nie odważyła się odmówić. Z rozpaczą, ale i pragnieniem, aby choć raz przypodobać się matce, stuknęła w klawisze i mozolnie przedzierała się przez utwór. Kura słuchała, nie za bardzo rozumiejąc, ale nie przerywała, póki Gloria nie pomyliła się po raz trzeci w jednym takcie.

– Tam jest fis, Glorio, nie widzisz krzyżyka przed F? To bardzo łatwy akord, musiałas to grać nieraz! Mój Boże, udajesz głupią, czy rzeczywiście jesteś aż takim beztalenciem? To już nawet twoja ciotka Elaine ma więcej talentu!

Elaine towarzyszyła Kurze w czasie jej pierwszego koncertu w Blenheim i nawet ona musiała długo ćwiczyć, aby choć trochę spełnić oczekiwania Kury – muzyka z krwi i kości. A przecież Elaine była naprawdę muzykalna – w przeciwieństwie do beznadziejnej Glorii.

– Spróbuj jeszcze raz!

Gloria straciła już resztki pewności siebie, zaczęła grać od początku, ale tym razem nie przebrnęła nawet przez pierwsze takty i znów utknęła.

– Może gdybyś mi to zagrała...? – spytała bezradnie.

– Dlaczego mam ci to zagrać? Nie umiesz czytać? – Kura niecierpliwym ruchem wskazała na partyturę. Była już bardzo zdenerwowana.

– O nieba, dziewczyno, co my z tobą pocniemy? Myślałam, że w czasie tego tournée zastąpisz korepetytorkę, Marisa nie jest w stanie robić wszystkiego. O, na przykład przyuczanie nowych tancerzy, ona ma na to za duże kwalifikacje. Ale ty... Idź do swojego pokoju. Zadzwoń do recepcji. W końcu to Londyn, to miasto ma operę i tysiąc teatrów muzycznych... Znajdzie się chyba jakiś pianista, który mnie przez chwilę wesprze. A ty, Glorio, będziesz słuchać! Twoi szkolni nauczyciele najwyraźniej zaniedbywali swoją pracę. A ty nigdy nie lubiłaś długo ćwiczyć...

Kura zapomniała, że nikt jeszcze nie pokazał Glorii jej pokoju. I podczas kiedy matka rozmawiała przez telefon zdenerwowanym głosem, dziewczyna cicho wysunęła się z pokoju, zaczęła szukać w apartamencie, aż wreszcie znalazła pokój z pojedynczym łóżkiem. Rzuciła się na nie i rozplakała się. Była brzydka, bezużyteczna i głupia. Nie miała pojęcia, jak przetrwa najbliższe sześć miesięcy.

Charlotte McKenzie potrzebowała aż dwóch dni, aby dojść do siebie po podróży z Blenheim do Wellington. Jack robił, co mógł, aby ich podróż była pięknym przeżyciem, a Charlotte starała się cieszyć i okazywała radość, wiedząc, co jeszcze zobaczy. Jadła homara w Kaikoura i udawała, że naprawdę interesują ją wieloryby, foki i delfiny, które można było tam obserwować z małych łódek. Jej bóle głowy sprawiły, że mimo braku przyzwyczajenia spróbowała alkoholu w czasie degustacji wina, na którą zaprosiła ją pewna zaprzyjaźniona, przypadkowo spotkana rodzina. Gwyneira McKenzie wiele lat temu sprzedała Burtonom stado owiec, a Jack, wówczas mały chłopiec, pomagał w spędzaniu zwierząt. Akurat ten spęd należał do jego najpiękniejszych wspomnień i mógł opowiadać o nim w kółko. Charlotte słuchała, śmiejąc się, i piła wyciąg z opium, który przepisał jej doktor Barrington. Nie czuła się po tym dobrze. Na dłuższą metę to nie pomagało, najwyżej wówczas, kiedy piło się coraz więcej i więcej. Charlotte nienawidziła uczucia zmęczenia i bezsilności, które pojawiało się po zażyciu narkotyku. Chciała postrzegać świat wszystkimi zmysłami – i nie chciała tracić ani sekundy z Jackiem.

Jednak podróż na Wyspę Północną – to było dla niej za dużo. W Cook Strait szalały właśnie słynne „ryczące czterdziestki”, morze było rozkołysane i stalowoszare, a Charlotte nigdy nie była w stanie uodpornić się na chorobę morską. Próbowwała wesoło i dowcipnie opowiadać, jak niedobrze było jej w czasie podróży do Anglii i z powrotem, ale w końcu nie wytrzymała i dostała torsji. Potem cierpiała na tak silne zawroty głowy, że prawie nie mogła chodzić. Jack niemal przeniósł ją z nabrzeża do dorożki, a potem do hotelowego pokoju.

– Musimy jak najszybciej wyruszyć do Auckland, kiedy tylko poczujesz się lepiej – powiedział zatroskany i zgnębiony, widząc, że ona znów zasłania szczelnie okna i zawija głowę w wełniany szal. A przy tym ciepło i ciemność nie przynosiły już takiej ulgi jak kiedyś, w czasie tych ataków migreny, do których się niemal przyzwyczaiła. Właściwie pomagało już tylko opium, lecz ono tłumiliło nie tylko ból głowy, ale też wszystkie uczucia i zdolność postrzegania.

– Ale przecież najpierw chciałeś tyle zobaczyć – wtrąciła Charlotte. – Deszczowy las tropikalny. I *rotorua*, gorące źródła i gejzery...

Jack z wściekłością potrząsnął głową.

– Do diabła z gejzerami, drzewami i całą tą Wyspą Północną. Przyjechaliśmy tutaj po to, aby się zobaczyć z doktorem Friedmanem.

Wszystko inne to głupstwa, tylko tak mówiłem, bo...

– Bo to miała być nasza podróż wakacyjna – przerwała mu łagodnie. – Bo ty nie chciałeś, abym ja się obawiała.

– Ale Waitangi, chciałeś tam jechać, możemy tam wpaść, będziemy przejeżdżać w pobliżu... – Jack próbował uspokoić samego siebie.

Charlotte potrząsnęła głową.

– Też tak tylko mówiłam – wyszeptęła.

Jack patrzył na nią bezradnie. Ale nagle przyszło mu coś do głowy.

– Możemy zobaczyć to wszystko w drodze powrotnej! Najpierw pojedziemy do tego lekarza. A jak on... jak on powie, że wszystko jest w porządku, to objedziemy całą wyspę. Zgoda?

Charlotte się uśmiechnęła.

– Zrobimy tak – powiedziała cicho.

– A ona nazywa się Te Ika a Maui – Ryba Maui. To znaczy Wyspa Północna. – Jack zdawał sobie sprawę, że mówił bez sensu, ale nie mógł teraz znieść milczenia. – Półbóg Maui wyciągnął ją jako rybę z morza...

– A jego bracia włamali się do niego, aby tę rybę posiekać, i powstały góry, klify oraz doliny – uzupełniła Charlotte.

Jack w myślach przeklął sam siebie za własną głupotę. Charlotte prawdopodobnie знаła już maoryskie legendy lepiej niż on sam.

– To w ogóle był sprytny chłopak, ten Maui... – mówiła Charlotte w zadumie. – Potrafił zatrzymać słońce. Kiedy dni według niego mijały za szybko, to złapał je i zmusił, aby toczyło się wolniej po niebie. Też bym to chętnie zrobiła...

Jack chwycił ją w ramiona.

– Jutro jedziemy do Auckland – oświadczył.

Nie byli w stanie pokonać odległości z Wellington do Auckland w ciągu jednego dnia, choć już od lat między miastami istniało połączenie kolejowe. Trasa North Island Main Trunk Railway wiodła przez liczne łańcuchy górskie i doliny, a wspaniałe widoki wprost zapierały dech w piersiach. Pociąg jechał najpierw wzdłuż wybrzeża, potem mijał niesamowity obszar wulkaniczny, by wreszcie znaleźć się w łagodnym krajobrazie rolniczym. Jednak dla Charlotte jazda wąskotorową koleją przez tak różnorodną, pełną wspaniałych widoków okolicę wcale nie była mniej męcząca niż podróż statkiem. Także teraz cały czas walczyła z mdłościami i zawrotami głowy.

– Z powrotem będziemy jechali wolniej – obiecał Jack pod koniec trzeciego, ostatniego dnia podróży.

Charlotte obojętnie skinęła głową. Jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to wyjść z tego pociągu i znaleźć się w łóżku, które nie będzie się pod nią kołysać. Nie mogła wprost uwierzyć, że tak ją cieszyła w swoim czasie podróż poślubna w zupełnie podobnym wagonie należącym do George'a Greenwooda. Wówczas i ona, i Jack pili szampana i śmiali się z rozhuśtanego łóżka. A dziś nie była w stanie zatrzymać w żołądku nawet łyka herbaty.

Oboje odetchnęły z ulgą, kiedy wreszcie dotarli do Auckland, i żadne z nich nie miało już nastroju ani ochoty, by podziwiać urodę miasta budowanego pośród wulkanicznego krajobrazu.

– Musimy wejść na Mount Hobson albo Mount Eden... Ponoć są stamtąd fantastyczne widoki – stwierdził Jack, ale w jego głosie nie było słyca entuzjazmu. Głęboka zieleń stromych, pokrytych tarasami gór lśniła w słońcu nad miastem. Z górami kontrastowało lazurówoniebieskie morze otaczające liczne wulkaniczne wyspy, a nad wąwozem Grafton Gully wznosił się śmiały łuk niedawno ukończonego najdłuższego mostu świata.

– Później – powiedziała Charlotte. Wyciągnęła się z ulgą na hotelowym łóżku i nie chciała niczego widzieć ani słyszeć. Pragnęła tylko czuć obejmujące ją ramiona Jacka i wyobrażać sobie, że to wszystko jest jedynie złym snem, a następnego ranka obudzi się w swojej sypialni na Kiward Station i nie będzie w ogóle pamiętać nazwiska doktora Friedmana. A Auckland... Kiedyś, kiedy poczuje się lepiej, zwiedzą Wyspę Północną... Kiedy będą mieli dzieci... Uspokojona tą myślą, Charlotte usnęła.

Jack już następnego ranka wyruszył na poszukiwanie gabinetu doktora Friedmana. Specjalista od chorób mózgu przyjmował przy wykwintej Queen Street, ulicy, która kiedyś była wspaniałą promenadą, jeszcze zanim Auckland musiało zrezygnować z godności stolicy Nowej Zelandii na rzecz Wellington. Miasto kusilo wówczas wszystkich osadników ze wszystkich metropolii Starego Świata i dziś przy Queen Street stały wspaniałe wiktoriańskie wille.

Jack jechał tramwajem, a w Christchurch ten rodzaj poruszania się zawsze sprawiał mu dziecięcą wręcz radość. Jednak tego letniego dnia w Auckland czuł ogarniające go przerażenie i był pełen najgorszych przeczuc, choć wspaniały dom profesora mimo wszystko budził zaufanie. Jeśli kogoś było stać na tak piękny dom i gabinet w samym centrum Auckland, to ten ktoś musiał z pewnością dobrze zarabiać. Jack znów poczuł lęk. Czy słynny chirurg w ogóle będzie chciał go przyjąć?

Przynajmniej ta obawa była całkowicie nieuzasadniona. Okazało się, że doktor Barrington napisał już do swojego słynnego kolegi, a profesor Friedman wcale nie był człowiekiem zarozumiałym czy też nieprzystępnym. Sekretarz zapowiedział Jacka i poprosił, aby ten poczekał chwilę, aż profesor zakończy przeprowadzaną akurat konsultację. A potem lekarz zaprosił go do swojego biura, które przypominało raczej wykwinny pokój, a nie gabinet lekarski.

Profesor Friedman był drobnym, delikatnym mężczyzną z gęstą brodą. Nie był młody, Jack ocenił go na ponad sześćdziesiąt lat, ale jego jasnoniebieskie oczy patrzyły z zaciekawieniem i radością właściwymi dwudziestolatkom. Chirurg słuchał uważnie, kiedy Jack dokładnie opisywał mu symptomy choroby Charlotte.

– Czy po tym, jak zasięgnął pan rady doktora Barringtona, nastąpiło pogorszenie? – spytał spokojnie.

Jack przytaknął.

– Moja żona kładzie to na karb podróży. Zawsze miała skłonności do choroby morskiej, a do tego ta karkołomna podróż pociągami...

Cierpi przede wszystkim z powodu coraz silniejszych zawrotów głowy i mdłości.

Profesor Friedman uśmiechnął się po ojcowsku.

– A może ona jest w ciąży? – spytał.

Jack nie był w stanie odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech.

– Gdyby Bóg był dla nas tak łaskawy... – wyszeptał.

Profesor Friedman westchnął.

– Dziś Bóg nie jest zbyt hojny w rozdzielaniu swych łask – powiedział. – Już choćby ta bezsensowna wojna, w której właśnie pogrąży się Europa... Ile będzie straconych istnień ludzkich, ile przepadnie pieniędzy, które byłyby bardziej potrzebne na badania naukowe. Medycyna, młody człowieku, robi w ostatnich czasach ogromne postępy. Ale w ciągu najbliższych lat wszystko stanie w miejscu, a jedyne umiejętności, które będą doskonalić lekarze, to amputacje kończyn i opatrywanie ran postrzałowych. Choć w tej sytuacji nie będzie to pana za bardzo obchodziło. Nie traćmy więc czasu na gadanie. Proszę przyprowadzić do mnie żonę, jak tylko poczuje się lepiej. Niechętnie godzę się na wizyty domowe, bo wszystkie instrumenty potrzebne do diagnozowania mam tutaj. I jestem pełen nadziei, podobnie jak pan, że wszystko okaże się niegroźne.

Charlotte potrzebowała całego dnia, aby odpocząć i przygotować się na konsultację, ale następnego ranka już siedziała obok Jacka w poczekalni profesora Friedmana. Jack obejmował ją ramieniem, a ona tuliła się do niego jak wystraszone dziecko. Przemknęło mu przez głowę, że w ostatnich dniach stała się jeszcze drobniejsza. Jej twarz zawsze była szczupłą, ale teraz wydawała się składać tylko z wielkich brązowych oczu. Włosy, jak zwykle bujne, straciły blask. Jack niemal nie był w stanie się z nią rozstać choćby na parę chwil, kiedy doktor Friedman poprosił ją wreszcie do swojego gabinetu.

Spędził samotnie straszną godzinę, nie będąc w stanie ani się modlić, ani nawet myśleć. W poczekalni było ciepło i przyjemnie, ale Jack odczuwał jakiś osobliwy wewnętrzny chłód, którego nie mogły złagodzić najgorętsze promienie słońca.

W końcu sekretarz doktora Friedmana poprosił go do gabinetu. Profesor znów siedział za swoim biurkiem, a Charlotte naprzeciw niego obejmowała kurczowo szczupłymi palcami filiżankę herbaty. Na znak lekarza sekretarz nalał herbaty dla Jacka, po czym dyskretnie opuścił pokój.

Profesor Friedman od razu przeszedł do rzeczy.

– Mr i Mrs McKenzie... Charlotte... Przykro mi, że nie mam dla was dobrych wiadomości. Ale rozmawialiście już z moim młodym, bardzo kompetentnym kolegą w Christchurch, który nie ukrywał przed wami swoich obaw. Moje badania potwierdziły niestety jego podejrzenia i wstępna diagnoza. Charlotte, moim zdaniem cierpi pani na nowotwór mózgu. To on powoduje bóle głowy, zawroty głowy, mdłości i wszystkie pozostałe symptomy. I wygląda na to, że ten guz rośnie, Mr McKenzie... Objawy znacznie się nasiliły od chwili, kiedy badał panią doktor Barrington.

Charlotte, wyraźnie zrezygnowana i przybita, sączyła powoli herbatę. Jack dygotał ze zniecierpliwienia.

– To co teraz zrobimy, panie profesorze? Czy może pan... czy może pan to wyciąć?

Profesor Friedman bawił się machinalnie cenną obsadką do pióra, która leżała na jego biurku.

– Nie – odpowiedział cicho. – Ten guz znajduje się zbyt głęboko w czaszce. Operowałem już wprawdzie kilka takich guzów, tu, w Nowej Zelandii i w mojej dawnej ojczyźnie razem z profesorem Bergmannem. Ale to jest zawsze ryzykowne. Mózg jest bardzo wrażliwym organem, Mr McKenzie. Jest odpowiedzialny za wszystkie nasze zmysły, nasze myśli i uczucia. Nigdy nie wiadomo, co ulegnie zniszczeniu, jeśli coś się z niego wycina. Faktem jest, że już starożytni otwierali czaszki i próbowali manipulować przy mózgu. Co prawda były to pojedyncze przypadki i nie wiadomo, ilu ludzi to przeżyło. Dziś, kiedy wiemy o niebezpieczeństwie infekcji i pracujemy w niemal sterylnych warunkach, można niektórych pacjentów utrzymać przy życiu. Ale cena tego jest czasami bardzo wysoka. Niektórzy ludzie są potem ślepi albo sparaliżowani. Albo też całkowicie się zmieniają...

– Byłoby mi to obojętne, gdyby Charlotte była sparaliżowana. A ja też mam dwoje oczu na wypadek, gdyby oślepla. Chcę tylko, żeby ze mną była. – Jack dotknął ręki Charlotte, ale ona się cofnęła.

– Kochanie, mnie nie byłoby to obojętne – powiedziała cicho. – Nie wiem, czy chciałabym dalej żyć, gdybym się nie mogła ruszać albo gdybym nic nie widziała... Albo cierpiała z powodu jeszcze gorszych bólów. A jeszcze gorzej byłoby, gdybym cię potem nie kochała... – zaszlochała.

– Jak to możliwe? Miałabyś przestać mnie kochać tylko dlatego, że... – Jack patrzył na nią wyraźnie urażony.

– Mogą wystąpić zmiany w osobowości człowieka – wyjaśnił profesor Friedman. – Czasami nasz skalpel wydaje się wycinać wszystkie uczucia. Jest to rozważane przy leczeniu chorych psychicznie. Ci ludzie w efekcie nie są już niebezpieczni i nie trzeba ich zamykać

w zakładach. Ale w powszechnym rozumieniu nie są już ludźmi...

– A jak duże jest niebezpieczeństwo, że coś takiego się stanie? – spytał Jack z rozpaczą. – Musi pan przecież być w stanie coś zrobić! Profesor Friedman potrząsnął głową.

– Nie zalecałbym w tym wypadku operacji. Guz znajduje się zbyt głęboko, a nawet gdybym mógł go usunąć, musiałbym zniszczyć zbyt dużą ilość masy mózgu. Być może zamordowałbym przy tym pańską żonę. Albo też jej umyśl... Nie powinniśmy jej tego robić, Mr McKenzie... Jack... Nie powinniśmy odbierać jej tego czasu, który jej jeszcze pozostał.

Charlotte siedziała z opuszczoną głową. Profesor porozmawiał z nią widocznie, jeszcze zanim poprosił do pokoju Jacka.

– To znaczy, że ona... ona nie musi umrzeć? Nawet jeśli nie będzie pan operował? – Jack chwycił się każdego cienia nadziei.

– Nie od razu... – stwierdził lekarz niejasno.

– A więc nie wie pan tego? – spytał Jack. – Ma pan na myśli, że ona może jeszcze długo żyć? Ona mogłaby...

Profesor Friedman spojrział w stronę Charlotte wzrokiem pełnym rozpacz, a ona nieznacznie potrząsnęła głową.

– Czyli to może się poprawić? – wyszeptał Jack. – To... ten nowotwór może przestać rosnąć?

Profesor Friedman wznosił oczy do nieba.

– Wszystko jest w rękach Przewiecznego...

Jack odetchnął głęboko.

– A co z pozostałymi metodami leczenia, profesorze Friedman? – spytał po chwili. – Czy są jakieś lekarstwa, które mogą pomóc?

Lekarz potrząsnął głową.

– Mogę tylko dać państwu coś przeciwbólowego. To lekarstwo, które jest bardzo skuteczne, przynajmniej przez pewien czas. Ale jeśli chodzi o inne sposoby leczenia... niektórzy eksperymentują, stosując jakieś osobliwe esencje, słyszałem też, że w Stanach ktoś próbował podawać dawki rtęci. Ale nie wierzę w to wszystko. Z początku te środki może trochę pomagają, ale tylko dlatego, że dają pacjentowi nadzieję. Jednak na dłuższą metę chorzy cierpią z tego powodu jeszcze bardziej.

Charlotte podniosła się powoli.

– Bardzo panu dziękuję, profesorze – powiedziała łagodnie i uściśnęła rękę starego lekarza. – Lepiej jest wiedzieć o wszystkim.

Profesor Friedman skinął głową.

– Proszę spokojnie pomyśleć o tym, co pani dalej będzie robić – powiedział przyjaźnie. – Jak mówiłem, odradzam pani leczenie operacyjne, ale jeśli mimo to pani chce, mogę spróbować. Ale...

– Nie chcę tej operacji – oświadczyła Charlotte.

Opuściła gabinet lekarza ciasno przytulona do Jacka. Tym razem oczywiście nie pojechali tramwajem, Jack zatrzymał dorożkę. Charlotte niemal utonęła w miękkim oparciu siedzenia, a Jack trzymał ją za rękę. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, zanim nie dotarli do pokoju w hotelu. A tam Charlotte nie położyła się, lecz stanęła przy oknie, skąd rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na port Auckland. Waitemata – to była właściwa nazwa dla tej pięknej naturalnej zatoki, w której wszystkie statki znajdowały schronienie przed gwałtownymi sztormami szalejącymi na Pacyfiku.

Charlotte patrzyła na zielonkawoniebieską, połyskującą w słońcu wodę.

– Gdybym miała tego już nie widzieć... – powiedziała cicho – gdybym nie mogła zrozumieć znaczenia poszczególnych słów... Jack, ja nie chcę być czymś, co się nie rusza, nie widzi i jest dla ciebie tylko ciężarem. To nie jest tego warte. A ta operacja... Musieliby mi ogolić włosy, byłabym brzydka...

– Nigdy nie byłabyś brzydka, Charlotte – powiedział Jack, po czym podszedł do niej i pocałował jej włosy, patrząc na morze. W głębi ducha sądził, że ona ma rację. Także nie chciałby żyć, gdyby nie dane mu było postrzegać piękna otaczającego go świata. A najbardziej brakowałoby mu widoku Charlotte. Jej uśmiechu, jej dołków w policzkach, jej mądrych brązowych oczu. – To co teraz robimy? – spytał rozpaczliwie, gorączkowo szukając jakiegoś pocieszenia. – Nie możemy tak po prostu siedzieć i czekać... Albo się modlić... – Miał tak nieszczęśliwą twarz, że Charlotte zrobiło się go żal.

Uśmiechnęła się.

– Tego robić nie będziemy. Nie miałyby to żadnego sensu. Bogowie nie dadzą się tak szybko uprosić, musimy ich przechytrzyć, tak jak Maui przechytrzył słońce... I boginię śmierci...

– Ale nie skończyło się to sukcesem. – Jack przypomniał sobie treść legendy. Maoryski półbóg próbował pokonać boginię śmierci, kiedy ta spała. Ale zdradził go śmiech jego towarzyszy i musiał umrzeć.

– W każdym razie próbował – powiedziała Charlotte. – My też spróbujemy. Patrz, Jack, mam teraz lekarstwo od doktora Friedmana. Nie będę cierpieć z powodu tych nieznośnych bólów. Zrobimy więc to wszystko, co zamierzaliśmy zrobić. Jutro pojedziemy do Waitangi i odwiedzimy miejscowe plemiona maoryskie. Na temat tej umowy na pewno powstały już legendy... wśród *pakeha* istnieją już dawno.

Zgodnie z umową podpisaną w Waitangi przywódcy różnych szczepów maoryskich uznawali zwierzchność Korony Brytyjskiej. Jednak wodzowie nie wiedzieli dokładnie, co tak naprawdę podpisują. W roku 1840 nikt z tubylców nie umiał jeszcze czytać i pisać. Dlatego niektórzy maoryscy wodzowie, jak na przykład Tonga, sąsiad Gwyneiry z Kiward Station, ciągle kwestionowali zobowiązania tubylców wynikające z umowy. Dotyczyło to szczególnie takich szczepów, jak Ngai Tahu, których przedstawiciele wcale nie byli obecni przy podpisywaniu umowy.

– A skoro już jesteśmy na Wyspie Północnej, to potem chciałabym pojechać na Cape Reinga. I do Rotorua, tam też są szczepy Maorysów, które prawie nie mają kontaktu z *pakeha*. Byłoby ciekawe z nimi porozmawiać, posłuchać, jak oni opowiadają swoje legendy... – Charlotte odwróciła się do Jacka. Jej oczy błyszczały.

Jack poczuł nagle nadzieję.

– Tak, zrobimy dokładnie tak, jak mówisz – oświadczył. – To jest właśnie ta sztuczka, którą posłużyliby się Maorysi: po prostu nie będziemy zwracali uwagi na ten nowotwór w twojej głowie. Zapomnimy o nim, a on zniknie!

Charlotte uśmiechnęła się blade.

– Jeżeli tylko w to uwierzysz, to tak będzie... – wyszeptała.

Sercowy zawód Lilian Lambert przetrwał wyjazd z Oaks Garden zaledwie o parę dni. Jeszcze w Londynie milczała ponuro, a rola nieszczęśliwie zakochanej dziewczyny nawet jej się podobała. W pełnych fantazji marzeniach widziała Bena, jak z rozpaczą latami próbował dowiedzieć się czegoś na temat miejsca jej pobytu, aż wreszcie znalazł ją po wielu poszukiwaniach i oczywiście latach. Lilian przypominała sobie wszystkich zakochanych ze swoich piosenek i opowiadań, którzy z powodu własnej niewierności albo utraty ukochanej osoby pozostali przez całe życie samotni, a potem grzebano ich z białym gołębiem na piersi. Tak naprawdę Lilian uważała za mało prawdopodobne, że skądś zdobywano dla nich takiego ptaka, nie mówiąc już o tym, że przerażała ją sama myśl o wszystkich rodzajach śmierci. Pogodziła się więc z losem i szybko odzyskała właściwy sobie, pełen radości i nadziei nastrój. George Greenwood zawdzięczał jej najbardziej zabawną podróż swego życia, mimo wszystkich związanych z wojną obaw i trosk, które były tematem ciągłych rozmów pasażerów statku „Prince Edward”. Lilian, paplając radośnie, towarzyszyła zarówno George’owi, jak i innym pasażerom statku w czasie spacerów po pokładzie. Podróże do Nowej Zelandii już od dawna nie były przygodą pełną niebezpieczeństw i przypominały raczej luksusową podróż jakimś wycieczkowcem. Lilian była w dobrym humorze już od samego śniadania i zachęcała wszystkich pasażerów do gier i zabaw na pokładzie, choć trzeba przyznać, że nie cieszyły się one zbyt wielką frekwencją z powodu depresyjnych nastrojów spowodowanych wojną. George chętnie puszczał w niepamięć docierające do niego depeche na temat działań wojennych i wolał rozmawiać z Lilian o tym, co śniło jej się ostatniej nocy czy też o jej planach na przyszłość. A w tych ostatnich oczywiście wojna się nie pojawiała, bo Lilian w ogóle nie była w stanie sobie wyobrazić, że ludzie mogą do siebie strzelać. Coś takiego mogło się dziać w piosenkach i opowieściach – toteż Lilian wolała sobie wyobrazić, że Ben zaginął gdzieś w wojennej zawierusze, a ona wyruszyła w świat w męskim odzieniu, aby go odnaleźć. Ale coś takiego nie mogło się wydarzyć w Europie w początkach dwudziestego wieku!

– Nie wiem, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż... – stwierdziła któregoś wieczoru Lilian dramatycznym głosem. Utrata Bena chyba nie dotknęła jej aż tak bardzo, choć ona sama uważała, że ma złamane serce. – Prawdziwa wielka miłość to chyba zbyt wiele jak na jedno ludzkie serce.

George Greenwood zadawał sobie wiele trudu, aby zachować powagę.

– A kto to wymyślił? – spytał z uśmiechem.

Lilian zaczerwieniła się lekko. Nie za bardzo mogła przyznać, że to stwierdzenie pochodziło z wiersza Bena, który on recytował jej tuż przed pierwszym pocałunkiem w lasku nad rzeką Cam.

George poprosił o kawę i podziękował obsłudze krótkim skinieniem głowy. Lilian zaś posłała w stronę elegancko ubranego kelnera taki uśmiech, który kazał zwątpić w jej niechęć do małżeństwa.

– A co będziesz robić, skoro nie chcesz wychodzić za mąż? – dopytywał się z ciekawością George. – Może zostaniesz intelektualistką i będziesz studiować, tak jak moja Charlotte?

– Zanim poszła za słodkim głosem serca?

George przewrócił ostentacyjnie oczami. Niewiele wiedział o szkołach dla dziewcząt zorientowanych na kształtowanie kreatywno-artystycznych umiejętności, ale jeśli tego rodzaju liryka rzeczywiście była w planie nauczania Oaks Garden, nie najlepiej świadczyło to o poziomie tamtejszych zajęć.

– Tak, zanim poznała swojego późniejszego męża – poprawił George. – I nadal interesuje się sztuką i kulturą Maorysów. Czy jest jakiś przedmiot, który był szczególnie bliski twemu sercu? Którym się naprawdę interesowałaś jako działem nauki?

Lilian się zamyśliła.

– Właściwie nie – odpowiedziała i ugryzła wielki kęs bułki z miodem. Parowiec ciągle znajdował się na Atlantyku, fala była dość wysoka i mocno huštała, ale nie miało to żadnego wpływu na apetyt Lilian. – Mogłabym uczyć gry na pianinie. Albo malowania. Ale w gruncie rzeczy za bardzo nie umiem ani jednego, ani drugiego.

George się uśmiechnął. To przynajmniej brzmiało uczciwie.

A Lilian spokojnie obliżywała różowe wargi oblepione miodem.

– A może mogłabym pomagać mojemu ojcu w kopalni? – zastanawiała się. – To z pewnością by go ucieszyło...

George przytaknął. Najstarsza córka Lambertów była zawsze rozpieszczana przez ojca, a perspektywa zobaczenia Tima była dla niej chyba największą pociechą po rozstaniu z Anglią.

– Pod ziemią? – droczył się z nią.

Lilian spojrzała na niego karcącym wzrokiem, ale jej brązowo-zielone oczy błyszczały figlarnie.

– Tam dziewczyny nie są chętnie widziane – wyjaśniła mu. – Górnicy twierdzą, że kobieta pod ziemią przynosi nieszczęście, ale to oczywiście bzdura. Choć oni rzeczywiście w to wierzą! Nawet Mrs Biller nie zjeżdża na dół!

A to akurat było wbrew zamiarom kochanej Florence. George się uśmiechnął. Najwyraźniej Tim i Elaine informowali córkę na bieżąco o wszystkim, co dotyczyło starej waśni między Lambertami a Billerami. Bo to, że Florence Biller chciała choćby od czasu do czasu sama zjeżdżać pod ziemię, rozbawiło niegdyś całe Greymouth. Górnicy z kopalni Billera wprost zagrozili odejściem z pracy, gdyby coś takiego nastąpiło. Argumentowali, że pojawienie się kobiety pod ziemią prowadzi do natychmiastowych obrywów skalnych, zalania wyrobiska albo pojawienia się gazu. Florence Biller sprzeciwiała się ostro, ale górnicy byli nieprzejednani. I w końcu obrotna zarządczyni musiała ustąpić – a Tim Lambert określił to jako „historyczne wydarzenie”. Florence Biller zmusiła wobec tego swego małżonka do zjechania pod ziemię. Caleb zaś, który był geologiem, nieoczekiwanie znalazł wiele ciekawych tematów do rozmowy ze sztygarem, którego hobby była właśnie geologia. I w efekcie długiej dyskusji obaj wymienili się wiadomościami na temat przebiegu złóż węgla, szczególnie w państwach wschodniej Azji, co oczywiście nie miało żadnego pozytywnego wpływu na efektywność wydobycia węgla w Greymouth. Florence wpadła wówczas w szał.

– Umieć dobrze liczyć – dowodziła Lilian. – I nie pozwolę sobie w kaszę dmuchać. Jeśli miało się do czynienia z takimi bestiami jak Mary Jaine Lawson, to każdy prędzej czy później stawał się bezczelny i sprytny. A ta Mrs Biller też jest...

George znów zadawał sobie dużo trudu, aby się nie roześmiać. Mała Lilian Lambert wojująca z Florence Biller! Doprawdy, dla Greymouth nadchodziły ciekawe czasy.

– Twój ojciec i Florence Biller będą musieli w przyszłości jakoś się dogadać – powiedział spokojnie. – W czasie wojny nie ma miejsca na rywalizację. Wszystkie kopalnie będą pracowały na najwyższych obrotach, bo Europa potrzebuje węgla do produkcji stali. I zapotrzebowanie na nią w najbliższych latach będzie w ogóle szybko rosło. – Westchnął. George Greenwood był człowiekiem interesu, ale był też na wskroś uczciwy. I czuł głęboką niechęć już na samą myśl o tym, że teraz miałby zarabiać na wojnie. Ale przynajmniej nikt nie mógł zarzucić mu złych zamiarów. Bo nie myślał o zyskach będących efektem wojny, kiedy kupował udziały w kopalni Lambertów. – Ty w każdym razie

będziesz stanowić znakomitą partię dla kawalerów. – George kuśił jak mógł swoją małą przyjaciółkę. – Dzięki kilku udziałom Tima w kopalni Lambertowie będą bogaci.

Lilian wzruszyła ramionami.

– Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to mój mąż będzie mnie kochał dla mnie samej. Taką, jaka jestem. I nieważne, czy będzie księciem, czy żebrakiem, wszystko będzie zależało od tego, czy przemówią nasze serca.

Teraz George roześmiał się głośno.

– Żebak to przynajmniej będzie umiał docenić twój posag – stwierdził. – Ale czuję palącą wprost ciekawość, kiedy się zastanawiam, kto też zdobędzie twoje serce!

Jack był szczęśliwy, kiedy obserwował, z jakim zapałem Charlotte pokonywała strome podejście drogi wiodącej do latarni morskiej na Cape Reinga. Lekarstwo otrzymane od profesora Friedmana rzeczywiście czyniło cuda – Charlotte od trzech tygodni nie cierpiała z powodu bólów głowy, czuła się znakomicie i najwyraźniej była pełna odwagi i nadziei. Jej wizyta w Waitangi zakończyła się pełnym sukcesem – oboje podziwiali plac zebrzań, na który w roku 1840 gubernator Hobson zaprosił maoryskich wodzów do zaimprovizowanego namiotu w celu podpisania słynnej umowy, a potem odwiedzili zamieszkałe w pobliżu szczepy. Jacka zachwyciły domy zebrzań ozdobione bogatymi płaskorzeźbami. Oczywiście znał ten styl rzeźb z Ngai Tahu, ale szczepy Wyspy Południowej nie poświęcały tyle czasu i uwagi swoim *marae*. Może dlatego, że ich członkowie o wiele więcej i częściej wędrowali i zmieniali miejsce zamieszkania. Mieszkańcy Wyspy Północnej wydawali się prowadzić bardziej osiadły tryb życia. Charlotte z kolei nie interesowała się tak bardzo architekturą. Rozmawiała godzinami ze starszymi członkami szczepów, którzy pamiętali opowieści swoich matek i ojców. Charlotte dokumentowała wypowiedzi miejscowych na temat „umowy z Waitangi”, zapisywała kolejne jej interpretacje już drugiej generacji ludzi, których ona dotyczyła, a przede wszystkim skupiała się na różniących się od siebie w tej kwestii zdaniach mężczyzn i kobiet.

– *Pakeha* mieli swoją królową! – opowiadała jedna ze starszych kobiet, wyraźnie zdenerwowana, mimo upływu tylu lat. – Mojej matce bardzo się to podobało. Sama należała do najstarszych osób w szczepie i chętnie poszłaby na to spotkanie. Ale mężczyźni chcieli do załatwić sami między sobą. Najpierw długo tańczyli wojenną *haka*, aby dodać sobie odwagi. A potem posłaniec wszystkich waszych szczepów opowiadał o władczyni *pakeha* imieniem Victoria – co przecież znaczy „zwycięstwo”! I to właśnie zrobiło na nas wielkie wrażenie. Ona chyba była dla niego kimś w rodzaju bogini. W każdym razie przyrzekła nam ochronę, a jak to możliwe, nie mogłaby nas przecież chronić, będąc tak daleko, gdyby nie była boginią. A potem jednak doszło do wielkiego sporu... A czy to prawda, że teraz tam, skąd pochodzicie, intonowane są pieśni wojenne?

Charlotte potwierdziła wybuch wojny w Europie.

– Ale my nie jesteśmy stamtąd, gdzie zaczęła się ta wojna – poprawiła. – My przyjechaliliśmy tutaj z Wyspy Południowej, z Te Waka a Maui. Stara kobieta się uśmiechnęła.

– To nieważne, gdzie się urodziliście, tylko skąd pochodzą wasi przodkowie. Stamtąd jesteście i tam powrócą wasze duchy, kiedy już będą wolne.

– No, wcale nie byłbym zadowolony, gdyby mój duch wrócił do Anglii – żartował Jack, kiedy wreszcie opuścili osiedle. – Czy też do Szkocji albo Walii. Twój rodzice przynajmniej pochodzą oboje z Londynu.

Charlotte uśmiechnęła się blade.

– Ale Londyn to złe miejsce dla duchów – powiedziała łagodnie. – Zbyt głośne, pełne pośpiechu. Hawaiki wydaje mi się piękniejsze i bardziej właściwe... Wyspa pośród błękitnego morza, żadnych zmartwień...

– I orzechy kokosowe, które rosną w ustach, o ile przedtem nie spadną na głowę – droczył się z nią Jack, choć poczuł niepokój. Było jeszcze za wcześnie na to, aby tak bez skrępowania mówić o śmierci, nawet jeśli była ona tylko treścią maoryskich mitów. Zdaniem pierwotnych mieszkańców Nowej Zelandii pochodzili oni z polinezyjskiej wyspy, którą nazywali Hawaiki. Stąd mieli przybyć do Nowej Zelandii na swoich kanu, dokładnie do Aotearoa, i każda rodzina do dziś zachowała wiedzę o nazwie kanu, które przywiozło tu ich przodków. Według legendy duch każdego współplemieńca wracał po jego śmierci na Hawaiki.

Charlotte wzięła Jacka za rękę.

– Nie lubię orzechów kokosowych – powiedziała. – Ale tu, w Waitangi, zobaczyłam już wszystko, co chciałam. Pojedziemy jutro na północ?

Ninety Mile Beach i Cape Reinga były w Nowej Zelandii miejscami najbardziej wysuniętymi na północ. Słynęły ze spektakularnych widoków, jakie rozciągały się ze skał na szalejące pod nimi morze. Tu właśnie Ocean Spokojny spotykał się z Morzem Tasmańskim – był to obowiązkowy punkt podróży wszystkich *pakeha* przez Wyspę Północną. Dla Maorysów zaś miejsce to było czymś w rodzaju świętości.

Jack wzruszył ramionami.

– Czy to nie będzie zbyt wyczerpujące, kochanie? Tam podejście jest bardzo strome, ostatnie mile trzeba iść na piechotę. Jesteś pewna, że dasz radę? Wiem, przez ostatnie trzy tygodnie nie miałaś tu ani jednego... ataku migreny, ale...

Nie dokończył, bo było coś, co mimo wyraźnej energii jego żony niepokoiło go coraz bardziej: Charlotte znów zeszczuplała, co w zasadzie nie było niczym dziwnym, bo prawie nie jadła. Jej palce sprawiały wrażenie delikatnych, przejrzystych palców wróżki, a kiedy Jack nocą przytulał ją do siebie, wydawało mu się, że jej ciało trawi gorączka. Wycieczka w góry była jego zdaniem ostatnią właściwą dla niej rzeczą, ale Charlotte oświadczyła kilkakrotnie, że chce zobaczyć właśnie Cape Reinga.

I teraz także uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– No to będziesz mnie musiał wnieść. A może będziemy mogli wynająć konie albo muły. Ponoć są tam dzikie konie, czyli zwierzęta juczne także dają radę tam wejść. Latarnik też ma na pewno jakieś zwierzę pociągowe, w końcu musi jakoś przywozić sobie zaopatrzenie...

Jack przyciągnął ją do siebie.

– Dobrze, to cię tam wniosę. Jest mi zupełnie obojętne, co powiedzą ludzie. A poza tym, czy ja w ogóle przeniosłem cię przez próg w czasie naszej nocy poślubnej? W ogóle nie pamiętam... takich mało ważnych szczegółów.

Ostatnie osiedle *pakeha* przed Cape Reinga nazywało się Kaitaia – była to mała miejscowość, w której przybysze błędzili tylko wtedy, kiedy chcieli udać się na najbardziej wysunięty na północ kraniec wyspy. Okolicę porastała bujna, zielona roślinność, co zdziwiło Jacka, który liczył się raczej z surowym krajobrazem górskim. Także ścieżki otaczające miasteczko nie były aż tak trudne, aby należało się obawiać dalszej wyprawy. Jack wynajął pokój w małym pensjonacie i poszedł do gospodarza, aby porozmawiać o koniach albo o jakimś pojeździe, do którego można by je zaprzęć.

– Do przybrzeżnych skał jest jeszcze dobrych kilkadziesiąt mil – stwierdził sceptycznie mężczyzna. – Nie byłbym pewien, czy pańska lady wytrzyma tak długo na koniu. Lepiej niech pan weźmie zaprzęg. Ale ostatnie parę mil musicie przejść na piechotę – to bardzo stromy odcinek. Przy tym bardzo trudny i męczący, niech się pan więc zastanowi, czy jakiś widok wart jest takiego trudu.

– To znacznie więcej niż jakiś widok – stwierdziła Charlotte w zamyśleniu, kiedy Jack przekazał jej zdanie gospodarza. – Jack, już nigdy nie uda nam się dotrzeć tak daleko na północ! Nie martw się o mnie, dam radę!

Wreszcie tam dotarli, po męczącej podróży przez posepny, skalisty krajobraz, którego ponury nastrój łagodziły co prawda wspaniałe widoki na błękitne wody kolejnej zatoki albo na piaszczyste, ciągnące się kilometrami plaże.

– Ninety Mile Beach... – powiedział Jack. – Cudowna plaża, prawda? Ten piasek... słyszałem, że jest używany do produkcji szkła. Nic

dziwnego, nawet teraz błyszczą się, jakby to były kryształki.

Charlotte się uśmiechnęła. W ogóle niewiele teraz mówiła, w zamyśleniu patrzyła nieruchomym wzrokiem na wspaniały krajobraz, morze i góry.

– Musi tu gdzieś być to drzewo, *pohutukawa*. Odgrywa tak ważną rolę w wielu opowieściach...

Jack zmarszczył czoło.

– Jesteś pewna, że tu? Ta okolica raczej nie obfituje w drzewa.

Pohutukawa – gatunek zwany przez *pakeha* drzewem żelaznym – to typowe dla Wyspy Północnej, wiecznie zielone, kwitnące na czerwono drzewo. Te rośliny Jack i Charlotte podziwiali już w Auckland.

– Tam na Cape... – Charlotte nie dokończyła zdania i znów umilkła. Milczała także w czasie podejścia na szczyt ostatniego wzgórza, gdzie znajdowała się latarnia morska. Gospodarz pensjonatu miał rację: zaprzęgiem nie można było dojechać do latarni, czekała ich bardzo wyczerpująca piesza wycieczka. Ale wydawało się, że na Charlotte nie robiło to zupełnie wrażenia. Jack widział krople potu na jej twarzy, ale ona mimo to się uśmiechała.

Dopiero po kilku godzinach forsownego marszu w ich polu widzenia pojawiła się latarnia morska, która była herbem przyładka. Jack miał nadzieję, że latarnik ucieszy się z niespodziewanych odwiedzin i towarzysztwa, i rzeczywiście natychmiast otrzymali zaproszenie na herbatę. Ale Charlotte odmówiła.

– Chciałabym najpierw zobaczyć to drzewo – powiedziała cicho, ale zdecydowanie. Latarnik potrząsnął głową, lecz wskazał drogę w kierunku skał.

– To tam dalej. Co prawda ono jest dość mocno skarłowaciałe, pojęcia nie mam doprawdy, dlaczego tubylcy robią wokół niego tyle hałasu. Ponoć chodzi im o jakieś duchy, ma się tam też znajdować wejście do świata zmarłych...

– I co? Widział pan coś? – zażartował Jack.

Latarnik, przypominający brodatego rozrabiakę, wzruszył ramionami.

– Jestem dobrym chrześcijaninem, sir, moi przodkowie pochodzili z Irlandii. Drzwi podczas *samhain* są u mnie szczelnie zamknięte. Ale wiosną wieją tu takie sztormy, że nawet ducha na dwór bym nie wygonił, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Jack się roześmiał. Już jego matka straszyla go, kiedy był dzieckiem, opowieściami o święcie *samhain*, które było rodzajem miejscowego święta zmarłych. Zgodnie z wierzeniami, podczas tego święta drzwiami między światem ludzi i duchów były ponoć otwarte i czasami można było zobaczyć upiory. Maaka, maoryski przyjaciel Jacka, który wprawdzie słyszał wiele opowieści na ten temat, ale w nie nie wierzył, próbował kiedyś wystraszyć Jacka, budząc go ze snu za pomocą dźwięku fletu *putorino*. Miały to być głosy duchów, ale niestety Maaka nie potrafił ich dobrze naśladować. W rezultacie Jack wcale się nie przeraził, a dziwne, choć mało melodyjne dźwięki tylko go rozdrażniły. A wszystko skończyło się tak, że Gwyneira wylała wiadro wody wprost na głowę muzykanta.

Charlotte patrzyła w zamyśleniu na morze, podczas kiedy Jack gawędził z latarnikiem.

– Są tu gdzieś osiedla Maorysów? – spytał, dodając po chwili: – Moja żona bada mitologię tubylców.

Latarnik potrząsnął głową.

– W najbliższej okolicy nikt nie osiedlił się na stałe. Tu przecież nic nie rośnie. Z czego ci ludzie mieliby żyć? Ale od czasu do czasu jakieś szczepy obozują na plaży, łowią tam ryby, śpiewają... Teraz też tam są. Maorysi nie docierają tu drogą, tylko idą ścieżką wprost z plaży.

W gruncie rzeczy ta ścieżka jest ładniejsza, ale tam trzeba się naprawdę wspinać. To nie dla pani, lady! – uśmiechnął się przeproszająco.

– Ale do tego obozu można dotrzeć jakąś inną drogą, prawda? – pytał Jack.

Latarnik przytaknął.

– Wejdźcie państwo, zrobię wam herbaty i wyjaśnię, jak tam dojść – zapraszał.

Charlotte weszła niechętnie. Wydawało się, że nic nie jest w stanie oderwać jej od widoku szalejącego u stóp wzgórza morza. Jacka także fascynowało miejsce, w którym spotykały się morze i ocean, ale tymczasem zerwał się silny wiatr i zrobiło się zimno.

– Niestety nie mogę zaoferować wam noclegu – powiedział latarnik z żalem. – Macie może z sobą w powozie jakiś namiot czy coś podobnego? Do Kaitaia już dziś nie dotrzecie...

– Maorysi nas przyjmą – odpowiedziała Charlotte, a Jack przytaknął. Latarnik wydawał się sceptyczny co do takich zamiarów.

– Często u nich nocowaliśmy – wyjaśnił Jack. – Oni są bardzo gościnni. Szczególnie jak się zna ich język. Tylko jak tam do nich dotrzeć?

Było już zupełnie ciemno, kiedy dotarli do obozu składającego się z kilku prymitywnych namiotów. Pośrodku płonęło ognisko, nad którym piekły się duże ryby.

– To muszą być Nga Puihi – powiedziała Charlotte, która najwidoczniej dobrze już знаła szczepy tej okolicy. – Albo Aupouri czy też Rarawa. Ta ziemia zawsze była przyczyną sporów między nimi i nieraz dochodziło tu do walk.

Ten szczep sprawiał jednak wrażenie nastawionego bardzo pokojowo. Kiedy do powozu zbliżyły się zaciekawione dzieci i Jack powitał je po maorysku, lody były natychmiast przelamane. Dzieci zaopiekowały się końmi, co najwyraźniej lubiły robić, a dorośli zaprosili Jacka i Charlotte do ogniska.

– Czy jesteście tutaj z powodu duchów? – spytał Jack niepewnie, kiedy już zjedli upieczone w ogniu słodkie kartofle i bardzo smaczną rybę, którą ich poczęstowano. – To znaczy... u *pakeha* właśnie tak jest. Jeśli istnieje jakieś miejsce nawiedzane przez duchy, to do takich miejsc biali ludzie udają się na pielgrzymki.

Tipene, wódz szczepu, zmarszczył czoło.

– Jesteśmy tu z powodu ryb – wyjaśnił w typowy dla Maorysów pragmatyczny sposób. – One dobrze biorą o tej porze, a łowienie ich sprawia nam przyjemność. Jeśli masz ochotę, możesz jutro rano iść z nami na połów.

Jack zgodził się z wyraźną ochotą. Maorysi mieli zwyczaj łowienia ryb wprost ze skał, o które rozbijało się morze, tworząc pod nimi istną kipieli. Zainteresowało to Jacka, który dotychczas łowił ryby tylko w rzekach.

– Kobiety z pewnością będą miały o czym rozmawiać przez cały dzień – stwierdził.

Tipene się roześmiał.

– One zaklinają duchy – wyjaśnił. – Irihapetri to *tohunga* i chyba nikt nie potrafi piękniej od niej opowiadać o Hawaiki.

Wskazała na starą kobietę, która od dłuższej chwili była pogrążona w rozmowie z Charlotte. Jack obawiał się, czy tyle przeżyć i trudów nie będzie dla niej zbyt uciążliwe, ale kobiety siedziały zawinięte w grube koce chroniące je przed wieczornym chłodem, a Irihapetri właśnie okrywała ramiona Charlotte, która sączyła z kubka jakiś gorący napój. Wszystko wskazywało na to, że była zadowolona. Jednak w jej rysach można było dostrzec jakieś napięcie, co niepokoiło Jacka.

– Czy wzięłaś swoje lekarstwo, kochanie? – spytał.

Charlotte skinęła głową. Mimo to wyglądała tak, jak gdyby cierpiała. Jack pomyślał z lękiem o słowach profesora Friedmana: „Lekarstwo złagodzi ból... przynajmniej na początku...”. Ale to chyba było normalne, że po tak męczącym dniu Charlotte robiła wrażenie wyczerpanej.

– Opowiedz o duchach, Irihapetri – poprosiła starą kobietę. – *Te rerenga wairua* znaczy: „miejsce, w którym zbierają się duchy”, prawda?

Te rerenga wairua było maoryską nazwą Cape Reinga.

Irihapetri skinęła głową i zrobiła miejsce wokół ogniska dzieciom, które tłoczyły się wokół niej, chcąc usłyszeć legendę.

– Kiedy umiera ktoś z naszych – zaczęła *tohunga* swym cichym, sugestywnym głosem – to jego duch wędruje na północ. Coś ciągnie go do tego morza, do tamtej plaży... Jeśli teraz zamkniecie oczy, to może poczujecie delikatny powiew wiatru, który właśnie ciągnie przez nasz obóz... Nie, nie musisz się tego obawiać, Pai, powitaj tę duszę radośnie. – Irihapetri przytuliła do siebie małą dziewczynkę, której opowieść

o duchach wydawała się najwyraźniej niesamowita. Nad morzem wzeszedł właśnie księżyc, a jego błękitne światło zalało plażę. – Stąd duchy wydostają się na skały... idą dokładnie tą samą drogą, Hone, którą my szliśmy dziś rano...

Mały chłopiec przytaknął z powagą.

– A potem robią linę z morskocyny i opuszczają się po niej na drzewo *pohutukawa*, które rośnie na północno-wschodnim krańcu wybrzeża... Czy widziałeś je, Charlotte? To drzewo liczy już kilkaset lat. Może nasionko, z którego wyrosło, przybyło tu z naszymi przodkami z Hawaiki. Duchy lecą z drzewa wprost pod jego korzenie i potem na sam dół, do Reinga...

– I to jest rodzaj świata zmarłych, prawda? – spytała Charlotte. Jack zauważył, że nie notowała, jak zwykle to robić.

Stara kobieta przytaknęła.

– Droga prowadzi potem do Ohaua, to tam, gdzie duchy docierają do światła, aby powiedzieć Aotearoa „żegnaj”. A potem...

Ohaua było najwyższym wzniesieniem na jednej z trzech wysp położonych naprzeciw wybrzeża.

– A potem nigdy już nie wracają – powiedziała cicho Charlotte.

– One potem wędrują na Hawaiki, do ojczyzny... – Stara kobieta się uśmiechnęła. – Jesteś bardzo zmęczona, dziecko, prawda?

Charlotte przytaknęła.

– Dlaczego się nie położysz, kochanie? – spytał Jack. – Musisz być kompletnie wyczerpana. Opowieści o duchach możesz przecież posłuchać jutro.

Charlotte znów przytaknęła. Jej twarz była dziwna, pozbawiona wszelkiego wyrazu.

– Pomogę ci rozłożyć namiot!

Jack miał w powozie namiot i koce. Kiedy Charlotte ciągle wpatrywała się w ogień, Jack przyniósł wszystko, a Irihapetri wskazała mu miejsce, w którym mógł rozbić namiot: było blisko morza, a rozbijające się o brzeg fale z pewnością będą ich kołysać swym szumem do snu.

Jack i Charlotte spodziewali się spotkania z Maorysami i dlatego zabrali z sobą kilka podarunków. Był to woreczek nasion dla kobiet i butelka whisky dla mężczyzn, aby poprawić nastrój przy ognisku. Jack otworzył ją i wszyscy pili, podając ją sobie po kolei. Charlotte rzeczywiście poszła do namiotu.

– Przyjdę zaraz – powiedział Jack i pocałował ją tkliwie, zanim wrócił do ogniska. Irihapetri pogłaskała ją po policzku.

– *Haere mai* – powiedziała cicho. – Witaj.

Jack zdziwił się, myśląc, że coś chyba źle zrozumiał. Wypił duży łyk whisky i podał butelkę starej kobiecie, a ona uśmiechnęła się do niego. Pomyślał, że chyba jest po prostu trochę pijany.

Podczas kiedy mężczyźni pili dalej, Irihapetri i kilka kobiet sięgnęły po swoje flety, co znów zdziwiło Jacka. Maorysi rzadko łączyli rozmowy z muzyką, a prawie nigdy nie robili tego w środku nocy. Kobiety grały bardzo cicho i sprawiały wrażenie zupełnie pogrążonych w swoich myślach. Jack kilkakrotnie usłyszał słynny flet *putorino* odtwarzający „głosy duchów”. Może na Wyspie Północnej były inne zwyczaje, a może chodziło tu o rytuał, który celebrowano specjalnie dla duchów rozstających się z ludźmi.

Kiedy Jack wpełzł wreszcie do namiotu, był niesamowicie zmęczony po wrażeniach całego dnia, także po wypitej whisky, monotonnej muzyce fletów i długich opowieściach mężczyzn. Jack wychowywał się i dorastał wśród Maorysów – ale mimo to głębszy sens ich opowieści nie zawsze był dla niego jasny. Wydawało mu się teraz, że to trochę niesamowite być kołysanym do snu przez głosy duchów... Ale Charlotte chyba to nie przeszkadzało, bo leżała obok niego i była najwyraźniej pogrążona w głębokim śnie. Jack czuł ogarniającą go tkliwość, kiedy widział ją teraz leżącą na prymitywnym legowisku, z rozpuszczonymi włosami na kocu zamiast poduszki. Patrzył przez chwilę na jej twarz i pomyślał, że dostrzega na niej jakieś osobliwe napięcie. Tyle dni i lat upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni widział ją zasypiającą w pełnym spokoju, a nie dręczoną bólem i lękiem. Odsunął tę myśl na bok. Przecież Charlotte czuła się lepiej, z pewnością więc wyzdrowieje... Pocałował ją ostrożnie w czoło, kładąc się obok niej. A potem zasnął.

Charlotte słyszała głosy duchów, które wołały ją całą noc, ale na razie pokusa była delikatna. Teraz usłyszała w ich głosach żądanie, duchy ją wzywały. Był już czas.

Usiadła i jak najciszej popęzła w stronę wyjścia namiotu. Jack spał głęboko, tak było dobrze. Popatrzyła na niego po raz ostatni, a jej spojrzenie było pełne miłości. Któregoś dnia... w słonecznych promieniach, na jakiejś wyspie... Gdzieś daleko na morzu...

Odrzuciła włosy do tyłu i zaczęła szukać swojego okrycia. Ale przecież nie będzie jej potrzebne. Nawet jeśli noc była chłodna, to w czasie podejścia zrobi się ciepło. Ruszyła drogą, którą wskazała jej Irihapetri, i od razu znalazła się na bardzo stromym odcinku. Na szczęście światło księżyca było na tyle intensywne, że bez trudu można było rozpoznać wykute w skałe stopnie. Szła szybko, ale bez pośpiechu. I nie czuła się samotna, bo towarzyszyły jej dusze. Wydawało jej się nawet, że słyszy ich radosne szepty i śmiechy. Ona sama odczuwała żal, ale nie strach. Strome podejście trwało dość długo, Charlotte miała jednak wrażenie, że czas płynie inaczej niż zwykle. Od czasu do czasu zatrzymywała się i spoglądała w dół, na mieniące się iskrami w świetle księżyca morze. Gdzieś tam był Jack... nagle odczuła nieprzepatą pokusę, aby dotknąć go w myślach. Ale nie, lepiej nie, niech śpi spokojnie. A obóz Maorysów już dawno zniknął z pola widzenia. Ścieżki, które miała przed sobą, były coraz bardziej strome i kręte, wiedziała jednak, że nie zablądzi – prowadziły ją duchy. Wreszcie pojawiła się przed nią latarnia morska. Tu musiała raz jeszcze znaleźć drogę do rzeczywistego świata i poszukać przejścia przez cienie. Było wprawdzie nieprawdopodobne, że latarnik nie spał o tej porze, ale Charlotte w żadnym wypadku nie chciała, aby ją ktokolwiek dostrzegł i być może starał się odwieść od już powziętych zamiarów. Z drugiej strony nie chciała niczego przyspieszać. Bo jej zamiar był czymś niemal świętym. I nic nie powinno się dzieć w pośpiechu.

Poszarpane wiatrami drzewo *pohutukawa* nie było widoczne z latarni. Charlotte się uspokoiła. Miała teraz upleść linę z morskocyny, aby się na niej opuszczać w dół, ale tu nigdzie go nie było. Już kiedy słuchała opowieści Irihapetri, wydało jej się to dziwne. Musi więc kogoś o to zapytać. Uśmiechnęła się. Nie, nie będzie już zapisywać legend. Ona sama stanie się ich częścią...

Wysunięty fragment skały wznosił się nad stromym urwiskiem trochę powyżej rosnącego na zboczu drzewa. Charlotte podeszła do jego skraju. Daleko w dole fale rozbijały się o brzeg niewielkiej plaży. Przed nią, jak wielkie morze światła, rozpościerał się ocean.

„Hawaiki – pomyślała Charlotte. – Raj”.

Runęła w przepaść.

Kiedy Jack się obudził, dookoła panowała śmiertelna cisza. Było to niezwykle, zasnęli przecież w samym środku maoryskiej wsi i właściwie plaża powinna rozbrzmiewać dziecięcymi głosami, rozmowami i śmiechami dorosłych, trzeszczeniem ogniska, przy którym kobiety pieką podpłomyki.

Jack wyciągnął rękę, ale miejsce obok niego było puste. Charlotte nie było w namiocie. Dziwne, dlaczego go nie zbudziła? Potarł ręką czoło i wyszedł na zewnątrz.

Piasek i morze dookoła. Ślady stóp, ale żadnych namiotów. Tylko ta stara kobieta, Irihapetri, jak sobie przypominał, siedziała na plaży i obserwowała rozbijające się o brzeg fale.

– Gdzie są wszyscy? – Jack poczuł narastający lęk. Jak gdyby budził się z jakiegoś dziwnego, pełnego koszmarów snu, który nadal trwał na jawie.

– Oni nie odeszli daleko. Ale dla ciebie będzie dziś lepiej, kiedy zostaniesz sam. Tipene mówi, że może będziesz się na nas gniewał. Ale nie powinieneś tego robić. Powinieneś znaleźć spokój. – Irihapetri mówiła wolno, nie patrząc na niego.

– Dlaczego miałbym się na was gniewać? – spytał Jack. – I gdzie jest Charlotte? Czy ona jest razem ze wszystkimi? Co tu się dzieje, *vahine*?

– Ona chciała pokazać drogę swojemu duchowi. – Irihapetri wreszcie zwróciła twarz w stronę Jacka, nieruchomą, pooraną licznymi zmarszczkami. – Powiedziała mi, że boi się rozstania ze swoim ciałem, bo dla niego nie będzie Hawaiki. Ale tu ono musiało tylko podążać za innymi. Nie mogłeś jej pomóc.

Stara kobieta znów patrzyła w morze.

Jack zaczął rozmyślać gorączkowo. Duchy... skały... niejasne słowa lekarza... On sam nie chciał tego przyjąć do wiadomości, ale Charlotte wiedziała, że musi umrzeć!

Tylko nie to! Ona nie może być sama!

– Ona nie jest sama – powiedziała Irihapetri. Jack nie wiedział, czy czytała w jego myślach, czy może on wypowiedział ostatnie słowa głośno.

– Muszę jej poszukać!

Ogarniające go poczucie winy wprost przytłaczało. Ruszył biegiem w stronę ścieżki wiodącej stromym zboczem na górę. Jak mógł tak po prostu spać? Dlaczego nic nie zauważył, niczego nie poczuł?

– Możesz poczekać na nią tutaj – powiedziała Irihapetri, zanim odbiegł.

Nie słuchał jej. Wbiegł na ścieżkę pędem, jak gdyby ścigały go furie, i zatrzymywał się tylko wtedy, kiedy już brakowało mu tchu. Nie dostrzegął piękna wznoszących się obok skał ani szumiącego w dole morza. Niebo było przykryte chmurami i wszystko zdawało się tonąć w osobliwym, niebieskawym półmroku. Czy było to światło duchów? Zmusił się, aby biec jeszcze prędej. Może uda mu się dogonić Charlotte. Powinien był spytać tę starą kobietę, kiedy Charlotte wyszła. Ale prawdopodobnie ona tego też nie wiedziała. Dla maoryskich *tohunga* czas płynął inaczej.

Jack dotarł do latarni morskiej około południa, ale słońca ciągle nie było widać. Latarnik powitał go przyjaźnie, uśmiechając się – i wtedy zobaczył, w jakim Jack był stanie. Dookoła nie było ani śladu Charlotte.

– Jest bardzo wiele takich miejsc – rzekł latarnik, patrząc ze współczuciem, kiedy Jack w chaotycznych, gorączkowych słowach opowiedział mu o swych obawach. – Ja nie skakałbym bezpośrednio koło tego drzewa, tam nie ma stromego urwiska. Ale zaraz powyżej... i trochę na lewo. Jak mówiłem, może pan najwyżej szukać śladów stóp. Ale może niepotrzebnie pan się niepokoi. Te maoryskie babcie zawsze dużo opowiadają. Może mała lady jest zdrowa i cała wśród swoich przyjaciół. Wyglądała na bardzo delikatną i słabą, doprawdy trudno uwierzyć, że była w stanie pokonać nocą tak strome podejście.

Jack poszedł do skał powyżej drzewa *pohutukawa*. To musiało być tutaj, wydawało mu się, że jeszcze czuje obecność Charlotte. Ale nie, to niemożliwe. Jej dusza już dawno musiała dotrzeć do Ohaua...

Posłał w stronę wysp milczące pozdrowienie. Nie wiedział, dlaczego nie odczuwał rozpaczy, lecz pustkę, tylko pustkę, straszną, lodowatą pustkę...

Schodził z powrotem na dół jak w transie. Gdyby się teraz potknął... Ale Jack się nie potknął. Nie był jeszcze gotów na Hawaiki. Czy wobec tego zostawił ją w potrzebie? Nie był w stanie nawet myśleć. Była z nim tylko owa pustka i ciemność, choć widział słońce, które wreszcie wynurzyło się zza chmur, a jego stopy pewnie wymacowały ścieżkę.

Irihapetri ciągle jeszcze czekała, gdy dotarł na plażę, ale kiedy Jack poczuł piasek pod stopami, stara kobieta wydawała się coś dostrzegać.

– Chodź, *tane!* – powiedziała i weszła do wody.

Z trudem pokonywała wielkie, rozbijające się o brzeg fale przyboju. Jack dogonił ją szybko i teraz on także zobaczył. Niebieska suknia unosząca się na wodzie. Długie blond włosy na falach.

– Charlotte! – zawołał, choć wiedział, że ona nie może go słyszeć. Stracił grunt pod nogami i zaczął płynąć.

– Możesz po prostu poczekać – powiedziała Irihapetri. Stała spokojnie, zanurzona w wodzie.

Jack obejmował ciało swojej żony, walczył z falami, aby płynąc, dotrzeć do lądu. Brakowało mu tchu i był u kresu sił, kiedy dotarł do Irihapetri, która bez słów pomogła mu zanieść ciało Charlotte na brzeg. Ułożyli ją na kocu, który rozpostarła Irihapetri.

Jack odgarnął włosy z twarzy żony – i po raz pierwszy od wielu dni zobaczył na niej wyraz całkowitego spokoju. Ciało Charlotte było wolne od bólu. A jej dusza podążyła drogą duchów...

Jack zadrżał.

– Zimno mi – powiedział cicho i bez związku. Dzień był ciepły i słońce momentalnie wysuszyło jego ubranie.

Irihapetri skinęła głową.

– Upłynie dużo czasu, zanim zimno ustąpi – powiedziała.

– To ma być *haka*?

Gloria stała obok Tamatei za prowizoryczną sceną w hotelu Ritz i słuchała pożegnalnego koncertu Kury-marō-tini w starej Europie. William zapowiedział występ artystki w napuszonych, pompatycznych słowach i raz jeszcze podkreślił, że wszystkie zyski z koncertu będą przekazane na rzecz pomocy sierotom wojennym. A tych było już dużo także w Anglii. Ameryka zachowywała nadal neutralność.

Marisa wygrzebała się z choroby i po mistrzowsku akompaniowała Kurze do śpiewanej przez nią ballady, tej samej, której próba zagrania skończyła się dla Glorii taką klęską poprzedniego dnia. Dziewczyna w ogóle nie rozpoznała utworu – w aranżacji Marisy dźwięki fortepianu zestawione były z głosem duchów fletu *putorino*, w tle słychać było dudniący rytm tańca wojowników, ponad wszystko zaś wybijała się śpiewana przez Kurę ballada. Kompozycja była miniaturowym dziełem sztuki i aplauz publiczności był odpowiednio głośny. W żadnej z maoryskich wiosek leżących w pobliżu farmy Kiward Station Gloria nie słyszała czegoś podobnego, a kolejna *haka* też nie wydała jej się autentyczna. Gloria nigdy nie powiedziałaaby o sobie, że zna się na muzyce, ale sądziła, że maoryskie pieśni *haka* miały melodię bardzo łatwo wpadającą w ucho. Jako dziecko albo tańczyła z innymi, kiedy jej babka Marama zapraszała ją do kręgu tańczących, albo też biła w bęben. Właściwie nie można było się przy tym pomylić; ten rytm chwyтали nawet ludzie pozbawieni wszelkich talentów muzycznych. Tu natomiast zobaczyła w tańcu bardzo skomplikowane kroki i słyszała rozbudowaną melodię, co z pewnością nie mogło mieć miejsca w świecie Maorysów, w kraju, w którym się urodziła i dorastała. I wreszcie odważyła się o to ostrożnie zapytać, mając przy tym nadzieję, że Tamatea jej nie wyśmiej.

Ale stara Maoryska w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

– To jest... sztuka – odpowiedziała, używając przy tym angielskiego słowa „sztuka”.

– Słowa „sztuka” i „sztuczny” mają chyba te same korzenie – dodała.

Tamatea dobierała słowa ostrożnie, ale nietrudno było zauważyć, że nie aprobowała bez żadnych zastrzeżeń interpretacji maoryskiej muzyki przez Kurę-marō-tini.

William Martyn, który słyszał pytanie Glorii i nawet je zrozumiał, rzucił starej kobiecie spojrzenie pełne niechęci i wyrzutu. Znał zaledwie kilka maoryskich słów, ale ponieważ Tamatea użyła dwóch słów angielskich, mógł uchwycić sens wypowiedzi.

– Nie jesteśmy tutaj tak purytańscy, Glorio – zwrócił się do córki. – Kogo to obchodzi, czy to jest oryginalna muzyka maoryska?

Najważniejsze, że ludzie ją rozumieją. Zastanawiamy się też, czy nie przełożyć na angielski przynajmniej tych tekstów, które śpiewa Kura. Byłoby to bardzo wskazane, jeśli chodzi o Amerykę, i radzono nam to zrobić. Ludzie tam nie mają zbyt wiele do czynienia z folklorem...

– Ale w programie jest przecież napisane, że to autentyczna muzyka maoryska. – Gloria nie wiedziała dokładnie, co ją razi, ale miała nieodparte wrażenie, że jest oszukiwana. Może była przewrażliwiona? Przedtem przyłapała samą siebie na tym, że ukradkiem niemal z tkliwością głaaskała struny *tumutumu* i pieściła drewno wypukłego fletu. Było coś krzepiącego już w samym dotyku tych przedmiotów. Gloria musiała się czasami upewnić, że jej kraj w ogóle jeszcze istnieje gdzieś tam po drugiej stronie kuli ziemskiej.

William ostentacyjnie przewrócił oczami.

– W programach zawsze jest dużo napisane – oświadczył. – Widzieliśmy w Paryżu występ owej słynnej Maty Hari. Bardzo, bardzo pięknie, artystycznie na wysokim poziomie – ale ta kobieta w życiu nie widziała indyjskiej świątyni od wewnątrz, nie mówiąc już o tym, że nie otrzymała tam wykształcenia tancerki. Kiedyś zainteresowałem się tym nieco dokładniej. Ona ani nie jest Hinduską, ani szlachcianką, a jednego i drugiego dowodzi z niezachwianą pewnością. Ale to w ogóle nie interesuje ludzi, którzy ją oglądają. Najważniejsze, że jest egzotyka i dużo nagiego ciała. Też będziemy nad tym pracować, nasze show muszą być bardziej atrakcyjne...

– Jeszcze więcej nagiego ciała? – spytała Gloria. Stroje tancerek już i tak były bardzo odważne, ich brązowe spódniczki z twardych liści Inu, zwane *piupiu*, kończyły się wysoko ponad kolanami i odsłaniały uda dziewcząt. Choć za to równie skąpe górne części strojów nie odpowiadały w ogóle prawdzie: maoryskie kobiety tańczyły z obnażoną górną częścią ciała. Gloria właściwie nie zastanawiała się nad tym zwyczajem; na Kiward Station uważany był on za oczywisty i zupełnie naturalny. Za to tutaj... już teraz ludzie gapili się na tancerki szeroko otwartymi oczami.

– Nie bądź taka pruderyjna, mała! – roześmiał się William. – Myślmy o jeszcze krótszych spódniczkach, za to malowanie twarzy... – Rzucił przekorne spojrzenie w stronę Tamatei. – Musimy to ograniczyć, w każdym razie jeśli chodzi o dziewczęta. To mężczyźni mają wzbudzać przerażenie. Efekt grozy jest prawie tak samo ważny jak egzotyka, zwłaszcza w Ameryce... – William pałał chęcią zrobienia dłuższego wykładu o tym, co w Nowym Świecie było ważne, jeśli chodziło o show.

Na scenie pojawiła się tymczasem grupa tancerzy o marsowych, barwnie pomalowanych twarzach. Rzeczywiście wojenne pieśni *haka* były jedynymi autentycznymi utworami w show Kury. Mężczyźni pomalowani byli kolorowymi farbami, wydawali groźne okrzyki w kierunku wyimaginowanych wrogów, potrząsając przy tym dzidami. Wszystko to wydawało się sprawiać tancerzom niewypowiedzianą radość, bo nie tylko Polinezyjczycy mieli we krwi tańce wojenne. A przecież żaden z tancerzy nie pochodził z Nowej Zelandii.

William dalej opowiadał, co zamierza zmienić w najbliższym czasie, ale Gloria już go nie słuchała. W gruncie rzeczy praca matki była jej dość obojętna. Gloria czuła jedynie jakiś nieokreślony żal. Maleńka, nieuchwytna część Nowej Zelandii, którą dotychczas dostrzegała w show, znikła teraz zupełnie. Tamatea też miała niedługo wrócić do domu; nie było już niczego, co należałoby strzec i pielęgnować. Ale Gloria będzie musiała zostać... Nienawidziła Ameryki już teraz.

Niechętnie weszła na pokład ogromnego parowca. Załadunek do drewnianych skrzyń wszystkich rekwizytów scenicznych Kury i transport na pokład trwały w nieskończoność, ale śpiewaczka uparła się, aby nadzorować wszystko osobiście. A właśnie w tym czasie londyńska pogoda pokazała się od swojej najgorszej strony. Z nieba bez przerwy padała drobna, przenikliwa mżawka i Gloria wyglądała jak mokry kot, kiedy wreszcie mogła wejść do swojej kabiny pierwszej klasy. Tym razem miała ją dzielić z Tamateą, co przyjęła z dużą ulgą. Młode tancerki nie jechały z trupą Kury. William rozwiązał zespół po ostatnim koncercie i miał zwerbować nowych członków w Nowym Jorku.

– Przyjdiesz na mostek, Glorio?

Gloria miała nadzieję, że zostawi ją w spokoju w kabinie, ale wszystko wskazywało na to, że kapitan postanowił nie odmawiać sobie przyjemności natychmiastowego powitania Kury-marō-tini z rodziną na pokładzie. A ponieważ był bardzo zajęty, wręcz nieuchwytny przed wypłynięciem, przyjął ich na mostku i zasypał kobiety informacjami na temat pełnomorskiego statku. Gloria myślała cały czas o tym, że zaledwie kilka lat wcześniej wszystko to bardzo ją interesowało, podczas kiedy teraz kapitan nie zaszczycił jej ani jednym spojrzeniem. Zwracał się jedynie do Kury-marō-tini, która niewątpliwie się nudziła, ale słuchała go z manierą królowej. Deszcz i wiatr rzeczywiście nie spowodowały żadnego uszczerbku na jej urodzie. Wręcz przeciwnie, był to wzruszający, ale i ekscytujący widok, kiedy silny wiatr targał jej

włosy.

– A to jest pani córka?

Jak zwykle ta sama, słyszana już tyle razy uwaga. I widziane już tyle razy rozczarowanie, tym razem na twarzy kapitana. Gloria spuściła oczy i marzyła tylko o tym, aby znaleźć się bardzo daleko...

Podróż z Londynu do Nowego Jorku przebiegała bardzo spokojnie. Wprawdzie pasażerowie przeżyli kilka razy chwile obawy związane z wojną, w portach także można było zobaczyć marynarzy Marynarki Wojennej, ale na morzu, po opuszczeniu kanału La Manche, nie spotkali ani jednego statku wojennego. Toteż wkrótce pełen niepokoju nastrój ustąpił radosnemu i beztrudnemu życiu na pokładzie. Bawiono się hucznie i wesoło, przynajmniej w kabinach pierwszej klasy. Gloria nie wiedziała, jak to wyglądało na międzypokładziu, gdzie panował tłok i ścisk – podróżowali tam ubodzy emigranci oraz uciekinierzy wojenni, a jedni i drudzy z wielkim zniecierpliwieniem wyczekiwali końca podróży. Między pierwszą klasą a międzypokładziem panował ścisły rozdział, co przeczyło opowieściom babci Gwyn i Elizabeth Greenwood. Wtedy, w czasie trwającej wiele miesięcy podróży na niebezpiecznych żaglowcach, do takich kontaktów dochodziło siłą rzeczy – babcia Gwyn opowiadała o wspólnych nabożeństwach, a nawet zabawach.

Gloria rozkoszowała się podróżą przez morze, o ile tylko była w stanie czymkolwiek się jeszcze cieszyć. Wieczorne bankiety, zabawy na pokładzie i podobne rozrywki, którym z chęcią oddawali się pasażerowie, tylko ją nudziły, ale podobnie jak w czasie podróży z Lyttelton do Londynu przed kilkoma laty, ukojenie przynosił jej widok rozległego morza. Całymi godzinami przesiadywała samotnie na pokładzie, wpatrywała się w fale i cieszyła się, kiedy mogła zobaczyć towarzyszące statkowi od czasu do czasu delfiny czy też wieloryby.

Rodzice zostawiali ją na szczęście w spokoju. Kura zażywała wśród pasażerów sławy znanej śpiewaczki, William pił z lordami i tańczył z ich ladies. Kapitan zasypywał Kurę prośbami, aby dała koncert dla jego pasażerów oraz oficerów i w końcu artystka ustąpiła. Koncert był kolejnym sukcesem – a Gloria znów musiała znosić znane ciężki.

– A córeczka też zajmuje się muzyką? Nie? O, jaka szkoda! Ale przecież musi być pani dumna ze swojej matki, Miss Martyn!

Było jeszcze jedno zdanie, które w tych dniach zniechęciła Gloria: „Ona jest jeszcze bardzo dziecinna”. Kura i William tłumaczyli w ten sposób fakt, że Gloria tak niechętnie brała udział w rozmowach toczonych przy stole i równie niechętnie tańczyła, kiedy wieczorem przygrywała kapela.

W końcu w czasie którejś kolacji z kapitanem ustąpiła wobec nalegań młodego marynarza, ale w tańcu skutecznie podeptała mu stopy. W Oaks Garden uczono wprawdzie tańca, ale tylko w czasie pierwszego roku nauki. A to było za późno dla Glorii.

– Jak ludzie mogą tu w ogóle żyć? – spytała Tamatea, kiedy statek minął wyspę Ellis, a w polu widzenia pojawił się Nowy Jork. – Domy są tutaj za wysokie, aby zobaczyć niebo. Ziemia jest obłożona kamieniami, a światło sztuczne. A ten hałas... To miasto jest pełne hałasu, słyszę to aż tutaj. A to przepędza duchy. Ludzie tutejsi muszą być pełni niepokoju, pozbawieni swych korzeni...

Gloria właściwie miała takie wrażenie, także kiedy chodziło o Londyn, ale stara Maoryska tutaj też miała rację. Nowy Jork był jeszcze większy, jeszcze bardziej nieprzenikliwy, i gdyby Gloria była duchem, najchętniej odleciałaby stąd już dziś, a nie jutro.

– W samym środku miasta jest olbrzymi park i rosną tam nawet bardzo wysokie drzewa – stwierdziła niecierpliwie Kura, która aż płonęła chęcią opuszczenia statku i wzięcia w posiadanie tego nowego, wyjątkowego miasta. Nie miała ani cienia wątpliwości, że jej się to uda. Organizator występów Kury przesłał już depesze na statek – zainteresowanie jej koncertami było wprost ogromne, a bilety na pierwsze wieczory były już wyprzedane. Przedtem było jednak sporo do zrobienia i Kura paliła się do działania. Oczywiście Martynowie pojechali do hotelu Waldorf Astoria jednym z tych modnych obecnie samochodów. Glorii nie podobał się ani ów terkocący pojazd, który przerażał Tamateę, ani onieśmiałą elegancją hotelowego lobby. Ale przynajmniej nikt nie zwracał na nią uwagi. Wprawdzie uroda Kury robiła duże wrażenie na pracownikach hotelu, ale tu jej osoba była bliżej nieznaną i nikt nie pytał, czy jej córka jest do niej podobna. Gloria zajęła jeden pokój w apartamencie rodziców i stwierdziła z ulgą, że werbowani tancerze nie będą musieli stawiać się tu na rozmowy czy też próbne tańce. William wynajął w tym celu osobne pomieszczenie w pobliskim teatrze.

W przesłuchaniach nowych członków zespołu musiała uczestniczyć także Tamatea, dlatego Gloria w czasie pierwszych dni w Nowym Jorku była zdana wyłącznie na siebie. William i Kura zaproponowali jej, aby udała się na zwiedzanie muzeów i galerii. Miało to być w ich mniemaniu bardzo stosowne zajęcie dla młodej dziewczyny, tym bardziej że to hotel podstawił samochód z kierowcą, który miał wozić Glorię tam i z powrotem. Gloria posłusznie pozwoliła się zawieźć do Metropolitan of Art Museum i bez zbytniego zainteresowania przyglądała się tym samym obrazom, którymi od sześciu lat miała się zachwycać w Oaks Garden i na których temat zawsze zadawała niewłaściwe pytania. Bardziej interesujące wydały jej się zbiory broni i instrumentów muzycznych z różnych części świata. Artefakty z wysp położonych na Pacyfiku przypominały jej prace Maorysów, patrzyła na nie ze wzruszeniem i żalem. Było to dla niej zbyt wiele. Nie wiedziała już, co właściwie robi w tym mieście – nie było tu nic, czego podświadomie szukała. W końcu udało jej się wyjść niepostrzeżenie z muzeum, znalazła też wejście do Central Parku i błądziła tam po rozległych ogrodach. Tutaj przynajmniej widać było ziemię i niebo. Choć co prawda horyzont ograniczony był drapaczami chmur Manhattanu. Nad Nowym Jorkiem unosił się gęsty smog; była jesień i wiatr zrywał z drzew rubinowoczerwone liście. Na Kiward Station była teraz wiosna. Kiedy Gloria na chwilę zamknęła oczy, widziała na zielonych, mokrych od deszczu łąkach ostrzyżone owce, już gotowe do wyjścia na płaskowyż. Widziała też pokryte śniegiem alpejskie szczyty, które połyskiwały z daleka w kryształowo czystym powietrzu. Jack pewnie pojedzie konno za zwierzętami, może będzie mu towarzyszyć jego żona Charlotte. Babcia Gwyn pisała, że to małżeństwo jest bardzo udane i szczęśliwe. Ale kto w ogóle mógłby być nieszczęśliwy na Kiward Station?

Kiedy Gloria wreszcie wróciła pod muzeum, samochód już na nią czekał. Kierowca był bardzo zdenerwowany, bo Gloria się spóźniła, i to bardzo. Znów musiała wysłuchiwać wyrzutów Williama po powrocie do hotelu, choć Martynowie z pewnością nie martwili się za bardzo z powodu zagubionej córki. Tego dnia aż za bardzo pochłaniały ich próby nowego zespołu. Klócili się też głośno z powodu jednej czy dwóch tancerek, które zdaniem Williama pokazywały za mało nagiego ciała, zdaniem zaś Kury miały zbyt małe wycucie rytmu. Tamatea uważała natomiast, że dziewczęta są stanowczo za chude, aby grać role maoryskich kobiet, co z kolei wydało się dziwne Glorii: w końcu większość maoryskich dziewcząt była szczupła.

Ale kiedy następnego dnia wzięła udział w próbach, zrozumiała, co stara Maoryska miała na myśli. Ciała młodych tancerek baletowych były nie tylko chude, ale i żyłaste, większość z nich była wysoka, a wszystkie miały zbyt długie nogi. Maoryskie kobiety były krępe, miały szerokie biodra i większe piersi. Ale za to te dziewczęta poruszały się bez żadnego trudu, trochę tak jak Mata Hari w czasie swoich występów, a tym najwyraźniej kierowali się Martynowie. Na ich życzenie u boku Tamatei stanęła znana nowojorska mistrzyni baletu – tak przynajmniej twierdzili William i Kura. Tamatea była oburzona i już od samego początku atmosfera w zespole była ciężka i niemila.

Gloria spędzała kolejne dni, siedząc samotnie w pokoju. Nie miała ochoty wysłuchiwać ciągłych kłótni, w czasie których każdy usiłował przeciągnąć ją na swoją stronę. Tym bardziej że ona nie miała żadnego zdania, jeśli chodziło o tematy owych kłótni. Jak dawno temu, jak bardzo dawno temu babcia Gwyn ze śmiechem nazywała ją swoją „małą *tohungą*”, robiąc w ten sposób aluzję do wiedzy Glorii o owcach i koniach. Ogarniała ją coraz większa apatia i w tym nastroju napisała któregoś dnia list do Gwyneiry:

Nowy Jork jest olbrzymi. Nasz hotel jest piękny i nowoczesny. Mamy do dyspozycji samochód, który mnie wszędzie wozi, gdziekolwiek zechcę. Moi rodzice dużo pracują. Ja przeważnie jestem sama.

Przeczytała list jeszcze raz i przekreśliła ostatnie zdanie.

George Greenwood nie mógł towarzyszyć Lilian aż do Greymouth – w Christchurch czekały na niego pilne sprawy. I wiadomość o śmierci córki Charlotte. Gwyneira McKenzie, która przyjechała po swoją prawnuczkę do Lyttelton, z bardzo poważnym wyrazem twarzy oświadczyła mu, że jego żona Elizabeth czeka w hotelu. Lyttelton, które ponad sześćdziesiąt lat temu, w chwili przyjazdu Gwyn, było niewielką osadą, stało się teraz prawdziwym miastem ze wszystkimi jego dobrymi stronami.

George pożegnał się szybko ze swoją młodą towarzyszką podróży i ruszył w drogę do żony. Gwyneira patrzyła za nim z wyraźnym współczuciem i żalem. Ona także była w żalobie, ale nie chciała tego zbyt wyraźnie okazywać, aby nie zepsuć Lilian radosnej chwili powrotu do domu. Zrezygnowała też z obowiązkowej czerni i miała na sobie suknię w stonowanym, ciemnym kolorze.

Ale Lilian nawet nie zauważyła jej przygnębienia i smutku, była podekscytowana, szczęśliwa, że wreszcie jest w domu, i rozpromieniła się, kiedy Gwyn oświadczyła, że jeszcze dziś zobaczy matkę. Elaine nie mogła się doczekać i właśnie siedziała w nocnym pociągu jadącym z Greymouth; Lilian i Gwyn miały ją spotkać na stacji. A zaraz potem matka i córka miały spędzić kilka dni na farmie Kiward Station.

– A *daddy*? – pytała Lilian. – On nie pojedzie z nami?

– Zdaje się, że jest bardzo zajęty – zauważyła Gwyn. – Jest wojna, Lily. Ale chodź teraz, wyślemy twoje bagaże do Christchurch.

– No, nie powiem, ale urosłaś! – Elaine drażniła się w żartach z córką, kiedy wreszcie wypuściła ją po bardzo długiej chwili z ramion. Lily i Gwyn dotarły na dworzec odpowiednio wcześniej i oczekiwały na przyjazd pociągu z wielką niecierpliwością. – Ale można się było tego spodziewać – kontynuowała Elaine.

– Wcale nie jestem duża! – protestowała Lilian. – Nawet nie jestem tak duża jak ty.

To akurat była prawda. Lilian była jak zawsze malutka, ale bardzo podobna do matki. Także Gwyn miała wrażenie, że Elaine przegląda się w czarodziejskim lustrze. Pomijając kolor oczu i to, że włosy Lilian nie były tak silnie kręcone i miały nieco inny odcień, córka bardzo przypominała dziewczynkę, którą jej matka była w wieku piętnastu lat.

– Ale ja oczekuję wielkości ducha! – żartowała Elaine. – Tyle lat w angielskim internacie! Powinnaś być chodzącym leksykonem!

Na twarzy Lilian pojawił się nieco wymuszony uśmiech. Najwyraźniej nieco inaczej rozumiano tutaj kształcenie dziewcząt w Oaks Garden, ale w końcu nie było to aż tak ważne. Nikt jej przecież nie będzie odpytywał.

– W każdym razie umie jeszcze jeździć konno! – stwierdziła babcia Gwyn z udawaną wesołością.

Starsza dama wyglądała na zmęczoną – od chwili ostatnich odwiedzin Elaine bardzo się postarzała. Elaine w milczeniu ucisnęła jej rękę. Tuż przed wyjazdem dowiedziała się o tragedii Jacka i Charlotte.

– Jack ciągle jest na północy? – spytała cicho.

Gwyn przytaknęła.

– Elizabeth też chciałaby przewieźć tutaj ciało Charlotte, ale oboje nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Czekali na George'a – ależ ma powrót do domu...

– Nie wysłali telegramu na statek?

– A co by to zmieniło? Elizabeth chciała mu to powiedzieć sama... – Gwyneira urwała, rzuciwszy spojrzenie na Lilian.

– Coś się stało? – spytała dziewczyna.

Elaine westchnęła.

– Twój wuj Jack jest w żalobie, Lilian, i na wuja George'a też czeka smutna wiadomość. Zmarła jego córka Charlotte, żona Jacka...

Gwyneira modliła się w duchu, aby Lilian nie spytała o szczegóły, ale śmierć Charlotte wydawała się nie robić na dziewczynie zbyt dużego wrażenia. Lilian знаła Jacka tylko przelotnie, a jego żony nie poznała nigdy. Dlatego teraz wypowiedziała kilka słów współczucia i wkrótce potem znów paplała wesoło. Opowiadała Gwyneirze o koniach swoich przyjaciółek w Anglii, a Elaine o morskiej podróży – i oczywiście o swoich planach, aby pomagać Timowi Lambertowi w kopalni.

Elaine się uśmiechnęła.

– Będzie cię z pewnością potrzebować, kopalnie pracują na najwyższych obrotach. Wojna. Tim przepowiedział od razu, że tak będzie, kiedy tylko wybuchły pierwsze walki, ale że to pójdzie tak szybko... Anglia wręcz woła o stal i o węgiel. To oczywiście znaczy, że ta cała wojna szybko się skończy i przemysł musi się pośpieszyć, aby jak najszybciej osiągnąć jak największe zyski. Florence Biller wydaje się podzielać ten pogląd. Inni muszą uważać, żeby dotrzymać kroku... Czy damy radę wsadzić wszystkie bagaże do tego małego powozu, babciu?

Kobiety wyszły już z dworca i szły w stronę małego powozu Gwyn, do którego zaprzęgnięta była delikatna klacz rasy cob anglonormandzki.

Gwyneira potrząsnęła głową.

– Nie, mam tu jeszcze powóz dostawczy, on zabierze rzeczy. Ale mam nadzieję, że macie ochotę na szybką jazdę. Nie chcę zostawiać Jamesa samego zbyt długo. Śmierć Charlotte bardzo go przygnębiła. Wszyscy ją bardzo lubiliśmy. A James... naprawdę poważnie się martwię.

James McKenzie był pełen niepokoju. Powinien odczuwać żal, ale odczuwał raczej gniew. Charlotte była taka młoda i pełna radości życia. A Jack tak ją kochał. James wiedział, co czuje ktoś, kto tak bardzo kocha... Jego Gwyn... Powinna już być w domu. Dokąd znów pojechała? W ostatnim czasie wspomnienia Jamesa dziwnie mieszały się z terażniejszością. Czasami czekał na tę młodą dziewczynę, która galopowała jak wiatr na swoim brązowym koniu po polach Canterbury Plains. Widział, że za nią pędzi jej suka Cleo czy też jego Friday, legendarny pies pasterski złodzieja bydła McKenzie. James był potem wręcz zaskoczony, kiedy widział niemal białe włosy Gwyn i jej twarz poraną zmarszczkami. Także tym, że nie biegł za nią wesoło machający ogonem pies pasterski, tylko ta wiecznie smutna Nimue, która nigdy nie sypiała w swoim koszyku, tylko w przedsiönku, cały czas zerkając na drzwi wejściowe. Czekala na Glorię. Jeśli trzeba, to będzie czekać całe życie.

Ale teraz James postanowił, że pójdzie na dół i przywita Gwyneirę przed stajniami. Jego serce biło mocno, za to stawy tego dnia nie bolały. Byłby niemal w stanie jeździć konno. Tak, byłoby cudownie raz jeszcze popędzić na koniu...

James podpierał się lekko swoją laską, idąc schodami w dół. Rzeczywiście był to jakiś wyjątkowo dobry dzień. Konie zarżały głośno, kiedy wszedł do stajni. Na dworze przestało już padać; James pomyślał, że musi powiedzieć Pokerowi, że konie mogą wyjść na dwór. Albo Andy'emu... Ale Poker... Poker był... Nie, to nie może być, że Poker, jego stary przyjaciel i kompan od kieliszka, już prawie rok temu zmarł.

W stajni siedział Maaka i coś majsterkował – był to maoryski robotnik i najlepszy przyjaciel Jacka. Zastępował brygadzystę Jacka w czasie jego nieobecności. Teraz uśmiechnął się szeroko na widok jego ojca.

– Dzień dobry, witam pana, Mr James! No, też nie może się pan doczekać, żeby zobaczyć Miss Lily? Ale Miss Gwyn jeszcze nie ma i nieprędko przyjedzie. Nawet jeśli wyjechała bardzo wcześniej...

– Myślę, że wyjadę im konno naprzeciw – stwierdził James. – Osiodłasz mi konia?

– Konia, Mr James? Ale przecież pan nie jeździł już od wielu miesięcy. – Maaka się zawahał.

– No to najwyższy czas, abym to zrobił, prawda? – James podszedł do swojego brązowego wałacha i poklepał go po szyi.

– Co, brakowało ci mnie, prawda? – zwrócił się do zwierzęcia. – Wtedy, kiedy Miss Gwyn nadjechała, jeździłem na siwku... – Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Maaka wzruszył ramionami.

– Jeśli to ma być siwek... Jeden z nowych pasterzy bydła ma takiego. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli go pan weźmie. To w porządku gość...

James się zawahał. A potem roześmiał się nagle.

– Dlaczego nie? Raz jeszcze na siwku.

Począł, aż Maaka osiodła siwego wałacha, a potem sam go okiełznał.

– Dziękuję, Maaka. Miss Gwyn dopiero się zdziwi...

James czuł dziwne, młodzieńcze uniesienie, kiedy wyprowadzał siwka ze stajni. Kości wyjątkowo mu teraz nie dokuczały... Gdyby tylko serce tak osobliwie nie tańczyło. Coś z nim było nie tak, nawet trochę bolało... Lekki ból obejmował też całe lewe ramię. „Może – pomyślał James – nie powinienem jeździć konno? Ale, do diabła! Jak to mawiała Gwyn? Jak człowiek nie może już jeździć konno, to znaczy, że jest martwy”.

James wsiadł, uderzył konia piętami, a siwek posłusznie ruszył kłusem i wbiegł na drogę prowadzącą do Christchurch.

– Naprawdę? Mogę choć potrzymać cugle?

Lilian rzeczywiście nie zapomniała jazdy konnej. W końcu jeździła niemal na każdy weekend do swoich przyjaciółek, które w większości pochodziły z okolicznych wiejskich rodzin szlacheckich, które oczywiście trzymały konie. Ostatniej jesieni Lilian brała nawet udział w dwóch polowaniach na lisy, co zrobiło odpowiednie wrażenie na jej prababce. Jednak nigdy jeszcze nie powoziła bryczką, a klacz zaprzężona do powozu Gwyn raczej nie była leniwą szkapą. „Szybka jazda” nie była też częścią obietnicy.

– Pewnie, to prawie tak samo jak w czasie jazdy wierzchem. Nie wolno ci tylko za bardzo ciągnąć, bo wówczas lejce będą ci się wydawać coraz dłuższe, a na koniu przestanie to robić jakiegokolwiek wrażenie – wyjaśniła Gwyn, ciesząc się, że Lilian tak bardzo się tym zainteresowała, po czym zwróciła się do Elaine: – Wielu ludzi kupuje teraz automobile. Ale ja jakoś nie mogę się oswoić z myślą, że miałabym to zrobić. Oczywiście próbowałam tym jeździć. Nie jest trudno prowadzić taki pojazd.

– Jechałaś autem? – roześmiała się Elaine. – Sama?

Gwyn spojrzała na nią z wyrzutem.

– A dlaczego nie? Wszystkie swoje pojazdy całe życie prowadziłam sama. I uwierz mi, że w porównaniu z anglonormandzkim ogierem taki pojazd jest jak leniwa kaczka.

Elaine znów się roześmiała.

– Też kupiliśmy taki automobil – powiedziała. – Tim nie mógł się oprzeć tej chęci, kiedy Florence Biller dumnie przedfilowała przed nim swoim. Kompletna bzdura. On sam, z nogą w szynie, nie potrafi i nie może tym jeździć, już nawet wsiadanie do tego przychodzi mu z wielkim trudem, nie mówiąc o resorach tego pojazdu, bo to jest istną katorgą dla jego biodra. Ale on tego rzecz jasna nigdy nie przyzna. A Roly jest oczywiście zachwycony wehikułem – w końcu zawsze trochę obawiał się koni – i chłopcy tak samo. Taka zabawka dla mężczyzn. Jeśli jednak to ma przetrwać i być częściej i przez wszystkich używane, trzeba zbudować lepsze drogi.

Lilian tymczasem dobrze już opanowała powożenie i miała konia pod kontrolą. Mijane mile błyskawicznie topniały pod kopytami brązowej klaczy.

James z daleka dostrzegł kłusującą klacz w zaprzęgu. To wyglądało mu na Gwyn... zawsze w pełnym tempie, a Igraine bardzo to odpowiadało. Zaraz, czy to była Igraine...? Zastanawiał się gorączkowo, jak też mógł się nazywać koń, którego widział. Klacz Igraine przyjechała przecież wtedy z Gwyn z Walii. Niemożliwe, żeby jeszcze żyła...

Ale to przecież ona... ta jej charakterystyczna głowa i ruchy w kłusie, długa, powiewająca na wietrze grzywa. I Gwyn na koźle... tak piękna dziewczyna... jaka ona młoda była wtedy... I te jej rude włosy, zawsze pełna odwagi twarz i czysta radość z szybkiej jazdy na dzikim koniu.

Zaraz go zobaczy. Zaraz jej oczy rozbłysną na jego widok, jak zawsze. Tak było nawet wtedy, kiedy uparcie zaprzeczała temu, że go kocha. I te lata, podczas których wychowywała córkę Jamesa jako dziecko innego mężczyzny, którego nie chciała oszukiwać. A przecież jej oczy zawsze mówiły prawdę...

James podniósł rękę, aby ją powitać. Przynajmniej chciał to zrobić. Ale ramię nie chciało go słuchać... I ten dziwny zawrót głowy...

Gwyn dostrzegła z daleka kłusującego siwka. Z początku miała wrażenie, że ulega jakiemuś urojeniu. Widziała Jamesa na jego koniu. Jak wtedy, kiedy wyjeżdżał konno na spotkanie jej i Fleurette, bo zbyt długo nie wracały do domu. Zawsze się o nią martwił. Ale teraz... Przecież nie powinien jeździć konno, on...

Gwyneira zobaczyła, że James chwieje się, jak gdyby miał spaść. Krzyknęła do Lilian, aby zatrzymała powóz, a James spadł z konia akurat w tej chwili, kiedy dziewczynie udało się zatrzymać klacz. Siwek posłusznie stanął obok.

Elaine chciała pomóc babce, ale ona odtrąciła ją gwałtownym ruchem. Zeskoczyła szybko z powozu i pobiegła do męża.

– James! Co się stało, James?! – W jej głosie słychać było strach i przerażenie.

– Gwyn, moja piękna Gwyn...

James McKenzie zmarł w ramionach swojej prawie osiemdziesięcioletniej Gwyneiry. Miał przed oczami obraz walijskiej księżniczki, która zdobyła jego serce tak wiele lat temu.

Gwyneira wyszeptala jego imię.

Gloria dowiedziała się o obu przypadkach śmierci w rodzinie wiele tygodni później. Wszystkie listy z Nowej Zelandii do Stanów docierały do agencji koncertowej Kury w Nowym Jorku, ale najpierw musiały pokonać bardzo skomplikowaną i długą drogę. I dopiero potem agencja przekazywała listy do Kury i Williama. Tym razem wieść zastała Głorię w Nowym Orleanie, mieście pełnym życia i ruchu, które wręcz zelektryzowało Kurę-maró-tini. Ciemnoskórzy mieszkańcy miasta tworzyli i grali irytującą, ale też dziwną, wręcz fascynującą muzykę wprost na ulicach miasta, a Kura, jeśli nie występowała sama, to ciągnęła z sobą Williama przez nocne kluby French Quarter, słuchała tej osobliwej muzyki, zwanej jazzem, i tańczyła całymi godzinami.

Toteż smutne wiadomości z dawnej ojczyzny nie za bardzo ją interesowały. Ani Kura, ani William nie znali Charlotte, a James McKenzie z kolei nie żywił zbyt przyjaznych uczuć do nich obojga. Wszystko polegało więc na całkowitej wzajemności. Spokojnie przyjęli do wiadomości treść obu listów. Gwyneira po śmierci męża nie była nawet w stanie sama przekazywać tej smutnej wiadomości, dlatego też to Elaine pisała do wszystkich krewnych i zaadresowała list „Państwo Martyn”. Czymś zbędnym wydało jej się pisanie osobno do Głorii, więc Gloria nie poznała na ten temat żadnych bliższych szczegółów. Kura niejako mimochodem powiadomiła ją o śmierci pradziadka, ale też nie okazywała oznak żałoby.

– Płaczesz, Glory? Ale to nie był przecież twój prawdziwy pradziadek. I był bardzo stary, miał ponad osiemdziesiąt lat. Taka jest kolej rzeczy... Ale dziś wieczór mogę zaśpiewać żałobną *haka*. Tak, to pasuje do atmosfery Nowego Orleanu... nieco dekadencie...

Gloria odwróciła się z niechęcią. Czyli nawet śmierć jej dziadka będzie wykorzystana do tego, aby pozyskać sympatię kolejnych widzów dla Kury. Choć co prawda *haka* była rzeczywiście piękna – pochodziła jeszcze z pierwszego programu Kury i brzmiała dość autentycznie, niemal tak, jak gdyby to Maorysi razem z *pakeha* oplakiwali ukochanego człowieka. Tamatea wyraziła Głorii swoje współczucie.

– On był dobrym człowiekiem. Wszystkie nasze szczepy bardzo go szanowały i ceniły.

Gloria podziękowała i pograżała się w żalobie, jeśli tylko była sama, co zdarzało się raczej rzadko. W czasie tego tournée dzieliła zwykle hotelowy apartament z rodzicami, a podczas niekończących się podróży pociągiem mieszkała w wagonie razem z młodymi tancerkami. Jedna była piękniejsza od drugiej, a wszystkie były młodymi „nowoczesnymi kobietami”, dumnymi z tego, że mogą zarabiać pieniądze dla siebie i korzystać ze swojej wolności i swobody. Powolna, nieśmiała Gloria wydawała im się reliktem starych czasów, dlatego drażniły ją i śmiały się z jej wychowania w angielskim internacie i z jej pruderii.

Jeśli chodziło o to ostatnie, Gloria nie za bardzo wiedziała, co właściwie jej zarzucano. W żadnym wypadku nie schodziła mężczyznom z drogi ani nie spuszczała wstydliwie oczu na ich widok, jak twierdziły dziewczęta. Gloria unikała kontaktu wzrokowego z osobami obu płci i nie odzywała się do nikogo. Jeśli zaś ktokolwiek się do niej zwracał – wzdygała się niezależnie od tego, czy była to kobieta, czy mężczyzna. Bezpiecznie czuła się jedynie w obecności Tamatei, choć także ona po dłuższym czasie zaczynała ją irytować.

– Popatrz na ten kraj, *mokopuna!* Ta rzeka... Jak ona się nazywa? Missisipi? Dziwne słowo. Ale popatrz tylko, jak powoli, gnuśnie ona płynie, posłuchaj jej głosu...

Stara Maoryska była niezmordowana, jeśli chodziło o wynajdywanie egzotycznych roślin rosnących w tym wilgotnym, ciepłym klimacie – Tamatea podziwiała je i dotykała ich bezustannie. Dziwiły ją niekończące się pola bawełny i trzciny cukrowej, robiła też wszystko, aby zachwycić nimi Głorię. A w samym Nowym Orleanie Tamatea zaprzyjaźniła się z pewną grubą Murzynką – razem z nią zaklinała duchy i śpiewała piosenki, których rytmy były bliższe pierwotnym *haka* niż misterne aranżacje Kury. Gloria jednak uparcie nie chciała niczego polubić w tym obcym kraju. Wolą patrzeć w książkę niż przez okna pociągów, za którymi nikła powoli Luizjana i kolejne stany Południa, a coraz częściej rozpościerały się rozległe prerie Zachodu. Tamatea patrzyła z niepokojem, jak Gloria coraz bardziej zamyka się w kokonie z jednej strony nienawiści do siebie, a z drugiej rozczulania się nad sobą. A przecież ten kraj mógłby jej się spodobać. Co prawda nie był tak zielony jak Canterbury Plains; trawa była tu wręcz spalona słońcem, a na horyzoncie widać było góry o osobliwej czerwonej i niebieskiej barwie. Ale były tu konie i bydło, a małe miasta, w których proste domy zbudowane były z drewna, o wiele bardziej przypominały Haldon niż Nowy Jork czy Nowy Orlean.

Także ludzie byli tu zupełnie inni niż w wielkich miastach. Ci, co przychodzili na przedstawienia Kury w takich miejscowościach, jak Santa Fe czy Dallas – mężczyźni ubrani w dżinsy, koszuły w kratę i kapelusze, kobiety zaś w sukienki z perkalu – mieli w sobie coś z pionierskiego ducha Gwyneiry McKenzie – Głorię zjednywało to o wiele bardziej niż rzekoma światowość Kury i Williama. Ci ludzie też nie rozumieli muzyki Kury i szokowały ich skąpe stroje tancerek. Bliższa byłaby im pragmatyczna osobowość małomówniej Głorii.

Ale Gloria rzadko kiedy odważała się na samotne wędrówki po zakurzonych ulicach obcych miast i oglądanie koni, których tu samochody nie zastąpiły w takim stopniu jak w Nowym Jorku czy Londynie. W czasie takich spacerów natychmiast rozpoznawano ją jako członka zespołu Kury i gapiono się na nią jak na egzotyczne zwierzę. Gloria nie mogła się doczekać końca tego tournée, ale nic nie wskazywało na to, aby był bliski. Trasa prowadziła w poprzek całego olbrzymiego kontynentu, z Nowego Jorku aż do San Francisco, oczywiście nie w linii prostej. Kura i William zajeżdżali po drodze niemal do każdego z większych miast. Podróż miała się zakończyć dopiero na Zachodnim Wybrzeżu, skąd Martynowie zamierzali wrócić do Nowego Jorku najkrótszą trasą: pociągiem miało to trwać zaledwie siedem dni.

Gloria po cichu liczyła na bezpośrednią podróż powrotną do Nowej Zelandii. Jej rodzice zauważyli chyba, że niewiele z niej było pożytku. Gloria towarzyszyła wprawdzie tancerkom przy próbach, akompaniowała im na fortepianie i robiła, co mogła, jako korepetytorka, ale nie miała w tej pracy żadnych olśniewających wyników. Dziewczęta skarżyły się ciągle, że jej akompaniament wybija je z rytmu, i drażniły Głorię, mówiąc jej, że ma „absolutnie zły słuch”. Przynajmniej dwie tancerki potrafiły grać na pianinie i wykonywały pracę Głorii co najmniej równie dobrze, jeśli nie lepiej. Gloria pomagała też Tamatei, przygotowując z nią stroje i malując tancerki, przy czym to ostatnie wychodziło jej najlepiej – bardzo szybko nauczyła się poszczególnych form tradycyjnej *moko* i doskonale rozumiała jej znaczenie. Wykonywała na ciałach tancerzy delikatne rysunki przedstawiające paproć, które dawniej były tatuowane. Kiedyś pomalowała z braku innego zajęcia samą siebie – i zaskoczyła swym widokiem nie tylko Tamateę, ale także matkę.

– Glorio, wyglądasz jak Maoryska czystej krwi! – dziwiła się Kura. – Włóż jeden z tych strojów! Nie, nie ten nowy, ale któryś z tych starszych, zaprojektowanych jeszcze przez Tamateę...

Stare stroje *piupiu* przypominały tradycyjne odzienie maoryskich kobiet, a ponieważ wtedy w zespole tańczyły jeszcze maoryskie dziewczęta, kostiumy te były nieco obszerniejsze.

Gloria spojrzała z podziwem w lustro. Tylko jej rudobrzowe, mocno kręcone włosy nie pasowały do całości, ale odbicie i tak bardzo przypominało kobietę z któregoś z maoryskich szczepów.

– Włosy po prostu zwiążesz z tyłu albo założysz na czoło szeroką haftowaną opaskę! – zawołała Tamatea. I rzeczywiście przyniosło to spodziewany efekt.

– Tak ubrana mogłaby u nas występować! – roześmiała się Kura, a Gloria w odpowiedzi natychmiast starła szminkę z twarzy. Rola w show matki była najgorszym z możliwych koszmarów, jakie mogła sobie wyobrazić.

Ale jako charakteryzatorka Gloria nie była specjalnie potrzebna. Tancerki już prawie nie malowano w tradycyjny sposób. Nieliczne arabeski wokół ich oczu i na policzkach nie miały nic wspólnego z maoryską tradycją i dziewczyny wołały malować się same. Kilku tancerzy malowała Tamatea. Pomoc Glorii przyjmowano życzliwie, ale nie była konieczna.

Dziewczyna z rozpaczą myślała coraz częściej, że rodzice to w końcu zauważą. Sześć lat „ogładania świata” – to aż nadto. Gloria chciała wrócić na Kiward Station, gdzie było jej miejsce!

San Francisco było kwitnącym miastem położonym pośród pagórkowatego krajobrazu wprost nad morzem. Zafascynowana Gloria wpatrywała się wyczekującą w rozciągający się przed nią Pacyfik – ocean, przez który prowadziła droga do domu! Ale także samo miasto podobało jej się trochę bardziej niż Nowy Jork czy Nowy Orlean. Liczne budowle w stylu wiktoriańskim, a także *cabes cars*, które były tu wielką sensacją, podobnie jak historyczny tramwaj w jej ojczyźnie, wszystko to przypominało Glorii Christchurch.

Kura i jej zespół święcili kolejne triumfy w Great American Music Hall, tancerze marzyli o Fisherman’s Wharf, a Tamatea któregoś dnia wyciągnęła Głorię z hotelu, aby pokazać jej lwy morskie, wylegające się gnuśnie koło nabrzeży portowych.

– Takich u nas nie ma! – wołała Gloria radośnie, choć jeszcze nie zobaczyła ani jednego. Co prawda nigdy przedtem nie zwiedzała zachodniego wybrzeża Wyspy Południowej, ale wiedziała, że są tam lwy morskie i wieloryby. Tamatea cieszyła się, że po raz pierwszy od wielu miesięcy dane jej było wreszcie usłyszeć śmiech Glorii, i opowiadała jej maoryskie legendy o fokach i olbrzymich rybach.

Nikt jeszcze nie wspominał o powrocie, choć tancerki były już niespokojne. Angaż w zespole Kury podobał im się, a większość dziewcząt lubiła podróżować. W Nowym Jorku musiałyby znów się martwić o swoje utrzymanie i szukać kolejnej pracy. Ale wówczas właśnie, tuż przed przedostatnim koncertem, William zwołał cały zespół.

– Muszę was o czymś zawiadomić – oświadczył. – Jak wiecie, pierwotnie planowaliśmy zakończyć pojutrze naszą współpracę. Moja żona i ja chcieliśmy wracać do Europy, mieliśmy tam inne zobowiązania. Ale jak wiecie, Europa nadal pogrążona jest w wojnie. Nasze początkowe plany, związane z podróżami do Francji, Belgii, Niemiec, Polski i Rosji, są więc nieaktualne. Teraz nikt tam nie ma głowy do muzyki...

Wśród tancerzy, którzy dotychczas szepotali coś do siebie, zapanowała nagle śmiertelna cisza.

– Dlatego też bardzo odpowiada nam fakt, że agencja koncertowa Kury zaproponowała nam przedłużenie pobytu w Stanach. Jak to ma dalej wyglądać, zależy od was. Jeśli chcecie przedłużyć angaż, to jedziemy do Sacramento, Portland, Seattle, potem do Chicago i do Pittsburgha. Dokładny plan będzie przygotowany przez agencję. Ale jeśli chcecie zakończyć współpracę z nami, to wracamy do Nowego Jorku, aby tam szukać nowych tancerzy i stamtąd znów startować w kolejną podróż. A więc, jaka jest wasza decyzja? Chcecie jechać z nami dalej?

Tancerze odpowiedzieli okrzykami radości. Tylko dwoje z nich musiało z powodów rodzinnych czy też innych wracać na Wschodnie Wybrzeże. Reszta grupy odetchnęła z ulgą i cieszyła się już na kolejne miesiące podróży.

– A ja?

Słowa Williama, które ten wygłosił wobec wszystkich tancerzy, doprowadziły Głorię niemal do rozpaczy. Nigdy jednak nie odważyłaby się zabrać głosu wobec wszystkich członków grupy i zwrócić na siebie uwagi. Ale teraz, w hotelowym apartamencie rodziców, gdzie ci właśnie zażywali chwil wypoczynku – William ze szklanką whisky w dłoni, a Kura z kieliszkiem białego wina – Gloria postanowiła zdobyć się na odwagę i na kilka słów.

William spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– A co ma być z tobą? – spytał. – Jedziesz przecież z nami, co mogłabyś innego robić?

– Ale ze mnie nie ma żadnego pożytku! Nikomu nie jestem potrzebna... i... – Gloria miała jeszcze tak wiele do powiedzenia, ale była w stanie wyjąkać tylko kilka słów.

Kura się roześmiała.

– Głuptasku, oczywiście, że jest z ciebie jakiś pożytek. A jeśli nawet nie, to co ci pozostaje? Nie możesz przecież wrócić do Europy, gdybyś chciała studiować. Tam jest teraz wojna i ludzie strzelają do siebie. Tu jesteś bezpieczna.

– Na Kiward Station nie ma wojny! – Gloria chciała krzyknąć, ale z jej ust wydobył się tylko szepet.

– A, to o to ci chodzi! Chciałabyś wrócić na tę owczą farmę... – William potrząsnął głową. – Glorio, skarbie, stąd do Nowej Zelandii to podróż przez cały świat! Nie możemy cię tam wysłać samej. I właściwie po co? Dziewczyno, teraz poznajesz cały świat! Jak naprawdę chcesz, to możesz potem do końca życia strzyc owce. Ale chyba nie mówisz tego poważnie! Zastanów się, gdy wrócimy po wojnie do Europy, to zobaczysz Francję, Hiszpanię, Portugalię, Polskę, Rosję... Nie ma kraju w Europie, w którym jeszcze nie byliśmy i który nie chciałby zobaczyć jeszcze raz naszych występów. Może w końcu kupimy jakiś dom w Londynie... Wiem, wiem, Kuro, nie chcesz się nigdzie osiedlić. Ale pomyśl o tej naszej małej, w końcu ona też powinna gdzieś zadebiutować. Kiedyś w końcu pojawi się jakiś sympatyczny młody mężczyzna i wyjdiesz za mąż, Glorio... Jesteś przecież tak wychowana, aby być lady na tym świecie! A nie jakąś wieśniaczką!

Gloria nie odpowiedziała. Jej twarz była kredowobiała – wydawało jej się, że już nigdy nie będzie w stanie znaleźć odpowiednich słów. Podróż przez Europę, dom w Londynie, bale debutantek... Zrozumiała, że Kura i William ściągnęli ją do Europy po to, aby nigdy nie wysłać jej z powrotem do Nowej Zelandii. Miała więc zostać z nimi na zawsze i... kiedyś w końcu odziedziczyłyby Kiward Station, o ile Kura nie sprzedałaby wcześniej farmy, co mogłaby zrobić najpóźniej po śmierci babci Gwyn...

Gloria przyłapała się na myśli, że życzy swoim rodzicom śmierci. Może wypadek albo atak jakiegoś szaleńca. Ale oczywiście to wszystko było bardzo iluzoryczne. Kura miała dopiero trzydzieści kilka lat, mogła żyć jeszcze ponad czterdzieści. Kolejnych czterdzieści lat z dala od Kiward Station? Dla Glorii oznaczało to ciąg kolejnych upokorzeń: „– Czy to jest pokojówka Mrs Martyn? – Nie, nie uwierzy pan, to jej córka! – Co, taka fajtłapa? Doprawdy, nie ma w sobie nic ze swojej matki!”.

Gloria przypadkowo usłyszała dzisiejszego ranka tę krótką rozmowę w hotelowym lobby. I nawet nie sprawiło jej to przykrości. Przyzwyczała się do takich tekstów i było jej to już zupełnie obojętne. Ale znosić to przez kolejne czterdzieści lat?

Gloria pomyślała w tym momencie o wyspie położonej w zatoce San Francisco, na której znajdowało się więzienie Alcatraz. Poprzedniego dnia popatrzyła w tamtym kierunku z przerażeniem. Ale w porównaniu z codziennymi szykanami, jakich doświadczała, pobyt tam byłby jej zdaniem czystą przyjemnością. Gloria odetchnęła głęboko. Musiała coś powiedzieć. Ale jednak milczała. I tak nie było już nic, czym mogłaby przekonać rodziców. Słowa były zupełnie bezużyteczne. Musiała działać sama.

Następnego ranka Gloria powędrowała nad morze, nie zwracając uwagi na urodę miasta. A w Kalifornii zagościła właśnie wiosna, na niebie świeciło słońce, w ogródkach i wzdłuż bulwarów kwitły tysiące kwiatów. Tu, na Zachodnim Wybrzeżu, panowały o tej porze wręcz letnie temperatury – dla Glorii było to zdumiewające, bo „zachodnie wybrzeże” kojarzyło jej się raczej z wilgotnym klimatem i ciągłymi deszczami. Na ulicach San Francisco panował ożywiony ruch, można było spotkać ludzi wszystkich możliwych kolorów skóry i narodowości. W oczy rzucali się przede wszystkim skośnocy Chińczycy i Japończycy. W większości byli równie nieśmiali i przestraszeni jak sama Gloria; dziewczynie wydawało się wręcz, że czuje ich obcość i osamotnienie. Ale z drugiej strony mieli oni tutaj własną dzielnicę, Chinatown. Kilka tancerek z grupy Kury poszło tam nawet coś zjeść – dziewczyny chwaliły się potem, że nie odstraszyła ich nawet perspektywa zjedzenia piezowego psa. Glorii już na samą myśl robiło się niedobrze.

W końcu dotarła do dzielnicy portowej, która na szczęście nie była tak mroczna i pełna zakamarków jak w Londynie czy też Nowym Jorku.

Port San Francisco był rozległy i bardzo nowoczesny. Zatoki Golden Bay i San Francisco stanowiły naturalny basen portowy miasta, a doki, budynki portowe oraz nabrzeża zostały starannie odremontowane albo też zbudowane na nowo po trzęsieniu ziemi w 1906 roku.

W ogromnym porcie handlowym wyładowywano towary przybywające z całego świata. Głorzę przerażał ciągły ruch i hałas portu, choć dla częstego bywalca było to z pewnością bardzo ciekawe. Ale jak miała się tu zorientować, kogo zapytać o cokolwiek, jeśli ci żółto- lub czarnoskórzy robotnicy z pewnością nie rozumieli ani słowa po angielsku?

Ale wreszcie dostrzegła z oddali parowe statki pasażerskie. Musiały to być nabrzeża, przy których cumowały statki z imigrantami, pewnie były tam też biura odpowiednich władz. Gloria słyszała, że do San Francisco przybywali głównie nowi obywatele z Francji i Włoch, choć dawniej, w czasach gorączki złota, w stronę Golden Gate dążyło też wielu Irlandczyków i Anglików. Ale wszystko jedno, kto tu przyjeżdżał, Gloria ruszyła dalej. Jej pierwszym celem był dalekomorski statek parowy. Na takich statkach zawsze była pierwsza klasa, która wymagała licznej służby. Większość jej stanowili co prawda mężczyźni, ale Gloria nie mogła sobie wyobrazić, że stewardzi ścielili łóżka albo obierali ziemniaki. Musiały tam pracować także pokojówki i pomoce kuchenne!

Gloria miała nadzieję, że zaokrętuje się na taki statek i zarobi pracą na podróż. Gdyby tylko wiedziała, który z nich płynął do Nowej Zelandii... Niepewnie poszła w stronę doków. Dookoła kręciło się pełno ludzi, ale Gloria nie potrafiła przezwyciężyć nieśmiałości i o cokolwiek zapytać. Nagle zatrzymał się przed nią drobny młody mężczyzna w marynarskim stroju i spojrzał na nią uważnie.

– No, ślicznotko, zabłądziłaś? Tutaj nic nie zarobisz, a jak cię policja złapie, to będziesz mieć kłopoty. Idź lepiej do Fisherman's Wharf.

– Ja... który... yy... który statek płynie do Nowej Zelandii? – Gloria zmusiła się, by spojrzeć na mężczyznę. Odwagi dodał jej jego sposób mówienia, sympatyczny, choć nieco protekcyjny.

Miała przed sobą twarz o szerokim uśmiechu, choć dziwnie spiczastą. Mimo woli przyszedł jej na myśl jakiś gryzoń.

– A, ciągnie cię do kiwi? Kochanie, to będzie raczej trudne.

Gloria zagryzła wargi. To samo powiedział jej już ojciec. Czy z Ameryki doprawdy nie było żadnej drogi do Polinezji?

– Patrz, mała, jesteśmy tutaj... – Marynarz przykucnął i narysował w ulicznym kurzu coś w rodzaju mapy. – A tu, po drugiej stronie świata, jest Australia.

– Ale ja chcę do Nowej Zelandii – powtórzyła Gloria.

Mężczyzna przytaknął.

– Nowa Zelandia jest całkiem blisko – stwierdził.

– Dwa tysiące czterysta mil – powiedziała Gloria. – To odległość z Nowej Zelandii do Australii. – Jej samej wydawało się, że to bardzo daleko.

Marynarz lekceważąco machnął ręką.

– To rzut beretem w porównaniu z odległością stąd do Australii. Najpierw musisz się dostać do Chin, co nie jest trudne, bo praktycznie każdego tygodnia płynie tam stąd jakiś statek. Ale dopiero potem: Indonezja, Australia i stamtąd do Nowej Zelandii. To się nie opłaca, słodziutka! Uwierz mi, bo już tam byłem, i to na tak zwanej Wyspie Południowej. Kilka miejscowości, które wyglądają jak dobra stara Anglia, trochę łąk i owce. To z jednej strony wyspy. A z drugiej są tylko kopalnie i puby. Tam oczywiście mogłabyś coś zarobić. Ale bez urazy! – takich jak ty jest tam tyle co piasku w morzu.

Gloria skinęła poważnie głową. Daleka była od tego, aby poczuć się obrażoną.

Marynarz roześmiał się głośno.

– No ale daleko cię zaniosło i mam nadzieję, że w drodze sporo się nauczyłaś! – Przyjrzał jej się taksującym wzrokiem. – Trzeba by spróbować. Wyglądasz na czystą i jesteś słodka. Trochę polinezyjskiej krwi, co? Zawsze lubiłem takie dziewczyny, o wiele bardziej niż te chude kurczaki, które się tutaj sprzedają. To jak będzie z nami? Ile bierzesz za godzinę, tak w porze obiadowej?

Gloria spojrzała na mężczyznę z irytacją. Nie potrzebowała w tym celu zadzierać głowy, był mniej więcej jej wzrostu. Także to przemawiało za nim; wydawał się dzięki temu nie taki niebezpieczny jak na przykład jej ojciec albo wielebny Bleachum. I uważał, że ona jest „słodka”... Głorzę ogarnęło uczucie osobliwego ciepła w sercu. Ale przy tym ten człowiek był dziwny. Dlaczego miałaby być brudna? Tego dnia włożyła swoją najładniejszą sukienkę – mocno rozkloszowaną, z rękawami w kwiaty, uszytą bardziej w stylu maoryskiej tradycji niż zgodnie z obecną modą. A jeśli chodzi o włosy, to poszła za radą Tamatei i założyła na głowę szeroką opaskę. To, jej zdaniem, powinno być dobre wrażenie na ochmistrzu, który angażował pokojówki. I bez względu na to, co oferował jej ten mężczyzna, Gloria nie chciała pozwolić, aby jakakolwiek okazja wymknęła jej się z rąk.

– Ja... muszę najpierw znaleźć jakiś statek. I pracę, bo... ja nie mam za dużo pieniędzy. Mówi pan, że muszę najpierw dostać się do Chin? Może mógłby pan mi pomóc. Myślałam o jakimś statku pasażerskim. Oni tam na pewno potrzebują personelu... – Gloria spojrzała z powagą w twarz nowego przyjaciela.

Marynarz ostentacyjnie przewrócił oczami.

– Słodziutka, nikt przy zdrowych zmysłach nie udaje się na wycieczkę turystyczną do Chin. Tam płyną tylko statki towarowe. Ja właśnie płynam na takim statku. Pacific Mail Steamship Company. Wieziemy muszle abalonów w tamtą stronę, a z powrotem herbatę i jedwab. Ale dziewczyn mój kapitan nie werbuje.

– Jestem silna – odparła Gloria pełna nadziei. – Mogłabym pracować także na pokładzie, rozładowywać towary czy coś takiego.

Marynarz potrząsnął głową.

– Skarbie, trzeba zacząć od tego, że połowa załogi wierzy w to, że kobieta na pokładzie przynosi nieszczęście. I gdzie miałabyś spać? Jasne, chłopcy biliby się o kabinę z tobą, ale...

Mężczyzna urwał. Znów spojrzał taksującym wzrokiem na twarz Glorii i jej figurę.

– Hm, przychodzi mi coś do głowy... Naprawdę nie masz pieniędzy, słodka?

Gloria wzruszyła ramionami.

– Tylko parę dolarów. Ale właściwie niewiele.

Marynarz w osobliwy sposób żuł dolną wargę, w efekcie czego jeszcze bardziej przypominał gryzon. „Jak tchórzofretka” – pomyślała Gloria i zawstydziła się tej mało sympatycznej myśli. „Raczej wiewiórka...”

Mężczyzna chyba podjął już jakąś decyzję, bo nagle zaczął mówić bardzo rzeczowo:

– To szkoda. Bo musiałybyś mi zapłacić za ryzyko. Jak uda nam się zrobić to, co mi przyszło do głowy, i wszystko się wyda... to w Kantonie zostaną bez pracy. O ile kapitan nie wyrzuci mnie od razu za burtę.

Oczy Glorii przybrały zatroskany wyraz.

– A on może coś takiego zrobić? To znaczy... Przecież utopiłby się pan wtedy!

Marynarz wykrzywił twarz, jak gdyby walczyl z nagłym atakiem śmiechu, ale jednak zachował powagę.

– Jasne, że może, mała! – stwierdził. – On ma na statku władzę absolutną, musisz o tym wiedzieć. Jak cię złapie, to leżysz – i ja też! No to jak bardzo chciałabyś się dostać do Chin?

– Chcę do domu – powiedziała Gloria żałośnie. – Bardziej niż cegokolwiek na świecie. Mam się schować? Jako pasażer na gapę?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– No nie, mała, na tej łajbie nie ma tylu kryjówek, żeby cię nikt nie znalazł. A przy tej ilości prowiantu, którą zabieramy, każdy zjadacz chleba natychmiast rzuci się w oczy. Myślałem raczej o zamaskowaniu się. Nasz kucharz Smutje szuka właśnie jakiegoś chłopaka okrętowego...

Twarz Glorii rozjaśniła radość.

– Mam się przebrać? Za chłopaka? To mogę zrobić bez problemu. Dawniej zawsze nosiłam spodnie. To znaczy, kiedy byłam mała.

A z pracą sobie poradzę. Nikt nic nie zauważy!

Marynarz znów przewrócił oczami.

– Załogę będziemy musieli wtajemniczyć. Także w kwestii wynagrodzenia. Musiałabyś tylko... No, jak uda mi się to dla ciebie załatwić, to musiałabyś być miła dla nas w drodze do Chin.

Gloria skinęła poważnie głową.

– Oczywiście, że będę miła – obiecała. – Nie jestem taka kapryśna jak większość dziewczyn.

– Ale pieniądze zgarniam ja, kapujesz? Za to będę na ciebie uważał. Żeby żaden nie wziął więcej, niż mu się należy...

Gloria zmarszczyła czoło.

– Pieniądze może pan sobie wziąć – oświadczyła wielkodusznie. – A dobrze się zarabia jako chłopiec okrętowy?

Nie rozumiała, dlaczego marynarz zaśmiał się głośno.

– Ależ z ciebie oryginał! No to chodź, rozejrzemy się, czy znajdziemy dla ciebie trochę odpowiednich ciuchów. Tam z tyłu, koło Fisherman's Wharf, pewien Żyd handluje używanymi ubraniami. A stary Samuel potrafi trzymać język za zębami, ma klientów z bardziej nieczystymi sumieniami niż my oboje razem wzięci. Jak się w ogóle nazywasz?

– Gloria. Gloria Mar... – Urwała nagle, nie kończąc. To nie było przecież ważne. I tak potrzebowała jakieś innego imienia. Nagle przypomniała sobie jedną z głupich piosenek Lilian, noszącą tytuł *Jackaroo*. Jej słowa mówiły o kobiecie, która przebrała się za mężczyznę, aby szukać swojego ukochanego po drugiej stronie morza.

– Nazywam się Jack – powiedziała Gloria.

Jack – imię, które przypominało jej też o kimś innym... Jack miał jej przynieść szczęście.

Godzinę później Gloria stała już przed Smutje'em, grubym, nieco obleśnym mężczyzną w niegdyś białym fartuchu zarzuconym na marynarski mundur. Gloria sama była ubrana podobnie. Harry, jej nowy przyjaciel i obrońca, wyszukał dla niej luźną białą bluzę i wytarte niebieskie spodnie z bawełny. Do tego pasował też czarny, wełniany, mocno znoszony pulower. Gloria miała go teraz na sobie, chociaż było bardzo gorąco. Ukryła pod kołnierzem swoje długie włosy. Było ich za dużo, aby je schować pod czapkę z daszkiem, którą także wybrał Harry.

– Ale tak nie może być! – oświadczył surowo Smutje, kiedy już obejrzał uważnie dziewczynę, a zwłaszcza jej włosy. – Nawet jeśli ci ich szkoda. Jak będą rozpuszczone, to ona będzie wyglądać jak pozłacany aniołek. Ale poza tym – racja, Harry, ona może robić za chłopaka.

Smutje zareagował początkowo śmiechem, kiedy Harry wyłuszczył mu swoje zamiary – co Gloria z kolei uważała za całkowicie zbędne. Wolałaby spróbować nabrać Smutje'a – i udawać chłopaka. Wystarczyło przecież, że ona i Harry wiedzieli o wszystkim. Harry był jednak zupełnie innego zdania. Choć tłusty kucharz był natychmiast chętny, żeby się przekonać o racjach Harry'ego. Z jakichś powodów oznaczało to szczypanie Glorii w pośladki i w piersi. Było to nieprzyjemne, ale Gloria widziała już coś takiego wśród służących i parobków. Skoro Smutje'owi sprawiało to taką przyjemność, była gotowa to wytrzymać.

– Ale jedno jest jasne: mam trzy numery w tygodniu za darmo, a połowa zysków jest moja. W końcu to ja najwięcej ryzykuję. – Kucharz spojrział surowo na Harry'ego.

– Najwięcej ryzykują ci, z którymi ona będzie mieszkać w kajucie – zaprzeczył Harry. – Ciebie mogła nabrać. A ty przecież nie będziesz się dobierał do swoich kuchcików, co?

Kucharz pogroził mu pięścią.

Gloria rozglądała się po kambuzie, podczas kiedy mężczyźni pertraktowali dalej. Miała ogromną ochotę zdjąć gruby sweter, bo pod pokładem było duszno i gorąco. Wszystkie miejsca pracy, garnki i patelnie nie były zbyt czyste. Smutje rzeczywiście potrzebował pomocy. Obok wypačkanej tłuszczem kuchni znajdowała się równie mało przyjemna jadalnia dla załogi. Gloria pomyślała, że cała załoga nie mogła tu jadać naraz – pomieszczenie było zbyt małe. Z drugiej strony nowoczesne statki parowe nie potrzebowały zbyt licznej załogi. A „Mary Lou” nie należała też do dużych statków. Wszędzie pod pokładem było ciasno i ciemno; życie w pomieszczeniach dla załogi przypominało chyba piekło. Ale lepiej było tkwić w ciasnej kabinie w drodze do Nowej Zelandii, niż być wiecznym więźniem luksusowych apartamentów Kury-maro-tini w Grand Hotelu czy też jakiegoś domu Williama...

– Mogę obciąć włosy – powiedziała spokojnie.

Wszystko wskazywało na to, że obaj mężczyźni uzgodnili już stanowiska.

– No to załatwione, powiem ochmistrzowi, że chłopak przyjdzie jutro – albo lepiej dopiero pojutrze rano, tuż przed wypłynięciem. Możesz tu być o piątej, Jack? – spytał Harry z obleśnym uśmiechem.

Dziewczyna skinęła głową.

– Będę punktualnie.

– Gdzie mogę się teraz przebrać? – spytała Gloria nieśmiało, kiedy zeszła z frachtowca „Mary Lou”, ciągle w towarzystwie Harry'ego, który deptał jej po piętach. Przyszła jej do głowy straszna myśl, że mały pokój na zapleczu sklepu handlarza starymi ubraniami nie będzie już do jej dyspozycji.

Harry spojrział na nią zdziwiony.

– Nie możesz iść tak do domu? Nie masz własnego pokoju?

Gloria poczerwieniała.

– Tak... nie... No nie mogę się tak pokazać w hotelu, ja...

Harry uśmiechnął się szeroko.

– W hotelu! Cóż za wytworne określenie! Pewnie to jakiś niezły burdel. Ale masz klasę, w przeciwieństwie do wielu innych dziewczyn. Uciekasz przed czymś, mała? Do diabła, na to wygląda. Ale co mnie to obchodzi. Nie daj się tylko złapać!

Gloria poczuła ulgę. Mimo to było lepiej, aby Harry nie wiedział nic o jej tożsamości.

Ale mały marynarz myślał teraz o problemie z przebraniem się.

– To wprost domaga się koleżeńskiej pomocy – oświadczył. – Zobaczmy, gdzie to podziewa się teraz Jenny...

Gloria poczuła irytację, ale posłusznie szła za nim przez kręte uliczki za dokami. Miała nieokreślone przeczucie, że znalazła się w portowej dzielnicy uciech, ale sklep Samuela też był w pobliżu. Jednak zrobiło jej się nieprzyjemnie, kiedy w końcu zobaczyła na ulicy kilka dziewczyn. Co prawda niewiele, w końcu było dopiero południe. Jakaś blondynka o wyrazie twarzy podobnym do Harry'ego, także przypominająca gryzonia, prezentowała swoje wdzięki w rozpiętym gorsecie, stojąc przed kuchnią, w której najwyraźniej smażyono kraby, na co wskazywała intensywna woń zjełczanego tłuszczu.

– Harry, stary brachu! Znowu na łądzie? Nie lubisz skośnookich w Kantonie? – dziewczyna roześmiała się i objęła Harry'ego niemal jak siostra. A potem spojrzała na Glorię w przebraniu chłopca okrętowego.

– A kogo mi tu przyprowadzasz? Nowicjusza jakiegoś? Jaki słodki! Gdzie złapaliście taką niemowlęcą buzię? To jakiś wsiok?

Harry przewrócił oczami.

– Jenny, słodziutka, jak ci to włożę do łóżka, to przeżyjesz największą niespodziankę swojego życia! No ale to znaczy, że nasz szwindel jest perfekcyjny, jeśli nawet ty nic nie zauważyłaś. A przecież prawdopodobnie oglądasz więcej mężczyzn w tygodniu niż nasz ochmistrz w całym roku...

– I to gołych, jak ich Pan Bóg stworzył! – zachichotała Jenny. – No a co z tym chłopakiem? He, momencik!

Spoważniała natychmiast, kiedy przyjrzała się uważnie twarzy Glorii.

– Ten chłopak to dziewczyna! Przywlokłeś z sobą konkurencję dla mnie, tu, wprost na moje miejsce pracy?

Harry uspokajająco podniósł rękę.

– Jenny, żadna ci nie dorówna. Ale ta tu... to coś w rodzaju rzemiosła obwoźnego. W każdym razie będzie nas uszczęśliwiać na statku, bo obstaje przy tym, aby się dostać na drugi koniec świata...

– Jak na drugi koniec świata, to w porządku – warknęła Jenny i zwróciła się do Glorii: – A czemu przebierasz się za chłopaka? Kręci cię to?

– Jenny, skarbie, wyjaśnię ci to później. Ale teraz potrzebny mi jest jakiś miły kącik, aby ona mogła z powrotem stać się dziewczyną.

Przemów do swego serca i puść nas na chwilę do twojej komórki, co? – Harry pogłaskał dziewczynę po głowie, a ona w odpowiedzi zamruczała jak kot.

– Żebyś stukał tam jakąś inną? – spytała podejrzliwie.

– Jenny, serduszek, nawet jak ją na chwilę położę... to tylko w celu przetestowania, rozumiesz? A ta noc należy do ciebie! Potraktuję cię jak królową, Miss Jenny! Homary... krewetki... Będiesz mogła wybierać. Tylko na piętnaście minut, Jenny! Proszę!

Gloria, która z całej rozmowy zrozumiała zaledwie połowę, uśmiechnęła się z wdzięcznością do dziewczyny, kiedy ta skinęła głową i wcisnęła Harry'emu do ręki klucz.

– Czy Jenny jest twoją dziewczyną? – spytała, idąc za Harrym do mocno zaniedbanego budynku, w którym śmierdziało moczem i zepsutą kapustą. – Bo ona wygląda jak...

– Dziecko, naprawdę jesteś z innego świata? Sprawiasz wrażenie dość naiwnej jak na panienkę z branży. Jasne, że Jenny się sprzedaje. Ale ona ma złote serce. A teraz szybko, bo jak Jenny znajdzie klienta, to będzie potrzebować pokoju.

„Pokój” okazał się nędzną klitką w mieszkaniu, które zapewne zostało podzielone na więcej podobnych pomieszczeń. Znajdowała się tu prymitywna kuchenka, stół, krzesło, a przede wszystkim łóżko. Prześcieradła raczej nie należały do czystych. Gloria zmarszczyła nos.

– Nie mógłbyś wyjść? – spytała Harry'ego, który położył się na łóżku i patrzył na nią wyczekująco.

Marynarz zmarszczyło czoło. I po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju niechęci czy też nawet gniewu.

– Słodziutka, pruderia jest przyjemna, ale nie mamy czasu. Daruj sobie ten teatr, rozbieraj się i bądź dla mnie miła. To będzie coś w rodzaju zadatku. Dzięki mojej skromnej osobie jesteś już prawie w Chinach.

Gloria popatrzyła na niego zmieszana, ale w końcu pojęła.

– To znaczy, że... Mam ci się... oddać? – Było to jedyne wyrażenie, które jej przyszło do głowy. Zwykle używała go Lilian, kiedy bohaterowie jej szalonych opowieści padali na łóżko albo częściej na siano czy też w wysoką zieloną trawę.

Harry przewrócił oczami.

– Wreszcie pojęłaś, skarbenku. Podróże statkiem są płatne. A może już nie chcesz do Chin?

– Chcę do Nowej Zelandii – powiedziała głucho Gloria. Wahała się przez chwilę. Ale potem pomyślała o alternatywie. Czy prześpi się teraz z Harrym, czy też z jakimś innym mężczyzną, którego znajdą dla niej rodzice – co za różnica? A poza tym trochę jej pochlebiali, że Harry jej pragnął. We wszystkich historiach, które dotychczas słyszała, ludzie oddawali się sobie z miłości. A Harry był gotów sporo zaryzykować.

Gloria się rozebrała – ucieszyła się w duchu, kiedy mężczyzna leżący na łóżku znów się uśmiechnął.

– Fajna jesteś! – oświadczył z podziwem, kiedy stanęła przed nim ubrana tylko w biustonosz i majteczki. – Jeszcze tylko kwiaty we włosach i spódniczka z liści i będziesz jak dziewczyna z Hawajów...

Mimo krępującego uczucia zawstydzenia Gloria uśmiechnęła się leciutko.

– Hawaiki, to raj... – powiedziała cicho.

– To zabierz mnie tam, słodziutka!

Gloria krzyknęła przerażona, kiedy Harry nagle pociągnął ją na łóżko. Ale potem umilkła. Milczała, kiedy Harry zerwał z niej to, co miała na sobie. A przy tym nawet nie zadał sobie trudu, aby rozebrać się samemu, lecz jedynie szybko opuścił spodnie. Gloria zastygła z przerażenia, kiedy zobaczyła przed sobą jego zeszywniały członek. Zamknęła oczy i zagryzła wargi, gdy Harry bez żadnych wstępów wszedł w nią gwałtownie i wykonał kilka energicznych pchnięć. Miała wrażenie, że coś w niej jakby pęka. Dyszała z bólu i poczuła, że coś pociekło jej po udach. Czy to była krew? Harry stęknął nagle i osunął się na nią bezwładnie. Chwilę później podniósł się zaskoczony i popatrzył na nią uważnie.

– Byłaś dziewicą? Tylko nie mów, że to prawda! Mój Boże, nigdy bym nie pomyślał... Jej, taka dziewica, byłbym to zrobił inaczej. Parę całusów przedtem czy coś... – Harry sprawiał wrażenie bardzo skruszzonego. Niezdarnie pogładził jej ciało. – Przykro mi, mała, ale mogłaś o tym powiedzieć. A ja chętnie bym się dowiedział, przed czym czy przed kim ty uciekasz. Myślałem, że masz jakiegoś nędznego sutenera. Ale ty...

Odgarnął jej włosy z twarzy niemal tkliwym gestem, tak jak przedtem głaskał Jenny.

Gloria popatrzyła na niego wzrokiem pełnym wściekłości.

– To chyba już zapłaciłam, nie? – spytała ostro. – Chciałeś, żeby tutaj... A ja miałam być miła. To nie zadawaj teraz żadnych pytań!

Harry wyciągnął przed siebie ręce obronnym gestem.

– Już dobrze, dobrze, słodziutka, nic nie chcę wiedzieć! Pojutrze zjawiasz się na „Mary Lou”, a wszystko pozostanie między nami. Nie powiem nikomu, a na początek... no, postaram się, żebyś się powoli wdrożyła do pracy. Bez urazy, słodziutka, prawda?

Gloria przytaknęła z zacisniętymi zębami.

– A mógłbyś teraz wyjść? – spytała. – Chciałabym się ubrać.

Harry przytaknął z wyraźną skruchą.

– Oczywiście, księżniczko. Zobaczymy się... – Przesłał jej ręką całusa, wychodząc.

Kiedy Gloria była już ubrana, Harry czekał cierpliwie przed drzwiami.

– Muszę odnieść Jenny klucz – powiedział przeproszającym tonem.

Gloria skinęła głową i odpowiedziała:

– Zobaczymy się.

Gloria wślizgnęła się ukradkiem do hotelu. Miała nadzieję, że rodziców jeszcze nie będzie. Przepelniały ją wstręt i obrzydzenie do samej siebie i wszystko ją bolało. W żadnym wypadku nie miała ochoty tłumaczyć się teraz przed Kurą i Williamem ani też opowiadać Tamatei jakiejś zmyślonej historii o tym, gdzie była przez pół dnia. I rzeczywiście cały apartament był do jej dyspozycji; prawdopodobnie akurat trwały próby i rodzice byli zajęci. Gloria odetchnęła z ulgą i najpierw ukryła w głębi swojej szafy męskie ubrania, które miała przedtem na sobie, i przygotowała sobie kąpiel. Zastanawiała się, czy ma sama uprać swoją sukienkę i jak to potem wytłumaczyć, ale po namyśle postanowiła ją wyrzucić. Nie będzie już miała okazji, aby ją włożyć; zabieranie damskiej odzieży na pokład „Mary Lou” było zbyt niebezpieczne. Wprawdzie miała nadzieję, że będzie dzieliła kabinę tylko z Harrym, który i tak wiedział o wszystkim, ale nie chciała ryzykować. Lepiej będzie pójść następnego dnia jeszcze raz do Samuela i kupić jakieś dodatkowe męskie ubrania na zmianę.

Gloria zanurzyła się w gorącej wodzie i szorowała się, próbując pozbyć się w jakiś sposób wszystkich wrażeń po obrzydliwym przeżyciu w klitce Jenny. Nie chciała już o tym myśleć ani o ewentualnych ponownych takich doznaniach czekających ją na statku. Jeśli tak trzeba, to była skłonna być do usług Harry’ego. To i tak była stosunkowo niewysoka cena za powrót do domu. Oczywiście było to bolesne i obrzydliwe, ale przynajmniej krótko trwało. Gloria sądziła, że da radę wytrzymać. Pewnej otuchy dodawały jej przyjazne słowa Harry’ego. „Jesteś ładna...” Dotychczas nikt jej czegoś takiego nie powiedział.

Następnego dnia z trudem mogła powściągnąć zniecierpliwienie. Powędrowała znów do dzielnicy portowej i kupiła u Samuela jeszcze jedno spodnie, dwie koszule oraz ciepłą kurtkę. Kupiec – stary człowiek o krótkiej, spiczastej bródce – przyglądał jej się ciekawie. W drodze powrotnej Gloria zabłądziła i wylądowała znów przy kuchni, w której smażono kraby i gdzie Jenny uprawiała swoje rzemiosło. Dziwka przyjrzała jej się podejrzliwie.

– Znowu tu jesteś? Myślałam, że znikasz już za morzem.

Gloria skinęła poważnie głową. Potem pomyślała, że powinna podziękować Jenny.

– Naprawdę nie chcę robić pani konkurencji – powiedziała. – Na pewno, ja... ja będę pracować jako chłopiec okrętowy, na „Mary Lou”...

Jenny się roześmiała.

– Jako chłopiec okrętowy? No, Harry mówił mi coś innego. Chodź, dziewczyno, nie możesz być przecież aż tak naiwna. I to bez względu na to, jakie bzdury opowiada Harry. Już i tak zdradził mi w tajemnicy, jak tylko się zalał, że byłeś do wczoraj dziewicą! – Zachichotała. – Te sztuczki musisz mi zdradzić!

Gloria zaczerwieniła się i poczuła wstyd. Harry nie powinien był mówić o niej z Jenny.

– To prawda – powiedziała cicho. – Ja... ja nie wiedziałam...

– Czego nie wiedziałaś? Że chłopcy nigdy nie robią czegośkolwiek za darmo? Naprawdę myślisz, że Harry jest taki rycerski, aby tak po prostu zabrać cię z ulicy? Dziewczyno, dziewczyno, lepiej nie będę pytać, skąd jesteś...

Gloria nie odpowiedziała. Chciała tylko uciec. Ale Jenny wydawała się otwierać przed nią swoje ponoć tak dobre serce.

– Masz choć blade pojęcie o tym, skąd się biorą dzieci? – spytała.

Gloria znów się zaczerwieniła.

– Tak... Nie... To znaczy, wiem, jak to jest u koni i owiec...

Jenny zaśmiała się głośno.

– Taaa, a wczoraj Harry ci chyba pokazał, jak to wygląda u ludzi. Ale nie blednij tak, mała, nie każdy strzał oznacza trafienie. Można coś zrobić, aby temu zapobiec. Przedtem albo potem. Ale potem jest drogo, a na morzu nie ma producentów aniołków... Słuchaj, mała, powiem ci coś: tutaj puszczaniem się nie zarobię już przed zmrokiem na jakiś obiad. A co byś powiedziała na to, żeby mnie zaprosić na, powiedzmy, dobrą zupę z krabów i chleb na zakwasie, a ja za to opowiem ci wszystko to, co każda dziewczyna powinna wiedzieć...

Gloria się zawahała. Właściwie wcale nie chciała wysłuchiwać obrzydliwych tajemnic Jenny. Z drugiej strony miała jeszcze kilka centów, a ta dziewczyna była najwyraźniej głodna. Rzemiosło, które uprawiała, nie wydawało się zbyt dochodowe. Gloria poczuła litość. W końcu skinęła głową. Jenny uśmiechnęła się do niej szeroko, ukazując przy tym dwie dziury po brakujących zębach.

– Dobrze, to chodź... Nie, nie do tej spelunki, w końcu są tutaj lepsze lokale.

I rzeczywiście, wkrótce potem obie dziewczyny siedziały razem w ciemnej i ciasnej wprawdzie, ale za to dość czystej garkuchni i delektowały się specjalnością San Francisco: krabami z chlebem na zakwasie. Jedzenie było zaskakująco dobre i ku swemu zdumieniu Gloria zaczęła się całkiem dobrze czuć w towarzystwie Jenny. Ta blondynka lekkich obyczajów nie kpiła z niej, lecz spokojnie wyjaśniała wszystkie szczegóły swojego zawodu.

– Nie pozwalaj się całować w usta, to obrzydliwe... a jak będą chcieli to robić od tyłu albo po francusku, to każ sobie za to zapłacić ekstra. Wiesz, co to znaczy po francusku?

Gloria znów poczerwieniła, kiedy Jenny jej to wyjaśniła, ale ona wcale się z niej nie śmiała.

– Też tak kiedyś patrzyłam, śłodziutka. W końcu nie wychowałam się w burdelu. Pochodzę ze wsi... Chciałam uczciwie wyjść za mąż. Ale mój tatuś za bardzo mnie lubił, jeśli rozumiesz, co mam na myśli... W końcu przepędził mojego ukochanego... – Umilkła, a Glorii wydawało się, że dostrzegła łzy w jej oczach. Ale Jenny chyba już dawno zapomniała, co to znaczy płakać.

Dziewczyna przełknęła trzy porcje zupy z krabów i jedząc, tłumaczyła Glorii wszystkie szczegóły kobiecego cyklu. Także to, jak zapobiegać zajściu w ciążę.

– Postaraj się o gumki, to jest najlepsze. Choć co prawda chłopcy nie chcą ich zakładać, ale musisz nalegać, aby to zrobili... A poza tym... Dziwka, która mnie sporo nauczyła, twierdziła, że najlepsze są płukanki z octu. Ale też nie są pewne...

Gloria w końcu przestała się czerwienić i nawet odważyła się zadać na koniec jedno pytanie:

– A co robić, żeby to tak nie bolało?

Jenny się uśmiechnęła.

– Olej sałatkowy, mała. To tak jak z maszynami. Posmarujesz, to dobrze chodzą.

Wieczorem Gloria ukradła olej i ocet ze stołu hotelu St. Francis; poza tym przygotowała nożyczki i z bijącym sercem wyjęła swój paszport z szuflady, w której ojciec trzymał wszystkie dokumenty. Oczywiście nie mogła zasnąć, bo rodzice poszli na przyjęcie. Gloria znów się martwiła. Co będzie, jeśli wrócą rano? Przy swojej niezdarności mogła im wpaść prosto w ramiona. Ale William i Kura pojawili się około trzeciej nad ranem, pełni radości i lekko wstawieni.

Kiedy Gloria ukradkiem opuszczała pokój o czwartej rano, oboje twardo spali... Także nocny portier w hotelu był o tej porze nieprzytomny. Gloria wymknęła się z lobby, kiedy poszedł po herbatę. Miała już na sobie męską odzież, a w rękę węzełek z rzeczami na zmianę. Gdyby portier ją zobaczył, musiałaby uciekać jak złodziej, który tu wszedł wprost z ulicy. Gloria obawiała się wędrować nocą przez miasto jako dziewczyna, ale przekonała się, że jako chłopak nie zwracała na siebie niczyjej uwagi. Ukryła się w jednej z cichych ulic willowej dzielnicy – o tej porze wszyscy tu spali. Znalazła też w murze jakiegoś domu głęboką niszę – tam bez żalu obcięła sobie włosy. Przypomniała sobie, że już to kiedyś zrobiła. Pasma obciętych włosów wrzuciła po prostu do pojemnika na śmieci. Precz z Gloria! Teraz pojawił się Jack.

W porcie panował już ożywiony ruch, ale nikt nie zwrócił uwagi na chłopca okrętowego z węzełkiem w dłoni, który szedł prosto w kierunku chińskiego doku. Harry czekał na nią na pokładzie i powitał ją z wyraźną ulgą.

– No jesteś wreszcie! Już się obawiałem, że po przedwczorajszym... Ale zostawmy to. Pomóż nam teraz tu z tymi linami, Smutje będzie cię potrzebował dopiero wtedy, kiedy będziemy na morzu. Wczoraj wykonałem twoją pracę i załadowałem prowiant dla ciebie. W końcu wiem, że nie mogłaś tu być wczoraj. Będziesz...

– Będę potem miła dla ciebie – powiedziała Gloria z nieruchomą twarzą. – Co mam robić?

Maszyny statku już pracowały, palace od kilku godzin sypali węgiel do pieców, w kotłach grzała się woda, a powstająca para napędzała turbiny. Ten statek był znacznie mniejszy niż którykolwiek z parowców pasażerskich, którymi dotychczas dane było podróżować Glorii. Pokład statku wibrował – był to efekt pracy turbin. Gloria nie wiedziała jeszcze, że po dłuższym czasie będzie jej się wydawać, że tłoki maszyny pracują gdzieś w niej samej, jak gdyby była częścią „Mary Lou” i ciągłego hałasu. Ale tego ranka jednostajny stukot maszyn budzącego się statku sprawił, że opanowało ją uczucie radości. Miała wrażenie, że jakaś ogromna istota przypominająca wieloryba rozgrzewa się przed długą podróżą. Kiedy wzeszło słońce, załadowany statek ruszył ocieżale. Gloria spojrzała po raz ostatni na San Francisco i odetchnęła. Bez względu na to, co ją czekało, tu nie wróci! Od tej chwili będzie widziała przed sobą tylko morze – przez które prowadziła droga do domu.

Choć co prawda Gloria nie miała zbyt wiele okazji, aby patrzeć na morskie fale, tak jak w czasie wcześniejszych podróży. Jeśli w ogóle nadarzała się taka możliwość, to tylko nocą, ale za dnia nie miała nawet czasu, aby odetchnąć. Praca w kambuzie była ciężka; Smutje kazał jej nosić wodę oraz godzinami mieszać w olbrzymim kotle codzienną zupę z peklowanego mięsa i kapusty. Gloria szorowała kuchenny piec, zmywała naczynia i usługiwała załodze przy stole w czasie posiłków. Czasami zanosila też nieco lepsze jedzenie dla kapitana i jego załogi do mesy oficerskiej, dygocząc ze strachu, że ktoś ją rozpozna. Ale oficerowie odnosili się bardzo przyjaźnie do nieśmiałego chłopca okrętowego. Kapitan zapamiętał jego imię, a ochmistrz zadał mu kilka uprzejmych pytań na temat pochodzenia i rodziny. Na szczęście nie pytał dalej, kiedy Gloria milczała. Kiedyś pierwszy oficer pochwalił ją za elegancko nakryty stół w mesie, Gloria się zaczerwieniła, a wszyscy mężczyźni roześmiali się na ten widok. Właściwie nie wyglądali na takich, którzy mogliby od razu wyrzucić za burtę pasażera na gapę, ale Gloria wolała być ostrożna i wierzyła Harry'emu. Próbowwała wierzyć mu we wszystko, a zwłaszcza w kilka pełnych tkliwości słów, które raz do niej wyszeptał. Rozpaczliwie potrzebowała czegoś, czego mogłaby się trzymać, aby nie zwariować.

Bo dopiero po podaniu ostatniego posiłku pod koniec dnia i po zmyciu naczyń zaczynała się właściwa praca Glorii.

Gloria zdawała sobie sprawę, że była winna Harry'emu zapłatę i że Smutje także chciał otrzymać wynagrodzenie za swoje milczenie. Nie pojmowała jednak, dlaczego miała „służyć” wszystkim pozostałym członkom załogi, i to w niejasnej dla niej kolejności. Tym bardziej że sześciu mężczyzn, z którymi ona wraz z Harrym dzieliła kajutę, nie zauważyło, że chłopak okrętowy Jack naprawdę był dziewczyną. Do spania nikt się nie rozbierał; także Gloria wślizgiwała się pod koc w swych obszernych męskich ubraniach. Ale Harry upierał się przy tym, aby była co wieczór do dyspozycji.

Szczególnie nienawidziła odwiedzin Smutje'a. Za każdym razem wstrzymywała oddech, kiedy śmierdzące, niemyte ciało tłustego kucharza dosłownie się na nią zwałowało. Smutje potrzebował o wiele więcej czasu niż Harry, aby skończyć swój akt, a od czasu do czasu zmuszał ją, aby brała do ręki jego członek i ugniatała go, bo ten najwyraźniej nie mógł zeszytnieć sam z siebie.

Potem Gloria używała połowę swojej cennej porcji wody pitnej, aby wyszorować sobie ręce. Wody do mycia nie było w ogóle, tego po prostu nie przewidywano. Gloria próbowała każdego ranka przynajmniej wytrzeć ciało mokrą ściereką; nienawidziła woni wszystkich mężczyzn i tego charakterystycznego zapachu... miłości? Mimo najlepszej woli nie rozumiała zupełnie, dlaczego tym mężczyznom zależało tak bardzo, aby posiadać jej brudne, niemyte ciało, ale ani Harry'emu, ani innym nie wydawało się to sprawiać jakiegóż różnicy. Niektórzy nawet szepotali, że miło pachnie, a innym znowu sprawiało przyjemność, kiedy oblizywali jej brzuch, piersi albo inne części ciała, których nazwy Gloria nawet nie ważyła się wymówić. Harry ograniczał się do tego, kiedy Gloria zgodnie ze swoim cyklem miała te dni, w czasie których mogło dojść do zapłodnienia. Inni mężczyźni zakładali wówczas na penis rodzaj gumowej osłony, a jeszcze inni upierali się, że odpowiednio wcześniej się cofną. Ale Jenny ostrzegła ją przed tą metodą, i to bardzo stanowczo, dlatego Gloria stosowała wówczas ocet. I tak właściwie myła się nim niemal codziennie, bo było go w kuchni pod dostatkiem.

A poza tym starała się po prostu jak najmniej myśleć. W gruncie rzeczy nie czuła nienawiści do tych mężczyzn, którzy odwiedzali ją co noc, po prostu byli jej obojętni. Z początku wszystko ją bolało, ale Harry wziął to pod uwagę. Dopiero dwa dni po jej przybyciu na pokład pozwolił zbliżyć się do niej innym członkom załogi. Gloria w tym czasie doszła do siebie i wkrótce sypianie z mężczyznami też nie bolało, jeśli posmarowała się przedtem olejem. Gdyby nie smród, wydzielinę z ich ciał i jej wstyd, to właściwie mogłaby się przy tym „zajęciu” nudzić. Przede wszystkim liczyła dni i godziny. Podróż do Kantonu miała trwać dwa tygodnie. Była skłonna tyle wytrzymać.

Gdyby tylko nie ta ciągła niepewność, co będzie potem! Wiedziała, że będzie musiała szukać statku płynącego do Australii, ale one nie kursowały tak regularnie, jak między San Francisco i Chinami. Należało mieć szczęście i trafić na jakiś, który będzie stał na kotwicy w Chinach.

– Jak nie będzie żadnego, to wsadzimy cię na jakąś łajbę płynącą do Indonezji – stwierdził Harry bagatelizująco. – Będziesz tylko musiała jeszcze raz się przesiąść...

Gdyby to było takie proste jak w pociągu! Tak naprawdę Glorię przerażały Chiny, i choć z jednej strony nie mogła się doczekać chińskiego portu, to z drugiej czuła ogromny niepokój, kiedy wreszcie w polu widzenia pojawił się ląd.

– Siedź po prostu spokojnie! – przykazał jej Harry, kiedy statek rzucił kotwicę przy nabrzeżu i rozładowywano towary. Zanim rozładunek nie został zakończony, załoga nie miała prawa opuszczać pokładu, a potem i tak kilku ludzi musiało zostać na statku. Gloria była w stanie sobie wyobrazić, jak się będą pocieszać w czasie nudnych godzin wachty.

– Rozejrz się za czymś dla ciebie, masz słowo honoru! Znajdziemy coś...

Tej nocy Gloria mogła przynajmniej wyjść na pokład. Zacerpnęła morskiej wody i dokładnie się umyła, kiedy już skończyła obsługiwać tych, którzy zostali. Miała nadzieję, że z tym przynajmniej będzie koniec. Na nowym statku nikt się nie dowie, że jest dziewczyną.

Harry i Smutje byli w świetnych humorach, kiedy późno w nocy wrócili na statek. Większości załogi oczywiście nie było – wszyscy spędzali czas u skośnookich dziewcząt w dzielnicy czerwonych latarni. Ci dwaj jednak zamierzali to zrobić z Gloria.

– Ostatni... tni raz! – bełkotał Smutje. – Jutro towar będzie rozładowany... Towar... jest dobrze sprzedany – roześmiał się.

– Jaki towar? – spytała Gloria. Wszystkie ładunki, które transportowała „Mary Lou”, były już przecież na lądzie.

– Ty... moja słodziutka! A co myślisz? Twój chłop cię dobrze sprzedał, mała... A ja też się obłowiłem...

– Sprzedał? Mnie? – Zaskoczona Gloria zwróciła się do Harry'ego. Miała wrażenie, że wynurzenia kucharza zupełnie nie były mu na rękę.

– On ma na myśli to, że znaleźliśmy dla ciebie miejsce na statku – oświadczył niechętnie Harry. – Masz szczęście, ten parowiec płynie wprost do Australii. To statek z emigrantami, pod flagą angielską, ale pełen Chińczyków. Steward, który ma nadzór nad międzypokładziem,

będzie cię krył...

– On potrzebuje chłopca okrętowego? – spytała Gloria przestraszona. – Zatrudnię mnie?

Smutje przewrócił wymownie oczami, a Harry spojrział na niego ostrzegawczo, nakazując mu milczenie.

– Słodziutka, tam nie potrzebujesz zatrudnienia. Jak mówiłem, na międzypokładziu są tłumy ludzi. Jedna gęba do jedzenia w tę czy w tamtą – nikt tego nawet nie zauważy...

– A klientów też będzie mnóstwo... – zachichotał Smutje.

Gloria spojrzała z obawą na Harry'ego.

– Będę musiała być miła dla stewarda, prawda? – spytała.

Harry przytaknął.

– Ale poza tym... Na międzypokładziu jest wiele kobiet, prawda? Emigranci wyjeżdżają przeważnie całymi rodzinami, zgadza się? – O tym Gloria przynajmniej słyszała. Babcia Gwyn i Elizabeth Greenwood opowiadały o irlandzkich rodzinach z tuzinami dzieci.

Smutje się roześmiał, ale Harry zmarszczył czoło.

– Właśnie tak, słodziutka, tam są całe masy Chińczyków każdego rodzaju. A teraz bądź dla mnie szczególnie miła. Jutro pójdziemy do miasta i poznasz stewarda.

Gloria skinęła głową. Prawdopodobnie będzie chciał ją „przetestować”, podobnie jak to zrobił Harry w San Francisco. W myślach szykowała się już na spelunkę podobną do tej, którą dysponowała Jenny.

Kanton był właściwie ogromną mieszaniną krętych i wąskich uliczek, które najwyraźniej stanowiły jednocześnie miejsce niekończącego się targu. Wokół stoisk kłębiły się tłumy krzyżących ludzi w osobliwych, przeważnie szaroniebieskich ubraniach, szerokich, płaskich kapeluszach i z długimi warkoczami, bez względu na płeć. Kobiety dreptały w zabawny sposób; wszystkie wydawały się mieć zdumiewająco małe stopy, trzymały też głowy nisko opuszczone i przeważnie dźwigały na ramionach ogromne ciężary. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni byli bardzo drobnej budowy; najwyżsi mężczyźni byli zaledwie wzrostu Glorii, a wszyscy wydawali się mówić niemal bez przerwy. Harry prowadził Glorię wśród straganów pełnych dziwnych przypraw, marynowanych warzyw i korzeni, a także żywych i martwych zwierząt. Gloria drgnęła przerażona, kiedy dostrzegła i usłyszała rozpaczliwie skomlące psy, które najwyraźniej przeżuwały swój smutny los i wkrótce miały skończyć na stole jako pieczeń.

– Ale kucharz na statku jest Anglikiem, prawda? – spytała niespokojnie.

Harry się roześmiał.

– Zakładam, że tak. Nie ma strachu, na pewno nie będą cię karmili psami. Chodź, zaraz będziemy na miejscu.

Steward statku „Niobe” czekał na nich w czymś w rodzaju herbaciarni. Nie było tu mebli, lecz wszyscy klęczeli przy niskich stolikach. Mężczyzna wstał, aby przywitać Glorię, ale raczej nie sprawiał wrażenia, jakby zakładał, że stoi przed nim istota inteligentna i odpowiedzialna za swój los. I zwrócił się tylko do Harry'ego, jak gdyby Gloria była niema i głucha. Nie przebiegał też w słowach.

– No, piękność to to nie jest – powiedział, obejrawszy dokładnie Glorię.

Harry przewrócił oczami.

– He, a co ty byś chciał? Żeby to była angielska róża? To typ Polinezyjki. Bez łąchów wygląda dużo lepiej. Masz jakiś wybór czy co?

Steward wymamrotał coś niewyraźnie. Sam też nie należał do urodziwych. Był wprawdzie wysoki, ale bardzo ociężały i niezgrabny. Gloria w ogóle nie mogła sobie wyobrazić, że on będzie na niej leżeć. Zmusiła się do tego, aby pomyśleć o Australii. Zdążyła już nauczyć się myśleć o niej tak jak Harry, że to już prawie jak w domu...

– A nie jest za bardzo zużyta? Jest dość czysta? Oni na to patrzą. Można gadać, co się chce, ale Japońce kąpią się częściej niż my.

Gloria spojrzała na Harry'ego, wyraźnie szukając pomocy.

– Gloria jest bardzo czysta – oświadczył. – I nie jest zbyt długo w tym rzemiośle, to dzielna dziewczyna, która z jakichś tam powodów chce się dostać na drugi koniec świata. Albo ją bierzesz, albo nie. Mogę ją dać temu Rosjaninowi, który płynie do Indonezji...

– Pięćdziesiąt dolarów! – oświadczył steward.

Harry przewrócił oczami.

– Musimy jeszcze raz się kłócić? I to na oczach dziewczyny? Już się wczoraj dogadaliśmy!

– A co, ona nie może się dowiedzieć, ile jest warta? – Steward znów próbował otaksować figurę Glorii pod odzieżą. Miał jasnoniebieskie, małe oczy o prawie pozbawionych koloru rzęsach i jaskraworude włosy. – Wtedy nie będzie mi podskakiwać. To jak, ustaliliśmy? Sześćdziesiąt?

– Siedemdziesiąt pięć! I ani centa mniej! – Harry spojrział ostro na stewarda i rzucił Glorii przeproszające spojrzenie. – Dam ci dziesięć dolarów – wyszeptał do niej.

Gloria nawet nie była w stanie przytaknąć.

Mężczyzna niechętnie wyciągnął portfel. Powoli odliczył siedemdziesiąt pięć dolarów.

Gloria próbowała spojrzeć Harry'emu w twarz.

– To... możliwe? Ty mnie sprzedajesz? – Ciągle nie była w stanie uwierzyć.

Harry unikał jej pełnego wyrzutu wzroku.

– Widzisz, słodziutka, to nie jest tak, że...

– Co jest, do cholery? – Nowy właściciel Glorii spojrział na nich rozłoszczony. – Jasne, że cię sprzedaje, w końcu to dla ciebie nie nowina. A jak ten typ mnie nie oszukał, to sprzedawałaś się dla niego czternaście dni. A teraz będziesz to robić dla mnie, proste, nie? To nie odgrywaj teraz niewinnej panienki, tylko jazda ze mną. Musimy kupić dla ciebie parę szmat, moim klientom nie zależy na męskiej odzieży...

Gloria, nadal nie dowierzając, pozwoliła, aby Harry objął ją na pożegnanie. A przy tym nieznacznie wsunął jej do kieszeni dziesięć dolarowy banknot.

– Bez urazy, słodziutka! – powiedział i mrugnął do niej. – Pracuj pilnie, żeby cię dobrze traktowali. A za kilka tygodni będziesz mogła liczyć owieczki w krainie kiwi...

Harry się odwrócił. Glorii się wydawało, że słyszy jego gwizdanie, kiedy wychodził z herbaciarni.

– Tylko nie bec za nim – odezwał się steward. – Zrobił na tobie kupę kasy. A teraz jazda, mamy mało czasu. Dziś w nocy ruszamy do Down Under!

W ciągu następnych tygodni Gloria przeżyła istne piekło. Pracy na „Niobe” nie dało się w żaden sposób porównać z tym, co robiła na „Mary Lou”. Koledzy Harry’ego byli wprawdzie brudni i często grubiańscy, ale ogólnie rzecz biorąc, Gloria była traktowana w miarę przyjaźnie, a pod pewnym względem wśród załogi panowała swego rodzaju solidarność. Marynarze kryli „swoją dziewczynę” przed oficerami i żartowali, kiedy za dnia do stołu usługuwał im „Jack”. Nikt nie próbował umyślnie w jakikolwiek sposób jej skrzywdzić.

Na „Niobe” było zupełnie inaczej, choć z początku wszystko wyglądało całkiem obiecująco. Zapadał zmrok, kiedy steward prowadził Głorię do „australijskiego doku”, jak to nazywał – chińska nazwa miasta i portu była niemożliwa do wymówienia. Gloria zadawała sobie w duchu pytanie, jak steward zamierza przeschmuglować na statek obcego chłopaka czy też białą dziewczynę, ale to akurat okazało się proste. Rzeczywiście na nabrzeżu koło statku i na pokładzie zobaczyła nieprzebrane tłumy chętnych do wyjazdu Chińczyków. Wydawało się, że prawie nikt z nich nie zabiera z sobą żadnego bagażu; większość niosła cały swój majątek w niewielkich węzełkach. Spółka żeglugaowa chyba nieźle spekulowała, sprzedając o wiele więcej biletów niż na innych statkach. Ponieważ drobni skośnoocy ludzie nie mieli z sobą walizek ani skrzyń z bagażem, dzielili w dziesięć osób niewielkie, sześciuosobowe kajuty. I ku zaskoczeniu Głorii, a później także jej przerażeniu, byli to przeważnie mężczyźni. Tylko za kilkoma z nich dreptały delikatne, drobne kobiety.

– Dlaczego...?

Gloria nie potrafiła przezwyciężyć nieśmiałości i dokończyć pytania, ale steward mimo to odpowiedział.

– To zabronione – wyjaśnił krótko. – A przynajmniej w Stanach, tam tylko kupcy mogą zabierać swoje żony. Australijczycy i tak już nie nadają obywatelstwa Azjatom, więc każda lady byłaby tylko zbędnym balastem. Oni wolą zostawiać rodziny tutaj i przysyłać pieniądze, bo tak jest taniej. Jeden dolar w Down Under to niewiele, ale tutaj to cały majątek...

Mówiąc to, steward prowadził Głorię na pokład – nikt nie zwrócił uwagi na chłopca okrętowego bez dokumentów. Tłum żółtokich tubylców rozstępował się posłusznie na widok wysokiego białego człowieka w mundurze, po czym zamykał się zaraz za nim. Gloria miała uczucie, że znalazła się na jakiejś ruchomej wyspie – gdyby nie hałas. Słowa, śmiechy, krzyki i płacze Chińczyków wprost dudniły w uszach. Było to bardziej męczące niż wibrowanie maszyn na „Mary Lou”, bo ten hałas nie miał w sobie żadnego rytmu. Już na samo wspomnienie o tym Gloria wiele tygodni później dostawała bólu głowy.

– Tu, to jest twoje królestwo! – Steward zniknął tymczasem z Głorią we wnętrzu statku. Szli ciemnymi, wąskimi korytarzami pomiędzy kabinami, w których częściowo złożona była także żywność. Chińczycy najwyraźniej zabierali z sobą przynajmniej coś do jedzenia. Gloria poczuła dreszcz przerażenia, kiedy pomyślała o zawartości paczek.

Steward znów wydawał się czytać jej myśli.

– Tam jest tylko ryż, nie ma psów – uspokoił ją. – Ci biedacy nie mogą sobie w ogóle pozwolić na mięso. Ale ryż to dla nich świętość i chyba słyszeli, że tutaj jedzenie jest... no, zorientowane bardziej na zachodnie żołądki, jeśli to podłe żarcie w ogóle można nazwać jedzeniem...

Mówiąc to, wepchnął Głorię do jakiejś kajuty. Było tu sześć wąskich koi umieszczonych jedna nad drugą, trzy pod każdą ścianą. Jak na razie żadna nie była zajęta. Steward wskazał na kilka złożonych koców.

– Najlepiej zrób sobie posłanie na samej podłodze, żeby chłopcy nie walili się w głowy, kiedy będziesz ich obsługiwać...

Gloria spojrzała niepewnie na swojego nowego pana.

– Mam tu mieszkać sama? Nikt inny już nie przyjdzie?

Nie śmiała się łudzić nadzieją, że będzie tu sama, zakładała jedynie, że „po pracy” będzie musiała dzielić łóżko ze stewardem.

– A kto miałby jeszcze przyjść? – spytał mężczyzna, a potem uśmiechnął się szeroko. – Ale nie martw się, nie pozwolimy, abyś była tu samotna. Słuchaj, ja muszę zająć się teraz tym bałaganem na zewnątrz. Oni muszą się szybko nauczyć, że tu panuje dyscyplina. A ty masz być na razie niewidzialna, bo może się zdarzyć, że przyplącze się tu ktoś z załogi. Kiedy statek ruszy i wszyscy dostaną pierwszego kaca, to zobaczymy się znowu. Zrób się piękna dla mnie...

Na pożegnanie cmoknął Głorię w policzek i zniknął w korytarzu. Gloria z trudem mogła pojąć szczęście, które ją spotkało. Własna kabina! Żadnych śmierdzących męskich ciał nocą, żadnego chrapania... Może będzie mogła chociaż trochę się rozebrać i umyć.

Rozpostarła koce na podłodze, przykryła się i zasnęła z ulgą. Pomyślała, że kiedy się obudzi, będzie już w drodze do Australii, prawie w domu...

Ale kiedy się obudziła, zaczęło się piekło.

Stewardowi wcale nie sprawiało przyjemności posiąść kobietę w normalny sposób. Już pierwszej nocy na pokładzie Gloria przekonała się na własnej skórze, co Jenny miała na myśli, mówiąc „inne odmiany miłości”.

– Żadna z nas nie lubi tego robić – mówiła w swoim czasie Jenny. – Ale też żadna nie może powiedzieć „nie”. Upieraj się tylko przy dodatkowej zapłacie, nawet kiedy mówią, że Zuzia z pokoju obok robi to za darmo. Musimy trzymać się razem – w normalnej cenie żadna z nas tego nie oferuje...

Głorię nikt o nic nie pytał. Ale w głębi ducha dziękowała Jenny za uświadomienie. Wiedziała przynajmniej, co ją czeka, i zniosła to ze stoickim spokojem. Próbowwała zignorować ból i myśleć o czym innym, kiedy mężczyzna stękał nad nią głośno. I udało jej się przenieść się myślami do owczarni na Kiward Station. Beczenie owiec zagłuszyło mamrotanie Chińczyków na zewnątrz, a przenikliwy zapach lanoliny z owczej wełny przytłumił woń potu stewarda, kiedy Gloria oczami wyobraźni liczyła ostrzyżone owce. Z mieszanymi uczuciami rozmyślała o strzyży. Dawniej nie zastanawiała się nad tym, co czują zwierzęta, kiedy ktoś brutalnie przewraca je na grzbiet i strzygąc szybko, niemal zdiera z nich wełnę. A teraz, przyciśnięta przez tego obcego człowieka do podłogi kabiny, czuła, że te owce były jej bliższe niż postrzygacze.

– Dzielna dziewczynka – pochwalił ją steward. – Ten typ z Kantonu miał rację. Nie umiesz za dużo, ale jesteś chętna. Wyśpij się teraz, dziś w nocy wszyscy zajmują się sobą. Jutro rano idziesz do roboty...

– A co mam robić? – spytała Gloria zdziwiona. Zrozumiała, że nie będzie obsługiwać w kuchni ani też robić czegoś podobnego.

Steward uśmiechnął się obscenicznie.

– To, co umiesz najlepiej, mała! O ósmej kończy się nocna zmiana. Wtedy palacze lubią, jak ich ktoś lula do snu, zanim pójdą do własnych koi. A tutaj pracuje się na trzy zmiany, śłodziutka, będziesz miała co robić na okrągło...

W pierwszych dniach słowa stewarda okazały się nieco przesadne, bo wszyscy członkowie załogi byli „syccy” po wizytach u kantonskich dziwek, a pasażerowie nie byli jeszcze aż tak wygłodzeni, aby tracić szczupły budżet podróży na dziewczyny lekkich obyczajów. Ale już po upływie pierwszego tygodnia Gloria rzadko kiedy miała chwilę spokoju, a po dwóch jej życie zamieniło się w koszmar. Steward, który

nazywał się Richard Seaton – choć Gloria nie była w stanie myśleć o nim jak o człowieku noszącym jakieś imię i nazwisko – sprzedawał ją bez żadnych skrupułów każdemu, kto był skłonny zaofiarować za to choć parę centów. Oczywiście większość mężczyzn nie miała żadnych szczególnych życzeń czy wymagań, ale nikt nie był w stanie przeszkodzić tym, którzy dawali upust swoim sadystycznym skłonnościom i po prostu wyżywali się na dziewczynie. A często kilku mężczyzn dzieliło też między siebie kupiony „bilet”. Gloria próbowała podchodzić do wszystkiego beznamyślnie, nie myśleć i spełniać wszelkie zachcianki klientów, tak jak było to na „Mary Lou”. Ale tam było ich dwóch albo trzech co wieczór. Tu tortury zaczynały się już rankiem, kiedy maszyniści i palacze kończyli swoją zmianę, a kończyły późno wieczorem, kiedy także załoga kuchni kończyła pracę i szukała zapomnienia. Przy piętnastu i więcej klientach dziennie zawodziło już zbawienne działanie oleju, i to nie tylko w miejscach intymnych. Ciało Glorii było poobcierane na szorstkich kocach, w które stale ją wciskano. Materiał ranił nagą skórę, a rany wkrótce zaczęły się jątrzyć, bo nie miała żadnej możliwości umycia się. W dodatku zaimprovizowane legowisko po kilku dniach kleiło się wprost od brudu i męskich wydzielin, a czystych prześcieradeł także nie było. Któryś z mężczyzn przyniósł na domiar wszystkiego robactwo – i wkrótce Gloria daremnie walczyła z pchłami i pluskwami. Z początku próbowała uciec przed tym choć na chwilę, wspinając się na którąś z pozostałych koi, o ile znalazła czas, aby móc się przespać i odpocząć. Ale im dłużej trwała podróż, tym rzadziej miała po temu okazję, aż wreszcie nie miała już nawet siły, aby uciec choć na chwilę z brudnego legowiska na podłodze. Czuła, że jej ciało ogarnia jakaś choroba, ale czepiała się ostatkiem siły i nadziei swego zdrowia duchowego. Z rozpaczą marzyła w swojej ciemnej norze o słońcu na Kiward Station, o stadach owiec i miała przed oczyma rozległe łąki Canterbury Plains... A potem widziała siebie znów na próbie chóru w Oaks Garden, przed fortepianem, kiedy kolejny raz nie potrafiła czegoś zaśpiewać. Coraz częściej wydawało jej się, że także za dnia tkwi w jakimś upiornym koszmarze i zauważyła też, że miała gorączkę. Próbowała za wszelką cenę coś sobie wyobrazić, aby nie stracić poczucia rzeczywistości. Ale coraz ciężiej było jej zebrać myśli i myśleć o czymś przyjemnym. Nie chciała już nic odczuwać. Uczucie oznaczało ból, obrzydzenie i nienawiść do siebie samej – przy czym nienawiść bolała najmniej.

I w końcu skupiała się tylko na nienawiści, która w pierwszym rzędzie skierowana była na osobę stewarda. W czasie niekończących się godzin, kiedy jeden „klient” po drugim rzucał się na nią na brudnym legowisku, wyobrażała sobie, że zabija stewarda. Ciągłe i znowu, po raz kolejny. Im bardziej okrutnie, tym lepiej. W końcu przenosiła tę nienawiść na wszystkich odwiedzających ją mężczyzn. Oczami wyobraźni widziała tonący statek i topiących się ludzi. A jeszcze lepszy był pożar, który pochłaniał te śmierdzące ciała. Gloria niemal słyszała ich krzyki... Kiedy jakiś mężczyzna stękał, leżąc na niej, wyobrażała sobie, że on stęka z bólu, a nie z rozkoszy. W duchu życzyła wszystkim tym typom, aby trafili do piekła. I tylko to dawało jej siłę, aby znosić niezliczone upokorzenia i ból.

W ciasnocie i ciemności swojej kabiny stopniowo traciła poczucie czasu. Miała wrażenie, że jest na tym statku już całe wieki i do końca swoich dni będzie dosłownie tkwić po uszy w zapiekłej nienawiści do wszystkich, nie wyłączając siebie. Ale któregoś dnia jeden z mężczyzn, który traktował ją nieco bardziej po ludzku w porównaniu z jego kompanami, uśmiechnął się do niej szeroko i powiedział:

– No, dziś ostatni raz! Jutro będziemy w porcie Darwin!

Był to młody palacz z Australii i w oczach Glorii różnił się od innych marynarzy także tym, że przed wizytą u niej próbował się chociaż trochę umyć.

– W... Australii? – spytała Gloria. Leżała jeszcze pod nim, cały czas mając wrażenie, że tkwi w koszmarze pełnym nienawiści, ale teraz jego głos poruszył w niej jakąś już dawno zapomnianą strunę. Niemal nie dowierzając sobie samej, poczuła cień nadziei.

– O ile za bardzo nie zboczyliśmy z drogi – mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Musisz dobrze uważać, jak się wydostać na pokład. Ci od imigracji są bardzo surowi i każdy jest rejestrowany.

– Ale... steward obiecał, że mnie przesznuje – powiedziała Gloria, ciągle jeszcze niewiele pojmując.

Palacz się roześmiał.

– No, na to bym za bardzo nie liczył. Dziewczyno, on przecież nie ma żadnego interesu w tym, żeby cię wypuścić! Już to, jak cię traktuje... jak jakieś bydło! My z załogi już zastanawialiśmy się nad tym, żeby szepnąć komuś słówko w bosmanacie portu. Lepiej, żeby cię stąd zabrali, niż żebyś miała tu zdechnąć!

– Myślisz... że... – Gloria usiadła z trudem na swoim pościeli.

– Myślę, że kiedy dotrzemy do portu, to w twoich drzwiach przekręci się klucz – oświadczył palacz i wskazał na wejście do kabiny. – I nie po to, aby je otworzyć, jeśli wiesz, co mam na myśli! Nie będziemy tu stali zbyt długo, najwyżej kilka dni, a potem wracamy do Kantonu. Ten gnój nawet nie będzie musiał tutaj siedzieć, żeby cię pilnować. Jak ci wstawi do środka wiadro wody i trochę jedzenia, to przeżyjesz. I natychmiast zaczniesz zarabiać na tobie w drodze powrotnej...

– Ale ja... przecież uzgodniliśmy... – Gloria czuła, że świat wokół niej zaczyna wirować.

Młody palacz przewrócił wymownie oczami.

– Chyba nie będziesz twierdzić, że w ogóle mogło być jakieś „uzgodnienie”? Także to, w jakich warunkach tu żyjesz? Seaton cię kupił i będzie chciał wycisnąć z ciebie jak najwięcej forszy. Najwyżej będzie musiał po cichu wyrzucić za burtę martwą dziwkę. Ale jeśli złapią cię w Darwinie i opowiesz, jak się tu dostałaś... No, jak mówiłem: spróbuj jak najszybciej stąd zwiać. Nawet za cenę tego, że wpadniesz prosto w ramiona kapitana portu...

Oszołomiona Gloria nawet nie była w stanie podziękować mężczyźnie za ostrzeżenie. Rozmyślała gorączkowo, kiedy wyszedł i zrobił miejsce dwóm chińskim emigrantom, którzy na szczęście nie mieli żadnych specjalnych życzeń i nie mówili ani słowa po angielsku. Próbowała ułożyć jakiś plan, kiedy obaj po kolei dawali upust swojej żądzy. Palacz miał rację: było nieprawdopodobne, że steward ją wypuści. Ale nie mogła znieść myśli, że ma się dać złapać portowym władzom i pozwolić odesłać do rodziców – ze wstydem i hańbą. Co prawda było możliwe, że odesłają ją do krewnych w Nowej Zelandii – tam było bliżej i byłoby to chyba łatwiejsze do zorganizowania dla Australijczyków. Ale – wcale nie musiało tak być. A nawet gdyby miała szczęście: babcia Gwyn dowiedziałaby się wówczas, co ona robiła na statku. Do tego nie wolno było dopuścić. Nikt nie może się o tym dowiedzieć! To już chyba lepiej byłoby umrzeć.

W kajutach zapanowało poruszenie – wszyscy wiedzieli, że niebawem opuszczą statek. Gloria zganiała w myślach samą siebie, że tego nie zauważyła. Byłaby czekała na zatrzaśnięcie się pułapki. Ale tego wieczoru, co rozumiała, prawie nie było „klientów”. Marynarze mieli sporo pracy w czasie manewrów związanych z wejściem do portu i żadnego powodu, aby korzystać z jej usług. Po co odwiedzać brudną statkową dziwkę, kiedy czekała na nich dzielnica czerwonych świateł w Darwinie? Jeśli Gloria będzie miała pecha, to steward zamknie swój prywatny burdel jeszcze przed północą.

Musiała uciekać natychmiast!

Kiedy obaj Azjaci wyszli, zmusiła się do wstania z barłogu i spakowania swoich kilku rzeczy w węzełek. Zdjęła z siebie zawieszoną, podartą sukienkę i włożyła ubranie chłopca okrętowego Jacka. Spodnie i koszula wydały jej się ciężkie i miała nadzieję, że będzie w stanie w tym płynąć. Ale nie było innej możliwości: albo dotrze w ten sposób do lądu, albo utonie.

Przekradała się przez korytarze, w których emigranci gorączkowo porządkowali swoje rzeczy. Znów przepuszczano ją bez komentarzy. Miała tylko nadzieję, że żaden z mężczyzn nie wpadnie na to, aby zawiadomić stewarda! Ale szybko się uspokoiła: drobni skośnoocy emigranci nawet nie ważyli się spojrzeć w twarz domniemanego chłopca okrętowego. Było całkiem możliwe, że nawet nie rozpoznali Glorii, a o ile ona sama zdołała to ocenić, nie było wśród nich jej niedawnych klientów. Azjaci, których wysłał do niej steward, byli prawdopodobnie z drugiej klasy. Pasażerowie z międzypokładzia, ci najbiedniejsi z biednych, nie mogli sobie w ogóle pozwolić na wizytę u niej.

Na pokładzie uderzyło ją w twarz zimne, świeże powietrze – o tej porze roku w tej części świata panowała zima. Z drugiej strony – Gloria znajdowała się przecież na północy Australii, w klimacie tropikalnym. Tu nie mogło być tak zimno! Odetchnęła głęboko. Jakoż powoli

przyzwyczajają się do temperatury powietrza, która jak oceniała, wynosiła około dwudziestu stopni. Po duchocie panującej głęboko pod pokładem ta temperatura wydała jej się idealna do pływania...

Opanowała się szybko. Szła powoli przez pokład, kryjąc się w cieniu nadbudówek i łodzi ratunkowych. Pomyślała, że taka łódź to mogłaby być jakaś możliwość... Ale szybko zdała sobie sprawę, że nie będzie w stanie opuścić łodzi na wodę, nie mówiąc już o hałasie związanym z takim manewrem. Zerknęła w dół przez reling. Morze rozciągało się daleko w dół, ale było zupełnie spokojne. Parowiec wydawał się stać zupełnie bez ruchu. Może czekano na pilota, który miał wprowadzić „Niobe” do portu? W takim wypadku przynajmniej nie było niebezpieczeństwa rozszarpania przez śrubę okrętową. Ale pilot mógł dostrzec także ją, kiedy będzie płynęła. W każdym razie – najpierw musiała skoczyć. Gloria poczuła dreszcz przerażenia, kiedy raz jeszcze spojrzała w dół. Nie pływała od lat. I nigdy też nie skakała do wody.

Ale wówczas usłyszała za sobą głosy. Ktoś wszedł na pokład i był to raczej ktoś z członków załogi, nikt z pasażerów, ale to nie było w tej chwili istotne. Ktokolwiek zastałby ją teraz tutaj – jej los byłby przypieczętowany. Bez względu na to, czy przyprowadziłyby ją do Seatona, czy też do kapitana.

Gloria odetchnęła głęboko. Potem rzuciła w dół swój węzełek i skoczyła w ciemną topiel.

Plaże portu Darwin widziane ze statku wydawały się znajdować tuż-tuż, ale Gloria miała wrażenie, że ląd był ciągle bardzo daleko. Płynęła mozolnie i miała uczucie, że jest w wodzie już od wielu godzin. Ale przynajmniej zdążyła się pozbyć mdlącego uczucia strachu, przyzwyczała się też do chłodnej wody. Ubrania wprawdzie przeszkadzały, ale nie uniemożliwiały płynięcia. Pozostałe rzeczy, schowane w węzełku, Gloria przywiązała sobie na plecach – niewygodnie było trzymać je w ręku, utrudniały też ruchy. Przyjemnie było zanurzyć się w wodzie po tak długim czasie spędzonym w brudnej, dusznej kabinie – wydawało jej się, że ocean spłukuje z niej nie tylko brud, ale i hańbę. Od czasu do czasu zanurzała w wodzie twarz, a potem, nabrawszy odwagi, także głowę. Próbowwała wytrzymać pod wodą tak długo, aby utopiły się wszystkie wszy, bo pluskwy z pewnością już nie żyły. Chwilami chciało jej się wręcz śmiać. Powoli płynęła coraz dalej.

Potrzebowała całej nocy i jeszcze pół dnia, nim wreszcie dowlokła się do samotnej plaży poniżej portu Darwin. Znacznie później dowiedziała się, że plaża zwana była „Casuarino” i że w wodzie żyły słonowodne krokodyle. Ale tym razem zwierzęta się nie pokazały, a Gloria była tak zmęczona, że nie zwalczyła przemożnej chęci, aby położyć się na piasku i zasnąć.

Pod koniec była już tak wychłodzona i zmęczona, że z trudem wykonywała ruchy pozwalające utrzymać się na wodzie i powoli płynąć do przodu. Wreszcie z pomocą przyszedł jej wiatr, który pojawił się około południa, i przybój na płytkiej wodzie przy plaży. Piasek był już dobrze rozgrzany słońcem, dzięki czemu jej rzeczy szybko wyschły, kiedy spała.

Gdy się obudziła, był już prawie wieczór. Usiadła nieco oszołomiona. Dopiero teraz na dobre zdała sobie sprawę, że udało jej się uciec stewardowi i policji portowej. Najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś może zmierzać wpływ z Chin do Australii... Znów poczuła, że ogarnia ją histeryczny śmiech. Była u celu... Na drugim końcu świata. Do Nowej Zelandii miała już tylko dwa tysiące sześćset mil. Nie licząc oczywiście odległości między miastem Darwin a Sydney. Gloria nie miała pojęcia, czy między Northern Territory, gdzie się znalazła, a Wyspą Południową Nowej Zelandii kursują jakieś statki, ale z Sydney na pewno można było dopłynąć do Lyttelton. Pomyślała o dziadku Jamesie, którego kiedyś, jako złodzieja bydła, zesłano z Canterbury Plains do Botany Bay. Wiedziała, że James przyłączył się po jakimś czasie do grupy poszukiwaczy złota i wrócił do domu z całkiem niezłym majątkiem. Gloria zastanawiała się, czy w Australii w ogóle jeszcze szukano złota w ten sposób, a jeśli tak, to gdzie. Ale dla niej to i tak nie było żadne rozwiązanie. Była wprawdzie zdecydowana zostać „Jackiem” do chwili powrotu do domu, ale perspektywa znalezienia się, nawet jako chłopiec, w obozie pełnym mężczyzn przerażała ją.

Nagle poczuła ostry głód. Ten problem należało rozwiązać w pierwszej kolejności, nawet jeśli to oznaczało, że coś do jedzenia trzeba będzie ukraść. Ale w tym celu należało się udać do miasta... A jej ubrania były ciągle wilgotne; natychmiast rzuciłaby się w oczy każdemu, gdyby wlokła się po ulicy jak mokry kot.

Gloria zdjęła sweter i rozpostarła go na piasku. Nie odważyła się ściągnąć spodni ani koszuli, mimo że była na plaży zupełnie sama. Ale mogła przynajmniej wywrócić kieszenie, aby szybciej wyschły. Kiedy wsadziła do nich ręce, poczuła w dłoni wilgotny papier...

Patrzyła zdumiona na dziesięciodolarowy banknot, „pożegnalny prezent” Harry’ego. Jej udział w sprzedaży jej samej stewardowi.

Gloria się uśmiechnęła. Była bogata!

Choć nikt się z tym nie liczył, Lilian Lambert okazała się wielką pomocą w kopalni. Po śmierci Jamesa McKenzie najpierw pozostała jakiś czas z matką na farmie Kiward Station, oczekując razem z Gwyneirą na przybycie Jacka i George'a Greenwooda, którzy wieźli zwłoki Charlotte. Spotkanie z ojcem i braćmi musiało poczekać aż do chwili, kiedy zmarli znaleźli spoczynek w ziemi. Tim Lambert był niezbędny w kopalni.

– Ale teraz pomogę tobie! – oświadczyła Lilian rezolutnie, kiedy wreszcie dotarła razem z matką do Greymouth i uroczyście uczciła z całą rodziną swój powrót do domu.

– A co ty chcesz robić w kopalni, wróbelku? – spytał Tim z uśmiechem. Cieszyłby się, co prawda, gdyby cały czas mógł mieć koło siebie swoją śliczną córkę, ale nie przychodziło mu do głowy żadne zadanie, które mógłby jej powierzyć.

Lecz Lilian tylko wzruszyła ramionami.

– Będę robić to, co się zwykle robi w każdym biurze. Wypisywać rachunki, dzwonić do różnych ludzi... – Lily przynajmniej nie okazywała żadnego przerażenia na widok aparatów telefonicznych, które były już w każdym biurze i znacznie ułatwiły komunikację z klientami oraz partnerami firmy.

– Umieję robić to wszystko, co robią twoi sekretarze...

Tim się roześmiał.

– To co zrobimy z moim sekretarzem? – droczył się z córką.

Lilian przewróciła wymownie oczami.

– Może będzie potrzeba ich więcej – powiedziała niepewnie. – A poza tym... – Zachichotała. – Pod ziemią też jest co robić...

Tim Lambert nie zamierzał wprawdzie wysłać żadnego ze swoich urzędników pod ziemię, ale mimo to praca dla Lilian i tak się znalazła. Dziewczyna zajęła się po pierwsze siecią telefoniczną oraz jej obsługą – i potrafiła owinąć sobie wokół palca każdego kontrahenta kopalni. Słowa „nie” ze strony spedytorów czy też dostawców po prostu nie akceptowała, co przyszło jej o tyle łatwo, że w Greymouth wszyscy byli już przyzwyczajeni do tego, że komenderowała nimi kobieta. Ale to, co Florence Biller osiągała uporem i niemal męską nieustępliwością, Lilian załatwiała o wiele szybciej za pomocą wdzięku. Szczególnie młodszy kontrahenci śpieszyli się z dostawami, jak mogli, aby jak najszybciej poznać telefonistkę – dziewczynę o urzekająco miłym głosie. A Lilian się starała, aby nigdy nie byli rozczarowani – wszystkich zabawiała rozmową, kiedy musieli czekać na jej ojca czy też któregoś ze sztygarów. Z łatwością nawiązywała też przyjazne kontakty z górnikami, choć oczywiście musiała najpierw wysłuchać wszystkich przesądnych historii na temat obecności kobiet w kopalni. Pewien starszy górnik zwrócił jej nawet na to uwagę, kiedy któregoś dnia weszła do pomieszczenia, gdzie znajdowały się maszyny parowe obsługujące windy szybowe.

– A co ze świętą Barbarą? – spytała na to rezolutnie Lilian, marszcząc czoło. – Jej obrazek wisi przecież w każdej windzie! A poza tym wcale nie chcę zjeżdżać na dół. Przyszłam tylko po to, aby zawiadomić Mr Gawaina o liczbie chorych... Może go ktoś wezwać?

Lilian można było spotkać niemal w każdym biurze. Stale parzyła sobie palce przy parzeniu kawy, ale znakomicie radziła sobie z księgowością. W przeciwieństwie do starszych przeważnie i konserwatywnych urzędników zachwycała się nowinkami technicznymi, na przykład maszyną do pisania, i w rekordowo krótkim czasie nauczyła się na niej pisać.

– Na tym się pisze o wiele szybciej niż ręcznie! – cieszyła się. – Można na tym pisać nawet opowiadania!

Lilian zawsze miała dobry humor i potrafiła wprawić w dobry nastrój swojego ojca, któremu zima jak zawsze mocno dawała się we znaki. W niskiej temperaturze biodro i nogi nieznośnie go bolały, a nie sposób było uniknąć przeciągów w biurach. W końcu stale ktoś do nich wchodził i z nich wychodził, a pomieszczenia biurowe nie mieściły się wysoko nad ziemią. Tim próbował się jakoś opanować, ale kiedy był naprawdę przepracowany – a w czasie pierwszego roku trwania wojny było tak niemal stale – wyładowywał zły humor na swoim sekretarzu. Poprawiło się to nieco dzięki obecności Lilian. Nie tylko dlatego, że ją kochał, ale także dlatego, że po prostu robiła znacznie mniej błędów niż sekretarz. Dziewczyna była inteligentna i bardzo zainteresowana prowadzeniem firmy. Już w drodze do pracy wypytywała ojca i często miała gotowe wszystkie potrzebne dokumenty, zanim jeszcze ojciec wyjaśnił swoim urzędnikom, o co dokładnie chodzi.

– Powinniśmy byli ją wysłać na studia górnicze – powiedział ze śmiechem któregoś dnia Tim do swojej żony, kiedy Lilian z poważną miną tłumaczyła młodszemu bratu zasadę działania windy szybowej. – Albo na studia ekonomiczne. Zdaje mi się, że potrafiłaby nauczyć nawet Florence Biller, co to znaczy się bać.

Ale w gruncie rzeczy Lilian nie miała żadnych ambicji, jeżeli chodzi o prowadzenie kopalni. Praca dla ojca nie była dla niej niczym więcej niż doskonałą zabawą. Oczywiście chciała wszystko robić najlepiej, jak potrafiła, ale nie rozmyślała dzień w dzień wyłącznie o bilansach, tak jak robiła to w jej wieku Florence Biller. Lilian cały czas marzyła o wielkiej miłości – ale niestety w lepszych kręgach towarzyskich Greymouth było niewiele chłopców w jej wieku. Oczywiście wśród górników pracujących pod ziemią było wielu szesnasto- i siedemnastolatków, ale synowie urzędników zaliczających się do wyższych warstw społecznych studiowali w Anglii albo w Christchurch czy Dunedin.

– I tak jesteś jeszcze za młoda – oświadczyła Elaine, kiedy Lilian skarżyła jej się na to. – Dorośnij najpierw, a wtedy znajdzie się dla ciebie odpowiedni mężczyzna.

Dla Elaine i Tima fakt braku kawalerów był raczej uspokajający. Elaine wyszła po raz pierwszy za mąż o wiele wcześniej i efekt tego związku był wręcz katastrofalny. Dlatego też była teraz zdecydowana, aby oszczędzić Lilian tego rodzaju doświadczeń.

Dla Lambertów pierwszy rok wojny upłynął bez ważniejszych wydarzeń. Lilian westchnęła melancholijnie, kiedy minęła wiosna i nic się dla niej nie zmieniło w tak ważnej kwestii miłości. Pracę w kopalni i wszystko, co z nią związane, wykonywała już niemal mechanicznie. Była jak zawsze pilna i zainteresowana, ale zaczynała ją to wszystko nudzić. W domu przetrząsała regały z książkami rodziców. Na szczęście dzieliła upodobania matki, jeśli chodziło o lekką lekturę. Elaine nie miała nic przeciwko temu, kiedy córka sprowadzała z Anglii najnowsze powieści, wręcz przeciwnie – zarówno matka, jak i córka bardzo się przejmowały losami bohaterów i ich ukochanych.

– Co prawda nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością – zauważyła któregoś dnia Elaine, ale ta uwaga zupełnie nie przeszkodziła Lilian w dalszych marzeniach.

– Ale za to w niedzielę możesz iść potańczyć w rzeczywistości – dobrodusznie zauważył któregoś dnia Tim, kiedy Lilian znów marzyła o balach debutantek i opowiadała o dramatycznych komplikacjach życiowych bohaterów powieści. – Choćby nawet na parafialnym pikniku. Musimy się czasem gdzieś pokazać, Lainie, na przykład na jakiejś imprezie charytatywnej. Może mogłabyś się tam czymś zająć. Organizujemy właśnie większą akcję i z darów chcemy zbudować dom gminny. Billerowie też są na liście darczyńców, z pewnością nie będą skąpić grosza. Ja nie mogę mieć aż tak szerokiego gestu, bo nasi akcjonariusze chcą widzieć zysk. Ale prywatnie możemy się dorzucić...

Elaine skinęła głową.

– Spytałem wielebego, w czym mogłabym pomóc. Ale czy Florence będzie chciała sypnąć groszem?

Tim się roześmiał. Zgodnie z ogólnie przyjętym zwyczajem wszystkie żony właścicieli kopalń angażowały się w życie gminy. Było to

praktyczne: mecenat bez żadnego pośrednictwa uchodził w małych miastach, takich jak Greymouth, za przejaw arogancji. Elaine Lambert i Charlene Gawain, żony szefów kopalń, nie miały żadnych obaw przed kontaktami z ludźmi. Obie mieszkaly wśród górników i wśród nich pracowały – i nikt nie wspominał ani słowem o tym, że tak szanowana Mrs Gawain była kiedyś dziewczyną lekkich obyczajów. Za to Florence Biller nie angażowała się w prace na rzecz kuchni dla najuboższych; całe miasto śmiało się z niej, kiedy w czasie letniego festynu tak niezdarnie nalewała poncz, że zarówno jej suknia, jak i ubrania gości były w opłakanym stanie.

– Billerowie będą tam na pewno. Nawiasem mówiąc, ich najstarszy syn wrócił właśnie z Cambridge. – Tim odczepił swoją szynę i rozsiadł się wygodnie przed kominkiem. Jak każdej wiosny, w Greymouth deszcz padał niemal bez przerwy, a taka pogoda mocno dawała mu się we znaki. Wcale nie czuł się lepiej, mimo że zima już minęła.

– Naprawdę? Przecież on jest jeszcze bardzo młody. Już skończył studia? – zdziwiła się Elaine. Znacznie zgrabniej niż Florence Biller naleła mężowi gorącej herbaty. Lilian rozglądała się za pierniczkami na stole.

– On ma niezłą głowę do nauki, zupełnie jak jego ojciec. – Tim wzruszył obojętnie ramionami.

– Jak jego... Ach, Lily, idź, proszę, do spiżarni. Tu nie ma keksów, ale Mary coś upiekła, są w drugiej puszcze na prawo.

Lilian wykrzywiła twarz w grymasie niezadowolenia. Domyślała się, dlaczego rodzice odesłali ją od stołu.

– Nie uwierzysz, ale ten chłopak jest naprawdę podobny do Caleba – stwierdził Tim. Wiedział, że Lainie lubiła plotki. – Taka sama wąska twarz, drobna budowa ciała...

– A przecież wszyscy sądziliśmy, że to był jej sekretarz, prawda? Ten, z którym tak dobrze jej się ponoć pracowało, a który tak nagle wyleciał z pracy, kiedy już była w ciąży.

Elaine nie mogła uwierzyć w ojcostwo Caleba.

– Mówię ci, jak jest, widziałem go. W sklepie z towarami żelaznymi. Byłem tam, bo Matt stwierdził, że sam powinienem obejrzeć nowe zabezpieczenia, które tam można kupić. Akurat Florence razem z Hankinsem zamierzali go tam oskubać...

Jay Hankins był kowalem.

Elaine się roześmiała.

– Ona sama osobiście kogoś zruła?

– Od czasu do czasu chyba potrzebuje zrobić coś takiego. W każdym razie chłopak stał obok i ze wstydu chciał się zapaść pod ziemię. Także to jest typowe dla Caleba. Chłopak sprawia wrażenie bardzo wysportowanego, a po matce odziedziczył tylko oczy. Ale i tak wygląda na prawdziwego mola książkowego. Hankins mówił, że studiował literaturę czy coś takiego...

– A skąd on o tym wie? – spytała Elaine i wzięła jedno z ciastek, które tymczasem przyniosła Lilian. – Dziękuję, Lily.

– Najwyraźniej Florence już przedtem publicznie zmyła głowę synowi. Ponoć nie umiał odróżnić śruby od gwoźdźca czy coś takiego. Teraz próbuje go wdrożyć do pracy w kopalni.

– Ale bez względu na to, co studiował, nie mógł już tych studiów skończyć – liczyła Elaine. – On jest w wieku Lily, może nawet trochę młodszy...

– Prawdopodobnie odesłali go do domu z powodu wojny. Jego brat w ogóle nie jedzie w związku z tym do Anglii – wysyłają go do Dunedin, jak słyszałem. Europa jest zbyt niebezpieczna.

– Ta okropna wojna... – westchnęła Elaine. – Też ci się wydaje tak nieprawdopodobna? – Wzięła do ręki filiżankę.

– Właściwie nie, jeśli przeglądam nasze bilanse. Węgiel jest potrzebny do produkcji stali. A stal – do produkcji broni, a ona jest przyczyną śmierci wielu ludzi. Te armaty, broń maszynowa... cóż to za diabelski wynalazek! Biedne chłopaki giną tam jak muchy. Ale dlaczego, tego tak do końca nie rozumiem. – Tim, wyraźnie przygnębiony, zmarszczył czoło. – W każdym razie cieszę się, że jesteśmy od tego tak daleko, nawet jeśli ktoś miałby to uważać za tchórzostwo...

Elaine się roześmiała.

– No, jeśli chodzi o to ostatnie, to możesz sobie darować takie określenie – stwierdziła, wspominając wypadek w kopalni sprzed osiemnastu lat, w czasie którego Tim bynajmniej nie okazał się tchórzem.

– Cieszę się też, że nasi chłopcy są jeszcze za mali, aby robić jakieś bzdury – dodał Tim. Armia werbowała rekrutów także w Australii i Nowej Zelandii. Pierwszy transport żołnierzy ANZAC, Australian and New Zealand Army Corps, miał w najbliższym czasie odplłynąć do Europy.

Elaine skinęła głową i w myślach chyba po raz pierwszy dziękowała niebiosom za kalectwo Tima. Przynajmniej nie potrzebowała się obawiać, że ktoś wyśle jej męża na wojnę – albo że jemu samemu przyjdzie do głowy jakiś głupi pomysł.

W niedzielę przestało wreszcie padać i miasto Greymouth wyglądało jak świeżo umyte. Kopalniane szyby i tym podobne urządzenia nieco zakłócały urodę krajobrazu, ale jednak przyroda była górą. Las olbrzymich paproci ciągnął się niemal do granic miasta, a na brzegach rzeki Grey było wiele sympatycznych zakątków. Kościół znajdował się nieco na uboczu, a ulice, po których pędził samochód Lambertów prowadzony przez Roly'ego, ciągnęły się wzdłuż łąk porośniętych świeżą, zieloną trawą.

– Trochę jak w Anglii – stwierdziła Lilian, przypomniawszy sobie pamiętny dzień zawodów wioślarskich. Ben rzeczywiście miał rację. Słynne zawody Boat Race pomiędzy Cambridge a Oksfordem nie doszły do skutku z powodu wojny. Nawet po odejściu Ruperta z college'u Ben nie miałby szansy na zwycięstwo jako szlakowy swojej łodzi.

Sceneria przed kościołem wyglądała dokładnie tak, jak w czasach wczesnego dzieciństwa Lilian. Mężczyźni ustawiali stoły, kobiety, radośnie plotkując, nosiły wielkie kosze piknikowe i szukały miejsc w cieniu, aby złożyć tam na czas nabożeństwa wszystkie smakołyki. A ponieważ sprzyjała temu pogoda, wielebny rozważał zorganizowanie mszy przed kościołem. Podekscytowane dzieci rozścieliły koce na trawie wokół zaimprovizowanego ołtarza, ich matki zaś i babki ozdabiały stoły potrzebne do charytatywnego bazaru. Oczywiście po otrzymaniu nagrody wszystkie ciasta i wypieki miały być przedmiotem aukcji. Mrs Tanner, która sama siebie uważała za najważniejszą podporę gminy, szeptała ze swoimi przyjaciółkami na temat właścicielki pubu i zarazem burdelmamy, madame Clarisse, która jednak nie dawała się wyprowadzić z równowagi. I tak jak każdej niedzieli przyprowadziła stadko swoich dziewcząt lekkich obyczajów na nabożeństwo, najwyraźniej zamierzając wziąć udział także w pikniku.

Elaine i jej pomoc kuchenna Mary Flaherty wyładowywały swoje kosze, podczas kiedy Tim i Roly dyskutowali z innymi właścicielami samochodów o swoich pojazdach.

– Pomóż mi lepiej z tym koszem! – Mary gwizdnęła na swojego przyjaciela, który przechwalał się właśnie, że cadillac Lambertów mógł się poszczycić największą liczbą koni mechanicznych. Roly westchnął w odpowiedzi i posłusznie pośpieszył na pomoc.

Elaine z wymuszonym uśmiechem powitała swoją teściową Nellie Lambert i powściągnęła swoje potomstwo, nakazując wszystkim dzieciom, by się ukloniły i były grzeczne. Ale wkrótce potem chłopcy momentalnie zniknęli w tłumie, aby zająć się wraz ze swoimi przyjaciółmi grą w berka. Żadnemu z dzieci nie zbywało przy tym na hałaśliwości. Lilian przyłączyła się do grupki kilku dziewcząt, które ozdabiały ołtarz kwiatami.

A chwilę przed nabożeństwem przed kościół zajechał samochód Billerów – jeszcze większy i bardziej nowoczesny niż ulubiona zabawka Tima i Roly'ego. Mężczyźni patrzyli pożądliwie na elegancki pojazd, lecz Elaine i jej przyjaciółka Charlene zwróciły większą uwagę na pasażerów. Także Matt Gawain wspominał już wcześniej swojej żonie coś na temat wyraźnego podobieństwa Caleba i najstarszego syna Florence Biller – i dlatego obie wręcz wstrzymały oddech, kiedy Caleb wraz z synem wysiedli z samochodu. Już sam trochę mroczny wyraz twarzy chłopaka przypominał twarz młodego Caleba. Elaine dobrze pamiętała swoje pierwsze spotkanie z nim w czasie wyścigów konnych. Ojciec Caleba zmusił go wówczas do udziału w zawodach, choć trudno było nie dostrzec przerażenia i niechęci na twarzy syna.

Także młody Biller nie sprawiał wrażenia, że przyjechał tu całkiem dobrowolnie. Raczej wszystko wskazywało na to, że dopiero co pokłócił się z matką. Ona sama rzucała na niego spojrzenia pełne wyraźnej niechęci, a syn w odpowiedzi zachowywał się w sposób dość typowy dla Billerów: opuścił z rezygnacją ramiona. Benjamin był o wiele bardziej wysportowany i muskularny, ale podobnie jak Caleb wysoki i szczupły. Nie miał praktycznie nic wspólnego z dwójką młodszych braci – znacznie mniejszych, silnie zbudowanych chłopców, którzy bardziej przypominali matkę i – jak to eufemistycznie określała Nellie Lambert – „inną gałąź rodziny Weberów”.

Florence skupiła wokół siebie całą swoją rodzinę. Była to kobieta raczej niska i krępa; jako dziewczyna miała sporą skłonność do krągłej figury, ale z czasem to się zmieniło. Ciężka, pełna stresów praca nie pozwalała jej zbyt często się objadać, inna sprawa, że nie stała się też przez to piękną. Podobnie jak dawniej, jej twarz sprawiała wrażenie nieco nalanej i była dość mocno obsypana piegami, mimo że spędzała czas przeważnie w biurze. Gęste brązowe włosy miała związane w ciasny kok, a małe usta ściągnięte. Florence zmusiła się do uśmiechu, popychając swoich trzech chłopców w kierunku wielebnego. Dwaj młodszy wykonali natychmiast przed duchownym głęboki ukłon, absolutnie zgodny z podręcznikowymi zasadami, najstarszy zaś tylko z rezerwą skinął głową. A potem zobaczył dziewczętą, które ozdabiały ołtarz kwiatami. Jego oczy błysnęły z zainteresowaniem.

Ta mała rudowłosa...

Lilian przymocowała właśnie ostatnią girlandę i spojrzała na cały ołtarz, marszcząc czoło. Tak, stwierdziła, tak wyglądało to już całkiem dobrze. Odwróciła się w stronę wielebnego w oczekiwaniu aprobaty i spojrzała prosto w jasnozielone, wpatrzone w siebie oczy. Szczupła, pociągła twarz, jasne włosy, muskularne ciało wioślارza.

– Ben – powiedziała niemal bezgłośnie.

Także na twarzy chłopca można było dostrzec najpierw niedowierzanie. Ale potem pojawił się na niej uśmiech.

– Lily! Skąd się tu wzięłaś?

WOJNA

**CANTERBURY PLAINS, GREYMOUTH, GALLIPOLI, WELLINGTON
1914 – 1915 – 1916**

Kiedy wszystkie rzeczy wreszcie wyschły, Gloria powlokła się do miasta. Była niemal nieżywa z głodu. W dodatku zrobiło się chłodno, musiała nie tylko coś zjeść, ale też znaleźć jakieś miejsce do spania. I przynajmniej w kwestii jedzenia nie było żadnych problemów. W mieście było pełno restauracji, herbaciarni i tanich garkuchni. Gloria pilnowała, aby nie zbliżyć się zanadto ani do portu, ani też do położonej w pobliżu dzielnicy czerwonych latarni. Unikała też lokali, w których siedzieli głównie mężczyźni, bez względu na to, jak apetyczne były wydobywające się z kuchni zapachy.

W końcu zdecydowała się na małą herbaciarnię, w której gości obsługiwała kobieta. Prawdopodobnie podawano tu tylko sandwicze, ale było to lepsze niż narażenie się na spojrzenia kelnera i gości. Herbaciarnia była prawie pusta, tylko przy dwóch czy trzech stołach siedziało kilka starszych osób, które rozmawiały z sobą albo czytały gazety. Wydawało się, że ze strony starców nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Gloria uspokoiła się. I ku jej zaskoczeniu w herbaciarni były nie tylko zimne dania, niektórzy jedli też jakiś gęsty gulasz. Może byli to stali goście, którzy się tu zawsze stołowali? Gloria nieśmiało poprosiła o jedzenie, wskazując na pozostałych klientów. Właściwie powinna się była przyzwyczaić do jadań kolacji w restauracjach, w końcu Martynowie bywali w najlepszych lokalach Europy i Ameryki. Ale Gloria od dawna nienawidziła zainteresowania kelnerów i gości, jakie ci okazywali jej słynnej matce.

To miejsce nie należało do takich, w jakich dane jej było dotychczas bywać. Obsługa była sympatyczna, ale niezbyt rozmowna. Kelnerka przyniosła Glorii dużą miskę gulaszu i życzliwie obserwowowała, jak wygłodniały domniemany chłopak pochłaniał jedzenie.

Przyniosła mu dokładkę, z niemal konspiracyjnym uśmiechem na twarzy.

– Masz, mały, wyglądasz na wygłodzonego! Co robiłeś? Dotarłeś tutaj wpław z Indonezji?

Gloria zaczerwieniła się jak burak.

– Skąd pani wie, że...

– Że pracowałeś na statku? To nietrudno zgadnąć. Po pierwsze to miasto to tak naprawdę mała wieś. Takiego ładnego chłopca zapamiętałabym, gdyby tu mieszkał na stałe. A poza tym wyglądasz jak marynarz, który właśnie zszedł z pokładu. Twoje włosy wprost proszą o fryzjera, mały! Trochę potrwa, zanim ci broda urosnie... – Kobieta się roześmiała. Była okrągła, czerwona na twarzy i nie sprawiała wrażenia kogoś, kto mógłby Glorii zagrozić. – Ale przynajmniej wzięłeś kąpiel, to przemawia na twoją korzyść. I nie wyglądasz na uzależnionego od whisky. Wszystko godne pochwały. Pierwszy raz zarabiałeś jako marynarz?

Gloria skinęła głową.

– Ale to było okropne – wyrwało jej się. – Chciałbym teraz... zostać na lądzie.

– Co, cierpisz na chorobę morską? – Kobieta skinęła głową ze zrozumieniem. – Kiedy byłam w twoim wieku, wyemigrowaliśmy z Anglii do Down Under. Dobry Boże, przez pół drogi wisiałam na relingu, rzygając. Na marynarza trzeba się urodzić. Co chcesz teraz robić?

Gloria wzruszyła ramionami. A potem zebrała się na odwagę i odpowiedziała:

– Może wie pani... gdzie mógłbym znaleźć jakiś nocleg? Nie mam dużo pieniędzy, ja...

– Pewnie, też tak myślę! Ci kanciarze na statku wyzyskiwali cię za parę centów. I nawet nie karmili cię porządnie, teraz została z ciebie skóra i kości. Jeśli o mnie chodzi, możesz przyjść jutro rano, dam ci śniadanie. Sama mam takiego fajnego chłopca, ale teraz jest już dorosły i pracuje przy budowie kolei. Nie zarabia się tam zbyt dobrze, ale jemu się podoba, kiedy może sam się utrzymać. A jeśli chodzi o spanie... Wielebny z kościoła metodystów zawsze ma kilka miejsc dla mężczyzn. Kto może, zostawia jakiś mały datek, ale jak nie masz pieniędzy, to też nikt ci nie powie złego słowa. Musisz się tylko modlić, rano i wieczór oczywiście...

Gloria nie modliła się już od wielu miesięcy, nie robiła tego także przed swoją okropną podróżą. William i Kura Martynowie nie przywiązywali żadnej wagi do tego, czy ich córka chodziła na nabożeństwa. Oni sami nie chodzili do kościoła. A Gloria niechętnie bywała w kościele w Sawston. Przy każdym spojrzeniu na wielebnego Bleachuma miała przed oczami widok w zakrystii: duchowny z opuszczonymi spodniami nad kobietą z własnej parafii. Dziesięć minut przed tym, kiedy zamierzał ślubować wierność innej kobiecie. Gloria nie wiedziała dokładnie, czy właściwie wierzyła w Boga, ale nie dałaby ani centa za kogoś z jego ziemskich sług.

Zdenerwowana, sztywna ze strachu wślizgnęła się do kościoła na Knuckey Street, budowli brzydkiej i dość prymitywnej. Wielebny, wysoki mężczyzna o jasnych włosach, odprawił właśnie nabożeństwo, na które przyszło niewielu chętnych. Gloria z zakłopotaniem spojrzała na trzech obdartych ludzi siedzących w drugim rzędzie. Czy to byli goście owego męskiego pensjonatu?

Modliła się grzecznie, ale nie chciała śpiewać razem z chórem. „Jack Arrow” był młody, ale powinien mieć już za sobą mutację. Kiedy msza się skończyła, poszukała wielebnego i opowiedziała historię, którą poprzednio usłyszała kobieta w herbaciarni. Jack, nowojorczyk, z chęci zaznania przygód zaciągnął się na statek płynący do Darwin. Kapitan go wyzyskiwał, a pozostali członkowie załogi też nie byli sympatyczni...

– No, wyglądasz tak, że mogli być aż za bardzo sympatyczni – zauważył wielebny ponuro. – Możesz dziękować Bogu, że udało ci się to przetrwać i wyjść, będąc zdrowym na ciele i duchu!

Gloria nie rozumiała, co miał na myśli, ale poczerwieniała.

Wielebny wyrozumiałe skinął głową.

– Wyglądasz na dobrego chłopaka – powiedział, wnosząc o tym najwyraźniej z zawstydzonej twarzy Glorii. – Przenocujesz dziś tutaj, a potem zobaczymy. Ale powinieneś sobie obciąć włosy.

Gloria spodziewała się, że jeśli ktoś traktuje ją tak przyjaźnie, to dostanie pojedynczy pokój, ale oczywiście pensjonat dla mężczyzn okazał się ogólną sypialnią. W małym, nieprzytulnym pomieszczeniu upchnięto pod ścianami pięć piętrowych łóżek; jedyną ozdobą był krucyfiks wiszący na ścianie. Gloria wyszukała sobie łóżko w najbardziej odległym kącie, łudząc się, że nikt nie będzie jej przeszkadzał, ale wraz z nadejściem wieczora w sypialni pojawili się „goście” w bardzo zróżnicowanym wieku. Gloria znów wyładowała w swoim koszmarze: poczuła smród niemytych ciał i męskiego potu. Choć co prawda nie było czuć zapachu whisky; wydawało się, że wielebny kontroluje to dość surowo. Kilku mężczyzn grało w karty, inni rozmawiali z sobą. Starszy mężczyzna, który zajął łóżko naprzeciw Glorii, próbował wciągnąć ją do rozmowy. Przedstawił się jako Henry i spytał ją o imię. Gloria odpowiadała monosylabami i miała się na baczności jeszcze bardziej niż w czasie rozmowy z wielebnym. Okazało się to jak najbardziej uzasadnione. Henry, najwyraźniej marynarz, nie przetrwał całej historii tak jak niedoświadczony duchowny.

– Statek z Nowego Jorku do Darwin? Chłopcze, nie ma czegoś takiego! Musiałby płynąć przez pół świata!

Gloria się zaczerwieniła.

– Ja... oni... oni najpierw chcieli płynąć do Indonezji – wyjąkała. – Tam mieli coś wyładować...

Henry zmarszczył czoło, ale zaczął opowiadać o swoich morskich podróżach, w czasie których zaznał, jak mówił, niesłuchanej samotności na pokładzie. Gloria prawie nie słuchała. Zaczynała żałować, że tu przyszła, choć przecież jako „Jackowi” nie groziło jej żadne

niebezpieczeństwo.

A może jednak? Kiedy oliwna lampka, dająca mdłe i migotliwe światło, została wreszcie zgaszona i Gloria zwinęła się w kłębek, chcąc zasnąć, poczuła ostrożne głaskanie na swoim policzku. Czyjaś ręka... Musiała się opanować, aby nie wrzasnąć z przerażenia.

– Zbudziłem cię, Jacky? – Gloria usłyszała tuż przy swojej twarzy dość wysoki jak na mężczyznę głos Henry'ego. – Pomyślałem sobie, że jesteś taki słodki chłopak... Może ogrzejesz mnie trochę dzisiaj w nocy...

Gloria poderwała się w panice.

– Proszę zostawić mnie w spokoju! – wyszeptała, nie ważąc się krzyżeć. W swej fantazji bała się, że wszyscy mężczyźni nagle się na nią rzucą. – Niech pan stąd znikaj! Chcę spać sam!

– Nie powiem wielebnemu o statku z Nowego Jorku do Darwin... On nie lubi, kiedy się go okłamuje...

Gloria drżała. W gruncie rzeczy było jej obojętne, co ten człowiek opowie wielebnemu; i tak chciała stąd wyjechać. Ale gdyby Henry zmusił ją, aby była „miła dla niego”, jej przebranie wyszłoby na jaw. Gdyby ci mężczyźni odkryli, że jest dziewczyną... Z odwagą właściwą rozpaczy podciągnęła gwałtownie kolano i z całej siły uderzyła mężczyznę między nogi.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła.

Za głośno. Teraz wszyscy pozostali goście zaczęli się ruszać na swoich łóżkach. Ale ku jej zdziwieniu stanęli po stronie „Jacka”.

– Henry, ty świnię, zostaw chłopaka w spokoju! Słyszysz przecież, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego!

Henry stęknął, a Glorii udało się zepchnąć go z łóżka w dół. Najwyraźniej nawiązał bliskie kontakty z kimś leżącym pod spodem, bo dobiegły ją słowa:

– Nie masz dosyć, ty wstrętny pedale? Uważaj, bo możesz zaraz dostać od nas baty!

Gloria zupełnie tego nie pojmowała. Ale odetchnęła z ulgą. Nie chciała się już narażać i ryzykować. Zabrała swoje wytarte prześcieradło, wymknęła się do ustępu i zamknęła zasuwę. A potem zwinęła się w prześcieradło w kącie jak najdalej od pisuaru. Rano ukradkiem opuściła teren kościoła, nie zostawiając żadnego datku. Zamiast tego poszła do najbliższego sklepu i zainwestowała trzy z cennych dolarów w nóż w skórzanej pochwie, którą można było przywiązać do paska u spodni. Gdyby miała się w przyszłości położyć gdziekolwiek spać, to z bronią w ręku.

Następnie zajęła się wszami. Już poprzedniego dnia zauważyła, że krótkie nurkowanie w morzu nie przyniosło spodziewanych efektów. Niepewnie weszła do apteki i poprosiła cicho o jakiś najtańszy środek.

Aptekarz się roześmiał.

– Najtaniej będzie ostrzyć ci głowę, chłopcze. I tak potrzebujesz fryzjera, wyglądasz jak dziewczyna! Ciach, ciach, nie ma włosów, nie ma wszy. A potem posyp tym głowę. – Położył na ladzie słoik z proszkiem.

Gloria zapłaciła kilka centów i udała się na poszukiwanie fryzjera. I znów jej loki spadły na ziemię pod nożycami, tym razem wszystkie, aż do skóry. Prawie siebie nie poznała w lustrze.

– Włosy odrosną! – zaśmiał się fryzjer. – Płacisz pięćdziesiąt centów.

Gloria czuła coś w rodzaju osobliwego uwolnienia, kiedy szła w kierunku herbaciarni. Zgłodniała i śniadanie było jej teraz bardzo potrzebne, zamierzała też za nie zapłacić. Ale jej nowa przyjaciółka dotrzymała słowa i nie żądając pieniędzy, nałożyła jej na talerz fasoli, jajek i szynki. I bardzo żałowała pięknych włosów „Jacka”.

– Trochę krócej byłoby w porządku, ale zaraz tak na tyso! Tego dziewczyny nie lubią, mały!

Gloria wzruszyła ramionami. Jeśli tylko nie będzie to odstręczało możliwych pracodawców...

Ale poszukiwanie jakiegokolwiek zajęcia okazało się bardzo trudne, tym bardziej że Gloria nie odważyła się wejść do dzielnicy portowej. Przy dokach byłoby z pewnością dość pracy. Stale poszukiwano ludzi, którzy pomagali zarówno przy załadunku, jak i rozładunku statków. Ale Gloria rozglądała się za pracą tylko w mieście, a tam nie było to proste. Młodzi ludzie w wieku „Jacka” przeważnie gdzieś się uczyli. Obdartusy w rodzaju „Jacka”, którzy nie wyjeżdżali z miasta i za których reputację nikt nie ręczył, byli traktowani raczej nieufnie. Po daremnych, trwających pół dnia poszukiwaniach Gloria niemal żałowała, że tak szybko opuściła kościół metodystów. Wielebny z pewnością mógłby jej pomóc. Ale lęk przed Henrym i pozostałymi mężczyznami był silniejszy. W końcu Gloria zainwestowała kilka centów cennej gotówki w pokój w małym pensjonacie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się bezpiecznie i mogła się spokojnie wyspać, leżąc w łóżku na czystych prześcieradłach. A następnego dnia miała trochę szczęścia i mogła zastąpić posłańca, który z nieznanых powodów nie zjawił się w pracy. Nosiła listy i paczki z jednego biura do drugiego i zarobiła tyle, aby pozwolić sobie na kolejną noc w pensjonacie. Także w ciągu następnych dni udało jej się zatrzymać tę pracę, ale kiedy po tygodniu dokonała bilansu, nie wyglądało to wesoło. Z dziesięciu dolarów pozostały jej zaledwie cztery, a z zarobionych pieniędzy nie udało jej się zaoszczędzić ani centa. O dalszej podróży do Sydney nie było co myśleć, o ile nie zdecydowałyby się na pieszą wędrówkę.

Tak też zrobiła. W mieście Darwin nie było dla „Jacka” żadnej pracy. Gloria ruszyła więc w drogę i postanowiła znaleźć jakieś zajęcie, choć na krótko, w mniejszych osiedlach. Miała nadzieję, że znajdzie tam dość farm, które będą potrzebować chłopców do pracy w stajni. A może będą tam też rybacy, którym mogłaby pomagać przy połowie ryb.

Niestety wszystkie nadzieje okazały się złudne. Po dwóch tygodniach „Jack” miał za sobą sto mil, ale skończyły się też wszystkie pieniądze. Gloria znów nie wiedziała, gdzie będzie spać, i znów cierpiała głód. Powoli przeciskała się przez uliczki małego portu. Miała jeszcze pięć centów, za te pieniądze nie dostałaby posiłku nawet w podłej speluncie, koło której właśnie przechodziła.

– No, mały, chcesz zarobić parę centów?

Gloria odwróciła się przerażona. Mężczyzna, zapewne w drodze do jakiegoś pubu o wątpliwej reputacji. W ciemnościach nie mogła rozpoznać jego twarzy, ale obcy człowiek wymownym gestem sięgnął do spodni.

– Ja... jestem chłopcem – wyszeptała Gloria i sięgnęła po nóż. – Ja...

Mężczyzna się roześmiał.

– No mam nadzieję, że jesteś chłopcem! Dziewczyny mi nie w głowie. Szukam jakiegoś ładnego chłopaka, który dotrzyma mi towarzystwa dzisiaj w nocy. Chodź, zapłacę dobrze...

Gloria w panice rozejrzała się dookoła. Mężczyzna zastawił sobą przejście do następnej uliczki, ale nie sprawiał wrażenia, że chce się na nią rzucić. Gdyby ruszyła w tym samym kierunku, z którego przyszedł...

Gloria odwróciła się na pięcie i zaczęła biec, uciekać wprost przed siebie, jak gdyby goniły ją furie. Biegła, aż w końcu zabrakło jej tchu i w końcu omal nie upadła na jakimś moście. Most wznosił się nad rzeką, która tu właśnie wpływała do morza. Może była tam też jakaś laguna... Gloria nie wiedziała i w gruncie rzeczy było jej to już obojętne. Wyglądało na to, że wpadła z deszczu pod rynnę. Między mostem a portowymi murami spacerowało kilka lekko ubranych dziewcząt.

– No, piękny chłopaczku, szukasz może towarzystwa na dzisiejszą noc?

Gloria znów rzuciła się do ucieczki. Szlochając, dotarła na jakąś plażę. Możliwe, że były tu też krokodyły. Ale w porównaniu z dwunożnymi zwierzętami, przed którymi właśnie zdołała uciec, wydały jej się one zupełnie niegroźnymi stworzeniami.

Drżąc ze strachu i zimna, siedziała długo na piasku, ale potem zaczęła rozmyślać. Musiała wyjechać, musiała opuścić Australię. Lecz wszystko wskazywało na to, że zarobienie w uczciwy sposób potrzebnych na podróż pieniędzy było niemożliwe. „Jack” mógł z trudem przetrwać, chwytając się od czasu do czasu jakichś okazjonalnych zajęć. Ale o podróży do Nowej Zelandii nie było co myśleć.

„Rób po prostu to, co potrafisz najlepiej...” – kilka cynicznych słów stewarda.

Gloria jęczała z bólu i poczucia bezsilności. Ale nie można było temu zaprzeczyć: nigdy nie płacono jej za cokolwiek innego niż „bycie miłą”

dla mężczyzn. Bez dziesięciu dolarów Harry'ego nie przeżyłaby po prostu. „Ten typ zbił na tobie majątek” – tak powiedział steward o Harrym i młody palacz o Richardzie Seatonie. Ale Jenny w San Francisco nie wydawała jej się osobą zamożną...

Gloria usiadła na piasku. Musiała więc spróbować. Nawet jeśli bez wątpienia było to niebezpieczne – inne dziewczęta też się nie ucieszą z powodu nowej konkurentki. Z drugiej strony zgodnie z tym, co mówiła Jenny, było wiele rzeczy, których inne dziwki nie robiły w ogóle albo robiły bardzo niechętnie. Gloria odczuwała w czasie takich praktyk wstyd, ból i przerażenie, ale nie było niczego, czego nie zażądałby od niej mężczyźni na „Niobe”. Przetrwiała to wszystko i wiedziała, że potrafi przetrwać jeszcze więcej.

Glorii robiło się niedobrze, kiedy przeszukiwała węzełek „Jacka”. Wyciągnęła jedyną sukienkę, którą jeszcze posiadała. Włożyła ją z obrzydzeniem i powoli poszła na most.

– Nie teraz, później! – syknęła Lilian.

Nieoczekiwane spotkanie z Benem przyspieszyło wprawdzie bicie jej serca, ale nie przeszkodziło w myśleniu. Natychmiast też pojęła, że w tym momencie okazywanie radości było całkowicie zbędne, a nawet niepożądane. Ben stał obok Florence i Caleba Billerów i był tym synem, który właśnie wrócił z Cambridge! I z całą pewnością zarówno Billerowie, jak i ojciec Lilian nie byłiby zbudowani, gdyby się dowiedzieli, że ich dzieci jeszcze w Anglii wyryły na korze drzewa swoje imiona, a pod spodem serduszko oznaczające miłość.

Ben nie zrozumiał tego natychmiast. Nic dziwnego, przecież dotychczas nie znał jeszcze nazwiska Lilian. Ale tu na szczęście z pomocą przyszedł wielebny. Być może świadomie – był znany z błyskotliwości i umiejętności szybkiego reagowania i jego uwadze nie uszedł błysk w oczach Lilian i Bena.

– Ben! Jak miło, że już jesteś – powitał chłopca zaraz po tym, kiedy zakończył zwykłą wymianę uprzejmości z Florence i Calebem Billerami. – I jak urosłeś. Młode damy z Greymouth będą walczyły o to, abyś zaprosił którąś do tańca. Mogę ci zaraz przedstawić kilka z nich... – Wskazał na Lilian i dwie pozostałe dziewczyny, które właśnie stroiły ołtarz, i dokończył prezentacji: – Erica Bensworth, Margaret O'Brien oraz Lilian Lambert.

Erica i Margaret dygnęły, chichocząc, Lilian zdobyła się na grzeczny uśmiech. Jej uwadze nie uszło chłodne spojrzenie Florence Biller. Lilian razem z ojcem miała z nią do czynienia już kilka razy w pracy i prawdopodobnie nie zrobiła na Florence najlepszego wrażenia. Ale w przeciwieństwie do pozostałych urzędników Tima nie dawała się zbić z tropu ani też onieśmielić. I na przykład łączyła rozmowy telefoniczne Florence z ojcem tylko wtedy, kiedy ojciec miał naprawdę czas i potrzebę, aby się zająć jej sprawą. Nie miała również żadnych skrupułów, jeśli chodziło o pozyskiwanie klientów Florence, potrafiła też tak omamić dostawców, aby ci najpierw obsłużyli Lambertów – w tych czasach była to cenna sztuka, bo gospodarka pracowała na najwyższych obrotach, dostawcy drewna oraz różnych towarów żelaznych nie nadążali z dostawami drewna, stempli i narzędzi, a kopalnie rozrastały się błyskawicznie. Oczywiście Florence zachowywałaby się uprzejmie, ale w jej rodzinie nie mówiono o „małej Lambert” inaczej niż „bezwstydne dziewczynisko”. I to określenie usłyszał już także Ben. A teraz stał naprzeciw „małej bestii” – i ona okazała się jego Lily, dziewczyną, o której tak naprawdę nigdy nie mógł zapomnieć, od kiedy, jak sądził, porzuciła go w Anglii. I dla której od tamtego dnia nadal pisał od czasu do czasu wiersze...

Lilian mrugnęła do niego porozumiewawczo. Ben zrozumiał.

W czasie nabożeństwa obie rodziny siedziały na odległych krańcach łąki, ale Lilian i Ben nie byli w stanie skupić się na słowach wielebnego. Oboje odetchnęli, kiedy wreszcie przebrzmiała ostatnia pieśń i wszyscy udali się w kierunku stołów z napojami. Lilian oczywiście udało się stanąć w kolejce do ponczu tuż za Benem.

– Kiedy tylko wszyscy skończą jeść i będą zmęczeni... zobaczymy się... za kościołem – wyszeptła.

– Na cmentarzu? – spytał Ben.

Lilian westchnęła. Ona nie wyraziłaby tego tak prozaicznie i oczywiście nie zastanawiała się też nad tym, czy ziemia poświęcona Bogu nadaje się na spotkanie dwojga kochających się ludzi. W końcu doszła do wniosku, że ma to dzięki temu nadzwyczaj romantyczny wydźwięk. Delikatny, ale i gorzko-słodki, jak w wierszu Edgara Allana Poeego...

A poza tym w okolicy nie było żadnego miejsca, co do którego istniałaby gwarancja, że nie będzie tam żadnych rodziców.

Skinęła głową.

– Nie trać mnie po prostu z oczu, jak zobaczysz, że wstanę, to idź za mną.

Ben przytaknął gorliwie i wziął swoją lemoniadę. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie podać jej Lilian, ale doszedł do wniosku, że to za bardzo rzuciłoby się w oczy. Mrugnął więc do niej także i odszedł od stołu. Lilian patrzyła za nim zachwycona. Wreszcie coś zaczęło się dziać! I w dodatku wszystko było dokładnie tak, jak w jej ulubionych powieściach – zaginiony kochanek pojawił się znowu. Jak u Szekspira! W czasie gwiazdkowego przedstawienia w Oaks Garden nigdy nie dane jej było grać Julii. Ale teraz nieoczekiwanie znalazła się w samym środku autentycznej historii!

W końcu to Ben pierwszy opuścił swoją rodzinę i niezauważony przez nikogo powoli ruszył w stronę kościoła – rzekomo na spacer. Za to Lily wręcz niechętnie oderwała się od „rozmów przy stole”, jakie toczyły się między Elaine, Timem, Mattem i Charlene – znów chodziło w nich o Billerów i ich najstarszego syna. Matka Lilian i Charlene nie mogły się uspokoić, widząc, jak bardzo chłopak był podobny do swego ojca. Lilian nie uważała, żeby było w tym coś dziwnego. Także jej bracia przypominali Tima, a najstarszy syn Charlene był niemal sobowtorem ojca. Ale nad tym nikt się nie zastanawiał. W każdym razie wszyscy byli pochłonięci rozmową i nikt nie zauważył, że Lilian wstała z koca i dokądś poszła. Kiedy dotarła na teren cmentarza, Ben właśnie kończył rzeźbić ich inicjały na korze starego buka, który rósł w odległej, wschodniej części. Lilian uznała to za bardzo romantyczne, choć pod względem taktycznym niezbyt mądre. Zbyt wiele osób o inicjałach B.B. i L.L. nie było w Greymouth. Ale cóż było robić? Postanowiła, że będzie jej to pochlebiać, ponieważ Ben ryzykował dla niej.

Patrzył na nią z radością, kiedy szła w jego stronę między grobami.

– Lily, nigdy nie myślałem, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę! – powitał ją. – Ta śmieszna dziewczyna powiedziała mi wtedy, że wracasz do domu. Myślałem więc, że to gdzieś w Londynie, Kornwalii czy w ogóle w Anglii. Nie powiedziałaś mi, że jesteś z Greymouth!

Lilian wzruszyła ramionami.

– Też sądziłam, że jesteś z Cambridge albo z okolicy. I myślałam, że jesteś biedny, bo miałeś stypendium...

Ben się roześmiał.

– Nie, to z tego powodu, że byłem bardzo młody. Przeskoczyłem kilka klas, a uniwersytety dosłownie się o mnie biły. Dzięki temu stypendium mogłem studiować, co chciałem, a nie to, co chcieli moi rodzice. W każdym razie mogłem dotychczas. Ale z powodu tej głupiej wojny rodzice znaleźli cudowną wymówkę, aby mnie sprowadzić do domu. No i siedzę w tym okropnym biurze, i mam interesować się tym, jak wydobywa się węgiel spod ziemi. A on może tam zostać na zawsze, jeśli o mnie chodzi.

Lilian zmarszczyła czoło. Pomysł, aby zostawić węgiel pod ziemią i go nie wydobywać, nie wydał jej się zbyt mądry. Przecież można go było tak dobrze sprzedawać. Ale Ben był oczywiście poetą i patrzył na to inaczej. Uśmiechnęła się więc pobłażliwie.

– Masz przecież trzech braci. Czy oni nie chcą przejąć kopalni? – spytała. – Wówczas mógłbyś dalej studiować.

Ben przytaknął, choć z ponurym wyrazem twarzy.

– Oni się nawet do tego palą – oświadczył. – Sam ma dopiero dwanaście lat, ale wie o tym całym interesie więcej niż ja. Ale niestety jestem najstarszy... Ale pomówmy o nas, Lily. Nie zapomniałaś o mnie?

– Nie! – odpowiedziała Lilian z przekonaniem. – Nie mogłabym o tobie zapomnieć. W Cambridge było przecież tak pięknie. I ja naprawdę

chciałam wtedy przyjść, ale akurat tego dnia mój wuj zabrał mnie stamtąd. I nie mogłam uciec, cały czas byłam wśród ludzi. Ale teraz jesteśmy tutaj.

Ben się uśmiechnął.

– Teraz jesteśmy tutaj – powtórzył. – I moglibyśmy nawet... to znaczy...

– Mógłbyś raz jeszcze zobaczyć, jakiego koloru są moje oczy – oświadczyła Lilian łobuzersko. Po czym podeszła bliżej do Bena i spojrzała mu w twarz.

Ben nieśmiało pogłaskał jej policzek i objął ją ostrożnie. Lilian mogłaby przytulić cały świat, kiedy ją całował.

– Kim był ten chłopak na cmentarzu?

Tim Lambert rzadko bywał surowy wobec córki, ale teraz starał się wyglądać najgroźniej, jak to tylko było możliwe. Stał przed nią zupełnie niespodziewanie, opierając się na kulach i szynie. Lilian siedziała przy swoim biurku i właśnie odłożyła słuchawkę po zakończonej rozmowie. Wyglądała jeszcze bardziej radośnie i pogodnie niż zwykle – obserwator bardziej doświadczony niż Tim być może dostrzegłby, że była po prostu zakochana. Ale dla Tima zawsze ważniejsze były jego bilanse i firmowe kontrakty, a właśnie uczcił za pomocą whisky sfinalizowanie transakcji z dostawcą drewna. Bud Winston dostarczał drewno służące do konstrukcji podpór w kopalniach, teraz bardzo potrzebne wobec planowanej rozbudowy, i Timowi udało się sprzątnąć Florence sprzed nosa cały wagon belek. Gdyby Tim chciał być sprawiedliwy, musiałby przyznać, że doszło do tego dzięki Lilian, bo to ona prowadziła pertraktacje. Ale Timowi mniej chodziło teraz o sprawiedliwość, a bardziej o plotki, które usłyszał w Greymouth. Musiały być one znane wszystkim, bo wiedzieli o nich także pracownicy Buda Winstona. A w końcu skład drewna nie był jakąś wyjątkową wylęgarnią plotek. Teraz, w poniedziałkowe przedpołudnie o jedenastej – już o tym mówiono. Do popołudnia całe miasto będzie wiedziało o tym, że Lilian Lambert spotyka się potajemnie z jakimś chłopcem.

– Nie kłam, bo stara Tanner wszystko widziała. Co prawda ona ma krótki wzrok – i nie rozpoznała chłopca.

Mrs Tanner była największą plotkarą w mieście i Lilian poczuła niepokój.

– I cóż ona takiego widziała? – spytała niedbale, zajęta pozornie czymś innym. Jeśli Mrs Tanner widziała, jak się całowali, to będą kłopoty. Tim wzruszył ramionami.

– Że rozmawiałś z jakimś chłopakiem. Potajemnie, na cmentarzu. Całe miasto o tym mówi.

– A więc nie było to aż tak potajemne – zauważyła Lily mimochodem i udała, że bardzo pochłonęły ją jakieś dokumenty. W głębi ducha odetchnęła z ulgą. Za wszelką cenę starała się odwrócić uwagę ojca i sprawić wrażenie, że dla niej samej to spotkanie miało niewielkie znaczenie.

Tim opadł na fotel przy swoim biurku, dzięki czemu zajął pozycję bardzo korzystną ze strategicznego punktu widzenia. Po wizycie w mieście był wyczerpany, bolało go też biodro.

– Lilian, czy to był Ben Biller? – spytał wprost. – Bo ktoś w rozmowie wymienił właśnie jego nazwisko. A nie przychodzi mi do głowy nikt, kto by do ciebie pasował, jeśli chodzi o wiek.

Lilian uśmiechnęła się do niego radośnie. Jej mocną stroną była umiejętność trafnej oceny rozmówcy, ale teraz – teraz była zakochana.

– Czyli też uważasz, że on do mnie pasuje? Och, *daddy!* – Wyskoczyła zza biurka i objęła ojca. – Ben jest cudowny! Taki delikatny, kochany...

Tim zmarszczył czoło i odsunął ją od siebie.

– Jaki on jest? Lilian, chyba nie mówisz poważnie!? Rozmawiałś z nim zaledwie trzy minuty między grobami i już wiesz, że będzie mężczyzną twojego życia?

– Właśnie tak! – Lilian wprost promieniała radością. – Ale my znaleźliśmy się już w Anglii...

I w uniesieniu, pełna zachwytu, opowiedziała ojcu o zawodach wioślarskich w Cambridge, pomijając oczywiście parę drobiazgow, jak na przykład sprawę pocałunku i serca wyrzytego w korze drzewa.

– On pisze wiersze, *daddy!* Dla mnie!

Tim ostentacyjnie wznosił oczy do nieba.

– Lilian – zaczął z powagą, usiłując zmienić przy tym pozycję w niewygodnym fotelu. – Tobie wydaje się to wszystko bardzo romantyczne. Ale wolałbym, aby ten młody człowiek pisał wiersze dla kogoś innego. Jesteś zbyt młoda na przyjaciela, a on jest za młody na dziewczynę. Ja w waszym wieku jeszcze puszcziałem latawce! – To ostatnie odpowiadało prawdzie, choć w istocie nie była to rzecz tak niewinna, jak Tim usiłował przedstawić. W wieku Lily był jeszcze w angielskim internacie, a latawiec służył do przekazywania wiadomości dla Mary, córki pewnego farmera, który dostarczał do szkoły mleko. Choć właściwie rzecz ograniczyła się tylko do paru miłosnych listów. Mary wolała poszukać sobie przyjaciół wśród starszych chłopców.

– Ben jest bardzo dojrzały jak na swój wiek – stwierdziła Lily. – Przeskoczył nawet kilka klas!

– To wszystko zupełnie mnie nie interesuje, Lily – odparł Tim. – Nie ulega wątpliwości, że to bardzo inteligentny chłopiec, jego rodzice też nie są głupi. Ale jako taki powinien zrobić użytek ze swojego rozumu i nie flirtować akurat z dziewczyną, z powodu której z całą pewnością będzie miał kłopoty. Nie możesz przecież zakochać się w synu Florence Biller, Lily!

Tim machnął energicznie jedną z kul, aby podkreślić swoje słowa, i sam sobie wydał się przy tym śmieszny.

A Lilian odrzuciła do tyłu swoje płomiennorude włosy i dumnie podniosła głowę.

– Ależ oczywiście, że mogę! – odpowiedziała.

– Tim, to nic innego jak zabawa. Jak możesz brać to aż tak poważnie?

Elaine Lambert siedziała w swoim ogrodzie i z rozbawieniem, ale i troską obserwowała męża – Tim był teraz po prostu wściekły. I jak zawsze, kiedy się z jakiegoś powodu denerwował, nie potrafił ani chwili usiedzieć na miejscu. Przed wypadkiem był bardzo sprawnym mężczyzną i pojawiał się w biurze tylko sporadycznie. Szukał raczej kontaktów z górnikami, zarówno na powierzchni, jak i pod powierzchnią ziemi, osobiście prowadził rozmowy z dostawcami i kontrahentami, a w wolnym czasie był znakomitym jeźdźcem. Ograniczenia jego ruchliwości, które były efektem wypadku, doprowadziły też do tego, że stał się człowiekiem surowym i twardym. A jednak kużył teraz przed Elaine, spacerując tam i z powrotem między kwiatami i ziołami, lamentując z powodu oczywistej katastrofy, w której kierunku prostą drogą zmierzali Ben i Lilian.

A przecież, przynajmniej zdaniem Elaine, właśnie przez niego doszło do kolejnych dramatycznych komplikacji, jakie ostatnio miały miejsce. Owego poniedziałkowego poranka po rozmowie z Lilian nie przyszło mu do głowy żadne inne rozwiązanie, jak tylko wysłać krnąbrną córkę prosto do domu. Lilian zaś grzecznie wsiadła na swoją małą klacz, którą niedawno przysłała jej babcia Gwyn z Kiward Station. Jeździła na tym koniu, kiedy tylko była na farmie, i Gwyn podarowała go Lilian – co prawda z wyrzutami sumienia, bo tego źrebaka wyhodował Jack, a jego rodzicami byli klaczka Glorii i jeden z normandzkich cobów. Ale nic nie wskazywało na to, że Gloria prędko wróci do domu...

Teraz więc żywa, pełna temperamentu klaczka imieniem Vicky była własnością Lilian – i tego dnia właśnie Lilian uznała, że koń koniecznie potrzebuje ruchu. Przodkami Vicky były konie pełnej krwi. Klaczy rzeczywiście potrzebne były długie dystanse galopu, a do tego znakomicie nadawała się droga prowadząca wprost do kopalni Billerów. Gdy pokonała połowę drogi, naprzeciw Lilian pojawił się samochód Billerów, a to bardzo przstraszyło Vicky. Widząc to, jedyny pasażer siedzący na tylnym siedzeniu samochodu kazał szoferowi zatrzymać samochód. Był to Ben.

Rekonstrukcja wydarzeń, które nastąpiły potem, okazała się niemożliwa bez dokładnego, aczkolwiek bardzo nieprzyjemnego przesłuchania

obojsa ich głównych uczestników. Szofer – którego szalejąca w wściekłości Florence zmusiła, aby odwiózł jej krnąbrnego syna prosto do domu – opowiadał, że młody panicz chciał wysiąść, uzasadniając to koniecznością pomocy młodej damie. Bo ona najwyraźniej bardzo potrzebowała pomocy przy poskromieniu sposzonego konia. A potem Ben, najwyraźniej w poszukiwaniu równie przestraszonej Lily, udał się nad rzekę, do pobliskiego lasu i szofer nie mógł podążyć za nim, co było zrozumiałe samo przez się.

– Ale dlaczego Florence wyprawiła Bena do domu? – dopytywała się Elaine. Lilian nie było tamtego dnia jeszcze w domu, ale Elaine się nie martwiła. Dziewczyna często ruszała na konne przejażdżki, a ojciec przyjeżdżał wówczas do domu samochodem albo jednokonnym zaprzęgiem. A o porannej sprzeczce między ojcem a córką Elaine nic jeszcze wtedy nie wiedziała.

Ale tamtego dnia Tim zjawił się w domu o zwykłej porze – i najwyraźniej miał chęć wziąć w obroty nieposłuszną córkę. Zapewne zdenerwowałyby się jeszcze bardziej, gdyby się dowiedział, że Lilian, zamiast przebywać w domowym areszcie, pojechała konno w nieznanym kierunku. Dlatego Elaine zwabiła go najpierw do ogrodu, aby dowiedzieć się czegoś na temat niedawnych wydarzeń.

– No właśnie, dlaczego? – spytał Tim. – Kochanej Florence też ktoś już coś doniósł! Takie plotki momentalnie docierają wszędzie! I zagadką pozostaje dla mnie fakt, że ty się jeszcze o niczym nie dowiedziałaś.

Elaine wzruszyła ramionami. Wołała nie mówić mężowi, że tego popołudnia ona sama, Charlene i madame Clarisse, właścicielka miejscowego burdelu, spotkały się na herbacie. Trzy kobiety cały czas podtrzymywały dawną przyjaźń, a Matt i Tim nie powinni byli dowiadywać się czegoś bliższego na temat zażytych stosunków pomiędzy ich żonami a dziewczętami lekkich obyczajów. Do lokalu madame Clarisse oczywiście każdego wieczoru docierały wszystkie plotki w mieście, ale za dnia, kiedy uczciwe kobiety plotkowały, piękności nocy zazwyczaj jeszcze spały.

– A ja myślę, że Florence denerwuje się i niepokoi jeszcze bardziej niż ja – oświadczył Tim.

– Jeszcze bardziej? – spytała kąpiąc Elaine.

– W każdym razie już do mnie zadzwoniła. I zapewniam cię, że gdyby można było przez telefon wysłać ogień i miecz, to moje biuro byłoby już całkiem spalone, a urzędnicy porąbani na drobne kawałki. Zgodnie z tym, co szofer powiedział Florence, nasza Lily zaciągnęła Bena do tego lasu za włosy i tam... – Tim urwał.

Elaine zachichotała.

– Biedny chłopiec – zakpiła.

– Lainie, proszę, podejdź do tego poważnie! Napięte stosunki z Billerami wcale nie są czymś zabawnym i Lilian nie musi się przyczyniać do tego, aby uległy pogorszeniu. – Tim usiadł wreszcie na jednym z ogrodowych krzesel.

– Ależ Tim, co ona takiego robi? Jeśli dobrze zrozumiałam, poznała tego chłopca jeszcze w Cambridge. Poflirtowali trochę i nie ma w tym żadnej winy Lily, że przypadek sprowadził ich oboje tutaj. Znasz ją przecież i wiesz, jak łatwo ulega romantycznym nastrojom. Ale robić z tego od razu dramat – to nonsens. Wręcz przeciwnie, ona przez przekorę uwikła się w jeszcze większe kłopoty.

– Ale oni potajemnie się spotkali! – upierał się Tim.

– W biały dzień, po południu, w dodatku na przykościelnym cmentarzu – zakpiła znów Elaine. – Tak potajemnie, że nawet nie zauważyli obecności Mrs Tanner.

– To właśnie jest najbardziej zastanawiające – mruknął Tim. – Musieli być bardzo sobą zajęci...

Elaine się roześmiała.

– To zupełnie normalne w przypadku takiej młodzieńczej miłości. Uwierz mi, Tim, najlepiej będzie po prostu nie zwracać na to uwagi. A najsmardziej byłoby pozwolić im na tę przyjaźń. Jeśli będą się spotykać potajemnie, to natychmiast pojawi się mechanizm Romea i Julii. Pomyśl, gdyby rodzina Capulettich raz i drugi zaprosiła małą Monteki na kolację, to Julia szybko by spostrzegła, że ten chłopak miał w głowie tylko machanie mieczem i był po prostu za głupi na to, aby iść za prostymi wskazówkami, a nie zakłuwać się od razu sztyltem.

Tim uśmiechnął się mimowolnie.

– Taka kolacja u Capulettich też mogłaby się krwawo zakończyć – zauważył. – Zwłaszcza gdyby byli podobni do Florence Biller. Dlatego jest właściwie nieważne, jakie stanowisko my zajmujemy, ona sama takiej przyjaźni z pewnością nie ścierpi. A jeśli chodzi o mnie, to obiecałem, że zabronię Lilian spotkania się z tym chłopcem. I to bardzo stanowczo.

Tim wstał z trudem, najwyraźniej po to, aby zademonstrować swój autorytet.

Elaine wymownie wzniosła oczy do nieba i podparła męża. Nie mogła jednak zmilczeć ostatniej uwagi.

– No to zobaczymy, jak daleko na tym zajedziesz.

– Proszę cię, Florence, a cóż on takiego złego robi?

Caleb Biller zwykle unikał konfliktów z żoną, ale w tym wypadku byłoby to według niego po prostu tchórzostwem. Dlatego teraz sączył powoli już drugą szklaneczkę whisky. Pierwszą wypił po to, aby nabrać odwagi, drugą zaś – by jej nie utracić w razie jakichś wątpliwości. Kiedy Florence wpadła jak burza do salonu i zaczęła go obwiniać o wszystkie kłopoty związane z Benem, omal nie wypuścił z ręki cennej kryształowej szklanki z niemniej cenną zawartością. Florence Biller od dawna wprawdzie uchodziła za osobę porywczą i wybuchową, ale potrafiła też być opanowana. Jeśli mimo to bez przerwy besztala swoich pracowników, to dlatego, że uważała to za konieczne.

Kiedy zaczynała prowadzić kopalnię Billerów, często po prostu nie traktowano jej poważnie i lekceważono. Jej stosunek do podwładnych – rzeczowy, pełen skupienia, ale i chłodu, u szefa mężczyzny uchodziłby za jego mocną stronę – u kobiety zaś był czymś dokładnie odwrotnym. Florence mogła postawić na swoim tylko dzięki temu, że za lekceważenie jej osoby zaczęły spadać głowy. Nie miała żadnych skrupułów, raz po raz zwalnając pracowników, i któregoś dnia zaczęło jej to nawet sprawiać przyjemność. I w końcu wszyscy pracownicy, dostawcy oraz kontrahenci zaczęli się jej po prostu obawiać. Ale nawet wtedy, kiedy nie ukrywała swego gniewu, potrafiła zachować lodowaty spokój, a jej powierzchowność pozostawała tym gniewem nieskażona. „Biurowy mundur” Florence Biller – biała bluzka i prosta granatowa spódnica – były zawsze świeżo uprasowane, a latem nigdy nie można było dostrzec na jej odzieży choćby śladu potu. Gęste brązowe włosy wiązała w ciasny kok, z którego nie mogło się wysunąć ani jedno pasmo.

A jednak tego dnia Florence wyglądała inaczej. I to jej własny syn Ben był przyczyną tego, że straciła zwykłą rezerwę i opanowanie. Zaczerwioną twarz otaczały potargane włosy, w efekcie czego zupełnie nieoczekiwanie sprawiała ona wrażenie łagodniejszej. Dyskretny niebieski kapelusz był przekrzywiony. Najwyraźniej Florence nie zadała sobie trudu, aby poprawić wszystko przed lustrem, zanim wyszła z biura.

– On się spotyka z tą dziewczyną! – oświadczyła oburzona, chodząc po pokoju tam i z powrotem. – I to wbrew mojemu wyraźnemu zaleceniu!

Caleb się uśmiechnął.

– Chodzi ci o dziewczynę w ogóle, o tę konkretną dziewczynę czy też o zalecenie? – spytał.

Florence spojrzała na niego z nieukrywaną wściekłością.

– O wszystko razem! On ma postępować zgodnie z moimi wskazówkami i być posłuszny! A jeśli chodzi o dziewczynę... Spośród wszystkich dziewczyn na świecie musiał wybrać akurat tę! Lilian Lambert! Tę bezczelną małą bestię, w dodatku z niejasnym pochodzeniem!

Caleb zmarszczył czoło.

– Mała Lilian jest po prostu sobą – powiedział niepewnie. Właściwie znał tę dziewczynę tylko z widzenia i z pełnych złośliwości opowieści Florence na temat jej impertynencji w czasie rozmów telefonicznych. – Ale co jest wątpliwego w pochodzeniu Timothy Lamberta? – spytał.

– Elaine O’Keefe, a może powinnam powiedzieć Lainie Keefer, była kiedyś jedną z dziewczyn madame Clarisse. A Lilian urodziła się kilka miesięcy po ślubie. Czy to nie wystarczy? – spytała Florence.

Caleb westchnął.

– Jeśli o to chodzi, to w ogóle na temat pochodzenia można sporo powiedzieć... – mruknął. – Ale Elaine nigdy nie była dziewczyną lekkich obyczajów. Ona tylko grała w pubie na pianinie. A wracając do Lilian, to ojcostwo Tima nie ulega żadnej wątpliwości.

– Elaine O’Keefe zastrzeliła swojego pierwszego męża! – nie ustępowała Florence.

– W obronie własnej, o ile sobie przypominam.

Caleb nienawidził rozgrzebywania starych, dawno zapomnianych historii.

– A Tim w każdym razie ma się dobrze, nie jest to więc kwestia żadnych jej wrodzonych skłonności i z całą pewnością nie są one dziedziczne. A poza tym Ben spotkał małą Lambert dopiero raz. Nie ma przecież mowy o tym, że chce się z nią żenić!

Caleb nalał sobie trzecią porcję whisky.

Florence zmarszczyła czoło.

– Jedno prowadzi do drugiego – oświadczyła. – W każdym razie zawróciła mu w głowie. A coś takiego znalazłam na jego biurku. –

Wyciągnęła z torby kartkę papieru. – On pisze wiersze!

Caleb wziął kartkę do ręki i szybko przebiegł ją oczyma.

„Rózo z Cambridge, twoja jest ma łódź,
na ciebie chcę czekać, aż do mej śmierci...”

– O, to coś ciekawego – powiedział i jednym haustem wypił whisky. – Zdaje się, że on jest całkiem niezłym lingwistą, ale nie widzę tu zdolności literackich.

– Caleb, przestań się śmiać! – ostrzegła Florence i zerwała z głowy kapelusz. – Ten chłopak jest krnąbrny i nieposłuszny, ale ja wybiję mu to z głowy! Także tę pisaninę! Musi się nauczyć myśleć jak człowiek interesu!

Caleb wziął do ręki butelkę whisky.

– Tego nie nauczy się nigdy – powiedział odważnie. – On nie urodził się na biznesmena, Florence. Zupełnie tak samo jak ja. A jest także moim synem...

Florence odwróciła się w jego stronę. Uśmiechnęła się złośliwie z zaciśniętymi wargami, a Caleb zadygotał, widząc w jej oczach taką samą pogardę i lekceważenie, z jakim zawsze patrzył na niego jego ojciec.

– Najwyraźniej tu tkwi przyczyna całego zła – zauważyła jadownicie. – Słyszysz, że ktoś otwiera drzwi? Zdaje się, że to on przyszedł do domu...

Florence nasłuchiwała przez chwilę. Caleb nic wprawdzie nie słyszał, ale jego żona wyprostowała się i przybrała odpowiednią postawę.

– Tak, to on! Zaraz wybiję mu z głowy tę małą Lambert! I pisanie głupich wierszy!

Wybiegła z pokoju.

Caleb wypił kolejną whisky.

– To zobaczymy, jak daleko na tym zajedziesz... – wymamrotał i pomyślał o tej nocy przed laty, kiedy „stanął na wysokości zadania jako mąż”. Mąż Florence. Pierwszy i ostatni raz...

Poczucie pewności siebie Caleba Billera osiągnęło swego rodzaju punkt krytyczny akurat wtedy, kiedy poprosił o rękę Florence. A jeszcze niewiele wcześniej bronił się z rozpaczą przed małżeństwem. Kobiety w ogóle nie interesowały Caleba. Jeśli myślał o miłości, to miał przed oczami męskie ciała, a uczucie seksualnego podniecenia znał dzięki swemu współmieszkańcowi z czasów nauki w internacie w Anglii.

Chłopak, który mieszkał z nim w pokoju, był jego przyjacielem. Kimś więcej niż przyjacielem.

Caleb był synem bogatego przedsiębiorcy z Greymouth i nie łudził się, że będzie mógł dalej żyć w zgodzie z własnymi preferencjami. Pogodził się ze swoim kawalerskim stanem, choć wiedział, że prędzej czy później doprowadzi to do rozdźwięków między nim a rodzicami, bo oni bardzo liczyli na dziedzica kopalni Billerów. Ale któregoś dnia Caleb poznał pieśniarkę Kurę-maró-tini, która bardzo ceniła jego zdolności pianisty, kompozytora i aranżera. Razem opracowali pierwszy program *Ghost Whispering*, razem spotykali się z członkami kolejnych maoryskich szczepów, studiowali ich sztukę i muzykę. Widząc to, rodzice Caleba próbowali zaaranżować małżeństwo między nim a Florence Weber, ale młody mężczyzna już na samą myśl o tym odczuwał przerażenie i strach. A w końcu Caleb i Kura stali się sobie tak bliscy, że powiedział dziewczynie o swoich upodobaniach. Caleb pamiętał do dziś uczucie ogromnej ulgi, kiedy Kura ze spokojem przyjęła jego wyznanie. Zanim przyjechała do Greymouth, podróżowała po Australii i Nowej Zelandii z grupą śpiewaków operowych i tancerzy baletowych. Wśród artystów miłość między mężczyznami uchodziła za coś zupełnie normalnego. Kura wymyśliła więc plan, dzięki któremu Caleb mógłby żyć jako człowiek wolny – bo przecież on także był artystą. Miał więc rozwijać swoją karierę u boku Kury jako jej aranżer i pianista i opuścić Greymouth – co pozwoliłoby mu ułożyć sobie życie zgodnie z własnymi upodobaniami.

Wszystko to było bardzo kuszące, ale cały plan upadł z powodu nieśmiałości Caleba. Trema przed każdym publicznym występem nie pozwalała mu spać całymi nocami; Caleb był wręcz chory, kiedy miał się w coś naprawdę zaangażować. I w końcu się poddał – stchórzył, zostawiając Kurę dosłownie na lodzie tuż przed którymś z występów, i zawarł ugodę z Florence: to ona miała prowadzić kopalnię Billerów, a w zamian za to zgodzić się na taki model małżeństwa, w jakim według Nowego Testamentu żyli Maria i Józef.

Jakkolwiek nie było przedmiotem umowy, że Florence któregoś dnia zacznie traktować kopalnię nieomal jak swoje dziecko. Caleb był przerażony, kiedy dostrzegł taksujące spojrzenia, jakimi obdarzała swoich urzędników, a nawet górników. Najwyraźniej jej wybrankiem okazał się jej sekretarz, a Caleb nawet w najtrudniejszych, pełnych zwątpienia chwilach miał milczeć i niczego nie widzieć. Ale na razie, w pierwszych miesiącach po ślubie, zaczął się czuć nieco pewniej. Po raz pierwszy nie musiał wykonywać pracy, której nie znosił. Zamiast wyklócać się z pracownikami kopalni, pisał artykuły do fachowych czasopism i ku jego zaskoczeniu przyjmowano je z dużym uznaniem. Sztuka maoryska była dziedziną zupełnie nieznaną, której dotychczas nikt nie badał. Redakcje gazet walczyły o to, aby móc opublikować to, co pisał Caleb, i wkrótce udało mu się nawiązać kontakt z licznymi uniwersytetami świata. W dodatku Kura-maró-tini podróżowała już po Europie i święciła triumfy, w czym Caleb zgodnie z umową też miał swój finansowy udział. Caleb zyskał więc uznanie i zaczął zarabiać pieniądze. Po raz pierwszy w życiu zaczął puszyć się jak paw. I nie miał zamiaru znosić upokorzenia wynikającego ze świadomości, że jakiś sekretarz kopalni przyprawia mu rogi!

Florence Weber-Biller nie miała dość wrażliwości, aby to zrozumieć. W dodatku pozwoliła sobie na coś w rodzaju zakochania się, czego efektem były późniejsze, bardzo dla niej nieprzyjemne wydarzenia. Jej oczy intensywnie błyszczały w czasie spotkań z Terrence’em Bloomem, zbyt często też spoglądała na jego szczupłą, atletyczną postać i wcale nie próbowała ukrywać swych spojrzeń. A Terrence oczywiście to wykorzystywał. Kontrahenci i dostawcy dziwili się, że sekretarz odważył się nagle wyrażać głośno swoje zdanie i proponować jakieś rozwiązania – Florence Biller zaś nie tylko nie besztła go za to, lecz wręcz się z nim zgadzała. Plotkarze obu płci zaczęli mówić coraz głośniej, w Greymouth zahuczało, Caleb spoglądał na Terrence’a z rosnącą nieufnością. A młody mężczyzna arogancko patrzył prosto w oczy mężowi swojej szefowej. Przy odrobinie wrażliwości Florence powinna była dostrzec rosnące napięcie w biurach, które wówczas, trochę pro forma, dzieliła z Calebem. Do decydującego skandalu doszło w czasie pewnego weekendu, który Caleb zamierzał spędzić wśród członków zaprzyjaźnionego szczepu Maorysów. Szczep przebywał zwykle w okolicy Blenheim, ale w tym czasie wszyscy jego członkowie udali się na dłuższą wędrowną. Caleb liczył się więc z tym, że spotka ich w okolicy Punakaki, ale jego przyjaciele czekali już koło Runanga – bliżej

Greymouth, ale też bardziej na południe. Toteż Caleb nie miał powodu, aby spędzać noc w namiocie, kiedy już wymienił z Maorysami drobne prezenty, powspominał razem z nimi wszystkie poprzednie wizyty i posłuchał ich muzyki. Caleb już wtedy umiał grać na kilku maoryskich instrumentach i korzystał z każdej okazji, aby posłuchać instrukcji *tohunga* z kolejnego szczepu. Także tym razem wszyscy siedzieli przy ognisku, śpiewali, tańczyli, a dookoła krążyła butelka whisky. Caleb nie był więc całkiem trzeźwy, kiedy późno w nocy wrócił do domu. Jednak mimo to jego słuch funkcjonował znakomicie, a dźwięki dobiegające z pokoju Florence były na tyle jednoznaczne, że nie można ich było zinterpretować fałszywie.

Caleb, nie zastanawiając się długo, gwałtownie otworzył drzwi. Rzadko kiedy wpadał we wściekłość, ale widok Florence w ramionach jej impertynenckiego małego sekretarza – w jego własnym domu! – sprawił, że dosłownie wszystko w nim się zagotowało, w czym miał swój udział także wypity alkohol. Choć oczywiście Caleb nie posunął się do rękoczynów – był dżentelmenem w każdym calu. Na chwilę zaniemówił, stojąc w drzwiach, podczas kiedy zaczerwieniona ze wstydu Florence usiadła, a Terrence próbował się za nią schować.

– Mr Bloom, proszę natychmiast opuścić mój dom i moją firmę – powiedział spokojnie Caleb, choć jego głos drżał z wściekłości. – Nie chcę pana więcej widzieć w Greymouth. Gdyby ktokolwiek chciał pana tutaj zatrudnić, użyję swoich wpływów, aby tak się nie stało. I będzie to dla pana kompromitacja, bo będę wówczas twierdził, że chciał się pan wzbogacić kosztem mojej rodziny pod... powiedzmy, względem finansowym. Jeśli zaś zniknie pan natychmiast, moja żona na pewno wystawi panu dobre świadectwo pracy.

Terrence Bloom był po tych słowach równie zaskoczony jak Florence, ale pośpiesznie opuścił łóżko. Caleb nie zaszczylił go ani jednym spojrzeniem, kiedy ten przemknął do drzwi, ściskając w rękę ubranie.

– A jeśli chodzi o ciebie, Florence... – Caleb odetchnął głęboko. Wiedział, że to, co go teraz czekało, będzie trudne, i zdawał sobie też sprawę, że może się ośmieszyć. – Kochasz tego typka, czy też chodzi tu tylko o... żądzę?

Ostatnie słowo rzucił w jej stronę, nie kryjąc pogardy.

Ale Florence nie dała się zbić z tropu. Spojrzała na niego z wściekłością.

– Chyba nie zabronisz mi chęci posiadania potomka, prawda?! – spytała ostro. – W każdym razie twój ojciec byłby bardzo rozczarowany, gdyby się okazało, że ty... – tu spojrzała wymownie na podbrzusze Caleba.

Caleb wciągnął ze świstem powietrze do płuc. Wieczór spędzony z Maorysami nie tylko zadowolił go pod względem artystycznym, lecz także obudził w nim pożądanie. Zawsze kiedy widział mężczyzn tańczących wojenną *haka*, czuł nabrzmiewanie członka i przeważnie wpatrywał się w jednego z wojowników, którego obraz przywoływał w pamięci później, kiedy sam się zaspokajał. Teraz miał przed oczami ciało muskularnego, pomalowanego tancerza i próbował nie dostrzegać nagiej, wciśniętej w kąć łóżka Florence.

– Na pewno nie rozczaruję ani jego, ani ciebie – powiedział i rozpiął spodnie. Florence nie wolno było teraz wszczynać żadnej dyskusji, bo gdyby usłyszał jej głos... gdyby dalej go obrażała... – Zamknij buzię! – Caleb przycisnął dłoń do warg Florence, bo właśnie chciała coś powiedzieć. Po czym przycisnął ją do łóżka rękami i kolanami, zmuszając ją, aby leżała spokojnie. Próbował się skupić na dudniącym rytmie *haka* i mieć przed oczami grę mięśni tancerzy... Myślał intensywnie o silnych rękach mężczyzn, które potrzęsały trzymanymi dzidami, o błyszczącej skórze pokrytej intensywnie woniejącym potem... Na szczęście Florence tym razem się nie wyperfumowała. Mógł bez trudu zanurzyć się w swoich fantazjach, kiedy zbliżał się do niej coraz bardziej i w nią wchodził... Florence jęknęła cicho, kiedy poruszał się w niej rytmicznie. Jej wnętrze powinno być wilgotne, ale nie było. Caleba ogarnęło coś w rodzaju poczucia winy, bo sprawiał jej ból, ale zapomniał o tym... Nie wolno mu było myśleć o Florence, kiedy... kiedy uderzał w rytm pieśni *haka*. Był dzidą w rękę ulubionego tancerza, był sam obejmowany i ściskany coraz mocniej... i nagle wolny, aby dotrzeć do celu... W harmonii z ciałem i duchem wojownika... Caleb osunął się z ulgą na Florence.

– Przykro mi – powiedział cicho.

Florence wysunęła się spod niego, wstała z trudem i chwiejąc się, poszła do łazienki.

– Powinam cię przeprosić – powiedziała. – To, co zrobiłam, było niewybaczalne. A to, co ty zrobiłeś... nazwijmy to spełnieniem obowiązku.

Caleb nigdy więcej nie spełnił swojego obowiązku, ale i Florence zaniechała robienia mu podobnych afrontów. Kilka tygodni po pamiętnej nocy zaczerwieniona ze wstydu wyznała mu, że jest w ciąży.

– Oczywiście nie wiem, czy...

Caleb skinął głową równie zawstydzony. Nie powstrzymał się jednak od wygłoszenia chłodnej uwagi:

– Chciałaś mieć potomka. A mnie to jest obojętne.

W pierwszych miesiącach i latach Caleb i Florence oczywiście nie byli pewni, kto był ojcem małego Bena. Choć co prawda matka Caleba już wtedy twierdziła, że dziecko jest kubek w kubek podobne do jej syna. A później było to rzeczywiście coraz bardziej widoczne.

I podobieństwo nie ograniczało się tylko do wyglądu dziecka. Dowodził tego także jego charakter ze skłonnościami do melancholii oraz umysł naukowca. Ben już w wieku czterech lat nauczył się czytać i trudno go było oderwać od książek ojca. Muzyka i rzemiosło artystyczne interesowały go jednak mniej niż języki, które stały się jego prawdziwą pasją. Z zachwytem wręcz zgłębiał słowniki Caleba i chłonał jak gąbka wszystkie maoryskie zdania, które słyszał od ojca.

– Jak oni mówią na Hawajki? – spytał któregoś dnia, kiedy miał sześć lat. A pewnego młodego mężczyznę z Wysp Cooka, który tylko dzięki przypadkowi został kontrahentem Billerów, wypytywał o język jego ojczyzny. W wieku siedmiu lat nudził się śmiertelnie w szkole w Greymouth, aż wreszcie Florence przystała na to, aby zgodnie z życzeniem jej męża wysłać Bena do Anglii. Przy czym, o ile Caleb miał nadzieję na wsparcie intelektualne syna, i to najlepsze z możliwych, to Florence liczyła na coś w rodzaju normalizacji jego naukowych zapędów. Cichy, wrażliwy chłopiec opanował w mig wszystkie możliwe sposoby rachowania, ale dawał się oszukiwać swoim młodszym braciom, jeśli przyszło do kupowania słodyczy w sklepie. Florence wydawało się to podejrzane, czuła się też nieswojo w obecności syna. Sam, jej drugi syn, na szczęście bardziej podobny do niej niż do młodego sztygara, który go spłodził, potrafił się znacznie lepiej bić. Klócił się i wdawał w bójki jak prawdziwy chłopak i zamiast porównywać maoryski z innymi polinezyjskimi językami, wolał wyrwać nogi wetem. Także trzeci syn, Jake, podobny był do Florence, mimo że ona sama dostrzegała wyraźne podobieństwo do ojca, którym był młody urzędnik. Choć w jednym i w drugim przypadku już nie ryzykowała. Zarówno sztygar, jak i urzędnik otrzymali najlepsze świadectwa i zostali zwolnieni czy też wysłani do pracy gdzie indziej, gdy tylko Florence była pewna, że jest w ciąży. Dopiero wówczas powiedziała Calebowi, że znów jest przy nadziei. A on uznał dzieci bez słowa komentarza.

Caleb uśmiechał się na myśl o swoim prawdziwym synu. Nie mógł mieć mu za złe związku z Lilian Lambert. Wręcz przeciwnie, czuł głęboką ulgę. Może nie była to odpowiednia dziewczyna dla niego. Ale jednak to dziewczyna zdobyła jego serce. Ben nie odziedziczył po ojcu jego nieszczęśliwych skłonności. Nie będzie musiał walczyć z pożądaniem, za które Calebem pogardzał cały świat.

I podczas kiedy rodzice klóćli się i martwili, Ben i Lilian wędrowali ręką w rękę wzdłuż rzeki przez paprociowy las. Nie było to łatwe, bo nieliczne ścieżki zaczynały się przeważnie przy drodze i kończyły w jakimś idyllicznym miejscu. Ale Ben i Lilian chcieli sobie przypomnieć swój pierwszy spacer w Anglii i z bardzo romantycznych powodów przedzierali się przez zarośnięte skarpy oraz zbutwiałe poszycie. Oczywiście Lilian błyszczała z radości, kiedy Ben rycersko pomagał jej przejść przez wszystkie trudniejsze miejsca, gdzie ona zwykle radziła sobie bez trudu sama. Drobną, przypominającą skrzata Lilian była o wiele zwinniejsza niż dryblasowaty, chudy Ben. Jeśli tylko nie było przed nimi żadnych przeszkód do pokonania, oboje paplali beztrudnie o swoich planach na przyszłość. Ben w kwiecistych słowach wyjaśniał, że wcale nie jest już nieszczęśliwy z powodu przyjazdu na Nową Zelandię. Uniwersytety w Dunedin, Wellington i Auckland oferowały o wiele lepsze możliwości prowadzenia badań w zakresie językoznawstwa, które go interesowało.

– Języki polinezyjskie. Każda wyspa ma swój własny, choć oczywiście są one z sobą spokrewnione. Ale właśnie tu jest szansa – poprzez porównanie maoryskiego z innymi językami można dokładnie wyznaczyć obszar, z którego pochodzili pierwsi mieszkańcy Nowej Zelandii...

Lilian z uwielbieniem wpatrywała się w jego usta, choć sama знаła tylko kilka maoryskich słów. Do niedawna było jej też zupełnie obojętne, gdzie leżała legendarna kraina zwana Hawaiki. Dla jej romantycznego usposobienia wystarczała opowieść o powrocie dusz przez Cape Reinga. Ale kiedy mówił o tym Ben, to było to oczywiście co innego.

Lilian z kolei opowiadała o swoim pobycie na Kiward Station, gdzie była bardzo szczęśliwa, mimo ostatnich wypadków i związanej z tym żałoby. Marzyła, aby któregoś dnia móc zamieszkać na farmie, mieć wokół siebie mnóstwo zwierząt i „masę” dzieci.

Ben wpatrywał się z uwielbieniem w jej usta, choć nie lubił ani kotów, ani psów i stale musiał przewycięzać niechęć do konia, zanim na niego wsiadł. O wiele bardziej wolał auta, choć żadnego z nich jeszcze nie prowadził. A małe dzieci? Dotychczas hałas, który robiły, wydawał mu się raczej męczący. Ale jeśli Lilian marzyła o życiu rodzinnym, to oczywiście co innego.

Lilian zaraz potem napisała do jednej z przyjaciółek w Anglii długi list o tym, jak wiele wspólnego oni oboje mają z sobą, Ben zaś roił w kolejnym wierszu o cudownym spotkaniu bliskich sobie dusz.

Gwyneira McKenzie przebierała się do kolacji – ostatnio coraz częściej przyjmowała w tym pomoc swojej maoryskiej pokojówki. Do niedawna właściwie nie odczuwała swojego wieku, ale po wydarzeniach ostatnich kilku tygodni często czuła się zbyt wyczerpana i zmęczona, aby włożyć gorset i zamienić luźną suknię, jaką nosiła za dnia, na coś bardziej eleganckiego. Zrobiła to też tego dnia, choć właściwie nie wiedziała, po co w ogóle upiera się przy tej tradycji, którą już jako młoda kobieta z pionierskimi ambicjami uważała za zbędną i męczącą. W końcu miała dziś siedzieć przy stole tylko ze swoim małym, nieszczęśliwym synem, którego rozpacz odczuwała i dzieliła całym sercem. Ona sama także była w żałobie: brakowało jej Jamesa niemal w każdej chwili. Teraz dopiero zdawała sobie sprawę, że był on właściwie jej drugim ja, jej lustrzanym odbiciem i cieniem. Śmiała się razem z nim, kłóciła, ale od kiedy odnaleźli się sami dla siebie, nie było właściwie ani jednego dnia, w którym by się z nim rozstała. Jednak James był od niej kilka lat starszy i dopiero pod koniec swego długiego życia coraz bardziej osłabiony i chorowity. Ale Charlotte... Ona była przecież taka młoda. Jack miał nadzieję na długie i szczęśliwe życie razem z nią. Chcieli mieć dzieci, snuli wspólne plany... Gwyneira doskonale rozumiała, że nie było niczego, co mogłoby pocieszyć i uspokoić Jacka.

Zagryzła impulsywnie wargi, kiedy pokojówka zapinała ostatnie guziki jej sukni. Czasami odczuwała wręcz coś w rodzaju wściekłości na synową. Oczywiście nie było w tym winy Charlotte, że zachorowała. Ale jej samotna decyzja na Cape Reinga zbyt gwałtownie oderwała ją od boku Jacka. Jej syn nie miał czasu, aby się z nią pożegnać i choćby próbować przyzwyczaić się do myśli, że ją straci. Z drugiej strony Gwyneira aż za dobrze rozumiała decyzję Charlotte. Ona sama też wolałaby szybką śmierć niż powolne konanie w męczarniach, które czekało Charlotte.

Z westchnieniem pozwoliła, aby Wai zarzuciła jej na ramiona czarny szal. Gwyneira nosiła żałobę od chwili śmierci Jamesa – i był to kolejny zwyczaj, którego przestrzegano, mimo że właściwie wydawał jej się bezsensowny. Nie musiała przecież demonstrować swojego żalu. Jackowi było to obojętne; on sam po zakończeniu uroczystości pogrzebowych zaczął się ubierać tak jak zwykle. A Maorysi i tak nie znali zwyczaju noszenia żałobnej odzieży po śmierci kogoś bliskiego.

– Mogę już iść, Miss Gwyn? Kiri chce, abym pomogła w kuchni... – Wai wcale nie musiała o to pytać, ale pracowała u Gwyn od niedawna i była trochę nieśmiała. A dodatkowo onieśmiała ją żałobna odzież Gwyn oraz przygnębiająca atmosfera, jaka panowała w domu.

Gwyneira przytaknęła i wyprostowała się. Zmusiła się, aby uśmiechnąć się do dziewczyny i dodać jej nieco odwagi.

– Oczywiście, Wai, dziękuję ci. A kiedy będziesz wieczorem szła do domu, weź, proszę, dla Rongo kilka ziemniaków do sadzenia. Jej herbatka nasenna bardzo mi pomogła.

Dziewczyna skinęła głową i wymknęła się bezszelestnie z pokoju.

Maorysi... Gwyneira pomyślała ciepło o szczepie Ngai Tahu, który osiedlił się na ziemiach Kiward Station. Myślała nie tylko o swych wiernych służących i o czarownicy Rongo Rongo. Przypominał jej się też wódz Tonga, jej zawzięty antagonistą, który ostatnio zyskał też jej sympatię. To on po śmierci Jamesa pomógł jej rozwiązać beznadziejny właściwie problem, a mianowicie kwestię miejsca jego pochówku.

Podobnie jak na każdej dużej farmie położonej daleko od miasta, także na Kiward Station istniał rodzinny cmentarz. Była tam pochowana Barbara, żona Geralda Wardena, a obok niej mąż, założyciel farmy Kiward Station, także Paul, jego syn. Znajdowała się tam też tablica upamiętniająca pierwszego męża Gwyn, Lucasa Wardena. Ale James McKenzie nie należał do rodziny Wardenów, podobnie jak Charlotte, a Gwyneira czuła wewnętrzny sprzeciw na samą myśl o tym, że ci oboje mają leżeć obok założyciela farmy. Zresztą rodzina Greenwoodów i tak prosiła o to, aby móc pogrzebać Charlotte w Christchurch, a Jack zgodził się na to.

Ale James... Gerald Warden prześladował swojego byłego brygadzystę jako złodzieja bydła. I byłby wpadł w szal, gdyby się dowiedział, że jest ojcem jego pierwszej wnuczki Fleurette. Sama myśl o tym, że obaj mężczyźni teraz, po śmierci, mieliby leżeć obok siebie, wydawała się Gwyn makabryczna. Jednakże brakowało jej energii, aby znaleźć na terenie farmy drugie miejsce pochówku.

Była zbyt zgnębiona, aby o tym myśleć, i niechętnie przyjęła odwiedzin wodza Tonga, który przyszedł złożyć jej kondolencje. Tonga przybywał jako przedstawiciel szczepu Ngai Tahu. Miał na sobie, jak zawsze, tradycyjny strój wodza – od lat pogardzał odzieżą „z Zachodu”. Tym razem jednak zrezygnował wyjątkowo z eskorty oraz z zabrania wojennego topora. Pokłonił się nisko przed Gwyneirą i w nienagannej angielszczyźnie wyraził swoje współczucie. I stwierdził, że ma do omówienia coś ważnego.

Gwyneira jeszcze dziś odczuwała wyrzuty sumienia, kiedy myślała o swojej niechęci wobec słów wodza. Bo przypuszczała wtedy, że zapewne chodzi mu o jakieś roszczenia w kwestii terenów należnych Maorysom albo może o owce, które znów zawędrowały na miejsce uważane przez Maorysów już trzysta lat temu za *tapu*, czyli nietykalne i uświęcone, co Tonga odkrył dopiero teraz.

Jednak wódz ją zaskoczył.

– Wie pani, Miss Gwyn – zaczął – że dla mojego ludu jest bardzo ważne, aby wszystkie duchy rodziny trzymały się razem i aby były radosne i szczęśliwe. Stosowne miejsce pochówku jest dla nas niesłychanie ważną sprawą i Mr James o tym wiedział. Dlatego znalazła u nas zrozumienie jego prośba, z jaką swego czasu zwrócił się do najstarszych naszego szczepu. Prośba dotyczyła *urupa*, czyli miejsca pochówku dla niego... a później także dla pani i dla pani syna...

Gwyneira przełknęła ślinę.

– Jeśli to pani odpowiada, Miss Gwyn, zgodzimy się na wyznaczenie grobu w świętym miejscu, które pani i James nazwaliście Kręgiem Kamiennych Wojowników. Mr James twierdził, że to miejsce ma szczególne znaczenie dla pani...

Gwyneira najpierw się zaczerwieniła, a potem była bliska płaczu – i to mimo obecności wodza. Grupa skał tworząca coś w rodzaju koła, zwana Kręgiem Kamiennych Wojowników, była przed wieloma laty miejscem miłosnych spotkań jej i Jamesa. Gwyneira była przekonana, że tu właśnie została poczęta ich córka Fleurette.

Bądź co bądź opanowała się w czasie tamtej rozmowy na tyle, aby podziękować Tondze z godnością, i kilka dni później James rzeczywiście został pochowany między kamieniami. Tylko w obecności najbliższych członków rodziny, ale za to przy udziale całego szczepu Maorysów. I Gwyneirze bardzo to odpowiadało. Żałobne maoryskie pieśni *haka* Jamesowi podobałyby się o wiele bardziej niż muzyka kameralnej grupy muzycznej, towarzysząca pogrzebowi Charlotte w Christchurch. Charlotte prawdopodobnie byłaby tego samego zdania, ale Jack nie był w stanie niczego zorganizować ani też niczemu się przeciwstawić. Pozwolił, aby pogrzeb przygotowali Greenwoodowie, a w czasie uroczystości nie za bardzo można było z nim rozmawiać. Zaraz potem wrócił na Kiward Station i całkowicie pogrzyżył się w żałobie. Przyjaciela, których miał wśród pasterzy, a także sama Gwyneira, próbowali jakoś dodać mu ducha albo przynajmniej znaleźć dla niego jakieś zajęcie, ale nawet kiedy Jack się temu poddawał, to wszystko robił tak, jak gdyby był w półśnie. Jeśli trzeba było podjąć jakieś decyzje, zajmowała się tym Gwyneira razem z brygadzystą Maaką. Jack odzywał się tylko wtedy, kiedy było to konieczne; mało co jadł i większość czasu spędzał w pokojach, które niegdyś dzielił z Charlotte. Nie chciał ani przejrzeć, ani rozdać rzeczy Charlotte, a któregoś dnia

Gwyneira zastała go siedzącego na łóżku z suknią Charlotte w ramionach.

– Jej zapach... jeszcze czuć – powiedział ze łzami w oczach.

Gwyneira cofnęła się bez słowa.

Dlatego też była dziś tym bardziej zdziwiona, kiedy zastała go przy stole nie w roboczych spodniach i przepoconej koszuli, lecz umytego i w czystej odzieży. Choć co prawda jeszcze poprzedniego dnia zrugła go za to, że chodzi coraz bardziej zaniedbany.

– Jack, w ten sposób wcale nie będzie ci lepiej! Myślisz, że Charlotte by się to podobało, gdyby widziała, że cierpisz i coraz bardziej pograżasz się w bólu?

Stara suka Jamesa imieniem Sunday i Nimue Glorii leżały jak zwykle przed kominkiem. Kiedy Gwyneira weszła, przybiegły do niej wyraźnie ucieszone i zaczęły na nią skakać. Gwyneira pomyślała melancholijnie, że dawno już nie zajmowała się tresurą kogoś z collie. Podobnie jak Jack... Postanowiła, że podaruje mu szczeniaka z najbliższego miotu.

– Mamo... – Jack przysunął jej krzesło. Dobrze wyglądał w letnim ubraniu. – Mam z tobą coś do omówienia.

Gwyneira uśmiechnęła się do niego ciepło.

– A nie możesz poczekać, aż zjemy kolację? Widzę, że się dziś porządnie ubrałeś, i chciałabym się nacieszyć tym czasem spędzonym z tobą. Wysłaliście już w drogę mężczyzn z wszystkimi owcami?

Był właśnie listopad, a wyprowadzenie owiec w góry odbywało się zwykle wcześniej. Ale Gwyneira wolała mieć pod swoim nadzorem te maciorki, które później urodziły jagnięta, oraz starsze zwierzęta, nieco osłabione po zimie. Teraz także te owce wyszły na przedgórze Alp z pasterzami – mieli oni jednocześnie zmienić dwóch Maorysów, którzy pojechali z pierwszą częścią stada i pilnowali zwierząt, mieszkając w pasterskim szałasie.

Jack skinął głową. Wai podała tymczasem jedzenie, ale Jack tylko przesuwał je widelcem po talerzu.

– Tak – odpowiedział w końcu. – Mówiąc szczerze, mamo, zastanawiałem się, czy sam nie powinienem jechać z tymi owcami. Nie wytrzymam już tego dłużej. Próbowałem, ale nie dam rady. Tutaj wszystko, każdy kąt, każdy mebel, każda twarz przypomina mi o Charlotte. I już tego nie mogę znieść, nie mam siły. Sama mówisz, że się zaniedbuję... – Jack nerwowo przeczesał ręką swoje rudobrzęde włosy. Mówienie przychodziło mu z wyraźną trudnością.

Gwyneira skinęła głową.

– Dobrze cię rozumiem – powiedziała łagodnie. – Ale co chcesz robić? Osiedlić się gdzieś w górach? Nie uważam, że to najlepszy pomysł dla ciebie. Może mógłbyś spędzić kilka tygodni u Fleurette i Rubena...

– I pomagać w ich domu towarowym? – dokończył Jack z krzywym uśmiechem. – Nie sądzę, że mam w tym kierunku jakieś talenty. I nie proponuj mi wyjazdu do Greymouth! Lubię Lainie i Tima, ale na górniką też się nie nadaję. I nie chcę być ciężarem dla ciebie, mamo. Chcę być do czegoś przydatny... – Jack zagryzł wargi, a potem się wyprostował. – Mówiąc krótko, mamo... nie ma sensu owijać w bawełnę. Wstąpiłem do ANZAC.

Jack odetchnął głęboko i czekał na jej reakcję.

– Do czego wstąpiłeś? – spytała Gwyneira.

Jack nerwowo potarł ręką czoło. Widział już, że będzie trudniej, niż przypuszczał.

– Do ANZAC. Australian and New Zealand Army Corps...

– Do armii? – Przerazona Gwyneira próbowała uchwycić jego spojrzenie, ale on unikał jej wzroku. – Chyba nie mówisz poważnie, Jack. Jest wojna.

– Właśnie, mamo. Wyślą nas do Europy. I zacznę myśleć o czymś innym.

Gwyneira patrzyła na syna.

– Właśnie to mam na myśli. Kiedy kule będą świstać ci koło głowy, to rzeczywiście trudno ci będzie myśleć o Charlotte! Czy ty masz dobre w głowie, Jack? Chcesz zabić samego siebie? Nawet nie wiesz, o co oni tam walczą!

– Kolonie obiecały nieograniczone poparcie swojej metropolii, czyli Anglii... – Jack bawił się serwetką trzymaną w dłoniach.

– Politycy, od kiedy istnieją, zawsze mówili bzdury!

Gwyn udało się przynajmniej całkowicie wyrwać syna z żalobnego letargu. Siedziała wyprostowana i patrzyła na niego gniewnie. Niemal zupełnie siwe, niegdyś płomiennie rude włosy miała starannie upięte, ale kilka pasm wymknęło się i otaczało jej twarz.

– Nie masz pojęcia, o co w ogóle chodzi w tej wojnie, ale chcesz na nią wyruszyć, aby strzelać do ludzi zupełnie ci obcych, którzy nic ci nie zrobili. To dlaczego nie rzucisz się w przepaść, jak Charlotte?

– Nie chodzi o samobójstwo – odparł Jack wyraźnie udręczonej. – Chodzi o... o...

– Chodzi o to, aby wodzić Pana Boga na pokuszenie, prawda? – Gwyneira wstała i podeszła do szafy, w której od lat trzymała zapasy whisky. Apetyt przeszedł jej zupełnie i potrzebowała czegoś mocniejszego niż stołowe wino. – Chyba nie mówisz poważnie, Jack! Chcesz zobaczyć, jak daleko możesz się posunąć, zanim cię diabli wezmą? Ależ to nonsens i sam o tym dobrze wiesz!

Jack wzruszył ramionami.

– Przykro mi, ale nie zmienisz mojego postanowienia – powiedział spokojnie. – Byłoby to także niemożliwe. Już podpisałem zobowiązanie...

Gwyneira nalała sobie szklanek whisky i odwróciła się do syna – teraz patrzyła na niego z rozpaczą.

– Ale co będzie ze mną, Jack? Zostawiasz mnie zupełnie samą!

Jack westchnął ciężko. Myślał o matce i ciągle przesuwał podjęcie decyzji, bo nie chciał zadawać jej bólu. Cały czas miał nadzieję na powrót Glorii. Dziewczyna podróżowała właśnie ze swoimi rodzicami po Ameryce, ale Kura-marō-tini musiała już chyba zrozumieć, że córka nie nadaje się zupełnie na korepetytorkę. Ostatnie listy Glorii były równie mało mówiące jak poprzednie, ale Jackowi się wydawało, że między wierszami czyta o jej rozpacz i frustracji:

Nowy Jork to wielkie miasto. Można tu łatwo zabłądzić. Byłam w kilku muzeach i w jednym była sztuka Polinezji. Mieli tam wojenne maczugi Maorysów. Chciałabym, aby wojna w Europie już się skończyła...

Nowy Orlean jest mekką dla wszystkich, którzy kochają muzykę. Moim rodzicom to się podoba. Ja nie lubię tutejszego upału, wszystko wydaje się wilgotne. U was jest teraz zima...

Dużo pracuję, muszę akompaniować tancerkom na fortepianie. Ale wolę pomagać Tamatei przy malowaniu ich ciał. Raz Tamatea pomalowała nawet mnie. Wyglądałam jak maoryska dziewczyna z naszego szczeplu na Kiward Station...

Nic nie wskazywało na to, żeby dziewczyna była zachwycona podróżą, i William z Kurą musieli to w końcu pojąć. Jack miał nadzieję, że wkrótce wyślą Głorię do domu i w ten sposób Gwyneira będzie miała nowe zadanie – a Gloria doda jej po prostu chęci do życia. On sam nie czuł się na siłach, aby to zrobić. Chciał wyjechać – wszystko jedno dokąd.

– Przykro mi, mamo – chciał objąć matkę, ale nie był w stanie wstać i jej przytulić. – Ale to nie będzie długo trwało. Mówią, że wojna skończy się za kilka tygodni, a potem... potem może rozejrzę się trochę w Europie. A najpierw i tak wyruszamy do Australii. Flota jest teraz w Sydney. Trzydzieści sześć statków, mamo. To największy konwój, jaki kiedykolwiek płynął przez Ocean Indyjski...

Gwyneira jednym haustem wypila całą whisky. Great Convoy był jej zupełnie obojętny, podobnie jak wojna w Europie. Czuła jedynie, że jej świat rozpada się na kawałki.

Roly O'Brien pomagał swojemu panu przebrać się do kolacji. Nie było to nic nadzwyczajnego w domu Lambertów; posiłki w kręgu rodziny nie wymagały jakiegoś specjalnego stroju. Dziś jednak w Grand Hotelu przy nabrzeżu miało się odbyć spotkanie miejscowych zarządców kopalń z przedstawicielami New Zealand Railway Corporation. Oficjalna kolacja, na którą zaproszono także damy, miała się zakończyć dyskusją na temat zmian spowodowanych wojną, czyli przede wszystkim zwiększenia kontyngentów wojskowych i możliwych wspólnych ustaleń dotyczących transportu. Kopalnie bardzo się ostatnio rozwinęły, ale potrzebne były kolejne wagony i pociągi specjalne, aby transportować węgiel do portów dalekomorskich na wschodnim wybrzeżu. Tim z uśmiechem myślał o tym, jak zareagują przedstawiciele kolei, kiedy Florence Biller będzie nie tylko próbowała wypowiadać się na równi z mężczyznami, ale wręcz przewodzić dyskusji. Tim miał nadzieję, że Florence nie zrobi czegoś nieprzemysłanego.

Od czasu historii z Lilian i Benem stosunki między Billerami a Lambertami wyraźnie się pogorszyły. Florence czyniła Tima osobiście odpowiedzialnym za to, że Ben ciągle pisał wiersze, zamiast poważnie zainteresować się kopalnią. Tim się zastanawiał, czy Florence przyprowadzi na kolację swego syna. Może tak zrobi, zamiast zabierać męża, który nie interesował się zupełnie sprawami kopalni. Lambertowie przezornie zdecydowali się zostawić córkę w domu. Dziewczyna była z tego powodu nadąsana przez cały dzień.

Roly O'Brien był dziwnie milczący. Młody mężczyzna zwykle nie pozostawiał bez komentarza niczego, co dotyczyło jego pana, miał też wiele do opowiedzenia, jeśli brał jakieś wolne, a tak było dzisiaj.

Jego zagadkowe milczenie zaintrygowało w końcu Tima.

– Co się dzieje, Roly? Jesteś jakiś nie w humorze po tym, kiedy miałeś wolne. Kłopoty z Mary? A może coś z twoją matką?

– Z moją mamą wszystko w porządku... – wydukał Roly. – Z Mary też. Tylko... Mr Tim, jak pan sądzi, czy poradziłby pan sobie kilka tygodni beze mnie?

Udało mu się wreszcie to powiedzieć i patrzył na Tima pełen nadziei. Pomógł mu właśnie włożyć kamizelkę i naszykował marynarkę. Tim włożył ją, zanim odpowiedział.

– Planujesz jakiś urlop, Roly? – spytał z uśmiechem. – Całkiem niezły pomysł, od kiedy pracujesz u mnie, nigdy nie brałeś więcej wolnego niż jeden dzień. Ale dlaczego tak nagle? Dokąd chcesz jechać? Może w podróż poślubną?

Roly zaczerwienił się jak wiśnia.

– Nie, nie, jeszcze w ogóle nie pytałem Mary, czy... to znaczy, ja... no, chłopcy mówią, że zanim się człowiek ożeni, to powinien coś przeżyć.

Tim zmarszczył czoło.

– Chłopcy? Jacy chłopcy? Bobby i Greg z kopalni? A cóż oni chcą takiego nadzwyczajnego przeżyć, zanim staną przed ołtarzem ze swoją Bridie czy Carrie? – Tim wstał i przejrzał się w lustrze. Jak zawsze przeszkadzała mu szyna – choć przede wszystkim odczuwał to wtedy, kiedy miał się spotkać z kimś obcym, jak teraz z przedstawicielami spółki kolejowej. Będą się gapili na niego i na Florence Biller. Kaleka i kobieta... W gruncie rzeczy powinien być jej wdzięczny, że odwróci przynajmniej część uwagi wszystkich od jego niepełnosprawności.

– Bobby i Greg idą do wojska – odpowiedział Roly i strzepnął jakiś pyłek z marynarki Tima. – Czy mam pana ogolić, Mr Tim? Od rana już pojawiło się trochę zarostu...

Tim usłyszał w głowie coś w rodzaju dzwonek alarmowych i popatrzył na swego służącego.

– Chłopcy podpisali kontrakt z ANZAC? Roly, nie mów, że też masz takie zamiary!

Roly skinął głową z wyraźnym poczuciem winy.

– Tak, Mr Tim. Ja... Ja... Moja mama mówi, że się za bardzo pośpieszyłem, ale chłopcy nie dawali mi spokoju. I już podpisałem zobowiązanie.

Opuścił wzrok, a Tim ciężko opadł na fotel.

– Roly, na miłość boską! Ale możemy to wycofać! Jeśli pójdziesz z tobą do biura rekrutacyjnego i wyjaśnię im, że bez twojej pomocy nie jestem w stanie kierować tą kopalnią...

– Zrobiłby pan to dla mnie? – Roly był wyraźnie poruszony.

Tim westchnął. Nienawidził już samej myśli o tym, że będzie musiał coś wyjaśniać jakiemuś oficerowi i przyznać się do własnej słabości.

– Oczywiście, Roly. Zrobiłbym to też dla twojej matki. Kopalnia Lambertów zabrała jej męża. Jestem jej więc winien troskę o życie jej syna...

Ojciec Roly'ego O'Briena zginął w następstwie wypadku w kopalni Lambertów.

Roly przestępował z nogi na nogę.

– A jeśli... A jeśli ja tego wcale nie będę chciał? To znaczy... wycofać się...

Tim znów westchnął.

– Usiądź, Roly, musimy pomówić.

– Ale Mr Tim, pańska kolacja... Miss Lainie będzie czekać...

Tim potrząsnął energicznie głową i wskazał na drugie krzesło.

– Moja żona nie umrze z głodu, a kolacja może się zacząć bez nas. Ale wysłać cię na wojnę... Skąd ci przyszedł do głowy ten głupi pomysł? Czy coś ci zrobił jakiś Niemiec, Austriak czy Węgier, czy też ktokolwiek, do kogo zamierzasz strzelać?

Roly zagryzł wargę.

– Oczywiście, że nie, Mr Tim – odpowiedział. – Ale ojczyzna... Greg i Bobby...

– To chyba bardziej wzywają cię Greg i Bobby, a nie ojczyzna – zauważył Tim. – Mój Boże, Roly, wiem, że dorastałeś razem z tymi niewiele wartymi chłopakami i że nazywasz ich swoimi przyjaciółmi. Ale Matt Gawain też nie jest nimi zachwycony i mówi, że więcej piją, niż pracują. Trzymamy ich tutaj tylko dlatego, że brakuje pracowników, ale chętnie byśmy się z nimi szybko rozstali. Nic dziwnego, że ciągnie ich do przygody – armia to coś bardziej honorowego niż wyrzucenie z pracy. Ale ty nie musisz robić tego samego, Roly! Masz pewną posadę, każdy cię ceni, a taka fajna dziewczyna jak Mary Flaherty tylko czeka na twoje oświadczenie...

– Mówi pan jak moja mama! – wyrwało się Roly'emu. – Brat chorych, taka męska pielęgniarka czy ciepła kluska, to właściwie żadna różnica...

Roly miał przewisko „brat chorych”, jako aluzję do „siostry”, które nadali mu górnicy, kiedy całymi miesiącami po wypadku Tima opiekował się nim i był właściwie jego pielęgniarzem. Ale Roly uważał, że to zaszczytne przewisko. Teraz Tim zrozumiał, że kpiny kolegów zrobiły swoje. Praca pielęgniarza czy też służącego w domu nie uchodziła wśród nieokrzesanych chłopaków z zachodniego wybrzeża za coś honorowego.

– I z powodu takich bzdur jesteś gotów zaryzykować własne życie? – spytał wyraźnie zirytowany Tim. – Roly, to nie jest niewinna przygoda! To jest wojna! Tam się strzela ostrymi nabojami! Miałeś w ogóle choć raz w życiu broń w rękę? A co mówi twoja matka?

Roly wzruszył ramionami.

– Jest wściekła. Mówi, że w ogóle nie pojmuje, dlaczego chcemy tam walczyć, skoro nikt nas nie zaatakował. I że powinienem zostać tam, gdzie teraz jestem. Ale ona w ogóle tego nie rozumie! – oświadczył przemądrzale. – W końcu jest tylko kobieta...

Tim potarł ręką czoło. On sam bardzo cenił i szanował rezolutną Mrs O'Brien, która wychowała swoje dzieci, ciężko pracując w szwalni, i tak doskonale potrafiła się obchodzić z nowoczesnymi maszynami do szycia, że stanowiła konkurencję dla wszystkich damskich i męskich krawców całego regionu. W głębi ducha całkowicie podzielał jej zdanie: jeśli rząd nie był w stanie wyjaśnić jej i pozostałym obywatelom, dlaczego ta wojna w ogóle miała być prowadzona, to nie należało brać w niej udziału. Tim wdzięczny był losowi, że jego synowie byli za

młodzi, aby dać się nabrać na tę przygodę.

– Twoja matka będzie musiała złożyć cię do grobu, jeśli zginiesz, Roly – powiedział brutalnie. – Zakładając, że Anglia zada sobie tyle trudu, aby poległych Nowozelandczyków przewieźć statkiem do domu. Prawdopodobnie pogrzebią was od razu we Francji...

– Nigdy nie byłem we Francji! – odparł przekornie Roly. – Łatwo panu mówić, pan wszędzie był, zaznał pan przygód i w ogóle. Był pan wszędzie w Europie. A my? My nigdy stąd nie wyjedziemy. A z armią zwiedzimy tyle obcych krajów...

Tim przycisnął rękę do czoła.

– I tak wam powiedziano? W biurze rekrutacyjnym? Ci ludzie są chyba szaleni! Roly, wojna to nie jest wakacyjna podróż!

– Ale ta wojna nie będzie długo trwała! – triumfował Roly. – Oni mówią, że tylko kilka tygodni. I najpierw pojedziemy do obozu szkoleniowego; myślę, że to będzie gdzieś w Australii. Może być tak, że kiedy zakończymy szkolenie, to i wojna już się skończy.

Tim potrząsnął głową.

– Ach, Roly... – westchnął. – Żałuję, że nie rozmawialiśmy wcześniej. Patrz, nie wiem jeszcze nic dokładnie, ale cały przemysł i górnictwo szykują się na wojnę, która będzie trwać wiele lat. Bądź, proszę, rozsądny! Posłuchaj Mrs O'Brien i twojej Mary. Ona dopiero cię zruca, kiedy się dowie o twoich zamiarach. Jutro poszukam wszystkich możliwości, abyś mógł się wycofać z tej umowy. Uwierz mi, że damy sobie z tym radę!

Teraz z kolei Roly potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie poważnego, ale i zdecydowanego.

– Nie mogę, Mr Tim. Jak teraz nawalę, to będę tutaj skończony. Nie może mi pan tego robić!

Tim opuścił głowę.

– A więc dobrze, Roly, poradzę sobie bez ciebie. Ale nie na wieczność, zrozumiałeś? Masz przeżyć, wrócić i ożenić się z twoją Mary. Jasne?

Roly uśmiechnął się szeroko i odpowiedział:

– Obiecuję!

Ludzie stali wzdłuż drogi i pozdrawiali żołnierzy, którzy szli w nieregularnych szóstkach wprost do portu. Dunedin witał Czwartą Nowozelandzką Dywizję Piechoty; jeszcze tego popołudnia wojskowy transportowiec miał wypłynąć do portu Albany w Zachodniej Australii. Roly O'Brien, Greg McNamara i Bobby O'Mally maszerowali wesoło w trzecim rzędzie. Chłopcy byli tak dumni jak jeszcze nigdy w życiu. Ze śmiechem przypinali sobie do swych nowych brązowych mundurów kwiaty, które rzucały im dziewczęta z Dunedin.

– Czy nie mówiłem, że będzie wspaniale? – spytał Greg i trącił Roly'ego. Wszyscy trzej nie byli całkiem trzeźwi. Bobby zabrał na punkt zbiórki whisky, a inni żołnierze też puszczały w krąg butelki z napojami mającymi dodać odwagi. Porucznik, który prowadził rozbawiony oddział, wprawdzie tego zabronił, ale świeżo upieczeni żołnierze nie za bardzo się tym przejmowali. Większość z nich była przyzwyczajona do tego, że można sobie pozwolić na więcej. Prawie żaden nie wyuczył się dotychczas żadnego rzemiosła ani też nie miał żadnej stałej pracy. Większość próbowała się utrzymać, szukając złota.

– To przynajmniej macie wprawę w kopaniu okopów – westchnął porucznik, który wypytywał nowych żołnierzy o ich umiejętności. Roly mógł oczywiście opowiedzieć o swoich doświadczeniach pielęgniarza, ale się powstrzymał. Było tylko znowu się nie zbłąźnić! Jak dotychczas doskonale się czuł w swoim oddziale. Przedtem próbowali zaśpiewać coś razem, ale niestety nie przyszła im do głowy żadna piosenka, którą znaliby wszyscy. Cztery różne grupy kilka razy zaczynały śpiewać coś innego, zanim wreszcie skończyło się na *It's a Long Way to Tipperary*.

– Wchodzimy zaraz na pokład, czy najpierw pójdziemy do najbliższego pubu? – spytał Bobby. Był najmłodszy z nich trzech i fascynowały go liczne nowe doświadczenia, których doznawał. Dla Grega i Bobby'ego już sama podróż pociągiem była wielką przygodą. Roly podchodził do tego spokojniej. Sporo podróżował z Lambertami, znał już całą Wyspę Południową i był nawet z Timem w Wellington na Wyspie Północnej. Patrzył więc nieco pobłażliwie na rozentuzjasmowanych kolegów.

– Statek nie będzie na nas czekał, Bob! A armia nie chodzi razem do pubu. Nie słyszałeś, co mówił porucznik? Płyniemy teraz do Australii, zaraz potem do Francji i tam będziemy musztrowani.

– Musztra, to niezbyt dobrze brzmi – zachichotał jakiś chłopak z tyłu. – Macie, chce ktoś łyka? Sam pędziłem! – Podał butelkę do przodu.

Do portu przyszły także tłumy ludzi, którzy chcieli pożegnać swoich bohaterów. Wśród nich było bardzo niewielu krewnych żołnierzy – nieliczne zaś matki i żony raczej płakały, niż krzyczały z radości. Większość przybyła po to, aby zobaczyć wypływający statek i mężczyzn ruszających za morze w poszukiwaniu przygody. Wszyscy podziwiali błyszczące odznaki NZEF, armii Nowej Zelandii, które błyszczały na kapeluszach rekrutów, i wydawali na przemian okrzyki na cześć Wielkiej Brytanii i ubliżali Niemcom. Rekruci, w doskonałych nastrojach, chętnie im odpowiadali. Zaokrętowanie się było jednym wielkim świętem. Roly'emu i jego przyjacielom nie przeszkadzało też, że kajuty były ciasne i przepełnione, że właściwie cały statek był przeładowany pasażerami. Ponieważ nie wszyscy znaleźli miejsce na pokładzie, aby pomachać tłumom na pożegnanie, niektórzy siadali, opuszczając nogi poza reling. Roly akurat zdążył uratować pijanego Bobby'ego przed upadkiem do wody.

Jack McKenzie trzymał się z daleka od tumultu i zgiewku. Maszerował w milczeniu w jednym z ostatnich rzędów, ale nie patrzył na wiwatujących ludzi. Widząc panujący dookoła zamęt i chaos, niemal żałował swojej decyzji. Chciał jechać na wojnę, ale wydawało mu się, że wylądował na jakimś jarmarku. Podczas kiedy wszyscy świętowali w czasie wyjścia statku z portu, umieścił swoje nieliczne rzeczy w maleńkiej, przeznaczonej do tego szafce. Może to był błąd, aby wstępować do dywizji piechoty. Gwyneira nie posiadała się wprost z oburzenia, kiedy się o tym dowiedziała.

– Masz przecież konia, Jack! I odebrałeś świetne wychowanie. W kawalerii szybko mógłbyś zdobyć stopień oficerski. Moja rodzina... – Gwyneira urwała. Nie miało teraz zbyt wiele sensu opowiadać Jackowi o wojennych doświadczeniach jej walijskich przodków. Silkhamowie należeli do wiejskiej szlachty; ich synowie nigdy nie służyli w wojsku jako prości żołnierze.

– Mamo, nie będę przecież wlec Anwyla na wojnę! – odparł oburzony Jack. – Tysiące mil na statku tylko po to, żeby go tam ktoś zastrzelił?

– Nie odważysz się zabierać Anwyla na wojnę? – Gwyneira była kompletnie skonsternowana. – Boisz się o swojego konia, Jack? Podczas kiedy ty sam...

– Mój koń nie jest ochotnikiem – odparł Jack. – Nigdy nie wyraził chęci, aby wstąpić do armii. Dlatego według mnie nie byłoby fair, gdybym zabierał go wprost z wybiegu i wiozł statkiem do Francji. A poza tym nie żyjemy w średniowieczu. Na tej wojnie walczy się za pomocą broni maszynowej i to ona będzie decydować o zwycięstwie, a nie kawaleryjskie szarże.

Gwyneira w końcu umilkła. Ale teraz Jack się zastanawiał, czy jednak nie miała racji. Byłoby dobrze mieć teraz przy sobie czarnego wałacha. Anwyl miał przyjazne, bardzo spokojne usposobienie; nawet w czasie ostatnich, bardzo trudnych tygodni jego obecność działała na Jacka kojąco. Podobnie jak suka Nimue – ale ona musiała dotrzymać towarzystwa matce. Pomyślał, że Gloria z pewnością już wróciła do domu.

Jack padł na kolę – wybrał sobie jedną z tych położonych najniżej. W prymitywnych klitkach, w których upychano po dziewięciu mężczyzn, znajdowały się naprędce sklecone trzy łóżka o trzech poziomach. Zdaniem Jacka nie budziły one zaufania – miał nadzieję, że nie zwali się na niego jakiś żołnierz – zawodnik wagi ciężkiej.

Ale nie mógł się uspokoić. Kiedy tylko statek ruszył i Jack miał nadzieję, że monotonne dudnienie maszyn i kołysanie fal pozwolą mu zasnąć, usłyszał, że ktoś, potykając się, stacza się po schodach w dół. Dwóch chłopaków, jeden niski i krępy, drugi zaś rudowłosy dryblas, prowadziło trzeciego, który mamrotał coś do siebie.

– On chyba nie ma już choroby morskiej, prawda, Roly? – spytał blondyn. Rudowłosy przewrócił wymownie oczami i odparł:

– Ach nie, on jest po prostu pijany jak bela. Pomóż mi go wsadzić na drugie piętro tego łóżka. Mam nadzieję, że się nie porzyga...

Jack też miał taką nadzieję. Mężczyźni wepchnęli przyjaciela na łóżko, co prawda nie bezpośrednio ponad nim, lecz obok.

– On już się porzygał. No, wygląda raczej... – blondyn sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Rudowłosy fachowo sprawdził puls przyjaciela.

– E, nic mu nie jest, musi się tylko wypać – stwierdził spokojnie. – Mamy tu wodę? Będzie miał straszne pragnienie, kiedy się obudzi.

– Beczki z wodą stoją w korytarzu – odezwał się Jack.

Blondyn wziął wiadro i wyszedł chwajnie. Rudowłosy podziękował i spojrzał na Jacka uważnie.

– Czy my się nie znamy? – spytał.

Jack podniósł wzrok – chłopięce rysy i dobrodusze szaroniebieskie oczy wydały mu się znajome. Skądś znał tego młodego człowieka, gdzieś go widział. Ale nie na farmie. On...

– Ty jesteś z Greymouth, prawda? – spytał.

Roly O'Brien skinął głową i też starał się sobie przypomnieć.

– Pan jest... Mr Jack! Kuzyn Miss Lainie. Kilka lat temu był pan u nas w odwiedzinach. Ze swoją żoną! – Roly promieniał z radości. Ale Jackowi to wspomnienie sprawiło kolejny ból. Poślubna podróż z Charlotte, ich pobyt u Lambertów...

Ten chłopiec był tam wtedy służącym, przypomniał mu się. I troszczył się przede wszystkim o Tima Lamberta.

– Mogłeś tak po prostu zostawić swojego pana? – spytał, aby chłopcu nie przyszło do głowy pytanie o Charlotte.

Roly skinął głową.

– Kilka tygodni może beze mnie wytrzymać! – odpowiedział beztrasko. – Pewnie łatwiej mu to przyjdzie niż pańskiej żonie. – Uśmiechnął się. Już wtedy nie był obdarzony zbyt dużym wyczuciem taktu, choć nie był też nieczuły. Uśmiech znikł z jego twarzy, kiedy zobaczył udręczoną twarz Jacka. – Czy... powiedziałem coś złego, sir?

Jack przełknął ślinę i potrząsnął głową.

– Moja żona zmarła niedawno – powiedział cicho. – Ale tego przecież nie mogłeś wiedzieć... Jak właściwie masz na imię?

– Roly, Mr Jack, sir. Roland O'Brien, ale wszyscy nazywają mnie Roly. Mr Jack... Przykro mi. Proszę wybaczyć...

Jack machnął ręką.

– Tylko Jack. Zapomnij o tym mister, nie mówiąc już o sir. Jestem szeregowy Jack McKenzie.

– A ja szeregowy O'Brien, sir. Brzmi dobrze, prawda? Szeregowy O'Brien! Ekscytujące! – Roly promieniał. Jego przyjaciel o blond włosach przyniósł tymczasem wiadro wody i postawił je koło łóżka.

– To jest szeregowy Greg McNamara – przedstawił go Roly. – A ten trzeci to Bobby O'Mally. On zwykle nie jest taki milczący, Mr Jack. Tylko trochę przesadził ze świętowaniem. Greg, wyobraź sobie, że to jest Jack McKenzie z Canterbury Plains. Kuzyn Miss Lainie.

Roly, nie przestając paplać, poszukał w swoich rzeczach menażki, wyjął kubek, napełnił go wodą i przyłożył do ust chłopca. Potem zwilżył wodą chusteczkę i położył mu ją na czole.

Jack trochę się mimo woli zastanawiał, dlaczego ten młody człowiek nie zgłosił się do służby jako sanitariusz. Sposób, w jaki zajął się pijanym przyjacielem, był wysoce profesjonalny; Roly nawet nie mrugnął okiem, kiedy Bobby znów zwrócił się do wiadra.

Ale dla Jacka było to za dużo. Zarówno woń wymiocin, jak i niczym niezmacona wesołość młodych mężczyzn były nie do zniesienia.

Wymruczał coś o świeżym powietrzu i wyszedł na pokład, gdzie ciągle jeszcze świętowano. Porucznik, który dowodził oddziałem, bezskutecznie próbował przywołać wszystkich do porządku.

Jack poszedł na rufę i po raz ostatni spojrzał na szybko znikające w oddali nowozelandzkie wybrzeże. „Kraj Białej Chmury”... Dziś nie skrywał się za mgłą. Ale pierwsze łodzie Maorysów przybyły do niego z zupełnie innego kierunku. Hawaiki... Jack próbował nie myśleć o Charlotte, ale jak zawsze było to daremne. Wiedział jednak, że kiedyś będzie musiał przestać za nią tęsknić w każdej sekundzie swego życia, wraz z każdym uderzeniem swego serca. Ale teraz jeszcze nie było to możliwe. Poczul dojmujące zimno.

Pierwszą noc na pokładzie zaimprovizowanego statku transportującego oddziały wojskowe – najwyraźniej w innych czasach „Great Britain” przewoziła podróżnych do Europy, ale teraz kajuty pierwszej klasy zamieniono w najzwyklejsze kwatery dla żołnierzy – Jack odebrał jako piekło. Żaden z jego współtowarzyszy w kajucie nie był trzeźwy, co przejawiało się między innymi w tym, że każdy z nich wstawał co parę minut i zataczając się, wychodził na pokład, aby oddać mocz. Inni znowu spali głęboko, chrapiąc na przeróżne tony. Jack nie zmrużył oka i już wcześniej rano uciekł na pokład, wpadając przy tym prosto w ramiona sfrustrowanego porucznika.

– Wygląda tu jak w chlewie! – zaatakował go oficer, a Jack nie mógł zaprzeczyć jego słowom. Pokład nosił wszelkie ślady radosnych orgii pożegnalnych; śmierdziało wymiocinami i moczem, na deskach leżały puste butelki oraz resztki jedzenia.

– I to mają być rekruci! Jeszcze nigdy nie widziałem kupy tak niezdiscyplinowanych ludzi!

Mężczyzna mówił z angielskim akcentem. Najwyraźniej wysłano go z ojczyzny, aby zwerbował grupę rekrutów „kiwi”, których miał szkolić. Jackowi zrobiło się go niemal żal. Ten człowiek z pewnością wiedział, jak musztrować żołnierzy, ale wydawało się, że przyjechał tu wprost z akademii wojskowej. Większość z jego podwładnych była starsza i bardziej doświadczona od niego.

– Ci chłopcy może nie są kwiatem nowozelandzkiej młodzieży – stwierdził Jack, uśmiechając się krzywo. – Ale na pewno sprawdzą się na froncie. Potrafią przetrwać w każdych warunkach, są do tego przyzwyczajeni.

– Tak? – spytał oficer kpiąco. – To pięknie, że dzieli się pan ze mną swoją wiedzą na temat rodaków. Pan sam jest oczywiście czymś lepszym, szeregowy...

– McKenzie, sir.

Jack westchnął. Właśnie sam zapomniał przedtem użyć słowa „sir”. A teraz ten młody człowiek na pewno wyładuje na nim swoją złość.

– Nie, sir, wcale nie uważam się za kogoś lepszego.

Jack chciał powiedzieć coś więcej i może napomknąć coś o swoich doświadczeniach z żądnymi przygód młodymi ludźmi z farmy Kiward Station, ale ugryzł się w język. Byle nie wydać się mędrkiem!

Mimo pojednawczego tonu Jacka porucznik przybrał bardzo wojowniczą postawę.

– To proszę to udowodnić, szeregowcu McKenzie! Sklarować statek! Za godzinę pokład ma błyszczeć!

Młody oficer odmaszerował, a Jack udał się na poszukiwanie wiadra i szczotki. Czuł narastający gniew i usiłował się przed tym uczuciem obronić. W końcu przecież szukał jakiegoś zajęcia, a wody też było dość. Kiedy wyciągał z morza już trzecie wiadro, przyłączył się do niego Roly O'Brien.

– Pomogę panu, Mr Jack. I tak nie mogę spać, Bobby i ten facet z Otago... jak on się nazywa?... Ten Joe, oni chrapią jak na wyścigach.

Jack uśmiechnął się do niego.

– Tylko Jack, Roly. I wygląda na to, że musimy się zacząć przyzwyczajać do awantur. W czasie kolejnych nocy chłopcy nie przestaną balować.

Roly przewrócił oczami i zmiotł z pokładu kałużę wymiocin.

– Ale nie mają już whisky. A może sądzi pan, że coś jednak zostało?

Jack się roześmiał.

– W Australii uzupełnią zapasy. A we Francji... Co się pije we Francji? Calvados?

Roly zmarszczył czoło. Najwyraźniej nie słyszał o calvadosie; ale też się roześmiał.

– Wino! Mr Tim i Mrs Lainie piją francuskie wino! Przysłała im je Mr Ruben, ojciec Miss Lainie, on ma dom towarowy w Queenstown. Ale mnie ono nie za bardzo smakuje. Wolę walnąć sobie dobrą whisky. Pan nie, Mr Jack?

Jack wypatrzył dwóch rekrutów, rannych ptaszków, podobnie jak on, i zagonił ich bez ceregieli do sprzątnięcia pokładu. Wkrótce potem zjawili się kolejnych trzech, i kiedy porucznik przyszedł dokładnie godzinę po wydaniu rozkazu, pokład rzeczywiście błyszczał. Był wprawdzie mokry, ale czysty.

– Bardzo dobrze, szeregowy McKenzie! – Oficer nie był na szczęście pamiętliwy. – Może pan iść na śniadanie – ze swoimi ludźmi. W kambuzie też już jest załoga.

To ostatnie zabrzmiało dumnie. Prawdopodobnie porucznik musiał wyrzucić z łóżka kucharza.

Jack skinął głową, a Roly próbował zaszalować przed oficerem. Nie całkiem mu się to udało, ale oficer przynajmniej się uśmiechnął.

– Jakoś to będzie... – wymamrotał i zaczął spacerować po czystym pokładzie.

I rzeczywiście po pierwszym szalonym wieczorze na morzu dyscyplina się poprawiła – już choćby dlatego, że zapasy alkoholu niemal się skończyły. Choć co prawda żołnierze nie mieli zbyt wiele do roboty. Ciasnota uniemożliwiała wszelkie próby musztry, którą być może

porucznik chętnie by przeprowadził. Oficer podzielił wprawdzie rekrutów na dwie grupy, które po kolei ćwiczyły na pokładzie, ale nie za bardzo to wychodziło. Żaden z mężczyzn nie widział powodu, dla którego mieliby maszerować równym krokiem po kołyszącym się pokładzie statku. I ku przerażeniu porucznika musztra kończyła się ogólnym śmiechem. Młody oficer z wyraźną ulgą powitał dzień, w którym „Great Britain” zawinęła wreszcie do portu King George Sound. Wybrzeże Albany, będące wówczas pod protektoratem Princess Royal Fortress, przedstawiało się z daleka jako słoneczne plaże i ciągnące się daleko zielone lasy.

– Twierdza jest całkowicie obsadzona – oświadczył porucznik. – I uzbrojona po zęby. Służy do obrony floty morskiej. Jeśli nas ktoś zaatakuje...

– A kto miałby nas tu zaatakować? – dopytywał się Greg McNamara, jak najciszej z wiadomych powodów. – Jak gdyby w Niemczech ktoś wiedział, gdzie leży Albany...

Jack w głębi ducha mógł tylko przytaknąć. On też nigdy w życiu nie słyszał o małej miejscowości na zachodnim wybrzeżu Australii, a twierdza wzniesiona była raczej w celu utrzymywania dyscypliny wśród skazańców w Botany Bay niż do obrony kraju. Jednak załoga Albany podeszła do swojego zadania poważnie, o czym Nowozelandczycy mieli się przekonać przy schodzeniu na ląd. Kto tylko zbliżał się do twierdzy, był pytany o hasło dnia i traktowany bardzo nieufnie.

W portowej zatoce, do której zawinęła „Great Britain”, kotwiczyły liczne statki, a w ciągu najbliższych dni dołączyły kolejne. I ostatecznie znalazło się tam trzydzieści sześć statków transportujących oddziały wojskowe, którym towarzyszyły różne okręty wojenne.

Roly podziwiał błyszczące działa „Sydney” i „Melbourne”, olbrzymich okrętów wojennych, które miały ochraniać Great Convoy.

– No, niech tylko ktoś się odważy nas zaatakować! – powiedział zachwycony. Jak wszyscy pozostali żołnierze, odczuwał ogromną dumę na widok potężnej floty, która formowała się w szyk przed wypłynięciem. Czoło kolumny tworzyło dwadzieścia sześć australijskich statków płynących trójkami; za nimi znajdowało się dziesięć statków nowozelandzkich płynących dwójkami. Widok wszystkich jednostek, flag i tysięcy mężczyzn w mundurach zgromadzonych na pokładach poruszył nawet Jacka. Także pogoda wydawała się współgrać z tą demonstracją siły i wojennego zapału żołnierzy australijskich i „kiwi”. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce, niebieskie morze, gładkie jak lustro, błyszczało w jego promieniach, a z daleka pozdrawiało przepiękne wybrzeże Albany. W końcu także załoga twierdzy wyraziła swój podziw, oddając z armat salwę honorową.

Roly, Greg i Bobby wymachiwali zawzięcie rękami. Ale w oczach innych mężczyzn, głównie Australijczyków, którzy z tego miejsca po raz ostatni patrzyli na ojczyznę, pojawiły się łzy wzruszenia.

Jack odczuwał nieokreśloną ulgę. Chciał zostawić wszystko za sobą i wreszcie mu się to udało. Odwrócił się tyłem do znikającego lądu i patrzył przed siebie – w nieznaną, niepewną przyszłość.

Podróż z początku przebiegała dla żołnierzy bez żadnych ważniejszych wydarzeń. Pogoda się ustaliła, morze było spokojne. Rok 1915, który żołnierze powitali w Albany, zaczął się dobrze. Rekruci byli coraz bardziej podekscytowani, kiedy „Sydney” na wysokości Wysp Kokosowych oddalił się od konwoju. Wrócił dopiero kilka dni później i Roly z błyszczącymi oczami opowiadał o pierwszym „zetknięciu z wrogiem” ANZAC. I rzeczywiście, przy Keeling Island „Sydney” zmusił niemiecki okręt wojenny „Emden” do przyplłynięcia do lądu i zniszczył go. Wydarzenie powitane zostało okrzykami radości i kolejnymi ekscesami alkoholowymi. W Australii mężczyźni uzupełnili swoje zapasy i młody porucznik Keeler znów nie był w stanie utrzymać dyscypliny. Roly i jego przyjaciele tym razem byli jednak trzeźwi – po prostu zabrakło im pieniędzy, aby uzupełnić zapas alkoholu, którego w Albany nie było wiele i w związku z tym bardzo podróżał.

Jack i Roly wystrzegali się teraz zbyt wczesnego wyjścia na pokład, choć powietrze w kajucie było tak gęste, że można je było niemal kroić. Na pokładzie panował nieznośny upał, brakowało choćby najłżejszego powiewu wiatru – statek żaglowy byłby skazany na trwający wiele tygodni bezruch. Za to statki parowe płynęły tym szybciej po tak spokojnym morzu, podczas kiedy mężczyźni cierpieli w przepelnionych kajutach, a jeszcze bardziej cierpiały kawaleryjskie konie. Jack cieszył się ze swej decyzji – Anwyl nie musiał znosić takich trudów – a z drugiej strony zazdrościł innym mężczyznom kontaktu ze zwierzętami. Tęsknił za wonią końskiego potu i siana, zamiast smrodu niemytych męskich ciał. On sam i kilku innych żołnierzy myli się wodą morską, w efekcie czego czuli się wprawdzie lepiej, ale później zapłacili za to bolesnymi podrażnieniami skóry.

I wreszcie, po kilku dniach na morzu, porucznik Keeler zwołał swoich żołnierzy na pokład. Miał im do przekazania, co zaznaczył na wstępie, ważną wiadomość. Ale nie było łatwo zgromadzić na pokładzie ośmiuset żołnierzy, co natychmiast zauważył Jack – brakowało po prostu miejsca i natychmiast zaczęły się kłótnie, a poza tym mężczyźni stojący dalej prawie nie słyszeli głosu porucznika. Wiele czasu minęło, zanim ucichły protesty i kłótnie i wszyscy rekruci dowiedzieli się o ostatniej nowości: Turcja wypowiedziała wojnę Anglii, wobec czego dowództwo brytyjskie zdecydowało się nie wysyłać sił zbrojnych ANZAC do Francji. Zamiast tego miały się one udać w rejon cieśniny Dardanele.

– Jakiej cieśniny? – pytał zaskoczony Roly.

Jack wzruszył ramionami. On także niewiele wiedział na temat geografii Europy południowo-wschodniej.

– Szkolenie przed działaniami zbrojnymi – oświadczył porucznik – będzie przeprowadzone w Egipcie. Po krótkim postoju w Colombo weźmiemy kurs na Aleksandrię.

Przynajmniej o Aleksandrii Jack coś słyszał, w przeciwieństwie do Colombo. Musiał najpierw wypytać innych, aby ustalić, że jest to miasto na Cejlonie, zielonej tropikalnej wyspie leżącej na Oceanie Indyjskim.

– Wyspa znana jest dzięki uprawie herbaty – pouczał porucznik, który teraz odnosił się do Jacka o wiele bardziej łaskawie. Zauważył już dawno, że rudowłosa hodowca bydła z Canterbury Plains jest nie tylko znacznie starszy, ale bardziej wykształcony i opanowany niż pozostali żołnierze. – Ale nie róbcie sobie zbyt wielkich nadziei co do zejścia na ląd, McKenzie. Bierzemy tylko zaopatrzenie i płyniemy dalej.

I rzeczywiście flotylla ANZAC tylko na krótko rzuciła kotwicę w porcie, a podekscytowany Roly liczył kolejne statki wszystkich możliwych bander. Ze statku widać było tylko zielone wybrzeże wyspy i sylwetkę małego, kwitnącego za sprawą wojny miasta portowego. Rekruci szemrali coraz głośniejsze. Wszystkim dokuczała nuda; praktycznie nie było innego zajęcia niż leżeć na pokładzie i się opalać. Ciągłe było gorąco i sucho, co zaskakiwało przede wszystkim żołnierzy z Wyspy Południowej Nowej Zelandii, gdzie rzadko który dzień upływał bez deszczu.

Minęło kolejnych piętnaście dni na morzu, zanim flotylla dotarła do Suez. Tu po raz pierwszy rekruci usłyszeli o działaniach wojennych na lądzie, w których brali udział także Australijczycy. Ponoć miały miejsce ataki wojsk tureckich na Kanał Sueski. Porucznik Keeler nakazał swoim ludziom wzmoczoną ostrożność w czasie przeprawy przez kanał i wystawił strażę. Roly spędził na pokładzie noc pełną napięcia, wypatrując na brzegach kanału każdego ogniska czy też osiedla, z którego coś płynęłoby w stronę okrętu. Jednak nie doszło do żadnych znaczących wydarzeń. Flotylla bez żadnych przeszkód przepłynęła przez Kanał Sueski i dotarła do Aleksandrii.

– Aboukir Bay! – powiedział Jack niemal ze złością, kiedy rzucili kotwicę. – To tu, nad Nilem, Nelson prawie sto lat temu stoczył zwycięską bitwę morską z Francuzami!

– Nelson był... Anglikiem? – spytał Bobby ostrożnie.

Jack się roześmiał.

W Aleksandrii statki zostały wreszcie rozładowane, ale żołnierze ANZAC niewiele zobaczyli ze słynnego miasta o tak chwalebnej przeszłości. Brytyjscy oficerowie poprowadzili bardzo podekscytowane oddziały, maszerujące niezbyt zdyscyplinowanym krokiem, wprost do kolejowej stacji przeładunkowej.

– Do Kairu! – powiedział Greg z niedowierzaniem. Obco brzmiące nazwy miast, wąskie, rozgrzane słońcem uliczki, drobni ludzie w arabskich strojach, dźwięk obcych języków i niezwykle zapachy zarówno fascynowały tych chłopców, jak i niepokoiły. Roly, mimo bliskości przyjaciół, czuł się mocno zagubiony w tym obcym świecie; zaczynał też trochę tęsknić za domem.

Jack chłonął obcy świat, nowe wrażenia fascynowały go i udawało mu się wreszcie nie myśleć o Charlotte – o ile nie układał w myślach

listów do niej. Także z tym musiał skończyć!

Zastanawiał się, do kogo mógłby pisać zamiast do niej, i w końcu przyszła mu na myśl Gloria. Tak, to prawda, w ciągu ostatnich lat prawie o niej nie słyszał, ale ciągle czuł się związany z tą dziewczyną. Może ona w końcu się pojawi i opowie coś więcej o swoim życiu w Ameryce, tym bardziej kiedy się dowie, że nie ona jedna wyjechała z Kiward Station tak daleko.

Opisywał więc Glorii morską podróż dumnej floty, a później jazdę do Kairu pociągiem wyładowanym do granic możliwości. Krajobrazu właściwie nie było widać; oddziały transportowane były nocą i dotarły do miasta wczesnym rankiem. Ale wtedy też było zupełnie ciemno i ku zaskoczeniu mężczyzn – wręcz zimno, kiedy oddziały formowały się do marszu w kierunku obozu szkoleniowego. Większość Australijczyków ruszała do obozu położonego na południu Kairu, Nowozelandczycy zaś mieli się udać do obozu na północy miasta. Wszystkich czekał długi, liczący wiele mil marsz, co okazało się niezwykle męczące po wielotygodniowej bezczynności na pokładach statków.

Jack był zmęczony i zmarznięty, kiedy wreszcie dotarli do namiotowego miasteczka „Zeitoun”. W każdym namiocie miało mieszkać szesnastu żołnierzy; Roly i jego przyjaciele zostali z Jackiem. Odetchnąwszy, zajęli jedno trzypiętrowe łóżko.

– Uff, jestem wykończony! – stękał Greg.

Kilku innych mężczyzn, najwyraźniej mieszcuchów, było w jeszcze gorszej kondycji niż chłopcy z Greymouth. Ich nowe, wysokie buty wojskowe obcierały, a dwóch mieszkańców namiotu niemal nie było w stanie zrobić kroku. Stękali głośno, ściągając buty.

Jack szybko się pozbierał. Ktoś musiał zadbać tu o porządek. Najpierw zmobilizował Bobby’ego, który padł na przyczę i nie miał zamiaru wstać.

– Nie zasłaniaj się zmęczeniem, szeregowy O’Mally! – zbeształ chłopaka. – Ktoś mówił coś o wydawaniu jedzenia, idź w tym kierunku i dowiedz się czegoś. Załatw przynajmniej gorącą herbatę, żeby ci chłopcy mogli stanąć na nogi. A ty, Greg, szeregowy McNamara, idź i rozejrzyj się za kocami. Właściwie powinny być jakieś w namiocie, ale najwyraźniej o nas zapomniano...

– Możemy spać w ubraniach – marudził Greg.

Jack potrząsnął głową.

– To jutro rano dostaniemy reprimendę, bo będziemy mieli pogniecione mundury. Chłopcze, to jest obóz szkoleniowy. Podróż się skończyła, od teraz jesteś żołnierzem.

Roly grzebał w swoim zestawie do pierwszej pomocy, który należał do podstawowego wyposażenia żołnierzy, i wyciągał właśnie bandaże.

– Nie ma tu żadnej maści na rany – zauważył krytycznie. – Ale co to jest?

– *Manuka*, olej z drzewa herbacianego – odpowiedział jeden z żołnierzy, którego rysy twarzy i gęste czarne włosy wskazywały na maoryskie pochodzenie. – To bardzo stary środek leczniczy wśród szczepów maoryskich. Możesz posmarować tym stopy chłopakom. Wtedy się szybciej zagoją.

Jack skinął głową. Także na Kiward Station używano *manuka* w ramach pierwszej pomocy. Choć co prawda u owiec i koni...

– Ale najpierw musimy umyć nogi! – oświadczył Jack. Już teraz w namiocie śmierdziało nieźno. – Kto na ochotnika po wodę?

Następnego ranka w czasie apelu wszyscy mieszkańcy namiotu Jacka prezentowali się znakomicie, stojąc przed wyraźnie przemęczonym porucznikiem Keelerem, a Jack otrzymał swój pierwszy awans. Przy wystąpieniu Nowozelandzkiej Dywizji Piechoty jego nazwisko wywołano wraz z kilkoma innymi.

– McKenzie – po rozmowie z dowództwem obozu mianuję pana starszym szeregowym! – oświadczył porucznik Keeler z tak dumnym uśmiechem, jak gdyby przyznawał nieomal Krzyż Wiktorii. Co prawda na zakończenie musiał wyjaśnić wszystkim, na czym będą polegały ich nowe zadania. Było to w gruncie rzeczy to samo, co Jack robił już w czasie podróży. Starszy szeregowy miał nadzorować swoich sześciu ludzi, aby utrzymywali w czystości pomieszczenie, mundury, a przede wszystkim broń.

– Za to żołd jest trochę wyższy – stwierdził niechętnie młody oficer, kiedy już kilku „kiwi” bez entuzjazmu przyjęło awans, a dwóch nawet próbowało z niego zrezygnować. Dla porucznika Keelera było to zupełnie niezrozumiałe. – W końcu – mówił – jest to też sprawa honoru.

Jack zniósł ów honor spokojnie, ale Roly był zachwycony.

– Ale czy ja sobie poradzę, Mr Jack? Otrzymać awans to musi być coś wspaniałego! Albo order, Mr Jack! Za dzielność w obliczu wroga przyznaje się przecież ordery!

– Najpierw potrzebny ci wróg! – mruknął Greg. Pierwsze ćwiczenia rankiem w ogóle mu się nie podobały. Nie sądził, że w efekcie maszerowania w szeregu i padania na komendę będzie można pokonać Turków. Jack westchnął. Pomyślał, że Greg wyobrażał sobie wojnę jako wielką bójkę w knajpie.

Jednak z ciągu najbliższych miesięcy nie pozostawało nic innego niż uczyć się, jak należy się kryć przed wrogiem, czołgać się, kopać okopy oraz jak się obchodzić z bronią i bagnetem. I to ostatnie większości żołnierzy sprawiało ogromną przyjemność, a Nowozelandczycy okazali się znakomitymi strzelcami. Nie było w tym nic dziwnego, bo wielu z nich już od dzieciństwa polowało na drobną zwierzynę; z powodu zaś plagi królików każdy chłopak z Canterbury Plains potrafił obchodzić się z bronią. Właściciele wielkich owczych farm wypłacali nawet drobne premie za odstrzał. Poszukiwacze przygód z Plains strzelali do królików raczej po to, aby choć od czasu do czasu skosztować mięsa, ale dzięki temu znakomicie trafiali do ruchomych celów.

Przypadkowo zebrana grupa chłopców „kiwi” miała jednak sporo kłopotów, jeśli chodziło o szybkie i ściśle przestrzeganie rozkazów. Równy krok marszowy nie za bardzo im odpowiadał i ku przerażeniu brytyjskich szkoleniowców potrafili zadawać pytania o sens jakiegoś ćwiczenia, zanim rzucili się posłusznie w pusty piasek. Także trening w fachowym kopaniu okopów nie spotkał się z zachwytem żołnierzy.

– Człowieku, przecież ja to robię od trzynastego roku życia! – skarżył się górnik Greg. – I kopię znacznie głębiej niż tutaj. Naprawdę nikt nie musi mi pokazywać, jak mam się obchodzić ze szpadlem!

Jack za to studiował technikę budowania okopów bardzo starannie, choć wszystko w nim się buntowało na samą myśl o tym, że będzie musiał spędzić wiele tygodni swojego życia w czymś w rodzaju lisiej jamy. Ale budowanie okopów rzeczywiście wymagało dużej wiedzy architektonicznej i strategicznej – na przykład nie wolno ich było budować w linii prostej, lecz musiały mieć formę zygzaka. Żaden żołnierz nie powinien mieć przed sobą dłuższego fragmentu okopu niż pięć metrów. Wydawało się to na pierwszy rzut oka męczące, ale utrudniało wrogowi orientację, gdyby się dostał do okopów. W tym celu budowano też zatoki i okopy poprzeczne, a rozszerzenie całej sieci okopów bez zagrożenia ostrzałem wymagało wręcz technik górniczych. Doświadczeni górnicy rutynowo budowali sztolnie w ziemi, ale te na pustyni oczywiście stałe się zapadały. Bobby i Greg tylko się z tego śmiali, lecz któregoś dnia Jack zaskoczył Roly’ego, kiedy ten, błady jak kreda, właśnie wydostał się spod piachu, którym zostali zasypani wszyscy mężczyźni.

– Nie mogę, Mr Jack... – wyszeptał Roly i rozejrzył się za swoim plecakiem. W pudełku zawierającym środki pierwszej pomocy znajdowały się nie tylko bandaże i olej z drzewa herbacianego, ale także piersiówka. – Tutaj... chce pan?

Roly drżącymi rękami podsunął Jackowi piersiówkę.

Jack powąchał. Wysokoprocentowy alkohol.

– Roly, za to powinienem cię zgłosić do raportu! – zrugął go. – Picie w czasie służby! A przecież nie masz takich skłonności...

Jack wiedział, że w przeciwieństwie do swoich kompanów Roly rzadko bywał w zaimprovizowanych barach i burdelach, które powstały błyskawicznie wokół obozu. Wolał raczej chodzić na seanse filmowe, organizowane przez YMCA. Kino wprost go fascynowało. A w weekendy przyłączał się przeważnie do Jacka i kilku lepiej wykształconych żołnierzy, którzy udawali się na wycieczki do piramid, Sfinksy i innych zabytków Egiptu. Jack nigdy nie widział Roly’ego pijanego, nigdy też od czasu awansu na starszego szeregowego Roly nie pozwolił sobie na zbyt wiele.

– To jest... lekarstwo, Mr Jack. Jak od czasu do czasu pociągnę łyka, to mogę wytrzymać w tych okopach... – Roly zakreślił piersiówkę, ale

ciągle jeszcze był strasznie blady.

– No, nasz Roly był już przecież raz zasypany! – oświadczył Greg ze śmiechem, jak gdyby to był najlepszy żart ze znanej w Greymouth historii. – I wielce się przy tym wystraszył. Mały Roly nigdy potem nie zszedł do kopalni! Ale sam widzisz, Roly, że można się z tego wygrzebać. – Mężczyźni się śmiali i klepali speszonego Roly'ego po plecach.

Jack był raczej zaniepokojony. Po zawaleniu się okopów Roly O'Brien był wyraźnie przybity; a przecież były to tylko ćwiczenia. Próba symulacji wojny pozycyjnej w okopach na piaskach pustyni była właściwie bezsensowna. Ale w sytuacji zagrożenia bunkry jednak budowano, przebąkiwano też, że Niemcy wznosili nawet wielopiętrowe podziemne konstrukcje. Jeśli Roly nie był w stanie znieść ciasnoty i ciemności...

Jack, który nosił już dystynkcje kaprała i odpowiadał za trzy tuziny ludzi, zwrócił się do oficera szkoleniowego.

– Kapitanie, szeregowy O'Brien był zasypany przez trzy dni. Cały czas odczuwa tego skutki. Dlatego radziłbym przeniesienie go do kompanii zaopatrzeniowej albo jakiegoś innego oddziału, który nie zajmuje się budową okopów, sir.

– A skąd pan wie tak dokładnie, kapralu, że będziemy się zajmować budową okopów? – spytał major Hollander i uśmiechnął się szeroko. Jack stanął na baczność, choć w myślach chwycił się za głowę. Ten człowiek był surowym instruktorem, ale Jack dotychczas nie uważał go za głupiego. Teraz zrewidował swoje zdanie.

– Tak przypuszczam, kapitanie, sir – oświadczył spokojnie. – Wydaje się to najbardziej efektywną możliwością, aby w tej wojnie ubezpieczać w ten sposób pozycje.

– Jest pan więc, kapralu, także uzdolnionym strategiem! Niech pan jednak zachowa swoją wiedzę do czasu, kiedy zostanie pan mianowany generałem. Póki co, ma pan nie myśleć, tylko wypełniać rozkazy. Tego małego tchórza O'Briena będę miał na oku. Zasypany! Tam, gdzie jedziemy, będzie musiał się uporać ze swoimi strachami, gwarantuję to panu, McKenzie! Ach, prawda, proszę powiedzieć swoim ludziom, że likwidujemy obóz. Jedenastego kwietnia o północy ruszamy pociągiem do Kairu, potem wsiadamy na statek i płyniemy w kierunku cieśniny Dardanele.

Jack odmaszerował sfrustrowany, ale z bijącym sercem. A więc wkrótce mieli wyruszyć – ANZAC opuszczała Egipt. Ruszali wprost na wojnę.

Rozdzielenie żołnierzy na poszczególne okręty wyglądało teraz nieco inaczej niż w czasie ostatniej podróży. Oddział, składający się poprzednio z bardzo przypadkowych mężczyzn, teraz podzielony był na bataliony i dywizje; podziału dokonano także pod względem stopni służbowych oraz grup specjalistycznych. Jackowi podlegali głównie dawni górnicy i poszukiwacze złota, którzy potrafili przygotować okopy z szybkością zapierającą wprost dech w piersiach. Dla Jacka było jasne, że tych ludzi nie należało narażać na niebezpieczeństwo. Gdyby doszło do ataku, trzeba by przecież najpierw ubezpieczyć pozycje. Dlatego wydawało mu się logiczne, że jego grupę należało przydzielić do tego samego transportu, z którym płynęli sanitariusze i lekarze z lazaretu polowego. Oddziały ratownicze, pielęgniarze i lekarze sztabowi wnosili na pokład swoje wyposażenie, ale pierwszym, który w tej kampanii ratował czyjeś życie, okazał się paradoksalnie właśnie Jack McKenzie.

Statki transportujące oddziały stały zakotwiczone poza obszarem portu, a żołnierzy i wyposażenie transportowano na pokład łodziami. Jack z kilkoma swoimi ludźmi zabezpieczał z łodzi rampę, na którą wnoszono namioty i nosze; tym razem morze nie było tak spokojne i wiał silny wiatr. To, czego nie przymocowano do pokładu, natychmiast spadało do wody. Żołnierze zaciągnęli pod brodami taśmy od kapeluszy, ale i tak jakiś kapelusz co chwila unosił się w powietrzu, a czasami leciał za nim lekkomyślnie odłożony plecak. Jednak to, co nagle uderzyło w wodę tuż obok Jacka, było znacznie cięższe – a przede wszystkim natychmiast rozległo się głośne, rozrywające serce skomlenie. Zaskoczony Jack zobaczył, że z wody wynurzył się mały brązowy pies mieszaniec i zaczął rozpaczliwie wioślować łapami. Było to mało skuteczne przy tak wysokiej fali i odległości statku od łądu. Woda porwała zwierzę niemal natychmiast.

Jack nie zastanawiał się długo.

– Zastąp mnie! – krzyknął do Roly'ego i wcisnął mu do ręki linę, którą trzymał. Potem błyskawicznie ściągnął koszulę i buty i wskoczył do wody.

Jack był silny i wysportowany. Po kilku ruchach dotarł do płynącego psiaka i chwycił go. Ciężko było płynąć przeciw falom rozbijającym się dalej o nabrzeże, ale tuż obok pojawiła się łódź z chłopcami Jacka, którzy nie wahali się ani chwili. Rampa mogła się zachwiać – ale oni ratowali przede wszystkim swojego kaprała.

Jack podał Roly'emu pieska przez burtę i sam wciągnął się na łódź. Zdyszany wylądował na jej dnie.

Roly obserwował nowego pasażera.

– A kto ty jesteś? – spytał zwierzaka, który właśnie się otrząsnął i zrobił przysnic wszystkim żołnierzom. Piesek był mały, miał śmieszne krzywe nóżki i duże ślepka, które przypominały czarne guziki.

– Powiedziałbym, że to jamnik – skostatował Jack. – A przynajmniej miał jamnika wśród swoich przodków. A po drodze miało tu swój udział mnóstwo przedstawicieli innych ras.

Pies otrząsał się jeszcze raz. Miał zwisające długie uszy i zakręcony ogonek.

– Tajna broń Australijczyków! – zaśmiał się Greg i zaczął wioślować w stronę statku.

Piesek pomachał ogonem.

Na pokładzie panował pełen niepokoju ruch.

– Paddy, Paddy, do mnie! Do cholery, gdzie jest ten kundel? – Bardzo zdenerwowany adiutant wybiegł właśnie z pomieszczeń, w których stacjonowali oficerowie. – Chłopcy, pomóżcie mi, muszę znaleźć to bydło, zanim Beeston wpadnie w panikę!

Jack i pozostali żołnierze uśmiechnęli się do siebie.

– On należy do załogi, jeśli nie do korpusu oficerskiego...

Roly zabalgotał z radości.

– Generał Godley? – spytał, chichocząc, i zasalutował przed psem.

Generał Alexander Godley był naczelnym dowódcą wszystkich oddziałów ANZAC.

– To teraz zróbcie wszystko, żeby pies dostał się na pokład! Słyszycie przecież, że jest bardzo poszukiwany! – przerwał Jack głupekowate śmiechy żołnierzy. Trzymał psa mocno, aż dotarli do rampy.

Na pokładzie pojawił się krępy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w mundur lekarza sztabowego. Był to Joseph Beeston, komandor Czwartego Oddziału Sanitarnego.

– Paddy! O Boże, żeby tylko nie wpadł znowu do wody, przy tej fali... – Mężczyzna wydawał się srodze zmartwiony.

Łódź tymczasem dobiła do statku i Jack wspinał się na rampę. Mocno trzymał wyrwijącego się pieska, wspinając się po drabince na pokład.

– Czy to jego pan szuka, sir? – spytał ze śmiechem.

Komandor Beeston był wręcz uszczęśliwiony, kiedy odbierał pieska od Jacka.

– Wypadł za burtę? – spytał.

Jack skinął głową.

– Został jednak szybko uratowany dzięki zaangażowaniu Czwartej Nowozelandzkiej Dywizji Piechoty, komandorze, sir! – Jack zasalutował.

– Krzyż Wiktorii, Krzyż Wiktorii! – skandowali Roly i pozostali chłopcy w łodzi. Było to najwyższe odznaczenie, które Imperium Brytyjskie przyznawało walczącym na froncie żołnierzom.

Komandor Beeston się uśmiechnął.

– Tego, kapralu, nie mogę panu przyznać. Ale za to mogę dać panu ręcznik i whisky, aby się pan ogrzał. Proszę za mną.

Lekarz sztabowy ruszył pierwszy, za nim dreptał pies, a na końcu szedł zaciekawiony Jack. Nigdy jeszcze nie widział oficerskiej kajuty i jej wyposażenie z mahoniowego drewna oraz przesadny luksus zrobiły na nim duże wrażenie. Adiutant Beestona podał mu miękki ręcznik, a sam lekarz odkorkował butelkę whisky. Była to Single Malt. Jack sączył ją z przyjemnością.

– Ach, i proszę nam przynieść gorącej herbaty, Walters, ten chłopak musi się rozgrzać...

Adiutant wyszedł posłusznie, a Jack zapewniał, że przecież na dworze wcale nie jest tak zimno.

Beeston potrząsnął głową.

– Żadnych sprzeciwów! Oby pan nie dostał zapalenia płuc, bo wtedy hycel miałby na sumieniu pierwszego umarłego spod Gallipoli. Prawda, Paddy?

Paddy machnął ogonem, słysząc swoje imię. Lekarz podrapał pieszczotliwie swojego ulubieńca.

– Gallipoli, sir? – spytał Jack.

Beeston się uśmiechnął.

– Och, mam nadzieję, że nie wypaplałem teraz jakiejś tajemnicy wojskowej. Ale jak nam powiedziano, będzie to nasze pierwsze miejsce walki. To coś w rodzaju skalnej dziury tuż przy wejściu do cieśniny Dardanele. Właściwie nic nieznaczący półwysep, ale zabezpiecza dostęp do Konstantynopola. Jeśli odepchniemy stamtąd Turków, to tym samym będą praktycznie pokonani.

– I teraz płyniemy bezpośrednio tam? – spytał Jack.

– Prawie. Najpierw musimy dotrzeć do bazy na wyspie Lemnos. To wyspa w...

– ... w Grecji, sir, wiem.

Beeston skinął głową z uznaniem.

– Mamy tam przeprowadzić kilka manewrów. A mój batalion jest wyćwiczony raczej zgodnie z francuskimi warunkami. Jednak za kilka dni ruszamy. To pana pierwsze zetknięcie z wrogiem?

Jack skinął głową.

– Naród Nowej Zelandii nie jest bardzo wojowniczy – stwierdził. – Nawet nasi krajowcy są bardzo pokojowo nastawieni do całego świata...

Beeston się roześmiał.

– A najniebezpieczniejszym zwierzęciem jest komar, wiem. Australia jest bardziej dzika...

– Ale w niczym nie ustępujemy Australijczykowi, jeśli chodzi o naszą siłę bojową – oświadczył Jack dumnie, choć poczuł się prawie obrażony.

Beeston uśmiechnął się i skinął głową.

– O tym jestem przekonany. Ale teraz muszę pana wysłać z powrotem do pańskich ludzi, kapralu...

– Jack McKenzie, sir.

– Kapral McKenzie. Zapamiętam sobie pańskie nazwisko. Coś panu zawdzięczam. A ty, Paddy, mógłbyś podać łapkę! – Lekarz sztabowy pochylił się do swojego pieska i próbował skłonić go do ćwiczenia „siad”, ale Paddy zdecydowanie lekceważył jego rozkazy.

Jack się uśmiechnął, potrząsnął lekko głową i stanął nad pieskiem. Lekko poruszył ręką jego obrozę, po czym się podniósł – a Paddy w tym momencie jak na komendę przysiadł na tylnych łapkach. Na ruch dłoni Jacka podał mu posłusznie łapę.

Komandor Beeston stanął na ten widok jak rażony piorunem.

– Jak pan to zrobił? – spytał zaskoczony.

Jack lekko wzruszył ramionami.

– Bardzo proste techniki tresury psów – odpowiedział i dodał: – Nauczyłem się tego jeszcze jako dziecko. A ten malec jest bezczelny, ale mądry. Proszę mi go dać na kilka tygodni, a nauczę go zapędzać owce.

Beeston się uśmiechnął.

– Uratował pan psa i zrobił pan wielkie wrażenie na jego panu...

Jack także się uśmiechnął.

– To jest właśnie Nowa Zelandia, sir. W Australii strzela się do drapieżników, a w Nowej Zelandii uczy się je podawać łapki!

– Ciekaw więc jestem reakcji Turków – odparł Beeston. – Jack McKenzie, tego nazwiska na pewno nie zapomnę.

Lemnos okazała się małą wyspą o wybrzeżu poprzerzynanym licznymi wąwozami, z małymi, wąskimi plażami i stromymi klifami. Od strony morza wyglądała bardzo malowniczo – przypominała ogromną skałę z niewielką ilością zieleni, zupełnie osamotnioną na bezkresnym niebieskim morzu. Dla mieszkańców stanowiła ciągłe wyzwanie – życie na Lemnos było niełatwe. Żołnierze ANZAC patrzyli zafascynowani, ale także poruszeni na prymitywne kamienne domy, drewniane, ciągnięte przez woły pługi jak z epoki kamiennej i ludzi odzianych czasami tylko w owcze skóry, często chodzących po swojej kamiennej ojczyźnie boso albo w sandałach wykonanych z owczej skóry. Za to w porcie można było obejrzeć najnowszą technologię wojenną. Na kotwicy stało dwadzieścia pancerników, wśród nich olbrzymi „Agamemnon” i potężna „Queen Elizabeth”. Choć co prawda żołnierze nie za bardzo mieli czas się zastanawiać, jakie wrażenie zrobił na nich ten widok. Transportowce, na których płynęli, rzuciły kotwice przed plażami i żołnierze ćwiczyli wyjście na ląd w pełnym ekwipunku bojowym. Wszyscy po kolei schodzili po drabinkach sznurowych do łodzi i płynęli w stronę plaży, przy czym należało to robić możliwie jak najciszej. Ten manewr wydawał się nadzwyczaj ważny dla dowództwa – żołnierze ćwiczyli go przez cały tydzień.

– Nie jest to takie trudne – stwierdził Roly czwartego dnia, kiedy grupa płynęła w stronę wąskiej plaży ograniczonej wysokimi skałami. – Ale co będzie, kiedy zaczną do nas strzelać z ładu?

– Ach, nie odważaj się tego zrobić – odparł Greg. – Te wszystkie statki za nami będą nas osłaniać.

– O ile nas samych przy tym nie trafią – zauważył pesymistycznie Jack. Podzielał całkowicie obawy Roly’ego. Turcy z pewnością nie oddadzą swoich plaż całkiem bez walki. A czy Beeston nie wspomniał o jakiejś „skalnej dziurze”? Całkiem możliwe, że obrońcy będą strzelać, siedząc w bezpiecznych pozycjach gdzieś na skałach.

– Ach, jeśli Turcy są takimi samymi jaskiniowcami jak Grecy z tych wioch na Lemnos, to niewiele zwojują – zakpił beztrzesko Bobby. – Może powinniśmy byli zabrać z sobą trochę maoryskich maczug. Wtedy siły byłyby nieco bardziej wyrównane.

Jack uniósł brwi do góry. Bo zgodnie z tym, co widział, także Grecy z Lemnos potrafili dobrze obchodzić się z bronią. Nawet jeśli ubierali się w skóry, to mieli dobre oczy i nie potrzebowali rozwiniętej cywilizacji, aby umieć pociągać za spust. „Tu cywilizacja mogłaby okazać się wręcz przeszkodą” – pomyślał Jack. Przerazała go myśl, że będzie musiał strzelać do ludzi.

Wszystko zaczęło się piętnastego kwietnia 1915 roku. Flota, na której czele płynęła „Queen Elizabeth”, pieszczotliwie zwana przez żołnierzy „Lizzie”, wypłynęła, zostawiając za sobą wyspę Lemnos. Raz jeszcze mężczyźni zbrali się na pokładach, z dumą patrząc na potężny konwój.

– Czy to nie cudowne, Mr Jack? – Podeksycytowany Roly nie wiedział już, w którą stronę ma patrzeć, czy na majestatyczne statki płynące w szyku, czy na niknące w oddali, zalane słońcem wybrzeże Lemnos.

– Tylko Jack – poprawił go mechanicznie Jack. Nie podzielał zachwyty swoich kolegów. Rzeczywiście widok płynącej floty był wspaniały, ale Jack nie mógł się oprzeć myśli, że wiezie ona swój ludzki ładunek prosto na śmierć. Poprzedniego wieczoru – po bardzo heroicznym przemówieniu generała Birdwooda, ogłoszonym do wszystkich oddziałów – porucznik Keeler zwołał swoich kaprali, aby omówić położenie. Jack znał już teraz plan kampanii, widział też mapy wybrzeża Gallipoli. Lądowanie na tej plaży mogło się zamienić w piekło – i nie tylko Jack żywił takie obawy. Także na twarzach angielskich oficerów, z których niejeden brał już udział w bitwach, widać było strach.

Statek z drużyną Jacka był jednym z ostatnich, który zbliżył się do Gallipoli. Płynęli jeszcze nocą, i kiedy zaczęło szarzeć, znaleźli się wśród pozostałych statków w zatoce Gaba Tepe. Pierwsze grupy żołnierzy wsiadały właśnie do łodzi. Mężczyźni czekali na pokładzie transportowca na jeden z niszczycieli. Były to małe, szybkie okręty wojenne o niskim zanurzeniu i dlatego mogły przewieźć ludzi bliżej plaży. Każdy z nich ciągnął za sobą dwanaście łodzi ratunkowych w dwóch rzędach, w których siedziało po sześciu żołnierzy i pięciu marynarzy. Ci ostatni, po zostawieniu ludzkiego ładunku na plaży, mieli popłynąć łodziami z powrotem na statek.

Pierwsze oddziały desantowe składały się wyłącznie z Australijczyków – Jack dostrzegł, że wysłano na bitwę najmłodszych żołnierzy.

„W tym wieku każdy wierzy we własną nieśmiertelność” – Jack z dreszczem przerażenia przypomniał sobie nagle kazanie swojej matki Gwyneiry, w czasie którego padło to zdanie. Miał wtedy chyba trzynaście lat – piorun uderzył w jedną z obór na Kiward Station, a Jack i jego przyjaciel Maaka odważnie ruszyli wprost w płomienie, aby wyciągnąć z nich rozszalałe byki. Chłopcom się wydawało, że był to czyn bardzo heroiczny, ale Gwyneira strasznie się złościła.

Wiek mężczyzn siedzących właśnie w łodziach Jack oceniał najwyżej na osiemnaście lat. Wprawdzie armia przyjmowała ochotników dopiero od dwudziestu jeden lat, ale nikt tego tak dokładnie nie sprawdzał. Siedząc w łodziach, żołnierze śmiali się i wymachiwali bronią.

Wszyscy mieli bardzo wyładowane plecaki. Wiosła niemal bezszelestnie zanurzały się w wodzie.

Jack odwrócił wzrok i spojrzał na ciemną jeszcze plażę i skały. Była dokładnie czwarta dwadzieścia dziewięć. O czwartej trzydzieści miał się zacząć atak. I nagle na jednym z wzgórz rozbłysło żółte światło, które zgasło po kilku sekundach. Przez chwilę w zatoce panowała śmiertelna cisza, a potem dostrzegli sylwetkę człowieka na plateau ponad nimi. Ktoś krzyknął, rozległ się pojedynczy wystrzał – pocisk uderzył w morze.

A chwilę potem rozpoczęło się piekło.

Brytyjskie statki wojenne strzelały raz za razem ze wszystkich dział, Turcy zaś atakowali plażę. Strzały padały wprost z brzegu i ze skał, liczących ponad trzysta stóp wysokości. Jack widział żołnierzy padających na piasek, dosłownie koszonych ogniem statków „Queen Elizabeth”, „Prince of Wales” i „London”. Ale niełatwo było dostrzec znajdujące się w górach gniazda karabinów maszynowych. I oczywiście w ich ogniu znalazły się natychmiast łodzie z żołnierzami lądujące na plaży.

– Mój Boże... Oni strzelają... – wyszeptał Roly.

– A co ty myślałeś? – ofuknął go Greg.

Roly nie odpowiedział. Jego i tak duże, nieco dziecinne oczy były rozszerzone i pełne przerażenia. Wsiadający z łodzi żołnierze byli koszeni ogniem karabinów z łądu, a ci, których nie dosięgły kule, wyskakiwali na plażę i próbowali szybko dotrzeć do skał i znaleźć tam schronienie. Turcy strzelali też do marynarzy wracających z łodziami. Skiperów, którzy zostali trafieni, natychmiast zastępowali inni i łodzie docierały do statków.

– Do cholery, ja tam nie wsiadę. – Bobby dygotał z przerażenia. – Czy my też musimy...?

– Nie – odpowiedział spokojnie Jack. – Nasza kolej przyjdzie później. Ruszymy razem z sanitariuszami, a może nawet jeszcze później. Dziękujcie Bogu za to, że umiemy lepiej kopać niż strzelać.

Jednak ku zdziwieniu Jacka większość jego ludzi wprost paliła się do tego, aby ruszyć do walki na plaży. Czekali niecierpliwie, aż atakujący przebiją się do położonego w głębi łądu plateau, oddalonego o jakąś milę od plaży. Stamtąd już można było osłaniać – a w każdym razie próbować – kolejne docierające łodziami grupy żołnierzy. Jednak plaża cały czas była pod ostrym ostrzałem i wreszcie także Nowozelandczycy otrzymali swój chrzest bojowy. Jack i jego ludzie zabezpieczali wyładunek polowego lazaretu, co było bardzo pilne, bo na plaży leżały już setki rannych. Komander Beeston wydał rozkaz, aby natychmiast rozstawić tam namioty.

– I zróbcie coś, żeby ten ostrzał ustał! – wrzasnął do Nowozelandczyków. – Nie mogę pracować, kiedy kule świszczą mi koło uszu!

Porucznik Keeler uformował swoich ludzi, szykując ich do wyjścia na ląd. Jack i pozostali mieli przytroczone do plecaków łopaty polowe, a batalion Australijczyków przygotowywał się, aby osłaniać ich ogniem.

– Zaczynamy kopać okopy z tyłu, za najbardziej wysuniętą do przodu linią – rozkazał Keeler. – I będziemy posuwać się dalej. System trzech okopów, że pan: jeden dla oddziału rezerwowego, jeden okop pomocniczy i kolejny, najbardziej wysunięty do przodu... Sądzę, że w odstępach sześćdziesięciu pięciu jardów...

Jack skinął głową. Był to typowy brytyjski system obronny. Okop najbardziej wysunięty do przodu był w pełni obsadzony nie przez cały czas, lecz przede wszystkim w godzinach rannych i wieczornych, kiedy walki najbardziej przybierały na sile. W środkowym okopie, zwanym też transportowym, koncentrowało się życie obrońców, w trzecim zaś okopie tuż przed ofensywą zbierały się oddziały pomocnicze.

Jack i jego ludzie wykopali najpierw ostatni okop, co było stosunkowo bezpieczne, bo front walk był oddalony, a oni byli też osłaniany. Powoli kopiający zbliżali się do głównej linii walk i tu już należało stosować najbardziej wyrafinowane techniki budowy okopów. Przypominają to przesuwanie się w kopalnianym szybie, ale tu umacniano tylko ściany i podłoże. Sklepienie okopu zrywano, kiedy tunel miał kilka metrów głębokości. Przeważnie zwały ziemi spadały wtedy na ramiona kopiających – dla Roly'ego już sam szmer spadającej ziemi wystarczał, aby wpaść w panikę. Jack przesunął go więc do tyłu, gdzie chłopak mógł kopać pod gołym niebem. W ten sposób zajmował się czymś, co był w stanie robić najlepiej.

Roly był niesłychanie silny, podobnie zresztą jak poszukiwacze złota oraz górnicy. Aby jednak wykopać pierwszy system okopów, potrzebna była praca setek mężczyzn i trwało to wiele godzin. Jack i jego ludzie kopali przez całą swą pierwszą noc w Gallipoli. Przynajmniej dzięki temu nie marzli. Znacznie gorzej powodziło się żołnierzom na pierwszych pozycjach, bo wraz z początkiem walk zmieniła się pogoda; zaczął padać deszcz i zrobiło się lodowato zimno. Mężczyźni, trzymając broń, leżeli w błocie i byli mocno zmarznięci i wystraszeni – Turcy strzelali bez przerwy, a zaopatrzenie w żywność i wodę jeszcze nie funkcjonowało.

– Postarajcie się zbudować kilka bunkrów – polecił major Hollander, który zebrał już sporo doświadczeń w wojnie pozycyjnej we Francji. – Ci chłopcy muszą się dostać w jakieś suche miejsce, jak tylko pojawią się zmiennicy...

Jack skinął głową i kazał swoim ludziom prowizorycznie zabezpieczać deskami niektóre części systemu okopów. Kiedy nad Gallipoli wzeszło słońce, jego ludzie w jednej z takich części zapadli wreszcie w głęboki sen. Nawet Roly wszedł do podziemnego schronienia ze wszystkimi, ale nie potrafił znaleźć tam spokoju. W końcu wyslizgnął się ukradkiem i położył się na zewnątrz pod peleryną. Mimo że ciągle jeszcze strzelano, Roly czuł się tam lepiej niż w okopie. Powinien był zdobyć płachtę namiotową...

Już rankiem było jasne, że Turcy nie dadzą się tak szybko odepchnąć w głąb łądu. Zaczęto się więc przygotowywać na dłuższe oblężenie i podzielono żołnierzy na dwie dywizje. Australia znalazła się po prawej stronie frontu, a Nowa Zelandia po lewej. Tymczasem wszyscy zdążyli się zorientować i rozejrzeć w terenie.

– Piękna okolica, jeśli ktoś jest stworzony na osadnika – stwierdził sarkastycznie Greg. Rzeczywiście plaża Gallipoli nie była zamieszкана. Jack próbował nie myśleć o skałach na Cape Reinga.

– A co jest tam z tyłu? – spytał Roly, wskazując na góry.

– Następne góry – odpowiedział Jack. – A pomiędzy nimi znajdują się dość głębokie doliny. Nic tutaj nie jest płaskie. W dodatku wszystko jest porośnięte gęstymi krzakami, które stanowią idealne schronienie dla Turków.

– Oni przedtem też wam o tym powiedzieli? – dopytywał się Bobby. – To znaczy... czy oni w dowództwie o tym wiedzieli? To dlaczego nas tu wysyłają?

Greg przewrócił oczami.

– Chcesz zdobyć sławę, Bob, czy grać w jakieś niewinne gierki? Słyszałeś przecież, co mówił generał: to jest jedna z najtrudniejszych kampanii, jakiej można oczekiwać od żołnierzy, ale my z ANZAC sobie poradzimy! – Greg dumnie uderzył się pięścią w pierś.

– W każdym razie nie będzie to takie proste – podsumował Jack. – A jeśli w ogóle chcecie mieć szansę na to, aby zostać bohaterami, to powinniście teraz zabrać się do kopania. Inaczej wystrzelają was jak króliki.

Po przeciwnej stronie także zaczęto szykować okopy. Turcy budowali swój system okopów, który prawdopodobnie wcale nie był mniej skomplikowany niż brytyjski. To zajęcie nie przeszło im jednak w dalszym ostrzale wojsk ANZAC. Wprawdzie artyleria brytyjska także strzelała, i to coraz bardziej efektywnie, i zlikwidowała już kilka gniazd karabinów maszynowych, ale Jack oraz pozostali żołnierze odetchnęli z ulgą dopiero wtedy, kiedy pierwsze okopy były gotowe i można było się w nich schronić. I tylko Roly obawiał się pracy pod ziemią bardziej niż ostrzału. Nadal sypiał na zewnątrz, zamiast razem z innymi żołnierzami schronić się w bunkrze, a jego jedyną osłoną było kilka skał znajdujących się pomiędzy okopami i plażą.

Jack patrzył na to z rosnącą troską i niepokojem; jednak naprawdę niebezpiecznie zrobiło się dopiero wtedy, kiedy budowniczy okopów byli coraz bliżej Turków, co powodowało gwałtowny ostrzał.

Grupa Jacka kopała właśnie tunel, a Roly, rozdrażniony złośliwościami kolegów, zawzięcie machał łopatą z zaciśniętymi zębami i trupio bladą twarzą. Mimo to pracował bardziej wydajnie niż Greg i Bobby. Obu ostatnich rugali na przemian Jack McKenzie i porucznik Keeler.

– Przecież nie jestem kretem – warknął znów Bobby, a zniercierpliwiony Jack wzniósł oczy do nieba. Stale słyszał tę samą wymówkę. Także Greg lubił się chwalić, że wolałby iść na patrol z bronią niż grzebać w ziemi. A przecież i tu świastało koło głowy dość kul. Turcy po stronie przeciwnej – ponieważ na Gallipoli wszędzie było ciasno i po prostu brakowało miejsca, to wrogie pozycje były oddalone od siebie zaledwie o sto metrów – przez cały dzień ostrzeliwali plażę ogniem artyleryjskim. Jack musiał więc kopać w dużym pośpiechu. Chciał skończyć jak najszybciej, dzięki czemu brytyjska artyleria miałaby wolne pole do ostrzału. To, że Turcy niedługo skończą kopać, obsadzą swoje okopy i dobrze je uzbroją, było tylko kwestią czasu i Jack o tym wiedział.

I wkrótce też potwierdziły się jego najgorsze obawy. Turcy, w przeciwieństwie do Brytyjczyków, dysponowali granatami ręcznymi i któryś z ich żołnierzy postanowił poćwiczyć rzucanie do celu.

Jack i jego ludzie pracowali właśnie „pod pokładem”, kiedy stało się najgorsze. Ci, którzy przeżyli w sąsiednim okopie, opowiadali potem, że jeden z tureckich żołnierzy, pozbawiony chyba lęku przed śmiercią, wychylił się z okopu, odbezpieczył granat i rzucił z niesłychaną celnością. Może po prostu miał szczęście. Granat eksplodował w okopie tuż za ludźmi Jacka, wyrzucając w powietrze słup ziemi i rozrywając ludzi, którzy właśnie ubezpieczali spód i ściany okopu belkami. Jack oraz pozostali żołnierze usłyszeli hałas i krzyki, choć nie widzieli miejsca wybuchu, co ochroniło ich przed odłamkami szrapnela i spadającymi kamieniami.

Ale Jack dostrzegł niebezpieczeństwo.

– Uciekać stąd! Do okopów! Szybko!

Okopy komunikacyjne prowadzące na tyły dawały zarówno schronienie, jak i możliwość odwrotu. Choć Jack przypuszczał, że zapewne były zapchane żołnierzami, którzy właśnie przeciskali się do przodu na pozycje. Potwierdziła to odpowiedź porucznika, który krzyknął:

– Nonsens! Na pozycje obronne! Do okopów i strzelać! Nałożyć bagnety, bo oni mogą tu dotrzeć! Likwidować ich!

Ale zanim mężczyźni mogli zareagować na sprzeczne rozkazy, zaczęły eksplodować kolejne granaty. Jeden z nich bezpośrednio nad ich głowami. Ziemia zadudniła, a tunel się zawalił... Żołnierze instynktownie osłaniali głowy deskami. Właściwie nie mogli zostać zasypani, bo tunel miał zaledwie metr głębokości. Sypiąca się na nich ziemia stanowiła raczej coś w rodzaju osłony.

Roly O'Brien nie był w stanie myśleć. Zamiast leżeć, cały czas jak oszalały wyrzucał łopatą ziemię, wreszcie zaczął się czołgać, po czym podniósł się i chciał się cofnąć. Kiedy zobaczył, że okop jest zapchany ludźmi, próbował się wspiąć po jego ścianie i wyjść na górę. Ktoś pociągnął go za nogawkę spodni, ale Roly zaczął się bronić... i nagle znalazł się naprzeciw majora Hollandera.

– Co się dzieje, żołnierzu?

Roly popatrzył na niego nieprzytomnymi oczami, w których widać było szaleństwo.

– Ja chcę wyjść! – wrzasnął i znów próbował wydostać się na górę. – Muszę wyjść... Kopalnia się zawali!

– Chcecie zdezerterować, żołnierzu?

Ale Roly nie rozumiał jego słów.

– Uciekać! Musimy wszyscy uciekać!...

– Ten człowiek nie wie, co mówi. – Porucznik Keeler zdążył się już wygrzebać z ziemi i próbował rozstawiać nowych żołnierzy przy otworach strzelniczych. Słyszając krzyk Roly'ego, przecisnął się do przodu.

– To jego pierwszy kontakt z wrogiem, sir. On wpadł w panikę, sir.

– Zaraz mu to wybiję z głowy! – Major Hollander zamachnął się i wymierzył Roly'emu dwa silne uderzenia w twarz. Roly stracił równowagę i upadł do tyłu. Pozbierał się jednak szybko i zaczął macać grunt dookoła w poszukiwaniu swojej broni.

– Bardzo dobrze! – pochwalił go porucznik Keeler. – Podnieść broń, udać się do otworu strzelniczego i odeprzeć ogień wroga! Im szybciej, tym prędzej będziemy mogli stąd wyjść!

Roly, ciągle jeszcze niewiele pojmując, pozwolił, aby dwóch kolegów pociągnęło go do niszy w okopie i zmusiło do zajęcia pozycji z bronią przy otworze strzelniczym. Wprawdzie niebo nad jego głową było niemal szare od przelatujących ołowianych kul, ale przynajmniej otwarte. Roly odetchnął z widoczną ulgą.

– Wyciągnę z tego konsekwencje! Także wobec pana, poruczniku! Niemal pozwolił mu pan zdezerterować! Jak to się skończy, chcę widzieć pana w moim namiocie! – raz jeszcze rzucił major Hollander w stronę Roly'ego i Keelera.

Żołnierze ANZAC strzelali teraz niemal bez przerwy, wspierani artylerią. Wreszcie w okopach tureckich zrobiło się nieco spokojniej. Ale mimo to żołnierzom się wydawało, że upłynęło niesłychanie dużo czasu, zanim wreszcie nadeszła noc i ogień umilkł. Najbardziej niebezpieczne były godziny poranne i wieczorne. Półmrok stanowił ochronę – o wiele lepszą niż światło dzienne. Za dnia było przeważnie spokojnie i obie strony ograniczały się do nieregularnego ostrzału.

Jack i jego ludzie zostali odesłani za tylną linię okopów. W głównym okopie pozostała tylko bardzo nieliczna załoga. Przede wszystkim pracowały teraz oddziały ratunkowe, które zbierały rannych i zabitych. Bobby O'Mally dostał gwałtownych torsji, kiedy zobaczył strzępy ciał tych żołnierzy, którzy pracowali zaledwie kilka metrów za nimi. Porucznik Keeler także był lekko ranny, ale Roly opatrzył mu postrzał na ramieniu, używając oleju herbacianego i bandaża.

– Dobrze pan to robi, kapralu – pochwalił go Keeler. – Choć poprzednio...

– Major chyba nie zamierza naprawdę postawić go przed sądem wojennym? – Jack był niespokojny.

Keeler potrząsnął głową.

– Nieee, nie sądzę. Taki atak paniki przy pierwszym zetknięciu z wrogiem... To się zdarza. Tym bardziej że on potem naprawdę dzielnie walczył. Roly miał pecha, że akurat wpadł majorowi w ramiona. Major musi teraz coś wymyślić. Niech pan się nie poddaje, kapralu O'Brien. Major jest w gorącej wodzie kąpany, ale mu przejdzie. A teraz jazda, idziemy, żebyśmy to mieli wreszcie za sobą.

Namioty oficerów znajdowały się na plaży, choć niektórzy ciągle woleli nocować na statku. Major Hollander był doświadczonym frontowcem i nie zostawił swoich ludzi samych. I z pewnością sam także przeżył kiedyś atak paniki.

Jack próbował odpocząć i nie myśleć o Roly i Keelerze, ale odetchnął dopiero wtedy, kiedy Roly wrócił. I jak zawsze starał się przebywać na zewnątrz bunkra, w którym obozowali jego towarzysze.

– Major oczywiście nas zrugął – opowiadał Roly. – Ale poza tym nie było tak źle. Mamy się zgłosić dobrowolnie do akcji... Zaraz rano ruszamy, wysyłają kilka regimentów na Cape Helles, tam, gdzie wylądowali Anglicy.

– Statkiem? – spytał Jack.

Roly potrząsnął głową.

– Łądem. Mamy zaskoczyć Turków od tyłu i zdobyć jakąś górę...

Greg uśmiechnął się szeroko.

– No, to brzmi jak przygoda! Jazda, Bobby, też się zgłaszamy!

Roly uśmiechnął się z nadzieją.

– A pan, Mr Jack? – spytał.

– Tylko Jack. Nie wiem, Roly...

– No, nie bądź żabą, kapralu! – zaśmiał się Bobby. – Może zostaniesz sierżantem, jak wrócimy.

– A mnie zdegla... zdegra... W każdym razie znów jestem szeregowcem – stwierdził Roly z żalem.

– Jak zdobędziesz tę górę, to zostaniesz generałem! – oświadczył podekscytowany Greg. – I zdobędziemy Krzyże Wiktorii. Chodź, idziemy do Keelera! – Greg zerwał się z pryczy, wciągnął kurtkę od munduru, aby wyglądać naprawdę po żołniersku, i poszukał swojego kapelusza. – Jazda, Bobby! A ty, Jack, co, unikasz walki?

Jack nie wiedział, co odpowiedzieć. Wydawało mu się przez chwilę, że słyszy głos swojej matki: „Chcesz przywodzić Boga na pokuszenie!”. Może Gwyneira miała rację. Ale od tej chwili, kiedy stał w ogniu tureckich granatów i strzelał niemal na ślepo w dym wydobywający się z niezliczonych luf karabinów, wiedział już, że nie szuka śmierci. I jak na razie nie dostrzegał w tej wojnie heroizmu, nie potrafił też nienawidzić Turków. Bronili swojego kraju, związani przymierzami z narodem, którego nie znali, działając przeciwko oddziałom, które też broniły nieznanego im właściwie narodu. Jackowi nagle wydało się to tak dalece pozbawione sensu, że aż nierealne. Ale oczywiście gotów był wypełnić swój obowiązek i stanąć na wysokości zadania tam, gdzie będzie wysłany. Jednak nie ciągnęło go na Cape Helles.

– Niech pan idzie z nami, Mr Jack – powiedział Roly. – Będę naprawdę dzielny. Taka góra... taka góra to nic straszego...

I Jack w końcu niezbyt chętnie poszedł wraz ze swymi żołnierzami. Odczuwał coś jakby zobowiązanie wobec Roly'ego. Z nieokreślonych powodów odczuwał też potrzebę, aby chronić tego człowieka. Szedł więc za trzema żołnierzami przez okopy na tyły oddziałów. Porucznik Keeler mieszkał w bunkrze za liniami frontu i zastali go, kiedy właśnie pakował swoje rzeczy.

– On też? – spytał Jack Roly'ego.

– Tak – odpowiedział Roly. – Ma dowodzić plutonem. Porucznik Trzeciej Dywizji chyba dziś zginął.

Greg zasalutował przepisowo, a Keeler spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

– Co takiego? – spytał niechętnie.

Bobby O'Mally dumnym głosem wyłuszczył swoją prośbę.

– Chcemy walczyć, sir! – oświadczył. – Stanąć oko w oko z wrogiem!

Zgodnie z tym, co zrozumiał Jack, mieli zająć wroga od tyłu. Ale nie odezwał się, także porucznik Keeler słuchał niemal z niedowierzaniem.

Popatrzył po kolei na każdego z mężczyzn i wydawało się, że nad czymś się zastanawiał.

– Wy dwaj... – wskazał na Grega i Bobby'ego – idziecie ze mną. Pan nie, McKenzie!

– Dlaczego nie, sir? – uniósł się Jack. – Nie ufa mi pan, że...

Keeler wykonał ręką przeczący ruch.

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Ale pan jest kapralem, McKenzie, i dobrze pan panuje nad swoim oddziałem. Jest pan niezbędny.

Coś w jego twarzy kazało Jackowi umilknąć i nie protestować.

– Ale to przecież tylko dwa lub trzy dni! – powiedział Roly.

Wydawało się, że Keeler chciał coś odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Jackowi się wydawało, że czyta w jego myślach.

I przypomniał sobie mapy, które pokazano im przed lądowaniem na półwyspie. Zdobycie wzgórza, które nazywano eufemistycznie „Baby 700”, było przedsięwzięciem straceńczym.

– Wszędzie można umrzeć – powiedział cicho.

Keeler odetchnął głęboko.

– Można też przeżyć i to właśnie zrobimy! Ruszamy z brzaskiem, chłopcy! A pan, McKenzie, pan poprawi te okopy, które dziś zostały ostrzelane. To życiowe zadanie, aby umocnić główne linie walk, ale niech pan pogoni swoich ludzi! Odmaszerować!

Roly i jego przyjaciele wyruszyli o świcie. Jack słyszał hałas, śmiechy i mniej lub bardziej wesołe słowa pożegnań. Ci, którzy pozostawali w okopach, wydawali się niemal zazdrościć wyruszającym grupom bojowym. Wielu narzekało na ciągłą „krecią robotę”, podczas kiedy na tych, którzy właśnie wychodzili, czekała przygoda.

Dopiero po czterech dniach Jack usłyszał coś na temat walk na Cape Helles, choć nie miał zupełnie czasu, aby w ciągu tych dni martwić się o swoich żołnierzy. Major Hollander i angielskie dowództwo wywierali ogromny nacisk na oddziały pracujące przy okopach, zmuszając je do maksymalnego wysiłku.

– Turcy zbierają swoje oddziały i ściągają posiłki. Każdego dnia musimy się liczyć z kontrofensywą. Umocnienia muszą być gotowe!

Czwartego dnia Jack, pólżywy ze zmęczenia, chwiejąc się, dobrnął do swojego miejsca w bunkrze. Cały dzień zabezpieczali gotowe już okopy drutem kolczastym, a Jack w swoim sektorze wziął na siebie główną część pracy. W przeciwieństwie do górników, wiedział dzięki pracy na farmie, jak się obchodzić z drutem kolczastym – nienawidził tego, ale był to najbardziej efektywny sposób, aby grodzić łąki dla bydła. Choć co prawda nigdy jeszcze nie strzelano do niego podczas takiej pracy... Postanowił wykorzystać tego wieczoru wszystkie racje alkoholu, które zebrał w ciągu ostatnich dni. Każdego dnia żołnierze otrzymywali małą szklaneczkę brandy, a Jack, który rzadko pił sam, nie ruszał swoich zapasów od chwili odejścia Roly'ego.

– Kapral McKenzie?

Jack podniósł się z trudem ze swojej pryczy, kiedy usłyszał na zewnątrz głosy. Mężczyźni powiesili przed wejściem plandekę, aby mieć przynajmniej pozory prywatności i móc względnie spokojnie spać, jeśli tylko była po temu okazja. W systemie okopów zarówno za dnia, jak i w nocy ciągle coś się działo i także tego wieczoru nie zanosilo się na spokój. Na niektórych odcinkach ogień o zmierzchu był tak silny, że oddziały ratownicze nie były w stanie dotrzeć do rannych. Także teraz, kiedy wreszcie było ciemno, słychać było, że biegają z noszami i prowadzą przez korytarze juczne zwierzęta. Młody mężczyzna, który stał przed wejściem do kwatery Jacka, miał na sobie mundur sanitariusza polowego.

– Mamy doprowadzić go do pana – powiedział sanitariusz i popchnął w stronę Jacka bardzo brudnego i ubranego jedynie w strzępy odzieży Roly'ego O'Briena. Roly się bronił, choć niezbyt skutecznie. Jack wyszedł na zewnątrz.

– Kto tak powiedział?

– Jego porucznik, Keeler. On sam leży u nas w lazarecie, a ten chłopak chodzi dookoła jak nieprzytomny. Pod wieczór przywłókł porucznika do obozu. Prawdopodobnie uratował mu życie, bo sam Keeler nie dałby rady zejść po skałach. Ale potem... ten chłopak jest kompletnie rozkojarzony, nawet nie wie za bardzo, jak się nazywa...

– Bobby... – powiedział cicho Roly.

– Słyszysz pan, kapralu, on przecież nazywa się Roland, Beeston już to sprawdził. Bo te nazwiska są tak podobne: O'Brien i O'Mally. Ale to O'Mally poległ. A ten tu to O'Brien...

Roly zaszlochał, a Jack objął go ramieniem.

– Dziękuję, sierżancie. Zajmę się nim. A co... co z porucznikiem?

Sanitariusz wzruszył ramionami.

– Nie wiem dokładnie, jestem z drużyny ratowniczej, leczeniem zajmują się inni. Ale myślę... myślę, że Beeston dziś w nocy amputuje mu ramię...

Jack przełknął ślinę. Potem wciągnął Roly'ego do środka i zapalił lampę gazową, co właściwie wolno było robić tylko w wyjątkowych wypadkach. Turcy mogli przez to dostrzec, jak przebiegały okopy. Ale z drugiej strony niektóre części systemu okopów zawsze były oświetlone. Jack doszedł do wniosku, że to właśnie jest ów wyjątkowy wypadek.

– Bobby nie żyje – wyszeptał Roly. – A Greg... oni mu odstrzelili obie nogi. To... to jeden z tych nowoczesnych karabinów, które tak strasznie szybko strzelają. Tatata... i jedna kula za drugą, rozumie pan, Mr Jack? Wszystko momentalnie zniszczone, porozrywane... tylko krew, krew... Ale ja... ja go przywłóknę do okopu i wtedy oni go zabrali. Może przeżyje.

Roly nie kontrolował ani swoich słów, ani też ruchów i dygotał coraz bardziej. Jack nalał mu swój zapas alkoholu. Młody mężczyzna pił małymi łykami.

– Co to w ogóle było? Zajęliście to wzgórze? – spytał Jack.

– Tak... nie... – Roly wytarł ręką usta. – Tak mi zimno...

Jack rozebrał go z resztek munduru i narzucił na niego swój płaszcz. Właściwie była to ciepła majowa noc, ale Jack znał ten chłód, który paraliżował Roly'ego.

– Oni... bronili tego wzgórza... jak szaleńcy, jakby... jakby tam było coś wyjątkowego, w takim głupim wzgórze... – Roly ciśniej zawiął się w płaszcz.

Jack się zastanawiał, czy może się odważyć rozpalic ogień. Ale Roly potrzebował czegoś ciepłego. Jack pozbiierał resztki drewna.

– A my czołgaliśmy się w górę. I byliśmy jak tarce strzelnicze, oni zastrzelili setki ludzi... Wszędzie... Wszędzie były trupy. Ale daliśmy radę. Greg, Bobby i ja... i jeszcze kilku innych. Przeważnie Australijczycy. Zdobyliśmy to przekłete wzgórze i tam się okopaliśmy. Ale... ale nie dostaliśmy wsparcia. Nie mieliśmy nic do jedzenia ani wody. W nocy było zimno, mundury były wilgotne, podarte i zakrwawione... – Wskazał na strzępki swoich spodni. – A Turcy strzelali... ciągle strzelali... strzelali...

Roly się wzdrygnął, kiedy usłyszał strzały i odgłosy walk toczących się na pierwszej linii.

– I ten ogień szrapneli... jak kogoś trafiło... z Bobby'ego dosłownie nic nie zostało, Mr Jack. I to było tak szybko, dopiero co był obok i potem... tylko krew... i jedna ręka... Greg płakał. On tylko płakał, nie był w stanie przestać. A potem przyszedł rozkaz, że mamy się wycofać. Ale przecież dookoła byli tylko Turcy... I znowu się czołgaliśmy, ale już na dół, i dookoła były krzaki, i myśleliśmy, że się w nich schowamy, no i były tam też okopy Australijczyków... I biegliśmy... O Boże, Mr Jack, myślałem, że płuca mi pękną, i byłem taki zmęczony... a potem trafili Grega... – Roly zaszlochał. – Ja chcę do domu, Mr Jack! Do domu!

Jack objął go ramieniem i lekko kołysał. I paradoksalnie pomyślał o Glorii. O tym, że kiedy była mała i nocą prześladowały ją jakieś sny pełne koszmarów, to on ją też tak trzymał i kołysał, aby się uspokoiła. Czy ktoś robił to w Anglii? A może płakała we śnie sama?

Woda w kociołku nad ogniskiem wreszcie się zagotowała. Jack puścił Roly'ego, zmusił go, aby się umył i wypił herbatę. A potem Jack, walcząc z wyrzutami sumienia, przejrzał rzeczy Grega McNamary. Wiedział, że ten młody górnik o niesłychanie mocnej głowie miał tam swoje rezerwy whisky. Teraz alkohol nic by już mu nie pomógł, ale Roly potrzebował jakiegoś wzmocnienia.

– Jutro wszystko będzie wyglądało inaczej – powiedział pocieszająco, choć sam w to nie wierzył. Bo na jutro wszyscy spodziewali się

kontrofensywy Turków.

A jednak jeśli chodziło o to ostatnie, to żołnierze ANZAC otrzymali coś w rodzaju kilku dni ostatniego odroczenia. I kiedy ta chwila nadeszła, ich system obronny był dobrze przygotowany, a przy tym oddziały miały trochę szczęścia. Brytyjski samolot zwiadowczy całkiem przypadkowo zszedł z kursu, przeleciał Gallipoli i dostrzegł koncentrację wojsk tureckich. Generał Bridges nie zwlekał i natychmiast kazał obsadzić wszystkie stanowiska dowodzenia.

Jack i Roly zupełnie niespodziewanie znów znaleźli się na najbardziej wysuniętej linii. Obaj siedzieli w okopie, który dopiero co sami wykopali. Jack próbował wciągnąć przyjaciela pod trochę zadaszoną część okopu, ale Roly się wahał. Z jednej strony odczuwał strach przed Turkami, a z drugiej czuł narastającą panikę przed zasypaniem.

– Zająć pozycje, przygotować się do walki, nałożyć bagnety! – Major Hollander wydał rozkaz szeptem. Zabrzmiało to jak głos ducha i Roly zadygotał. Teraz, przed wschodem słońca, było jeszcze przenikliwe zimno, a wszyscy tkwili na swoich posterunkach już od wielu godzin.

Dowództwo spodziewało się ataku Turków o świcie, ale wymarsz oddziałów do okopów zaczął się dużo wcześniej. Jack rozcierał energicznie ręce, aby rozgrzać się choć trochę. Wypatrywał z utęsknieniem słońca. Roly bawił się swoją bronią – jego wychudzona twarz była teraz szara jak popiół – w przeciwieństwie do pozostałych żołnierzy z plutonu Jacka wiedział, co ich wszystkich czekało. Poprzedniego wieczoru w milczeniu wypił cały zapas whisky Grega, podczas kiedy jego towarzysze głośno się cieszyli, niecierpliwie wyglądając chwili ataku. Zwłaszcza nowo przybyli wprost pałali chęcią walki i nie mogli się doczekać ofensywy Turków.

Jack spojrzął na nowych chłopców w swoim oddziale. Jeszcze kiedy Roly walczył na Cape Helles, z Nowej Zelandii przybyły posiłki. Bobby'ego i Grega zastąpiło dwóch młodych żołnierzy z Wyspy Północnej. Obaj mieszkali i pracowali przedtem na owczych farmach, podobnie jak Jack, i właściwie należeli do oddziału lekkiej kawalerii, ale zostawili swoje konie na Lemnos, aby się zgłosić do kampanii na Gallipoli jako ochotnicy. W końcu, jak mówili, wesprzeć rodaków w ich bohaterskiej walce to sprawa honoru.

Ochotniczy oddział Australijczyków i „kiwi” nie składał się już obecnie z poszukiwaczy przygód, cwaniaków i biedaków, lecz głównie z patriotów. Wielu z nich zataiło swój wiek w czasie rekrutacji. Jeden z żołnierzy Jacka miał dopiero dziewiętnaście lat. Fakt, że właśnie takich jak on wysyłano na pierwszą linię walki, potwierdził tylko podejrzenie, jakiego Jack nabrał w czasie pierwszego ataku w zatoce: najmłodszy mieli być tylko mięsem armatnim. I dzięki temu, że nie znali jeszcze uczucia strachu, bez słowa sprzeciwu brali udział w samobójczych akcjach.

Sam Jack oraz jego górnicy zawdzięczali swoją bardzo wyeksponowaną pozycję dokładnej znajomości systemu okopów – nie tylko własnych, także tych po stronie tureckiej. Mieli w końcu dość czasu, aby obserwować Turków przy pracy nad okopami – albo też mogli przynajmniej na podstawie kierunku, z którego padały strzały, ustalić dość dokładnie położenie ich pozycji obronnych.

– Najbardziej niebezpieczne miejsce jest tutaj – oświadczył swoim ludziom Jack, także szeptem. – Tutaj będą próbowali się przedrzeć. Odstęp między okopami jest tu niewielki, a sam okop ma w tym miejscu formę zygzaka. Z prawej i lewej strony mogą się bronić ogniem, a z tej niszy atakować. A więc, najlepsi strzelcy do mnie! Tak, tutaj, pod dach...

Jack kazał już wcześniej zabezpieczyć najbardziej niebezpieczny fragment okopu za pomocą czegoś w rodzaju drewnianej kraty. Znajdowały się tu stanowiska strzelnicze, można też było stąd śledzić poczynania wroga za pomocą peryskopu. Nielatwo było zdobyć ten okop, bo żołnierze z własnej inicjatywy ułożyli przed nim zabezpieczenie z drutu kolczastego.

– I nie strzelać na ślepo. Oczekać, aż oni podejną bliżej – wtedy łatwiej wam będzie trafić. Major spodziewa się dużej przewagi wrogów, oszczędzajcie więc naboje.

– Wolałbym zostać gdzie indziej, Mr Jack – powiedział cicho Roly.

Jack skinął głową.

– Dobrze, idź do okopu rezerwowego – nakazał młodemu mężczyźnie, choć wiedział, że było to wbrew rozkazom majora. Jego oddział miał za zadanie utrzymać ten odcinek, a on tymczasem wysłał Roly'ego poza linię frontu.

– Przecież nie mogę...

– Idź! – powiedział Jack. I w tym momencie rozpoczęło się piekło. Po stronie angielskiej nikt nie usłyszał rozkazu do ataku, ale wszyscy Turcy jednocześnie wyskoczyli z okopów i ruszyli zwartym szeregiem w stronę okopów angielskich. Karabiny maszynowe znajdujące się na okolicznych wzgórzach też otworzyły ogień, a pierwsi atakujący rzucali właśnie granaty ręczne na pozycje wroga.

Jack nie miał już czasu zwracać uwagi na Roly'ego ani też nawet odczuwać strachu przed tyralierą przeciwników, którzy krzycząc głośno, biegli w jego stronę. Celował i strzelał – w kierunku zdyszanych płuc, szalejących serc, szeroko otwartych ust. Załadować, strzelać, załadować, strzelać...

Kiedyś zupełnie bezmyślnie używał słowa „inferno”, ale wiedział, że po tym dniu nie zrobi tego już nigdy więcej. Atakujący ślizgali się na krwi własnych towarzyszy broni i padali na ich ciała. A jednak ci, którzy nie zginęli, dotarli do angielskich okopów – wprost na bagnety obrońców. Niektóre stanowiska strzelnicze dosłownie zalewały fontanny krwi. Jack słyszał okrzyki bólu i przerażenia. Roly? Nie patrzeć do tyłu, najmniejszy błąd mógł kosztować życie.

Jeden z młodych żołnierzy ogarnięty szaleństwem wychylił się z okopu, aby zaatakować przeciwników bagnetem. Zapłacił za to własnym życiem – wpadł do okopu niemal podziurawiony kulami tuż pod nogi Jacka. Zastąpił go ktoś inny. Jack dostrzegł odbezpieczony granat w ręce nadbiegającego Turka. Strzelił, trafił, ale biegnący zdążył jeszcze rzucić, choć nie z pełnego zamachu. Rozległ się głośny huk, pecyny ziemi i fragmenty ludzkich ciał spadły na żołnierzy w okopie.

– Kopalnia zaraz się zawali! – Jack usłyszał słowa Roly'ego, w których było szaleństwo. – Musimy uciekać, uciekać!...

Roly upuścił broń i próbował wspiąć się po ścianie okopu na zewnątrz, ale któryś z żołnierzy ściągnął go na dół. Jack dostrzegł kątem oka, że Roly próbował potem precyzyjnie się między pozostałymi żołnierzami, aby wydostać się jakoś na tylną linię. Tuż obok w okopie eksplodował granat – na wszystkich poleciał deszcz ziemi i krwi...

Roly, wrzeszcząc histerycznie, rzucił się na ziemię. Kilku tureckich żołnierzy wykorzystało swoją szansę i zdołało się przedrzeć do okopu – Jack odwrócił się i zaatakował. Z rozpaczą, broniąc się jak zwierzę w klatce, uderzył bagnetem. Nie można było strzelać, to była już walka wręcz. Nie myśląc, raz za razem wbijał bagnet w ciała pojawiających się przed nim mężczyzn, a ponieważ bagnet na karabinie w tej ciasnocie zajmował za dużo miejsca, chwycił w którymś momencie stojący obok szpadel – bardzo ostry po niekończącym się kopaniu w kamienistej ziemi. I niemal odciął głowę jednemu z napastników, kiedy uderzył go szpadlem w szyję.

– Zabierz stąd trupy! – krzyknął do Roly'ego, ale ten wydawał się nic nie rozumieć. Jack i pozostali wyrznęli w pień Turków, którzy dostali się do okopu. Potykali się albo stali wprost na ciałach zabitych, kiedy w okopie nie było już wrogów i należało znów zająć pozycje na stanowiskach strzelniczych, bo atak trwał nadal. Znów kilku Turkom udało się przedrzeć, ale w szale wpadli prosto na kolczaste druty przed okopem. Jack zobaczył ku swemu przerażeniu, że przeciwnicy, biegnąc, przerwali zasieki ciężarem własnych ciał i zakrwawieni, niemal poszarpani, wpadli razem z drutami do okopu. Żołnierze Jacka próbowali ich atakować, ale także zaplątali się w druty, a wokół znów zaczęły eksplodować granaty. Wszystko przesłoniła spadająca ziemia i dym prochu. Jack słyszał Roly'ego, który skomlał jak pies, kiedy z góry leciały kamienie i części ludzkich ciał. Chłopak chyba wcisnął się w jakiś ką. Jack cieszył się, że przynajmniej nie stał mu na drodze.

Ale major Hollander widział to inaczej. Kiedy na kilka sekund zrobiło się nieco spokojniej, Jack usłyszał jego krzyk:

– Żołnierzu, co to ma znaczyć? Bierzcie broń i strzelajcie! Do cholery, rekrucie, ja jeszcze z wami porozmawiam! To jest tchórzostwo w obliczu wroga!

Jack przeczuwał najgorsze.

– Poradzisz tu sobie sam? – spytał chłopaka, który dotychczas bronił okopu tuż obok niego. Był to jeden z nowych żołnierzy – od początku

nie wykazywał śladu trwogi.

– Jasne, kapralu. Ale może ktoś te zwłoki... – Młody żołnierz zaczął ponownie strzelać, ale Jack wiedział, co miał na myśli. Na ich odcinku okopu panował kompletny chaos: wszędzie leżały resztki oszalowania, części zwłok i drut kolczasty, a wszyscy stali właściwie w krwawym błocie.

Jack musiał najpierw odzyskać orientację, zanim dostrzegł majora i Roly'ego. Roly siedział w kukki w niszy – tak daleko od stanowisk strzelniczych, jak tylko było to możliwe. Chłopak był na wpół zasypany ziemią, dygotał i płakał jak dziecko.

– Kopalnia, kopalnia, Mr Tim...

– Żołnierzu, wstańcie i weźcie broń do ręki! – Major Hollander kopnął chłopaka, ale Roly'ego nawet to nie przywiodło do opamiętania.

Jack, potykając się, przedzierał się przez zwłoki, deski, druty i niemal rzucił się między majora a Roly'ego.

– Sir, on nie jest w stanie, sir... Mówiłem już panu. Proszę go zabrać, kiedy przyjdą oddziały ratownicze, on jest w panice...

– Ja nazywam to tchórzostwem w obliczu wroga, McKenzie. – Major próbował poderwać Roly'ego na nogi.

Zanim mu się to udało i zanim Jack mógł zaprotestować, za ich plecami eksplodował kolejny granat. Turcy znów wskoczyli do okopu. Krzyczeli z bólu, bo zasieki porwały ich mundury i skórę dosłownie na strzępy. Jack spojrział w stronę młodego żołnierza z Wyspy Północnej, zanim rzucił się do walki wręcz. Dostrzegł, że żołnierz też leżał na ziemi i krzyczał. Granat rozerwał mu prawe ramię, a jego krew mieszała się teraz z krwią wrogów. Major Hollander walczył z zimną krwią bagnetem.

– Sanitariusz!

Nikt nie zwracał uwagi na krzyczącego chłopca w kącie bunkra – oddziały ratunkowe miały dość roboty. Ich żołnierze wykonywali swoją pracę pod silnym ostrzałem, także ponosząc ciężkie straty.

Jack w którymś momencie przestał myśleć. Strzelał, uderzał bagnietem, nabijał, aż wreszcie stracił zupełnie poczucie czasu. Czy kiedykolwiek robił coś innego niż zabijanie ludzi? Czy kiedyś nie będzie już brodzić we krwi? Ilu ludzi już zabił? Ilu Turków zginęło w czasie samobójczego ataku na ich okopy?

Dopiero po południu mordercze ataki nieco osłabły. Turcy chyba zrozumieli, że tej bitwy tak łatwo nie wygrają. Około piątej ogień niemal umilkł – słychać było już tylko pojedyncze strzały.

Major Hollander, brudny i zakrwawiony podobnie jak wszyscy żołnierze, wyciągnął z kieszeni zegarek.

– Czas na herbatę – powiedział zimno.

Jack powoli opuścił broń. Czuł potworne zmęczenie i pustkę. Dookoła leżały zwłoki przyjaciół i wrogów, ale on – on żył. Wydawało się, że Bóg nie chciał jeszcze zabrać do siebie McKenziego.

– Sprzątnąć ten burdel i jazda na tyły. – Mówiąc to, major wskazał na zwłoki tureckich żołnierzy, które, w większości rozszarpane i zmasakrowane, leżały w okopie. Oddziały ratownicze jeszcze się nie pojawiły, bo w pierwszej kolejności musiały się zająć własnymi rannymi, co było zrozumiałe. – Ten okop będzie obsadzony oddziałami rezerwowymi – dokończył major i trącił nogą któreś zwłoki, jak gdyby w ten sposób chciał podkreślić swój rozkaz. I nagle leżący człowiek się poruszył.

– Tak ciemno... kopalnia, tak ciemno... gaz... jak się zapali...

– Roly! – krzyknął Jack i ukląkł obok niego. – Roly, nie jesteś w kopalni... Roly, uspokój się...

– Ta tchórzliwa świnia jeszcze tu leży? – Major rzucił się nagle na skomlącego Roly'ego, gwałtownym ruchem zerwał z niego deskę, pod którą żołnierz się ukrył, po czym wymierzył mu pięścią brutalny cios w szczękę.

– Chowa się tutaj i ze strachu sra w spodnie!

Temu ostatniemu nie dało się zaprzeczyć. Roly śmierdział moczem i ekskrementami.

– Gdzie wasza broń, szeregowcu?

Roly sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał tych słów. Jego broni nie można było odnaleźć, widocznie leżała gdzieś dalej, pod błotem i zwłokami.

– Wstać! I jazda za mną, jesteście aresztowani! Zobaczmy, co z wami będzie. Jeśliby to miało zależeć ode mnie, to powinniście iść pod sąd doraźny. Tchórzostwo w obliczu wroga!

To mówiąc, major wymierzył swoją broń w Roly'ego, który odruchowo podniósł ręce do góry, stanął na baczność, po czym odwrócił się posłusznie i poszedł przed oficerem.

Jack chciałby mu pomóc, ale w tej chwili nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, jak to zrobić. Był po prostu zbyt zmęczony, aby w ogóle myśleć, i zbyt wyczerpany, aby cokolwiek zrobić. Pomyślał, że także major był u kresu swoich sił i z pewnością nie każe natychmiast rozstrzelać Roly'ego.

Chwiejąc się, ruszył w głąb okopu, a za nim szli jego żołnierze, wyczerpani podobnie jak on.

– Czterdzieści dwa tysiące... – powiedział jeden z nich. – To znaczy, ich było czterdzieści dwa tysiące. A dziesięć tysięcy zginęło...

Jack nawet nie odczuł grozy tego faktu ani też triumfu. Padł na swoją prycę i natychmiast zapadł w kamienny sen. Tej nocy nie dręczyły go koszmary. Nawet nie czuł zimna.

– Albert Jacka dostał Krzyż Wiktorii! – oświadczył jeden z mężczyzn przy ognisku. – Pierwszy Australijczyk, który otrzymał takie odznaczenie! Ale zasłużył sobie. Załatwił tych typów przy Courtney Post praktycznie sam, mimo że oni już zajęli okop. Niewiarygodne!

Nad Gallipoli znów weszło słońce. Zwycięscy obrońcy zebrali się przy ogniskach, jedli śniadanie i opowiadali jeden przez drugiego mniej lub bardziej bohaterские historie. Kilku żołnierzy kąpało się na plaży przy zatoce, choć woda była chłodna. Ale mężczyźni chcieli zmyć przenikliwą woń prochu i krwi, a morze było jedyną wanną, jaką mieli do dyspozycji. Turcy nie ostrzeliwali kąpiących się z właściwą sobie energią, choć zwykle to robili, kąpiący się zaś urządzali sobie z tego zabawę, nurkując odpowiednio wcześniej. Ale tego ranka wrogowie grzebali swoich poległych. Nie było to oficjalne, ogłoszone przez generałów zawieszenie broni, lecz prosty akt humanitaryzmu. Australijczycy i Nowozelandczycy wyciągali zwłoki poległych z okopów i nie strzelali do drużyn ratowniczych Turków. Wprawdzie trzymali broń na ramieniu, celując z niej do wroga, ale nie strzelali, widząc białe opaski na rękawach mundurów.

Jack się upewnił, że ci, którzy przeżyli z jego kompanii, dostali coś do jedzenia i przynieśli wodę do mycia. Na to ostatnie musiał zwracać szczególną uwagę, bo większa część dawnych poszukiwaczy złota nie przywiązywała zbytnej wagi do higieny, a jeśli żołnierze nie byli umyć i porządnie ubrani, to ich przełożeni byli natychmiast ostro rugani przez angielskich oficerów. Jackowi chciało się śmiać już na samą myśl o tym. Z jednej strony porządek i czystość – a z drugiej brodzenie we krwi w okopach. Okopy były już posprzątane, ale Jack na razie nie był w stanie wytrzymać tam ani minuty – natychmiast miał przed oczami widok mężczyzny niemal obdartych ze skóry na kolczastym drucie i twarz młodego żołnierza, któremu ściął głowę łopatą.

Ruszył w stronę plaży, aby się rozejrzeć za Roly'm. Gdzie, na miłość boską, mógł się znajdować ów areszt, do którego wsadził go major?

Pierwszy zapytany sanitariusz wskazał mu drogę do „więzienia”. Szaleństwo, za którego przyczyną na wojnę jechali Australijczycy i Nowozelandczycy, powodowało też, że nawet na polu walki mężczyźni próbowali naruszać wszelkie zasady. Już w przededniu ostatniej bitwy aresztowano dwóch mężczyzn z powodu pijaństwa – tylko jednego z nich można było następnego dnia wysłać do walki, a i to dopiero około południa. Ów mężczyzna natychmiast otrzymał postrzał i teraz leżał w lazarecie. Z drugim można było rozmawiać dopiero tego ranka i właśnie oczekiwał w areszcie na proces, przy czym nie było jasne, czy zostanie oskarżony z powodu zakłócenia spokoju, tchórzostwa przed wrogiem czy też nawet dezercji. Jack znalazł zaimprovizowany areszt w namiocie koło plaży. Stało przed nim trzech wartowników: starszy sierżant i dwaj młodzi żołnierze.

– Kogo szukacie? Tego tchórze? Dopiero dzisiaj zdołał się jakoś ucywilizować, wczoraj nie był w stanie z nikim rozmawiać. Kompletnie

sflksował... Chciałem już zawiadomić lekarza, ale oni mają dość swoich zajęć. A teraz znowu wstydy się tchórzostwa i cały czas chce opowiadać coś o jakiejś kopalni. – Sierżant mieszał spokojnie herbatę. – Chyba mu coś padło na głowę...

Jack z jednej strony odczuł ulgę, ale fakt, że cały czas trzymano Roly'ego w areszcie, nie wróżył nic dobrego, choć jego stan powoli się normalizował.

– Co się z nim teraz stanie? – spytał. – Major Hollander...

– No, on najchętniej by go natychmiast rozstrzelał. Tchórzostwo w obliczu wroga... – stwierdził sierżant. – Napije się pan herbaty?

Jack odmówił.

– Ale czy on może to zrobić? – spytał zgnębiony. – To znaczy...

Sierżant wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie odeślą go na Lemnos, na sąd wojenny. Tego drugiego też. Ale czy oni ich tak od razu rozstrzelają... To właściwie marnowanie ludzi, nie? Myślę, że wylądują w batalionie karnym. Co w końcu na jedno wychodzi, ale najpierw mogą jeszcze przez jakiś czas pomachać łopatom w okopach we Francji...

– We Francji? – spytał Jack przerażony.

Mężczyzna skinął głową.

– Ale to, co zrobili, to chyba za mało na australijski batalion karny. Ci chłopcy są trochę niesforni, ale tchórzami nie są! Chce pan go teraz zobaczyć?

Jack potrząsnął głową. Nie miało sensu rozmawiać teraz z Rolyem, bo nie było niczego, co mogłoby go pocieszyć. Jack wiedział, że musi coś zrobić. I to zanim Roly'ego wyślą na Lemnos! Jeżeli postępowanie się rozpocznie, to nie będzie można go zatrzymać.

Podziękował sympatycznemu wartownikowi i poszedł do lazaretów.

– Ambulans polowy... Komandor Joseph Beeston, gdzie go mogę znaleźć? – zapytał pierwszego napotkanego pielęgniarza.

– Lekarz sztabowy teraz chyba operuje. Oni wszyscy są w akcji od wczoraj... – Mężczyzna popchnął wyraźnie zdezorientowanego rannego z grubym opatrunkiem na głowie do jednego z namiotów.

– Lekarze są w tym namiocie po drugiej stronie, proszę tam o niego zapytać. Ale może będzie pan musiał poczekać. Tam dopiero jest piekło!

Jack musiał się przewyciężyć, aby wejść do namiotu, w którym znajdowała się prowizoryczna sala operacyjna. Jeden z pielęgniarzy wynosił akurat zakrwawione worki. Jack rozpoznał opatrunki gazowe, ale także odcięte części ludzkich ciał. Zebrało mu się na wymioty, kiedy w twarz niemal uderzyła go intensywna, słodkawa woń krwi, zmieszana z oparami lizolu i eteru.

Także w namiocie podłoga była pełna krwi, a pielęgniarze nie nadążali z wycieraniem. Przy kilku stołach pracowali lekarze, zewsząd dobiegały krzyki i stękania.

– Komandor Beeston? – zagadnął Jack jednego z lekarzy, których niemal nie można było rozpoznać; wszyscy ubrani byli w fartuchy i mieli na twarzach opaski. „Rzeźnicze fartuchy” – pomyślał Jack.

– Tam z tyłu, ostatni stół z prawej strony... obok siedzi ten kundel. – Lekarz machnął zakrwawionym skalpelem we wskazanym kierunku.

Jack spojrział tam i dostrzegł Paddy'ego. Mały psiak leżał wciśnięty w kąt namiotu i sprawiał wrażenie kompletnie zdezorientowanego. Sapał i dygotał, słysząc odgłosy salw, a Jackowi w tym momencie przypomniał się Roly.

– Komandor Beeston? Mogę... Możemy chwilę porozmawiać...?

Lekarz odwrócił się nieznacznie i Jack zobaczył śmiertelnie zmęczone oczy za grubymi okularami. Fartuch Beestona był pochlapany krwią, a ręce zakrwawione aż do łokci. Lekarz rozpaczliwie usiłował coś znaleźć we wnętrzościach operowanego pacjenta.

– Znam pana...? Ach tak, szeregowy McKenzie! Teraz kapral! Gratuluję! – Komandor Beeston uśmiechnął się z trudem, co można było poznać tylko po wyrazie oczu.

– Muszę zamienić parę słów, to bardzo pilne – powtórzył Jack. Na Lemnos z całą pewnością co trochę odpływały statki szpitalne i ktoś mógł wpaść na pomysł, aby wraz z rannymi odesłać tam aresztantów.

– Oczywiście – odpowiedział lekarz. – Ale nie teraz. Musi pan poczekać. Jeśli... jeśli uporam się z tym wszystkim, to zrobię sobie przerwę. Musimy dostać posiłki z Lemnos, bo nie dajemy już rady. W każdym razie... niech pan poczeka w „kasynie”, czy też jak ta buda się nazywa. Każdy panu powie, gdzie to jest. A jak się pan tego podejmie – to proszę zabrać Paddy'ego, bo dostanie tu jakiegoś zawału... – Beeston odwrócił się do swego pacjenta.

Jack spróbował wywabić psa z kąta namiotu, ale zwierzę tylko skomlało żałośnie. W końcu Jack założył psu smycz i przekonał go, aby wyszedł razem z nim z namiotu. Na zewnątrz Paddy za wszelką cenę usiłował iść w stronę zakotwiczonych statków.

– Mądry pies – zauważył Jack. – Tam chyba wszystkich dziś ciągnie. A gdzie może być owo „kasyno”?

„Buda” – określenie, którego użył komandor Beeston, pasowało o wiele lepiej do prowizorycznej konstrukcji z płacht namiotowych i desek używanych w bunkrach. Tu lekarze próbowali odetchnąć chwilę pomiędzy kolejnymi operacjami. Kiedy Jack wszedł do środka, młody oficer sanitarny leżał na jednej z prycz pogrążony w głębokim śnie, a ciemnowłosy lekarz właśnie wypijał kolejny łyk whisky wprost z butelki. Po chwili odstawił butelkę, spryskał sobie twarz wodą ze stojącej obok umywalki i pośpiesznie wybiegł z namiotu.

Jack postanowił poczekać przed namiotem i zabijał czas, ucząc Paddy'ego posłuszeństwa. Psiak nie był już tak przerażony jak wcześniej w namiocie i za chwilę wykonywał wszystkie ćwiczenia. Jackowi ta praca także sprawiła przyjemność, pozwoliła choć na chwilę zapomnieć o toczonych w okopach walkach wręcz.

– Mądry pies! – pochwalił mieszańca z zadowoleniem. Nagle poczuł gwałtowną tęsknotę za domem. Co popchnęło go do tego, aby opuścić Kiward Station, zostawić psy collie, owce i tu, na drugim końcu świata, zagrzebać się w okopach, strzelać do ludzi, których nigdy nie widział?

– Ma pan rękę do psów! – oświadczył zachwycony Beeston, kiedy zjawił się wreszcie po przeszło dwóch godzinach, jeszcze bardziej wyczerpany niż przedtem. Z pewnością miał za sobą znacznie więcej operacji. – Powinienem być zostawić Paddy'ego na statku. Przeważnie tam śpimy... Ale wczoraj...

– Wczoraj wszyscy byliśmy u kresu swych możliwości – dokończył Jack. – Niektórzy bardziej niż pozostali...

– Niech pan wejdzie! – Komandor Beeston otworzył przed nim wejście do namiotu i natychmiast udał się na poszukiwanie butelki whisky.

Był co prawda na tyle cywilizowany, aby nalać dwie szklanki.

– Ma pan ochotę?

Jack miał.

– A co mogę dla pana zrobić? – spytał lekarz sztabowy.

Jack opowiedział o Rolyem.

– Nie wiem... Dobrze, jestem panu coś winien, ale tchórze tutaj też nie potrzebują. A tchórzostwo w obliczu wroga...

Komandor Beeston wolno pił swoją whisky.

Jack potrząsnął głową.

– Szeregowy O'Brien nie jest tchórzem. Wręcz przeciwnie, po bitwie na Cape Helles otrzymał pochwałę, bo wyciągnął zza linii wroga dwóch rannych. A w czasie szturm na to okropne wzgórze walczył na czele oddziału. Ale ten człowiek ma klaustrofobię. W okopach dostaje szaleństwa.

– Nasze oddziały ratownicze też muszą schodzić do okopów – przypomniał Beeston.

– Ale za chwilę wychodzą na górę, gdzie jest otwarta przestrzeń. Przecież o to nikt nie będzie się spierał, prawda? – spytał Jack. – Już nie

mówiąc o tym, że chyba nie chce pan tego człowieka włączyć do oddziałów ratowniczych. To doświadczony pielęgniarz...

Beeston zmarszczył czoło.

– On ma doświadczenie jako sanitariusz?

Pół godziny później komandor Beeston formalnie poprosił majora Hollandera o odkomenderowanie szeregowca Rolanda O'Briena do służby sanitarnej.

– Szkoda go do kompanii karnej, majorze! Zgodnie z tym, co mówi jego przyjaciel, ten człowiek jest wykształconym sanitariuszem, został przeszkolony przez pewną siostrę jeszcze z czasów wojny krymskiej. To Florence Nightingale w męskim wcieleniu! Zmarnuje się we Francji!

Godzinę później Jack McKenzie mógł odetchnąć. Roly był uratowany. Jack napisał list do Tima Lamberta w Greymouth. Lepiej było mieć alternatywę.

A na koniec Jack napisał do Glorii. Nie chciał być natrętny i właściwie nie wiedział, czy ma wysłać ten list. Ale wydawało mu się, że jeśli teraz nie napisze do kogoś o ostatnich walkach, to oszaleje.

Kiedy Gloria po wielu miesiącach dotarła wreszcie do Sydney, była gotowa znienawidzić cały świat. Najbardziej była wściekła na swoich „klientów”, którzy wykorzystywali ją bez skrępowań i nie zamierzali płacić ani grosza więcej za „dodatkowe usługi”, jakich żądali od dziewczyny. Kilka razy się zdarzyło, że Gloria musiała wyciągnąć nóż, aby zmusić do tego mężczyznę – i zawsze ją zaskakiwało, że ta metoda działała znakomicie. Ci w gruncie rzeczy nieszkodliwi drobnomieszczyźni, których cieszyła sposobność upokorzenia słabszej i pozbawionej wszelkich praw dziewczyny, kapitulowali natychmiast na widok ostrza noża. Ktoś taki jak steward – pozbawiony wszelkich skrępowań oszust – bez trudu by ją obezwładnił i może jeszcze krwawo się zemścił. Ale tych mężczyzn być może przerażała nienawiść, jaką dostrzegali w oczach dziewczyny, kiedy chwyciła za nóż. Jeśli była gotowa świadczyć wszelkie usługi, sprawiała wrażenie słabej i cichej i bez słowa chowała do kieszeni otrzymane pieniądze. Ale kiedy ktoś odmawiał zapłaty, wpadała w furję.

Gloria nienawidziła też innych dziewcząt lekkich obyczajów, które nie miały ochoty zaakceptować „nowej” w swoim rewirze. Wiedziały doskonale o często używanym nożu, ale były na tyle zobojętniałe, że nie reagowały na groźby. A większość z nich potrafiła walczyć znacznie lepiej niż Gloria. Dwa razy wyładowała w błocie na ulicy, ciężko pobita, a raz jej przeciwniczka zrabowała jej zarobek z całego dnia. A przy tym Gloria nie stanowiła dla innych dziwek zbyt wielkiej konkurencji. Mężczyźni, którzy zabierali ją z sobą, szukali raczej specjalnych usług.

Z początku nie wiedziała, jaki był tego powód, ale później zrozumiała, że mężczyźni fascynowała jej ogolona głowa. Gloria obawiała się z początku, że jej „radykalna fryzura” będzie raczej powodem kiepskich zysków, ale właśnie mężczyźni o nieco bardziej perwersyjnych skłonnościach uważali gładką skórę jej głowy za coś nieodparcie kuszącego. Gloria ogoliła się znowu, kiedy tylko jej gęste, silnie kręcone włosy zaczęły odrastać. Pomijając wszystkie inne kwestie, był to także najlepszy sposób zwalczania robactwa – chociaż nie wykonywała swego „rzemiosła” w tak okropnych warunkach jak na „Niobe”, to w szopach i różnych portowych spelunkach, do których zabierali ją mężczyźni, z pewnością były pchły. Gloria najchętniej chodziła więc na jakąś plażę. Było czysto, a szum morza kołysał ją, kiedy kolejny klient zaspokajał się, korzystając z jej ciała.

Gloria nienawidziła też cieszących się szacunkiem kobiet i właścicieli sklepów, w których kupowała nieliczne artykuły spożywcze. Ich arogancji, kiedy spotykali na swej drodze dziewczynę Glorię, i braku chęci, aby jej jakoś pomóc. Stałym zwyczajem Glorii było podróżowanie w przebraniu chłopaka i zamienianie się w kobietę nocą. W męskim przebraniu czuła się bezpieczniej, mogła się też dzięki niemu łatwiej ukryć przed innymi dziewczętami lekkich obyczajów, które chętnie wykorzystywały sposobność, aby za dnia polować na przejezdną konkurencję. Gloria ciągle miała nadzieję, że jako chłopak znajdzie pracę i w ten sposób oszczędzi trochę pieniędzy, nie wydając ich na jedzenie. Wydawało się, że chłopakowi łatwo będzie na mijanych po drodze farmach zarobić na posiłek przy naprawie płotów, koszeniu trawy czy wyładowywaniu wozów. Ale tylko nieliczni farmerzy byli skłonni ją zatrudnić. W najlepszym wypadku „Jack” otrzymywał jałmużnę i życzenie na drogę: „Idź z Bogiem, ale idź!”. Włóczęga nie był zbyt chętnie widzianą postacią w małych miastach Australii. Co jakiś czas „Jackowi” proponowano, aby wstąpił do wojska, zamiast włóczyć się bez celu po okolicy.

Ale najbardziej Gloria nienawidziła kraju, w którym się znalazła. Była przyzwyczajona do ogromnych odległości, jakie dzieliły ją od Nowej Zelandii w Ameryce, ale wszystko to było niczym wobec dystansów, które musiała pokonać w Australii. I zwłaszcza na początku jej podróży były one powodem wręcz rozpacz. Aby dotrzeć z Darwin do Sydney, musiała pokonać słabo zaludnione Northern Territory, a były to setki mil. Nie dostrzegała piękna pustynnych regionów, które przemierzała pociągami, ale przeważnie na piechotę, rzadziej na wozie jakiegoś litościwego farmera czy też lubieżnego poszukiwacza złota. Nie dostrzegała piękna połyskliwych, czerwonych formacji skalnych ani też osobliwych termitier. Nie zwracała uwagi na spektakularne wschody i zachody słońca, choć czasami przemykała jej przez głowę myśl, że dawniej chciałaby to namalować. Ale to było kiedyś, w jakimś innym życiu, a jeśli chodziło o dziś... Dziś Gloria nie miała życia. Postrzegała swoją egzystencję jako coś w rodzaju fazy przejściowej – im mniej będzie myśleć o tym, gdzie była i co robiła, tym łatwiej będzie o tym w przyszłości zapomnieć. Kiedy zamykała oczy, widziała Canterbury Plains, zielone, porośnięte bujną trawą łąki, owce i Alpy gdzieś daleko na horyzoncie. I ogarniał ją lęk, że także to marzenie kiedyś zniknie, jeżeli nie będzie dość szybko iść do przodu.

Gloria omijała obozy Aborygenów, pierwotnych mieszkańców tych terenów, a wypatrywała poszukiwaczy złota i ich osiedli. „Jack” próbował plukać złoto, ale bez prawa do własnej działki i lepszej znajomości tego fachu potrzebowałby wielu lat, aby oszczędzić ilość pieniędzy konieczną na dalszą podróż. Jako dziewczka Gloria zarabiała znacznie więcej, chociaż musiała być bardzo ostrożna w obozach poszukiwaczy. Większość z nich należała do ludzi niezbyt okrzęsanych, którzy skłonni byli płacić tylko wtedy, kiedy coś znaleźli. Wówczas bywali też niesłychanie szczodrzy, ale czasami napadali na Glorię w kilku i nie chcieli płacić. Dziewczyna nie odważyła się wobec tej przewagi wyciągać noża.

Oddechnęła, kiedy po wielu tygodniach wędrówki wreszcie zobaczyła morze i mogła bez problemu wędrować od jednej miejscowości nadmorskiej do drugiej. Nie zapamiętywała nazw wsi, miast ani portów. Otaczający ją krajobraz postrzegała jako ogromną pustynię i plażę, a wszystkie twarze mężczyzn zlały się w jedną odradzającą gębę. Myślała tylko o tym, aby iść, by w jakikolwiek sposób przemieszczać się coraz dalej. Mimo to upłynęły miesiące pełne bólu, upokorzeń i lęków, zanim wreszcie dotarła do Sydney. „Jack” musiał się tutaj ostatecznie zamienić w Glorię, bo to na jej nazwisko wystawione były dokumenty. Co jakiś czas w trakcie swej podróży wyciągała paszport, czasami dygocząc z lęku, kiedy nie mogła szybko go znaleźć w wewnętrznej kieszeni swojego męskiego ubrania. Dokumenty były już poplamione, zawilgocone od morskiej wody i pogniecione, ale ciągle ważne.

Gloria Martyn... To nazwisko było jej teraz obce. Jeśli w ogóle myślała o istocie, którą się stała, to nazywała siebie „Jack”. Przyszło jej do głowy, że użycie tych dokumentów może być niebezpieczne, bo wówczas wyda się, kim jest, i mogą ją odesłać do rodziców, ale wydało jej się to nieprawdopodobne. Może byłoby tak, gdyby popełniła jakieś ciężkie przestępstwo. Ale opowieść o dziewczynie, która uciekła w San Francisco – większość ludzi będzie raczej fantazjować na temat jakiejś historii miłosnej. Jak Lilian... Gloria nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy swoją małą, zawsze wesołą kuzynkę.

W czasie ostatnich tygodni Gloria przestała obcinać włosy, i kiedy przybyła do Sydney, jej wychudzoną twarz otaczały krótkie, rudobrzowe loki. W jednym z licznych domów towarowych kupiła dwa stroje podróżne. Niezbyt drogie, ale też nie najgorszej jakości. I choć musiała na to dłużej „pracować”, była zdecydowana kupić sobie na statek bilet drugiej klasy. Nie zniósłaby już międzypokładzia, także jako pasażerka.

Pierwszy statek w kierunku Nowej Zelandii płynął do Dunedin. I tu Gloria miała szczęście. Wcześniej biła się z myślami, czy ma czekać na statek płynący na Wyspę Południową, czy też wyruszyć jak najszybciej, nawet jeśli statek płynąłby na Wyspę Północną. Okoliczność, że „Queen Anne” wypływała dopiero za tydzień, była zdecydowanie mniej przyjemna. Gloria walczyła z sobą. Czy miała przetrwać ten czas jako „Jack” w jakimś tanim pensjonacie dla mężczyzn, by w ten sposób oszczędzić pieniądze, czy też wynająć pojedynczy pokój? Na to drugie musiałaby wydać ostatnie rezerwy finansowe. Najbardziej lukratywne rozwiązanie, aby „pracować” jeszcze kilka dni, Gloria odrzuciła natychmiast. Nie będzie więcej ryzykować! Po tym wszystkim, co dotychczas przeżyła, nie miała już ochoty narażać się na ataki innych dziwek

i paść ich ofiarą ani też zakradać się na jakiś statek jako „Jack”.

Nagle ogarnęła ją panika. Co będzie, jeśli ją jednak rozpoznają w czasie kontroli paszportowej? A jeśli „Queen Anne” utonie? A może ktoś z załogi pracował poprzednio na „Mary Lou” albo na „Niobe” i rozpozna ją wśród pasażerów? A jak w ogóle miał wyglądać jej powrót do domu? Dziadek James już nie żył, ale czy babcia Gwyn żyła? A może Kura i William wpadli we wściekłość z powodu jej ucieczki i sprzedali Kiward Station? I może Gloria jest teraz współodpowiedzialna za to, że babcia Gwyn oraz Jack stracili dom? O Jacku Gloria wcale nie chciała myśleć. Czy będzie go nienawidzić tak, jak nienawidziła wszystkich mężczyzn?

Czas do wypłynięcia statku spędziła samotnie, siedząc w swoim pokoju w tanim pensjonacie i dygocząc z przerażenia oraz niewytłumaczonego lęku. W Sydney, które jeszcze niedawno było kolonią karną dla więźniów, a dziś stało się urokliwym, niewielkim miastem, nie widziała nic oprócz portu. Port Jackson był portem naturalnym, zbudowanym w zatoce morskiej sięgającej daleko w głąb lądu, która znakomicie chroniła zawijające tu statki. Ale Gloria nie zwracała uwagi na żadne cuda przyrody. Port był dla niej jedynie miejscem pełnym różnych zagrożeń i ludzkich szumowin.

Zainwestowała ostatnie pieniądze w dorożkę, aby nie musieć iść na piechotę przez dzielnicę portową i niemal wbiegła na pokład „Queen Anne”. Kiedy ktoś z obsługi uprzejmie wskazał jej kajutę, omal się nie popłakała z ulgi. Dzieliła maleńkie pomieszczenie z bardzo podekscytowaną młodą dziewczyną, która jechała ze swoimi rodzicami do Nowej Zelandii. Jej matka urodziła się koło Queenstown, ale potem wyszła za mąż za Australijczyka i wyjechała do jego kraju. A teraz ojciec udawał się w interesach na Wyspę Południową i zabrał z sobą rodzinę. Henrietta i jej dwaj bracia wreszcie będą mogli poznać dziadków.

– A ty? – spytała dziewczyna.

Gloria opowiadała niewiele. Ciągłe rozradowana współpasażerka działała jej na nerwy, podobnie jak szkolne koleżanki jeszcze w Oaks Garden. Teraz Gloria zaczęła się zachowywać podobnie jak wówczas; czyli najczęściej milczała i miała wiecznie ponurą, niezadowoloną minę. Henrietta wkrótce zaczęła jej unikać.

Podróż miała trwać dość długo, w związku z czym armator zapewniał pasażerom pierwszej i drugiej klasy sporo rozrywek. Gloria najchętniej nie brałaby w tym żadnego udziału – wahała się pomiędzy chęcią spędzania czasu na pokładzie i wypatrywania ojczystych brzegów a pragnieniem ukrycia się w kajucie. Ale tańce i występy muzyczne związane były z posiłkami, a Gloria korzystała z każdej możliwości, aby wreszcie najęść się do syta. W Australii niemal stale cierpiała głód, więc teraz nie chciała stracić żadnej okazji, by móc się rozkoszować posiłkami, które były wliczone w cenę biletu. Choć co prawda z wyraźnym trudem przychodziło jej przestrzeganie ogólnie przyjętych w towarzystwie norm zachowania. Zbyt często w ostatnich miesiącach łapczywie i szybko zjadała jakiś kawałek chleba i sera, w obawie, że zaraz pojawi się jakiś silniejszy włóczęga i odbierze „Jackowi” jego strawę.

Za to podawane w określonych godzinach posiłki i elegancka jadalnia na statku budziły wspomnienia o szkole Oaks Garden. I Gloria zachowywała się dokładnie tak jak wtedy: niemal niepostrzeżenie, z opuszczoną głową zajmowała miejsce przy stole, życzyła wszystkim „smacznego”, na nikogo jednak nie patrząc, po czym jadła najszybciej, jak to tylko było możliwe. Ponieważ niegrzecznie byłoby wstać natychmiast po skończeniu posiłku, starała się wytrzymać imprezy muzyczne i występy kabaretowe, sącząc wino i jedząc podawane na zakończenie posiłków orzeszki. Jeśli ktoś się do niej odzywał, odpowiadała niechętnie, monosylabami. I znakomicie udawało jej się grać rolę nieśmiałej, skromnej dziewczyny. Tylko raz, kiedy jakiś młody mężczyzna bez żadnych złych zamiarów poprosił ją do tańca, objawiła się jej chęć „samoprzetrwania”: spojrzała na mężczyznę z taką nienawiścią, że ten cofnął się przerażony, omal się nie przewracając. Gloria przestraszyła się wówczas samej siebie. Bo gdyby ten człowiek jej dotknął, chwyciłaby instynktownie za nóż, który ciągle przy sobie nosiła. Mała Henrietta od chwili tego incydentu, którego była świadkiem, najwyraźniej bała się Glorii. A Gloria – Gloria liczyła dni podróży...

I wreszcie któregoś dnia na horyzoncie pojawiła się Nowa Zelandia – Aotearoa. Gloria roiała o wielkiej białej chmurze, ale dotarli do Dunedin nie wczesnym rankiem, tylko po południu, kiedy miasto spowite było w jesiennych mgłach, z czym należało się liczyć o tej porze roku. W każdym razie ze statku można było dostrzec niewyraźne sylwetki gór gdzieś daleko na horyzoncie, stanowiącym tło dla pięknego miasta w Otago. Kapitan wskazał pasażerom pierwszej i drugiej klasy kolonie albatrosów na Otago Peninsula, a odpowiedzią były liczne okrzyki „ach” i „och” na widok ogromnych, krążących nad wyspą ptaków.

Gloria bezwiednie ścisnęła w rękę swój węzełek z odzieżą – jej palce niemal rozdarły zniszczony materiał. W domu... Była wreszcie w domu. Słyszała, że imigranci za czasów babci Gwyn padali na kolana i całowali ziemię, dziękując Bogu, że udało im się tu dotrzeć cało i zdrowo. Teraz wiedziała, co oni czuli. Odczuwała przemożną, niewypowiedzianą ulgę, kiedy „Queen Anne” wreszcie zawinęła do portu Chalmers.

– Co pani teraz zamierza robić, Mrs Martyn? – Ojciec Henrietty, który stał obok, zapytał wprawdzie bez większego zainteresowania, ale starając się przynajmniej podtrzymać uprzejmą konwersację z dziwną młodą kobietą.

Gloria popatrzyła na niego – i nagle stwierdziła, że właściwie nie znała odpowiedzi na to pytanie.

W jej planach celem podróży była Nowa Zelandia. Ale co właściwie miała dokładnie robić, kiedy wreszcie tu dotrze...

– Odwiedzę moją rodzinę – odpowiedziała tak pewnym głosem, jak to tylko było możliwe.

– A więc życzę pani wiele szczęścia. – Mr Marshall dostrzegł na pokładzie znajomego i zostawił Glorię. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Bo ostatecznie nie skłamała. Chciała przecież pojechać na farmę Kiward Station. Co prawda...

– Podróżni udający się do Dunedin powinni wsiąść do pociągu – poinformował steward. – Pociągi jeżdżą tu regularnie i bez problemu dotrze pani do miasta.

– To my nie dopłyniemy do Dunedin? – spytała cicho Gloria.

Młody mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie, Miss, port Chalmers to osobna miejscowość. Ale jak mówiłem, to żaden problem...

Tak, o ile miało się w kieszeni więcej niż kilka australijskich centów. Gloria zdawała sobie sprawę, że nie będzie już mogła zapłacić za przejazd pociągiem, ale jakoś nie wydawało jej się to ważne. Schodziła po trapie jak w transie, szczęśliwa, że wreszcie będzie mieć pod stopami nowozelandzką ziemię. Bez celu poszła wzdłuż morza, po czym usiadła na ławce i zaczęła się wpatrywać w spokojną wodę zatoki. Tak często wyobrażała sobie poprzednio, że będzie krzyczeć i śpiewać z radości, kiedy wreszcie dotrze do Nowej Zelandii, ale teraz odczuwała tylko dziwną pustkę. Nie czuła rozpaczki ani strachu, nie była też nieszczęśliwa. Ale to nie była radość. To było tak, jak gdyby wszystko w niej było już martwe i jakby zużyła całą swą energię. Nie miała pojęcia, co będzie robić, ale wcale jej to nie niepokoiło. Chciała po prostu siedzieć, patrzeć, aż... nie wiedziała, jak długo.

– Dobry wieczór, młoda damo. Czy mogę pani jakoś pomóc?

Gloria odwróciła się przerażona, kiedy usłyszała za sobą męski głos. Instynktownie chciała chwycić za nóż. Za nią stał mężczyzna w mundurze konstabla.

– Nie, ja... tylko odpoczywam... – wyjąkała.

Konstabl skinął głową, ale zmarszczył czoło.

– Odpoczywa pani już od dwóch godzin – odparł, zerkając wymownie na zegarek. – I powoli robi się ciemno. Jeśli więc zmierza pani do jakiegoś celu, to powinna pani się pośpieszyć. A jeśli nie ma pani jakiegoś celu podróży, to proszę go wymyślić. W przeciwnym wypadku ja będę musiał coś zrobić. Nie wygląda pani jak portowa dziwka, ale do moich zadań należy zwracać uwagę na młode damy, aby nie przychodziły im do głowy głupie pomysły. Czy się rozumiemy?

Gloria przyjrzała się mężczyźnie nieco dokładniej. Był w średnim wieku, nieco ociężały i nie budził przerażenia swoim wyglądem. Ale miał rację. Tu, na tej ławce w porcie, nie mogła zostać.

– Skąd pani jest, młoda damo? – spytał uprzejmie policjant, kiedy dostrzegł jej zaskoczone spojrzenie.

– Jestem z farmy Kiward Station – odpowiedziała Gloria. – Canterbury Plains, Haldon.

– O dobry Boże! – Konstabl przewrócił oczami. – Dziecko, dziś tam pani już nie dotrze. A coś bliżej?

Gloria wzruszyła ramionami.

– Queenstown, Otago? – spytała mechanicznie. Tam mieszkali dziadkowie Lilian. Gloria poznała ich w czasie swojej jedynej wizyty u nich. Konstabl się uśmiechnął.

– To już jest bliżej, dziewczyno, jakkolwiek też nie zaraz za rogiem. Myślałem raczej o jakimś miejscu, gdzie może jeszcze dziś znajdzie pani łóżko dla siebie. Jeżeli nie będzie to w Port Chalmers – to może Dunedin?

Dunedin. Gloria tysiące razy pisała nazwę tego miasta na kopertach. Oczywiście, że znała kogoś w Dunedin. O ile Miss Bleachum się nie wyprowadziła, nie przyjęła jakiegś innej posady albo nie wyszła za mąż. Minęło wiele czasu od chwili, kiedy Gloria ostatni raz pisała do Sarah.

– Princess Alice School for Girls? – spytała cicho.

Konstabl skinął głową.

– Taka szkoła istnieje! – pochwalił ją. – I znajduje się między śródmieściem a Port Chalmers, to niedaleko stąd.

– Jak daleko? – spytała Gloria.

Policjant wzruszył ramionami.

– Z pięć mil – odpowiedział.

Gloria skinęła głową.

– Dobrze, pójdę tam. W którym kierunku mam iść? Czy prowadzi tam jakaś dobra droga?

Policjant znów zmarszczył czoło.

– Mała, proszę powiedzieć, skąd się pani tu wzięła? Wprost z lasu? Oczywiście, że wokół Dunedin jest dużo porządných dróg – jest także linia kolejowa i z całą pewnością koło szkoły pociąg też się zatrzymuje na stacji. Choć ostatni pociąg już z pewnością odjechał. Poszukamy więc dla pani dorożki, zgoda?

Gloria potrząsnęła głową.

– Nie mam pieniędzy.

Policjant westchnął.

– Tak właśnie myślałem... Wygląda pani na osobę, która znalazła się w kłopotach... A więc pomyślmy razem. Dlaczego wspomniała pani o tej szkole dla dziewcząt? Zna tam pani kogoś?

– Sarah Bleachum, nauczycielkę – cierpliwie udzielała odpowiedzi Gloria. Ciągle jeszcze nic nie czuła, ani strachu przed władzami, ani też pragnienia, aby znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Sarah Bleachum... To był inny świat.

– A jak pani się nazywa? – spytał konstabl.

Gloria wymieniła swoje imię i nazwisko. Chociaż zdawała sobie sprawę, że było to niebezpieczne i że była poszukiwana. Ale teraz nikt już nie wsadzi jej na najbliższy statek płynący do Ameryki. Jej krewni byli zbyt blisko.

– Dobrze, Miss Martyn. Proponuję więc pani rzecz następującą: tu za rogiem jest posterunek policji – ale proszę się nie przerażać, my nie gryziemy! Jeśli więc nie ma pani nic przeciwko temu, aby mi towarzyszyć, to stamtąd moglibyśmy zadzwonić do Princess Alice School. Jeśli rzeczywiście pracuje tam owa Sarah Bleachum, dla której jest pani kimś bliskim, to ona z pewnością chętnie weźmie na siebie koszty dorożki.

Kilka minut później Gloria siedziała na posterunku policji i piła herbatę razem z konstablami McCloudem i McArthur. Prawie wszyscy mieszkańcy Dunedin pochodzili ze Szkocji.

Konstabl McCloud rozmawiał telefonicznie najpierw z Miss Brandon, potem z Mrs Lancaster i w końcu zwrócił się do Glorii.

– Tak, rzeczywiście pracuje tam Sarah Bleachum, ale w tej chwili ma lekcję... astronomii. Dziwny przedmiot, nigdy bym nie pomyślał, że dziewczęta mogą się uczyć czegoś takiego! W każdym razie rektorka stwierdziła, że mam panią wsadzić w dorożkę i wysłać do szkoły. Ona już jakoś ureguluje koszty...

Brzmiało to pocieszająco i chwilę potem Gloria utonęła w miękkim siedzeniu wyjątkowo przestronnego automobilu; najwyraźniej brano tu pod uwagę wysokie kapelusze pasażerów. Pojazd turkotał przez Port Chalmers, a kierowca nie omieszkął zwrócić Glorii uwagi na elektryczne oświetlenie ulic, które zostało niedawno założone. A potem jechali przez ciemne, ale bardzo dobre drogi prowadzące do Dunedin. Gloria nagle zaprzagnęła zobaczyć drogę prowadzącą przez tereny porośnięte lasem w Hellen. Buki lasów południowych... *Cabbage trees*... Może gdyby zobaczyła ojczystą przyrodę, to nie czułaby się tak nierealnie.

Budynek Princess Alice School przypomniawszy jej szkołę w Oaks Garden. Choć co prawda był mniejszy i architektonicznie ładniejszy – była to dość wymyślna budowla z wykuszami i wieżyczkami, wykonana z miejscowego jasnego piaskowca. Do budynku prowadziła aleja i serce Glorii biło mocno, kiedy szofer zatrzymał się przed schodami. A jeśli Miss Bleachum jej nie rozpozna albo nie będzie chciała jej znać?... Co będzie musiała zrobić, aby zapłacić za tę podróż taksówką?

Kierowca towarzyszył jej, kiedy wchodziła po schodach i zaraz potem znalazła się w wielkim, przestronnym holu, gdzie ogień, wesoło buzujący w kominku, pozwalała szybko zapomnieć o jesiennym chłdzie. Znajdowały się tu meble wykonane z drewna kauri, krzesła i sofy, na podłodze zaś leżał miękki dywan. A za chwilę otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich starsza, korpulentna dama.

– Jestem Mrs Lancaster, rektorka szkoły – wyjaśniła i najpierw zapłaciła kierowcy taksówki. – I jestem bardzo ciekawa, kto to przyleciał do nas z Australii. – Uśmiechnęła się do Glorii. – Nasza Miss Bleachum też. Ona nikogo nie zna w Australii.

Gloria gorączkowo szukała właściwych słów, aby wszystko wyjaśnić, ale wówczas zobaczyła Miss Bleachum schodzącą po schodach do foyer. Jej dawna nauczycielka była teraz nieco starsza, ale było jej z tym bardzo do twarzy. Nie sprawiała wrażenia tak niepewnej i zagubionej jak kiedyś – ktoś taki jak Christopher Bleachum z pewnością już by jej nie zaimponował. Sarah Bleachum szła wyprostowana w stronę Glorii pewnymi, zdecydowanymi krokami. Ciemne włosy miała upięte w ciasny kok i wydawało się, że nie wstydzi się już swoich grubych okularów. W każdym razie nie sprawiała wrażenia osoby niepewnej siebie ani nieśmiałej, kiedy dostrzegła kogoś obcego w foyer.

– Ktoś chce mnie odwiedzić? – spytała swym jak zawsze miłym i sympatycznym głosem. Gloria rozpoznałaby go wśród tysięcy innych. Ale Sarah najpierw spojrzała na kierowcę taksówki.

– To ja – powiedziała Gloria cicho.

Miss Bleachum zmarszczyła czoło i podeszła bliżej. Nawet w okularach nie widziała dobrze.

– To ja, Gloria – wyszeptła dziewczyna. – Gloria Martyn.

Miss Bleachum spojrzała zdumiona, ale jej twarz rozjaśniła się niemal natychmiast.

– Dziecko, prawie cię nie rozpoznałam! – przyznała. – Jesteś dorosła. I taka chuda, wyglądasz wręcz na zagłodzoną. Ale to oczywiście ty! Moja Gloria! I znów obciąłś sobie włosy!

Miss Bleachum podbiegła do Glorii i chwyciła ją w ramiona.

– Tak się o ciebie martwiłam, od kiedy przestałaś pisać. – Miss Bleachum głąskała krótkie, szorstkie włosy Glorii. – A twoja babcia tak się o ciebie boi! Kontaktowałam się z nią kilka miesięcy temu, żeby się czegokolwiek o tobie dowiedzieć, a ona powiedziała, że uciekłaś i nie można cię znaleźć. Zawsze się obawiałam, że coś takiego zrobisz. Ale jesteś tutaj, moja Gloria...

Gloria potakiwała niemal automatycznie, całkowicie oszołomiona. „Moja Gloria”. Gloria Miss Bleachum, Gloria babci Gwyn... Czuła, że coś w niej taje jak lód, a potem oparła głowę na ramieniu Miss Bleachum i zaczęła płakać. Najpierw był to krótki, cichy szloch, a później pojawiły się łzy. Sarah Bleachum posadziła dziewczynę na sofie w holu, usiadła obok i objęła ją. Trzymała Glorię w objęciach, kołyszając ją lekko,

podczas kiedy ona płakała, płakała i płakała.

Mrs Lancaster patrzyła na to wszystko, nic nie rozumiejąc.

– Biedna dziewczyna – powiedziała cicho. – Czy ona nie ma matki? – spytała.

Sarah spojrzała na nią i nieznacznie potrząsnęła głową.

– To bardzo długa historia... – odpowiedziała.

Gloria płakała całą noc i następne pół dnia. Od czasu do czasu zapadała w krótką drzemkę i po obudzeniu znów zaczynała szlochać. Sarah i Mrs Lancaster zdążyły jedynie zaprowadzić ją do pokoju Sarah i położyć do łóżka, a dyrektorka poleciła, aby wysłano tam dla nich obu zupę i chleb. Gloria przełknęła jedzenie jak wygłodzony piesak, po czym znów uczepliła się rozpaczliwie Sarah i zaczęła płakać.

Mrs Lancaster – zupełnie inny typ kierowniczkii szkoły niż surowa Miss Arrowstone – zwolniła Sarah następnego dnia ze wszystkich lekcji. Nauczycielka siedziała obok Glorii, trzymając ją w ramionach, aż wreszcie dziewczyna powoli przestała szlochać i zapadła w głęboki sen.

Sarah przykryła ją ostrożnie i zapukała do drzwi Mrs Lancaster. Rektorka siedziała w swoim pedantycznie wysprzątanym pokoju przy biurku, pijąc herbatę. Wskazała Sarah miejsce naprzeciwko i wyjęła ze ślicznej szafki drugą filiżankę. Jej biuro przypominało raczej przytulny pokój.

– Powinam szybko zadzwonić – powiedziała Sarah, pijąc powoli herbatę. – Ale nie jestem pewna, czy mam to zrobić...

– Jest pani przemęczona, Sarah – stwierdziła rektorka i przysunęła jej talerz z ciastem. – Może najpierw położy się pani i trochę odpocznie. Ja mogę zawiadomić rodzinę... Proszę mi tylko powiedzieć, jak mogę się skontaktować z dziadkami tej dziewczyny.

Sarah wzruszyła lekko ramionami.

– Może ona tego w ogóle nie chce. Proszę mnie dobrze zrozumieć, Gloria ma tu krewnych, którzy są do niej naprawdę przywiązani. Ale z drugiej strony zbyt często decydowano o jej losie za jej plecami. Wolałabym poczekać, aż ona całkowicie wróci do siebie.

– Jak pani sądzi, co się z nią działo? – spytała rektorka. – Kim ta dziewczyna w ogóle jest? To pani dawna uczennica, o ile zrozumiałam. Ale skąd ona się tu wzięła?

Sarah Bleachum westchnęła.

– Czy mogę dostać jeszcze herbaty? – spytała. A potem opowiedziała całą historię Kury i Glorii Martyn.

– W końcu chyba nie wytrzymała i uciekła. Ale co się z nią działo w czasie podróży i w Australii, tego już nie wiem – zakończyła nauczycielka. – Wiem od Mrs McKenzie, że uciekła z hotelu, w którym przebywała z rodzicami, bez pieniędzy i bez bagażu, tylko z paszportem. Co było dalej – o tym może nam opowiedzieć tylko Gloria. A ona jak na razie tylko płacze.

Mrs Lancaster z namysłem skinęła głową.

– Proszę jej lepiej w ogóle o nic nie pytać. Zacznie mówić, kiedy się z tym wszystkim upora. Albo będzie milczała.

Sarah zmarszczyła czoło.

– Ale przecież ona musi nam coś powiedzieć! Cokolwiek przeżyła – z pewnością nie jest to aż takie okropne, że będzie chciała zatrzymać to na zawsze tylko dla siebie...

Mrs Lancaster zaczerwieniła się lekko, ale nie odwróciła wzroku. Nie była od samego początku nauczycielką, lecz najpierw wyszła za mąż i mieszkala ze swoim mężem w Indiach. Kiedy jej mąż zmarł, Mrs Lancaster odziedziczyła po nim znaczny majątek, dzięki któremu mogła założyć szkołę dla dziewcząt. Nie była osobą naiwną i nieznającą życia.

– Sarah, niechże pani pomyśli! Dziewczyna, bez pieniędzy, bez pomocy, która przedziera się przez pół świata... Może po prostu nie chce pani w ogóle wiedzieć, co to biedactwo przeżyło. Są takie wspomnienia, z którymi można żyć tylko wtedy, jeśli się nikomu o nich nie opowiada...

Sarah poczerwieniła gwałtownie. Wydawało się, że chce zadać jakieś pytanie, ale po chwili spuściła oczy.

– Nie będę jej o nic pytać – wyszeptala.

Kiedy Gloria obudziła się następnego ranka, czuła się wprawdzie lepiej, ale dręczyła ją osobliwa wewnętrzna pustka. Tak jak poprzednio brakowało jej zupełnie energii, aby cokolwiek zrobić czy też podjąć jakąś decyzję, i była wdzięczna, że Sarah zostawiła ją po prostu w spokoju. W czasie tych pierwszych dni chodziła za swą dawną nauczycielką krok w krok, jak mały piesek. Kiedy Sarah miała lekcje ze starszymi uczennicami, zabierała Glorię do klasy, mając w głębi ducha nadzieję, że dziewczyna zainteresuje się tym, czego uczyła. Princess Alice School for Girls różniła się zasadniczo od szkoły w Oaks Garden. Tu najważniejszą pozycję w programie zajmowały przedmioty naukowe. Zadaniem nauczycielek było przygotowanie dziewcząt do studiów na uniwersytecie w Dunedin, który od chwili swojego założenia w roku 1869 przyjmował w szeregi studentów także kobiety – i to bez żadnych ograniczeń. Mrs Lancaster, kobieta o bardzo opiekuńczym usposobieniu, której małżeństwo ku zmartwieniu jej samej pozostało bezdzielne, stworzyła w szkole bardzo miłą, przyjazną atmosferę. Oczywiście wśród dziewcząt zdarzały się konflikty – tak jak wszędzie, ale nauczycielki robiły wszystko, aby żadna nie czuła się wykluczona z grupy ani też dręczona. Dziewczęta zostawiły Glorię w spokoju i nie dokuczały jej, kiedy ona siedziała nieruchomo w ławce, wpatrywała się bezmyślnie w pulpit czy też w tablicę, albo patrzyła przez okno, tak naprawdę niczego nie widząc.

Jeśli Sarah uczyła młodsze dziewczęta, Gloria czekała przed klasą – aż któregoś dnia zastała ją tam przypadkowo Mrs Lancaster.

– Nie nudzi się pani, Glorio? A może miałyby pani ochotę pomóc nam tu, w szkole?

Gloria skinęła głową bez większego zainteresowania, ale grzecznie poszła za rektorką do kuchni. Cierpliwie kroila warzywa i obierała ziemniaki, podczas kiedy kucharka, która miała przodków wśród Maorysów, godzinami opowiadała o swojej rodzinie oraz o szczepie swojej matki, także o swoim mężu, pracującym w szkole jako dozorca, i o swoich trojgu dzieciach.

– Jeśli wychowałaś się na farmie, to może wolałabyś pomagać w ogrodzie? – spytała przyjaźnie. – Mój mąż z pewnością znajdzie coś dla ciebie...

Gloria, która dotychczas przysłuchiwała się w milczeniu, z przerażeniem potrząsnęła głową. Dozorca był starszym, cierpliwym człowiekiem i nie należało się obawiać, że nagle na nią napadnie. Ale Gloria najchętniej unikałaby wszystkich istot rodzaju męskiego.

I jeśli o to chodziło, Princess Alice było bardzo stosownym miejscem. Szkoła była swego rodzaju azylem dla kobiet, oprócz dozorca do budynku wchodził tylko wikary, który w soboty odprawiał msze, ale Gloria i tak nie chodziła do kościoła. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że kiedyś będzie musiała opuścić szkołę i coś w niej samej cały czas tęskniło za Kiward Station. Gdyby ktoś w czasie jej wędrówki powiedział jej, że będzie tu spędzała całe dnie jak w odretwieniu, oddalona tylko o dzień jazdy pociągiem od Christchurch, to miałyby go za wariata. Ale teraz była rzeczywiście jak sparalizowana.

I mimo że Sarah Bleachum często powtarzała, że babcia Gwyn się o nią martwi, że przyjmie ją z otwartymi ramionami – Gloria bała się spotkania z rodziną. Dawniej, kiedy była dzieckiem i coś przeszkobała, babcia Gwyn zawsze poznawała to po jej twarzy. Co będzie, jeśli teraz nie uda jej się zataić tego, co robiła? Co będzie, jeśli babcia Gwyn się dowie, kim była jej Gloria?

Myśl o Jacku była jeszcze gorsza. Jak on zareaguje? Czy też ma taki sam instynkt jak jej wszyscy klienci, którzy bezbłędnie rozpoznawali w niej dziwkę?

Sarah z troską obserwowała, że jej podopieczna mniej lub bardziej świadomie zadomowiła się w Princess Alice. I w końcu postanowiła porozmawiać z Glorią. Poszła do dziewczyny, do małego pokoiku, w którym Mrs Lancaster pozwoliła jej zamieszkać. Gloria właściwie przychodziła tu tylko spać, bo nadal całymi dniami chodziła za Sarah jak cień. I najchętniej nie odstępowałaby jej ani na krok także nocą, ponieważ prześladowały ją męczące koszmary.

– Glory, tak dalej być nie może – powiedziała Sarah łagodnie. – Musimy w końcu poinformować o wszystkim twoją babcie. Mieszkaś tu

już od dwóch tygodni. Jesteś tu bezpieczna, ale w ten sposób pozwalamy, aby ona dalej się o ciebie martwiła. To okrutne.

W oczach Glorii znów pojawiły się łzy.

– Chce pani, żebym sobie poszła?

Sarah potrząsnęła głową.

– Nie chcę się ciebie pozbyć, Glory. Ale przecież nie jechałaś przez pół świata po to, aby się zagrzebać w internacie w Dunedin! Chciałaś przecież wrócić do domu, Glory. A więc jedź do domu...

– Ale ja... ja nie mogę tak... – Gloria nerwowo przeczesła palcami swoje krótkie włosy.

Sarah się uśmiechnęła.

– Miss Gwyn nie przywiązuje wagi do fryzury. Widziała cię już przecież w krótkich włosach, nie pamiętasz? Całe dzieciństwo biegałaś w spodniach do jazdy konnej. Dla twojej babci nie potrzebujesz się stroić i dla twojego psa też.

– Mojego psa? – spytała Gloria.

Sarah skinęła głową.

– Czy on nie nazywał się Nimue?

Gloria zaczęła rozmyślać gorączkowo. Czy Nimue mogła jeszcze żyć? Była młodym psem, kiedy Gloria wyjechała. Od tamtej chwili upłynęło osiem lat...

– A tutaj i tak nie mogłabyś dłużej zostać – mówiła Sarah. – Po feriach letnich szkoła będzie zamknięta. Mrs Lancaster zdecydowała, że na czas wojny odda ją do dyspozycji wojska na szpital.

Gloria patrzyła na nią zupełnie zbита z tropu. Oczywiście, w Europie toczyła się wojna. Ale przecież nie w Nowej Zelandii... Także w Australii nie można było zauważyć żadnych oznak wojny. Choć co prawda werbowano tam ochotników, ale w kraju nie toczyły się walki. To po co ten szpital?

Sarah Bleachum niemal odczytała to pytanie z twarzy Glorii.

– Glory, kochanie, nie słyszałaś nic o miejscu zwanym Gallipoli?

Roly O'Brien wreszcie odetchnął – choć był też nieco zawstydzony, że znów skończył jako „brat chorych”, czyli coś w rodzaju „męskiej pielęgniarki” w brygadzie sanitarnej komandora Beestona. I sprawdził się tam znakomicie.

– Zdaje się, że znów jestem panu coś winien – oświadczył komandor Beeston Jackowi, kiedy obaj mężczyźni spotkali się któregoś ciepłego lipcowego wieczoru na plaży. – Pański szeregowiec O'Brien zastępuje mi dwóch pielęgniarzy.

Beeston z ulgą osunął się na miękki piasek. Paddy szalał w przybrzeżnych falach, a wokół panowała atmosfera pikniku. Na froncie od dobrych kilku tygodni panował spokój; Turcy najwyraźniej doszli do wniosku, że lepiej będzie przeczekać. Nie próbowali też atakować plaży Gallipoli, wręcz przeciwnie, ich siły zbrojne nie podejmowały żadnych akcji.

Jack machnął ręką.

– Wiedziałem, że Roly znajdzie się na właściwym miejscu. Ale mimo wszystko wyświadczył mi pan ogromną przysługę. Za to wyciągnę panu jeszcze trzy razy tego małego szczekacza z wody. Psiak zdążył się nawet przyzwyczaić do huku armat...

Beeston wzruszył ramionami.

– Właściwie prawie nic nie słycać. Ale to nie będzie długo trwało. Jesteśmy tutaj po to, aby wywalczyć dostęp do Konstantynopola. A nie, aby surfować na desce. – Wskazał na kilku młodych żołnierzy, którzy zabawiali się w wodzie.

– Sądzi pan, że Turcy będą atakować? – spytał zaniepokojony Jack. Cały czas pracował ze swoimi ludźmi w kolejnych okopach – ich system został rozbudowany, zwłaszcza od strony północnego skrzydła. Jacka to irytowało, bo tamta okolica była wyjątkowo trudna – ziemia była bardzo kamienista, grunt pełen wzniesień i nierówności. Atak od tamtej strony możliwy był tylko przy założeniu ogromnych strat. Ale z drugiej strony Turcy nigdy nie powinni byli spodziewać się ataku właśnie stamtąd...

– Kiedyś na pewno, mamy jeszcze otrzymać posiłki. Kolejne brygady sanitarne – czyli należy się liczyć z dużą ilością przelanej krwi...

Komandor Beeston pogłaskał swojego psa.

– Czasami pytam sam siebie, co ja tutaj robię... – westchnął w zamyśleniu.

Jack nie odpowiedział, ale pomyślał, że lekarze chyba jako jedyni mieli zasadniczy powód, żeby być na froncie. W końcu to oni łagodzili cierpienia rannych. Ale przyjeżdżać tu z drugiego końca świata i być przyczyną tylu nieszczęść... Od dawna żałował swojej decyzji, chociaż osiągnął cel: nie rozmyślał już całymi dniami i nocami o Charlotte. Senne koszmary, w czasie których ciągle brodził we krwi w okopie, wyparty gorzko-słodkie sny o żonie – Jack całymi dniami myślał teraz, jak przeżyć. Wojna nauczyła go, że o zmarłych nie należy zapominać, ale trzeba pozwolić im spoczywać w spokoju. Wystarczyło, że odwiedzali go podczas snu.

Już choćby po to, aby o tym nie myśleć, zarówno on, jak i inni żołnierze wypatrywali listów z ojczyzny, pragnęli kontaktów z jeszcze żyjącymi i szukali choć odrobiny normalności. Jack cieszył się jak dziecko, kiedy pisała jego matka i donosiła o wszystkich wydarzeniach na Kiward Station. Także Elizabeth Greenwood zdobywała się od czasu do czasu na jakiś list, podobnie jak Elaine Lambert. I tylko od Glorii nie było żadnej wiadomości, co niepokoiło Jacka coraz bardziej. Oczywiście poczta ze Stanów musiała pokonać bardzo długą drogę, a listy najpierw docierały do agencji, która potem wysyłała je do muzyków. Ale upłynęło już pół roku od chwili, kiedy Jack przekazał Glorii pozdrowienia i kilka wiadomości z Egiptu. Gloria już dawno powinna była odpowiedzieć na list.

Jack czuł się samotny, kiedy Roly został odkomenderowany do służby w lazarecie na plaży. Nie czuł się związany z pozostałymi żołnierzami ze swojego plutonu. Był bardzo ceniony jako ich przełożony, ale przyjaźnie nie rozwijały się między sierżantem a jego podwładnymi – po ostatniej bitwie w okopach Jack znów awansował. Wieczorami był więc zupełnie sam i coraz częściej własna egzystencja wydawała mu się pozbawiona sensu. Wycieczki na plażę stały się mile widzianą odmianą dla wszystkich: tu można było choć na chwilę zapomnieć o wojnie i żołnierze wyglądali jak dzieci. Ale jak długo miało to trwać? Komandor Beeston potwierdził tylko przypuszczenia Jacka.

W czasie kilku następnych dni coraz częściej pojawiały się oznaki zbliżającej się ofensywy. Przybyły kolejne oddziały, wszyscy w tempie na akord rozbudowywali i ubezpieczali system okopów i bunkrów. Zainstalowano też zbiorniki na wodę i napełniono je. Żołnierze byli niezadowoleni, narzekali coraz głośniejsze, że musieli wszystko robić sami, a przecież wojsko dysponowało zwierzętami jucznymi: muły należące do indyjskich kanonierów niosły ich broń, dzięki czemu żołnierze byli bardziej mobilni. Także oddziały ratownicze z lazaretów polowych używały do swoich prac osłów – jednak do działań frontowych nie były one przeznaczone.

– Wróg zorientowałby się wtedy, że tu się na coś zanosi – tłumaczył cierpliwie Jack. – Dlatego także kopujemy nocą. Jazda, ludzie, zaskoczenie Turków leży w naszym własnym interesie. Między ich okopami a naszymi jest zaledwie piętnaście jardów. Będziemy musieli się tam dostać...

Piątego sierpnia Jacka i pozostałych podoficerów wezwano na plażę w celu omówienia sytuacji. Major Hollander krótko wyjaśnił strategię planowanych ataków.

– Panowie, jutro zaczynamy ofensywę. Jej celem jest odepchnięcie Turków aż do Konstantynopola i tym razem już nam się to uda. Wzniesiemy okrzyk za dumnych żołnierzy oddziałów Australii i Nowej Zelandii! Atakujemy na całej linii!

Jack i pozostali odpowiedzieli, przy czym większość żołnierzy wpadła w podobną euforię jak major. Nie było w tym nic dziwnego, byli to nowi rekruci, którzy nie przeżyli niczego, co przypominałoby atak Turków w maju.

– Ależ sir, jeśli wyskoczymy z okopów, to oni wystrzelają nas jak zające – zauważył przytomnie jeden z weteranów. Dokładnie ta sama myśl przemknęła przez głowę Jacka.

– Czy w waszym głosie nie pobrzmiwa nutka tchórzostwa, kapralu? – spytał szyderczo major. – Strach przed śmiercią, żołnierzu?

– To tylko brak skłonności samobójczych... – wymamrotał żołnierz, co prawda tak cicho, że usłyszeć go mogli tylko ci najbliżsi stojący.

– Naszym celem jest przełamanie lewej flanki, tam odstęp między okopami są tak niewielkie, że będziemy mogli zaskoczyć Turków. Aby odwrócić ich uwagę, zaczniemy jutro od ataku pozorowanego. Zaczynamy przy Lone Pine...

Lone Pine – tak nazywano bardzo silnie chroniony posterunek turecki. Tu system okopów przeciwnika był bardzo rozległy i wróg miał dość miejsca, aby skoncentrować swoje oddziały.

– Jest właśnie naszym celem, aby wróg tam zgromadził swoje wojska, wówczas pójdzie nam łatwo na północnej flance. Jeśli chodzi o nasz pułk, to zaczynamy akcję dopiero przy drugiej fali ataku. Oczekuję od was, że wesprzecie naszych towarzyszy przy Lone Pine i strzelając ze swoich pozycji, zrobicie wszystko, aby wróg był stale zajęty. Właściwy atak nastąpi po południu, o godzinie siedemnastej trzydzięci, a sygnałem będą trzy gwizdki, oznaczające trzy kolejne fale ataków. Bóg z nami!

Co Boga mogła obchodzić droga do Konstantynopola?

Jack z trudnością odpowiedział na okrzyk. Idąc z powrotem przez plażę do swojej kwatery, spotkał Roly'ego.

– Mr Jack, słyszał pan? Jutro atakujemy! – Roly dosłownie dreptał Jackowi po piętach. Od kiedy Jack niejako uratował mu życie, był do niego przywiązany jeszcze bardziej i teraz wprost palił się do tego, aby się podzielić domniemanymi nowinami. Oddziały sanitarne najwyraźniej zawiadomiono wcześniej o planach ataku, co było zrozumiałe, bo musiały być na to przygotowane o wiele wcześniej.

– Tylko Jack – poprawił Jack jak zwykle. – Tak, nam też już o tym powiedziano... Ciesz się, że nie musisz tam iść.

Roly wykrzywił twarz w grymasie.

– Muszę iść, jestem w dziale ratowniczym. Może zobaczymy się jutro... albo pojutrze?

– Stoimy przy północnej flance, Roly. A więc jeden dzień odroczenia. Ale dlaczego wysłali cię do oddziału ratowniczego? Coś nabroiłeś?

Roly się roześmiał. Sprawiał wrażenie beztróskiego i z pewnością wiedział, że komandor Beeston bardzo go cenił.

– Niiiee, Mr Jack. Tylko dziś dopiero przyszły posiłki do lazaretu. Komandor strasznie się złościł. Prosto ze statków do walki, ci ludzie przecież nie mają o niczym pojęcia. To zatrzymał ich w lazarecie, a nas wysłał do oddziałów ratowniczych. Ale to nie szkodzi, Mr Jack, najważniejsze, że nie muszę iść do okopów...

– Na ziemi niczyjej jest o wiele bardziej niebezpiecznie – zwrócił uwagę Jack. – To będzie coś potwornego, Roly. Jak w maju, tylko że teraz będziemy biec po odkrytym polu i grać rolę tarcz strzelniczych.

– Ale my mamy przecież białe opaski na rękawach! – odparł Roly, jak gdyby to właśnie miało go uczynić nieśmiertelnym. – Dam radę, Mr Jack!

Jack mógł jedynie życzyć mu szczęścia. Następnego dnia nie za bardzo miał okazję do tego, aby choć pomyśleć o przyjacielu – hałas od strony Lone Pine był wprost piekielny. Kiedy wysunął peryskop z okopu, widział na całej linii żołnierzy padających jak muchy. Turcy strzelali na całej linii ze wszystkich rodzajów broni. Jack i jego ludzie odpowiadali ogniem w nadziei, że choć znużą przeciwnika.

– Jeśli ich dziś zmęczymy, to jutro będziemy mieli lepsze szanse – mówił Jack do swoich żołnierzy. Młodszy z nich entuzjastycznie kiwali głowami, ale starsi marszczyli czoła z powątpiewaniem.

– Przecież oni zmieniają swoich ludzi – stwierdził któryś ze starszych szeregowych.

Jack nie odpowiedział.

Siódmy sierpnia był na wybrzeżu tureckim kolejnym ciepłym i słonecznym dniem. Ciemnoniebieskie morze było zupełnie spokojne, a krzewy porastające górskie zbocza mocno spłowiwały – na ziemi niczyjej krew schła szybko. Kiedy Jack niechętnie zjadał swoją porcję płatków owsianych i zastanawiał się, czy ma wypić już teraz wyjątkowo obfitą porcję przydzielonego alkoholu, czy też zostawić ją raczej na później, aby móc świętować fakt przeżycia, w jego kwaterze zjawił się Roly.

– Przyniosłem pocztę! – powiedział i rzucił Jackowi wiązkę listów dla jego żołnierzy. – W sztabie powiedzieli, że to wszystkim poprawi nastrój, jak żołnierze przeczytają wieści od swoich bliskich. Moja Mary też do mnie napisała!

Jack przejrzał pocztę i znalazł jeden list z Kiward Station. Znow nic od Glorii.

– Jak było wczoraj? – spytał cicho.

Roly zbladł.

– Potwornie. Tyle trupów... A oni rzucają bomby i strzelają szrapnelami. To rozrywa ludzi, Mr Jack. Tam w lazarecie tylko amputują. O ile w ogóle jeszcze jest coś, co można obciąć. A okopy u Turków są częściowo zadaszone, musi pan uważać, Mr Jack. Trzeba nad nimi przeskakiwać i biec do okopów komunikacyjnych... Wiem, że nie jestem zbyt mądry, Mr Jack. Tylko zwykły szeregowy, nawet już nie starszy szeregowy... A ci, którzy tu dowodzą, to generałowie i w ogóle. Ale tutaj nie damy rady, Mr Jack. Nawet gdyby tu było sto tysięcy ludzi!

Jack skinął głową.

– Zrobimy, co w naszej mocy, Roly! – powiedział, starając się, aby zabrzmiało to krzepiąco.

Roly spojrział na niego tak, jak gdyby Jack był niespełna rozumu.

– I umrzemy na darmo – odrzekł spokojnie.

Kochany Jacku...

Jack otworzył list od Gwyneiry, gdy tylko Roly wyszedł. Może to ostatni list. Ogarnęło go osobliwe uczucie, ale pozwolił sobie na doznanie pociechy i niemal słyszał głos swojej matki, czytając jej list. Tym bardziej że Gwyneira pisała teraz nieco inaczej niż zwykle. Sztuka pisania listów była jej raczej obca, ale tym razem Gwyn dała wyraz swoim uczuciom.

...pisziesz, że tam na froncie u Was jest teraz spokojnie, a ja mogę się tylko modlić, aby tak było dalej. Za każdym razem, kiedy dostaję list od Ciebie, oddycham z ulgą, choć przecież wiem, że listy idą tutaj całymi tygodniami. Jack, Ty musisz żyć – tak bardzo mi Ciebie brak. Zwłaszcza że nasze nadzieje co do rychłego powrotu Glorii nie spełnią się zbyt szybko. Wczoraj zadzwoniła Kura-maró-tini. Tak, naprawdę, ona sama chwyciła za telefon i była wyjątkowo zdenerwowana.

Fakty są następujące: Gloria znikła z ich hotelu w San Francisco. Porwanie raczej jest wykluczone, bo zabrała z sobą swoje dokumenty podróże. Jednak na żadnym ze statków nie zabukowano biletu na jej nazwisko, nie ma więc dowodu na to, że opuściła Amerykę. A jednak Kura zakłada, że Gloria zjawi się u nas zaledwie w przeciągu kilku dni. Jak ona sobie to wyobraża, jest dla mnie niezrozumiałe, ale praktycznie czyni mnie odpowiedzialną za ucieczkę Glorii. Zupełnie jak gdybym to ja wysłała do Glorii jedną z tych nowoczesnych latających maszyn albo dokonała jakichś czarów. Kura całkiem straciła panowanie nad sobą i jednym tchem wykrzyzczała mi, jaka niewdzięczna była ta dziewczyna i że brakowało jej całkowicie wszelkich talentów, aby jakoś przystosować się do życia w zespole i coś robić. Wobec tego jest dla mnie zagadką, dlaczego Kura po prostu nie wysłała swego dziecka do domu, do nas. W każdym razie Gloria znikła, a ja się bardzo o nią martwię. Gdybym choć mogła mieć nadzieję, że Ty wkrótce wrócisz...

O farmę nie potrzebujesz się martwić, wszystko idzie pomyślnie pod nadzorem Maaki. Ceny wełny i mięsa są bardzo wysokie, zdaje się, że wszyscy zarabiają na wojnie. Ale ja myślę o Tobie i o tych, dla których wojna oznacza tylko śmierć i krew.

Uważaj na siebie, Jack. Bardzo Cię potrzebuję.

Tvoja matka, Gwyneira McKenzie

Jack ukrył twarz w dłoniach. A więc jeszcze Gloria. Stracił wszystkich, których kochał...

Nie czuł już trwogi, kiedy rozległ się sygnał do ataku. Widział i słyszał, jak pierwsi atakujący wyskakiwali z okopów – i jak natychmiast trafiały ich kule wrogów, zaledwie zdążyli wychylić głowę z okopów. Tylko niewielu przebiegło przez ziemię niczyją, żaden nie dotarł do okopów wroga.

A potem rozległ się sygnał do drugiej fali ataku.

Jack nie myślał już o niczym, wydostał się z okopu i biegł, biegł, był już prawie u celu...

Coś z ogromną siłą uderzyło w jego pierś. Chciał sięgnąć ręką i to usunąć... poczuł krew... Dziwne, przecież nic go nie bolało, ale nie był w stanie biec dalej. Czuł się tak, jak gdyby stawał się coraz cięższy...

Jack upadł na ziemię i próbował zrozumieć, co się właściwie stało. Czuł ciepło słonecznych promieni, widział niebieskie niebo... Jego własne ręce nie były mu posłuszne, nie chciały sprawdzić, skąd właściwie była ta krew... Kurczowo wciął dłonie w ziemię...

Nad nim przetaczała się trzecia fala ataku. Żołnierze walczyli już w tureckich okopach... Jack patrzył wprost w słońce, które robiło się coraz

bardziej czerwone – jego kolor stawał się coraz bardziej nienaturalny.

A potem pojawiła się jakaś twarz. Zatrokana, okrągła, młodzieńcza twarz we włosach mokrych od potu.

– Mr Jack...

– Tylko Jack... – wyszeptał. Czuł krew na języku. Chciał koniecznie odkaslnąć. A potem nie czuł już nic.

DALEKIE DROGI

**GREYMOUTH, CANTERBURY PLAINS, AUCKLAND
1915 – 1916 – 1917 – 1918**

Timothy i Elaine Lambertowie nie mieli żadnych talentów, aby zostać kimś w rodzaju strażników więziennych. Oczywiście Tim obstawał przy tym, aby ukarać Lilian aresztem domowym za jej samowolę. Przecież naruszyła jego wyraźny zakaz, kiedy „uwiodła” Bena i poszła z nim na spacer do paprociowego lasu. Ale po odbytej karze Tim był gotów przebaczyć córce – tak się też stało i Lilian znów używała swobody, której rodzice jej nie zabraniali. Nikomu nie przychodziło na myśl zabraniać jej konnych przejażdżek albo odgrywać roli inkwizytora i wypytywać ją codziennie, gdzie była i co robiła. Nie było to też konieczne, bo choć Lilian wcale nie zamierzała zrywać kontaktów z Benem, to uniemożliwiono jej wszelkie z nim spotkania.

Bez względu na to, jak często jej koń pojawiał się w pobliżu kopalni Billerów lub też jak często Lilian plotkowała z przyjaciółkami, stojąc pozornie przypadkowo w pobliżu domu Billerów – Ben nie mógł jej nawet zobaczyć. Ambicją Florence Biller było ustrzec syna przed przedwczesną i jej zdaniem całkowicie niepożądaną miłością. Ben przebywał miesiącami w areszcie domowym, a Florence niemal nie spuszczała go z oka. Wczesnym rankiem razem z nią jechał samochodem do pracy i pod jej nadzorem wykonywał wszystkie swoje obowiązki w biurze, w domu zaś był pilnowany właściwie stale.

I któregoś dnia jego cierpliwość się skończyła. Próbował przesznuć list do Lilian wraz z pocztą kierowaną do kopalni i natychmiast odkryła to jego matka.

– Co za bzdura! Ta dziewczyna musi być kompletnie głupia, żeby nabrać się na coś takiego! – kpiła Florence, przeczytawszy wiersz, który Ben napisał dla Lilian. – „Z kroplami deszczu me serce do ciebie płynie...” Krople deszczu nie płyną, Ben, one spadają! A serca nie płyną tym bardziej! Siadaj teraz tutaj i zajmij się tymi rachunkami. Porównaj je z dowodami dostawy i zapisz w księdze wpływu towarów. Bez żadnych zawijasów i rymów!

Florence zamaszystym gestem zgniotła list razem z kopertą i równie zamaszystym gestem wyrzuciła go przez okno – szeroko otwarte z powodu letniego upału.

Ben wysłuchał tej tyrady z opuszczoną głową i zaczerwienioną twarzą. Zwykle Florence nie łąła go przy personelu; w końcu pracownicy mieli darzyć szacunkiem szefa juniora. Jeśli Ben robił w pracy jakiś błąd, matka karciała go za to w cztery oczy. Ale w kwestii poezji Florence nie znała litości – i tu mimowolnie pomogła swojemu synowi.

Choć bowiem pracownicy zatrudnieni w biurze zupełnie nie znali się na rymach, to jednak żal im było Bena – a w dodatku wszystkiemu dopomógł przypadek: żona jednego z posłańców zjawiła się u niego, aby mu przynieść z domu zapomniane kanapki. Czekająca przed drzwiami biura i słysząca Florence – w przeciwieństwie do matki Bena jego poezja poruszyła kobietę do łez. I kiedy wyszła przed budynek, podniosła list, wygładziła kopertę i wrzuciła ją do najbliższej skrzynki pocztowej – choć niestety nie przykleiła na niej znaczka. List wpadł w ręce Elaine, kiedy listonosz osobiście zażądał dodatkowej opłaty.

Elaine wahała się między solidarnością w stosunku do męża z jednej strony, a z drugiej – solidarnością wobec córki i obowiązkiem dochowania tajemnicy korespondencji. Tim bez wątplenia zniszczyłby list, ale Elaine nie zamierzała tego zrobić. I w końcu zdecydowała się na kompromis: postanowiła przeczytać list i ocenić, czy jest nieszkodliwy i czy może być doręczony Lilian.

Lilian oczywiście była oburzona, kiedy wreszcie otrzymała otwartą, pogniecioną kopertę.

– Słyszałaś coś na temat sfery prywatności? – ofuknęła matkę. – Nawet w internecie nie otwierali naszych listów!

– Tego nie byłabym taka pewna – odparła Elaine. – Ja w każdym razie otrzymywałam takie, które przed wysłaniem z pewnością były otwierane.

– Co takiego?! – Lilian była gotowa oburzyć się na sytuację, która miała miejsce w przeszłości, ale zdecydowała jednak zająć się listem ukochanego. – Nic nie wyjęłaś z koperty? – spytała podejrzliwie.

Elaine potrząsnęła głową.

– Przysięgam, że nie! – odpowiedziała ze śmiechem. – List nie był porządnie zaklejony, kiedy go otrzymałam, był za to pognieciony razem z kopertą. A pomijając wszystko, włosy jeżyły mi się na głowie, kiedy to czytałam. Jeśli zamierzacie żyć z jego poezji, to czarno to widzę...

– Te wiersze są przeznaczone tylko dla mnie! – oświadczyła Lilian z dumą. – Ty ich nie możesz zrozumieć...

– A potem znikła z owym rozpluwającym się sercem Bena na trzy godziny w swoim pokoju – opowiadała później Elaine mężowi, śmiejąc się. Tim wrócił wraz z Mattem Gawainem ze spotkania w Westport, a Lilian tego dnia mu nie towarzyszyła.

Tim wykrzywił usta w grymasie niechęci. Był wyczerpany po długiej jeździe nieutwardzonymi drogami, a samochód wcale nie miał lepszych resorów niż powóz, którym wolał dotychczas jeździć.

– Lainie, to wcale nie jest śmieszne! I uzgodniliśmy przecież, że nie będziemy popierać tego związku. Jak mogłaś jej oddać ten list?

Elaine wcisnęła Tima w jego fotel, pomogła mu ułożyć wysoko nogi i zaczęła łagodnie masować mu ramiona.

– To nie jest więzienie, Tim – zauważyła. – A poza tym jest coś takiego jak prawo do własnej poczty. Ścisłe mówiąc, nie wolno mi było właściwie otwierać tego listu, ale to wydało mi się zbyt liberalne. I znasz moje zdanie: ten młodzieńczy romans jest zupełnie niegroźny. Jeśli zrobimy z tego aferę wagi państwowej, to tylko pogorszy sprawę.

Tim prychnął oburzony.

– Ja w każdym razie zacznę jej lepiej pilnować. Może być moim szoferem, teraz, kiedy nie ma Roly’ego. Będzie mieć jakieś zajęcie, a ja będę ją miał na oku. I tylko nie pozwalaj jej pisać do tego chłopaka! Natychmiast miałbym telefon od Florence, a właśnie trochę złagodniała, kiedy napędziła stracha kolejarzom...

Lilian odpowiedziała na list Bena, nie korzystając z pośrednictwa poczty; doskonale wiedziała, że jej odpowiedź wylądowałaby natychmiast na biurku matki Bena. A poza tym była akurat bardzo zajęta nauką jazdy – ta sztuka sprawiała jej ogromną przyjemność. Dlatego też nie broniła się przeciwko nowym obowiązkom „szoferzycy” Tima, a Elaine odetchnęła, że „dokładniejszy nadzór” ze strony Tima nie prowadził do kolejnych spięć. Miała nawet nadzieję, że Lilian wobec kolejnych wrażeń zapomni o swojej „wielkiej miłości”. Spędzała przecież bardzo dużo czasu w towarzystwie ojca i poznawała wielu młodych mężczyzn.

Tu jednak Elaine była w błędzie. Lilian cały czas marzyła o Benie, którego wiersze trzymała pod poduszką. Rozważała też kolejne pomysły, jak się spotkać z ukochanym, i w końcu ułożyła pewien plan. W celu jego realizacji musiała jednak przekupić swojego młodszego brata. Bobby dostał trzy rolki lukrecji za to, aby pozornie przypadkowo wpadł na Bena w niedzielę przed nabożeństwem. Chłopiec, niby to bawiąc się w berka, biegnąc, rzeczywiście wpadł na Bena i przytrzymał się go, jak gdyby chronił się przed upadkiem.

– Stara skrzynka na listy, południowy buk, cementarz – zdążył wyszeptać malec. – Rozwidlenie gałęzi, z prawej strony, na wysokości

głowy...

Bobby Lambert mrugnął do Bena i pobiegł dalej. Zaskoczony Ben stał, marszcząc czoło i intensywnie starając się zrozumieć przekazaną informację.

Zatroskana Lilian zerkała na niego w czasie mszy. Czy Ben wreszcie wyruszy w drogę? Nie powinien być przecież czekać, aż skończy się msza i cmentarz będzie pełen ludzi!

Ben rzeczywiście potrzebował nieco więcej czasu, aby zrozumieć informację przekazaną mu przez Bobby'ego. Nie od razu też zrozumiał, że ten mały był bratem Lilian. Dlatego dopiero pod koniec nabożeństwa wstał i wyszedł z kościoła. Florence patrzyła za nim podejrzliwie, ale uspokoiła się, dostrzegłszy Lilian stojącą koło swoich rodziców. Ben musiał teraz tylko odnaleźć kartkę... Lilian modliła się tego dnia tak żarliwie jak nigdy.

Wychodząc z kościoła wraz ze wszystkimi, natknęła się na uderzająco szczęśliwego Bena. Chłopak był tak rozpromieniony, że Lilian obawiała się, aby jego matka nie nabrała podejrzeń. Ją jednak pochłonęła rozmowa z wielebnyim i wcale nie zauważyła, że Lilian mrugnęła do jej syna i niepostrzeżenie ułożyła palce w znak zwycięstwa. Stara „skrzynka na listy” w buku po południowej stronie cmentarza z pewnością miała stanowić przełom w związku Bena i Lilian.

Kolejne dni były bardzo ważne dla młodych zakochanych. Wprawdzie widywali się jedynie w kościele albo gdzieś przypadkowo w mieście i musieli przy tym udawać kompletny brak zainteresowania, bo zwykle towarzyszyli Timowi i Florence – ale jednak utrzymywali bardzo ożywiony kontakt listowny. I to właśnie Lilian wymyślała kolejne kryjówki, w których chowała listy bądź małe podarunki dla ukochanego. Sam Ben nie miał zbyt silnych skłonności do konspiracji, jednak podchwytował jej pomysły, a odbierając jej paczuski z samodzielnie upieczonymi ciastkami, namalowanymi kwiatkami, serduszkami i aniołkami, zostawiał w zamian kolejne elegie opiewające urodę oraz zalety umysłu Lilian.

Lilian od czasu do czasu odpisywała z albumu z wierszami jakieś aforyzmy o miłości, ale w listach opisywała głównie wydarzenia swojego powszedniego dnia. Pisała o swoim koniu, o samochodzie, dla którego miała tym więcej serca, im mocniej przyciskała pedał gazu, i oczywiście o swoim ogromnym pragnieniu spotkania Bena osobiście.

– A nie możesz uciec nocą? Może masz przed oknem jakieś drzewo czy coś podobnego?

Ben nigdy nie wpadłby na pomysł, aby wymknąć się z domu nocą, ale wydało mu się to tak ekscytujące, że natychmiast napisał wiersz o tym, jak w świetle księżycy błyszczą włosy Lilian.

Ten wiersz Lilian uznała wprawdzie za porywający, ale była trochę rozczarowana. W swoich wierszach Ben pisał i pisał o tym, na jakie bohaterские czyny był gotów się zdobyć i na jakie niebezpieczeństwa narazić, aby w zamian dostać choćby pocałunek z ust Lilian. Jeśli jednak chodziło o rzeczywistość, nie potrafił działać. I w końcu zdecydowała się na to dziewczyna.

„W czwartek w nocy, o wpół do dwunastej, w stajni Lucky Horse” – napisała odważnie. Benowi krew uderzyła do głowy, kiedy to przeczytał. Miejscem spotkania był nie tylko pub, ale hotel, w którym madame Clarisse wynajmowała pokoje na godziny. W czasie kolejnych bezsensownych nocy Ben rozmyślał, jak jego piękna, niewinna Lily będzie mogła wejść do takiej jaskini grzechu i czy to będzie zgodne z jego sumieniem, jeśli poprze ten pomysł.

Ale Lilian wcale się tym nie przejmowała. Jak zwykle, była przede wszystkim praktyczna. Wybrała pub Lucky Horse dlatego, że było to miejsce stałych spotkań jej ojca z kolegami. Tim Lambert i Matt Gawain spędzali tam każdy czwartkowy wieczór, a do obowiązków Lilian należało ostatnio także zawożenie ojca samochodem do miasta i przywożenie go do domu przed zamknięciem lokalu. Oczywiście musiała parkować w świetle ulicznej latarni, nie opuszczać samochodu i mieć stale zamknięte drzwi. Jak na razie tylko główne ulice Greymouth były oświetlone, a uczciwa dziewczyna nie powinna była pokazywać się tam nocą.

Lily nie należała jednak do lękliwych i w dodatku znała doskonale okolicę Lucky Horse. Dawno temu w przybudówce stajni mieszkała przecież jej matka, kiedy jeszcze pracowała jako pianistka w pubie, i zarówno madame Clarisse, jak i dziewczęta, które dla niej pracowały, należały do jej bliskich przyjaciółek. Kiedy Lilian była mała, matka często zabierała ją z sobą, idąc na spotkanie z nimi, i dziecko bawiło się w pobliżu budynku. Sam pub był ostatnio mniejszy – dziewczęta madame Clarisse często się zmieniały, bo górnicy po kilku miesiącach żenili się z nimi – Lily jednak nie wiedziała, co to jest lęk przed burdelem. Wiedziała też dokładnie, który z przyjaciół Tima przyjeżdżał do pubu konno, samochodem, a kto przychodził na piechotę. W stajni pubu w czwartki stał zwykle tylko jeden koń – była to kościasta szkapa kowala, który nigdy nie opuszczał pubu przed zamknięciem. Młodym kochankom z pewnością nikt nie będzie przeszkadzać. I kiedy Lilian podjechała pod pub od tyłu i zaparkowała w cieniu przybudówki, ryzyko, że pojazd będzie budził czyjąś ciekawość, było doprawdy niewielkie. Spotkanie za miastem byłoby oczywiście bardziej bezpieczne i romantyczne, ale Ben musiałby w tym celu iść zbyt daleko. Lilian przeklęła okoliczność, że chłopak nie lubił jazdy konnej i w związku z tym nie miał konia. Także powożenie bryczką nie przypadło mu do gustu – Ben nie miał nawet pojęcia, jak się zaprzęga konia. A samochodem – własnością całej rodziny – jeździł tylko szofer.

Serce Lilian biło mocno, kiedy w ciemnościach zakradała się do stajni, słabo oświetlonej zaledwie jedną latarnią. W środku stał tylko jeden koń i chrupał siano. Był tam już także Ben.

Lilianomal nie krzyknęła, kiedy chwycił ją w ramiona, naśladując manierę filmowych gwiazd, i zaczął gwałtownie całować.

– Hej, udusisz mnie! – zawołała ze śmiechem. – Wszystko w porządku, nikt nic nie podejrzewa?

Ben potrząsnął przecząco głową.

– Tego się po mnie nie spodziewali! – zawołał dumnie. – Musiałem... no, prawie wyjść przez okno i zejść w dół.

Wolał nie mówić o tym, że spał na parterze i że przed jego oknem nie rosło żadne drzewo. Lilian uznała, że sam zamiar wystarczy, aby być romantycznym.

Następne pół godziny spędzili, pieszcząc się nawzajem, wymieniając miłosne zaklęcia i skarżąc się na smutny powszedni dzień. I o ile Lilian brakowało do szczęścia tylko Bena, to on sam cierpiał z powodu wielu innych przeciwności losu.

– Nie odpowiada mi praca w biurze. I zupełnie nie obchodzi mnie górnictwo. W dodatku musiałem kilka razy zjeżdżać na dół...

– I co? – spytała zaciekawiona Lilian. – Jak tam było?

– Ciemno – odpowiedział Ben, zanim uświadomił sobie, że to określenie jak na poetę wypadło dość słabo. – Ciemno jak w grobie! – dodał więc.

Lilian zmarszczyła czoło.

– Ale przecież macie nowoczesne lampy kopalniane. Wujek Matt mówi, że kopalnia jest oświetlona jak sala balowa.

– Dla mnie było tam ciemno jak w piekle – oświadczył Ben.

Lilian postanowiła nie wspominać o tym, że piekło także uchodzi za doskonale oświetlone. Przecież płonie tam tyle ognisk.

– A wypisywanie rachunków i tym podobnych rzeczy – nie, to nie dla mnie. Ostatnio pomyliłem się prawie o tysiąc dolarów i moja matka była wyjątkowo rozżłoszczona.

Lilian nie sądziła, że było to całkowicie nieuzasadnione. Mimo to pocieszająco pogłaskała swego przyjaciela po policzku.

– Ale z pewnością wyślą cię na uniwersytet, prawda? W końcu górnictwo też trzeba studiować. Ach, Ben, wówczas będziesz jeszcze dalej niż teraz...

Lilian przytuliła się do niego, a wtedy on odważył się pociągnąć ją na siano. Lilian wstrzymała oddech, kiedy Ben pokrywał pocałunkami nie tylko jej twarz, ale także szyję i dekolt. Ona sama podciągnęła mu koszulę i pieściła nieśmiało jego muskularną pierś i plecy. Żałowała, że Ben już nie wioślował. Podobałoby jej się, gdyby mogła oglądać pracę jego mięśni pod koszulą.

– Spotkamy się w następnym czwartek? – spytała bez tchu, kiedy wreszcie zdołali się od siebie oderwać. Ben skinął głową. Sam sobie

wydawał się teraz bohaterem, choć co prawda nieco rozpustnym.

Od czasu ostatniego spotkania w stajni Lilian była niesłychanie szczęśliwa. Cieszyła się swoją potajemną miłością, bawiła ją także praca dla ojca. Wojna wymagała, aby wydajność kopalni stale wzrastała, Tim spotykał się więc z inżynierami górnictwa, kolejarzami i biznesmenami. Lilian towarzyszyła mu zarówno na posiłkach w czasie spotkań, jak i przy innych okazjach związanych z pracą, a Elaine z przyjemnością dowiadywała się o tym, że korzystała z okazji i flirtowała oraz tańczyła z poznawanymi mężczyznami. Wprawdzie nurtowało ją bliżej nieokreślone podejrzenie, że Lilian nadal durzyła się w Benie, nie miała jednak pojęcia o ich potajemnych schadzkach.

Były one skrzętnie ukrywane także przed Florence Biller, choć ona znajdowała wiele innych okazji, aby się złościć na swojego najstarszego syna. Ostentacyjny brak zainteresowania Bena jego pracą, a także brak zdolności do wykonywania najprostszyc zadań doprowadzały ją niemal do szału. Ben był coraz bardziej zrozpaczony i skarżył się na jej ataki szału. Jego nadzieje, że będzie mógł przynajmniej skończyć uniwersytet w Dunedin, także się rozwiały. Ojciec popierał wprawdzie pomysł, aby Ben choć przez kilka semestrów studiował górnictwo albo ekonomię, ale Florence była głucha na jego prośby.

– Górnictwo i Ben, pomysł śmiechu wart! Nasz Ben jako inżynier górnik! Przecież on chowa się nawet wtedy, kiedy syczy ekspres do kawy!
– Piękne posrebrzane urządzenie było ostatnim nabytkiem Florence. Ekspres stał w biurze i wszyscy go podziwiali.

– A jeśli chodzi o ekonomię, to w Dunedin nie nauczy się więcej niż u mnie!

Caleb westchnął. Florence, chcąc nie chcąc, rzeczywiście sama nabyła wiele umiejętności. Jej ojciec, także właściciel kopalni, nawet w najśmielszych marzeniach nie sądził, że dziewczyna mogłaby studiować albo pracować w jego własnej firmie. Ale Ben był zupełnie innym typem człowieka. Być może zachwyciłyby go teorie ekonomiczne, gdyby pozwolono mu podejść do tego w bardziej naukowy sposób. Caleb ciągle uważał, że kariera uniwersytecka jest dla syna lepszym rozwiązaniem niż kierowanie kopalnią. Na szczęście młodszy synowie Florence wprost palili się do tego, aby się tym zająć. Starszy interesował się polityką biznesu, a młodszy – maszynami parowymi i z zachwytem ładował „węgiel” na swoją samodzielnie skonstruowaną kolejkę.

Caleb nie rozumiał, czemu wobec tego nie można było zrezygnować z pracy Bena w kopalni, ale Florence chciała wykorzystać wszystkie możliwości. Ben był na miejscu; był też na tyle dorosły, aby pracować w rodzinnej firmie, i wobec tego powinien był to robić. „Florence – myślał Caleb bez odrobiny szacunku – ma mniej więcej tyle fantazji co klatka szybowa”.

Na szczęście Ben był jeszcze bardzo młody. Chłopcy w jego wieku nie mieli jeszcze ukończonych żadnych szkół, nie mówiąc już o studiach na uniwersytecie. Caleb miał nadzieję, że upór Florence, jeśli chodziło o najstarszego syna, szybko osłabnie, kiedy tylko Sam będzie na tyle dorosły, aby móc pracować razem z nią w biurze. Ben mógłby wówczas wyjechać do Dunedin i nawet nie musiałby studiować ekonomii. Caleb nie zabraniałby mu studiować tego, co go naprawdę interesowało, i cieszył się już teraz, myśląc o przyszłej wymianie intelektualnych myśli z młodym naukowcem lingwistą.

Niestety Benowi brakowało cierpliwości ojca. Nie widział wyjścia ze swojej sytuacji, a zakaz studiowania w Dunedin lub w Christchurch wpędzał go powoli w coraz głębszą depresję.

– W ten sposób przynajmniej będziemy razem! – pocieszała go Lilian. Ale nawet ta perspektywa już go nie cieszyła.

– Co to za bycie razem! – skarżył się. – Ciągłe potajemnie, ciągle strach, że nas nakryją... Jak długo to ma trwać, Lily?

Lilian przewróciła oczami.

– Aż będziemy pełnoletni, to oczywiście! – oświadczyła. – Potem już nie będą mogli nam rozkazywać. Musimy jeszcze trochę wytrzymać!

– Trochę? – spytał Ben z rozpaczą. – Miną całe wieki, zanim będę miał dwadzieścia jeden lat!

Lilian wzruszyła ramionami.

– Prawdziwa miłość jest zwykle wystawiana na trudne próby! – oświadczyła heroicznie. – Zawsze tak jest. We wszystkich książkach i piosenkach, i...

Ben westchnął.

– Zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby zwać i wstąpić do wojska...

Lilian się przeraziła.

– Tylko nie to, Ben! Jeszcze cię zastrzelą. A poza tym dla ANZAC też musisz mieć dwadzieścia jeden lat. – Ujęła jego rękę. W stajni było chłodno. Jednak lepszego miejsca na spotkania nie mogła wymyślić.

– Ach, tam wystarczy parę sztuczek – wyjaśnił Ben. – I zawsze mogę udowodnić, że studiowałem na uniwersytecie w Cambridge. A wtedy zwykle trzeba mieć więcej niż osiemnaście lat.

– Ale to nie jest dwadzieścia jeden! – upierała się przestraszona Lilian. Wiedziała, że musi mu wyperswadować ten pomysł. Roly O'Brien nie pisał często, ale to, co napisał o Gallipoli, wprost ścinało krew w żyłach. W książkach i piosenkach wojna była romantyczna, ale w rzeczywistości wydawała się zupełnie inna. A jej Ben z bronią na ramieniu... Z pewnością tworzyłby wspaniałe wiersze na temat bohaterstwa swoich kolegów, ale strzelać, nie mówiąc już o trafianiu – tego nie potrafili z pewnością. Lilian wiedziała, że musi koniecznie coś wymyślić.

– Mam coś dla nas! – oświadczyła podczas kolejnego spotkania, prawie po miesiącu. Przez ostatnie trzy czwartki Tim nie przychodził na swoje spotkania; Lilian towarzyszyła mu w czasie posiedzenia w Blenheim, na którym obecny był także George Greenwood i inni akcjonariusze. Planowano rozszerzyć kopalnię Lambertów i zbudować koksownię. Bena nie za bardzo interesowała ta informacja. Zupełnie nie przyszło mu na myśl, że Florence Biller prawdopodobnie byłaby skłonna nawet popełnić morderstwo, aby dowiedzieć się o czymś podobnym jako pierwsza. Lilian opowiedziała mu o wielu planach ojca, zupełnie nie myśląc o tym, że zdradza tajemnice firmy. Była za bardzo zainteresowana wymianą kłiwości, aby się zastanawiać nad skutkami swego gadulstwa.

Po długiej rozłące pocałunki Bena wydały jej się jeszcze słodsze – to właśnie utwierdziło ją w słuszności jej decyzji. Potajemna wizyta w urzędzie stanu cywilnego też miała w tym swój udział.

– Mam przecież siedemnaście lat. I mogę już wyjść za mąż.

– A za kogo chcesz wyjść? – droczył się z nią Ben, odważnie rozpinając górne guziki jej bluzki.

Lilian przewróciła oczami.

– Za ciebie oczywiście! – oświadczyła. – To bardzo proste. Wsiądziemy do pociągu do Christchurch, a potem do Blenheim. Samochodem byłoby szybciej, ale nie chcę kraść. A z Blenheim płynie prom do Wellington. I tam się pobierzemy. Albo w Auckland. Tam nawet może być bezpieczniej, bo w Wellington mogą nas szukać. Australia też wchodzi w grę... – Tu Lilian się zawahała. Australia wydawała jej się bardzo daleka.

– Ale ja nie mam żadnych dokumentów – przypomniał Ben. – Nie uwierzą, że mam osiemnaście lat.

– Wystarczy mieć siedemnaście, także dla chłopców. Tych kilka miesięcy do twoich urodzin możemy poczekać. A poza tym tam składa się tylko przysięgę, że się nie jest spokrewnionym i że się nie zawarło innego związku małżeńskiego.

Choć ściśle mówiąc, jeśli miało się mniej niż dwadzieścia lat, potrzebna była zgoda rodziców, tym jednak Lilian nie chciała teraz martwić Bena. Postanowiła podrobić podpis Tima, jeśli zaś chodziło o Florence Biller, to miała jeszcze mniej skrupułów.

– A potem będziesz studiować w Auckland. Może tak być, prawda?

Ben zagryzł wargę.

– Jak najbardziej może być – oświadczył. – Oni tam w Auckland na uniwersytecie bardzo poważnie zajmują się badaniem kultury maoryskiej, budują muzeum artefaktów czy coś takiego. Mój ojciec jest tym zachwycony i nawet się zastanawiał, czy się tam nie wybrać. Jak nas przy tej okazji złapie...

Lilian jęknęła. Ben czasami za bardzo się wahał, jak na jej gust.

– Jeśli się pobierzemy, to będziemy małżeństwem i już. Tego nie można tak łatwo cofnąć. A zresztą w takim dużym mieście jak Auckland łatwo chyba będzie zejść twojemu ojcu z drogi.

Ben skinął głową.

– To rzeczywiście byłoby jakieś rozwiązanie...

A poza tym była to fascynująca myśl, choć na razie nie mógł sobie tego wszystkiego wyobrazić. Jego serce zabiło mocniej, kiedy tylko pomyślał o ucieczce na Wyspę Północną. Nigdy by się na to sam nie odważył!

Gwyneira McKenzie zawsze uważała, że wielka rezydencja na Kiward Station jest za duża. Nawet kiedy mieszkała tam jej tak liczna rodzina, wiele pomieszczeń stało pustych, tym bardziej że pokoje były w amfiladzie, zanim Kura i William całkowicie przebudowali dla siebie dawne mieszkanie Geralda Wardena. Jednak mimo to Gwyneira właściwie nigdy nie czuła się samotna – aż do chwili śmierci Jamesa i Charlotte, wstąpienia Jacka do wojska i zniknięcia Glorii. Toteż tak często, jak tylko było to możliwe, Gwyneira uciekała z pustego domu do stajni i owczarni. Teraz jednak była zima 1916 roku. I podczas kiedy niemal na całym świecie rozbrzmiewał bitewny zgiełk, na Kiward Station panowała wręcz upiorna cisza. Na dworze padał bezustannie drobny deszcz – typowy dla Canterbury Plains. Zwierzęta schroniły się pod dach, a wszyscy pracownicy farmy zapewne grali w stajniach w pokera – zupełnie jak wtedy, kiedy Gwyn po raz pierwszy przestąpiła próg jednej z nich i poznała Jamesa McKenzie. Andy McAran, Poker Livingston... Dziś żaden z nich już nie żył, Andy McAran ruszył w ślady swojego przyjaciela Jamesa zaledwie kilka miesięcy po jego śmierci.

Gwyneira pomyślała z gorzkim uśmiechem, że oni wszyscy byli przez całą życiową rundę razem i teraz pewnie rozgrywali swą partię na jakiejś chmurze.

– Tylko nie okantujcie świętego Piotra! – wymamrotała, snując się znów po swoim opuszczonym domu. Martwiła się o Jacka – nie pisał już całe wieki, a przecież z pewnością wyjechał wraz z całym oddziałem z tej plaży w Turcji. Gallipoli – Gwyneira do dziś nie wiedziała, jak właściwie należało wymawiać to słowo. I chyba nie było konieczne, aby się tego uczyć. Po ostatniej rozpaczliwej ofensywie Anglicy wycofali się z plaży. Ściągnięto stamtąd także oddziały ANZAC – rzekomo już uporządkowane i praktycznie bez strat. Gazety w Christchurch pisały o tym jak o zwycięstwie – a przecież była to ogromna klęska. I Jack przypuszczalnie także nie miał odwagi, aby się do tego przyznać. Zdaniem Gwyneiry było to jedyne wytłumaczenie jego milczenia.

Przede wszystkim jednak Gwyn martwiła się o Glorię. Upłynął już dobry rok od chwili, kiedy znikła z hotelu w San Francisco, i od tamtego czasu nikt o niej nie słyszał. William i Kura zatrudniali cały czas kilku prywatnych detektywów, ale po dziewczynie zaginął wszelki ślad. A przy tym wszystko wskazywało na to, że Kura jest raczej wściekła niż zmartwiona czy zaniepokojona: prawdopodobnie myślała przy tej okazji także o swojej ucieczce od bezpieczeństwa, jakie dawała farma Kiward Station i jej własne małżeństwo. Także o swoich podróżach, najpierw przez Nową Zelandię, a potem przez Australię. Nie dostrzegała tam żadnych zagrożeń dla własnego życia czy zdrowia, a Gwyneira też umiała utrzymać swą troskę i niepokój w rozsądnych granicach. Nie zawsze wiedziała, co prawda, gdzie wtedy przebywała Kura, ale czuła, że dziewczyna jest bezpieczna, dopóki nie opuściła Wyspy Południowej. Gloria natomiast mogła być teraz wszędzie – i brakowało jej niezachwianej pewności siebie Kury-mar-o-tini. W dodatku San Francisco było zupełnie innym miejscem niż Christchurch. George Greenwood, który znał to miasto, wątpił w to, że Gloria je w ogóle opuściła.

– Przykro mi, Miss Gwyn, ale samotna dziewczyna w tej jaskini grzechu... – George nie dokończył, a Gwyneira nawet nie próbowała sobie wyobrazić, w jaki sposób jej prawnuczka mogła ponieść śmierć.

– Przepraszam, Miss Gwyn, ale jedzenie być gotowe! – Kiri otworzyła drzwi do małego biura. Gwyneira uciekała tam często, bo nie było w nim słychać echa własnego głosu, które rozbrzmiewało w pustych pokojach, kiedy mówiła coś sama do siebie.

Gwyn westchnęła cicho.

– Nie jestem głodna, Kiri... I w ogóle tracę resztki apetytu, kiedy nakrywasz w pustym salonie. Mogę zejść do was do kuchni, zjemy coś razem, dobrze?

Kiri skinęła głową. Zarówno ona, jak i Moana, kucharka, były od dawna raczej przyjaciółkami Gwyneiry niż służącymi. I teraz też nie przygotowały wystawnej kolacji, lecz rybę upieczoną według maoryskiego przepisu razem ze słodkimi ziemniakami.

– Rongo Rongo mówić, Gloria nie jest martwa – powiedziała pocieszająco Moana, kiedy Gwyneira nałożyła sobie na talerz mikroskopijną porcję jedzenia. Wiedziała doskonale, co dręczyło jej panią. – Ona pytała duchów, *tikki* mówić, jej serce śpiewa smutne pieśni, ale ona nie jest daleko.

– Dziękuję, Moano. – Gwyneira zmusiła się do uśmiechu. Moana pewnie coś zapłaciła czarownicy za ów rytuał, ale może Rongo dokonała obrzędu na polecenie wodza Tongi. A może także była zainteresowana losem Glorii. Tonga od czasu do czasu pytał o Glorię. Martwił się, choć może z zupełnie innych powodów.

W salonie głośno zadzwieczał telefon, a Kiri i Moana aż podskoczyły przestraszone.

– Duchy dzwonią! – stwierdziła Moana, ale nic nie wskazywało na to, że zamierza udać się do salonu i odebrać. Kiri była odważniejsza – i zarazem ciekawsza. Dziwna mała skrzynka, z której dobiegały głosy obcych ludzi, wydawała się obu maoryskim kobietom trochę niesamowita. Gwyneirze właściwie też, choć potrafiła docenić jej zalety. W końcu do telefonu poszła Kiri – i za chwilę była z powrotem.

– Rozmowa z Dunedin, tak mówi centrala. Czy przyjmujemy?

– Pewnie. – Gwyneira wstała. Choć właściwie liczyła się co najwyżej z rozmową z weterynarzem z Christchurch, który miał dla niej nowy środek do odrobaczania owiec. Ale Dunedin?

Czekała cierpliwie, aż telefonistka zrealizuje połączenie.

– Proszę mówić! – usłyszała energiczny głos i westchnęła. Centrala międzymiastowa znajdowała się w Haldon, a ta telefonistka znana była z tego, że przysłuchiwała się każdej rozmowie i omawiała potem jej treść z przyjaciółkami.

– Tu Kiward Station, Gwyneira McKenzie – powiedziała i czekała dalej.

Po drugiej stronie panowała najpierw cisza, a potem Gwyn usłyszała coś w rodzaju chrząkania. I wreszcie dotarł do niej zduszony głos:

– Babcia Gwyn? Mówi... mówi Gloria...

Gwyneira nie pozwoliła, aby ktokolwiek inny niż ona sama pojechał przywieźć prawnuczkę z Dunedin.

– Da pani radę? To długa podróż pociągiem – martwiła się Sarah Bleachum. Gwyneira bardzo krótko rozmawiała z Glorią, ale potem nieco dłużej z nauczycielką. Dziewczyna praktycznie niewiele była w stanie powiedzieć. Nawet na pytanie, gdzie jest, potrafiła udzielić tylko kilku niezrozumiałych wyjaśnień.

– U Miss Bleachum, w szkole... – Gwyneira niewiele z tego pojmowała, ale przyczyną mogło być także to, że jej serce biło jak oszalałe. Gloria była wśród żywych, i to w Nowej Zelandii!

W końcu Miss Bleachum wyjęła słuchawkę z rąk dziewczyny i to od niej Gwyn dowiedziała się najważniejszego.

– Mogę wsadzić Glorię do pociągu, a pani odbierze ją w Christchurch.

O tym Gwyneira nie chciała nawet słyszeć.

– Ależ to oczywiste, że przeżyję jeszcze jedną podróż pociągiem, przecież w końcu to nie ja będę ciągnąć wagony! – oznajmiła jak zwykle

rezolutnie zaniepokojonej nauczycielce. – Przede wszystkim nie chcę już ryzykować! W żadnym wypadku nie zostawię tej dziewczyny samej. Niech ona zostanie u pani, a ja najpóźniej za trzy dni tam będę. Proszę jej dobrze pilnować!

Zapominając o swoim wieku, zakończywszy rozmowę, Gwyneira tańczyła jak szalona w salonie, a potem wpadła do kuchni z butelką szampana w ręce.

– Dzieci, jadę do Dunedin przywieźć Głorię! A prawda, niech Rongo Rongo weźmie sobie worek nasion. To była dobra robota z duchami!

Miss Bleachum i Gloria czekały na Gwyneirę na dworcu w Dunedin i Gwyneira dostrzegła natychmiast, że coś tu nie było całkiem w porządku. Dziewczyna, ubrana w zapięty pod samą szyję niebieski kostium podróżny, trzymała się kurczowo ręki o wiele wyższej i wyraźnie o wiele bardziej pewnej siebie Miss Bleachum. Obie wyglądały trochę jak stare panny. Leciwa Gwyneira miała na sobie modniej skrojoną i barwniejszą odzież niż dwudziestoletnia Gloria. Gwyneira, pełna radości z powodu powrotu prawnuczki do domu, wreszcie zdjęła żalobną odzież i nabyła w Christchurch elegancki granatowy kostium podróżny z efektownymi białymi paskami na kołnierzu i mankietach. Na swych już zupełnie białych włosach Gwyneira miała figlarny, bardzo pasujący do całości kapeluszek.

– Gloria! – Gwyneira przyjrzała się dziewczynie przez swój lorgnon. Uważała, że to coś bardziej eleganckiego niż nieforemne okulary, które co prawda także posiadała, choć jak na swój wiek miała doskonały wzrok. Okularów potrzebowała tylko do czytania. Teraz jednak chciała mieć absolutnie czysty obraz swojej zaginionej wnuczki. – Ty jesteś już dorosła!

Uśmiech Gwyneiry i jej słowa odwróciły uwagę od przerażenia, jakie pojawiło się na twarzy dziewczyny w trakcie tych oględzin. Gwyn spostrzegła, że ta dziewczyna sprawiała wrażenie nie tylko dorosłej, lecz wręcz starej. Oczy miała nieruchome, niemal zupełnie pozbawione wyrazu. Ale z drugiej strony Gloria zachowywała się bojaźliwie jak dziecko. Miss Bleachum musiała uwolnić swą rękę z łagodną przemocą, aby popchnąć Głorię w kierunku babki. Gwyneira objęła wnuczkę, ale miała wrażenie, że jej dotyk jest dla Głorii nieprzyjemny.

– Gloria, dziecko, taka jestem szczęśliwa, że jesteś! Jak ci się to udało, jak sobie poradziłaś? Musisz mi wszystko opowiedzieć...

Przez twarz Głorii przemknął cień. Wydawało się, że nagle zbladła, choć jej twarz nosiła ślady opalenizny. Gwyn pomyślała, że z pewnością ostatniego lata nie spędziła pod dachem jak Miss Bleachum, która miała twarz zupełnie bladą.

– Ależ oczywiście, Glory, że nic nie musisz opowiadać – powiedziała miękko Miss Bleachum, rzucając przy tym porozumiewawcze spojrzenie Gwyneirze. – Gloria niechętnie mówi o swoich przeżyciach. Wiemy tylko, że podróżowała przez Chiny i Australię...

Gwyneira z podziwem skinęła głową.

– I to zupełnie sama, taka długa podróż! Jestem z ciebie dumna, moja mała!

Gloria wybuchnęła płaczem.

Gwyneira towarzyszyła Miss Bleachum i Głorii do szkoły i przetrwała razem z Sarah dość sztywne przyjęcie w salonie Mrs Lancaster.

Nauczycielki starały się być miłe i robiły, co mogły, aby jakoś zainicjować rozmowę między prawnuczką a jej babką, ale ich usiłowania były daremne. Gloria odpowiadała monosylabami, kruszyła ciasto w palcach i nie chciała oderwać oczu od swojego talerza.

– Wraca pani nocnym pociągiem, Mrs McKenzie, czy też mogę pani zaoferować nocleg? – spytała troskliwie Mrs Lancaster.

Gwyneira pokręciła głową.

– Taka podróż dwa razy dziennie to już za wiele dla moich starych kości. Ale zarezerwowałam dla nas pokój w hotelu Dunedin. Gdyby mogła nam pani potem zamówić taksówkę...

Przy słowach: „hotel” i „dla nas” Gloria zbladła jak kreda. Gwyneira dostrzegła, że kilka razy popatrzyła na Miss Bleachum proszącym wzrokiem, ale nauczycielka nieznacznie potrząsnęła głową. Gwyneira przestawała już cokolwiek rozumieć. Czy Gloria nie chciała uciec od swoich rodziców? Sprawiała wrażenie, jak gdyby bała się śmiertelnie opuścić szkołę. Gwyneira zastanawiała się, czy nie dać za wygraną i nie skorzystać z oferty noclegu w szkole Mrs Lancaster. Ale doszła do wniosku, że to tylko odwlecze problem o jeden dzień. A poza tym musiałaby w tym wypadku zrezygnować z porannych zakupów w Dunedin, a o ile rozumiała Miss Bleachum, Gloria naprawdę potrzebowała kilku nowych ubrań.

– Przyniesiesz swoją torbę, mała? – spytała przyjaźnie, pozornie nie zwracając uwagi na resentymenty Głorii. – A może jeszcze wcale się nie spakowałaś? To nie szkodzi, Miss Bleachum na pewno ci pomoże, a ja porozmawiam w tym czasie z Mrs Lancaster.

Sarah Bleachum zrozumiała i poszła z Głorią do jej pokoju. Mrs Lancaster potwierdziła spostrzeżenia Gwyneiry.

– Z pewnością dobrze będzie zabrać dziewczynę już dzisiaj i rzeczywiście ona bardzo potrzebuje jakichś nowych ubrań. Ma tylko te dwa kostiumy podróżne, ten drugi mniej więcej taki sam jak ten, który miała dziś na sobie. Proponowałam kilkakrotnie Miss Bleachum, aby poszła z nią na zakupy, pożyczylibyśmy jej na to pieniądze. Ale Gloria nie chciała.

Gwyneira uniosła w zdumieniu brwi do góry.

– To ten... dziwny strój... hm... nie został zakupiony z pomocą którejś z pani dam?

Mrs Lancaster się roześmiała.

– Mrs McKenzie, mamy tutaj szkołę dla dziewcząt, a nie klasztor żeński! Nasze uczennice noszą konwencjonalne mundurki szkolne, ale po lekcjach w żadnym wypadku nie zmuszamy ich do tego, aby ubierały się tak, jak nauczycielka w średnim wieku. Osobiście uważam, że także Miss Bleachum... Ale zostawmy to, ona z pewnością ma jakieś powody, aby nieco... hm, tłumić swoją kobiecość. I obawiam się, że dotyczy to także Głorii. Będzie pani musiała okazać jej wiele cierpliwości.

Gwyneira się uśmiechnęła.

– Jest we mnie cierpliwość całego świata – odpowiedziała. – Przynajmniej jeśli chodzi o psy i konie. Ale jeśli chodzi o ludzi, to moja cierpliwość nieraz zawodziła... Ale będę się starać.

– Jest pani wdową?

Na twarzy Gwyneiry pojawił się cień.

– Tak, od prawie dwóch lat. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję...

– Przepraszam, nie chciałam pani urazić. Ani też naruszyć pani żaloby. Chodzi tylko o to... Czy w pani domu mieszkają mężczyźni, Mrs McKenzie? – Mrs Lancaster zagryzła wargi.

Gwyneira zmarszczyła czoło.

– Mrs Lancaster, prowadzę owczą farmę... – uśmiechnęła się, dodając: – ... a nie klasztor żeński. Oczywiście, że zatrudniamy pasterzy bydła, zarządcę, na naszym terenie mieszka też szczerp Maorysów. Nie rozumiem tego pytania.

Mrs Lancaster zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Gloria źle znosi obecność mężczyzn, Mrs McKenzie. A co... co z owym Jackiem? Gloria opowiadała o nim i wydaje mi się, że to właśnie z jego powodu obawia się powrotu do domu.

Gwyneira popatrzyła na nią zaskoczona. Wahala się między zdumieniem a gniewem.

– Ona obawia się Jacka? Ależ mój syn nigdy by się do niej nawet nie zbliżył! Oboje zawsze doskonale się rozumieli. A teraz i tak Jack jest w wojsku – nie ma go w domu.

– Przykro mi, Mrs McKenzie. Nie należy pani chyba do kobiet, które nie mogą się doczekać wysłania synów na wojnę... Ale to ułatwiłoby Głorii odnalezienie się w domu.

Gwyneira nie podzielała tego zdania, ale zanim mogła dalej kontynuować tę nieco dziwną konwersację, Miss Bleachum przyprowadziła do pokoju Głorię. Dziewczyna była blada, ale opanowana. W taksówce jadącej do hotelu Gwyneira opowiedziała jej o Jacku i próbowała dostrzec jej reakcję. Wyraz twarzy Głorii oscylował między ulgą a zakłopotaniem.

– Wszystko teraz będzie inne – powiedziała cicho.

Gwyneira potrząsnęła głową.

– Nie aż tak inne, mała. Niezbyt wiele się zmienia na owczej farmie. Rodzą się jagnięta, pędzimy owce na płaskowyż, strzyżemy je, sprzedajemy wełnę... I tak jest każdego roku, Glorio. Zawsze jest tak samo.

Gloria próbowała szukać oparcia w tych prostych słowach.

Spacer połączony z zakupami był następnego ranka jednym pasmem problemów. Gloria najchętniej wcale nie wychodziłaby z hotelu, a kiedy Gwyn udało się w końcu zaciągnąć ją do sklepu, wybierała najbrzydsze, najluźniejsze i najciemniejsze sukienki.

– Kiedy byłaś mała, wolałaś chodzić w spodniach! – przypomniała Gwyn i nie ustąpiła, aż Gloria rzeczywiście wybrała jedno z tych nowoczesnych, szokujących spódnicospodni, które wymyśliły sufrażystki na użytek kobiet jeżdżących rowerami i samochodami. W Anglii ta moda właściwie już przeminęła, ale tu, na końcu świata, te szerokie, nieco orientalne spodnie były jej ostatnim krzykiem. Gloria zaskoczona zerknęła w lustro – wyglądała w nich znakomicie. Miała wrażenie, że z lustra patrzyła na nią zupełnie inna dziewczyna. Sprzedawczynie włożyła też na jej krótkie kręcone włosy prosty kapelusz.

– Ma pani bardzo stosowną do niego fryzurę – dodała, śmiejąc się życzliwie, i odgarnęła z twarzy Glorii kilka kosmyków. Gwyneira upierała się, aby jej prawnuczka od razu włożyła spódnicospodnie na czekającą je obie podróż – były bardzo praktycznym nabytkiem na takie okazje. Gloria jednak niezbyt dobrze się czuła, dostrzegając taksujące spojrzenia innych podróżnych. Także Gwyneira nie mogła oderwać od niej oczu, kiedy wreszcie znalazły się w przedziale pociągu.

– Czy ja mam coś na twarzy? – spytała w końcu wyraźnie zirytowana Gloria.

Gwyneira prawie się zaczerwieniła.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale teraz, w tym kapeluszu... podobieństwo jest aż zaskakujące...

– Podobieństwo do kogo? – spytała szorstko Gloria. Gwyn miała wrażenie, że dziewczyna przyjmuje niemal pozycję obronną, jak gdyby ktoś ją atakował.

Machnęła ręką uspokajająco.

– Do Maramy – odpowiedziała po chwili. – Do twojej babki. I do twojego dziadka Paula. Zupełnie jakbym miała przed sobą jego fotografię... Nie ma już niestety żadnej, a szkoda, bo mogłabym ci to udowodnić... To zupełnie tak, jak gdyby ich podobizny wydrukowano na przezroczystym papierze i nałożono na siebie. Czasami widzę Paula, kiedy patrzę na ciebie z prawej strony, i Maramę, kiedy patrzę z lewej... Muszę się do tego przyzwyczaić, Glorio...

W rzeczywistości rysy Glorii przypominały bardziej Maramę niż Paula. Zgodnie z maoryskimi kryteriami jej raczej szeroka twarz o wysokich kościach policzkowych, podobnie jak jej figura, odpowiadały dokładnie idealnemu obrazowi pramieszkańców tych ziem. Gloria podobała się teraz Gwyneirze o wiele bardziej niż na ostatnich fotografiach z Ameryki, na których jej rysy były nieco rozmyte. Dziewczyna mocno zeszczupiała, jej twarz stała się bardziej wyrazista, a rysy się wyostrzyły. Jej dość wąsko osadzone oczy i energiczny podbródek przypominały Paula, ale owe mankamenty urody były w ogóle niezauważalne, znakomicie też pasowały do sportowej odzieży Glorii. Gdyby tylko nie to niechętne, wręcz ponure, odpychające spojrzenie... Właśnie to oraz lekko zmarszczone czoło przypominało Gwyneirze o Paulu i nie były to szczęśliwe wspomnienia. Paul także był pełen gniewu na cały świat. Gwyneira poczuła obawę.

Maaka chciał wysłać samochód, którym Gloria i Gwyneira miałyby przyjechać z dworca. Ale na wyraźne polecenie Gwyn przyjechał sam, powozem zaprzężonym w dwa coby. Auto zostało w garażu.

– Ależ samochodem byłoby o wiele szybciej, Miss Gwyn! – argumentował młody Maorys i namiętny kierowca. – Końmi będziemy jechali całą noc.

– Nie śpieszymy się – odparła Gwyneira. – Miss Gloria kocha konie. Ucieszy się, kiedy zobaczy coby.

I rzeczywiście, na widok bryczki czekającej przed dworcem twarz Glorii po raz pierwszy nieco się rozpogodziła. Choć co prawda dziewczyna cofnęła się z nieukrywanym przerażeniem na widok Maaki.

– *Kia ora*, Miss Glory! – pozdrowił ją swobodnie brygadzysta. – *Haere mai!* Cieszymy się, że znów jest pani w domu! – Jego twarz była pełna radości i życzliwości, ale Gloria z trudem zdobyła się na kilka słów podziękowania.

– Chodź, Glory, obejrzyj sobie konie! – zawołała ją Gwyneira. – To przyrodnie siostry, obie od Cuculainn. Matką Ceredwen jest Raven, na której kiedyś jeździłam, a Colleen... – Gwyn szybko wymieniła cały rodowód obu klaczy.

Gloria słuchała uważnie i wydawało się, że przypomina sobie oba konie – jej twarz wyrażała o wiele więcej zainteresowania niż przy okazji rodzinnych opowieści, którymi Gwyn usiłowała ją zabawić w czasie podróży pociągiem.

– A Princess? – spytała niemal niedosłyszalnie.

Gwyneira uśmiechnęła się radośnie.

– Tak, ciągle ją mamy. Ale ona jest trochę za lekka do tego powozu... – Chciała mówić dalej, ale przerwał jej ogłuszający psi jazgot. Gwyn i Gloria były już tak blisko powozu, że mały pies o barwnej sierści, którego Maaka przywiązał pod kozłem, wyczuł je.

– Pomyślałem, że przywiozę ją pani, Miss Glory – powiedział, uśmiechając się szeroko, i odwiązał smycz.

Nimue natychmiast przybiegła do obu kobiet, a Gwyn pochyliła się jak zwykle, aby ją przywitać. Ale suka nie zwróciła na nią uwagi. Głośno skomląc i szczekając ze szczęścia, skoczyła z rozpędu na Glorie.

– Moja Nimue? – Gloria uklękła na ulicy, zupełnie zapominając o swych nowych ubraniach. Objęła i tuliła psa, który piszcząc, lizał jej twarz. – Przecież ona... Bałam się, że...

– Że ona nie żyje? – dokończyła Gwyneira. – I dlatego o nią nie pytałaś... Ale ona przecież była bardzo młoda, kiedy wyjeżdżałaś, a border collie są długowieczne. Może żyć jeszcze z dziesięć lat...

Z twarzy Glorii znikła zupełnie skrytość i zaciętość; teraz wyrażała ona pełne szczęście i radość spotkania po długim niewidzeniu... Był więc jeszcze ktoś, kto ją kochał...

Gwyneira uśmiechała się do niej. A potem usiadła na kozle.

– Pozwolisz, że będę powozić, Maaka?

Maorys się roześmiał.

– Przecież to było jasne, Miss Gwyn, że będę musiał oddać cugle. Ale jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to chętnie zostałbym w Christchurch. Chciałbym zajrzeć do kantoru Mr George'a. Ostatni rachunek za wełnę...

– ... oraz uroczą córeczką Retiego – droczyła się z nim Gwyneira. Było ogólnie znaną tajemnicą, że Maaka kochał się w córce Retiego, który był zarządcą w firmie George'a Greenwooda. Maoryska dziewczyna skończyła college na Wyspie Północnej i ostatnio pomagała ojcu w biurze. – Możesz zostać, Maaka, ale nie rób głupstw! Ta mała jest wychowana zgodnie z zachodnioeuropejskimi kanonami i oczekuje, że będziesz jej przynosił kwiaty i czekoladki! A może napiszesz dla niej jakiś wiersz!

Maaka zmarszczył czoło.

– Nie będę zabiegał o względy takiej głupiej dziewczyny! – oświadczył z udawaną powagą. – Ona wcale nie chce *tohunga*, który będzie jej opowiadał historie, i nie jest dzieckiem, które się zdobywa za pomocą czekoladek. A kwiaty kwitną wiosną na całej wyspie i zrywanie ich bez powodu przynosi nieszczęście. – Roześmiał się. – Ale za to mam coś takiego... – Wyciągnął z kieszeni jadeit, w którym wyrzeźbił kontury małego boga. – Sam znalazłem ten kamień, dotknęły go moje duchy...

Gwyneira się uśmiechnęła.

– Ależ to piękne! Ona z pewnością się ucieszy. Pozdrów ode mnie Retiego, także Elizabeth Greenwood, jeśli ją zobaczysz.

Gloria przysłuchiwała się tej rozmowie z kamienną twarzą. Wydawało się, że znów była napięta i pełna niechęci, kiedy Gwyneira droczyła się z młodym Maorysem i wypominała mu w żartach jego flirt. Gwyn zastanawiała się, czy Gloria była kiedyś nieszczęśliwie zakochana.

– Czy tobie kiedyś jakiś mężczyzna też coś podarował, Glorio? – spytała łagodnie.

Gloria, tuląc do siebie psa, popatrzyła na Gwyneirę – w jej oczach była nieskrywana nienawiść.

– Tak, o wiele więcej, niż chciałam, babciu!

Nie odezwała się ani słowem w czasie długich godzin podróży.

Gwyn także milczała, kiedy obie klacze kłusowały rażno po dobrej drodze wiodącej przez Canterbury Plains. Podróż bryczką rzeczywiście miała trwać całą noc i właściwie należałoby przenocować w White Hart. Ale ta noc była wyjątkowo pogodna i piękna, choć oczywiście chłodna. Niebo było wprost nabite gwiazdami, a nad ich głowami migotał gwiazdozbiór Plejad.

– Matariki – tej nazwy nauczył Gwyn James, dawno temu, w czasie jednej z ich nocy pełnych miłości...

Gloria poważnie skinęła głową i dodała:

– I *Ika-o-te-rangi*. Droga Mleczna. Niebiańska Ryba, dla Maorysów.

– A więc pamiętasz! – uśmiechnęła się Gwyneira. – Marama się ucieszy. Zawsze się obawiała, że zapomnisz języka maoryskiego. Jak Kura. Ona sądzi, że Kura zapomniała maoryskiego. Ale uważam, że to byłoby dziwne. Kura już jako dorosła osoba mówiła płynnie po maorysku i w tym języku przecież śpiewa. Jak mogłaby zapomnieć jego słów?

– Słów nie zapomniała – powiedziała Gloria i pomyślała o Tamatei.

Gwyneira wzruszyła ramionami. Wkrótce miało wzejść słońce i było już niedaleko do Kiward Station. Gloria rozpoznawała chyba okolice. Łąki, jezioro...

– Czy mogę... mogę powozić? – spytała schrypniętym głosem. Tak bardzo pragnęła powozić cobami przy podjeździe do domu, że nawet wypuściła z ramion Nimue.

Gwyneira już chciała jej oddać cugle, ale nagle stanął jej przed oczami ów dzień, kiedy Lilian wróciła z Anglii. Jej śmiejące się oczy i okrzyki, włosy rozwiewane przez wiatr. Gwyneira czuła się wtedy tak młodo i była tak pełna radości, widząc prawnuczkę powożącą końmi w czasie tamtej jazdy. A potem przypomniała sobie Jamesa galopującego w ich stronę na siwku. Jak wtedy, tak dawno temu, kiedy czekał na nią przy Kręgu Kamiennych Wojowników. Gwyneira miała wrażenie, że Lilian zabrała ją w podróż w czasie. A potem...

Nie wolno jej było wtedy wypuścić z rąk cugli. To właśnie spowodowało nieszczęście...

– Nie, lepiej nie. – Palce Gwyneiry zacisnęły się kurczowo na skórzanych pasach.

Twarz Glorii znów spochmurniała. Nie odezwała się już ani słowem aż do chwili, kiedy dotarły do stajni. Jeden z pasterzy powitał kobiety, a Gwyn miała wrażenie, że Gloria na jego widok najchętniej schowałaby się w mysiej dziurze.

– Proszę mi pozwolić wyprząc konie, Miss Gwyn! Miss... Glorio?

Pasterz był młodym białym mężczyzną i nie znał Glorii jako dziecka. Na widok młodej kobiety w eleganckich spódnicospodniach szeroko otworzył oczy. Gwyneira dostrzegła w nich podziw i fascynację, ale Gloria – tylko ślepą żądę.

– Dziękuję, Frank! – Gwyn oddała młodemu mężczyźnie cugle i spytała: – Gdzie stoi mała Princess, Frank? Miss Gloria chciałaby ją zobaczyć, to był jej kucyk, kiedy była dzieckiem. Dziś jest dla niej oczywiście za duża.

– Na padoku za stajniami, Miss Gwyn! – Frank Wilkenson gorliwie wskazał na tylne wyjście z budynku. – Jeśli pani sobie życzy, mogę ją dla pani rozjeździć. Nabralaby dobrej figury.

Gloria nie odpowiedziała.

– Powozi pani, Miss Glory?

Gloria rzuciła Gwyneirze niechętnie spojrzenie, nawet nie zerknąwszy na Franka.

– Nie – odpowiedziała mrukiwie.

– Zrobiłaś na nim niezłe wrażenie. – Gwyneira próbowała się z nią żartobliwie droczyć, idąc przez stajnię. Kiepski humor Glorii musiał w końcu minąć. – To bardzo sympatyczny młody człowiek i doskonale potrafi się obchodzić z końmi. Rozważ jego propozycję. Princess byłaby też dobrym koniem w zaprzęgu. Głupie, że o tym do tej pory nie pomyślałam.

Wydawało się, że Gloria chce coś odpowiedzieć, ale szła za swoją babką w zupełnym milczeniu. Jej twarz nieco się rozpogodziła, kiedy wśród innych koni na wybiegu zobaczyła drobną, rudą jak lis klaczkę.

– Princessin, moja słodka...

Princess oczywiście nie rozpoznała swej dawnej pani, po ośmiu latach trudno było tego od niej wymagać i Gloria wiedziała o tym. Nie miała też tego za złe zwierzęciu, przeszła jednak przez ogrodzenie i zbliżyła się do klaczy, aby ją pogłaskać. Princess pozwoliła na to, a nawet potarła głową ramię Glorii.

– Wyczyszczę cię jutro – powiedziała dziewczyna z uśmiechem. Widziała, że klacz swędziała dawno nieczyszczona sierść. Gloria wydawała jej się kimś, kto będzie miał dla niej czas.

Twarz Glorii była pełna cichej radości, kiedy podeszła do Gwyn.

– A gdzie źrebak? – spytała.

– Jaki źrebak...? – Gwyneirze zrobiło się gorąco, kiedy nagle przyszła jej do głowy odpowiedź. Źrebak Princess... Jack obiecał Glorii, że będzie na nim jeździć po powrocie ze szkoły...

Gwyneira zagryzła wargi.

– Gloria, kochanie, przykro mi, ale...

– Czy on nie żyje? – spytała cicho Gloria.

Gwyneira potrząsnęła głową.

– Ależ nie, skądże... To śliczna mała klaczka. I wszystko z nią w porządku. Tylko... podarowałam ją Lilian. Naprawdę mi przykro, Glorio, ale nic nie wskazywało na to, że prędko wrócisz do domu. I nigdy też nie pisałaś, że jeździsz tam konno...

Gloria patrzyła na Gwyneirę nieruchomym wzrokiem. Stara dama próbowała doszukać się w jej spojrzeniu jakiejś życzliwości, ale w oczach Glorii była tylko nienawiść.

– Jeśli ktoś nie jeździ konno, to jest martwy. Czy nie tak zawsze mówiłaś? Czy ja byłam...? Czy jestem...?

– Ależ Glorio, nie to miałam na myśli! W ogóle wtedy o niczym nie myślałam. Tylko ta klacz nie miała żadnego zajęcia, a Lilian znakomicie dawała sobie z nią radę. Popatrz, Glorio, wszystkie konie w tej stadninie należą do ciebie. Jutro Frank może ci pokazać młode konie. Kilka czterolatków chodzi bardzo ładnie. Ale może wolałabyś trzylatka, z którym mogłabyś sama pracować...

– Czy one nie należą do mojej matki? – spytała zimno Gloria. – Jak zresztą wszystko tutaj? Łącznie ze mną? Co właściwie będzie, jeśli ona teraz też postanowi mnie stąd zabrać? Odeślesz mnie znowu do niej?

Gwyneira chciała ją objąć, ale wydało jej się, że dziewczyna jest zimna jak lód.

– Ach, Glory... – westchnęła Gwyneira. Nie wiedziała już, co powiedzieć i jak zareagować. Gwyn nigdy nie była dobrą dyplomatką, a ta sytuacja przerastała ją zupełnie. Żałowała, że nie było z nią Helen. Albo Jamesa. Oni wiedzieliby, jak postąpić. Ale Gwyn czuła się bezradna. Gloria musiała rozumieć i przypuszczać, jak bardzo Gwyn na nią czekała! – Przecież możemy jeszcze raz pokryć Princess! – powiedziała w końcu. Zawsze wolała rozwiązywać problemy poprzez czyny, a nie słowa.

– Czy możemy wreszcie wejść do domu? – spytała Gloria, nie zwracając uwagi na jej propozycję. – Gdzie właściwie mam mieszkać? Czy mam jeszcze swój pokój? A może też go podarowałaś Lilian?

Gwyneira postanowiła po prostu nie odpowiadać i ruszyła przed Glorią w stronę domu. Od stajni wprost do kuchni prowadziła ścieżka łącząca się z drogą na Kiward Station. W ostatniej chwili Gwyn przyszło na myśl, że Gloria znów może to źle zrozumieć.

– Czy będzie ci odpowiadać, jeśli... Oczywiście możemy wejść głównym wejściem... Ale w moim wieku to już się robi męczące. Tyle schodów...

Gloria przewróciła ostentacyjnie oczami, ale nie wyglądało to zabawnie jak u Lilian. U niej ten gest wyrażał pogardę.

– Babciu Gwyn, chciałabym wejść do mojego pokoju. Jak tam dotrę, jest mi zupełnie obojętne.

Tak szybko nie mogła się jednak schronić w pokoju. W kuchni czekały Moana, Kiri i babka Glorii, Marama.

– *Haere mai, moko-puna!* Jak dobrze, że jesteś już w domu!

Gwyneira obserwowała maoryskie kobiety, które tańczyły radośnie wokół Glorii, witając jej wnuczkę. Sprawiały wrażenie, że chcą przytulić twarz do twarzy Glorii w geście tradycyjnego *hongi*. Ale wyraz twarzy dziewczyny je przeraził, podobnie jak Gwyn poprzedniego dnia, i w miarę zgrabnie się wycofały.

Marama także zrezygnowała z objęcia wnuczki. Ujęła ją jedynie za ręce i powiedziała do niej coś po maorysku. Gwyneira nie wszystko rozumiała, ale wydało jej się, że było to coś w rodzaju usprawiedliwienia.

– Przebaczonej matce, a mojej córce, *moko-puna!* Ludzkie uczucia zawsze były jej obce...

Gloria obojętnie i chłodno znosiła serdeczne powitanie – uśmiechnęła się tylko wtedy, kiedy Nimue, szczerząc się i skomląc, zaczęła ją znów obskakiwać z każdej strony, niemal jak w ekstazie.

– Teraz odpocząć. Ale dziś wieczór dobre jedzenie! – zarządziła w końcu Kiri. Może przypisała zachowanie Glorii zmęczeniu po nocnej podróży bryczką na Kiward Station. – Zrobimy *kumera*, słodkie ziemniaki. Ty na pewno ich nie jeść po tym, jak odejdziesz z Anglii!

Gwyneira wreszcie zaprowadziła prawnuczkę do jej pokoju – tego samego, w którym Gloria mieszkała przed swoim wyjazdem. I zauważyła, że napięcie na twarzy dziewczyny ustąpiło, kiedy weszły do pomieszczenia. Gwyneira niczego tu przez te lata nie zmieniła. Na ścianie wisiały te same obrazy przedstawiające konie, także ostatnia fotografia Glorii z Princess i jej dziecinne rysunki oraz kilka ilustracji przedstawiających miejscową florę i faunę, które wykonał jeszcze Lucas, pierwszy mąż Gwyneiry.

– Jak widzisz, cały czas czekaliśmy na ciebie – powiedziała Gwyneira nieco sztywno, ale na twarzy Glorii uśmiech pojawił się dopiero wtedy, kiedy zobaczyła na łóżku prezent Maramy. Kiedyś tak często rzucała tam w pośpiechu swoje spodnie do konnej jazdy, aby przed kolacją znów „zamienić się w dziewczynę”, jak mawiał Jack. Teraz na łóżku leżały nowiutkie, elegancko skrojone i uszyte przez Maramę bryczesy.

Gwyneira spróbowała się uśmiechnąć.

– Może jutro wyszukasz sobie konia? – spytała nieśmiało.

Radość na twarzy Glorii momentalnie znikła jak zdmuchnięta.

– Może – odpowiedziała powściągliwie.

Gwyneira niemal się cieszyła, mogąc wreszcie zamknąć za sobą drzwi.

Gloria kilka razy przespacerowała się po pokoju tam i z powrotem. Obejrzała wszystkie obrazki na ścianach, zdeptyany kolorowy dywan, jadeity i inne kolorowe kamienie, które zbierała razem z Jackiem...

Wreszcie rzuciła się na łóżko, trzymając Nimue w ramionach, i rozplakała się. Uspokoila się po długim czasie, kiedy słońce było już wysoko na niebie.

Wróciła. Była na farmie Kiward Station.

Wiedziała, że właściwie powinna się cieszyć. Czas żalu i cierpienia się zakończył. Ale nie było w niej radości.

Jedyne, co czuła, to gniew.

Pomysł potajemnego ślubu był na razie cudownym marzeniem, a Lilian i Ben robili wszystko, aby z każdym dniem stawało się ono coraz piękniejsze. Do Lilian zupełnie nie docierało to, co było powodem niepokoju i ciekawości rodziców, a mianowicie wszystkie wydarzenia związane z wojną i niespodziewany powrót Glorii. Pochłaniała ją miłość do Bena, a przede wszystkim planowanie ich ucieczki, i nie wahała się przed czymkolwiek, co było związane z jej realizacją. Dzieliła swe fantazje z Benem, lecz on tak naprawdę w nie nie wierzył. Aż do pewnej chwili któregoś lodowatego wieczoru wiosną, kiedy porwał go nagły wir wydarzeń.

George Greenwood znów pojawił się w mieście i wespół z Mattem Gawainem i Timem postanowili wreszcie przedstawić publicznie plany budowy koksowni. Już i tak przebąkiwano coraz częściej o ich zamierzonym przedsięwzięciu. Kamień węgielny pod budowę został więc położony i chyba nie było już nikogo, kto w Greymouth mógłby teraz ubiec Lambertów. Tim był jednak świadom tego, że zbyt długo ukrywana wiadomość mogłaby źle nastroić do niego innych właścicieli kopalń. Tim, George i Matt uzgodnili, że zaproszą Billerów, zarządcę kopalni Blackball oraz jeszcze kilka liczących się osób na uroczystą kolację do jednego z najlepszych hoteli przy plaży. Postanowiono tam właśnie uroczysto ogłosić, że wszystkie kopalnie w Greymouth będą mogły wkrótce przerabiać na miejscu wydobywany węgiel na koks. Z pewnością opinie na ten temat będą bardzo różne. Właściciele małych kopalń się ucieszą, Florence Biller będzie się raczej złościć, że nie miała odwagi zainwestować pieniędzy w ekspansję swojej kopalni. Ale dla kopalni Lambertów ta inwestycja będzie bez wątpienia istną żyłą złota.

Dla Lilian Lambert zaś i Bena Billera ten wieczór miał się stać swego rodzaju kamieniem milowym – choć z zupełnie innych względów. Po raz pierwszy od roku ich rodzice odważyli się pozwolić im się zetknąć na gruncie towarzyskim. Ben towarzyszył swojej matce, bo Caleb znów się od tego wykręcił, a Lilian jak zwykle pełniła funkcję szofera. A poza tym George Greenwood poprosił wyraźnie, aby uroczysta towarzyska jego podróży tym razem zasiadła z nim do stołu.

– No, a jak tam z twoim sercem? – George był w doskonałym humorze i droczył się z nią żartobliwie, kiedy zajęła miejsce koło niego. Lilian miała na sobie nową, soczyście zieloną suknię i była to jej pierwsza suknia wieczorowa. Wyglądała rzeczywiście czarująco, a Ben wprost pochłaniał ją wzrokiem. – Czy już je komuś oddałaś, czy też wolisz przejąć kopalnię twojego ojca?

Lilian poczerwieniała jak wiśnia.

– Ja... ee... Tak, jest już ktoś taki! – oświadczyła w końcu dumnie. Wujek George zawsze brał poważnie to, co mówiła. Z pewnością nie zachowałby się tak dziecinnie, jak rodzice jej i Bena, gdyby wiedział o jej miłości. – Ale to tajemnica! – dodała.

George się uśmiechnął.

– No to nie będziemy tej tajemnicy ruszać! – oświadczył i postanowił w duchu pomówić później z Elaine. Kiedyś Elaine opowiedziała mu o tym młodzieńczym zadurzeniu, ale sądziła, że to już minęło. George, wobec tego, co usłyszał, nabrał przekonania, że było inaczej. I w przeciwieństwie do większości gości dostrzegł natychmiast, że Ben i Lilian nagle gdzieś zniknęli. Lilian miała po temu powód – Elaine poprosiła, by przyniosła jej z samochodu zapomniany szal. Ben natomiast wymknął się wtedy, kiedy tylko dostrzegł, że Florence Biller była bardzo zajęta: klóciła się z zarządcą kopalni Blackball z powodu jakiegoś połączenia kolejowego.

George pomyślał, że to idealny moment, aby ogłosić swoją tajemnicę, i zadzwonił widelcem o kieliszek.

Ben dogonił Lilian, kiedy otwierała samochód, i uśmiechnął się do niej radośnie.

– Musiałem zobaczyć się z tobą sam na sam, Lily!

Lilian pozwoliła, aby ją objął, ale była niespokojna. Zaparkowała samochód na oświetlonej ulicy i przynajmniej hotelowy portier mógł ją zobaczyć. Choć zapewne nie miał żadnego interesu w tym, aby ją wydać, Lilian czuła się nieswojo. A poza tym zrobiło jej się zimno. Był październik i właściwie wiosna, ale pogoda nie za bardzo odpowiadała kalendarzowi. Od Alp wiał wprost lodowaty wiatr.

W końcu podjęła decyzję.

– Wsiądź ze mną do samochodu! – powiedziała i wślizgnęła się na tylne siedzenie. Ben wsunął się za nią i natychmiast zaczął ją pieścić. Limuzyna była ogromna, właściwie jeszcze nigdy nie mieli dla siebie tyle miejsca. Lilian, śmiejąc się, oddawała mu kolejne pocałunki.

– Zachowaj coś na noc poślubną! – drażniła go. – To już niedługo. Poczekamy do twoich urodzin tutaj, czy ruszamy do Auckland wcześniej?

Ben się przeraził, ale dostrzegł natychmiast możliwość przynajmniej chwilowej zwłoki.

– Lepiej poczekajmy. Bo... no, zanim się pobierzemy, to gdzie mielibyśmy mieszkać?

Lilian wrzuciła ramionami.

– Poszukamy takiego wynajmującego mieszkania, który nie będzie pytał o akt małżeństwa – oświadczyła praktycznie. – Nie będziemy przecież czekać.

Ben się zaczerwienił.

– Masz na myśli... my... eee... że zrobimy to, zanim...?

Lilian skinęła poważnie głową.

– Myślę, że tak. Już choćby przez ostrożność. Bo gdyby coś miało nie pasować i nie pójść tak, jak trzeba...

– Jak to, miałoby nie pasować? – spytał Ben zaskoczony.

Teraz z kolei zaczerwieniła się Lilian.

– No bo... tak jak to rozumiałam... to ma coś wspólnego z wkładaniem do środka.

Ben zmarszczył czoło.

– Ale sądzę, że to zawsze pasuje jedno do drugiego – stwierdził.

Lilian spojrzała na niego badawczo.

– A skąd wiesz? Już próbowałaś?

Jej mina oscylowała między nadzieją, że on będzie miał w tym względzie nieco doświadczenia, a gorzką myślą o niewierności.

Ben z oburzeniem potrząsnął głową.

– Oczywiście, że nie! Nigdy nie zrobiłbym tego z kim innym niż z tobą! Ale... – Znowu krew uderzyła mu do twarzy. – Ale inni chłopcy z college'u...

Lilian zrozumiała. Szkolni koledzy Bena byli o wiele starsi niż on. Wiedzieli też o wiele więcej.

– No dobrze – stwierdziła Lilian. – Ale z pewnością nie zaszkodzi spróbować. Masz przecież na to ochotę, prawda?

– Teraz? – spytał Ben. – Tutaj?

Pokusa była tuż-tuż. W aucie było przyjemnie, ciepło i o wiele przytulniej niż w stajni. Ale Lilian nieoczekiwanie postanowiła być rozsądna.
– Nie, teraz za wcześnie. W Auckland.

Ben całował ją coraz gwałtowniej. Myśl, aby spróbować teraz i tutaj, była coraz bardziej nieodparta.

– Ale wówczas może być za późno. Wtedy nie będziemy się mogli wycofać, jeśli coś nie będzie pasowało...

Lilian zastanawiała się przez chwilę. A potem pozwoliła mu, aby podciągnął do góry suknię i zaczął głaskać jej uda. Czegoś takiego nie robili jeszcze nigdy i to doznanie było o wiele mocniejsze niż uczucie szczęścia przy pocałunkach i dotykaniu jej piersi. Lilian wzdychała błogo.

– Na pewno będzie pasować... – wymruczała.

Florence Biller szalała z wściekłości. Znowu ten Greenwood! Znowu ta firma, która miała do dyspozycji nieograniczone ilości pieniędzy i inwestowała je w kopalnię Lambertów! I oczywiście było jasne, że na pomysł budowy koksowni wpadł nie kto inny, tylko Tim Lambert! Ona sama już to nawet kiedyś rozważała, ale potrzebowałaby biura inżynierskiego, aby wykonać dokładniejsze plany. Nie zrobiłaby tego też tak po cichu, bez rozgłosu, jak Lambert. Bez inwestorów także nic by z tego nie wyszło... Wszystko musiała robić sama, sama musiała też podejmować decyzje i było to doprawdy trudne i mozolne! A kiedy szukała inwestorów gdzieś dalej, to od razu pojawiały się wiadome przeszkody. Florence już niemal z rozpaczą marzyła o tym, aby być mężczyzną! Oczywiście liczyła na swoich synów. Sam doskonale już wyczuwał pewne sprawy, ale był jeszcze za mały. Za to Ben... Najstarszy syn stawał się coraz bardziej podobny do swego ojca. Już teraz był takim samym zniewieściałym nieudacznikiem jak Caleb. Kariera uniwersytecka! Czy coś takiego w ogóle można nazwać karierą? Caleb, pisząc swoje artykuły i prowadząc jakieś badania, ledwo zarabiał na własne utrzymanie, ale nie na życie, jakiego pragnęła Florence. Ale za to kopalnia kwitła. Tu właśnie były możliwości rozwinięcia interesu, tu można było zaryzykować i odważyć się na inwestycje, gdyby... A w ogóle gdzie właściwie był Ben? Florence rozglądała się gorączkowo, podczas kiedy inni goście tłoczyli się wokół Lamberta, Greenwooda i Gawaina, gratulowali im i zasypywali ich pytaniami.

A gdzie też była ta mała Lambert?

Florence szybko poszukała swojego okrycia. Musiała wyjść, wszystko jedno, czy po to, aby zaczerpnąć powietrza, czy też po to, aby odnaleźć Bena. Także dlatego, by nikt nie zauważył, jak bardzo była wściekła. Wiedziała, że zdenerwowanie niezbyt dobrze wpływało na jej cerę. Jej twarz była wtedy cała w czerwonych plamach, a zacisnięte usta wykrzywił grymas, nad którym nie potrafiła zapanować. Jednak strategia nakazywała jej się uśmiechać, a przede wszystkim złożyć gratulacje.

Po chwili Florence wyszła z hotelu. Sądziła, że zrobiła to niepostrzeżenie. George Greenwood zauważył to jednak kątem oka i dotknął lekko ramienia Elaine.

– Lainie? Zdaje się, że nasza kipiąca złością Mrs Biller szuka swojego syna.

Elaine stała z kieliszkiem szampana obok swego męża, uśmiechała się grzecznie i nudziła. Spojrzała na George'a nieco zirytowana.

– No i co z tego? Na pewno jest gdzieś niedaleko.

– A ty nikogo nie szukasz? – spytał George zagadkowo.

Elaine zrozumiała i wyraźnie wystraszona, nagłym ruchem chwyciła się za głowę.

– O nie... Czy ona coś mówiła, wuju George'u? Ach, wszystko jedno zresztą, idę jej poszukać. Zanim znajdzie ich Florence. Co ta dziewczyna sobie myśli...

Elaine ruszyła w stronę wyjścia, ale była bardziej ubawiona niż zaniepokojona. Zaledwie znalazła się na zewnątrz, zobaczyła, że Florence gwałtownym ruchem szarpnęła drzwi cadillaca i właśnie wywlekała stamtąd swojego syna.

– Wychodź stąd, ty... ty... Naszą firmę niedługo diabli wezmą, a ty zabawiasz się z tą małą dziwką!

– To nie tak, jak... jak myślisz! – jękał się Ben, upewniając się nieznacznie, czy miał zapięte spodnie. Lilian dopiero co próbowała mu rozpiąć guziki. – O, Mrs Lambert... – Ben właśnie dostrzegł Elaine za plecami matki i spróbował się uklonić, aby ją ułagodzić.

– Mamo, ja to wszystko wyjaśnię... Mrs Lambert... My się chcemy pobrać.

Elaine bez słów popatrzyła na córkę, która właśnie porządkowała swoje ubranie i próbowała wyjść z samochodu.

– Ma pani tu coś do powiedzenia?! – wrzasnęła Florence do Elaine. – Ta mała dziwka...

– Nie tym tonem, Florence! – zaatakowała ją Elaine. – Moja córka nie jest dziwką, choć nasze dzieci może nieco przekroczyły granice... hm, dobrych obyczajów. Wyjźdź, Lily. I popraw suknię. Może lepiej będzie, jeśli wyśle pani swojego syna do domu, Florence. Jest w naszym wspólnym interesie, aby nie doszło tu do skandalu. Lilian, umyj sobie twarz i natychmiast wracaj na salę! Florence, będziemy musiały pomówić z obojgiem trochę później. I może będziemy musiały też pomówić z sobą... – Elaine starała się zachować spokój.

– Pomówić? A o czym tu można jeszcze mówić? Ale to akurat do pani pasuje! Córka dziewczyny z baru! – Florence wprost pieniała się z wściekłości.

– No, to przecież pani nie ma żadnych oporów, aby iść do łóżka z tymi, którzy tylko mają na to ochotę! – nie wytrzymała Elaine. – Jeśli się nie mylę, moim mężem też się pani interesowała! Kaleka z kopalnią też jest przecież kimś obiecującym, prawda? Szkoda tylko, że głowa Tima zawsze dobrze funkcjonowała! Ale ostatecznie „ciepły braciszek” będący właścicielem kopalni to też niezła wygrana!

– Lainie, myślę, że już wystarczy. – Matthew Gawain z pobladałą twarzą wsunął się między obie kobiety. – A pani, Mrs Biller, proszę się także uspokoić, inaczej będzie pani jutro na językach całego miasta. I tak będziemy musieli ozłocić tego portiera z hotelu, aby milczał.

Lilian... Twój ojciec czeka na ciebie. A Mr Greenwood chciałby z tobą zatańczyć.

Elaine zagryzła wargi. Rzadko pozwalała sobie na taki brak opanowania. Zwykle łatwiej było ją onieśmielić. Ale nazwać Lilian „dziwką”, tego już było za wiele!

– No, aż tak bardzo się nie myliła, prawda? – grzmiał Tim Lambert. Było późno i z pewnością byłoby lepiej omówić sprawę Lilian i Bena następnego dnia. Do Tima też oczywiście coś dotarło, choć nie był świadkiem zajścia na dworze. Szeptanie George'a z Elaine, a potem z Matthew, przy czym on sam sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego. A potem wzburzenie na twarzy Elaine po jej powrocie, ślady łez na twarzy Lilian, zniknięcie Florence i Bena... Mąż Elaine nie był człowiekiem głupim. Mimo wszystko rodzina Lambertów starała się zachować kamienne twarze przez cały wieczór. I dopiero w domu Tim zaatakował Lilian.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to ten mały gówniarz podciągnął ci sukienkę do góry i...

– W ogóle nic się nie stało! – broniła się Lilian. – Tylko się trochę poprzytulaliśmy...

– A on trzymał ręce pod twoją sukienką?!

– Przecież my się chcemy pobrać!

Tim wzniosł oczy do nieba.

– To chyba nie może być prawdą! Co ja słyszę! Pobrać się! A ile wy macie lat!? Co za niesłychana bzdura! Twoja matka uważa, że to tylko głupie zadurzenie, ale teraz posunęłaś się za daleko! Żeby w moim aucie rozstawiać dla niego nogi!

Tim Lambert najchętniej po prostu sprawiłby córce lanie. Taki skandal, akurat tamtego wieczoru! Teraz Florence Biller tym bardziej będzie się starać rzucać mu kłody pod nogi. A przede wszystkim Lambertowie stracili kopalnię Billerów jako swego najważniejszego przyszłego klienta koksowni. Z całą pewnością Florence siedziała teraz nad planami i myślała o zbudowaniu własnej koksowni, nawet za cenę ruiny swojej firmy!

– Ja...

– Tim, bądź rozsądny. – Elaine pośpieszyła Lilian z pomocą. – Myślisz, że to jest słomiany ogień, który rozpałił się akurat dziś, a Lilian

zapewnia mnie, że tak nie jest – ta historia trwa już ponad dwa lata. Może oni oboje rzeczywiście do siebie pasują. Florence musi w końcu zrozumieć...

– Elaine nic nie musi. I my też nie. Pomijając jedynie to, że wydaje mi się konieczne, abyśmy Lilian gdzieś stąd wyprawili. Może do twoich rodziców, Lainie? Mogłaby pomagać w domu towarowym, ma zdolności w tym kierunku. A twój ojciec już jej dopilnuje. W końcu na twoim przykładzie rozumiał, do czego to prowadzi, jeśli pozwala się na wszystko ślepo zakochanym dziewczynom...

– A co to ma ze mną wspólnego? – oburzyła się Elaine.

Lilian szlochała. Znała mniej więcej historię pierwszego małżeństwa matki, choć Elaine mówiła o tym niechętnie. Z całą pewnością można było się pomylić w kwestii uczuć, jeśli się miało niewiele lat. Lilian doskonale to rozumiała. Ale ona sama teraz z pewnością się nie myliła!

– Ja kocham Bena! – zawołała heroicznie. – I nie pozwolę się nigdzie wysłać! Pobierzemy się i...

– Zamknij buzię! – krzyknął Tim.

– Właściwie mogłabyś już iść do łóżka – stwierdziła spokojnie Elaine. – Jutro jeszcze o tym porozmawiamy.

– Nie ma tu o czym rozmawiać! – skomentował Tim.

Lilian uciekała do swojego pokoju i zasnęła w końcu, płacząc, podczas kiedy jej rodzice kłócili się dalej. Coś takiego zdarzało się wyjątkowo rzadko i wydawało się, że tej nocy się nie pogodzą. Jednak się pogodzili – nad ranem, zasypiając jedno w ramionach drugiego. Nie słyszeli zupełnie uderzeń gradu kamyków, którymi Ben usiłował niezdarnie trafić w okno pokoju Lilian.

Lilian była bardziej czujna. Kiedy pierwszy kamyk trafił wreszcie w okno jej pokoju, a nie sypialni rodziców, otworzyła je. Natychmiast musiała się schować przed czymś, co rzeczywiście przypominało nieomal grad.

– Ostrożnie, ciszej! – wyszeptwała zdziwiona, ale i zachwycona sytuacją. – Nie zbudź moich rodziców!

– Muszę z tobą pomówić! – Ben mówił zduszonym głosem i nic nie wskazywało na to, że podzielała romantyczny nastrój Lilian. – Możesz zejść na dół?

Lilian narzuciła na siebie swój najładniejszy szlafrok, chociaż wiedziała, że zamarznie w nim niemal na śmierć. Ostry zielony kolor materiału podkreślał jeszcze barwę jej oczu. Żałowała tylko, że w ciemności nie będzie tego tak dobrze widać... Straciła ułamki sekund, przeglądając się w lustrze, i pobiegła na dół. Spotkała Bena w ogrodzie pod swoim oknem – chłopak przezornie schował się w krzakach.

– Miałaś kłopoty? – spytała, widząc jego zrozpaczoną twarz. – Bo mój ojciec mało nie pękł ze złości. Wyobraź sobie, że...

– Oni chcą mnie stąd gdzieś wysłać! – przerwał jej Ben. – A w każdym razie moja matka, ojciec prawie nie doszedł do głosu!

Lilian zachichotała.

– Mój też... Ja mam jechać do Queenstown. Ale oczywiście nie mam zamiaru tego zrobić...

– A ja na Wyspę Północną! – wyszeptał Ben. – Krewni moich rodziców mają tam kopalnię. I mam tam pracować, moja matka zdążyła już zadzwonić do wuja. W środku nocy, taka była wściekła! W tym musi być coś jeszcze, poza tym, że my...

Lilian przewróciła oczami. Ben znów nie był w stanie wykonać prostego rachunku typu: dwa dodać dwa. Opowiedziała mu przecież o koksowni i o planach publicznego ogłoszenia tego projektu wczorajszego wieczoru. Z całą pewnością także z tego powodu Florence Biller była taka wściekła.

– Nie może cię przecież do tego zmusić – powiedziała pocieszająco. – Powiedz jej po prostu, że nie jedziesz i już. Nie masz przecież ochoty pracować w biurze.

– Lily, ty nic nie rozumiesz! – Ben chwycił ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć, ale zamiast tego ukrył twarz w jej włosach. – Ja nie mam pracować w biurze, oni mnie wysyłają do kopalni! Mój wuj mówi, że u niego będę zaczynał wszystko od podstaw! I co najmniej kilka miesięcy mam pracować pod ziemią jako rębacz! Ponoć swoim synom też w ten sposób wybił z głów głupstwa.

– Ty masz być górnikiem pod ziemią? – spytała Lilian. Ben był dość nieporadny, jeśli chodziło o jakiegokolwiek uzdolnienia techniczne, i Lilian wiedziała o tym doskonale. Jego sukcesy w wiosłowaniu przypisywała raczej wyczuciu rytmu, którym był obdarzony, a umiejętności strategiczne – sile fizycznej.

– Nie potrafię tego robić, Lily! – skarżył się Ben. – I naprawdę chciałem jej to wytłumaczyć! I że nawet gdyby mnie miała zaciągnąć za włosy na prom, to i tak nie pojadę. Ale nie potrafiłem jej tego powiedzieć! Kiedy przed nią stoję, to sztywnięję ze strachu i nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa... no, podobnie zresztą jak mój ojciec.

Lilian objęła go czule.

– Ben, i tak przecież chcemy uciec.

Ben gwałtownie skinął głową.

– Dlatego tu jestem. Znikajmy stąd, Lily. Teraz, jedźmy porannym pociągiem.

Lilian zmarszczyła czoło.

– Ale poranny pociąg jedzie do Westport, Ben. Ten do Christchurch jest dopiero o jedenastej.

– Nie, nie tym! – zatriumfował Ben. – Z naszej kopalni jedzie transport węgla do Christchurch. O szóstej rano! Wagony już stoją, kolejarze podczepią je, kiedy tylko przyjedzie lokomotywa. Jeśli wleziemy na jeden z nich, nikt nic nie zauważy.

– I będziemy wyglądać jak marchewki dopiero co wyjęte z ziemi, kiedy dojedziemy do Christchurch – zauważyła trzeźwo Lilian.

– To wysiądziemy wcześniej i umyjemy się gdzieś po drodze... – Rozpaczliwy plan Bena odzwierciedlał stopień jego determinacji i odwagi.

Lilian natychmiast pomyślała nad jego ulepszeniem.

– Potrzebne nam są koce. Albo jeszcze lepsza byłaby plandeka, żebyśmy się nie pobrudzili pyłem węglowym. Tak całkiem się to nie uda, ale przynajmniej trochę. Macie coś takiego w kopalni? Na pewno. I powinniśmy włożyć najstarsze i najbrzydsze ubrania. Potem je wyrzucimy, kiedy przyjedziemy do Christchurch – i tak przecież wylądujemy na dworcu towarowym, prawda? Znajdzie się tam jakaś szopa czy coś podobnego, gdzie będziemy się mogli przebrać. Muszę się szybko spakować. A gdzie twoje rzeczy, Ben?

Ben patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

– Ben! Twój bagaż! Chciałeś uciekać tak jak stoisz? Bez żadnej odzieży na zmianę? A masz z sobą twój paszport?

Ben oczywiście nie był na tyle przezorny. Najwyraźniej wybiegł z domu w panice – a wobec tego teraz oboje musieli pojechać do miasta i wrócić do kopalni. Lilian westchnęła. Nie odważyłaby się pożyczyć auta. Ale piechotą po prostu nie zdążyliby do szóstej rano, a końmi... Wciągnięcie Bena na zad Vicky było pomysłem raczej beznadziejnym.

Sama Lilian poświęciła sprawie swojego bagażu w razie wielkiej ucieczki niejeden dzień, śniąc niemal na jawie. Teraz potrzebowała tylko kilku minut, aby pobiec do domu, włożyć starą domową sukienkę i jakiś nie mniej znoszony płaszcz oraz zapakować do torby kilka sztuk odzieży na zmianę. Także paszport miała już przygotowany. Była gotowa do wyjazdu w niecałe pół godziny. Nie oglądając się, jak najciszej zamknęła za sobą drzwi. Podekscytowana czekającą przygodą, zaprowadziła Bena do stajni, do której dobudowano garaż dla samochodu. Obok znajdowało się jeszcze małe mieszkanie, które należało do Roly'ego, ale na szczęście dla Lily, było ono od wielu miesięcy puste.

Dziewczyna włączyła silnik – przeraził ją jego hałas, który nocą wydał jej się wyjątkowo donośny. Oczywiście w domu ledwo było to słychać, ale jeśli ktoś nie spał...

Mary, służąca Lambertów, nocowała dziś u swojej rodziny w osiedlu górniczym. A Tim i Elaine spali tak, że w ogóle nie słyszeli gradu kamieni rzucanych w okna przez Bena. Powoli i tak cicho, jak to tylko było możliwe, Lilian wyjechała ciężkim samochodem z garażu.

– Zamknij bramę, Ben! Wtedy rano nie od razu zauważą, że nie ma samochodu... Nie, ten lewy zamek! Dobry Boże, czy ty nie potrafisz zamknąć bramy, nie przytrząskując sobie przy tym palców?!

Ben dmuchał na swój kciuk, kiedy Lilian wyjechała na ulicę, i drżał, pełen podziwu dla własnej odwagi.

– Mam jeszcze raz wejść do domu? A jeśli moi rodzice się obudzą?

– Mają za sobą ciężki dzień. Tylko nie upadnij gdzieś na schodach. Wejdz po prostu do środka, poszukaj swoich rzeczy i znikamy. A nie zapomnij o paszporcie!

Lilian spędziła bardzo niespokojne pół godziny, siedząc za kierownicą samochodu kilka ulic od domu Billerów. Oczami wyobraźni widziała kolejne komplikacje – było ich tysiące... Ale wreszcie Ben wsunął się na siedzenie obok niej.

– Mój ojciec... – mamrotał zdenerwowany. – Przyłapał mnie...

– Co takiego?! – spytała Lily. – To dlaczego jesteś tutaj? Czy ty... Ben, może go zabiłeś albo zastrzeliłeś czy co?

W książkach albo filmach zawsze przecież tak się to kończyło. Nawet jeśli Lilian w żadnym wypadku nie była skłonna przypisywać Benowi zdolności do jakichkolwiek aktów przemocy.

Ben potrząsnął głową.

– Nie, nie, on dał mi tylko to... – Chłopak wysupłał z kieszeni banknot studolarowy. – On... to było jakieś niesamowite i upiorne, bo ja... ja właśnie zbierałem swoje rzeczy, ale wiedziałem, że muszę iść po paszport do jego gabinetu. Wszedłem tam, a on... on tam był.

W ciemności... Z butelką whisky w ręku. Popatrzył na mnie i powiedział...

– Co powiedział? – spytała Lilian, sądząc, że Ben przytoczy poźegnalne słowa rozdzierające wprost serce i pełne łez.

– Powiedział: „wyjeżdżasz?”. A ja powiedziałem: „tak”. A wtedy on wyciągnął pieniądze z kieszeni i powiedział...

– Co powiedział? – Lilian powoli traciła cierpliwość. Spojrzała tylko, czy Ben ma z sobą torbę z rzeczami, i włączyła silnik.

– Powiedział: „więcej nie mam”. – Ben przełknął ślinę, wyraźnie przejęty.

– I co? – spytała Lilian.

– I nic – odparł Ben. – Wtedy wyszedłem. A prawda, powiedziałem jeszcze: „dziękuję”.

Lilian odetchnęła. Nie nadawało się to na dramat, ale bądź co bądź Ben wyszedł, i to nawet z czymś w rodzaju błogosławieństwa ojca. Ona sama wykorzystaby ten czas na to, aby poprosić Caleba o złożenie podpisu pod zgodą na zawarcie związku małżeńskiego. Ale dobrze, że Ben pomyślał choć o paszporcie.

– Wjedziemy samochodem do lasu, tam, obok waszej kopalni, wtedy go rano znajdą – stwierdziła. – Masz klucz do bramy czy będziemy musieli się na nią wspierać?

Ben miał klucz, a wagony też stały na torach zgodnie z tym, co mówił. Mieli jeszcze godzinę do przyjazdu lokomotywy, nikogo też nie było, Ben i Lilian mogli więc wykopać sobie w miarę komfortową kryjówkę w górze węgla na jednym z wagonów. Iluzją okazało się założenie, że się przy tym nie ubrudzą. Kiedy kilka godzin później oboje podnieśli plandekę – weszło już słońce, a pociąg dawno był w drodze – wyglądali jak górnicy wyjeżdżający z kopalni. Ben roześmiał się na widok umorusanej twarzy Lilian i pocałował ją prosto w zakurzony czubek nosa.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Lilian, patrząc na zapierającą dech panoramę Alp Południowych. Pociąg wjeżdżał właśnie na mały mostek, który wydawał się o wiele za delikatny w stosunku do wagi wagonów. Lilian wstrzymała oddech. Pod nimi rozpościerał się głęboki wąwóz, na którego dnie płynął górski potok. Za nimi wznosiły się strome szczyty, częściowo pokryte jeszcze śniegiem.

– W każdym razie daleko od zachodniego wybrzeża – odpowiedział Ben z ulgą. – Ciekawe, czy już nas szukają?

– Z pewnością – stwierdziła Lilian. – Pytanie raczej, czy już wiedzą, że pojechaliliśmy tym pociągiem. Jak na to wpadną, to złapią nas w Christchurch.

– Nie możemy wysiąść wcześniej? – spytał Ben.

Lilian wrzuciła ramionami.

– Normalnie tak, w Rolleston na przykład. To ostatni przystanek przed Christchurch. Ale czy tam zatrzyma się także pociąg towarowy? – Zastanawiała się przez chwilę. – Ale w każdym razie musi się zatrzymać przy Arthur's Pass. Albo przynajmniej musi tam bardzo powoli jechać, wtedy możemy zeskoczyć. I stamtąd pojedziemy pociągiem osobowym do Christchurch.

– I myślisz, że tamtego pociągu nie będą kontrolować? – Ben był pełen wątpliwości.

Lilian niecierpliwie przewróciła oczami.

– Z tamtego możemy wysiąść w Rolleston...

Arthur's Pass było górską, bardzo strumą drogą łączącą doliny Otira River i Bealey River. Zbudowanie połączenia kolejowego między nimi stanowiło przedsięwzięcie bardzo trudne, a przede wszystkim niebezpieczne, zwłaszcza że miejscami trzeba było się przebijając przez góry i budować tunele. Pociąg jechał tędy bardzo powoli, Lilian i Ben mogli więc bez trudu zeskoczyć. Ale zbocze opadające w dół tuż koło torów okazało się bardzo strome, dlatego oboje zczekali, aż w polu widzenia pojawił się dworzec. Pociąg zwolnił jeszcze bardziej, gwiżdżąc przeraźliwie, a Lilian odważnie wyrzuciła swoją torbę i skoczyła, kiedy niemal się zatrzymał. Ben poszedł w jej ślady i oboje poturlali się po zboczach. Teren był tutaj na potrzeby linii kolejowej wykarczowany, w pobliżu dworca rosły tylko krzewy. Dalej w kierunku Christchurch zaczynał się bukowy las tworzący kolejne kulisy wspaniałej panoramy między wschodnim a zachodnim wybrzeżem.

Lilian i Ben byli jednak zupełnie obojętni wobec urody rozciągającego się wokół krajobrazu. Ważniejsze było znalezienie rzeki, w której mogliby się chociaż trochę umyć. Okolice obfitowała w wodospady, szybko też znaleźli strumyk i śmiejąc się ze swej przygody, rozbili tymczasowy obóz. Woda okazała się co prawda lodowato zimna i mimo że dzień był słoneczny, dygotali oboje na samą myśl o myciu lub choćby tylko o przebieraniu. Arthur's Pass leżała znacznie wyżej niż Greymouth, a teraz, rankiem, widoczne były jeszcze ślady porannego przymrozku.

– Odważysz się na to, aby tam wskoczyć? – drażniła Lily Bena, ściągając pończochy, całkiem czarne od węglowego pyłu.

– Jak ty się na to odważysz... – Ben ściągnął przez głowę koszulę. Oczywiście nie pomyślał o tym, aby włożyć na podróż swoje najstarsze i najgorsze ubrania – koszula od garnituru była zupełnie zniszczona.

– Musiałabym się w tym celu rozebrać... – zauważyła Lilian i zanurzyła stopy w lodowatej wodzie.

– I tak musisz to zrobić. – Ben wskazał na jej torbę z ubraniami na zmianę.

– Ale nie całkiem... – Lilian spuściła oczy, udając zawstydzenie. – Ale zrobię to, jeśli ty się odważysz! – oświadczyła i zaczęła rozpinąć zabrudzoną sukienkę.

Ben prawie nie czuł zimna, kiedy patrzył, jak ona rozpina gorset. Po chwili zaprezentowała mu się tylko w jednej, bardzo cienkiej warstwie bielizny.

– Teraz ty! – powiedziała, błysnąwszy oczami.

Obserwowała zafascynowana, jak Ben ściągał spodnie.

– A więc tak wyglądasz – stwierdziła, kiedy stał przed nią zupełnie nagi. – Wyobrażałam sobie, że to jest większe.

Ben się zaczerwienił.

– To... zależy od pogody... – wymamrotał. – Teraz ty...

Lilian zmarszczyła czoło. Ale rozebrała się szybko, po czym natychmiast, trzęsąc się z zimna, narzuciła na siebie swój brudny płaszcz.

– Zaraz będziesz całkiem czarna... – stwierdził Ben i dodał: – Ale jesteś bardzo piękna!

Lily się roześmiała, choć była nieco zakłopotana.

– A ty jesteś całkiem wysmarowany! – zawołała. – Jazda, zaraz cię umyję!

Zamoczyła w wodzie halkę i rzuciła się na Bena. Po chwili oboje bawili się jak dzieci w lodowatej wodzie, opryskiwali się nawzajem i próbowali zmyć ze swych ciał węglowy pył. Lilian wprawdzie zabrała mydło, ale i tak nie było to proste. Pył był tłusty i dokładnie oblepiał

skórę; aby go zmyć, potrzebna była ciepła woda. Lilian na szczęście pomyślała o tym, aby schować włosy pod chustką. Ben musiał swoje umyć i bardzo przy tym zmarzł. Efekt też nie był zadowalający.

– W każdym razie wyglądasz teraz na starszego – zauważyła Lilian. – Zupełnie jakbyś wcześniej osiwiął.

Ben nie wytrzymał i roześmiał się. Rzadko dane mu było doznawać tyle radości, co w czasie tej zabawy w potoku na Arthur's Pass. Lilian także sprawiała wrażenie przeszczęśliwej.

– Ale ciągle jeszcze jestem dziewicą – powiedziała z wyrzutem. – I to pomimo tego, że się całkiem rozebrałam. Ale rzeczywiście było za zimno. To jak to robią Eskimosi?

W końcu oboje mieli na sobie czyste rzeczy, choć nadal trzęśli się z zimna. Ben nie pomyślał o jakimś ciepłym płaszczu, Lilian także zrezygnowała z jakiegoś okrycia na zmianę, bo jej torba była już za ciężka. Teraz tego żałowała. Ben próbował ogrzać ją w swoich ramionach, kiedy już wędrowali z powrotem na dworzec, aby poczekać w jego pobliżu na pociąg do Christchurch.

– A on na pewno się tutaj zatrzymuje? – spytał Ben.

Lilian skinęła głową, szcękając zębami.

– I mam nadzieję, że jest ogrzewany. Jesteśmy już dostatecznie blisko dworca. Tu możemy poczekać. – Wskazała na krzaki rosnące w pobliżu peronu i chciała usiąść na swojej torbie. Krzewy stanowiły dobrą osłonę.

– Tutaj? Czy nie musimy... to znaczy, przecież możemy iść na peron. Tam będziemy mogli kupić bilety i może jest tam poczekalnia...

– Ben – Lilian potarła ręką nasadę nosa. – Jeśli teraz wejdziemy sobie spacerkiem na peron i kupimy bilety, to kolejarz zapyta najpierw, skąd się tu wzięliśmy. I co mu powiemy? Że przyszliliśmy na piechotę przez Alpy? Albo że nas zrzucano z samolotu? Jesteś za uczciwy, Ben. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał zostać rozbójnikiem, aby nas wyżywić, jak ten Henry Martyn z piosenki. Umarlibyśmy wówczas z głodu...

– No to jak wyobraża to sobie miss kapitan piratów? – spytał Ben urażony. – Jakoś przecież musimy się dostać do pociągu.

Lilian zachichotała.

– Miss kapitan piratów jest naprawdę dobra! A jeśli chodzi o pociąg, to jest to bardzo proste. Ludzie tu często wysiadają, aby popatrzeć na widoki. I rozprostować nogi. Wejdziemy między nich i wsiądziemy do środka. Nie sądzę, żeby tutaj ktoś kontrolował bilety. Bo któż mógłby przemycać sam siebie wprost z tej dziczy?

I rzeczywiście było to wręcz śmiesznie proste – przemycić samych siebie do pociągu na Arthur's Pass. Największe niebezpieczeństwo stanowiła możliwość spotkania kogoś znajomego – Lambertowie i Billerowie znali w końcu niemal połowę mieszkańców Greymouth. Dlatego Lilian i Ben ominęli dużą grupę tych pasażerów, o których sądzili, że już ich gdzieś widzieli, i wylądowali w przedziale zajmowanym przez podróżnych z Christchurch. Szczególnie sympatyczne było pewne starsze małżeństwo, które nawet podzieliło się z Lilian i Benem swoim prowiantem.

– Wie pani, mój mąż jest górnikiem – paplała beztrudno Lilian, już choćby po to, aby wytłumaczyć rzekomą siwiznę jasnych włosów Bena.

– Ale to nie ma przyszłości... To znaczy, to oczywiście ma przyszłość, kopalnie są bardzo obciążone zamówieniami, już choćby z powodu wojny. My... ee... Lambertowie budują teraz koksonię, ale... to znaczy, my nie widzimy tam dla siebie przyszłości. Chcemy zacząć wszystko od nowa na Canterbury Plains... Może weźmiemy przedstawicielstwo firmy produkującej maszyny do szycia!

Elaine Lambert posiadała starą maszynę Singera, którą swego czasu sprzedał jej William Martyn, kiedy wciskał je wszystkim jako przedstawiciel firmy. Lilian dorastała z myślą, że sprzedaż maszyn jest bardziej lukratywnym zajęciem niż szycie na którejś z nich.

Ben chrząknął i próbował niepostrzeżenie dać Lilian jakiś znak.

Starsi państwo byli naprawdę pod wrażeniem, a starsza dama przytoczyła w odpowiedzi historię o tym, jak to kiedyś jako dziecko przyjechała do Christchurch i została adoptowana przez rodzinę piekarzy. Po latach wyszła za mąż za pewnego kawalera, a dziś firmę prowadził ich syn. Lilian słuchała uważnie, zadawała stosowne pytania i jadła pyszne pączki upieczone tego ranka w Greymouth. Tam z kolei mieszkała córka starszych państwa – która także poślubiła piekarza.

– Zawsze można sobie poradzić, jeśli ma się ręce chętne do pracy, młody człowieku! – oświadczyła starsza dama. – Mój zięć też zbudował wszystko z niczego na zachodnim wybrzeżu!

Ben znów chrząknął nerwowo, a dama troskliwie podsunęła mu kolejnego pączka.

I podczas kiedy Lilian radośnie paplała dalej, Ben rozmarzył się zupełnie – pochłonęły go cudowne widoki, jakie przesuwały się za oknem pociągu. Wspaniałe bukowe lasy, zielone brzegi rzek i dzikie zbocza górskie ustępowały powoli miejsca łagodniejszemu krajobrazowi pogórza, a potem rozległym łąkom Canterbury Plains.

Państwo Lauders jechali dalej, do Christchurch, a Lilian i Ben rzeczywiście wysiedli w Rolleston.

– Musiałaś tak gadać przez cały czas? – spytał Ben, kiedy już znaleźli się na peronie. – Ci ludzie zapamiętają nas doskonale!

– Tak, zapamiętają młode małżeństwo z górniczego osiedla – stwierdziła Lily beztrudno. – Chodź, Ben, kto będzie ich o cokolwiek pytał? Oczywiście jest bardzo prawdopodobne, że nasi rodzice już nas szukają. Albo George Greenwood. No, on na czymś takim się zna i potrafi znaleźć każdego. Ale myślisz, że na dworcu w Christchurch detektywi już będą przepytywać wszystkich podróżnych z pociągu? Teraz na pewno jeszcze nie. A później już nie będą w stanie do nich dotrzeć.

– Naprawdę bezpieczni będziemy dopiero w Auckland – powiedział zatroskany Ben.

– Każde duże miasto jest dobre. Chodź, przy odrobinie szczęścia dziś jeszcze będziemy siedzieć w pociągu do Blenheim.

Ale pozostała część podróży do Christchurch obfitowała w jeszcze więcej przygód. Chociaż kilku farmerów zabrało ich na swoje wozy, dotarli do Christchurch dopiero pod wieczór, kiedy już było właściwie ciemno. Ben optował za tym, aby znaleźć gdzieś jakiś pokój i przenocować, ale Lilian się wahała.

– Ben, ja już tu byłam. Mnie mógłby ktoś rozpoznać. Jeśli nie jako Lilian, to jako krewną babci Gwyn. W naszej rodzinie wszystkie jesteśmy dość podobne – oprócz Glorii. A to jest miasto George'a Greenwooda. Jak potem zaczniesz wypytywać ludzi, to trafi na nasz ślad.

– Cóż więc proponuje królowa piratów? – spytał Ben w wyraźnie złym humorze. Nie marzył już w czasie długiej drogi, którą częściowo odbyli pieszo, ale wiedział, że nocą z pewnością zrobi się zimno. Ben marzył o ciepłej wodzie do mycia i łóżku, wszystko jedno, z Lilian czy też bez. Był tak zmęczony, że nawet nie myślał o „tym”.

W końcu wylądowali oboje na dworcu towarowym i postanowili przespać się na ładunku owczych skór. Za drewnianą przegrodą stało stado krów czekające na dalszy transport, dzięki czemu było naprawdę ciepło, choć hałas oraz przenikliwa woń nawozu i moczu były nieco przykre.

– Wczoraj wyglądaliśmy jak Murzyni, a jutro będziemy śmierdzieć! – skarżył się Ben. – Co dalej?

Lilian przewróciła oczami i przytuliła się do jego ramienia.

– Ben, jest przecież tak romantycznie! To nasza historia miłosna! Pomyśl o Romeo i Julii!

– Oni się w końcu pozabijali – zauważył Ben bezlitośnie.

Lilian zachichotała.

– No widzisz, to my jesteśmy lepsi! – stwierdziła, po czym ziewnęła i zamknęła oczy.

Także tej nocy pozostała dziewicą i spała smacznie jak niewinne dziecko.

I rzeczywiście ludzie odsuwali się od Bena i Lilian następnego ranka, kiedy tylko oboje wsiedli do pociągu jadącego do Blenheim. Choć wcale nie z powodu woni krowiego nawozu, lecz raczej zapachu lanoliny zawartej w owczej wełnie, którą na długo nasiąkły ich ubrania. Lilian było to obojętne, bo dzięki temu miała więcej miejsca przy oknie. Odcinek z Christchurch do Blenheim nie był wprawdzie tak urokliwy jak droga przez Alpy, ale i tak było co oglądać. Za oknami ciągnęły się plaże z piaskiem białym niemal jak śnieg albo też fragmenty stromo opadających do morza klifów. Miejscowości, które mijał pociąg, były przeważnie małe i porównać je można było raczej z Haldon, a nie z Greymouth. Główną gałęzią gospodarki była tutaj hodowla owiec i dopiero kilka mil przed Blenheim pojawiły się też pierwsze winnice.

Ben i Lilian cieszyli się, że było ciepło i świeciło słońce. Klimat okolic Blenheim uchodził za najlepszy na całej Wyspie Południowej: padało tam znacznie rzadziej niż w Christchurch, nie mówiąc już o zachodnim wybrzeżu. Lilian, która była tam już z ojcem, opowiadała z zachwytem o różnorodnym świecie zwierząt i roślin.

– Może uda nam się zobaczyć wieloryby, kiedy będziemy płynąć promem! Kiedy byłam tu ostatnim razem, pojechaliśmy na cudowną wycieczkę łodzią wzdłuż wybrzeża. To było coś wspaniałego!

Ben nie omieszkiał zrobić przy tej okazji bardzo szczegółowego wykładu na temat flory Wyspy Południowej, podobnie jak w czasie swych studiów w Cambridge na zajęciach z biologii. Lilian zastanawiała się, czy inni studenci nudzili się wtedy tak, jak ona teraz. W końcu przestała zwracać uwagę na wygłaszane treści i pozwoliła, aby dźwięk głosu Bena ukołysał ją do snu. Ben musiał ją obudzić, kiedy pociąg wjechał na dworzec w Blenheim.

Podróż trwała prawie cały dzień i oboje byli zbyt zmęczeni, aby myśleć nad kolejnym manewrem mającym na celu skuteczne ukrycie się. Nie wysiedli z pociągu przed Blenheim i postanowili wynająć pokój w pensjonacie.

– Jutro i tak będziemy na promie, a więc to już wszystko jedno! – oświadczyła Lilian i przytuliła się do Bena, kiedy oboje wychodzili z dworca. – Nie wolno ci się tylko czerwienić, kiedy będziesz mnie przedstawiać jako Mrs Biller. Inaczej ludzie pomyślą, że coś kręcimy!

Oboje zdecydowali się w końcu na mały, ale bardzo porządny hotel. Nie było to zbyt tanie, lecz choć oboje o tym nie mówili, to każde z nich planowało spędzić tu „noc poślubną”. Ben wielkodusznie zapłacił za pokój pieniędzmi swojego ojca, co oczywiście spowodowało znaczne uszczuplenie całej sumy. Pomyślał, że jeśli doliczyć do tego bilety na prom i może kolejny nocleg w Wellington, jego majątek będzie na ukończeniu.

Lilian martwiła się o to mniej i wyszperała swoje zaoszczędzone pieniądze: aż około trzystu dolarów. Tim Lambert zawsze płacił córce za pracę w biurze – w przeciwieństwie do Florence Biller, która traktowała pracę Bena jako wkład w rodzinny majątek. I choć Lilian wydawała zarobione pieniądze na głupstwa typu wyjątkowo piękny papier listowy, perfumy, tomiki poezji i romantyczne powieści, to jednak sporo jej zostawało. Wszystko przechowywała pod swoim materacem.

– To mój posag! – oświadczyła dumnie. Ben pocałował ją i razem dokonali szczegółowej inspekcji czystego pokoju z szerokim małżeńskim łóżkiem i z łazienką, w której królowała ogromna wanna wspierająca się na czterech lwich łapach z brązu.

– Zmieścimy się tam oboje! – roześmiała się Lilian.

Ben znów się zaczerwienił.

– Nie wiem, czy to... czy to nie jest niestosowne – wystękał.

Lilian przewróciła oczami.

– Wszystko, co robimy, jest niestosowne. I już się raz rozebraliśmy. Nie ma różnicy między tym pokojem a Arthur's Pass – pomijając jedynie fakt, że tu mamy ciepłą wodę!

W trakcie wspólnego radosnego pluskania się w gorącej, perfumowanej wodzie znikły u obojga resztki wszelkich zahamowań. Nawzajem myli sobie włosy, mydlili ciała – i tym razem Lilian nie skarżyła się już, jeśli chodziło o wielkość organów płciowych Bena. Zanim jednak Ben naraził ją na niebezpieczeństwo utonięcia w trakcie rozdzwierczania, wyskoczyła z wanny i pobiegła do łóżka. Ben przed ponowną próbą zdążył osuszyć i ją, i siebie.

Ale po długiej grze wstępnej, głaskaniu i całowaniu żadne z nich właściwie nie wiedziało, co tak naprawdę należało zrobić, a Lilian skarżyła się natychmiast, kiedy cokolwiek przestawało sprawiać jej przyjemność. W końcu jednak akt miłosny jakoś doszedł do skutku, a odczuwana ekstaza pozwoliła jej zapomnieć o bólu. Ben oparł się na rękach i leżąc na niej, dumnie uniośł głowę w geście triumfu, jak sądził. A na koniec oboje śmiali się i płakali ze szczęścia, po czym przytulili się do siebie i znów zaczęli się pieścić.

– Tak miało być, prawda? – wyszeptła Lilian, kiedy wreszcie uwolnili się ze swych objęć. – Trochę krwi to przecież normalne. Tak w każdym razie mówiły dziewczyny w internacie. Dobrze tylko, że jutro wyjeżdżamy, zanim przyjdzie tu pokojówka, inaczej na pewno musielibyśmy zapłacić za prześcieradło. Słuchaj, jestem bardzo głodna! Zamówimy coś przez służbę?

W efekcie późnowieczornych przekąsek i wystawnego śniadania rankiem pozbyli się reszty majątku Bena, byli jednak zgodni co do tego, że przecież i tak zamierzali oszczędzić, nie urządzając zbyt kłopotliwego wesela. Na promie następnego dnia byli tak szczęśliwi, że właściwie mogliby przefrunąć do Wellington. I podczas kiedy prawie wszyscy pasażerowie cierpieli z powodu choroby morskiej, Lilian i Ben zaśmiewali się do rozpuku, zataczając się w trakcie spaceru po kołyszającym się pokładzie.

Dotarli w końcu do Wellington i natychmiast wsiedli do pociągu jadącego w kierunku Auckland. Lilian marzyła o wagonie z przedziałami sypialnymi, ale to naprawdę nadwerżyłoby ich budżet. Pierwszą noc podróży spała więc przytulona do ramienia Bena, a on nie ważył się nawet poruszyć. Nie mógł uwierzyć w cudowny prezent od losu, jakim była ta dziewczyna. I kiedy pociąg pędził w ciemności przez Wyspę Północną, układał w myślach kolejne strofy wierszy.

Po kolejnym dniu i kolejnej nocy w pociągu dotarli wreszcie do Auckland w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Nie opłacało się już szukać pokoju na ostatnie minuty mroku. Lilian zaproponowała zamiast tego, by udali się natychmiast na poszukiwanie mieszkania.

– Rozejrzyjcie się w zachodniej części miasta – poradził im sympatyczny kolejarz na dworcu. – O ile nie jesteście bogatsi, niż na to wyglądacie.

– A gdzie jest uniwersytet? – spytał Ben.

Po krótkim wyjaśnieniu, jakie usłyszeli od kolejarza, poszli najpierw na kampus uniwersytecki – byli zafascynowani ciepłym, łagodnym powietrzem i klimatem podzwrotnikowego miasta.

– Palmy! – dziwiła się Lilian. – I olbrzymie drzewa ukuri! Wszystko tutaj jest większe niż w domu!

Uniwersytet, który składał się tylko z kilku budynków, znajdował się przy Princess Street. Ben był trochę rozczarowany, mając w pamięci wspaniałe budowle uniwersytetu w Cambridge, ale przecież w zasadzie liczyło się tylko to, co było w środku. Zmęczeni i głodni, ale także

pełni radości z powodu pierwszych sukcesów ich przygody, spacerowali ulicami ciągnącymi się wokół kampusu i czekali, aż otworzą pierwszą herbaciarnię. Lilian postanowiła dowiedzieć się tam także o możliwość wynajęcia mieszkania.

– Jesteście studentami? – spytała w odpowiedzi młoda dziewczyna, która przyniosła im zamówione jajka i świeże pieczywo. – Bo wyglądacie bardzo młodo!

– Mój mąż był studentem w Cambridge – oświadczyła z dumą Lilian. – A jeśli chodzi o wiek, to pozory mylą. On był stypendystą Cambridge. Ale musieliśmy stamtąd wyjechać z powodu wojny, tam dookoła wybuchają bomby i w ogóle...

– W Cambridge? – spytała zdziwiona dziewczyna.

– No, może tam akurat nie – próbował ratować sytuację Ben. – Ale wszyscy są pod presją, żeby zgłosić się na ochotnika do wojska. Uniwersytet opustoszał, a niektóre części budynków zamieniono na lazarety i śmiesznie byłoby studiować tam teraz języki obce, kiedy naokoło świat się właściwie kończy.

Ben przeżył kilka pierwszych miesięcy wojny w Anglii i wiedział dobrze, o czym mówił. Dziewczyna skinęła głową ze zrozumieniem.

– A więc – anglistyka? Romanistyka? – dopytywała się. – Co prawda nie jesteśmy z tego znani, za to kwitnie nasz fakultet chemii. Sprawiała wrażenie kogoś, kto jest dobrze obeznany w uniwersyteckich realiach.

– Studia kultury maoryskiej – odparł Ben. – Lingwistyka porównawcza.

– I w ten sposób chcesz wyżywić rodzinę? – roześmiała się kelnerka i zmierzyła taksującym spojrzeniem delikatną figurę Lilian. – Naprawdę jesteście małżeństwem?

Ben się zaczerwienił, ale Lilian skinęła głową.

– I pilnie szukamy mieszkania. Albo przynajmniej pokoju.

– Spytajcie o to na uniwersytecie, jak się będziesz zapisywał – poradziła dziewczyna. – Albo po prostu pochodźcie po ulicach i popatrzcie, czy gdzieś nie wisi szyld: „wolne pokoje”.

Lilian najchętniej rozwiązałyby sprawę mieszkania w pierwszej kolejności, ale uświadomiła sobie, że może rzeczywiście lepiej będzie załatwić to poprzez uniwersytet. Siedzieli więc oboje w herbaciarni, czekając, aż biuro immatrykulacyjne będzie czynne, a potem z kolei Lilian cierpliwie czekała w biurze, kiedy Ben przedkładał kolejne dokumenty ze swoich studiów w Cambridge. Wyglądało na to, że będzie przyjęty z otwartymi ramionami; uniwersytet właśnie otwierał kolejne fakultety i jeden z nich miał się zajmować studiami kultury maoryskiej. Ktoś ze stopniem naukowym z Cambridge był więc bardzo mile widzianą osobą. Młodzi ludzie w biurze – najwyraźniej studenci, którzy tu sobie dorabiali – natychmiast zaopatrzyli Bena w listę docentów i profesorów, wcisnęli mu do ręki spis wykładów i poradzili, aby zjawił się raz jeszcze koło południa.

– Tak wcześnie ci panowie nie rozpoczynają żadnej pracy – powiedział jeden z nich do Bena, mrugając przy tym porozumiewawczo. – W starej, dobrej Anglii jest chyba podobnie, prawda?

Zanim jednak doszło do mniej lub bardziej akademickiej dyskusji na temat zwyczajów uniwersyteckich nauczycieli, do rozmowy włączyła się Lilian, pytając o możliwość znalezienia mieszkania. Była już śmiertelnie zmęczona, ale nie zamierzała rezygnować z choćby krótkiego powtórzenia nocy poślubnej przed pójściem spać. Dla zrealizowania tych potrzeb niezbędne było jednak łóżko.

– Mamy co prawda listę wynajmujących – powiedział z wahaniem jeden z młodych mężczyzn. – Ale to osoby prywatne, wynajmują pokoje głównie niezonatym mężczyznom. Kilka dam wynajmuje pokoje dziewczętom, jeśli mają one jakieś referencje. Ale małżeństwo?

Lilian wzięła jednak listę i w ciągu następnych kilku godzin oboje oblecieli wszystkie podane tam adresy. Bez sukcesu, zgodnie z obawami. Większość z oglądanych pokoi okazało się ciasnymi kłitkami i nawet nie zmieściliby się tam oboje. Nie mówiąc już o tym, że żaden z właścicieli nie był skłonny udostępnić swojego mieszkania rodzinie.

– Nie, nie, dzieci, jest was dwoje, ale za rok pojawi się potomek, o ile już nie jest w drodze! A ja na stare lata nie chcę służyć niemowlęcych wrzasków.

Zniechęceni wysłuchali takiego komentarza jedynej właścicielki mieszkania, której oferta w ogóle wchodziła w grę. Był to duży, jasny pokój naprzeciwko kampusu.

– Za rok pojawi się potomek? – spytała Lilian figlarnie, kiedy znaleźli się na ulicy.

Ben spojrzał na nią przerażony.

– To byłoby trochę za wcześnie, prawda?

Ale z drugiej strony nie miał pojęcia, jak można by tego uniknąć.

– To co teraz zrobimy? – spytał.

– Będziemy chodzić i szukać, tak jak poradziła nam ta dziewczyna. Ale najpierw musimy coś zjeść. Ta herbaciarnia była całkiem przyjemna. Może ich kelnerka będzie miała jeszcze jakiś inny pomysł.

Tu jednak mieli pecha. Nie było już dziewczyny, która obsługiwała ich rankiem, a zamiast niej w herbaciarni pracowała teraz starsza, niesympatyczna kobieta. Nie wiedziała nic na temat mieszkań do wynajęcia. Ale optymizmu Lilian nic nie było w stanie zachwiać. Za radą kolejarza udali się do zachodniej części miasta i zaczęli przeszukiwać jedną ulicę po drugiej. Nie była to uniwersytecka część miasta – mieszkali tu głównie rzemieślnicy i robotnicy, a nie studenci i nauczyciele akademicy. Pierwsze dwa mieszkania, które były do wynajęcia, znajdowały się nad stolarnią i piekarnią. Lilian pociekła ślinka, kiedy poczuła zapach świeżego chleba. Jednak gospodarze nie byli zbudowani faktem, że mieliby wynajmować mieszkanie młodej parze, która była bez pracy, miała za to ambitne marzenia.

– Jest pan studentem? To jak zamierza pan płacić czynsz?

Ten ostatni, jak na wyobrażenia Lilian, i tak był dość wysoki. Poszli więc dalej i znaleźli się w pobliżu dzielnicy portowej, w której było znacznie mniej tak schludnych domów, jak poprzednio. Wreszcie Lilian zauważyła szyld wiszący na wysmarowanych drzwiach jakiegoś pubu; wprost nad nimi znajdowało się mieszkanie, a właściwie duży pokój z aneksem kuchennym i toaletą na korytarzu.

– Wieczorami jest trochę głośno – przyznał właściciel. – I meble... No, musiałem wyrzucić ostatnich najemców. Taka hołota...

Meble były brudne, wysmarowane jakąś kleistą substancją, a w zlewie stały nieumyte naczynia ostatnich mieszkańców. Nie wyglądało to zachęcająco, a Ben skrzywił się z odrazą, kiedy zobaczył larwy much.

– To wstrętna dziura! Jak dla szczurów! – stwierdził, kiedy właściciel zszedł na dół do pubu, wygłaszając uprzednio uwagę:

– Obejrzyjcie sobie spokojnie, ale nie próbujcie czegoś zwędzić! – A doprawdy nie było tu niczego, co dałoby się zwędzić.

– Ale za to jest tania! – stwierdziła Lilian, co było prawdą, bo płacąc jej pieniędzmi, mogli tu mieszkać miesiącami. – Rzeczywiście naokoło mieszka półświatek, ale to jakoś pasuje do ciebie. W końcu jesteś poetą, artystą...

– Myślisz, że w czasie deszczu będzie się lało do środka? – Ben przypomniał sobie obraz Carla Spitzwega, przedstawiający biednego poetę pod parasolem na łóżku w nędznej kłitce.

Lilian się roześmiała.

– Chodź, to mieszkanie naprawdę ma niesamowitą atmosferę! Powinno cię zainspirować!

– To istna szcurza nora! – powtórzył Ben.

– Jak je starannie wysprzątam i kupimy kilka mebli, to wcale nie będzie tak źle! Jazda, nie znajdziemy nic innego! Zgódźmy się. Musimy jeszcze kupić łóżko...

Poplamiony materac i grożąca zawaleniem drewniana rama nie przekonała nawet Lilian.

Kilka godzin później pokój był jako tako posprzątany, a jego ściany na usilne prośby Bena obficie opryskane środkiem przeciwko robactwu. W sklepie, który polecił im ich nowy gospodarz, Lilian i Ben zakupili używane łóżko z toczonego drewna, które co prawda dawno

miało już za sobą lata świetności. I wreszcie mogli powtórzyć noc poślubną we własnym domu. Z pubu pod ich mieszkaniem dobiegał ogłuszający hałas – określenie „trochę głośno”, którego użył ich gospodarz, okazało się nader łagodne. Wychowywać tu dziecko – nie mogli zapomnieć zwrotu użytego przez właścicielkę mieszkania z Princess Street – to było zupełnie nie do pomyślenia.

Lilian i Ben doszli do wniosku, że w żadnym wypadku nie można zostawić tego własnemu biegowi, ale tej nocy nie użyli żadnych środków, aby czemukolwiek przeciwdziałać...

– Pytanie nie brzmi, czy możemy ich znaleźć, tylko czy chcemy ich znaleźć – stwierdził George Greenwood.

Przesłuchiwanie pasażerów kolei było zupełnie zbędne – zarówno jemu, jak i Lambertom udało się bez trudu trafić na ślad Bena i Lilian i podążyć nim aż do promu płynącego do Wellington. Jediną zagadką stanowił pierwszy etap ich podróży – Florence Biller potrzebowała prawie dwóch dni czasu, zanim zdecydowała się na współpracę, dzięki której ustalono rolę transportu węgla z kopalni. W Christchurch sprzedawca biletów szybko przypomniał sobie Bena, a w Blenheim było to jeszcze łatwiejsze. Tim Lambert wprost nie posiadał się z oburzenia, kiedy dowiedział się o ich noclegu w Blenheim. Elaine zniosła to spokojnie.

– Kochanie, można się było tego spodziewać. A teraz Wyspa Północna... Billerowie powinni się o tym dowiedzieć. Może moglibyśmy się spotkać w jakimś neutralnym miejscu?

Biuro Tima Lamberta nie było może zbyt neutralnym miejscem, ale spotkanie tam było wszystkim, do czego można było skłonić Billerów.

– Prawdopodobnie Florence i tak już wie o wszystkim. Sama może uzyskać informację o tym, co ustaliliśmy!

Ale nie przyszło jej to tak łatwo jak George'owi Greenwoodowi, który miał przedstawicielstwa swojej firmy praktycznie w każdym mieście w Nowej Zelandii. Co prawda okazało się, że Billerowie właściwie nic w tej kwestii nie zrobili. Florence wydawała się zdecydowana zapomnieć o swym nieposłusznym najstarszym synu. Na zaproszenie Tima na spotkaniu zjawiał się tylko Caleb.

– Jestem przekonany, że mój syn nie żywi żadnych niehonorowych zamiarów wobec Lilian – oświadczył Elaine lekko zawstydzony, kiedy już wymienili pozdrowienia.

Tim wydał z siebie pełne irytacji prychnięcie.

– Jestem przekonana, że nie potrzebował używać siły, aby zabrać z sobą moją córkę – uśmiechnęła się Elaine. – Bądźmy obiektywni, Caleb. Nie mamy sobie nawzajem nic do zarzucenia. Pytanie tylko, co robimy dalej.

George Greenwood skinął głową i dodał:

– A jak mówiłem, możemy ich bez trudu wyśledzić. Oboje są na Wyspie Północnej i możemy założyć, że osiedlili się w jakimś dużym mieście. Prawdopodobnie mieście uniwersyteckim; w końcu raczej nie możemy zakładać, że pana syn najął się do pracy jako pasterz albo że haruje jako górnik rębacz. Prawda, panie Biller?

Caleb potrząsnął głową.

– Z tego powodu właśnie uciekł – stwierdził z zaciśniętymi zębami. – To w pewnym sensie także nasza wina...

Elaine poczuła potrzebę, aby go pocieszyć.

– A więc Wellington albo Auckland – stwierdziła.

Greenwood skinął głową.

– Jeśli chcecie ich znaleźć, sugeruję zatrudnienie prywatnego detektywa...

– Co to znaczy: jeśli? – spytał Tim. – Oczywiście sprowadzimy ich z powrotem, przecież to są jeszcze dzieci!

– Jeśli to potrwa kilka tygodni, to prawdopodobnie się pobiorą – stwierdziła Elaine. – O ile już tego nie zrobili. Znając Lilian, mogą się spodziewać, że sfalszowała datę urodzin Bena.

– Ależ to są urojenia! – rozżościł się Tim. – Słomiany ogień! Coś takiego nie będzie trwało całe życie!

Elaine zmarszczyła czoło.

– Byłam niewiele starsza, kiedy przyjechałam do Greymouth. Jakoś ci to nie przeszkadzało.

– Proszę cię, Lainie, oni mają po szesnaście i siedemnaście lat!

– Pierwsza miłość czasami może być bardzo gwałtowna. – George Greenwood uśmiechnął się melancholijnie. Wiedział o tym dobrze, w końcu jego życie już jako szesnastolatka ukształtował ów słomiany ogień pierwszej miłości do własnej nauczycielki Helen Davenport. I to troska o jej los kazała mu przyjechać do Nowej Zelandii, gdzie w końcu zakochał się nie tylko w kraju, ale także w swej przyszłej żonie Elizabeth.

– Małżeństwo można anulować – upierał się Tim.

– I co potem? – spytała Elaine. – Wyślemy Lilian do Queenstown, aby ją tam zamurować, a Ben wyląduje w kopalni? To nierealne. Tim, bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie jest Lilian i co robi. Ale najlepsze, co możemy zrobić, to zostawić ich w spokoju. Niech spróbują stanąć na własnych nogach, to im nie zaszkodzi. Są rozpieszczeni i nie doprowadzą się do ostateczności. Jak im będzie źle, to wrócą.

– Lilian może być w ciąży! – przypomniał Tim.

Caleb się zaczerwienił.

– Może już jest w ciąży – stwierdziła Lainie. – Więc tym lepiej, jeśli się chociaż pobiorą. Popatrz na to tak, Tim: ich dziecko będzie dziedzicem kopalni Billerów! Czy przychodzi ci do głowy coś, czym mógłbyś bardziej rozżościć Florence?

Tego samego dnia w Urzędzie Stanu Cywilnego w Auckland Lilian Helen Lambert i Benjamin Marvin Biller zawarli związek małżeński. Oświadczenia ich rodziców były sfalszowane, podobnie jak data urodzin Bena w jego dowodzie. Lilian zaczerpnęła ten pomysł z przygód Sherlocka Holmesa, a może z jakiejś innej powieści, które z zachwytem czytywała przez całe swoje życie. Dzięki kilku delikatnym pociągnięciom pióra Ben miał siedemnaście lat. Zgoda na zawarcie związku małżeńskiego Tima Lamberta zyskała szczególny wymiar autentyczności w efekcie użycia jego oryginalnego papieru listowego. Kartka, którą zabrała z sobą Lily, była wprawdzie nieco pognieciona, ale urzędnik stanu cywilnego nie zadawał żadnych zbędnych pytań.

– Miss Gwyn, co się dzieje z młodą Miss Gloria?

Maaka bez wątpienia długo się wahał, ale w końcu odważył się zadać to pytanie Gwyneirze. A ona, prawdę mówiąc, już od dawna się z tym liczyła.

– Wszyscy jesteśmy dla niej mili, ale ona jest po prostu szorstka i opryskliwa. Dziś myślałem już, że pobije Franka. A on tylko chciał jej pomóc wsiąść na konia.

Gwyneira spodziewała się czegoś podobnego, kiedy zobaczyła Głorię wyjeżdżającą na koniu spod stajni – o wiele za szybko dla jeszcze nierozgranego konia. Zupełnie jakby goniły ją furie. Oczywiście Ceredwen, czarnej klaczy, którą wyszukała sobie dziewczyna, wcale nie trzeba było popędzać. Ceredwen była koniem trudnym i bardzo żywym, a Gloria nie dorastała do jej temperamentu. Po tak długim okresie niejeżdżenia Gwyneira nigdy nie radziłaby swojej prawnuczce, aby wsiadła na tę właśnie klacz, ale Gloria puszczała mimo uszu wszystkie zalecenia i propozycje. Frank Wilkenson cierpiał z tego powodu najbardziej, może dlatego, że szczególnie troszczył się o dziewczynę. Gwyn miała wręcz wrażenie, że jest w Głorii trochę zakochany – i że Gloria nie ma pojęcia, co ma wobec tego robić. A przecież Wilkenson nie był w ogóle natrętny, wydawało się nawet, że woli ubóstwiać dziewczynę z daleka. Do szczęścia wystarczyłby mu w zupełności jakiś uśmiech lub też nieodrzućanie którejś z tak licznie oferowanych przez niego usług. Ale Gloria traktowała go nieuprzejmie i zgodnie z tym, co mówił Maaka, dziś nawet podniosła palcat, jak gdyby chciała go uderzyć. I to bez żadnego powodu – jeśli tak będzie dalej, młody mężczyzna się obrazi i z pewnością zrezygnuje z pracy. Gwyneira straci wówczas dobrego pracownika.

Pozostali pasterze, głównie Maorysi, mieli znacznie mniej problemów z młodą panią. Ale trzymali się od niej z daleka, zwłaszcza po tym, kiedy Gloria ostro zbesztala kilku z nich. Franka coś takiego wręcz zachęciło – prawdopodobnie sądził, że dziewczyna chce, aby ją zdobywał. Gwyn westchnęła.

– Nie wiem, Maaka – odpowiedziała po dłuższej chwili. – W domu też zachowuje się podobnie. A przecież Kiri i Moana chciałyby jej dogodzić. Ale uświadom Frankowi, że ona podchodzi do tego poważnie. I jeśli Gloria nie ma ochoty flirtować, to on musi to zaakceptować.

Maaka skinął głową na znak zgody. Pogodzenie się z taką sytuacją przychodziło maoryskim mężczyznom o wiele łatwiej niż *pakeha* i zgodnie z ich tradycją dziewczętom przysługiwało prawo wyboru zalotnika.

– Jak ona sobie radzi z owcami? – Gwyneira właściwie nie chciała omawiać ze swoim brygadzystą problemów Głorii, ale nie po raz pierwszy prowadziła tego rodzaju rozmowę z Maaką i teraz bardzo ją interesowało jego zdanie. Gloria od pewnego czasu znów brała udział w pracach na farmie. Mając Nimue, dysponowała przecież znakomitym psem pasterskim, a praca ze zwierzętami zawsze sprawiała jej przyjemność.

Maaka wzruszył ramionami.

– Miss Gwyn, cóż ja mogę powiedzieć? Ona oczywiście nie ma zbyt dużego doświadczenia. Nie byłoby źle, gdyby popracowała z owcami, Nimue wprost czyta jej rozkazy z oczu, a Gloria ma talent, jeśli chodzi o obchodzenie się ze zwierzętami. Zawsze miała, podobnie jak Mr Jack... Czy ma pani jakieś wieści od niego?

Maaka próbował zmienić temat.

Ale Gwyn tylko potrząsnęła głową.

– Ciągłe nic nowego. Tylko ta krótka notatka sprzed kilku miesięcy, że został ranny w czasie bitwy pod Gallipoli. I to po moich trzech zapytaniach wysłanych do dowództwa! Gallipoli to dla nich zdaje się żaden temat. I pewnie rozpędzili tam żołnierzy ANZAC na cztery wiatry. Będziemy musieli poczekać, aż Jack sam napisze. Albo... – Urwała nagle. Równie dobrze mogła otrzymać spóźnioną wiadomość o tym, że został ranny, jak też list z kondolencjami. Gwyneira próbowała o tym nie myśleć.

– Co jeszcze chciałeś powiedzieć o Głorii? – zwróciła się do brygadzysty.

Maaka westchnął głośno.

– Ona znakomicie potrafi się obchodzić ze zwierzętami, Miss Gwyn. Ale nie z ludźmi. Nikogo nie słucha, izoluje się od wszystkich. A przecież powinna rozumieć, że musimy pracować w zespole, zwłaszcza jeśli chodzi o bydło. Nie jest przecież głupia. Ale mam wrażenie, że ona tego nie potrafi. Marama mówi...

– Co mówi Marama? – spytała Gwyn.

– Marama mówi, że to jest tak, jak ze śpiewem. Tak jak wtedy, kiedy wszyscy trafiają we właściwy ton, ale komuś... Komuś nagle brakuje powietrza. I wydaje mu się, że się udusi. A jeśli już odzyska oddech, to może tylko krzyżeć.

Gwyneira się zastanowiła.

– Czy powinnam to zrozumieć właśnie teraz? – spytała.

Maaka wzruszył ramionami.

– Zna pani Maramę...

Gwyn skinęła głową. Jej synowa była bardzo bystra, ale często mówiła zagadkami.

– A więc dobrze, Maaka. Porozmawiaj z Frankiem. Powinien być bardziej powściągliwy. I zatrudnij Głorię przy owcach i psach, tu wszystko powinno być w porządku. Ach, prawda... Pokryj ogierem tę małą klaczkę, pony Głorii. Princess...

Gloria galopowała na Ceredwen, aż zarówno jej samej, jak i koniowi zaczęło brakować tchu. Nimue biegła za nimi z wywieszonym językiem. Zwykle Gloria miała na uwadze sukę, ale tego dnia chciała uciec, i to jak najszybciej. Wiedziała, że zareagowała przesadnie; nie wolno jej było próbować uderzyć Franka Wilkensona. Ale kiedy on chwycił cugle Ceredwen i przytrzymał strzemień, coś w niej eksplodowało. Wszystko przed jej oczami zrobiło się czerwone – jedyne, czego pragnęła w tej chwili, to się uwolnić. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy, ale dotychczas taka błyskawiczna, instynktowna reakcja była zawsze wskazana. Kiedy mężczyźni widzieli wściekłość w jej oczach, a potem sztylet w jej rękach, zawsze zostawiali ją w spokoju. Jednak na Kiward Station mogła mieć z tego powodu kłopoty – możliwe, że Maaka już rozmawiał z babcią Gwyn.

Gloria miała niejasne poczucie winy, potem jednak znów ogarnął ją gniew. Babcia Gwyn nie mogła jej nic zrobić. Gloria nie pozwoli się związać ani zakneblować, nie pozwoli się też nigdzie wysłać. A poza tym nic nie wskazywało na to, aby Kura i William bardziej niż zwykle interesowali się jej losem. Cały czas byli w Ameryce, teraz znów w Nowym Jorku, i występowali ze swoim show na Broadwayu. Niezbyt się przejęli faktem, że Gloria się odnalazła, co z kolei było powodem nieskrywanej ulgi babci Gwyn.

Nic też nie wskazywało na to, że Kura zamierza sprzedać farmę. Martynowie byli szczęśliwi w Nowym Świecie i pływali w pieniądzech. Babcia Gwyn nie będzie z pewnością wywoływać wilka z lasu i skarżyć się na swoją prawnuczkę. Gloria czuła swoją władzę i siłę: była

przecież dziedziczką. Mogła robić, co tylko chciała!

A teraz właściwie chciała tylko zapędzić kilka owiec macierek na zimowe pastwisko, ale zapomniała o zwierzętach w efekcie konfliktu z Frankiem. Nie miało sensu zawracać. To już lepiej było skontrolować najdalej położone łąki farmy albo pojechać do Kręgu Kamiennych Wojowników. Była tam tylko raz od chwili swojego powrotu, aby odwiedzić grób dziadka Jamesa. Ale wówczas towarzyszyła jej Gwyneira i Gloria niemal czuła na sobie jej wzrok. Czy Gwyneira rzeczywiście musiała w kółko krytykować jej dosiad na koniu i trzymanie cugli? Czy musiała patrzeć na nią badawczo i z dezaprobatą, kiedy Gloria nie płakała przy grobie jej męża? Gloria ciągle walczyła z własnym brakiem pewności siebie, kiedy była z Gwyneirą, i właściwie nie było nikogo na Kiward Station, przy kim poczułaby się i bezpiecznie, i pewnie. Maaka chciał jej wyjaśnić, jak się zapędza bydło, a Frank Wilkenson uważał, że wie lepiej, jaki koń się dla niej nadaje... Wszyscy bez przerwy jej się czepiali... Zupełnie jak w Oaks Garden... I nikomu nie mogła dogodzić...

Wściekła i pełna ponurych myśli, Gloria dotarła do skalnych formacji na płaskowyżu, które przypominały trochę nieposprzątaną pokój zabaw jakiegoś olbrzyma. Olbrzymie skalne bloki tworzyły krąg porównywalny z menhirami ze Stonehenge. Ale tu wszystko było wynikiem działania natury, a nie ludzkiej ręki. Maorysi widzieli w Kręgu Kamiennych Wojowników boski kaprys, ta okolica była dla nich święta. Poza określonymi dniami i godzinami starali się unikać tych miejsc, które uchodziły za *tapu*. Krąg Kamiennych Wojowników należał do duchów – o ile nie zjawiali się tam jacyś *pakeha* i nie zakłócali ich spokoju. Duchy, zgodnie z narzekaniami dziadka Jamesa, nie miały tego nikomu za złe, tak jak wódz Tonga, który zwykle bardzo się denerwował, jeśli przypadkowo kilka owiec zabłądziło w okolice świętych miejsc jego ludu.

Dlatego Gloria była teraz tym bardziej zaskoczona, dostrzegłszy dym wznoszący się w górę pośród skalnych formacji. Kiedy podjechała bliżej, zobaczyła niewielkie ognisko, przy którym siedział młody Maorys.

– Co ty tu robisz? – zaatakowała go.

Młody mężczyzna wydawał się budzić z głębokiej medytacji. Odwrócił się po chwili w jej stronę, a ona się przeraziła. Twarz Maorysa pokryta była tradycyjnymi tatuażami *moko*. Linie tatuażu zaczynały się pod nosem, ciągnęły się przez policzki aż ponad brwi, a także wzdłuż szczęki. Gloria знаła ten rodzaj tatuażu, Tamatea malowała w ten sposób co wieczór tancerzy Kury, także Marama i jej ludzie malowali sobie pędzelkami na twarzy *moko* przed wykonywaniem tańca *haka*. Wszyscy tańczący ubrani byli w tradycyjne stroje – spódniczki wykonane z liści. Ten chłopak jednak miał na sobie džinsy i flanelową koszulę, podobnie jak robotnicy na farmie. Na wierzch miał jeszcze narzuconą mocno znoszoną skórzaną kurtkę.

– Ty jesteś Wiremu... – powiedziała Gloria.

Mężczyzna skinął głową, nie dziwiąc się w ogóle, że go rozpoznała. Syn wodza miał na czole wytatuowane swoje imię. Nikt z jego pokolenia nie był wytatuowany. Po przybyciu *pakeha* Maorysi z Wyspy Południowej bardzo szybko zerwali z tą tradycją. Chętnie i bardzo szybko dostosowali się do sposobu ubierania się i wyglądu białych ludzi, także po to, aby móc zakosztować wyższego standardu ich życia. Życie na Te Waka a Maui zawsze było ciężkie, pragmatyczni pierwotni mieszkańcy łatwo rezygnowali ze starych zwyczajów, które budziły przerażenie wśród *pakeha*, i zamieniali je na możliwość pracy na farmach, otrzymania nasion i jedzenia oraz na ciepłe chaty. Bardzo chętnie podejmowali też naukę – ojciec Tongi przywiązywał wielką wagę do tego, aby jego syn uczęszczał do szkoły prowadzonej przez Helen O'Keefe. Sam Tonga upierał się jednak przy tym, aby pozostać Maorysem. Będąc w silnej opozycji wobec Wardenów, kazał sobie, już jako dorosły człowiek, wytatuować na twarzy znak swojego szczepu. Podobnie postąpił ze swoim najmłodszym synem, kiedy ten był jeszcze dzieckiem.

Wiremu dorzucił do ogniska kolejny kawałek drewna.

– Nie wolno ci tutaj palić ognia! – oświadczyła Gloria. – To miejsce jest *tapu*!

Wiremu potrząsnął głową.

– Nie wolno mi tutaj niczego jeść – poprawił. – Gdybym chciał zostać tu dłużej, musiałbym głodować. Ale nikt nie zmusi mnie do tego, abym marzył w czasie rozmowy z duchami.

Gloria robiła wszystko, aby jej twarz nadal była zagniewana, ale nie mogła się powstrzymać wobec tych słów – uśmiechnęła się. Wprowadziła swojego konia do kręgu i była wdzięczna, że Wiremu zrezygnował z zamiaru dyskusji z duchami. Nie była zupełnie pewna, czy *tapu* zezwalało na obecność jeźdźca.

– Czy nie chciałeś wyjechać, aby podjąć studia na jakimś uniwersytecie? – spytała. Pamiętała niejasno, że babcia Gwyn w którymś liście pisała o tym, że Wiremu uczęszczał do Highschool w Christchurch i miał zamiar kontynuować naukę w Christ College albo na uniwersytecie w Dunedin. W szkole miał bardzo dobre oceny i przynajmniej uniwersytet w Dunedin nie broniłby się przed przyjęciem syna wodza w szeregi studentów.

Wiremu skinął głową.

– Byłem w Dunedin – odpowiedział.

– I co? – spytała Gloria.

– Przerwałem naukę. – Wiremu pozornie przypadkowo dotknął ręką swoich tatuaży.

Gloria już nie pytała. Wiedziała, co czuł ktoś, na kogo się bez przerwy gapiono. Nie miało znaczenia, czy było tak z powodu braku podobieństwa do matki, czy też dlatego, że czyjś wygląd nie odbiegał za bardzo od obrazu jego własnego ludu.

– I co teraz robisz? – spytała.

Wiremu wzruszył ramionami.

– Nic takiego. Poluję. Łowię ryby. Pracuję nad moim *mana*.

Mana maoryskiego mężczyzny oznaczało jego wpływ i poważanie, jakie miał w szczepie. Jeśli Wiremu wyróżniał się nie tylko dzięki swojej mądrości, lecz także cnotom wojownika, myśliwego, a także kogoś, kto potrafił opowiadać dawne historie, mógł zostać wodzem. I nieważne było, czy był najstarszym, czy też najmłodszym synem wodza. Nawet dziewczyna mogła stanąć na czele szczepu, co jednak zdarzało się rzadko. Większość kobiet u Maorysów – podobnie jak u *pakeha* – miała raczej swą władzę „poza tronem”.

Glorii przemknęła przez głowę myśl, że u Maorysów właściwie wszystko było prostsze. Aż do chwili przybycia pierwszych *pakeha* nie znali pojęcia własności ziemi – a jeśli coś nie należało do nikogo, to nie można też było tego dostać w spadku. Także kobiety nie były niczyją własnością; nie można ich było nabyć ani też sprzedać. Dzieci należały do całego szczepu, nazywały każdą młodą kobietę matką, a każdą starszą *taua* – babcią. I wszyscy je kochali.

Ale to nie uchroniło Wiremu przed naznaczeniem go przez własnego ojca.

– Ty jesteś Gloria – powiedział Wiremu. Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. – Bawiliśmy się razem jako dzieci. – Roześmiał się. –

A mój ojciec najchętniej by nas pozenił.

Gloria zerknęła na niego rozeźlona.

– Ja nie wyjdę za mąż za nikogo – oświadczyła.

Wiremu znów się roześmiał.

– To bardzo rozczaruje Tongę. Dobrze, że nie jesteś jego córką. Inaczej znalazłby jakieś *tapu*, które kazałoby stanąć córce wodza u boku jakiegoś syna wodza. Jest całe mnóstwo *tapu*, jeśli chodzi o córki wodzów.

Gloria westchnęła.

– U *pakeha* też tak jest... – mruknęła. – Choć co prawda to się tak nie nazywa. I wcale nie potrzeba od razu być księżniczką.

– Wystarczy, jeśli się jest dziedziczką – zauważył Wiremu przenikliwie. – Jaka jest Ameryka? – spytał.

Gloria wzruszyła ramionami.

- Wielka – odpowiedziała niechętnie.
- Wydawało się, że Wiremu zadowolili się tą odpowiedzią. Gloria była wdzięczna, że nie pytał o Australię.
- Czy to prawda, że tam wszyscy są sobie równi? – spytał.
- To ma być dowcip?
- Wiremu się uśmiechnął.
- Nie chcesz zsiąść wreszcie z tego konia?
- Nie.
- To *tapu*?
- Gloria się uśmiechnęła.

Następnego dnia Wiremu czekał przy płocie zimowego pastwiska. Ludzie Gwyneiry dopiero niedawno ogrodzili wybieg, na razie prowizorycznie, używając do tego kolczastego drutu. Owce miały się paść na trawie, która tu, w miejscu chronionym przez skały, była bardzo wysoka, ale nie mogły zadeptywać rozciągających się naokoło łąk.

Gloria użyła Nimue i Gerry, drugiego psa pasterskiego, do zapędzenia owiec maciorek do corralu, a potem skierowała Ceredwen w stronę Wiremu.

- Co tu robisz? – spytała znowu, ale tym razem nieco łagodniej.
- Kontroluję *tapu*. Poważnie, choć jest to dla mnie nieprzyjemne. Już pewnie uwierzyłaś, że jestem czarownikiem szczepu. Ale to mój ojciec mnie tu wysłał, abym zobaczył, czy trzymacie się w wyznaczonych granicach.

Gloria zmarszczyła czoło.

- Czy potok nie wyznacza tej granicy? Myślałam, że dopiero za nim zaczyna się O’Keefe Station.

Dawna farma Helen O’Keefe została oddana szczepowi Maorysów jako swego rodzaju wyrównanie spornych kwestii przy zakupie Kiward Station.

- Ale tu, w tym zakątku, mój ojciec znalazł jakąś świętość czy coś takiego. Kiedyś, dawno temu, walczyło tu kilku wojowników. Połała się krew, a to uświęca ziemię. Ojciec jest zdania, że powinniście to respektować.

- Zgodnie z tym, co mówi twój ojciec, to cała Nowa Zelandia jest *tapu*! – rozłożyła się Gloria.

Wiremu uśmiechnął się szeroko.

- On właśnie tak to widzi.

Na twarzy Glorii także pojawił się uśmiech.

- Ale w takim razie nigdzie nie wolno by wam było czegokolwiek jeść! – stwierdziła.

– *Touché* – Wiremu użył tego francuskiego słowa, jak gdyby to było oczywiste. W jego college’u z pewnością uczono lepiej niż w szkole w Oaks Garden. – Powinnaś mu podsunąć ten sposób myślenia. Chodź ze mną do wsi, Gloria, Marama i tak ciągle płacze, że ją za rzadko odwiedzasz. Złowiłem kilka ryb. W potoku zupełnie wolnym od wszelkiego *tapu*. Możemy je upiec i... czy ja wiem... porozmawiać o różnych *tapu* w Anglii? – Uśmiechnął się zapraszająco.

Gloria poczuła, że jest w opałach. Także Gwyneira mówiła jej, aby odwiedziła Maramę, jeśli zamierzała pojechać w kierunku O’Keefe Station. Na Tongę nie powinna się była przy tym natknąć, bo wódz wraz z częścią swojego szczepu mieszkał w maoryskiej wiosce nad jeziorem na Kiward Station. Było to zgodne z jego filozofią, aby nigdy nie rezygnować z raz danej ziemi. Gwyneira też nie oczekiwała, że porzuci starą wieś i przeprowadzi się ze swoimi ludźmi na teren O’Keefe Station.

- Jego duch musiałby przedtem zamieszkać w ciele jakiegoś *pakeha*! – zauważył w swoim czasie James z namaszczeniem, kiedy rozmowa zesłała na politykę Tongi dotyczącą plemiennych terenów. – Jest chciwy na ziemię jak stara królowa! Tylko kolonii mu brakuje!

- Jak nie chcesz, to nie musisz zsiadać – powiedział Wiremu, wskazując na konia Glorii. – Podam ci jedzenie i będziesz jeść, siedząc w siodle.

Gloria omal się nie roześmiała. Z pewnym wahaniem skierowała Ceredwen w stronę maoryskiej wsi.

– Dawniej – a na Wyspie Północnej jest tak do dzisiaj – wodzowi nie wolno było dotknąć tego jedzenia, które dzielił ze swoim szczepem – opowiadał Wiremu, idąc w pełnej szacunku odległości obok Ceredwen. – Istniały nawet specjalne „rogi do karmienia”, które były napelniane jedzeniem, i z nich dopiero wódz brał jedzenie i wkładał sobie do ust. Skomplikowane, prawda?

Gloria nie odpowiedziała. Swobodna rozmowa przychodziła jej z trudem i bała się, że przy okazji powie coś niewłaściwego.

- Kim ty chciałaś być? – spytała po chwili. – To znaczy, po skończeniu uniwersytetu...

Wiremu wykrzywił twarz.

- Lekarzem – odpowiedział po chwili i dodał: – chirurgiem.

- Ach... – Gloria mogła sobie doskonale wyobrazić szept za jego plecami. Prawdopodobnie nazywano go „znachorem”.

Wiremu opuścił wzrok, kiedy dostrzegł jej spojrzenie śledzące jego tatuaże. Wstydził się wyraźnie, nawet tutaj, w swoim kraju, pośród swojego ludu. A przy tym czarno-niebieskie linie tatuażu wcale nie zniekształcały jego twarzy, wręcz przeciwnie, jego ostre rysy sprawiały dzięki nim wrażenie delikatniejszych. Ale Wiremu w zachodnioeuropejskiej sali operacyjnej? Niemożliwe.

- Mój ojciec wolałby, abym studiował prawo – odezwał się Wiremu, najwyraźniej chcąc przerwać nieprzyjemne milczenie.

- Poradziłbyś sobie z tym lepiej?

Wiremu prychnął pogardliwie.

- Musiałbym się ograniczać tylko do spraw dotyczących Maorysów. Miałbym za co żyć, spornych kwestii prawnych jest dostatecznie dużo.

Zadanie dla wojownika...

- Tak mówi twój ojciec?

Wiremu skinął głową.

- Nie lubię walczyć za pomocą słów.

- A gdybyś się zajął roślinami leczniczymi? – zaproponowała Gloria. – Mógłbyś być *tohunga*.

– Żeby robić olejki z drzewa herbacianego? *Manuka*? – spytał gorzko w odpowiedzi. – Albo jednoczyć się z całym wszechświatem? Słuchać głosów natury? *Te Reo*?

- Próbowałeś przecież – odparła Gloria. – Dlatego byłeś w Kręgu Kamiennych Wojowników.

Wiremu krew uderzyła do twarzy.

- Duchy nie były zbyt otwarte – stwierdził.

Gloria opuściła wzrok.

- Nigdy nie są... – wyszeptala.

– Pozwalaj, aby oddech po prostu płynął! Nie, Heremini, nie próbuj marszczyć nosa, to tylko śmiesznie wygląda i w ogóle nie wpływa na dźwięki. Tak jest lepiej. Ani, nie będziesz dobra z *koauau*, próbując stać się kimś innym, ona przyjmie cię taką, jaka jesteś. *Nguru* chce czuć twój oddech, Heremini... – Marama siedziała przed domem zebranych ozdobionych licznymi płaskorzeźbami i uczyła dwie dziewczynki gry na flecie. Ludzie Tongi w swoim czasie nie szczędzili trudu, wznosząc *marae* na farmie O’Keefe Station. *Koauau*, niewielki drewniany flet, był instrumentem dość osobliwym: należało dmuchać w niego przez nos, w przeciwieństwie do fletu *nguru*, w który dmuchało się albo przez nos, albo przez usta. Ani i Heremini próbowały teraz użyć swoich organów powonienia do wygenerowania dźwięków, a grymasy i miny,

które temu towarzyszyły, były powodem głośniejszych salw śmiechu Maramy i innych kobiet.

Glorię niemal to przeraziło, ale dziewczęta tylko chichotały. Nie wydawało się, żeby uważały za wielką tragedię fakt, że z ich fletów wydobywały się tylko śmieczne piski.

– Gloria! – Marama wstała, kiedy tylko zobaczyła wnuczkę. – Jak miło, że cię tu widzę! Przychodzisz tak rzadko, że powinniśmy zatańczyć wokół ciebie powitalną *haka*...

Tańcem witani byli tylko szacunowi goście, przeważnie obcy, ale Ani i Heremini poderwały się natychmiast i trzymając w rękach swoje flety, zaczęły wykonywać skomplikowane kroki tańca oraz skoki. Wymachiwały przy tym instrumentami, jak gdyby to były *mere pounamu* – maczugi wojenne. Kiedy były już tak rozbawione, że zaczęły wrzeszczeć, Marama je uspokoiła.

– Prześcąćcie, Gloria nie jest przecież kimś obcym, należy do naszego szczepu. A poza tym powinniście się wstydzić takiego krakania. Spróbujcie lepiej jeszcze raz zagrać coś na fletach. Gloria... *mokopuna*... czy nie zechciałybyś zsiąść z konia?

Gloria poczerwieniła i szybko zsunęła się z siodła. Wiremu uśmiechnął się i podszedł do niej, chcąc wziąć wodze klaczy.

– Czy wolno mi zabrać tron córki wodza, aby mógł się paść na trawie, czy też naruszę poprzez to jakieś *tapu*? – wyszeptał.

– Konie mogą paść się wszędzie – odpowiedziała Gloria, dziwiąc się, że Wiremu roześmiał się, biorąc to za dobry żart.

– Konie żyją dzięki łasce duchów! – dodał i rozsiadł Ceredwen. – *Taua*, tu są ryby na kolację. Zaprosiłem Glorię – zwrócił się po chwili do Maramy.

Maoryska skinęła głową.

– Upieczemy je później. Ale Gloria nie potrzebuje specjalnych zaprosin, jest zawsze mile widziana. Usiądź z nami, Glory... umiesz jeszcze grać na *koauau*?

Gloria się zaczerwieniła. Kiedyś, dawno temu, kiedy była dzieckiem, Marama pokazywała jej, jak wydobywać dźwięki z tego instrumentu. Chwaliła Glorię za prawidłowe wyczucie oddechu. Ale Glorii nie podobały się melodie, które miała grać. Jednak mimo to nie czuła, że jest odrzucana. Wzięła teraz flet *koauau* do ręki i dmuchnęła – efekt przeraził ją samą. Dźwięk przypominał głębokie stękanie, które przechodziło w krzyk. Nie była to żadna melodia, ale Gloria nadal trzymała flet przy ustach. Marama za to zbliżyła do ust flet *nguru* – usłyszeli rytmiczną, ale zarazem dziką i poruszającą melodię... Gloria drgnęła przerażona, kiedy do wtóru zabrzmiał *pahu pounamu*, typowy instrument muzyczny Maorysów. Ani i Heremini wydawały się rozumieć ten sygnał: podniosły się i znów zaczęły tańczyć. Były jeszcze małe i wojenny taniec *haka* w ich wykonaniu nie budził grozy, ale dzieci znakomicie prezentowały dawne ruchy maoryskich kobiet wojowniczek.

– Czy Kura też przedstawia tę *haka*, czy też nauczyłaś się jej gdzie indziej? – spytała Marama wnuczkę. – To bardzo stary taniec, z czasów, kiedy maoryscy mężczyźni i kobiety walczyli razem. Znany bardziej na Wyspie Północnej.

Gloria się zaczerwieniła. Właściwie nie знаła tego tańca, melodię udało jej się zagrać raczej przypadkowo. Ale flet *koauau* poniekąd wykrzyczał jej złość – a Marama jak gdyby zainspirowała ją do walki. Było to osobliwe: Gloria miała takie uczucie, jakby żyła muzyką, a nie ją odtwarzała.

– *Kia ora*, córko! Czy muszę się obawiać? Może wybuchła wojna? – zabrzmiał w mroku ciemny, głęboki głos. W świetle ogniska, które tymczasem rozniecił Wiremu, pojawiła się Rongo Rongo.

– Muszę się ogrzać, dzieci, pozwólcie mi podejść do ognia... o ile nie jest on wam potrzebny, aby hartować w nim włócznie. – Rongo rozcierała w ciepłe ognia dłonie o krótkich, silnych palcach. Za nią Gloria dostrzegła Tongę, wodza szczepu, i przerażona. Od chwili powrotu do domu nie widziała jeszcze Tongi i ciemna, wytatuowana twarz wysokiego, rosłego jak na Maorysa mężczyzny niemal ją wystraszyła.

Ale Tonga uśmiechnął się życzliwie.

– Patrzcie, Gloria... Córka tych, którzy przybyli do Aotearoa na statkach „Dublin” i „Uruao”.

Gloria znów się zaczerwieniła. Znała maoryski rytuał – przy przedstawianiu się wymieniano nazwę łodzi, którą kiedyś przodkowie przybyli do Nowej Zelandii. Ale tak było przed wieloma stuleciami. Babka Glorii ze strony *pakeha* przybyła tu zaledwie jakieś sześćdziesiąt lat temu na statku „Dublin”.

– Czy jesteś tutaj, aby objąć w posiadanie swoje dziedzictwo ze strony Ngai Tahu czy też Wardenów?

Gloria nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zostaw ją w spokoju! – wtrąciła się Marama. – Ona przyszła tutaj, aby z nami zjeść i porozmawiać. Nie słuchaj go, Gloria. Pomóż lepiej Wiremu i dziewczętom przygotować ryby.

Gloria z wdzięcznością, ale i ulgą pobiegła ku rzece, która płynęła koło wsi. Nie sprawiała ryb od czasu, kiedy była małą dziewczynką i uczyła się tego od Jacka. Z początku nie szło jej zupełnie, ale ku jej zdumieniu dziewczęta nie śmiały się z niej. Wiremu podszedł do niej, chcąc pokazać, jak to robić, ale Gloria cofnęła się gwałtownie.

– Może wolisz wykopywać słodkie ziemniaki? – spytała starsza dziewczynka imieniem Pau, która dostrzegła ruch Glorii. – To chodź ze mną.

Pau trąciła ją przyjacielsko, kiedy szły na pole.

– Wiremu chyba cię lubi? – roześmiała się. – Zwykle z nami nie gotuje, tylko zawsze gra wielkiego wojownika. Ale dziś... i nawet zajął się twoim koniem...

– Ale ja go nie lubię! – odpowiedziała szorstko Gloria.

Pau w obronnym geście podniosła w górę obie ręce.

– Nie, nie bądź zła, ja tylko myślałam... To jest miły chłopak i syn wodza. Większość dziewczyn lubiłaby go.

– On jest mężczyzną! – wyrwało się Glorii i zabrzmiało to niemal tak, jak gdyby wydawała wyrok.

– Tak – odpowiedziała Pau spokojnie, podając Glorii łopatę. – Zacznij kopać w tej grzędce z prawej strony. I wybieraj mniejsze ziemniaki, one są bardziej słodkie. Umyjemy je potem w strumyku...

– Nie czepiaj się tej dziewczyny, Tonga. Najlepiej zostaw ją w spokoju. Ona wiele przeszła... – Rongo Rongo patrzyła za Glorią, która poszła z innymi dziewczętami szykować jedzenie.

– Czy tak ci mówią duchy? – dopytywał się na wpół poważnie Tonga. Darzył Rongo wielkim szacunkiem, ale mimo że chętnie powoływał się na plemienne tradycje, to jego rozmowy z duchami przodków nie odbywały się częściej niż w przypadku jego syna.

Rongo Rongo przewróciła wymownie oczami.

– Tak mi mówi wspomnienie o kuli ziemskiej, której obraz widziałam w szkole u Miss Helen – wyjaśniła spokojnie. Gwyneira w swoim czasie niepostrzeżenie zabrała globus z gabinetu Geralda Wardena i oddała go do dyspozycji Helen. – Nie wiesz już, Tonga, gdzie leży Ameryka? I jak wielka jest Australia? Dziesięć razy większa niż Aotearoa. Gloria ma to wszystko za sobą. Nikt nie wie, jak była w stanie to zrobić. Dziewczyna *pakeha*, Tonga...

– Ona jest pół-Maoryską! – podkreślił Tonga.

– Tylko w jednej czwartej – poprawiła Rongo. – I nawet Maorysi nie rodzą się z wiedzą na temat przetrwania w puszczy. Słyszałeś przecież o Australii? Upał, żmije... Sama tego nie zrobiła.

– Oceanu też raczej sama nie przepłynęła – odparł ze śmiechem Tonga.

Rongo przytaknęła.

– Właśnie! – powiedziała, a na jej twarzy pojawił się wyraz żalu.

Gloria spędziła miły wieczór w maoryskiej wiosce – a Gwyneira oczywiście bardzo się o nią martwiła. Obawiała się, że Marama zacznie ją wypytywać – o Anglię, o podróż i przede wszystkim o Kure, jej matkę. Ale Marama nic podobnego nie zrobiła. Gloria mogła siedzieć i przysłuchiwać się rozmowom oraz opowieściom przy ognisku. A ponieważ na ostatnim polowaniu doszło do małego wypadku, wódz zabrał Rongo, aby opatrzyła rannego, i za chwilę przyprowadził ją z powrotem. Dopiero teraz mężczyźni zaczęli się prześcigać w opowieściach. Skała, z której spadł ranny, stawała się w miarę upływu czasu coraz większa, a wąż, z którego inni wyciągnęli rannego – coraz głębszy. Rongo nic nie mówiła, słuchała tylko z pobłażliwym uśmiechem.

– Nie słuchaj ich. Są jak dzieci... – zwróciła się w końcu do Glorii, która zaczęła się czuć trochę niespokojnie pośród takich ważniaków.

– Dzieci? – spytała Gloria zduszonym głosem.

Rongo westchnęła.

– Czasami są to dzieci z pochodniami w rękach, włóczykami i maczugami...

Kiedy Gloria wreszcie osiodłała konia, odrzuciwszy pomoc Wiremu, Tonga podszedł do niej. Przestraszyła się i stanęła w takiej odległości od niego, jak gdyby chciała strzec jakiegoś *tapu*.

– Córko Ngai Tahu – odezwał się wódz. – Cokolwiek ci zrobiono, zrobili to *pakeha*...

Po upływie kilku ekscytujących tygodni od chwili ucieczki, poszukiwań mieszkania i wesela, Lilian stwierdziła z zaskoczeniem, że jej gotówka topniała szybciej, niż się spodziewała. A przy tym czynsz za mieszkanie był rzeczywiście niski. Ale jeśli chodziło o jedzenie, ubrania, książki dla Bena i choćby podstawowe wyposażenie mieszkania, czyli meble, garnki, bieliznę pościelową i temu podobne rzeczy, młoda kobieta bardzo się przeliczyła. A pierwsze tygodnie spędziła, biegając po mieście i szukając różnych okazji, aby móc kupić przynajmniej używane meble. Jednak w Auckland niczego nie dawano za darmo, a koszty życia były znacznie wyższe niż w Greymouth.

Lilian myślała więc nad różnymi sposobami zarabiania pieniędzy i najpierw zwróciła się do swego męża.

– Czy nie mógłbyś pracować na uniwersytecie?

Ben z irytacją podniósł głowę znad książki, którą właśnie studiował.

– Kochanie, cały dzień pracuję na uniwersytecie.

Lilian westchnęła.

– Myślałam o płatnej pracy. Czy twój profesor nie potrzebuje jakiejś pomocy? Nie możesz pracować przy jakichś kursach albo czymś podobnym?

Ben z żalem potrząsnął głową. Fakultet lingwistyki uniwersytetu w Auckland dopiero powstawał. Liczba studentów ledwo starczała na to, aby opłacić posadę profesora, nie mówiąc już o asystentach. A jeśli chodziło o specjalistyczny dział wiedzy, którym zajmował się Ben, to chociaż jego dokonania spotkały się z żywym zainteresowaniem profesora, tematy takie jak „Porównanie dialektów polinezyjskich w celu rozgraniczenia obszarów pochodzenia pierwszych maoryskich przybyszów” nie pociągały za sobą szczelnie wypełnionych sal.

– Tak, to będziesz musiał poszukać jakiejś innej. – Lilian przerwała jego obszerne wyjaśnienia. – Potrzebujemy pieniędzy, kochanie, nie ma co się dłużej zastanawiać.

– Ale moje studia! Jeśli się teraz na nich nie skoncentruję, to później...

– Później umrzemy z głodu, Ben. Ale przecież nie musisz pracować cały dzień. Poszukaj sobie czegoś, co możesz robić oprócz studiów. Jeśli ja też pójde do pracy, to sobie jakoś poradzimy.

Lilian starała się dodać mu odwagi i pocałowała go.

– A gdzie ty chcesz pracować? – spytał Ben w roztargnieniu.

Nikt w Auckland nie chciał się uczyć rysować, ale za to w ciągu krótkiego czasu Lilian miała już sporo uczniów gry na fortepianie. Ograniczyła się do dzielnicy robotniczej i raczej stroniła od rodzin akademickich. Mogło się przecież okazać, że pani domu potrafiła grać lepiej na fortepianie niż ona sama. Tu nie było z tym problemu. Większość pracowitych imigrantów w drugiej generacji, właściciele kwitnących warsztatów będących źródłem ich dobrobytu, chcieli dorównać „bogatyń”, a do tego ich zdaniem konieczne było podstawowe wykształcenie muzyczne ich dzieci.

Ogłoszenia Lilian, wieszane przez nią w sklepach spożywczych i pubach, spotkały się z ożywionym zainteresowaniem. W zetknięciu z nią nikt nie potrzebował przewyżać strachu, jaki zwykle towarzyszył dzieciom już w chwili przekroczenia progu jakiejś mniej lub bardziej szacownej szkoły muzycznej, a potem w czasie lekcji z dyplomowanym nauczycielem muzyki. Lilian nie tylko nie onieśmiała swoich uczniów, lecz była także miła i swobodna w czasie rozmów ze zdenerwowanymi rodzicami. Fakt, że swoje umiejętności muzyczne kształciła w Anglii, robił oczywiście duże wrażenie, ale wszystkich dodatkowo ujmowało to, że Lilian była bezpośrednia i nie sprawiała wrażenia niedostępnej ani surowej. Zasady muzyki klasycznej nie były w jej mniemaniu aż tak istotne: zredukowała ćwiczenia palców oraz granie etюд do minimum i zwykle po trzeciej lub czwartej lekcji jej uczeń, bębniąc niemiłosiernie w klawisze, potrafił zagrać łatwą piosenkę. A ponieważ jej klienci raczej rzadko bywali na koncertach i woleli zamiast tego sami coś zaśpiewać – pijackie wrzaski dobiegające z pubu często nie pozwalały Lilian i Benowi spać – przywiązywali też większą wagę do prostego akompaniamentu towarzyszącego ludowym piosenkom i pieśniom patriotycznym. O talencie uczniów i genialności ich nauczycielki przekonywało rodziców najbardziej to, że w czasie najbliższego rodzinnego święta wszyscy mogli się zebrać wokół pianina i zaintonować *It's a Long Way to Tipperary*.

Benowi zarabianie pieniędzy przychodziło znacznie trudniej. Z konieczności musiał zdać się teraz na siłę swoich mięśni, a nie na niewątpliwe talenty i uzdolnienia. W porcie praktycznie o każdej porze dnia i nocy można było znaleźć jakieś zatrudnienie. Ben pracował więc przy wyładunku oraz załadunku statków i wagonów kolejowych – przeważnie rankiem, przed rozpoczęciem wykładów i zajęć.

Przez kilka kolejnych miesięcy radzili sobie nieźle. Starczyło nawet na jakieś ubrania i stół z dwoma krzesłami. Choć prawdę mówiąc, ich mieszkanie nad pubem stawało się coraz bardziej uciążliwe. Było głośno, śmierdziało piwem i zjełczałym tłuszczem, a Lily skarżyła się, że wieczorami nie może uczyć, ponieważ boi się iść sama do domu przez dzielnicę portową. Toaleta na korytarzu była istną katastrofą – nikomu z pozostałych mieszkańców nie przychodziło do głowy, aby ją choćby od czasu do czasu posprzątać. Któregoś razu Lilian przeraziła się niemal na śmierć, bo któryś ze stale pijanych mężczyzn, którego rodzina mieszkała w jednym z dwóch pozostałych mieszkań, stracił nocą orientację na korytarzu i zaczął walić i kopać w drzwi ich mieszkania. Lilian nie wyobrażała sobie, że będą mogli mieszkać tu stale – a zwłaszcza wtedy, kiedy zaczęła walczyć z porannymi mdłościami.

– No, czas najwyższy! – zachichotała jej sąsiadka, spracowana i bardzo zniszczona życiem kobieta, kiedy któregoś ranka Lilian, niemal zielona na twarzy i jeszcze w szlafroku, wracała do mieszkania z toalety. – Już się zastanawiałam, kiedy u was zacznie się coś kroić.

Ta kobieta miała czworo dzieci i chyba wiedziała, o czym mówi. Lilian pozwoliła sobie mimo to na wizytę u lekarza, co pochłonęło resztę jej oszczędności. Niemał tańcząc, pobiegła do portu, aby spotkać się tam z Benem.

– Czy to nie wspaniale, Ben? Dziecko! – Lilian powitała go zaraz przy nabrzeżu, niemal wykrzykując radosną wieść. Ben przynosił właśnie worki z jednego ze statków na wagon kolejowy i był całkowicie wyczerpany. Lilian nie przyjęła tego do wiadomości. Była zachwycona, szczęśliwa i pełna planów.

Ben nie podzielał jej radości. Zaczął pracę o piątej rano, potem spędził cały dzień na uniwersytecie i teraz znów pomagał przy wyładunku. W ten sposób mógł się jakoś dorzucić do wspólnej kasy i właściwie miał nadzieję, że w najbliższym czasie będzie mógł bez przeszkód studiować. Zaczął już pisać pracę doktorską i poświęcał temu każdą minutę. Cięża Lilian zmusi go do podjęcia kolejnych wysiłków związanych z koniecznością wyżywienia rodziny, a w najbliższym czasie będzie zdany tylko na siebie.

– Tak źle nie będzie, Ben! – pocieszała go Lilian. – Patrz, jeszcze kilka miesięcy mogę uczyć. A ty w tym czasie po prostu pośpieszysz się ze swoim doktoratem. Kiedy skończysz, na pewno dostaniesz stałą pracę. Twój profesor jest przecież tobą zachwycony!

Tak rzeczywiście było, ale z akademickich honorariów raczej trudno było żyć. Ben czarno widział możliwość otrzymania katedry na wydziale lingwistyki uniwersytetu w Auckland – tym bardziej że był bardzo młodym doktorantem. Zwykle świeżo promowany doktor

pracował jako wykładowca gościnny na innych uniwersytetach, oferując tam prowadzone przez siebie kursy i kształcąc się dalej. Czasami można było otrzymać stypendium badawcze, ale jeśli chodziło o dziedzinę wiedzy, którą zajmował się Ben, było to raczej mało prawdopodobne. A przede wszystkim, mimo że był bardzo zdolnym studentem, wiedział, że nie skończy pisać swojej pracy w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy.

Lilian zagryzła nerwowo wargi, kiedy Ben jej to wszystko przedstawiał.

– To prawda, tu w porcie też nie zarabiasz zbyt wiele – zauważyła. – A już zwłaszcza nie wystarczy nam na nowe mieszkanie.

Ben westchnął.

– Coś wymyślę – obiecał niejasno i uśmiechnął się. – Damy radę. Lily, będziemy mieli dziecko! I to wyłącznie nasza robota!

Lilian kochała Bena z całego serca, ale wiedziała od dawna, że jego niewątpliwe przymioty duchowe skłonią go raczej do poświęcenia się zagadnieniom składni i melodii polinezyjskich zdań względnych, a nie problemom codziennego dnia. Dlatego też wolała nie zdawać się na jego pomysły, lecz zaczęła się zastanawiać, który z jego licznych talentów można wykorzystać, mając na względzie zarabianie pieniędzy. Decydujący pomysł przyszedł jej do głowy któregoś dnia, kiedy była w drodze do jednego ze swych uczniów i minęła biuro miejscowego dziennika „Auckland Herald”. Gazeta codzienna! A Ben był poetą! Pisanie doniesień prasowych i artykułów nie powinno mu sprawiać żadnych trudności! I z pewnością będzie to lepiej płatna praca niż rozładunek oceanicznych olbrzymów.

Lilian podjęła szybką decyzję, weszła do lokalu i znalazła się w biurze średniej wielkości. Kilku mężczyzn z zapalem bębniło w klawiatury maszyn do pisania, inni ryczeli w słuchawki telefonów albo przewracali jakieś papiery. W pomieszczeniu panował nieznośny hałas.

Lilian zwróciła się do jednego z mężczyzn.

– Kto jest waszym szefem? – spytała z najśladszym ze swoich uśmiechów.

– Thomas Wilson – odpowiedział mężczyzna, nawet nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem. Żuł koniec ołówka i poprawiał jakiś tekst, co chwila zaciągając się papierosem. Lilian zmarszczyła czoło. Gdyby Ben miał tu nabrać zwyczaju palenia papierosów, to ewentualny dodatkowy zarobek znów wzięłby w łeb.

– Tam... – Mężczyzna wskazał ołówkiem na drzwi z tabliczką: „Biuro szefa redakcji”.

Lilian zapukała odważnie.

– Niech pan wejdzie, Carter! I mam nadzieję, że już wreszcie skończył pan ten artykuł! – rozległ się grzmiący głos.

Lilian wsunęła się przez drzwi.

– Nie chciałabym przeszkadzać... – powiedziała uprzejmie.

– Nie przeszkadza pani. Tamci faceci mają mi wreszcie dostarczyć teksty, abym mógł je w końcu puścić na kolumnę. Ale zdaje się, że to jeszcze potrwa. A co mogę zrobić dla pani?

Postawny, nieco korpulentny mężczyzna za biurkiem wcale nie zamierzał wstać, ale wskazał jej ruchem ręki krzesło. Miał szeroką, lekko zaczerwioną twarz z wielkim nosem. Jego włosy były ciemne, choć można było już dostrzec na nich siwiznę. Wilson wpatrzył się w Lilian małymi szaroniebieskimi oczami o zadziwiająco młodzieńczym wyrazie.

Lilian usiadła na wyściełanym skórą krześle po drugiej stronie biurka zawalonego papierami. Oczywiście znajdowała się na nim popielniczka – szef także palił.

– Co trzeba umieć, aby pracować dla pańskiej gazety? – Lilian od razu przeszła do rzeczy.

Wilson uśmiechnął się szeroko.

– Pisać – odpowiedział krótko. – Myślenie też byłoby wskazane. Ale jak dowodzi tego ta kupa leniów w drugim pokoju, da się i bez tego.

Lilian zmarszczyła czoło.

– Mój mąż jest naukowcem, językoznawcą. I pisze wiersze.

Wilson z zafascynowaniem obserwował migotanie, jakie pojawiło się w jej oczach przy tych słowach.

– To podstawowe warunki byłyby spełnione – zauważył.

Lilian się rozpromieniła.

– To cudownie... to znaczy, o ile zatrudnia pan ludzi. My pilnie szukamy pracy!

– Na razie nie mam wakatów, jeśli chodzi o stałą pracę... Choć może być i tak, że jeszcze dziś kogoś wyrzucę! Ale współpracowników zawsze potrzebujemy. – Wilson zaciągnął się głęboko papierosem.

– Właściwie szukamy takiej pracy, którą można wykonywać obok studiów uniwersyteckich – sprecyzowała Lilian.

Wilson skinął głową.

– Naukowiec językoznawca zarabia chyba raczej niewiele? – spytał.

Lilian spojrzała na niego nieszczęśliwym wzrokiem.

– Jak do tej pory nic jeszcze nie zarobił! A przy tym Ben jest bardzo zdolny, tak twierdzi jego profesor. Ale wszyscy tak mówią, on miał nawet stypendium w Cambridge, ale wojna...

– A czy jakieś teksty pani małżonka ukazały się już drukiem? – spytał Wilson.

Lilian z żalem potrząsnęła głową.

– Nie. Ale jak mówiłam, on pisze wiersze. – Uśmiechnęła się. – Bardzo piękne wiersze.

Wilson chrząknął.

– Wierszy nie drukujemy. Ale z wielką chęcią przeczytałbym którąś z jego elegii. Może pani małżonek przyniesie mi coś przy okazji...

– Mam! – Lilian rozpromieniła się i z triumfem wyciągnęła z torebki mocno pogniecioną kartkę papieru listowego, po czym rozprostowała ją starannie. – Najpiękniejszy mam zawsze przy sobie.

Wpatrzyła się w Wilsona, oczekując pochwał i braw. Redaktor pobieżnie przeleciał oczami tekst, a kąciki jego ust drgnęły niezauważalnie.

– W każdym razie nie robi błędów w pisowni – stwierdził.

Lilian spojrzała na niego z urazą.

– Oczywiście, że nie! Poza tym mówi po francusku i po maorysku i zna jeszcze kilka dialektów polinezyjskich, które...

Thomas Wilson się uśmiechnął.

– Już dobrze, dobrze, droga pani. Pojąłem już, że jest on koroną wszelkiego stworzenia. Mówi po maorysku? To powinien być też obeznany ze światem duchów, prawda?

Lilian uniosła brwi do góry.

– Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli...

– To był żart. Ale gdyby pani mąż miał ochotę: mamy tu zaproszenie na pewien seans. Niejaka Mrs Margery Crandon z Bostonu, jak też kilku dostojników z Auckland mają zamiar dziś wieczór wywołać kilka duchów. Ta dama robi to niejako zawodowo, pełniąc funkcję medium. W każdym razie tak twierdzi i sądzę, że chętnie występowałaby tu częściej. I zapewne byłaby zainteresowana jakąś notatką na ten temat – może byłby to materiał na dłuższy felieton. Ale moi chłopcy machnęli na to ręką – twierdzą, że nikt nie będzie chciał budzić zmarłych razem z Mrs Crandon. A moim współpracownikom z wolnej stopy już przydzieliłem inny materiał. Jeśli więc pani małżonek chciałby wesprzeć swoim piórem ten temat, byłoby to coś w rodzaju małej próbki. A potem zobaczymy.

– A... jak to wyglądałoby... pod względem finansowym? – dopytywała się Lilian.

Wilson się roześmiał.

– Ma pani na myśli wywoływanie duchów czy artykuł? Nasi współpracownicy otrzymują wynagrodzenie odpowiednio do wierszówki. Ale

jeśli chodzi o media, to o ile mi wiadomo, ich wynagrodzenie nie zależy od liczby wywołanych duchów...

Zanim Lilian mogła zadać kolejne pytanie, jeden z pracowników Wilsona gwałtownie otworzył drzwi i wpadł do pokoju.

– Tutaj są teksty, szefie! – powiedział mężczyzna i rzucił na biurko Wilsona plik świeżo poprawionych, dość nieporządnie poukładanych kartek.

– Długo to trwało – mruknął Wilson. – A więc, młoda damo... jak brzmi pani godność właściwie? Tu jest zaproszenie. Chcę mieć tekst jutro do godziny piątej po południu, a najlepiej wcześniej. Zgoda?

Lilian skinęła głową.

– Ben Biller – powiedziała. – To znaczy, to jest mój mąż.

Ale Wilson był już zajęty czym innym.

– Widzimy się jutro.

– Byłam kiedyś na takim seansie – oświadczyła Lily, wyciągnąwszy jedyny i w związku z tym najlepszy garnitur Bena. – W Anglii.

W weekendy zapraszały mnie do siebie przyjaciółki i matka jednej z nich była spirytystką. Gościła niejedno medium. Raz nawet wtedy, kiedy i ja tam byłam. To było dosyć niesamowite.

– Mniej istotne jest pytanie, czy to jest niesamowite, tylko raczej, jak by to wypadło w obliczu próby naukowego zbadania – stwierdził Ben sceptycznie i trochę gniewnie. Działania Lilian w sprawie pracy nieco go zaskoczyły, a zwłaszcza nieoczekiwany jej początek. Ale oczywiście pisanie tekstów z pewnością przyjdzie mu łatwiej niż rozładowywanie statków dalekomorskich. Choć Ben nie był pewien, czy praca dla jakiejś szmatławej gazety nie zaszkodzi jego opinii jako naukowca.

– Możesz przecież pisać pod innym nazwiskiem! – Lilian wydawała się tracić cierpliwość. – A teraz nie zachowuj się niemądrze i ubierz się. Musimy iść na seans. Taka praca to dla ciebie nic trudnego.

Lilian spała już, kiedy Ben wrócił w nocy do domu, i spała jeszcze, kiedy rano znów wychodził do pracy w porcie. I dlatego martwiła się przez całe przedpołudnie, czy Ben zdąży napisać i oddać artykuł. Rzeczywiście przyszedł do domu dopiero o wpół do czwartej, ale ku uldze Lilian napisał artykuł w przerwie między dwoma seminariami.

– Pośpiesz się i zanieś go Mr Wilsonowi – powiedziała. – Akurat zmieścisz się w terminie, on powiedział, że masz być u niego najpóźniej o piątą.

Ben zagryzł nerwowo wargę.

– Słuchaj, Lilian, obiecałem profesorowi, że wykonam dla niego jeszcze jedną pracę. Właściwie muszę zaraz wyjść. Nie mogłabyś ty zanieść tego artykułu?

Lilian wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że mogłabym. Ale czy nie powinieneś poznać osobiście Mr Wilsona?

– Następnym razem, kochanie. Pozwólmy, aby ta praca przemówiła sama za siebie. To na pewno nie będzie żaden problem, prawda?

Ben był już w drzwiach, zanim Lilian zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Z rezygnacją ubrała się i wyszła. Na szczęście w Auckland piaszcze zimowe w ogóle nie były potrzebne, klimat był tu łagodny, a do tropikalnej roślinności Lilian zdążyła się już prawie przyzwyczaić. A teraz udawała się do śródmieścia – redakcja „Auckland Herolda” mieściła się w jednej z uroczych wiktoriańskich budowli przy Queen Street.

Thomas Wilson siedział pochylony nad kilkoma tekstami i nanosił poprawki, marszcząc przy tym czoło w zamyśleniu.

– I cóż, znów się widzimy, młoda damo? A gdzież małżonek? Czy to Mrs Crandon przyczyniła się do jego zniknięcia?

Lilian się uśmiechnęła.

– Dzięki niej raczej wszystko to, co znikło, pojawia się znowu... Ektoplazma czy coś takiego. Mój mąż jest niestety bardzo zajęty na uniwersytecie. Ale poprosił mnie, abym przyniosła panu artykuł...

Thomas Wilson z wyraźną przyjemnością patrzył na drobną dziewczynę o długich, intensywnie rudych włosach ukrytych pod filuternym zielonym kapelusikiem. Tanie ubrania, ale bardzo staranny sposób wyrażania się. Nienaganny angielski. I ta niesłychana gorliwość i całkowite oddanie, jeśli chodzi o pomoc mężowi przy starcie w jego nowej pracy. Oby ten facet był tego wart!

Wilson przejrzał pobieżnie artykuł, a potem cisnął kartkę na stół i spojrzął na Lilian wzrokiem pełnym wściekłości. Zaczerwienił się gwałtownie.

– Dziewczyno, jak pani sobie to wyobraża? Takie wierutne bzdury, ja miałbym to opublikować? Pani podziw dla małżonka jest doprawdy godny podziwu, ale to...

Lilian przeraziła się i chwyciła kartkę.

Auckland, 29 marca 1917

Fascynujący wgląd w zróżnicowanie wymiarowości umożliwiła małemu kręgowi intelektualistów z Auckland 28 marca 1917 roku Mrs Margery Crandon z Bostonu. Nawet sceptycy, niewątpiący w możliwość weryfikacji spirytualistycznych fenomenów, musieli przyznać dwudziestodwuletniej Amerykance, że jej objawień, do których doprowadziła ona w drodze zastosowania czysto amorficznej białawej substancji, nie można wyjaśnić poprzez zastosowanie praw natury. Materia owa, nader delikatna, zwana w efekcie zastosowania słownictwa fachowego „ektoplazmą”, odzwierciedla obraz jej opiekuńczego ducha, z którym to duchem Mrs Crandon komunikuje się za pomocą fascynującego języka. To język, którego dykcja i składnia nasycone są magią enochiańską, i nie odpowiada on w żaden sposób globalii, występującej raczej w kontekście religijnym. Jeśli chodzi o weryfikację tożsamości kolejnych duchów wywoływanych przez Mrs Crandon, to zewnętrzny obserwator oczywiście zdany jest wyłącznie na swoje subiektywne interpretacje. Mrs Crandon powołuje się na szeroko znanego autora i wojskowego sir Arthura Conan Doyle'a, który jej deklaracje uznał za całkowicie prawdziwe, wobec czego ich integralność jest ponad wszelkimi wątpliwościami.

– O Boże – wyrwało się Lilian.

Thomas Wilson się uśmiechnął.

– To znaczy... oczywiście miałam na myśli... O Boże, jak mogłam zapomnieć?! Mr Wilson, bardzo mi przykro, ale mąż poprosił mnie, abym dokonała paru zmian w tym tekście przed oddaniem panu czystopisu. To oczywiście tylko wstępny szkic, ale ja... ja po prostu o tym nie myślałam, a te bazgroły tutaj... – Wysupiała z torebki jakąś kartkę, którą Wilson bez trudu rozpoznał jaką tę, na której zapisany był wiersz Bena. – Tego nie odważyłabym się panu pokazywać. Proszę dać mi trochę czasu, abym naniosiła poprawki mojego męża. – Na twarzy Lilian pojawił się rumieniec.

Wilson skinął głową.

– Do siedemnastej – oświadczył i wyciągnął z kieszeni złoty zegarek. – Ma pani więc jeszcze piętnaście minut. Jazda, do roboty.

Rzucił Lilian notes i zajął się swoimi manuskryptami. Kątem oka dostrzegł jednak, że młoda kobieta po sekundzie zwłoki chwyciła ołówek i zaczęła błyskawicznie pisać. Po piętnastu minutach niemal brakowało jej tchu, ale podsunęła Wilsonowi zupełnie nowy manuskrypt.

Medium czy oszustka? Spirytystka zaniepokoiła society w Auckland.

Przed grupą szanowanych przedstawicieli towarzystwa z Auckland, także w obecności reportera poczytnego dziennika „Herold” w dniu 28 marca 1917 roku wystąpiła dwudziestodwuletnia spirytystka Mrs Margery Crandon, według paszportu – Amerykanka. Sama Mrs Crandon twierdzi, że pochodzi z rumuńskiej rodziny arystokratycznej. Należy chyba z pobłażaniem podejść do skojarzenia myślowego z „Baronem cygańskim” Straussa, jakie nasunęło

się autorowi tej notatki. A przecież tak wiele w występie Mrs Crandon przypominało operetkę albo raczej udane przedstawienie variétés. Już sama oprawa i wprowadzenie przyczyniły się znakomicie do atmosfery błogiego niepokoju, który to efekt jak najbardziej zamierzano osiągnąć. Mrs Crandon wykazała się niezwykle wprost talentem aktorskim w efekcie zastosowania osobliwej substancji zwanej „ektoplazmą”, a talentu tego dowiodła także jej wieloaspektowa gawęda w tak nieznanymi językami, jak „enochiański”. Rzekomo w substancji tej doszło do odzwierciedlenia jej opiekuńczego ducha, który co prawda wykazywał więcej podobieństwa z wilgotnym kawałkiem tiulu niż ze zjawiskiem pochodzącym z zaświatów.

Mrs Crandon nader zręcznie posługiwała się zarówno wspomnianym kawałkiem tiulu, jak i duchowymi zjawiskami, i robiła to z suwerennością właściwą lalkarzom, a przy tym udało jej się rzeczywiście przekonać niektórych uczestników o autentyczności wywołanych przez nią fenomenów. Wszystko to jednak nie wytrzymało niewzruszonego i krytycznego spojrzenia na całość „Auckland Herald”, także jej próba odniesienia się do sir Arthura Conan Doyle’a była nieprzekonująca. Sir Arthur Conan Doyle jest człowiekiem, który potrafi znakomicie połączyć bogatą fantazję z bardzo wysoką osobistą prawością. Bez wątpienia łatwiej mu przychodzi uwierzyć w wywoływanie duchów niż w to, że pewna lady, której występ każdemu uczestnikowi wydaje się poza wszelkimi podejrzeniami, beczelnie oszukuje swoje szlachetne i honorowane grono zwolenników.

Thomas Wilson nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Pani mąż ma lekkie pióro – przyznał z zadowoleniem. – I wydaje się, że doskonale zna się na komunikacji duchowej, bo teraz chyba dyktował pani ten tekst... A może nauczyła się go pani na pamięć? Ale nieważne, jak Mr Biller produkuje te teksty. To jest mi zupełnie obojętne. Jeśli zaś chodzi o ten tutaj – proszę skreślić zdanie z cygańskim baronem. Większość naszych czytelników nie jest aż tak wykształcona. Kilka słów ma też zdecydowanie za dużo sylab, a zdania w ogóle mogłyby być nieco krótsze. Ale poza tym – bardzo dobrze! Pozwoli pani, że wypłacę pani dwadzieścia dolarów. A, prawda, jutro rano proszę wysłać małżonka na nabrzeże. Statek z Anglii przywozi inwalidów, którzy przeżyli bitwę pod Gallipoli. Chcielibyśmy coś o tym napisać. Ma to być artykuł na tyle patriotyczny, aby nikt nie miał wrażenia, że nadepnęliśmy komuś na odcisk, ale z kolei musi być na tyle krytyczny, aby każdy zadawał sobie pytanie, dlaczego pozwoliliśmy naszej młodzieży ginąć na tej cholernej plaży koło tureckiej, zabitej dechami wsi. Miłego dnia, Mrs Biller.

Lilian poszła do portu z Benem i porozmawiała z pielęgniarką oraz kilkoma weteranami, których widok ją zaszokował. A potem uzupełniła nieco sztywny tekst Bena, który skupiał się głównie na szczegółach geograficznych tureckiego wybrzeża oraz podkreślał ważność cieśniny Dardanele dla przebiegu wojny i tureckiego systemu obronnego. Lilian szeroko opisała ostatnie bitwy, składając przy tym w bardzo emocjonalnym tonie hołd wszystkim wycofującym się oddziałom, które oczywiście odniosły wielki sukces: „Mimo ogromnej dumy wobec epokowych dokonań naszych wojsk autorowi trudno było się oprzeć uczuciu przygnębienia na widok tych młodych mężczyzn, którzy stracili zdrowie na śródziemnomorskiej plaży. I nie ulega wątpliwości, że ten zapomniany skrawek ziemi od tej chwili zyskał swoje trwałe miejsce w historii świata. Gallipoli stanie się na zawsze synonimem bohaterstwa, ale także bezsensu i okrucieństwa wojny”.

– Proszę skreślić słowo „synonim” – powiedział Thomas Wilson. – Tego nikt nie zrozumie. Lepiej napisać „symbol”. I proszę mi wreszcie powiedzieć, jak się pani nazywa. Nie mogę przecież zwracać się do pani „Ben”!

W ciągu następných miesięcy Lilian pod kryptonimem „BB” pisała o chrzcinach statków, rocznicach podpisania umowy pod Waitangi, posiedzeniach inżynierów przemysłu drzewnego i rozbudowie uniwersytetu. Ku podziwowi Mr Wilsona zawsze potrafiła także w codziennych i mało ciekawych tematach znaleźć jakieś zabawne aspekty. Bawiło ją to tak bardzo, że stopniowo ograniczała liczbę lekcji gry na fortepianie. Jednak w zasadzie praca dla „Auckland Herald” nie rozwiązywała jej problemów. Też musiała wychodzić z domu, aby uczestniczyć w różnych imprezach i rozmawiać z ludźmi. A w efekcie postępującej ciąży była coraz grubsza i cięższa. Wiedziała, że wlokąc za sobą dziecko, nie będzie mogła tego dalej robić – a młoda rodzina potrzebowała coraz więcej pieniędzy.

Namówić Bena, aby zaczął pracować jako przedstawiciel handlowy, było przedsięwzięciem raczej beznadziejnym. Lekki, pełen humoru styl pisania też nie był jego mocną stroną; Ben używał słów pełnych powagi, miał skłonność do trudnych naukowych określeń i tylko w przypadku tekstów naukowych rezygnował z przesadnie napuszonych, górnolotnych sformułowań. Lilian była bezradna i w końcu poskarżyła się Thomasowi Wilsonowi, kiedy już absolutnie nie mogła ukryć swojej ciąży.

– Żadna sukienka na mnie nie pasuje! W ogóle nie mogę iść na to przyjęcie do tego księcia! A będzie jeszcze gorzej!

Wydawca zastanawiał się przez chwilę. A potem potarł zmarszczkę między oczami, która pojawiała się zawsze wtedy, kiedy myślał szczególnie intensywnie.

– Wie pani co, Lilian? To, czego właściwie potrzebujemy, i to o wiele bardziej niż doniesień o wizycie księcia takiego a takiego, który przybył w celu dokonania uroczystego otwarcia jakiejś tam budowli – to parę sympatycznych, miłych opowiadań, krótkich historii. Czegoś, co ludzi rozbawi i pogodnie nastroi do całego świata. Mamy teraz trzeci rok wojny; gazety pełne są doniesień o bitwach i stratach. Na ulicach widzimy „bohaterów spod Gallipoli” idących o kulach, a chłopcy z ANZAC wykrwawiają się we Francji i w Palestynie. Gospodarkę, pomijając zapotrzebowanie na broń, ogarnęła stagnacja, a ludzie martwią się coraz bardziej. I nie bezpodstawnie, tym bardziej że świat jest jednym wielkim polem bitwy i nikt już właściwie nie wie dlaczego. Zwyczajny człowiek borykający się z codziennymi troskami boi się, że jacyś szaleńcy i tu będą atakować. W każdym razie nastrój panujący wśród ludzi można określić jako pełen przynębienia...

– Doprawdy? – spytała Lilian. Dotychczas jakoś tego nie zauważyła. Pomijając troski bytowe, cały czas miała wrażenie, że jest z Benem w siódmym niebie.

– Tak, miłość to doprawdy coś pięknego... – mruknął Wilson. Poznał już nieco lepiej swoją małą redaktorkę i znał mniej więcej historię jej i Bena.

Lilian uśmiechnęła się radośnie i ćwierknęła:

– O, tak!

Wilson się roześmiał.

– A więc, chciałem powiedzieć, że chętnie rozszerzyłbym kolumnę o kilka takich właśnie wesołych, pogodnych historii. Nie będzie to związane z żadnymi poszukiwaniami tematów i wydarzeń, lecz czysta fantazja. Ale oczywiście musi się to wydać jak najbardziej autentyczne. Czyli żadnych „złamanych i zbołałych serc” czy coś podobnego.

Pogroził Lilian palcem, a ona się zaczerwieniła.

– Co pani myśli? Mogłaby pani napisać coś w tym rodzaju?

– Mogę spróbować – oświadczyła Lilian i już w drodze do domu miała pierwszy pomysł.

Dwa dni później przyniosła Wilsonowi opowiadanie o pewnej pielęgniarce pediatrycznej z Hamilton, która każdej niedzieli jeździła dalekobieżnym pociągiem, aby odwiedzić swoją matkę w Auckland. Robiła tak od chwili otwarcia linii kolejowej i Lilian z prawdziwą przyjemnością opisywała, jak to Graham Nelson, konduktor, spotkał ją któregoś dnia w pociągu jako młodą kobietę. I od tej chwili widywał ją co tydzień, aż wreszcie oboje zakochali się w sobie, nigdy jednak nie odważyli się zamienić z sobą więcej niż dwa słowa, nie mówiąc już o wyznaniu uczuć. Dopiero po latach, kiedy matka pielęgniarce zmarła, a ona sama nagle przestała się pojawiać w pociągu, Nelson wreszcie zdobył się na to, aby zacząć jej szukać... I oczywiście wszystko zakończyło się weselem. Lilian nie omieszkała dołączyć kilku szczegółowych opisów krajobrazu, w podtekście delikatnie musnęła dumę Nowej Zelandii z jej rodzimych Railway Companies, napomknęła też o ofiarności pielęgniarce, która mimo że była zakochana, nie mogła się rozstać ze swoimi małymi podopiecznymi w szpitalu...

Wilson wzniosł oczy do nieba, ale wydrukował tekst w najbliższą sobotę. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania, a krąg czytelników, zwłaszcza płci żeńskiej, był poruszony do łez. Lilian natychmiast napisała opowiadanie o pewnym bohaterze spod Gallipoli. Jego dziewczyna miała go za zmarłego, lecz wytrwale odrzucała starania innych zalotników, aż wreszcie jej ukochany po latach wrócił do domu.

I od tej chwili jej teksty na stałe gościły w kolumnie gazety. Czytelniczki domagały się nowych historii autorki piszącej pod pseudonimem BB. Ben Biller wzdygał się z obrzydzeniem, kiedy to czytał.

– To przecież literatura najgorszego gatunku! – oświadczył przerażony, tym bardziej że opisy miłosnych scen stawały się coraz bardziej plastyczne wraz z upływem każdego tygodnia. – Jeśli się okaże, że ja mam z tym coś wspólnego...

– Ależ nie masz z tym nic, ale to nic wspólnego, kochanie! – Lilian się roześmiała i zaczęła szukać swojego kapelusza. Skończyła właśnie kolejne opowiadanie i zamierzała je zanieść na Queen Street. Wkrótce będzie to musiał robić Ben, czy tego chciał, czy nie. Lilian wydawała się sama sobie czymś w rodzaju wieloryba leżącego na plaży i tak się też czuła. Miała przed sobą jeszcze dwa miesiące do chwili narodzin dziecka – i mnóstwo pomysłów na kolejne poruszające opowiadania.

Ich pisanie stawało się koniecznością. Nieco większe dochody umożliwiły wprowadzić Lilian kupno dwóch sukienek niezbędnych w jej stanie, zdołała też odłożyć trochę pieniędzy na wyprawkę dla niemowlęcia, ale o nowym mieszkaniu ciągle jeszcze nie mogli nawet pomyśleć. Ben miał dużo pracy przy swojej dysertacji i w związku z tym zarabiał mniej w porcie.

– Bez mojej literatury najgorszego gatunku nie zwiążemy końca z końcem. A ludziom się to podoba – oświadczyła Lilian przekornie.

Ben spojrzał na nią niemal z udęceniem. Nigdy nie był w stanie zrozumieć, dlaczego większość ludzi interesuje się bardzo czymś takim jak małżeństwo brytyjskiego króla, a nie dostrzega piękna gramatyki polinezyjskiej. A jego własne wiersze, które całkiem niedawno pisał dla Lilian, wydawały mu się dziś co najmniej żenujące.

– Powinna pani spróbować napisać powieść – stwierdził Wilson, przejrzawszy pobieżnie nowe manuskrypty Lilian. – Ludzie wprost szaleją za pani opowiadaniem. Całkiem poważnie, Lilian, zgodnie z tym, co piszą czytelnicy, powinienem każdego dnia drukować któryś z pani sentymentalnych kawałków.

– A czy one będą dobrze płatne? – dopytywała się Lilian. Mimo zaawansowanej ciąży wyglądała zachwycająco. Jej szeroka sukienka w jasno- i ciemnozieloną kratę dobrze harmonizowała z pełnymi życia oczami i nieco bladą ostatnio twarzą. Nosiła teraz wysoko upięte włosy, bez

wątpienia po to, aby się wydać nieco starszą. Miała na czole drobne krople potu. Długa droga z dzielnicy portowej do śródmieścia, którą oczywiście odbyła pieszo, z pewnością kosztowała ją sporo sił.

Wilson się uśmiechnął.

– Ach, ta podła mamona! A gdzie naturalna potrzeba artysty, aby dążyć do samorealizacji?

Lilian zmarszczyła czoło.

– Ile? – zapytała.

Wilson był zdania, że jest czarująca.

– Proszę uważać, Lilian, zrobimy tak: pani na próbę napisze jeden czy dwa rozdziały, a potem udamy się razem do zaprzyjaźnionego wydawcy. Ale w tym celu będziemy musieli pojechać do Wellington. I jak, da pani radę?

Lilian się roześmiała.

– Pyta pan, czy dam radę napisać dwa rozdziały, czy też pojechać pociągiem do Wellington? To pierwsze nie stanowi żadnego problemu. A jeśli się z tym odpowiednio szybko uporam, to może dziecko nie przyjdzie na świat w przedziale kolejowym.

– Bardzo o to proszę – mruknął Wilson.

Już trzy dni później Lilian była z powrotem z elegancką teczką zawierającą manuskrypt dwóch rozdziałów i ich krótkie streszczenie. *Pani z Kenway Station* było opowieścią o młodej Szkotce, którą pewien pośrednik matrymonialny namówił na przyjazd do Nowej Zelandii. Lilian oczywiście wplotła w opowieść niektóre fragmenty historii jej prababki Gwyneiry i Helen. Bardzo plastycznie i barwnie opisała podróż przez ocean i pierwsze spotkanie z posępnym „owczym baronem” Moranem Kenwayem. A przybyła ze Szkocji młoda dziewczyna wylądowała na farmie położonej z dala od ludzkich siedzib – i mimo że otaczał ją luksus, była więziona, maltretowana i nieszczęśliwa. Lilian miała trochę wyrzutów sumienia, nawiązując do pierwszego małżeństwa swojej matki. Ale na szczęście dawny przyjaciel Szkotki nigdy jej nie zapomniał. Przybył do Nowej Zelandii, błyskawicznie dorobił się ogromnego majątku jako poszukiwacz złota i pośpieszył uwolnić dziewczynę.

Thomas Wilson przejrzał pobieżnie tekst i przetaił oczy.

– I co? – spytała Lilian, która sprawiała wrażenie mocno niewyspanej. I wyjątkowo przyczyną tego nie była ani miłość, ani też hałas w pubie, lecz ekstaza, której doznawała przy pisaniu. Nie mogła się oderwać od wymyślonej przez siebie historii.

– Koszmarne i straszne – odparł Wilson. – Ale ludzie będą to sobie wrywać z ręk. Wyślę to zaraz do Wellington! Zobaczmy, co na to powie Bob Anderson.

Ben Biller ostro sprzeciwiał się pomysłowi samotnej podróży Lilian do Wellington i Wilson w końcu go ułagodził, kupując bilet także dla niego. W ten sposób Ben mógł się spotkać z naukowcami z tamtejszego uniwersytetu i porozmawiać na temat ewentualnej pracy jako wykładowca gościnny. Lilian i Wilson pertraktowali w tym czasie z Bobem Andersonem. W efekcie rozmów Lilian podpisała umowę autorską nie tylko na napisanie i druk książki *Pani na Kenway Station*, lecz także jej kolejnego tomu. Wilson radził jej co prawda, aby z tym poczekała, ponieważ później, gdyby dobrze się sprzedawał pierwszy tom, wysokość zaliczki byłaby wyższa. Jednakże Lilian potrząsnęła głową.

– Potrzebujemy pieniędzy teraz – oświadczyła i natychmiast przedstawiła zarys kolejnej historii. *Dziedziczka z Wakanui* była czymś w rodzaju nowozelandzkiej wersji *Pocahontas*, w której pewien *pakeha* zakochuje się w maoryskiej księżniczce.

– Wyobrażam to sobie jako coś niesłychanie romantycznego – entuzjasmowała się Lilian w czasie wspólnej kolacji w bardzo nobliwej restauracji. – Czy wie pan o tym, że kiedy dochodziło do wojny, maoryscy wojownicy musieli się czołgać między kolanami córki wodza? W ten sposób, że tak powiem, przekraczali symboliczny próg, który oddzielał ludzi nastawionych pokojowo od wojowników nieznających łaski. A co ona musiała czuć, kiedy wiedziała, że jej ojciec szczuł potem tych ludzi na jej ukochanego...

– Córki wodza, które pełniły funkcję kapłanek, podlegały bardzo silnemu *tapu* – zauważył kwaśno Ben. – Jest raczej nieprawdopodobne, że taka dziewczyna mogłaby w ogóle zobaczyć jakiegoś *pakeha*, nie mówiąc już o tym, że on mógłby coś takiego przeżyć...

– Kochanie, już nie przesadzaj z tą nauką – roześmiała się Lilian. – Nie piszę przecież rozprawy na temat kultury maoryskiej, tylko powieść.

– A ten właśnie rytuał, pełniący wyjątkową funkcję w dehumanizacji wojownika, dzięki emocjonalnej... – Ben rozpoczął dłuższy wykład, a Lilian przysłuchiwała się z uśmiechem, nie przestając się rozkoszować ostrzygami.

– Niech pan nie zwraca na niego uwagi – powiedział cicho Wilson do Mr Andersona. – Ta mała kocha go tak, jak gdyby był jakimś egzotycznym zwierzęciem domowym. Co prawda jego mowa ciała i formy komunikacyjne są dla niej całkowicie obce, ale jest skłonna zapłacić za karmę i weterynarza.

A potem zwrócił się do Lilian.

– A co zrobimy z pani nazwiskiem, Lilian? Proponuję, aby wybrała pani sobie jakiś pseudonim. Ale może zatrzyma pani chociaż inicjały, dobrze? Co pani sądzi o „Brendzie Boleyn”?

Ostatnie tygodnie ciąży Lilian spędziła przy biurku w nowym, wygodnym mieszkaniu położonym między Queen Street a uniwersytetem. Zaliczka na jej książki wystarczyła nie tylko na czynsz, lecz także na kilka lepszych mebli i poród w szpitalu, do czego zarówno Ben, jak i Thomas Wilson przywiązywali ogromną wagę. Obaj żywili wielkie obawy o Lilian, podczas kiedy ona podchodziła do tego raczej spokojnie. Bóle porodowe rozpoczęły się, kiedy tylko postawiła kropkę po ostatnim zdaniu powieści *Pani na Kenway Station*.

– Właściwie chciałam to jeszcze przeredagować... – stwierdziła z zalem, ale ostatecznie pozwoliła, aby Ben zapakował ją do dorożki. Po ulicach Auckland jeździły już niemal wyłącznie samochody i Lilian w drodze klóciła się z woźnicą, który jej zdaniem jechał zbyt wolno.

Poród był dla niej przeżyciem okropnym nie tylko dlatego, że nie mogło być przy niej Bena – ale bohater jej powieści zrobiłby wszystko, aby poród bohaterki odebrała w odpowiednio dramatycznych okolicznościach córka jego śmiertelnego wroga, którą on oczywiście chciałby potem wychowywać sam jako własne dziecko. Tu sala porodowa była zimna, śmierdziało w niej lizolem, stopy Lilian przywiązano do czegoś podobnego jej zdaniem do szubienicy, a nieokrzesała położna warczała, kiedy Lilian odważyła się wydać z siebie najłżejszy ton skargi. Ta kobieta nie miała nic, ale to nic wspólnego z anielską istotą z pierwszego opowiadania Lilian, lecz nawet gdyby było inaczej, to Lilian i tak doszłaby do wniosku, że rodzenie dzieci jest w rzeczywistości o wiele mniej piękne i romantyczne niż w piosenkach i powieściach.

Dopiero pierwsze spojrzenie na syna pogodziło ją z całym światem.

– Nazwiemy go Galahad! – powiedziała, kiedy wreszcie wpuszczono do niej bladego jak śmierć i niewyspanego Bena.

– Galahad? – spytał skonsternowany. – A co to za imię? W mojej rodzinie...

– To jest imię bohatera! – oświadczyła Lilian, ale przezornie nie zdradziła, że jej syn nie tylko został nazwany tak, jak nazywał się jeden z rycerzy Świętego Graala, ale także, że takie imię miał otrzymać na chrzcie wybawca z *Pani na Kenway Station*.

– A w ogóle, jeśli chodzi o twoją rodzinę...

Ben się roześmiał.

– Sądzisz, że on któregoś dnia odważy się przeciwstawić swojej babce?

Lilian zachichotała.

– Możliwe nawet, że wyrzuci ją z jej własnej kopalni!

Lilian pisała *Dziedziczkę z Wakanui*, stukając w maszynę do pisania, którą podarował jej Thomas Wilson z okazji narodzin syna, a mały Galahad leżał w kołysce obok niej i smacznie spał, kołysany i usypiany od czasu do czasu romantyczną piosenką. Nocą sypiał zwykle między rodzicami, uniemożliwiając w ten sposób poczęcie kolejnego dziecka. I jeśli o to chodziło, Lilian postanowiła być teraz ostrożna. Ben wreszcie zdobył się na odwagę i porozmawiał ze swoimi kolegami na temat możliwych sposobów zapobiegania ciąży, a ci doradzili mu kupno kondomów. Zakładanie takiej grubej gumki przed kochaniem się było wprawdzie uciążliwe, ale Lilian nie miała ochoty na dalsze kontakty

z niesympatyczną akuszerką z Auckland, która przypominała jej groźnego feldfebla. Benowi to bardzo odpowiadało; przede wszystkim cieszył się, że nie musiał już pracować w porcie. *Pani na Kenway Station* przez najbliższe pół roku utrzymywała całą rodzinę. Lilian podpisała umowę na kolejne dwie powieści, a Ben obronił swoją dysertację w początku 1918 roku jako jeden z najmłodszych doktorantów Imperium Brytyjskiego i otrzymał pracę wykładowcy gościnnego na uniwersytecie w Wellington.

Lilian i Ben byli szczęśliwi.

– Co Gloria robi bez przerwy u Maorysów?

Gwyneira znów złamała zasadę nieomawiania problemów rodzinnych z zarządcą farmy Maaką. Ale ciągle nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o swoich zmartwieniach. Gloria mówiła niewiele, Marama także, a o Jacku nadal nic nie było słyhać. A przynajmniej on sam nie pisał. Roly O'Brien, chłopak od Tima, meldował się od czasu do czasu, najpierw z Grecji, a ostatnio z Anglii. Jechał chyba razem z transportem rannych, z którym Jack opuścił Gallipoli, i wspomniął parę razy o swoim przyjacielu. Z początku brzmiało to wręcz przerażająco: „Mr Jack jest ciągle między życiem a śmiercią”, ale ostatnio było już lepiej: „Mr Jack czuje się już lepiej” albo: „Mr Jack może już wstawać”. Dokładniejszy przebieg wydarzeń ciągle był nieznany – Roly nie pisał regularnie, nie potrafił też pisać listów tak, aby można było cokolwiek zrozumieć. Był chłopcem, kiedy zaczął pracować w kopalni, i skończył zaledwie kilka klas.

Gwyneira pocieszała się tym, że Jack przynajmniej żył, nawet jeśli stracił rękę czy nogę. Ale dlaczego nie pisał sam ani też nie podyktował choćby komuś listu – to już było dla niej zagadką. Choć co prawda знаła swego syna i wiedziała, że Jack zwierzał się niechętnie. Kiedy doświadczał go los, to raczej zamykał się w sobie, niż o tym mówił. Także wtedy, po śmierci Charlotte, milczał całymi tygodniami.

Gwyneira czuła ból, ale jakoś próbowała to ukryć. Pilniejszym problemem była sama Gloria – choć na razie spory na farmie ucichły. Dziewczyna nie poganiała już pasterzy ani też nie besztła personelu. Za to jechała prawie codziennie gdzieś na O'Keefe Station i znikała tam razem ze swoim psem i koniem albo szła na piechotę do wioski Maorysów nad jezioro. Gwyneira nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Gloria rzadko zamieniała z nią kilka słów i niemal przestała się pojawiać na posiłki. Jadła coś u Maorysów i nic nie wskazywało na to, że ma dość ich strawy, zwykle zimą raczej skromnej. Kiedy myśliwi wracali z pustymi rękami, były to zazwyczaj słodkie ziemniaki i placki z mąki, ale Gloria chyba przedkładała to nad obiady i kolacje w towarzystwie babki.

Co trochę znikały rysunki i zabawki z jej pokoju, także ozdobne przedmioty będące wytworami sztuki Maorysów – wykonane równie nieporadnie jak artefakty z jej dzieciństwa. Gwyneira przypuszczała, że Gloria próbuje rzeźbić ornamenty i zdobić jadeity.

Maaka to potwierdził.

– Miss Gloria robi to, co robią wiosną kobiety: siedzą razem, szyją, rzeźbią, pracują na polu... Gloria jest często u Rongo.

To ostatnie przynajmniej nie było złą wiadomością. Gwyneira bardzo ceniła maoryską akuszerkę.

– One rozmawiają z duchami...

To z kolei nieco zaniepokoiło Gwyneirę. Nie ulegało wątpliwości, że Gloria zachowywała się dziwnie od chwili swojego powrotu. Jeśli jeszcze wywoływała duchy... Czy nie były to objawy jakiegoś zbliżającego się szaleństwa?

– Dotknij spokojnie tego drzewa... Obejmij je... Poczuj jego siłę i duszę.

Rongo poleciła, aby Gloria rozmawiała z drzewem, podczas kiedy ona zajęła się przygotowaniem ceremonii żniw czerwonych kwiatów *rongoa*. Te święte rośliny mogła dotykać tylko *tohunga*. Za to przy zrywaniu i suszeniu liści *koromiko* wolno było pomagać także Głorii. Były one lekarstwem przy biegunce, bólach i chorobach nerek. Gloria grzecznie starała się zapamiętać, co mówiła jej Rongo, ale rozmawiać z drzewem – to już było dla niej za wiele.

– Co skłania cię do tego, aby sądzić, że drzewo nie ma takiej duszy jak ty sama? – spytała Rongo. – Czy to, że ono nie mówi? Miss Gwyn twierdzi to samo, jeśli chodzi o ciebie...

Gloria uśmiechnęła się zakłopotana.

– Czy też fakt, że ono się nie broni, kiedy rąbie się je siekierami? Może ono ma swoje powody ku temu?

– Jakie powody? – spytała Gloria uparcie. – Jakie mogą być powody, które pozwalają na to, aby ktoś je ścinał?

Rongo wzruszyła ramionami.

– Nie pytaj mnie. Pytaj drzewa.

Gloria oparła się o twardą korę potężnego buka i próbowała poczuć jego siłę. Rongo polecała jej, aby postępowała tak z każdą rośliną, także z kamieniami i wodospadami. Gloria czuła spokój, który emanował z tych wszystkich... czego, istot? Rzeczy? Lubiła przebywać z Rongo. I ze wszystkimi jej duchami.

Rongo zakończyła swoją ceremonię i opowiadała teraz szczegółowo o wyciągach z kwiatów *rongoa*.

– To pomaga na bóle gardła – wyjaśniała. – I można z tego zrobić miód...

– Dlaczego ty właściwie nie zapisujesz tego wszystkiego? – Gloria porzuciła drzewo i szła powoli obok Rongo przez rzadki las. – Wówczas wszyscy mogliby o tym przeczytać.

– Tylko wtedy, jeśli nauczą się czytać – sprecyzowała Rongo. – W przeciwnym wypadku muszą po prostu spytać mnie. – Uśmiechnęła się.

– Ale kiedy byłam w twoim wieku, myślałam dokładnie tak samo. I nawet zaproponowałam mojej babce Matahorua, że to wszystko zapiszę.

– A ona nie chciała? – spytała Gloria.

– Ona nie widziała w tym żadnego sensu. Kto nie potrzebuje wiedzy, nie musi się tym obciążać. A kto chce się nauczyć, musi znaleźć czas na pytanie. I w ten sposób stanie się *tohunga*.

– Ale jeśli się coś zapisuje, to zachowuje się wiedzę dla potomnych.

Rongo się roześmiała.

– Tak myślą *pakeha*. Wy chcecie wszystko zapisywać, drukować... I tym szybciej zapominacie. My zachowujemy naszą wiedzę w sobie.

W każdym z nas. I ona jest w ten sposób żywa. *I ngai wa o mua*... wiesz, co to znaczy?

Gloria skinęła głową. Znała ten zwrot. Dosłownie przetłumaczony znaczył on: „O czasie, który nadejdzie”. Ale tak naprawdę oznaczał on to, co minęło – ku ciąglemu zdumieniu *pakeha* przy każdorazowej próbie uczenia się przez nich maoryskiego. Gloria nigdy się nad tym nie zastanawiała. Ale teraz poczuła gniew.

– Żyć w przeszłości? – spytała. – Ciągle dotykać czegoś, o czym chciałoby się zapomnieć?

Rongo usiadła na skale, przytuliła do siebie dziewczynę i pogłaskała ją kłiwie po włosach. Wiedziała, że nie chodzi tu o wiedzę o tym, jak robić miód z kwiatów *rongoa*.

– Jeśli stracisz swoje wspomnienia, to zniszczysz siebie – powiedziała łagodnie. – Twoja historia sprawiła, że jesteś tym człowiekiem, którym jesteś.

– A jeżeli nie chcę nim być? – spytała Gloria.

Rongo wzięła w dłonie jej rękę.

– Twoja podróż jeszcze się nie skończyła. I nieprędko się skończy. Ciągle zbierasz wspomnienia. I zmieniasz się... Także dlatego niczego

nie zapisujemy, Gloria. Bo zapisanie oznacza ustanowienie czegoś. A teraz pokaż mi drzewo, z którym rozmawiałaś przedtem.

Gloria zmarszczyła czoło.

– Jak mam je odnaleźć? Tu przecież są tysiące buków. I wszystkie są takie same.

Rongo się roześmiała.

– Zamknij oczy córko, a ono cię zawoła...

Gloria ciągle jeszcze czuła irytację, ale poszła za radą mądrej kobiety. Za chwilę bez wahania podeszła do jednego z drzew.

Rongo Rongo uśmiechnęła się do niej.

Gloria rzeczywiście nie mogła się uporać ze swymi wspomnieniami, ale życie wydawało jej się łatwiejsze, kiedy przebywała wśród swojej maoryskiej rodziny. Gwyneira nie zadawała jej żadnych pytań i wyraźnie próbowała powstrzymać się od wszelkiej krytyki poczyną wnućki. Jednak Gloria ciągle dostrzegała dezaprobatę w jej oczach i słyszała wyrzuty w jej głosie.

Marama potrząsnęła głową, kiedy jej o tym opowiedziała.

– Oczy twoje i Miss Gwyn są przecież takie same. I trudno rozróżnić wasze głosy...

Gloria chciała ostro zaprotestować. Ona sama miała jasnoniebieskie oczy, a oczy Gwyneiry do dziś zachowały swoją niesamowitą barwę, którą wszyscy określali jako lazururowy błękit. Ten kolor odziedziczyła Kura-marō-tini. Także głosy obu kobiet były inne – głos Gwyneiry był wyraźnie wyższy niż głos Glorii. Ale Gloria już dawno spostrzegła, że wypowiedzi Maramy nie należało brać dosłownie.

– Kiedyś to zrozumiesz – oświadczyła Marama spokojnie w odpowiedzi na skargi Glorii. – Daj sobie trochę czasu...

– Daj sobie trochę czasu – powtórzyła Marama swoim śpiewnym głosem. Siedziała naprzeciwko Gwyneiry we *whareni*, domu zebrzań.

Zwykle przyjmowała swoją teściową na zewnątrz, nie zachowując żadnych sztywnych form, ale dziś na dworze padał ulewny deszcz. Etykieta Maorysów nie była obca Gwyneirze. Dawno opanowała *karanga*, powitalny rytuał przed wejściem do domu zebrzań: bez wezwania zdjęła buty i nie skarżąc się na dokuczający jej artretyzm, usiadła na podłodze.

– Dlaczego nie chcesz pozwolić jej pójść z nami? U nas przecież nic się jej nie stanie.

Powodem wizyty Gwyneiry był ostatni „zwariowany pomysł” jej prawnuczki Glorii. Szczep Maorysów planował udać się na wędrownkę i Gloria upierała się, że do nich dołączy.

– Przecież wiem o tym. Ale ona powinna zaaklimatyzować się na Kiward Station! A tak się nie stanie, jeśli będzie całymi miesiącami wędrować z wami. Marama, jeśli to są kwestie ekonomiczne...

– My nie potrzebujemy jałmużny! – Rzadko się zdarzało, żeby Marama podnosiła głos, ale ostatnie słowa Gwyneiry zraniły jej dumę. Choć rzeczywiście maoryskie szczepy Wyspy Południowej udawały się na wędrownkę ze względów praktycznych i działo się to częściej niż wśród szczepów Wyspy Północnej. Tam panowały znacznie lepsze warunki dla ogólnie pojętej gospodarki rolnej. Na Wyspie Południowej plony były często niewielkie i jeśli wiosną zapasy się kończyły, szczep udawał się w drogę, aby następnych kilka miesięcy żyć z polowania i połowu ryb.

Ale na razie nie było mowy o „biedzie”. Ziemia dostarczała dość żywności, choć akurat nie wszędzie, gdzie się zatrzymywano. Szczep przenośli się więc tam, gdzie jej było więcej, a ta przygoda, przynajmniej dla najmłodszych członków szczepu, była od dawna wyczekiwana przyjemnością. Wędrownki miały także aspekty duchowe. Ziemia stawała się ludziom jeszcze bliższa, można się było też pojednać z górami i rzekami, które oferowały także pożywienie i dach nad głową. Dzieci poznawały odległe, ważne pod względem duchowym miejsca, odnawiano przymierze z Te Waka a Maui.

Gwyneira zagryzła wargi.

– Wiem, ale... Co z Wiremu, Marama? Maaka mówi, że ona z nim rozmawia...

Marama skinęła głową.

– Tak. Też to zauważyłam. To jedyny mężczyzna, z którym od czasu do czasu rozmawia. To ostatnie mnie trochę martwi, a pierwsze nie...

Gwyneira odetchnęła głęboko. Zachowanie spokoju przychodziło jej z wyraźnym trudem.

– Marama! Znasz przecież Tongę! To nie jest zaproszenie na spacer ze szczepem, to są starania o rękę. On chce wyswatać Glorię z Wiremu!

Marama wzruszyła ramionami. Jej pełna spokoju postawa przypominała Gwyneirze o tamtej dziewczynie, która potraktowała swoją własną miłość i początkowe odrzucenie jej przez Paula z taką oczywistością, jak gdyby to był letni deszcz.

– Jeśli Gloria kocha Wiremu, to ich nie rozdzielisz. Jeśli ona nie kocha Wiremu, to Tonga też nie wyswata jej z Wiremu. Nie może jej zmusić, aby położyła się z jego synem w domu wspólnoty. A więc zostaw to wszystko Glorii!

– Przecież nie mogę tego zrobić! Ona... ona jest dziedziczką! Jeśli poślubi Wiremu...

– To ta ziemia nadal nie będzie należała do Tongi i szczepu, lecz do dzieci Glorii i Wiremu. Może one będą pierwszymi „owczymi baronami” z maoryską krwią. Może oddadzą tę ziemię szczepowi. Nie dożyjesz już tego, Miss Gwyn, podobnie jak Tonga. Ale te góry ciągle będą istnieć, a wiatr nadal będzie poruszał wierzchołkami drzew... – Marama zrobiła ręką gest oznaczający poddanie się władzy bogów.

Gwyneira westchnęła, bawiąc się włosami. Ciągle nosiła je upięte w ciasny kok, tak jak przystało w jej wieku, ale jak zawsze, kiedy się denerwowała, wymknęło się z niego kilka pasm. Gwyneira nigdy nie potrafiła być wobec czegośkolwiek obojętna. A teraz miała ogromną ochotę, aby coś z wielkim hałasem rozwalić. Najchętniej bardzo strzeżony topór wodza Tongi, insygnium jego władzy.

– Marama, ja nie mogę do tego dopuścić. Ja muszę...

Marama nakazała jej gestem milczenie. Wydawało się, że jest teraz bardziej surowa niż zwykle.

– Gwyneiro McKenzie – powiedziała twardo – oddałam ci dwoje moich dzieci. Najpierw Kurę, a potem Glorię. Wychowałam je zgodnie ze zwyczajami *pakeha*. I popatrz, co z nich wyrosło!

Gwyneira spojrzała na nią z wściekłością.

– Kura jest szczęśliwa! – odparła.

– Kura jest kobietą wędrującą po obcym kraju... – wyszeptowała Marama. – Bez oparcia. Bez szczepu.

Gwyneira była przekonana, że Kura widziała to zupełnie inaczej, ale z punktu widzenia Maoryski pełnej krwi, która żyła w swoim własnym kraju, jej córka była stracona.

– A Gloria... – Gwyneira urwała nagle.

– Pozwól Glorii pójść z nami, Gwyn – powiedziała Marama łagodnie. – Nie rób kolejnego błędu.

Gwyneira z rezygnacją skinęła głową. Nagle poczuła, że jest już stara. Bardzo stara.

Marama przycisnęła na pożegnanie czoło i nos do twarzy Gwyneiry. Ten gest był dziś pełen wewnętrznej wymowy i pociechy – o wiele bardziej niż w czasie zwykłego pozdrowienia.

– Ach, wy, *pakeha*... – wymruczała. – Wszystkie wasze drogi mają być proste i równe. Wyzieracie je ziemi, nie słysząc jej stękania. A tak często kręte i kamieniste ścieżki są krótsze i można po nich iść w spokoju ducha...

Gloria szła za Maramą przez wysoką, mokrą trawę. Od wielu godzin padało właściwie bez przerwy i nawet Nimue nie odczuwała już przyjemności z tego długiego spaceru. Kobiety i mężczyźni maoryskiego szczepu wędrowali ze stoickim spokojem, zatopieni we własnych myślach. Śmiechy i rozmowy, które zwykle rozbrzmiewały w czasie wędrownki, dawno już umilkły. Gloria zastanawiała się, czy była jedyną osobą, która tęskniła za jakąś suchą kwaterą, albo czy inni umacniali może jakąś tajemną wiedzę i poczucie wspólnoty, którego ona zupełnie nie odczuwała. Po trzech dniach marszu w deszczu i ciągłej wilgoci miała już niemal dość swojej przygody. A przecież tak się cieszyła na tę wędrownkę, kiedy Gwyneira wreszcie wyraziła swoją zgodę. Gloria chętnie widziałaby to jako triumf, ale jej prababka sprawiała wrażenie tak

smutnej, starej i przybitej, że Gloria omal nie zrezygnowała.

– Pozwalam ci iść, bo nie chcę cię stracić – powiedziała Gwyneira i było to zdanie, które raczej można było usłyszeć od Maramy. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Od tej chwili wspólne życie z babką stało się jeszcze trudniejsze. Gloria próbowała niemal dostarczyć jej powodów do gniewu i odrzucenia, ale miała wyrzuty sumienia. Złościło ją, że ona sama odbierała to wszystko tak, jak gdyby była dzieckiem.

I w chwili pożegnania nie pozwoliła wprawdzie się objąć, ale wymieniła z Gwyneirą bardzo intymny gest *hongī*. Czują dotyk pomarszczonej, suchej, ale ciepłej skóry Gwyneiry i zapach jej mydła – miodu i róży. Babka używała tego mydła, jeszcze kiedy Gloria była całkiem mała – Gloria doskonale pamiętała jej pełne ciepła objęcia. Za to Jack pachniał skórą i tłuszczem do smarowania końskich kopyt. Dlaczego pomyślała teraz właśnie o Jacku?

Gloria odetchnęła, kiedy wędrowka wreszcie się zaczęła i pierwsze jej godziny były naprawdę piękne. Śmiała się i cieszyła, podobnie jak wszyscy, i czuła się naprawdę wolna i otwarta na nowe wrażenia – ale także bezpieczna ze swoim szczepem. Zgodnie z tradycją kobiety i dzieci szły w środku grupy, mężczyźni je otaczali ze wszystkich stron. Nieśli swoje włócznie i broń myśliwską; kobiety ciągnęły za sobą o wiele cięższe plandeki do stawiania namiotów, garnki oraz patelnie. Po kilku godzinach Gloria zaczęła się zastanawiać, czy to jest sprawiedliwe.

– Ale oni muszą mieć możliwość ruchu! – wyjaśniła jej Pau. – Jeśli ktoś nas zaatakuje...

Gloria przewróciła oczami. Znajdowali się przecież ciągle na terenie Kiward Station, a później, na obszarach McKenzie Highlands, także nie było żadnych wrogich plemion. Nikt nie zagrażał Ngai Tahu. Pomyślała, że jednak powinna przestać myśleć jak *pakeha*.

O trudach podróży Gloria w ogóle przed wyruszeniem nie myślała, ani też się tym nie martwiła. Sądziła, że jest o wiele bardziej wytrwała niż pozostali; miała przecież za sobą wędrowkę przez pustynie Australii. Ale wówczas gnała ją rozpacz i wola dotarcia do domu za wszelką cenę; była jak bez czucia i miała przed oczami tylko swój cel.

Jednak Canterbury Plains, które powoli przechodziło w przedgórze Alp Południowych, było już inne. Tu nie było już sucho i gorąco, lecz wilgotno i zimno – a przynajmniej takie wydało się ono przemoczonym wędrowcom. Już po kilku godzinach wędrowki zaczął padać deszcz i kurtka Glorii, jej koszula i bryczesy wkrótce były zupełnie przemoczone. Maorysi także przemokli, ale nikt nie zamierzał przerwać marszu tylko z powodu deszczu. Dopiero wieczorem rozstawiono prowizoryczne namioty, a kobiety podjęły próbę rozpalenia ognia. Wynik nie był zadowalający.

Ludzie w końcu tulili się do siebie w poszukiwaniu odrobiny ciepła – tylko Gloria cofnęła się niemal przerażona gdzieś na bok i zwinęła się w wilgotny koc. Nie myślała przedtem o noclegach we wspólnym namiocie – a oczywiście wiedziała, że wszyscy członkowie szczepu także w pozostałym czasie sypiali razem we wspólnym domu. Teraz Gloria leżała, nie zmrzywszy oka, nasłuchując odgłosów śpiących ludzi – chrapania, stękania, czasem też chichotania i jęków rozkoszy kochającej się pary. Najchętniej by uciekła, ale na dworze cały czas padało.

Zła pogoda utrzymywała się w czasie kolejnych dni i Glorii przemknęła przez głowę myśl, czy Gwyneira i jej ludzie będą zwozić siano, jeśli dalej będzie tak padać. A poza tym miała dosyć własnych problemów – jej buty do konnej jazdy, które włożyła na wędrowkę, zaczynały się po prostu rozpadać od ciągłej wilgoci. Maorysi śmiali się z tego. Oni szli boso i radzili Glorii, aby zrobiła to samo. W końcu rzeczywiście zdjęła przemoczone buty, ale nie była przyzwyczajona do długich wędrowek boso. Marża i czuła się okropnie.

Piątego dnia nie była już w stanie zrozumieć, jak mogła porzucić swój suchy, ciepły i tak spokojny pokój na Kiward Station.

Z wdzięcznością przyjęła plandekę, którą przyniósł Wiremu – była to jakaś ochrona przed deszczem. Młody Maorys sprawiał wrażenie równie sfrustrowanego i zmarzniętego jak ona, choć się do tego oczywiście nie przyznawał. Ale Wiremu także odebrał wychowanie *pakeha*. Lata spędzone w internacie w Christchurch nie minęły bez śladu. Gloria niemal czuła, że Wiremu także żałował swojej decyzji wyruszenia na wędrowkę. Chciał zostać lekarzem, a teraz szedł ze swoim szczepem przez pustkowia. Spojrzała na Tongę, który kroczył niewzruszenie naprzód, wyprzedzając swoich ludzi.

– Nie możemy zatrzymać się na odpoczynek wcześniej? – spytała Gloria z rozpaczą. – Nie rozumiem, co was tak gna do przodu... – Urwała nagle, zrozumiałwszy swoje faux pas. Nie powinna była powiedzieć „was”. Musi się nauczyć myśleć o sobie i Ngai Tahu „my”, jeśli chce należeć do szczepu. A niczego przecież nie pragnęła bardziej niż właśnie tego...

– Kończą nam się zapasy, Glory – wyjaśnił Wiremu. – Nie możemy polować, bo przy tej pogodzie żaden królik nawet nie wychyli się z nory. A rzeka jest zbyt rwąca i ryby nie wpadną do zastawionych sieci. Idziemy więc jak najszybciej nad Lake Tekapo.

Szczep szedł już od wielu godzin wzdłuż brzegów Tekapo River, która z powodu opadów rzeczywiście stała się rwącą rzeką.

Nad jeziorem, tłumaczył Wiremu, zamieszkają na kilka dni, a może nawet tygodni. Było tam dostatecznie dużo ryb, a otaczające je lasy były też pełne zwierzyny.

– Zawsze tam obozowaliśmy, już od niepamiętnych czasów – uśmiechnął się Wiremu. – To jezioro nawet zostało odpowiednio do tego nazwane – *po* znaczy noc, *taka* – mata do spania.

Gloria marzyła teraz o takiej macie, przede wszystkim suchej, znajdującej się w jakimś domu. Nie powiedziała jednak nic, tylko próbowała dopasować swój krok do pozostałych idących.

Pod wieczór deszcz wreszcie nieco osłabł.

– Nad jeziorem prawie wcale nie pada – powiedział Wiremu. – Jak Rangī mogłaby płakać, patrząc na coś tak pięknego...

I rzeczywiście, jezioro w ostatnich promieniach zachodzącego słońca stanowiło widok wprost zapierający dech w piersiach. Zielone łąki Canterbury Plains graniczyły z jego północnym brzegiem, a po drugiej stronie wznosiły się już majestatyczne zbocza Alp Południowych. Turkusowe wody jeziora migotały – w pełnym słońcu na pewno rozbłysną błękitem. Kobiety powitały jezioro piosenkami i śmiechem. Rongo uroczyście zaczerpnęła wody i tym razem udało się też rozpalic duże ognisko na brzegu. Mężczyźni udali się na polowanie, a na ognisku wnet piekły się ryby i podplomyki upieczone z ostatnich zapasów mąki. Marama oraz kilka kobiet wyciągnęły instrumenty z dość szczelnych opakowań i wkrótce zabrzmiała muzyka. Wszyscy świętowali przybycie nad jezioro. Oczywiście namioty i maty do spania były jeszcze wilgotne, kiedy wszyscy członkowie szczepu udali się na spoczynek, ale ta mała uroczystość bardzo poprawiła nastrój. Tej nocy w namiocie kochało się wiele par. Gloria czuła niechęć i mdłości. Czowała, że musi wyjść.

Zawinięta w swój koc wymknęła się z namiotu. Niebo nad jeziorem było całkiem czarne, a na szczytach gór leżał jeszcze śnieg. Dziewczyna rozejrzała się dookoła i próbowała pogodzić się ze wszystkim, zjednoczyć się, tak jak radziła jej Rongo Rongo. Nie było to trudne, jeśli chodziło o niebo, jezioro i góry. Ale czuła, że nie uda jej się to nigdy ze szczepem...

Przestraszyła się, kiedy usłyszała za sobą kroki. Wiremu.

– Nie możesz spać?

Gloria nie odpowiedziała.

– Z początku też mi to przychodziło z trudem, kiedy wróciłem z miasta. Ale jako dziecko kochałem to.

Poznała po jego głosie, że się uśmiechał.

– Turlaliśmy się od jednej kobiety do drugiej, jedno ramię zawsze było wolne.

– Moja matka mnie nie chciała – powiedziała Gloria.

Wiremu skinął głową.

– Słyszałem o tym. Tak, Kura była inna. Ledwo ją pamiętam...

– Ona jest piękna – odpowiedziała.

– Ty jesteś piękna. – Wiremu podszedł do niej bliżej i podniósł rękę. Chciał dotknąć jej twarzy, ale Gloria cofnęła się przerażona.

– *Tapu?* – spytał łagodnie.

Ale Gloria nie potrafiła zartować na ten temat. Zaczęła się czujnie cofać w stronę namiotu.

– Możesz się spokojnie odwrócić, nie napadnę na ciebie. – Wiremu poszedł za nią i ujął ją za ramię, ale refleks dziewczyny nie odróżniał dotknięć przyjacielskich od wrogich. A przynajmniej nie nocą. Dziewczyna błyskawicznie chwyciła za nóż. Wiremu schylił się, widząc błysk ostrza, upadł na ziemię i poturlał się w dół.

Gloria patrzyła przerażona, jak podniósł się ostrożnie i popatrzył na nią ze strachem.

– Glory...

– Nie dotykaj mnie! Nigdy mnie nie dotykaj!

Wiremu usłyszał panikę w jej głosie.

– Gloria, przecież zawsze byliśmy przyjaciółmi. Nic ci nie chciałem zrobić. Hej, popatrz na mnie! Jestem Wiremu, nie wiesz? To ja, człowiek, który chciał zostać znachorem.

Gloria bardzo powoli odzyskiwała panowanie nad sobą.

– Przykro mi – powiedziała cicho. – Ale ja... Ja nie lubię, jeśli ktoś mnie dotyka.

– Mogłaś o tym po prostu powiedzieć. Gloria – przecież ja akceptuję *tapu*, wiesz o tym. – Wiremu uśmiechnął się znowu i podniósł w górę obie ręce, odwracając otwarte dłonie w jej stronę. Znak pokoju.

Skinęła nieśmiało głową. Idąc obok siebie, ale nie dotykając się, weszli razem do namiotu.

Tonga, który spał w osobnym namiocie, zobaczył ich. Uśmiechnął się z zadowoleniem i położył się znowu.

Pogoda nad jeziorem była rzeczywiście nieco lepsza niż na dole, na Canterbury Plains, choć nadal sporo padało. Szczep Ngai Tahu nie musiał głodować; ryb i mięsa było aż nadto i od tej chwili wszystkim wiodło się dobrze. Gloria towarzyszyła Rongo w poszukiwaniu leczniczych ziół. Uczyla się, jak zbierać i moczyć len, i słuchała opowieści Maramy o Harabeke, bogu Inu, który był wnukiem Papa i Rangī. Kobiety opowiadały też o bogach jeziora i gór, opisywały podróże Kupes, pierwszego odkrywcy Aotearoa, i jego walki z olbrzymimi rybami i potworami.

Czasami spotykali się z innymi szczepami – wtedy zwykle miała miejsce *pohiri* – bardzo długa ceremonia powitalna, której szczegółów należało ściśle przestrzegać – i na zakończenie urządzali radosne święto. Gloria tańczyła z innymi dziewczętami i dmuchała w *koauau*, przygrywając do wojennej *haka*. Powoli zapominała o ciągłym lęku i obawie, że coś zrobi nie tak. Marama i inne kobiety nie ganiły swoich uczennic, lecz cierpliwie wyjaśniały, co robiły źle. Drobne spory między dziewczętami nigdy nie były tak ostre jak w internacie, już choćby dlatego, że dorośli nigdy nie stawali po czyjejkolwiek stronie. Gloria uczyła się rozróżniać dobronudne kpiny maoryskich dziewcząt od bezlitosnych złośliwości dawnych koleżanek z klasy i potrafiła się roześmiać, kiedy Pau dokuczala jej, że wykonana przez nią piłka *poi poi* przypomina jajko jakiegoś dziwnego ptaka. Ponieważ piłka nie była okrągła, w czasie tańca zataczała zabawne elipsy, i kiedy trafiła w głowę Ani, Gloria oświadczyła, że to jakaś cudowna broń.

– To musi być tylko trochę bardziej miękkie, Glory, musisz spróbować robić z *pounamu!*

Potem dziewczęta zaczęły szukać kamieni na dnie potoku, a wieczorem Rongo pokazała im, jak można zrobić naszyjnik mający kształt boga z kamienia podobnego do jadeitu. Gloria i Ani podarowały sobie nawzajem swoje *hei-tiki* i obie nosiły je potem dumnie na szyjach.

A Wiremu zrobił Glorii niespodziankę, dając jej w prezencie jeszcze piękniejszy, oczywiście wykonany przez siebie naszyjnik – nie było w tym nic dziwnego, bo rzeźbił w kamieniu już od dawna. Wręczył go dziewczynie, mówiąc:

– Oby przyniósł ci szczęście!

Inne dziewczęta klaskały w czasie tej sceny, a Glorii było nieprzyjemnie. Lecz ufała Wiremu. Był jej przyjacielem, ale nikim więcej.

Chociaż dni spędzane w kręgu nowej rodziny zaczęły sprawiać Glorii coraz większą przyjemność, to noce ciągle odbierała jako męczące. O ile pozwalała na to pogoda, wymykała się z namiotu i spała na zewnątrz, mimo że przerażał ją każdy szelest. Wiedziała, że nie ma tu żadnych krokodyli ani węży, jak w Australii – ale choć powtarzała to sobie często, strach tkwił głęboko w niej samej. A w czasie tych ciepłych nocy można było usłyszeć wiele różnych dźwięków i szmerów. Dziewczęta i chłopcy, chichocząc, opuszczali namiot albo znikali jeszcze sprzed ogniska, przy którym wszyscy siedzieli wieczorem. A potem pary kochały się w piniowym lesie albo za skałami w trawie.

Gloria bała się także tych mężczyzn, którzy nocą wychodzili z namiotu, aby oddać moc. Wiedziała, że nie zrobią jej nic złego, ale już sama sylwetka mężczyzny na tle jeziora wystarczała, aby jej serce zaczynało bić jak szalone.

Noce nie zawsze były tak samo ciepłe i pogodne, ale Gloria mimo to nie mogła wytrzymać w namiocie, siedziała na zewnątrz zawinięta w wilgotny koc i dygotała z zimna. Czasami zjawiał się tam także Wiremu. Siadał na ziemi daleko od niej i po chwili zaczynali rozmawiać. Wiremu opowiadał jej o czasie, który spędził w Christchurch, o tym, jak bardzo samotny czuł się na początku i jak bardzo był zrozpaczony, kiedy dokuczali mu inni studenci.

– Ale przecież mimo wszystko podobało ci się tam! – dziwiła się Gloria. – Chciałeś nawet zostać dłużej i studiować.

– Szkoła mi się podobała. I jestem synem wodza. Jestem na tyle silny, że potrafiłem napędzić stracha chłopcom *pakeha* i nauczyć ich respektu. Czasami były potem jakieś problemy z nauczycielami, kiedy chłopcy się skarżyli. Ale na ogół trzymali później buzie na kłódki.

Mana... wiesz przecież. – Uśmiechnął się.

Gloria rozumiała. Wiremu potrafił zdobyć sobie szacunek i poważanie w szczepie oraz stawić czoło dręczącym go duchom.

– Ale mimo to byłeś samotny – stwierdziła Gloria.

– *Mana* sprawia, że zawsze jest się samotnym. Wódz ma władzę, ale nie ma przyjaciół.

To była prawda, Tonga przeważnie był sam. Co prawda niejako na własne życzenie. Musiał jednak często przypominać członkom swojego szczepu, którzy już bardzo ulegli zachodnim wpływom, jakie *tapu* związane były z jego godnością wodza.

Wiremu opowiadał też, że później, dzięki doskonałym wynikom w nauce, w *pakeha highschool* zaczęto go darzyć wielkim szacunkiem. I dopiero na uniwersytecie doszło do eskalacji konfliktu. Trafił tu na nowych kolegów, którzy nigdy nie zawarli znajomości z jego pięściami. Dodał z uśmiechem, że był już zbyt cywilizowany na to, aby się z nimi bić.

Gloria niechętnie mówiła o swoim dzieciństwie w Anglii. Opowiedziała trochę o Miss Bleachum i o tym, że zawsze interesowała się roślinami i zwierzętami.

– Miss Bleachum była zdania, że powinnam studiować przyrodę. Wówczas mogłabym zostać w Dunedin. Ale ja za mało umiem i wiem... W szkole tylko muzykowaaliśmy i malowaliśmy... I oglądaliśmy dziwne obrazy.

Gloria wspominała o Europie i Zeusie, który się w niej zakochał i zamienił się w byka, aby uciec przed rozgniewaną małżonką. Wiremu poznał trochę łaciny i greki w college'u i opowiedział tę historię na sposób maoryski, w barwny i ciekawy sposób. Znakomicie się przy tym bawił. Gloria się zaczerwieniła – jedynie współczuła porwanej księżniczce, która z pewnością miała inne plany co do własnego życia i nie chciała być kochanką ojca wszystkich bogów. W czasie kolejnych dni Wiremu często przynosił Glorii interesujące egzemplarze roślin i owadów, a któreś nocy zbudził ją ostrożnie, aby jej pokazać ptaka kiwi. Szli, nasłuchując ostrych gwizdów wydawanych przez tego dziwnego, aktywnego nocą ptaka o brązowym upierzeniu i długim, zakrzywionym dziobie. Rzeczywiście znaleźli go pod jakimś krzakiem. W Aotearoa, a zwłaszcza na przedgórzu Alp żyło wiele ptaków aktywnych nocą, ale niełatwo było zobaczyć kiwi. Gloria szła za przyjacielem, którego darzyła teraz pełnym zaufaniem, aby móc obserwować zwierzę. Wiremu coraz częściej zapraszał ją na takie nocne spacerki, ale nigdy jej nie dotknął.

Te wycieczki z synem wodza nie uszły uwadze innych dziewcząt i były częstym tematem ich rozmów. Dostrzegły to także dorosłe kobiety, a Tonga sprawiał wrażenie nad wyraz zadowolonego.

Po jakimś czasie Ngai Tahu opuścili jezioro i powędrowali w góry. Aoraki, najwyższy szczyt wyspy, uchodził za święty i dlatego wszyscy chcieli być bliżej niego.

– Kilku *pakeha* weszło jakiś czas temu na jego wierzchołek – opowiadała Rongo. – Ale duchom to się nie podobało.

– To dlaczego na to pozwoliły? – spytała Gloria. Znała tę górę jako „Mount Cook” i słyszała o tej ekspedycji.

Rongo udzieliła jej swojej standardowej odpowiedzi:

– Nie pytaj mnie, pytaj góry.

Wreszcie powędrowali w okolice McKenzie Highlands i Gloria odważyła się któregoś wieczoru opowiedzieć przy ognisku historię dziadka Jamesa w tak barwny sposób, w jaki robili to Maorysi. Starannie dobierając słowa i budując długie, rozbudowane zdania w języku maoryskim, opowiedziała o spotkaniu McKenzie’ego z jego córką Fleurette i o tym, jak John Sideblossom schwytał Jamesa i doprowadził do jego wygnania do Australii jako złodzieja bydła.

– Ale mój dziadek wrócił z wielkiego kraju za morzem, w którym ziemia jest czerwona jak krew, a szczyty gór wydają się rozżarzone. I żył potem jeszcze długo.

Słuchacze głośno wyrazili swój aplauz, a Marama uśmiechała się do niej życzliwie.

– Będziesz *tohunga*, jak tak dalej pójdzie. Ale to nic dziwnego. Twój ojciec też był mistrzem pięknych słów. Choć trzeba przyznać, że robi z nich dziś dziwny użytek...

Pochwała Maramy dodała Glorii skrzydeł i dziewczyna ćwiczyła sztukę pięknego wystawiania się. Intensywnie pracowała nad swoją *pepeha* – osobistym przedstawieniem samej siebie, które może wygłosić każdy Maorys, jeśli tego wymaga ceremonia. Wymieniano przy tym swoich *tupuna* – przodków – i opisywano łódź oraz wszystkie szczegóły podróży, która zaprowadziła ich do Aotearoa. Marama pomagała Glorii nazwać szczep, który utworzyli przybysze, i pokazała jej miejsca, gdzie oni mieszkali. Szczególnie fascynująca była dolina, która sprawiała wrażenie naturalnej twierdzy. Dziś była ona *tapu* – kiedyś walczyło tam z sobą kilku ludzi, a może działo się tam coś innego, ale tego nikt już nie wiedział. Do tej doliny mężczyźni ze szczepu bali się wejść, ale Rongo i Marama zaprowadziły do niej Glorię i medytowały razem z nią przy ognisku. Gloria zawarła dokładnie opis skalnej twierdzy w swojej *pepeha*.

Oczywiście znacznie trudniej było opisać gałąź rodziny wywodzącą się z *pakeha*, ale Gloria wymieniła nazwę statku, na którym Gwyneira płynęła do Nowej Zelandii, po czym opowiedziała o celu jej podróży – Kiward Station. Nazwała też swój *iwi* – ród: Warden. Na koniec opisała barwnie miejsce, w którym się urodziła, i odczuła przy tym coś w rodzaju tęsknoty. Ngai Tahu byli już od trzech miesięcy w drodze. I choć Gloria należała do szczepu i po raz pierwszy od wielu lat czuła się naprawdę akceptowana, to jednak często miała uczucie, że wiedzie życie osoby innej niż ta, którą rzeczywiście była. Grała rolę maoryskiej dziewczyny i było jej z tym dobrze. Ale czy naprawdę chciała nią być? A kim w ogóle była? Dotychczas Gloria nigdy nie protestowała przeciwko temu, czego od niej oczekiwano. Uczyła się znajdować i przechowywać lecznicze rośliny. Ćwiczyła sztukę tkania płótna i rozumiała już znaczenie wzorów tkackich. Przygotowywała mięso, które przynosili mężczyźni z polowania. Ale im więcej czasu spędzała z kobietami ze szczepu, tym bardziej jasne stawało się dla niej, że właściwie nie robiła nic innego niż Moana i Kiri w kuchni na Kiward Station. Fakt, gotowano pod gołym niebem, obok innych prac, ale to była jedyna różnica. Glorii więcej przyjemności sprawiało jednak pomaganie na farmie i praca koło owiec i bydła. Brakowało jej zwierząt.

Maorysi nie robili jej żadnych przeszkód, kiedy chciała się do nich przyłączyć i iść na polowanie albo na połów ryb. Jedno i drugie było jak najbardziej dozwolone dla kobiet; każda maoryska dziewczyna uczyła się, jak ma sobie radzić sama w razie konieczności. Choć co prawda wspólne polowanie nie było rzeczą aż tak oczywistą, i jeśli z mężczyznami wybierała się dziewczyna, ci natychmiast skłaniali się do tego, aby rozumieć to jako próbę zbliżenia. Tego Gloria wołała nie ryzykować. Z początku próbowała namówić swoje przyjaciółki, aby przyłączyły się razem z nią do polowania albo połowu ryb. Kiedy Pau albo Ani dały się przekonać, to wspólne zajęcia z chłopcami szybko przeradzały się we flirt, w który dziewczęta próbowały oczywiście wciągnąć Glorię. A Gloria tego nienawidziła!

Przeważnie więc siedziała przy ognisku i od czasu do czasu towarzyszyła Wiremu przy połowie ryb. I kiedy uczyła się, jak pleść więcierze z trzciny, w które zakładano przynęty dla ryb, kobiety we wsi mówiły coraz głośniej o jej stosunku do Wiremu. Wieczorami droczono się z nią na ten temat – i następnego ranka Gloria znów zostawała przy namiotach.

Ale jeśli nawet łatwiej byłoby dzielić z mężczyznami ich zadania, zamiast siedzieć z kobietami przy ognisku, to Gloria widziała coraz wyraźniej, że polowanie i połów ryb nie za bardzo jej odpowiadały. Oczywiście nie była naiwna – także na Kiward Station od czasu do czasu zarzynano zwierzęta, a Gloria, od kiedy była małą dziewczynką, łowiła ryby na wędkę. Ale nie chciała zabijać codziennie tylko po to, aby móc się utrzymać i przetrwać. Brakowało jej cierpliwości, aby konstruować pułapki i potem sprawdzać, czy coś w nie wpadło, nienawidziła też wyciągać z nich ptaków i małych gryzoni, jeśli te się w nich udusiły. Brakowało jej pracy hodowcy zwierząt, który opiekuje się swoimi zwierzętami przez całe lata, troszczy się o wyniki sparowania owcy maciorki i tryka, kobyły i ogiera, a potem cieszy się z narodzin kolejnych zwierząt, a nie z ich śmierci. Polowanie nie ekscytowało Glorii zupełnie.

Toteż nie martwiła się, kiedy szczep wyruszył wreszcie w drogę do domu. Tonga co prawda chętnie powędrowałby jeszcze dalej, także Rongo była trochę rozczarowana, bo chciała pokazać Glorii jeszcze więcej fragmentów ojczyzny Ngai Tahu. Wtajemniczała dziewczynę z każdym dniem w kolejne *tapu* i *tikania*, jak też w całą obyczajowość szczepu. Marama od czasu do czasu robiła aluzje, że znaczorka zapewne myślała o następczyni – Rongo miała trzech synów, ale nie miała córki.

Lato jednak powoli zbliżało się do końca i jak to zwykle bywało we wszystkich szczepach Wyspy Południowej, znaleźli się mężczyźni i kobiety, którzy przeforsowali swoją wolę – nawet jeśli to było wbrew woli ich wodza i znaczorki. Jesienią na Kiward Station odbywał się zawsze spód zwierząt. Do tego potrzebni byli mężczyźni, można też było zarobić sporo pieniędzy. Poza tym dojrzywały już nasiona, które kobiety złożyły w ziemi przed wyruszeniem szczepu na wędrowną. Plony żniw i zrobione u *pakeha* pieniądze pozwalały rodzinom przetrwać zimę bez konieczności męczących wędrowek i polowań w czasie deszczu i zimna. Tonga wprawdzie zarzucał, że nie było to zgodne z obyczajami szczepu i że w ten sposób uzależniano się od białych. Jednak ogień i nieco luksusu, choćby w postaci narzędzi *pakeha* oraz garnków do gotowania i przypraw, były dla jego ludzi ważniejsze niż tradycja.

To oczywiście nie oznaczało, że któregoś dnia po prostu wszyscy odwracali się na pięcie i ruszali najkrótszą trasą w stronę Canterbury Plains. Droga powrotna także trwała całymi tygodniami, w czasie których odwiedzano święte miejsca i *marae* innych szczepów. Gloria opanowała doskonale zwyczaje, których przestrzegano w czasie ceremonii. Śpiewała i tańczyła bez żadnych zahamowań z innymi dziewczętami i wygłaszała swoją *pepeha*, jeśli gospodarzy zastanawiał i dziwił jej nieco inny wygląd. I wówczas darzono ją ogromnym szacunkiem i uznaniem; a opisy podróży *pakeha* z dalekiego Londynu przez *ava* Tamizę oraz wędrowną przez góry nowej ojczyzny, które Helen Davenport w swoim czasie nazwała „górami piekła” – wprost zachwycały słuchaczy. *Mana* Glorii w szczepie wyraźnie wzrosło. Kroczyła dumna i wyprostowana w gronie swoich przyjaciółek, kiedy wreszcie dotarli na ziemię, którą *pakeha* ciągle nazywali O’Keefe Station. Wiremu, który szedł razem z grupą mężczyzn, uśmiechał się do niej, a ona nie wahała się już odpowiedzieć na pozdrowienie. Gloria czuła się bezpieczna – i pewna siebie.

– Nie chcesz już dziś iść do domu? – spytała Marama i spojrzała zaskoczona na świąteczny strój Glorii. Ngai Tahu znów objął w posiadanie swoje *marae* na terenie dawnej farmy O’Keefe Station i Gloria wespół z innymi dziewczętami sprzątała *whareni* przed nadchodzącą uroczystością. Pau rozłożyła maty do spania, Gloria zamiatała. Pozostałe dziewczęta ścierały kurze z posągów bogów wielkości człowieka. Wszystkie były już ubrane w swoje *piupiu* oraz utkane, pozbawione ramiączek górne części stroju w kolorze czarnym, czerwonym i białym. Pogoda wyjątkowo pozwoliła raz jeszcze włożyć lekką odzież; było słonecznie, ciepło i nie padało. Dziewczęta miały zamiar zatańczyć potem powitalną *haka* przed domem zebrania. Marama nie sądziła jednak, że w tym tańcu weźmie udział także Gloria.

– Miss Gwyn się dowiędzie, że już wróciliśmy, i będzie na ciebie czekać.

Gloria wzruszyła ramionami, ale tak naprawdę czuła jakieś wewnętrzne rozdarcie. Z jednej strony chciała świętować wraz z całym szczepem powrót do domu, ale z drugiej – tęskniła za swoim przytulnym pokojem, ciepłym łóżkiem, nawet za babcią Gwyn i jej objęciami, zapachem lawendy i róż, za jedzeniem serwowanym przez Moanę i Kiri. Prawdziwy stół... Prawdziwe krzesła...

– Czemu mówisz o powrocie do domu, Marama? – spytał Tonga, który pojawił się właśnie razem z synami. Wiremu szedł ostatni. Był ubrany w tradycyjny uroczysty strój szczepu, bo mężczyźni także mieli zatańczyć *haka*, aby powitać kobiety w *whareniui*.

– Gloria jest u siebie, w domu. Chcesz ją odesłać z powrotem do *pakeha*?

Wódz przeprowadził ceremonii powrotu do domu i do *marae* – choć on sam i jego rodzina mieszkali właściwie we wsi na Kiward Station. Tonga zamierzał tam wrócić następnego dnia. Dla Glorii był to korzystny pretekst, aby zostać jeszcze jeden dzień ze swoją maoryską rodziną. Piesza droga do Kiward Station była długa; przyjemniej będzie pokonać ją w grupie niż samej. Gloria uśmiechnęła się, kiedy pomyślała o swoim koniu. Znowu będzie mogła jeździć konno. Umiała to docenić po długiej wędrówce i nieobecności.

– Nikogo nigdzie nie wysyłam, Tonga – odpowiedziała Marama spokojnie. – Gloria musi sama wiedzieć, co zamierza zrobić teraz i z kim chce żyć. Ale wypada przynajmniej odwiedzić Miss Gwyn, aby zobaczyła, że wróciliśmy do domu cali i zdrowi.

– Ja... – zaczęła mówić Gloria, ale starsi nakazali jej milczenie.

– Myślę, że Gloria pokazała i dała do zrozumienia wszystkim, gdzie jest jej miejsce – odpowiedział Tonga z godnością. – I sądzę, że dziś w nocy dopełni swego związku ze szczepem. Od wielu miesięcy obserwujemy, że Gloria i Wiremu, mój najmłodszy syn, spędzają z sobą wiele czasu. Za dnia i w nocy. Czas już, aby oboje podzielili łóżko w obecności szczepu.

Gloria poczuła gniew i oburzenie.

– Ja... – Chciała coś powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Mimo nauki *whaikorero*, którą tak dobrze opanowała, nie była przygotowana na taką sytuację. – Wiremu... – wyszeptwała.

Wiremu musiał teraz coś powiedzieć. Mimo że Gloria chciała niemal wykrzyknąć głośne „nie”, to prawie cieszyła ją panika, która uniemożliwiła jej tak spontaniczną reakcję. Wiremu straciłby poważanie i szacunek wśród swoich, gdyby to ona go odrzuciła. Słowo „nie” musiało wyjść od niego.

Wiremu patrzył dookoła niespokojnie.

– To... mnie zaskoczyło... – powiedział w końcu, jękając się. – Ale ja... to znaczy, Gloria... – Podszedł do niej bliżej.

Gloria popatrzyła na niego, a w jej wzroku była niema prośba. Wiremu najwyraźniej ciężko przychodziło wyznać, że tak naprawdę nic między nimi nie było. Gloria przekłęła w myślach męską dumę. I czuła narastający gniew. Tonga doprowadził do tego, że zarówno ona sama, jak i jego syn znaleźli się w nieznośnej sytuacji. Jeśli syn wodza w obecności całego szczepu dostanie kosa od dziewczyny, to z pewnością nie przyczyni się to do wzrostu jego poważania – *mana*. Ale Glorii strata *mana* Wiremu w oczach jego szczepu stała się dość obojętna – tym bardziej że znowu miałyby dzielić łóżko z mężczyzną. Tonga nie miał prawa tak bezwzględnie zabiegać o żonę dla syna. Jak też robić to zamiast niego.

– Ja... ee... – Wiremu szukał właściwych słów.

A w umyśle Glorii rozdzwoniły się już wszystkie dzwonki alarmowe. Oczywiście nie była przewidziana żadna przemowa na wypadek takiej sytuacji, ale na proste słowa: „Nie, nie chcę” lub wymijające: „Daj nam trochę czasu” Wiremu powinien być się zdobyć.

– Gloria, wiem, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ale jeśli chodzi o mnie... To cieszyłbym się, mogąc... to znaczy, ja chciałbym cię...

Gloria popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Była jak skamieniała i czuła się tak, jak gdyby właśnie zabito w niej wszystkie uczucia. I nie widziała wokół siebie nikogo, tylko tego mężczyznę, któremu ufała, a który właśnie zamierzał jej zaufanie zawieść.

– Moglibyśmy to zrobić tylko pro forma – wyszeptał do niej w końcu po angielsku. – Musimy w obecności całego szczepu noc poślubną...

– Wiremu urwał. W końcu on także odebrał wychowanie *pakeha* i dla niego było to równie nieprzyjemne.

– A więc wszystko jest postanowione! – ucieszył się Tonga. – Dziś w nocy będziemy świętować. Gloria, w tym *whareniui* powitamy cię jak księżniczkę... – Wódz promieniał radością.

Wiremu niepewnie przestępował z nogi na nogę. *Pakeha*, którym częściowo był, oczekiwał na formalne „tak” ze strony narzeczonej.

A w Glorii znowu coś się załamało. Kipiąc gniewem, zerwała z szyi sznurek z naszyjnikiem *hei-tiki*, który podarował jej Wiremu, i cisnęła mu go pod nogi.

– Wiremu, byłeś moim przyjacielem! Przysięgałeś, że mnie nigdy nie dotkniesz! Powiedziałeś mi, że maoryska dziewczyna ma prawo wybrać. A teraz chcesz ze mną dzielić łóżko w obecności szczepu, nie spytawszy mnie o zdanie? – Gloria wyciągnęła swój nóż, choć nic jej nie przodziło. Musiała po prostu poczuć zimną stal, potrzebowała tego, aby poczuć się bezpiecznie. Choć przecież było to śmieszne: stała pośrodku mężczyzn uzbrojonych w dzidy i maczugi. I mimo że była to tylko broń rytualna, to jednak ostra.

Ale Gloria w tym momencie była gotowa stawić opór całej armii. Nie odczuwała już strachu, jedynie wściekłość, szalejącą wściekłość. Lecz po raz pierwszy gniew nie odebrał jej mowy. Nie milczała – nagle wiedziała, co ma powiedzieć. Wiedziała, kim jest.

– A ty, Tonga, sądzisz, że powinnam dopełnić swój związek ze szczepem? Czy muszę należeć do was, aby być częścią tego kraju? A więc posłuchajcie mojej *pepeha*! *Pepeha* Glorii – nie córki Kury-marō-tini i nie wnuczki Geralda Wardena! Nie córki Maorysów ani też nie córki *pakeha*. – Gloria wyprostowała się dumnie i czekała, aż zbiorą się wokół niej wszyscy członkowie szczepu. Kolejni mężczyźni i kobiety wchodzili do *whareniui*. Był kiedyś taki czas, kiedy już sama liczba słuchaczy odbierała jej mowę. Ale ten czas dawno minął. Nie było już nieśmiałej uczennicy szkoły w Oaks Garden.

– Jestem Gloria, a strumień, który płynie o milę drogi stąd na południe, wyznacza granicę kraju, w którym mieszkam i w którym jestem u siebie. *Pakeha* nazywają tę ziemię Kiward Station, a mnie nazywają dziedziczką. Ale ta dziewczyna, Gloria, ona nie ma *tupuna*. Nie ma przodków. Kobieta, która nazywa siebie moją matką, sprzedaje pieśni swego ludu za sławę i pieniądze. Mój ojciec nigdy nie zazdrościł mi mojego kraju – może dlatego, że jego ojciec wygnał go kiedyś z jego własnego kraju. Moich dziadków nie znam, a historia moich przodków jest pełna krwi. Ale ja, Gloria, przybyłam do Aotearoa na statku „Niobe”. Przepłynęłam ocean bólu i przekroczyłam potok pełen łez. Wylądowałam na obcym brzegu i szłam przez kraj, który wypalił moją duszę. Ale jestem tutaj. *I nga wa o mua* – czas, który nadejdzie i który minął – znajdzie mnie w kraju pomiędzy jeziorem a Kręgiem Kamiennych Wojowników. W moim kraju, Tonga. I nigdy więcej nie waż się odmawiać mi prawa do niego! Ani słowami, ani czynami, a już na pewno nie poprzez fałszywą grę!

Gloria patrzyła na wodza. Wiele lat później, kiedy Ngai Tahu opowiadali o jej mowie, nie wahali się mówić o tym, że Glorię otaczała armia wściekłych duchów, których dusze dodawały jej sił.

Ale Gloria nie potrzebowała duchów. I nie czekała na odpowiedź. Z podniesioną głową opuściła *whareniui* i szczep.

Zaczęła biec, kiedy drzwi zatrzasnęły się za nią.

POKÓJ

**DUNEDIN, KIWARD STATION, CHRISTCHURCH
1917–1918**

Jack McKenzie nieruchomo wrokiem wpatrywał się w horyzont, zza którego powoli wylaniało się białe pasmo mgły. Nowa Zelandia – Kraj Długiej Białej Chmury. Wszystko wskazywało na to, że Wyspa Południowa zaprezentuje mu się tak, jak kiedyś ukazała się pierwszym przybyszom z Hawaiki. Mężczyźni obok niego witali wylaniający się z mgieł ojczysty kraj. Kapitan zawołał przez tubę, że statek zbliża się do celu, i kto tylko mógł chodzić albo poruszać się czy to o kulach, czy na wózku inwalidzkim, wydostał się na pokład. Za chwilę Jack usłyszał śmiechy, okrzyki radości, ale także płacz. Był to gorzki powrót dla większości weteranów spod Gallipoli – i żaden z nich nie był tym samym człowiekiem, który tak niedawno wyruszał na wojnę.

Jack wpatrywał się bezmyślnie w wodę, a łagodne kołysanie fal przyprawiało go o mdłości. Pomyślał, że może powinien iść pod pokład; widok tych wszystkich mężczyzn zgromadzonych wokół niego był deprymujący. Ci chłopcy, którym odstrzelono ręce i nogi, którzy wracali ślepi, sparaliżowani, chorzy – wyruszyli na tę wojnę ze śpiewem, ze śmiechem, żegnani radośnie przez bliskich i obcych. Wszystko na nic. Kilka tygodni po ostatniej ofensywie, w czasie której został ranny także Jack, wycofano spod Gallipoli wszystkie oddziały. Turcy zwyciężyli – ale krwawo okupili obronę własnego kraju. Jack czuł dziwną, ołowianą ociężałość. Ciągłe musiał się zmuszać do jakiegokolwiek ruchu, także dziś był w stanie jedynie powlec się na pokład, i to tylko dlatego, że upierał się przy tym Roly. Pierwsze spojrzenie na ojczysty brzeg – Aotearoa. Jack myślał o Charlotte. Poczł dreszcze.

– Jest panu zimno, Mr Jack? – Roly troskliwie okrył ramiona Jacka kocem. Na pokładzie było rzeczywiście chłodno. A tam, na plaży pod Gallipoli, wkrótce znów zacznie prażyć słońce.

– Siostry zaraz przyniosą gorącą herbatę. Chłopcy chcą zostać na pokładzie i poczekać, aż łąd będzie dobrze widoczny. To takie emocjonujące, Mr Jack! Czy to będzie długo trwać, zanim zawiniemy do portu?

– Tylko Jack, Roly – powiedział Jack zmęczony. – Ile razy mam ci to jeszcze powtarzać? I upłynie wiele godzin, nim zawiniemy. Łąd jest oddalony o wiele mil i wcale go nie widać. To, co widzimy, to mgła, która jest przed nim.

– Ale łąd zaraz się pojawi, Mr Jack! – zawołał optymistycznie Roly. – Jedziemy do domu! I żyjemy, Mr Jack! Jeden Bóg wie, że były takie dni, kiedy już przestawałem w to wierzyć. Niech się pan zacznie cieszyć, Mr Jack! Chociaż trochę!

Jack próbował poczuć radość, ale jedyne, co czuł, to zmęczenie. Może wcale nie byłoby to takie złe – zasnąć na wieczność... Zganił się w myślach za własną niewdzięczność. Przecież nie chciał umierać, tylko trochę wystawić na próbę Pana Boga. A znalazł się w takim punkcie swojego życia, kiedy było mu to obojętne...

Jack McKenzie zawdzięczał swoje przeżycie splotowi szczęśliwych okoliczności, ale przede wszystkim Roly'emu O'Brienowi i małemu psu. Roly i jego oddział ratowniczy wykorzystali czas pomiędzy dwiema falami ataków, aby zabrać zabitych i rannych z pola bitwy – a dokładnie mówiąc, z ziemi niczyjej ciągnącej się pomiędzy wrogimi okopami. To tam właśnie Turcy strzelali do żołnierzy ANZAC dosłownie jak do zajęcy. Kolejny atak z góry skazany był na niepowodzenie; Jack i pozostali weterani ofensywy tureckiej mogli właściwie powiedzieć o tym w sztabie naczelnego dowództwa, choć byłoby to bezcelowe. Zaledwie wiosną urządzali ćwiczenia w strzelaniu do celu – a już w sierpniu ich położenie było dokładnie odwrotne. Potrzebowaliby ponad dziesięć tysięcy ludzi, aby dobiec do tureckich okopów, ale pewnie nie udało by się to nawet wtedy, gdyby mieli sto tysięcy. Już po pierwszych falach ataków pole było dokładnie zasłane ciałami rannych i zabitych i ze strony Turków był to bardzo przyjazny gest, że pozwolili tam wejść oddziałom ratowniczym. W przeciwnym wypadku Brytyjczycy zbudowali by z ciał barykadę, która byłaby nie do pokonania biegiem. Także dziesiąta i dwudziesta fala ataków padłaby wówczas w ogniu wroga – Turcy strzelali aż do wyczerpania amunicji. A zaopatrzenie armii tureckiej funkcjonowało znakomicie dzięki drogom prowadzącym do Konstantynopola. Turcy czuli się bardzo pewnie i pozwolili wielkodusznie wrogim oddziałom sanitarnym wejść na ziemię niczyją.

A mimo to Jack nie przeżyłby, gdyby nie odnalazł go właśnie Roly. Przy bitwach takich jak ta wszelkie możliwości były ograniczone. Już oddziały ratownicze decydowały, który z rannych był do uratowania, a którego należało zostawić – choć z ciężkim sercem. Postrzały płuc należały do tej ostatniej kategorii. Nawet jeśli lekarze sztabowi mogli ich operować w koniecznym do tego spokoju, przeżywała i tak niewielka część. W pośpiechu i chaosie panującym w lazaretach, z toczącą się bitwą w tle, praktycznie nie mieli oni szans.

Ale Roly nie przyjął tego do wiadomości. Choć jego ludzie potrząsali z powątpiewaniem głowami, uparł się, aby położyć Jacka McKenzie na nosze i zabrać poza linię ostrzału.

– A pośpieszcie się! – pogonił sanitariuszy. – I nie zostawcie go w okopie, on musi natychmiast wylądować na stole. Zniosę go na plażę...

Roly wiedział, że przekracza swoje kompetencje, ale było mu wszystko jedno. Jack miał żyć – młody mężczyzna dobrze wiedział, komu zawdzięczał ratunek przed sądem wojennym. Skierował sanitariuszy niosących Jacka do ambulansu pierwszej pomocy w jednym z okopów zaopatrzeniowych, gdzie ponownie dokonywano wyboru rannych. Tylko ci ranni, którzy mieli realne szanse przeżycia, byli odnoszeni na plażę. Pozostałymi zajmowano się później, o ile było to wtedy w ogóle konieczne. Roly i jego ludzie ustawili się w długim rzędzie sanitariuszy, którzy przenosili przez okopy nosze z krzyczącymi, stękającymi albo nieprzytomnymi rannymi. Mijali śmiertelnie bladych młodych żołnierzy, którzy czekali w okopach rezerwowych na swoją kolej do ataku. Zapewne już wiedzieli, co ich czeka. Niewielu z nich żartowało czy się śmiało.

– Tu możecie go położyć – powiedział Roly, oddychając ciężko. Zmusił swoich ludzi do ciągłego biegu, aż wreszcie dotarli do plaży i miejsca, gdzie już nie docierały kule. I wreszcie weszli do lazaretu polowego. Znów selekcja: tu już lekarze decydowali, kto jako pierwszy znajdzie się na stole operacyjnym, a kiedy miało to niewielki sens. To ostatnie zdarzało się rzadko; jeśli ranni znaleźli się tutaj, lekarze zajmowali się nimi zawsze. Decydowała kolejność.

Ale nie z taką raną jak u Jacka.

– A teraz jazda stąd, z powrotem na front. Ja zaraz dołączę. Muszę tylko znaleźć komandora Beestona. Jazda... Na co czekacie?

Mężczyźni, właściwie jeszcze chłopcy, byli nieludzko zmęczeni i patrzyli na niego apatycznie. Wszyscy woleliby tu zostać, choć w namiocie też panowało istne piekło. Intensywna mieszanina woni prochu, krwi, eteru, lizolu i ekskrementów wprost uderzała w twarz. Ranni krzyčeli i płakali, piasek był nasiąknięty krwią. Ale przynajmniej nikt tu nie strzelał, a granaty nie rozrywały na strzępy ludzkich ciał.

– Idźcie już! – rozkazał Roly. – I... dziękuję wam!

Noszowi budzili się powoli z chwilowego otępienia i powoli ruszali na linię frontu. Za chwilę już biegli, tym razem w przeciwnym kierunku. Nie zabrali z sobą noszy, ale to tym lepiej. Przeniesienie Jacka na któreś z polowych łózek było dodatkową, niepotrzebną stratą czasu.

Roly sprawdził puls Jacka i wytarł mu z ust krwawą pianę. Jack żył – ale Roly wiedział, że nie potrwa to długo, o ile nie zdarzy się jakiś cud.

– Zaraz wrócę. Niech pan wytrzyma jeszcze chwilę, Mr Jack!

Roly niechętnie zostawiał swojego pacjenta samego. Wiedział, że jeśli znajdzie go teraz jakiś lekarz i każe przenieść do jednego z namiotów szpitalnych, to nie znajdzie go już w tym chaosie.

– Komandorze Beeston! – Roly biegł przez namioty w poszukiwaniu lekarza.

Ale zanim znalazł lekarza sztabowego, Paddy znalazł Jacka.

Komandor Beeston kochał swojego psa, ale w takich dniach jak ten zwykle tracił go z oczu. Nie było po prostu czasu, aby się zatroszczyć o los małego mieszańca; często dopiero wieczorem lekarzowi przychodziło do głowy, że Paddy musi gdzieś być. Przeważnie znajdował go przestraszonego, siedzącego w jakimś kącie. Bitewny hałas przerażał zwierzę, a zapach krwi i gorączkowy pośpiech panujący w szpitalu też robiły swoje. Paddy czasami wpadał w panikę i biegł bez celu przez lazaret, otrzymywał kopniaki od przechodzących ludzi, skamlał i znów gdzieś się ukrywał. Aż do chwili, kiedy ponownie ogarniał go strach i udawał się na poszukiwanie jakiegoś mniej lub bardziej znajomej ręki.

Tego dnia było wyjątkowo źle, bo w szpitalu znajdowali się praktycznie sami obcy. Ponieważ załoga zajęta była organizowaniem kolejnych oddziałów ratowniczych, tylko nowo przybyli pracowali jako pielęgniarze i pomocnicy lekarzy. Nikt nie był skłonny zdobyć się na choćby jedno życzliwe słowo w stosunku do krótkonogiego, małego pieska. W dodatku doktor Beeston operował już od wielu godzin, a do namiotu operacyjnego Paddy'ego nie wpuszczano. Zwierzę skomlało żałośnie przed wejściem, po chwili ktoś je znów wyrzucił – i nagle pies poczuł znajomą woń. Piszcząc, przytulił się do zwisającej bezwładnie ręki Jacka McKenzie. Wprawdzie przyjaciel Paddy'ego nie wykonał żadnego ruchu, aby go pogłaskać, ale przynajmniej był. Choć co prawda coś tu było nie w porządku. Paddy wyczuwał krew i śmierć. Usiadł koło Jacka i zaczął rozdzierająco wyc.

– Znów ten kundel? To wprost nie do wytrzymania! – Jeden z młodych pielęgniarzy spojrział na Jacka i chciał rozpiąć kurtkę jego munduru, ale pies warknął groźnie.

– Jeszcze lepiej, to bydlę gotowe mnie ugryźć! Co ten komandor sobie myśli, że pozwala mu tu biegać? Doktorze Beeston!

Młody mężczyzna wołał lekarza, który właśnie wyszedł z namiotu operacyjnego i zmęczony rozglądał się dookoła. Niekończąca się fala kolejnych przypadków... Doktor Beeston postanowił wypić łyk herbaty.

– Komandorze Beeston! Pański kundel... – Młody pielęgniarz w ostatniej chwili się opamiętał, bo komandor mógł go natychmiast wysłać na front. Nie lubił psów, ale wcale jeszcze nie miał dość życia. – Czy może pan... ee... zabrać psa? Utrudnia nam pracę.

Zirytowany doktor Beeston podszedł bliżej. Dotychczas nikt się nie skarżył na Paddy'ego. Choć rzeczywiście pies mógł komuś wejść w drogę, ale...

– To zwierzę nie pozwala mi podejść do rannego, sir! – zameldował pielęgniarz. – Chciałbym... – Dotknął zapięcia kurtki, ale Paddy próbował chwycić go za rękę zębami.

Doktor Beeston podszedł do noszy.

– Co to znaczy, Paddy? Ale niech pan poczeka, to jest przecież...

Lekarz rozpoznał Jacka McKenzie i sam rozerwał jego koszulę.

– Postrzał płuc, sir! – zdiagnozował młody kapral. – Pozostaje zagadką, dlaczego go tu przyniesiono. To przecież beznadziejny przypadek...

Doktor Beeston spojrział na niego z wściekłością.

– Dziękuję za fachowe podejście do sprawy, młody człowieku! – powiedział krótko. – Dobrze, że pan o tym wie. A teraz zabrać tego rannego do sali operacyjnej! I to natychmiast! I niech pan zachowa swoje zdanie dla siebie!

Roly wpadł w panikę, kiedy nie znalazł Jacka po powrocie z bezowocnych poszukiwań doktora Beestona. Tylko Paddy był na miejscu Jacka i zaskomlał, kiedy zobaczył Roly'ego.

– Gdzie on może być, Paddy? Możesz go poszukać? Mr Jack? Naszego Mr Jacka? Doprawdy, żaden z ciebie pożytek!

– Kogo pan szuka, szeregowy? – spytał młody kapral, przechodząc obok. – Tego sierżanta z postrzałem płuc? Już jest na sali operacyjnej. Osobiste polecenie Beestona. Teraz zwierzęta decydują, kto się dostanie w ręce szefa...

Roly nie wrócił na front. Miał co prawda wyrzuty sumienia, ale zagłuszył je tym, że przecież jego pomoc bardzo się przyda w szpitalu do chwili, kiedy Beeston skończy operować Jacka. Aż w końcu drugi lekarz sztabowy, doktor Pinter, dostrzegł doświadczonego pielęgniarza i odkomenderował go do swojego stołu operacyjnego. Doktor Pinter był ortopedą. Do niego trafiali mężczyźni z kończynami poszarpanymi przez granaty i miny. Przy piętnej amputacji Roly przestał liczyć. Kiedy wynosił ze szpitala worek pełen poszarpanych ludzkich strzępów, nie pytał już o Jacka. Ciągłe przynoszono nowych rannych. Nikt nie pamiętał jednego z nich. Los Jacka nie był już w rękach Roly'ego. Należało poczekać, aż zapanuje spokój, i zacząć go szukać.

Strzały umilkły dopiero późno w nocy, a kiedy doktor Pinter odesłał wreszcie ostatniego rannego do szpitala, niebo już szarzało.

– Nie będą już atakować, prawda? – spytał lekarz obecnego akurat kapitana. Młody oficer miał ramię na temblaku. Popatrzył na Pintera pustymi, nieruchomymi oczami.

– Nie wiem, sir. Nikt już nic nie wie. Major Hollander zginął wczoraj, dowództwo jeszcze się naradza. Ale jeśli mnie pan pyta, sir... Ta bitwa jest przegrana. I ta przeklęta plaża jest stracona. Jeśli generałowie mają choć szczyptę rozumu, to przerwą to...

Roly spodziewał się, że lekarz zrugą młodego oficera, ale doktor Pinter potrząsnął tylko głową.

– Niech pan nie ryzykuje i nie mówi niepotrzebnych słów, kapitanie! – zganił go łagodnie. – Niech pan się lepiej modli...

Modlitwy lekarzy i żołnierzy frontowych nie zostały wysłuchane.

O świcie rozbrzmiały pierwsze salwy karabinów maszynowych. Kolejne fale ataków, kolejni zabici...

„Bitwa o Lone Pine”, jak później nazywano sierpniową ofensywę – nazwa ta pochodziła od nazwy okopu, o który toczyły się najbardziej zacięte walki – zakończyła się dopiero pięć dni później. Zgodnie z tym, co ogłosiło dowództwo wojsk brytyjskich, była to bitwa zwycięska.

Oddziały ANZAC wdarły się o sto jardów w głąb kraju należącego do Turków. Ceną było dziewiętnaście tysięcy zabitych.

Roly znalazł Jacka rankiem drugiego dnia, jeszcze zanim przybyła kolejna, nowa grupa rannych i śmiertelnie zmęczeni lekarze znów chwycili za skalpele. Musiałby go długo szukać wśród setek operowanych mężczyzn, którzy w przepelnionych namiotach leżeli w rzędach tuż obok siebie na polowych łózkach i którymi tylko od czasu do czasu mogli się zająć pielęgniarze – gdyby nie to, że Paddy i doktor Beeston akurat siedzieli przy jego łóżku. Jack był nieprzytomny, ale oddychał i nie pluł już krwią. Lekarz właśnie badał jego ranę.

– O'Brien? – spytał, kiedy Roly podszedł bliżej. Twarz doktora Beestona była niemal tak biała i zapadnięta jak twarze większości jego pacjentów. – Czy on panu zawdzięcza to, że się tutaj znalazł?

Roly skinął głową w poczuciu winy.

– Nie mogłem go tak po prostu zostawić, sir – przyznał i zaczerwienił się. – Jestem oczywiście świadomy tego, że... Jestem gotów ponieść konsekwencje.

– Ach, niech pan przestanie – westchnął Beeston. – Czy ten umrze, a tamten będzie żył – kogo to w ogóle obchodzi? Może poza nami. Jeśli to pana uspokoi, to ja też przekroczyłem swoje kompetencje – albo też je rozszerzyłem, łagodnie mówiąc. Mamy swoje wytyczne. Nie powinniśmy grać roli Boga.

– A czy nie zrobilibyśmy tego, gdybyśmy go tam zostawili, sir? – spytał Roly.

Beeston wzruszył ramionami.

– Cokolwiek byśmy zrobili, O'Brien, to nie po to, aby trzymać się jakichkolwiek wytycznych. Bóg – i może pan to spokojnie rozumieć jako

bluźnierstwo – nie zna żadnych wytycznych.

Lekarz ostrożnie przykrył Jacka.

– Proszę się o niego zatroszczyć, O'Brien. W tym chaosie łatwo o nim zapomnieć. Zarządę, aby jeszcze dziś przeniesiono go na „Gascona”...

„Gascon” był najlepiej wyposażonym statkiem szpitalnym.

– Pojedzie do Aleksandrii, sir? – spytał Roly z nadzieją w głosie. Przeniesienie do szpitala wojskowego w Aleksandrii oznaczało przeważnie dla rannego koniec wojny.

Beeston skinął głową.

– A pan będzie mu towarzyszył – powiedział spokojnie. – To znaczy, pojedzie pan z całym transportem. Bo jeśli chodzi o pana, to ktoś też odegrał rolę Boga. Ktoś o dobrych koneksjach. Rozkaz wymarszu dla pana dotarł do nas wczoraj – z ponagleniem. Ponoć pewien bardzo ważny inwalida z Greymouth nie widzi możliwości swojej dalszej egzystencji bez pańskiej pomocy. Bez pana, O'Brien, znacznie spadnie też wydobywanie węgla w Nowej Zelandii. Tak w każdym razie to przedstawiono.

Mimo powagi sytuacji Roly nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– To dla mnie zbyt wielki honor, sir! – stwierdził.

Beeston przewrócił oczami.

– Nie ważę się tego oceniać. A więc spakujcie swoje rzeczy, żołnierzu! Zatroszczcie się o swojego przyjaciela i, na miłość boską, trzymajcie się poza linią ostrzału, żeby się panu nic nie stało. „Gascon” wypływa o piętnastej.

Jackowi było bliżej do śmierci niż do życia, kiedy statek szpitalny przybył do Egiptu. Jednak uparcie walczył o życie. Intensywna opieka Roly'ego miała także duże znaczenie w kwestii jego przeżycia. Wobec tak ogromnej liczby ciężko rannych liczba sanitariuszy była ciągle za mała. Część mężczyzn zmarła jeszcze na statku, część krótko po przybyciu do Aleksandrii. Jack przeżył i któregoś dnia wreszcie odzyskał przytomność. Dostrzegł ogrom cierpienia wokół siebie, zrozumiał, że przeżył – ale był już zupełnie innym człowiekiem. Mało mówił, przeważnie milczał, nie był jednak tak ponury i pełen zaciętości jak inni ranni, którym gniew i obawa przed przyszłością kazały po prostu milczeć. Jack odpowiadał uprzejmie na pytania lekarzy i pielęgniarek, ale wydawało się, że poza tym nie ma nic do powiedzenia.

Żarty i słowa Roly'ego kwitował milczeniem i co gorsza – nie próbował przewyciężyć swojej słabości. Spał albo wpatrywał się w sufit nad łóżkiem, a znacznie później, kiedy już wolno mu było usiąść przy oknie, patrzył nieruchomym wzrokiem na niebieskie niebo nad Aleksandrią. Słuchał ciągle tych samych wołań muezina dobiegających z minaretu meczetu i rozmyślał o słowach doktora Beestona, które powtórzył mu Roly: Bóg nie trzyma się żadnych reguł. Zastanawiał się, czy wobec tego w ogóle mają sens jakiegokolwiek modlitwy do Boga, ale przecież i tak już dawno przestał się modlić.

Bardzo powoli wracał do zdrowia i trwało to długie miesiące. Rana wprawdzie się zagoiła, ale bardzo wychudł i dokuczał mu stan ciągłego zmęczenia. Roly był stale u jego boku. Zlekceważył swój rozkaz wymarszu, także lekarze sztabowi o to nie pytali. Szpital był wprost rozpaczliwie przepełniony i każdy pielęgniarz był na wagę złota. A konieczność jego powrotu do ojczyzny nie była już tak nagląca, kiedy Tim Lambert się dowiedział, że Roly jest poza wszelkim ostrzałem. Roly pisał od czasu do czasu do domu i otrzymywał listy od Mary oraz od Lambertów. Docierały tu także listy adresowane do Jacka McKenzie, ale Roly nie wiedział, czy on je w ogóle czytał. Jack nie pisał do nikogo.

W grudniu 1915 roku dowództwo brytyjskie ewakuowało wszystkie oddziały z plaży pod Gallipoli, którą odtąd zwano „Anzac Beach”. Wymarsz oddziałów przebiegł bardzo sprawnie i bez dalszych strat. Brytyjczycy zabrali swoich ludzi praktycznie bez wiedzy Turków. Na koniec wysadzono w powietrze wszystkie okopy.

Roly opowiedział Jackowi o tej akcji, kiedy tylko się o niej dowiedział.

– A na koniec nasi chłopcy dołożyli Turkom! – mówił podekscytowany. – Przy wysadzaniu okopów zginęło ich całe mnóstwo!

Jack opuścił głowę.

– I po co, Roly? – spytał cicho. – Czterdzieści cztery tysiące zabitych po naszej stronie – po stronie tureckiej jeszcze więcej. A wszystko na nic.

Nocami znów śnił o bitwie i potyczkach w okopach. Raz po raz, znowu i znowu wbijał bagnet i szpadel w ciała przeciwników.

W czterdzieści tysięcy ciał... Kiedy obudził się któreś nocy mokry od potu, napisał do Glorii – opowiedział jej o wymarszu oddziałów ANZAC. Wiedział, że ona nigdy nie przeczyta tego listu, ale samo pisanie o tym sprawiło mu ulgę.

Zimą dokuczał Jackowi męczący kaszel. Lekarz wojskowy dostrzegł jego wychudzenie i błądność, zdiagnozował gruźlicę i zalecił przeniesienie do sanatorium koło Suffolk.

– W Anglii, sir? – dopytywał się z niedowierzaniem Roly. – A nie możemy jechać do domu? Tam na pewno też są szpitale, w których leczą choroby płuc...

– Ale nie są to szpitale wojskowe – stwierdził lekarz krótko. – O'Brien, pan oczywiście może jechać do domu. Byłoby to nam nawet na rękę. Jest pan tu bardzo pożyteczny, ale jak pan widzi, szpital powoli pustoszeje. Każdemu rzuci się w oczy, jeśli zatrudnimy cywila.

– Ale przecież nie jestem jeszcze oficjalnie zwolniony ze służby... – odparł Roly.

– Ma pan rozkaz wymarszu wydany sześć miesięcy temu – uśmiechnął się lekarz. – Niech pan robi, co pan chce, O'Brien, ale stąd ma pan zniknąć. Jeśli o mnie chodzi, to możemy przesznułować pana na statek płynący do Anglii. Ale swoją jednostkę musi pan opuścić raz na zawsze, i to najlepiej, zanim wyślą pana do Francji!

Oddziały ANZAC wycofane spod Gallipoli zostały wysłane częściowo do Francji, a częściowo do Palestyny.

Roly poszukał sobie pracy w jakimś gospodarstwie na wsi, a Jack leżał w bladych promieniach angielskiego wiosennego słońca i wpatrywał się tym razem w bładoniebieskie niebo. Roly odwiedzał swojego „Mr Jacka” tak często, jak tylko było to możliwe, a kiedy sanatorium zwiększyło zakres usług dla inwalidów wojennych, zaczął tu pracować jako pielęgniarz. Tim Lambert nie domagał się jego powrotu, prosił jednak o regularne wieści o Jacku. Pisał, że matka Jacka jest zaniepokojona w najwyższym stopniu. Roly doskonalnie to rozumiał. Wiedział, jak przyjąłaby to surowa Mrs O'Brien, gdyby on milczał przez rok, skazując ją tym samym na tak długi okres niepewności. Ale Jack odpowiadał milczeniem na jego wyrzuty i nie przyjmował propozycji, aby przynajmniej podyktował Roly'emu list do matki.

– Co mam napisać, Roly?

Jack patrzył na dojrzewające w polu zboże; słyszał śpiew żniwiarzy i obserwował, jak jesień powoli barwiła liście. Zimą wpatrywał się w śnieg i widział zakrwawiony piach plaży pod Gallipoli. Upłynął kolejny rok, a w jego zdrowiu nie było widać żadnej poprawy. Czasami myślał o Charlotte, ale Hawaiki było daleko, jeszcze dalej niż Ameryka, czy też gdziekolwiek była Gloria.

– Trzy i pół roku i ciągle jeszcze trwa ta wojna... – mruzczał Roly. Przeglądał właśnie gazetę, która leżała na stole obok leżaka Jacka. Był niezwykle ciepły dzień jak na tę porę roku i pielęgniarki wyprowadziły chorych do sanatoryjnego ogrodu. Świeże powietrze uchodziło za bardzo uzdrawiające.

– Jak to się skończy, Mr Jack? Czy ktoś wreszcie zwycięży, czy też będziemy dalej walczyć?

Jack wzruszył ramionami.

– I tak już wszyscy przegrali – powiedział cicho. – Ale na koniec oczywiście ogłoszą wielkie zwycięstwo, choć nie wiadomo, kto będzie chciał je świętować. Ja też mam powód do świętowania. Lekarze wysyłają mnie do domu.

– Poważnie, Mr Jack? Jedziemy do domu?

Okrągła twarz Roly'ego, na której wojna także zostawiła wyraźne ślady, rozpromieniła się.

Jack uśmiechnął się blade.

– Organizują transport inwalidów wojennych. Dla wszystkich tych z amputowanymi kończynami, ślepych i chorych, którzy nie mogli czy też nie chcieli od razu jechać do domu...

Większość ofiar bitwy pod Gallipoli wysłano już z powrotem do Polinezji. Ale mężczyźni z Aotearoa cały czas ginęli i tracili zdrowie na licznych polach bitew we Francji i w innych krajach Europy. Ranni jakiś czas dochodzili do siebie w Anglii, zanim mogli wyruszyć w długą podróż do domu.

– To mogę od razu jechać z panem – ucieszył się Roly. – Czy w tym transporcie nie potrzebują pielęgniarzy?

– Szukają wolontariuszek wśród pielęgniarek – odpowiedział Jack.

Roly uśmiechnął się radośnie.

– To doprawdy komiczne – stwierdził. – Chciałem jechać na wojnę, żeby nie mówili już na mnie „brat chorych”. A teraz byłbym gotów natychmiast włożyć spódnicę, żeby tylko pojechać do domu jako „siostra chorych”.

A teraz była przed nimi Nowa Zelandia. Pierwsze spojrzenie na Wyspę Południową – dla tych, którzy widzieli. Jack wiedział, że właściwie powinien być wdzięczny losowi. Ale nie czuł nic oprócz osobliwego chłodu. A przecież widok na ląd wyłaniający się z mgły, nad którą szczyty dalekich Alp wydawały się niemal płynąć, był wprost zapierający dech w piersiach. Statek miał zawinąć do portu w Dunedin. Jack zastanawiał się, czy Roly zawiadomił o przyjeździe Tima Lamberta i czy oni potem nie skontaktowali się z Gwyneirą. Jeśli tak, to rodzina będzie czekała na nabrzeżu. Jacka to wprost przerażało. Ale były realne szanse, że coś takiego się nie zdarzy. Poczta z powodu wojny pracowała powoli; nawet w normalnych czasach Roly musiałby mieć dużo szczęścia, żeby list przybył do Greymouth przed nimi.

W Dunedin Jack znów miał się znaleźć w szpitalu, choć co prawda na krótko – uznano go za wyleczonego.

– Nie kaszle pan już, w płucach nie ma żadnych szmerów... Jedyne, co mi się nie podoba, to ta słabość – oświadczył lekarz w Anglii. – Ale musi pan spróbować trochę się pozbierać. Proszę wstać, zacząć chodzić! I proszę zacząć brać udział w życiu, sierżancie majorze McKenzie!

W czasie ostatnich dni w Aleksandrii Jack dowiedział się ku swojemu zdumieniu, że w uznaniu dla jego dzielności w czasie bitwy pod Pine Creek awansowano go raz jeszcze i przyznano mu order. Nawet nie spojrzał na ten kawałek metalu.

– Chcesz go? – spytał Roly'ego, kiedy ten prawie go za to zrugął. – Masz, weź go, zasłużyłeś na niego bardziej niż ja. Pokaż go twojej Mary, zawieś sobie na piersi, kiedy będziesz się żenił. Nikt nie będzie cię pytał o akt jego nadania.

– Nie mówi pan chyba poważnie, Mr Jack! – powiedział Roly, patrząc niemal z nabożną czcią na zamszową szkatułkę. – Przecież nie mogę...

– Oczywiście, że możesz! – Jack skinął głową. – Zostaje ci niniejszym przyznany.

Z trudem otworzył pudełko.

– Uklęknij albo coś, czy ja wiem, co się w takich wypadkach robi, a ja ci go nadam.

Roly z dumą przypiął order do kłapy, kiedy statek zawinął do portu w Dunedin. Inni mężczyźni zrobili to samo. Nie mieli rąk albo nóg, ale za to byli bohaterami.

Tłum ludzi, który witał ich na nabrzeżu, był jednak znacznie mniejszy niż wtedy, kiedy ich żegnano. Składał się głównie z najbliższych członków rodziny chorych, którzy nie cieszyli się na ich widok, lecz płakali, oraz z lekarzy i pielęgniarek. Sanatorium w Dunedin, jak wieść niosła, było do niedawna szkołą dla dziewcząt – przysłało trzy samochody i opiekuna.

– Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli pana teraz opuszczę, Mr Jack? – pytał Roly. Nie po raz pierwszy zresztą, bo już kilkakrotnie opowiedział Jackowi o swoich planach. Zaraz po przybyciu do Dunedin chciał wyruszyć do Greymouth, a ponieważ statek miał zawinąć do portu wczesnym popołudniem, Roly miał nadzieję, że złapie wieczorny pociąg do Christchurch.

– Naprawdę nie chce pan jechać ze mną? Przecież Christchurch jest...

Jack odmówił.

– Ja nie jestem jeszcze oficjalnie zwolniony z armii, Roly.

Roly machnął lekceważąco ręką.

– Ach, kto będzie o to pytał, Mr Jack? Odmeldujemy się, a oni przysła panu dokumenty o zwolnieniu do domu. Ja przecież też tak robię.

– Jestem zmęczony, Roly... – odrzekł Jack.

– Może pan spać w pociągu. Proszę, Mr Jack! Czuję się o wiele lepiej, gdybym mógł dostarczyć pana pańskiej rodzinie.

– Tylko Jack, Roly. I nie jestem paczką.

W końcu Roly zostawił Jacka samego, aby wynieść na pokład ich rzeczy. Jack siedział i patrzył, jak pielęgniarki pomagały zejść na ląd mężczyznom opierającym się na kulach i tym, których trzeba było wieźć na wózkach inwalidzkich. Także do niego zbliżyła się młoda kobieta w ciemnej sukni i fartuchu pielęgniarki. Nie była jednak ubrana w niebieski strój, jak zawodowe pielęgniarki, prawdopodobnie była to jedna z wolontariuszek.

– Mogę panu pomóc? – zapytała uprzejmie.

Jack zobaczył przed sobą szczupłą twarz kobiety o ciemnych, upiętych w ciasny kok włosach i mądrych jasnozielonych oczach za grubymi szklami okularów. Kobieta zarumieniła się, kiedy dostrzegła jego badawcze spojrzenie.

Ale wówczas w jej oczach rozbłysła radość.

Jack także ją rozpoznał.

– Miss Bleachum? – spytał.

Sarah uśmiechnęła się do niego, ale nie mogła ukryć wyrazu przerażenia w oczach. Silny, rosły i zawsze wesoły brygadzysta z Kiward Station, syn Gwyneiry i Jamesa McKenzie, wierny przyjaciel Glorii Martyn, siedział teraz na leżaku, blade i wychudły, zawinięty w gruby koc, choć było ciepło, i był zbyt wyczerpany nawet na to, aby zejść na ojczystą ziemię bez czyjejś pomocy. Jack niemal odczytał myśli Sarah i zawstydział się własnej słabości. Wreszcie wstał i zmusił się do uśmiechu.

– Cieszę się, że panią widzę.

Jack i Sarah rozmawiali jeszcze, kiedy Roly wrócił z kajuty, niosąc z sobą worki marynarskie: swój i Jacka.

– Mr Jack, to wprost nie do wiary! – roześmiał się. – Jeszcze nie jesteśmy w porcie, a już jest z panem dziewczyna! Madame... – Roly spróbował przyglądać ręką zawsze rozczochrane włosy i ukłonił się elegancko.

Sarah Bleachum uśmiechnęła się nieśmiało, a Jack ich przedstawił.

Na twarzy Roly'ego pojawiła się wyraźna ulga, kiedy usłyszał, że Sarah należy do personelu sanatorium Princess Alice.

– To mogę z pełnym zaufaniem zostawić w pani rękach Mr Jacka – powiedział zadowolony. – Nie wie pani przypadkiem, czy dziś jeszcze jedzie jakiś pociąg do Christchurch?

Sarah przytaknęła.

– I mogę załatwić miejsce także dla pana, Mr McKenzie – zaferowała. – Nawet w wagonie z kuszetkami. Mogę też zadzwonić do pańskiej matki, a ona wyśle kogoś z Kiward Station na dworzec. Choć właściwie powinien być pan najpierw zbadany, ale o ile wiem, sanatorium Princess Alice jest dla tego transportu tylko miejscem przejściowym. Wszyscy mogą jechać do domu. Lecz ponieważ żołnierze mieszkają praktycznie na całej Wyspie Południowej, to niektórzy będą musieli poczekać parę dni, aż zorganizujemy im dalszą podróż do domu.

Roly przytakiwał gorliwie jej słowom, a Jack wiedział, że tu każdy będzie uznany za „zdrowego”. Część inwalidów była witana przez rodziny już na nabrzeżu.

– Przykro mi, Miss Bleachum, ale mimo to chciałbym... Proszę zrozumieć, jestem po prostu zmęczony... – Jack się zaczerwienił, jak gdyby kłamał. Nie czuł się słabszy niż w czasie ostatnich dni, ale przerażała go myśl o powrocie na Kiward Station. Puste łóżko w pokoju, w którym kiedyś mieszkał z Charlotte. Pusty pokój Glorii. Puste miejsce w fotelu ojca – i smutne oczy matki, w których być może będzie mógł dostrzec także współczucie. I tak będzie musiał to znosić potem. Ale nie teraz, nie tego dnia. Nie od razu.

Sarah wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Rolyem, który wzruszył ramionami.

– A więc dobrze, idę w takim razie. Na razie, zobaczymy się jeszcze, Mr Jack! – Roly pomachał ręką i odwrócił się.

– Roly? – Jack poczuł, że winien jest przynajmniej uścisk temu chłopakowi o wiecznie rozczochranych włosach. Nie mógł się jednak przewyciężyć. – Roly... Może mógłbyś po prostu mówić tylko „Jack”?

Roly się roześmiał. A potem rzucił swój worek na ziemię, podszedł do Jacka i chwycił go w swój niedźwiedzi uścisk.

– Powodzenia, Jack!

Jack się uśmiechał, kiedy Roly wychodził, ciągle machając do niego ręką.

– Dobry przyjaciel? – spytała Miss Bleachum, biorąc worek Jacka.

Jack skinął głową.

– Bardzo dobry przyjaciel. Ale nie musi pani nieść moich rzeczy. Dam radę...

Sarah pokręciła głową.

– Nie, proszę pozwolić mi to zrobić. Pan... Pan może się o mnie oprzeć.

Nie brzmiało to zachęcająco. Jack aż za dobrze pamiętał skłonność Miss Bleachum do pruderii.

– Od kiedy jest pani pielęgniarzką? – zapytał uprzejmie.

Sarah uśmiechnęła się z zażenowaniem.

– Właściwie wcale nią nie jestem. Pomagam tutaj tylko. Ja mam... mam trochę dotrzymać towarzystwa chorym...

Jack zmarszczył czoło. Mógł sobie wyobrazić Miss Bleachum jako towarzyszkę jakiejś starszej damy, ale nie była to kobieta, którą angażowano po to, aby umilać czas mężczyznom. Nie był to jednak jego problem. Szedł za nią powoli po trapie w dół. Sarah przyłączyła się do kilku pielęgniarek, które popychały wózki inwalidzkie albo prowadziły niewidomych. Większość tych kobiet miała na sobie jasnoniebieskie stroje z białymi kołnierkami i czepki pielęgniarzkie na głowach. Zerkaly na Sarah raczej nieufnie. Prawdopodobnie nie po raz pierwszy wybrała sobie zdrowszego pacjenta.

Ciemnowłosy lekarz podchodził po kolei do każdego chorego i witał wszystkich, zanim ktoś pomógł im wsiąść do samochodów. Jackowi jego twarz wydała się skądś znajoma, ale przede wszystkim zirytował go wyraz radości na twarzy Sarah, kiedy lekarz zbliżył się do nich.

– To jest doktor Pinter! – przedstawiła go Sarah z rozjaśnioną twarzą. Także lekarz się uśmiechnął, spoważniał jednak, kiedy spojrział w twarz Jacka.

– Doktorze Pinter, to jest...

– My się przecież znamy, prawda? – spytał Pinter. – Niech pan poczeka... Tak, już sobie przypominam... Sierżant McKenzie, prawda? Gallipoli... Postrzał płuc. To pies Beestona uratował panu życie... – Uśmiechnął się gorzko. – Przez kilka dni był pan tematem rozmów w lazarecie. Cieszę się, że pan przeżył!

Jack skinął głową.

– A pan był... kapitanem?

Pinter wzruszył ramionami.

– Majorem. Ale kogo to interesuje? W lazarecie wszyscy brodziliśmy w tej samej krwi. Boże, już rzadko kiedy dostajemy rannych spod Gallipoli. Większość przyjeżdża z Francji. Nie był pan już potem na froncie, prawda?

– Nie, Mr McKenzie był leczony w Anglii – wmieszała się Sarah, która tymczasem wygrzebała ze stosu różnych dokumentów te należące do Jacka i podała je Pinterowi.

– A pan? – spytał z wysiłkiem Jack. Los lekarza nie interesował go aż tak bardzo, ale miał wrażenie, że powinien podtrzymać konwersację. Nauczycielka i lekarz wsiedli razem z nim do autobusu. Nie mógł przecież siedzieć obok nich i w milczeniu wodzić wzrokiem po wyłaniających się z mgły szczytach Alp. – To znaczy, pan... pan był lekarzem sztabowym, a wojna ciągle jeszcze trwa...

Pinter zagryzł wargi, a jego twarz spoważniała. Jack dostrzegł ślady, jakie pozostawiło na niej Gallipoli. Także Pinter był wychudzony i blade, a jego jeszcze młodą twarz pokrywały zmarszczki. Lekarz wyciągnął przed siebie ręce, a Jack dostrzegł, że silnie drżały.

– Nie mogłem już operować – powiedział cicho. – Nie wiadomo, co to jest... Może porażenie nerwowe? Zaczęło się już w Gallipoli... Ostatniego dnia... Ewakuowali już prawie wszystkie oddziały, wszyscy chcieli być jak najdalej... Tylko ostatni żołnierze patrolowali okopy, żeby wyglądało tak, jak gdyby były obsadzone. No i kilku chłopaków chyba przesadziło. Chcieli wciągnąć Turków w małą potyczkę, ale ci mieli na tyłach ciężką artylerię. Ci mężczyźni... zostali dosłownie rozerwani na strzępy... To, co z nich zostało, dostałem na stół. Uratowałem jednego siedemnastolatka, o ile w ogóle można tak powiedzieć. Obie ręce... Obie nogi... Nie mówmy o tym. A potem zaczęło się to drzenie...

– Pan może sam potrzebuje spokoju – zauważyła cicho Sarah.

Pinter opuścił głowę.

– Potrzebuję kilku innych wspomnień – wyszeptał. – Nie chcę już widzieć krwi, kiedy tylko zamknę oczy. Nie chcę słyszeć strzałów, kiedy dookoła panuje cisza...

Jack skinął głową.

– Wyobrażam sobie morze – powiedział cicho. – Plażę... I ten moment, kiedy widziałem ją po raz pierwszy, zanim wylądowaliśmy. To była piękna plaża...

Umilkli obaj. Sarah chciała coś dodać, ale nigdy nie lubiła płytkiej paplaniny. Niemal z zazdrością popatrzyła na pielęgniarki, które śmiały się i żartowały z innymi pacjentami.

Jack otrzymał dwuosobowy pokój – mieszkał w nim już starszy, mrukiwy mężczyzna, stale tulący do siebie butelkę whisky. Skąd ją miał, tego Jack nie wiedział, ale najwyraźniej nie był skłonny podzielić się jej zawartością.

– To lekarstwo na ból głowy – wymruczał tylko, pokazując brzydką bliznę na lewej połowie twarzy. Jeszcze jeden, który przeżył takie zranienie, z jakim w ogóle nie powinien był wylądować w szpitalu. Postrzał głowy był zawsze śmiertelny. – Kula jest jeszcze w środku – powiedział mężczyzna, a potem wypił w milczeniu kilka łyków. Jackowi to odpowiadało. Siedząc na krześle, wpatrywał się w ogród za oknem. Zgodnie z tym, co mówiła Sarah, w ostatnich tygodniach często padał deszcz. Pomyślał o sianokosach na Kiward Station. Ale to wszystko było tak daleko. Gallipoli było blisko.

Następnego ranka odwiedziła go Sarah Bleachum. Współmieszkaniec Jacka zniknął gdzieś jeszcze wcześniej – prawdopodobnie udał się na poszukiwanie kolejnych zapasów „lekarstwa”. Jack znów czuł ołowianą ociężałość, zmęczenie i chłód. Ale właściwie spodziewał się, że Sarah nie zostawi go w spokoju. Był więc ubrany, siedział przy oknie i wpatrywał się w krople deszczu, kiedy młoda kobieta zapukała do drzwi.

– Najbliższy pociąg do Christchurch odjeżdża o jedenastej – powiedziała. – Mam załatwić panu transport na dworzec?

Jack zagryzł wargi.

– Miss Bleachum, wolałbym... Chciałbym jeszcze trochę odpocząć...

Sarah Bleachum postawiła koło okna drugie krzesło i usiadła.

– Co się dzieje, Mr Jack? Dlaczego nie chce pan jechać do domu? Pokłócił się pan ze swoją matką? Złe wspomnienia?

Jack potrząsnął głową.

– Nie, przeciwnie, zbyt dobre wspomnienia – odpowiedział zmęczonym głosem. – I to jest właśnie najgorsze, wie pani? Gallipoli... Krew... To boli, ale z czasem ten obraz będzie coraz bledszy. Ale szczęście, Miss Bleachum... Tego nie zapomni pani nigdy. I po nim zostaje pustka, której nic nie może wypełnić.

Sarah westchnęła.

– Nie mam zbyt wielu szczęśliwych wspomnień – powiedziała cicho. – To prawda, rzadko byłam nieszczęśliwa. Lubię uczyć, lubię moje uczennice. Ale coś tak wielkiego...

– A więc można pani pozazdrościć, Miss Bleachum – odpowiedział krótko Jack i znów pogryzł się w milczeniu.

– Dlaczego nie chce pan o tym opowiedzieć? – spytała Sarah z rozpaczą. – To znaczy... Mam na myśli to, że po to tu jestem. Poza tym nie ma ze mnie żadnego pożytku, nie nadaję się na pielęgniarkę. Nie lubię dotykać mężczyzn. Inne pielęgniarki... One mówią, że we mnie nie ma współczucia...

– A może odczuwa pani zbyt wiele i zbyt mocno? – raczej stwierdził niż spytał Jack. – Dlaczego nie poszuka pani sobie innej pracy?

Sarah zagryzła wargi i przetarła ręką oczy. Spojrzała przy tym przez okno, gdzie przez ogród biegł właśnie doktor Pinter, narzuciwszy sobie na ramiona jakąś plandekę jako ochronę przed deszczem.

– Czemu on nie weźmie parasola – powiedziała cicho. – Przecież zmoknie w ten sposób. I jeszcze się śmiertelnie rozchoruje.

Jack uśmiechnął się blade.

– W ten sposób niejako odpowiedziałem na swoje pytanie... Czy on odwzajemnia pani uczucia? Mój Boże, czy ja nie zadałem pani kiedyś podobnego pytania? A może moja matka? Wtedy chodziło o tego wielebnego...

Sarah Bleachum zaczerwieniła się i zacisnęła wargi.

– Wielebny Bleachum nie był w stanie odwzajemnić moich uczuć – odpowiedziała. – A jeśli chodzi o doktora Pintera... Tak długo, jak długo nie może opuścić Gallipoli...

Jack był w rozterce. Powinien był wziąć ją teraz za rękę i powiedzieć kilka pocieszających słów. Ale nie był w stanie tego zrobić.

– To właściwie była taka piękna plaża... – powtórzył.

– Myśli pan, że on będzie mógł o tym zapomnieć? – spytała Sarah z nadzieją w głosie. – I któregoś dnia się ocknie, i zacznie dostrzegać także mnie?

Jack skinął głową, choć w żadnym wypadku nie był tego pewien.

– Niech pani poczeka, aż wojna ostatecznie przeminie. I niech go pani stąd zabierze. Gdzieś, gdzie nie będzie musiał oglądać okaleczonych mężczyzn z amputowanymi kończynami. W jakich pięknych miejscach.

– Jeśli zechce – odpowiedziała Sarah. – Kiward Station jest takim pięknym miejscem. – Popatrzyła na Jacka badawczo. – A mimo to nie chce pan tam jechać, boi się go pan w tak dziwny sposób, jak spłoszony koń... Zupełnie jak...

– To jest puste miejsce – wszedł jej w słowo Jack. – Czuję tam obecność Charlotte. Mojego ojca. Także obecność Glorii. Ale to miejsce przypomina teraz dom po wielkich uroczystościach. W pokojach czuć jeszcze dym cygar i świec. Także woń wystającego wina, i chwilami ma się wrażenie, że jeszcze słychać gdzieś echo śmiechów. Ale tam już nic nie ma. Jest tylko pustka i ból. Myślałem, że uporam się z myślami o Charlotte. Mój ojciec... On był stary. Jego śmierć – była zgodna z regułami...

Sarah zmarszczyła czoło.

– Z regułami? – spytała.

Jack nie odpowiedział.

– Ale Gloria... Od kiedy znikła Gloria... Nie potrafię sobie z tym poradzić, Miss Bleachum. Nie będę w stanie spojrzeć w oczy mojej matki i dostrzec w nich tylko pytania. A jedyną odpowiedzią na nie będzie to, że Bóg nie trzyma się żadnych reguł...

Sarah chwyciła go za rękę.

– Ale przecież Gloria wróciła, Jack! Myślałam, że pan o tym wie! Czy Miss Gwyn nie pisała o tym? No tak, prawdopodobnie był pan wtedy na morzu. Gloria wróciła! Była tutaj, u mnie!

Jack patrzył na nią skonsternowany.

– A teraz...?

Sarah wzruszyła ramionami.

– Miss Gwyn zabrała ją stąd. I o ile wiem, jest teraz na Kiward Station.

Ręka Jacka kurczowo zacisnęła się na dłoni Sarah.

– To... To jest... Czy złapię jeszcze ten pociąg? I czy zadzwoni pani do mojej matki?

Gwyneira McKenzie była szczęśliwa – choć cały czas miała uczucie osobliwego déjà vu, kiedy witała Jacka na peronie. Wychudzony, blade,

młody mężczyzna, który zbyt wolno i ociężale wysiadł z wagonu, stał się dla niej niemal kimś obcym. Trzy i pół roku temu nie było na jego twarzy tylu zmarszczek, nie miał też licznych siwych pasm w swoich rudobrązowych włosach. Za wcześniej, o wiele za wcześniej na jego wiek. Ale najbardziej przeraził Gwyneirę jego osobliwy, drewniany uścisk. Niemal zupełnie jak u Glorii – choć co prawda Jack był bardzo uprzejmy i przynajmniej zachowywał się tak, jak gdyby odwzajemniał uczucia, jakie towarzyszyły Gwyneirze w czasie tego gorącego powitania.

I także Jack wydawał się nie mieć nic do powiedzenia, choć odpowiadał na pytania, próbował się uśmiechać, ale właściwie nic nie mówił. Gwyn miała wrażenie, że jej syn chce zamknąć w sobie kilka ostatnich lat. Zupełnie tak samo jak Gloria. I przerażała ją myśl, że przy kolacji zasiądzie do stołu z dwójgim zamkniętych w sobie, milczących ludzi. Choć przecież niczego nie pragnęła tak bardzo jak tego, aby mieć Glorię z powrotem w domu. Dziewczyna ciągle była w drodze z Maorysami, a Gwyneirze mimo wszystkich sporów bardzo jej brakowało – a poza tym po prostu się o nią martwiła. Glorii nie groziło żadne niebezpieczeństwo, kiedy była ze swoim szczepem, ale choć Gwyn o tym wiedziała, nie mogła się uporać z uczuciem ciągłego niepokoju.

A teraz jeszcze Jack. Gwyneira przyjechała po niego samochodem. Ciągłe padał deszcz, stwierdziła więc, że jest już za stara na powolny powóz, pod którego dachem było wprawdzie sucho, ale chłodno.

– Jeździsz tym sama? – spytał zdumiony Jack, kiedy otworzyła przed nim drzwi.

– A dlaczego nie? – odpowiedziała Gwyn. – Mój Boże, to doprawdy nie jest aż taka wielka sztuka, żeby nauczyć się tym kierować. Dawniej trochę ciężko było włączyć silnik, ale teraz... Doprawdy, każdy to potrafi.

Wrzuciła bieg z głośnym trzeszczeniem, po czym głośno zatrąbiła, aby mieć przed sobą wolną drogę. Jack poczuł się w miarę pewnie dopiero wtedy, kiedy wyjechali za Christchurch i pojazd, turkoczając głośno, jechał po pustych drogach Canterbury Plains. Zmierzchało się i Jack wpatrywał się w rozproszone światło gasnącego dnia. Nad Alpami wisiał gęsty welon deszczu.

Gwyneira narzekła na kiepskie zbiory siana i na to, że tego roku trzeba wcześniej niż zwykle spędzić owce z gór.

– A i trawa tego roku nie jest tak bujna jak zwykle. Po prostu latem było za zimno. Zmniejszyłam już pogłowię bydła – lepiej mieć mniej krów, ale takich, które dobrze wyglądają, a nie wychudzonych. Cieszę się, że jesteś wreszcie z powrotem, Jack! Ciężko jest robić wszystko samej.

Gwyneira położyła synowi rękę na ramieniu, ale on nie zareagował.

– Jesteś zmęczony, Jack? – Gwyneira rozpaczliwie robiła wszystko, aby Jack zareagował w jakiś normalny sposób. – To był bardzo długi dzień, prawda? I długa podróż.

– Tak – odpowiedział Jack. – Przykro mi, mam, ale jestem bardzo zmęczony.

– Tu szybko dojdiesz do siebie, Jack! – oświadczyła Gwyneira optymistycznie. – Zrobimy, co trzeba, żeby nie było widać twoich żeber. Błady jesteś jak śmierć, musisz więcej siedzieć na słońcu. Ach, te szpitale... To, czego potrzebujesz, to czyste, świeże powietrze i dobry koń... Mamy szczenięta, Jack! Powinieneś sobie któreś wybrać. Jaki dziś dzień? Wtorek? To powinieneś go nazwać „Tuesday”. Twój ojciec zawsze nazywał psy od dni tygodnia...

Jack przytaknął, nie kryjąc znużenia.

– Nimue... Czy ona jeszcze jest? – spytał ostrożnie.

Gwyneira skinęła głową.

– Pewnie. Ale jest z Glorią i odkrywa swoje korzenie – prychnęła. – A przecież Nimue w tym celu powinna raczej udać się do Walii. Za to Gloria jest właśnie na tropie swojego maoryskiego dziedzictwa. Wędruje razem ze szczepem Maramy. Jeśli chcesz wiedzieć, to Tonga snuje plany małżeńskie. Jeszcze zanim ruszyli na wędrowną, ludzie już plotkowali o Glorii i Wiremu.

Jack zamknął oczy. A więc jednak pusty dom... I nic, tylko echo dawno umilkłych głosów, wygasłych uczuć w pustych pomieszczeniach.

A może jednak? Ku swemu zdumieniu Jack zauważył, że poczuł też coś innego. Coś jakby gniew – albo zazdrość? Znow ktoś próbował zabrać mu Glorię. Najpierw Martynowie, teraz Tonga. A on zawsze zjawiał się za późno, aby ją obronić.

– Nie wiem już, co mam robić. On barykaduje się ciągle w swoim pokoju i siedzi tam sam. Jest jeszcze gorzej niż z Glorią. Ta przynajmniej jeździła konno...

Gwyneira nalała herbaty do filiżanki swojej wnuczki Elaine. Jak każdego roku pod koniec lata Elaine przyjechała na Kiward Station z dwójką młodszych synów, aby побыć trochę na świeżym wiejskim powietrzu. Jej najstarszy syn przebywał już w internacie w Dunedin i spędzał ferie w Greymouth. Bardzo interesował się pracą ojca i chętnie pomagał mu w kopalni, nie stronił nawet od pracy pod ziemią. Za to Elaine zawsze rozkoszowała się pobytami na wsi, w otoczeniu owiec i koni. Już jako dziecko zazdrościła Kurze jej dziedzictwa, a Gwyneirę teraz coraz częściej ogarniała nostalgia. O ile prostsze byłoby wszystko, gdyby to ich córka Fleurette, a potem Elaine wraz z braćmi odziedziczyli farmę!

– Masz na myśli to, że on w ogóle nic nie robi na farmie? – spytała Elaine. Właśnie przyjechała na farmę i jeszcze nie widziała Jacka.

Zawołał go jego przyjaciel Maaka, który chciał mu pokazać parę zwierząt hodowlanych. Maoryski brygadzysta rozpaczliwie próbował zainteresować Jacka farmą. Ale Gwyneira wiedziała już, jak to będzie wyglądać. Jack pojedzie razem z Maaką, spojrzy na zwierzęta i powie kilka niezobowiązujących słów. A potem wykręci się zmęczeniem i znow zabarykaduje się w swoim pokoju.

– Przecież to on był przedtem brygadystą! – Elaine znow nalała sobie herbaty.

Gwyneira melancholijnie skinęła głową.

– Miał kontrolę nad wszystkim. On ma to we krwi. Jack jest urodzonym farmerem i hodowcą – i treserem psów. Jego collie były zawsze najlepsze w całym Canterbury! A teraz? Szczeniak, którego mu podarowałam, został wreszcie z nim. Po kilku niełatwych próbach. Bo z jakichś niepojętych powodów Jack nie chciał mieć psa. Ale znasz rasę collie. Tuesday tak długo piszczał pod jego drzwiami, aż on go wpuścił. To dopiero była próba cierpliwości, już nie mogłam tego słuchać. A teraz jakoś znosi tego psiaka. Ale nic poza tym. Nie szkoli go, nie ćwiczy z nim, wychodzi z nim z domu tylko wtedy, kiedy to konieczne... Pies może mu towarzyszyć tylko w czymś, co nazywam „wyglądaniem przez okno”, a jeśli zwierzak ma już dość i zaczyna się nudzić, on go wypuszcza; wtedy Tuesday biega za mną albo pędzi do stajni. Doprawdy nie wiem już, co mam dalej robić!

– Może moi chłopcy trochę go rozruszają – zastanawiała się Elaine. – On przecież lubi dzieci.

– Spróbuj – powiedziała Gwyneira zniechęcona. – Ale Maaka też już wszystkiego próbował. Stara się tak bardzo, że jest to aż wzruszające. A z początku się obawiałam, że dojdzie do jakichś sporów z powodu naruszenia kompetencji. Przecież to Maaka faktycznie prowadzi farmę od trzech lat. A teraz przekazałby wszystko z chęcią Jackowi – gdyby on tylko tego chciał! Pierwszego wieczoru Maaka i kilku jego starych kumpi przysłał tu do Jacka z butelką whisky. Znasz tych chłopców, oni najchętniej upijają się w stajni. A Jack zaprosił całą czeredę do salonu, poszukał odpowiednich szklanek... Chłopcy nie wdzilieli, co mają zrobić z oczami! Ja wtedy wyszłam, bo w mojej obecności byłiby jeszcze bardziej zakłopotani. Powinni byli zamienić z sobą parę słów, pogadać. A oni upili się w milczeniu, siedząc sztywno przy stole. Tak w każdym razie mówiła Kiri, bo zanosila im jakieś kanapki. Wszystko ku zdumieniu tych chłopaków, prostych pasterzy w końcu. To było chyba najbardziej cywilizowane pijaństwo w ich życiu. I od tamtej chwili Maaka próbuje wciągnąć Jacka we wszystko, co się dzieje na farmie. Ale to daremne...

– A Maaka nie poszedł na wędrowną ze szczepem? – spytała Elaine. Gwyneira opowiedziała jej już wszystko o Glorii.

Ale teraz jej babka potrząsnęła przecząco głową.

– Bogu dzięki, nie. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła, zwłaszcza tego wstrętnego lata. Sianokosy wypadły katastrofalnie, połowa siana zgniła. I jak tak dalej pójdzie, to będziemy musieli wcześniej spędzić zwierzęta. Mam nadzieję, że Maorysi będą już wtedy z powrotem.

– Albo ja to zrobię z moimi dwoma kowbojami!

Elaine się roześmiała i wyjrzała przez okno. Obaj chłopcy galopowali po łące na kłaczach, a Frank Wilkenson próbował swoich sił jako nauczyciel jazdy konnej.

– I wiesz co? Też chciałabym dostać jakiegoś collie. Callie nie żyje już od tylu lat, ale ja ciągle się za nią oglądam. Potrzebny mi jest nowy cień! I zatrudnię Jacka, aby go wyszkolił. Musi mi pokazać, jak to się robi. I wtedy może trochę odtaje!

Jack pojawił się godzinę potem, spocony i zmęczony po przejażdżce. Dawniej nie odczuwałby po tym znużenia, ale po tak długiej chorobie było to dla niego za dużo. Wypił jednak herbatę i zamienił kilka grzecznościowych słów z Elaine. Choć najbardziej interesowało go to, jak się wiedzie Roly'emu.

– U Roly'ego wszystko w porządku, wreszcie będzie się żenił! – opowiadała Elaine, starając się, aby zabrzmiało to jak najbardziej radośnie. Doznała szoku, widząc błądź i wychudzenie Jacka. – I mam cię zaprosić na wesele, bez prawa odmowy. A poza tym Roly jest bardzo zajęty. Przede wszystkim troszczy się o Tima, co Timowi doskonale robi. On wprawdzie jakoś sobie sam radzi, ale z trudem. I oczywiście nie potrafi nikogo poprosić o pomoc, tylko wyładowuje swój zły humor na rodzinie! Od kiedy jest Roly, wszystkim nam jest lepiej. No i poza tym Roly ma nowego pacjenta, Grega McNamarę – to ten chłopak, który poszedł razem z nim na wojnę. Biedak stracił obie nogi, a jego rodzina jest całkowicie bezradna. Do chwili powrotu Roly'ego Greg leżał cały czas w łóżku, bo siostry i matka nie były w stanie go podnieść. A niska renta ledwo starcza na koszty utrzymania. Podarowaliśmy mu stary wózek inwalidzki Tima, a wielebny obiecał zatroszczyć się o dodatek pielęgnacyjny. Greg chętnie podjąłby się jakiejś pracy, ale to oczywiście nie jest takie proste. Mrs O'Brien mogłaby go zatrudnić w szwalni, ale Roly nie ma odwagi mu tego zaproponować, bo to za bardzo wygląda na coś w rodzaju jałmużny.

Jack wykrzywił usta.

„Brat chorych...” – przypomniał sobie kpiny Grega.

– No więc wygląda to tragicznie – stwierdziła Elaine i dodała: – Miałeś szczęście, Jack.

Jack zagryzł wargi.

– Tak, miałem – powiedział cicho. – Mogę przeprosić? Muszę się umyć...

Do pewnego stopnia oczekiwania Elaine się spełniły. Jack zgodził się uprzejmie, kiedy poprosiła go o pomoc przy szkoleniu psa, i każdego ranka był punktualnie na podwórzu, aby pracować z Elaine i jej „cieniem”. Suce zwanej „Tuesday” też wyszło to na dobre. Uczyła się szybko i lubiła swojego pana. Ale nie dane jej było zażyć przyjemności bycia cieniem na wspólnym spacerze czy też konnej przejażdżce – zaraz po treningu Jack szedł do swego pokoju. Wydawało się, że praca ze zwierzętami nie sprawia mu takiej przyjemności jak kiedyś. Kiedy chwalił psy, robił to rzeczowo, ale w jego oczach nie było radości, a w jego głosie nie słychać było śmiechu.

– On zachowuje się nienagannie – powiedziała Elaine do Gwyneiry. – Ale sprawia wrażenie, jak gdyby wszystko w nim było martwe.

– A co sływać u waszych zaginionych dzieci?

Gwyneira miała tyle własnych zmartwień, że dopiero pod koniec pobytu Elaine spytała ją o Lilian i Bena. Odwoziła właśnie wnuczkę powozem z Kiward Station do Christchurch. Elaine chciała odwiedzić Elizabeth Greenwood i następnego dnia wrócić do Greymouth.

Elaine wzruszyła ramionami.

– Same sprzeczne wieści – odpowiedziała.

Gwyneira zmarszczyła czoło.

– Co mam przez to rozumieć?

Nie oczekiwała jakichś nowych sensacyjnych wiadomości, Elaine już dawno opowiedziała jej o wszystkim. Pisywała też regularnie o młodej parze i stąd Gwyn wiedziała o swoim pierwszym praprawnuku, którego Lilian z nieznanymi powodami nazwała „Galahad”.

– Według źródeł Caleba, czyli profesorów z uniwersytetu, powodzi im się dobrze – sprecyzowała Elaine. – A według prywatnego detektywa George’a Greenwooda powodzi im się bardzo dobrze.

Gwyneira potrząsnęła głową ze zdziwieniem i cmoknęła na klacze zaprzęgnięte do powozu. Dziś wyjątkowo nie padało i Elaine wolała jechać bryczką. Jeremy i Bobby jechali dumnie na koniach tuż obok. Elaine zwykle nie mówiła tak otwarcie. Ukrywała swoje wiadomości na temat Lilian i Bena przed Timem i synami, podobnie jak Caleb przed swoją rodziną. Oboje mieli też własne źródła informacji. Caleb, bądź co bądź ceniony etnolog, był w stałym kontakcie z Alma Mater Bena, a Elaine otrzymywała dwa razy do roku sprawozdanie agencji detektywistycznej, którą w tym celu zatrudnił George.

– A na czym polega różnica? – spytała Gwyn.

– Oboje przeprowadzili się właśnie do Wellington – odrzekła Elaine. – Ben ma tam pracę jako wykładowca. Caleb pęka z dumy! Kogoś tak młodego zatrudniają najwyżej jako pomoc naukowca. No ale Ben zawsze był ponadprzeciętnie zdolny – nawet jeśli nigdy bym go o to nie posądzała, co oczywiście nic nie znaczy.

Gwyneira się uśmiechnęła.

– I co dalej?

– Posada wykładowcy, czyli pracownika naukowego, oznacza niezbyt wysokie uposażenie. Ben nie musi już pracować w porcie ani podejmować się jakiejś innej pracy, aby utrzymać rodzinę. Właściwie mogłoby go stać tylko na małe mieszkanie, i jeśli Lilian oszczędnie gospodaruje pieniędzmi, to jakoś powinni wiązać koniec z końcem. Albo jeśli będzie dawała lekcje gry na fortepianie.

– No i co? – niecierpliwiła się Gwyneira.

– Tymczasem oni zamieszkali w pięknym domu z ogrodem na skraju miasta. Ben wydaje małe przyjęcia dla swoich studentów, a przed południem niańka wyprowadza małego Galahada na spacer. Wozi go w bardzo drogim wózku, jak twierdzi detektyw. Lilian nosi eleganckie suknie, a jeśli odbywa się jakieś dobre przedstawienie teatralne czy też koncert, to Billerowie zawsze na nim są.

– A jak oni to wszystko finansują?

– To jest właśnie zasadnicze pytanie. – Elaine przytrzymała kapelusz, którego omal nie zwiął jej wiatr. Coby kłusowały bardzo szybko, obaj zaś chłopcy wyprzedzili już powóz i galopowali z przodu przed nimi.

– Mam nadzieję, że Elizabeth Greenwood będzie mogła mi powiedzieć coś więcej. George jeszcze raz wynajął tego detektywa.

– Przypuszczasz, że robią coś niezgodnego z prawem? – spytała Gwyneira z troską. Ona sama zawsze uważała coś takiego za jak najbardziej prawdopodobne po tym, kiedy James był przez jakiś czas złodziejem bydła.

Elaine się roześmiała.

– Raczej nie. Szczerze mówiąc, nigdy nie przyszłoby mi do głowy myśl, że Ben mógłby obrabowywać banki. Choć dzięki temu byłby kimś naprawdę interesującym. Bo zgodnie z tym, co o nim słyszałam, jest po prostu tylko sympatycznym nudziarzem. Zupełnie jak jego ojciec. W szkole był kujonem, poetą jest beznadziejnym, a na biznesmena się nie nadaje. Ta ostatnia wiadomość pochodzi od Tima, który zasięgnął informacji w kopalni Billerów. Florence nie mogła go zostawić samego ani na minutę...

– Więc co Lily widzi w nim takiego interesującego? – dopytywała się Gwyneira. – To zawsze była dziewczyna pełna życia.

– To urok zakazanego owocu! – westchnęła Elaine. – Gdyby Florence i Tim tak nie szaleli, prawdopodobnie byłoby inaczej. Ale ani Tima, ani Florence niczego nie nauczył fakt, że uciekło im dwoje dzieci! Ich własnych dzieci! A to, co się teraz dzieje między Billerami i Lambertami, to jawna wojna. Próbuje przejąć od siebie nawzajem udziały w firmie i powiększyć ich wartość – i robią to na wyścigi. Florence zadłużyła się po uszy, żeby tylko mieć własną koksownię, a teraz próbuje zwerbować klientów, stosując ceny dumpingowe. Tim zaś chętnie wzięłby udział w tym szaleństwie! Gdyby Greenwood go nie przyhamował, i to energicznie, to ceny zaczęłyby się nakręcać jak spirala. Ale wujek George radzi poczekać. Koksownia Billerów jest wprawdzie lepiej wyposażona niż nasza, ale nie pracuje rentownie. Na dłuższą metę się wykończy. Mamy nadzieję, że sama Florence się przy tym nie zrujnuje. A Tim i George myślą o fabryce brykietów, aby zużyć także pył węglowy. Jeśli Florence też tego spróbuje, Billerowie wkrótce splajtują.

– To dlaczego ona to robi? – zastanawiała się Gwyn. – Niechętnie cię o to pytam, ale czy było coś między twoim mężem a Florence Biller?

Elaine się roześmiała.

– Nie to, co myślisz. Ale mam wrażenie, że jesteś trochę jasnowidzem. Oni oboje mają sobie stale coś za złe. To ich łączy. To jeszcze z czasów, kiedy Tim był po wypadku. Nie było z nim dobrze – a do tego doszło jeszcze to, że zarówno jego własny ojciec, jak i inni bossowie górnictwa bardzo źle go traktowali. Rozmawiali w jego obecności o swoich kopalniach, a Tim siedział na wózku i był właściwie czymś w rodzaju... bo ja wiem? Mebla? Nie pozwalali, aby wtrącił choć jedno słowo. I wtedy tylko Florence z nim rozmawiała. Była całkiem sympatyczna – ale Kura zaraz zaczęła podejrzewać, że ona coś knuje. Prawdopodobnie Tim był czymś w rodzaju ewentualnej alternatywy. Florence chciała mieć kopalnię, a jedyną możliwością, aby to osiągnąć, było małżeństwo. Wszystko jedno z kim – czy to z kaleką, czy z ciepłym braciszkiem...

– Elaine! – oburzyła się Gwyneira.

– Przykro mi, ale Caleb Biller... Wszystko było jasne, jeśli chodziło o jego osobę. W każdym razie Florence nie potrzebowała sięgać do planu B. Poślubiła Caleba i natychmiast przestała dostrzegać Tima. To go chyba bardzo dotknęło.

Elaine rozejrzała się, gdzie są jej obaj jeźdźcy – ale Jeremy i Bobby odjechali już daleko i nie mogli niczego słyszeć.

– Mrs Biller chyba nie za bardzo potrafi się pogodzić z tym, że ów „mebel” teraz stanowi dla niej konkurencję – zauważyła Gwyn z dwuznacznym uśmiechem.

– I że samodzielnie płodzi wszystkie swoje dzieci. Co Calebowi udało się tylko w przypadku Bena. Pozostali chłopcy... Ale zostawmy to.

Cała ta sprawa jest dość głupia, ale zaczyna nabierać cech dramatu. Do cholery, tak bardzo chciałabym zobaczyć swojego wnuka! I brakuje mi Lily! Timowi oczywiście też, ale on nigdy się do tego nie przyzna. Musimy coś wymyślić!

– Znasz to? – Elizabeth Greenwood podsunęła Elaine jakąś książkę.

Obie kobiety siedziały przy herbacie, Gwyneira zaś właśnie się pożegnała. Chłopcy wyszli razem z nią, aby powiedzieć *adieu* koniom, którymi byli zachwyceni. Elizabeth wydawała się tylko na to czekać.

Elaine wzięła do ręki książkę i zmarszczyła czoło. Właściwie chciała teraz zapytać o Lilian i Bena, ale nakazała sobie cierpliwość. Elizabeth w ciągu ostatnich lat tyle już dla niej zrobiła. A przy tym ciągle nie mogła się uporać ze śmiercią swojej córki Charlotte i martwiła się o Jacka. Jakby tego było mało, niepokoiła się jeszcze o swojego najstarszego syna Roberta, który przed dwoma laty udał się do Anglii, aby uporządkować wszystkie sprawy związane ze spadkiem po swoim wuju, a także po dziadku. William Greenwood, młodszy brat George'a, zmarł krótko przed wyjazdem Roberta – a przyczyny jego śmierci były bardzo niejasne. Przebąkiwano tylko, że alkohol i kokaina odegrały tu niebagatelną rolę. Sprawa dziedzictwa była zagmatwana. Dwie kobiety podnosiły prawa ich dzieci do reszty majątku Greenwooda, ale żadna nie mogła przedłożyć ważnego aktu małżeństwa.

W każdym razie Robert pojechał do Londynu i tam postanowił ambitnie przywrócić do życia dawną firmę eksportową swego dziadka. George nie miał nic przeciwko temu. On sam, będąc młodym człowiekiem, zrezygnował ze swoich praw do tego przedsiębiorstwa, aby nie być zmuszonym do współpracy z Williamem. Jako wyrównanie ojciec przepisał na niego udziały w firmie w Australii i Nowej Zelandii. George z daleka obserwował z żalem upadek firmy pod kierownictwem Williama. Gdyby Robert mógł coś uratować w Anglii, to z poparciem George'a. Jego zięć Stephen O'Keefe, znakomity adwokat, już od dawna kierował przedsiębiorstwami w Nowej Zelandii i Australii. To rozwiązanie odpowiadałoby wszystkim oprócz Elizabeth. Nie widziała Roberta już od dwóch lat i złorzeczyła losowi, zwłaszcza że ten ożenił się w Londynie. Kiedyś na pewno przyjedzie z żoną w odwiedziny. Ale ustalonej daty przyjazdu ciągle nie było.

Jednak tego dnia Elizabeth nie sprawiała wrażenia zgnębionej, lecz raczej ożywionej i wesołej.

– Powiedz wreszcie, znasz to? – dopytywała się niecierpliwie.

Elaine szybko przekartkowała książkę.

– *Pani na Kenway Station*. Tak, czytałam to już kiedyś. Interesujące, lubię takie historie.

– No i co? – dopytywała się Elizabeth. – Nic cię nie zaintrygowało?

Elaine wzruszyła ramionami.

– Mam na myśli samą historię. Ta farma na końcu świata... I ten facet, który mniej lub bardziej, ale jednak więzi swoją żonę...

Elaine się zaczerwieniła.

– Myślisz, że... że to wspomnienie o... Lionel Station? – Nie potrafiła powiedzieć: „Thomas Sideblossom”, nigdy nie wymawiała głośno nazwiska swojego pierwszego męża.

Elizabeth skinęła głową.

– Mnie się to natychmiast nasunęło.

Ale Elaine zaprzeczyła.

– Podobieństwo nie jest znowu aż tak duże. W każdym razie nie pamiętam, aby bohaterka... no, że ona...

Elaine postrzeliła wówczas swojego męża i uciekła.

– Nie, tu bohaterkę uratował jakiś przyjaciel z młodości – zgodziła się z nią Elizabeth. – Patrząc na to w ten sposób, też nie widziałabym w tym nic intrygującego. Ale potem w księgarniach pojawiło się to.

Elizabeth wyciągnęła drugą książkę: *Dziedziczka z Wakanui*.

Elaine przeczytała tekst na skrzydełku okładki: „Od chwili śmierci ukochanej żony Jerome Hastings jest milczącym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Mimo to twardą ręką prowadzi swoją farmę Tibbet Station. Jednak wrogość, jaka panuje między nim a wodzem Maorysów Mani, grozi wojną, która może ogarnąć cały kraj. I gdyby nie potajemnie zakochana w nim córka wodza...”

– Na co miałabym tutaj zwrócić uwagę? – spytała Elaine.

Zniecierpliwiona Elizabeth przewróciła oczami.

– Na koniec obojgu rodzi się dziecko – podsunęła.

Elaine się namyślała.

– Paul i Marama Wardenowie. Kura-marō-tini. Ale czy to nie jest zbyt śmiałe przypuszczenie? – Spojrzała na okładkę. – Brenda Boleyn. Nie znam żadnej Brendy Boleyn.

– A to – czy to też jest przypadek? – Elizabeth zamaszystym gestem wyciągnęła trzecią książkę *Piękność z Westport* i przeczytała tekst na skrzydełku:

„Zupełnie bez własnej winy Joana Walton traci posadę guwernantki w Christchurch. Uciekając przed okrutnym Brendanem Louistem, ukrywa się na zachodnim wybrzeżu – choć to bardzo niebezpieczne miejsce dla młodej, niewinnej dziewczyny. Ale Joana jest wierna swoim zasadom. Znajduje nisko płatną pracę jako pianistka w barze – i nową miłość. Lloyd Carpinter jest głównym udziałowcem w nowo budowanej linii kolejowej. Ale czy będzie wierny Joanie, kiedy dowie się o jej przeszłości?”

Elaine zbladła.

– Ktokolwiek to napisał, to i tak go zamorduję!

– No, nie przesadzaj od razu! – zaśmiała się Elizabeth. – Ale chyba nie wierzysz już w przypadek, prawda? Ja w każdym razie zarządziałam poszukiwaniami...

– Już się domyślam... – westchnęła Elaine.

– Książki ukazały się w jednym z wydawnictw w Wellington, z którym w jakiś sposób związana jest pewna gazeta. A z nią z kolei od czasu do czasu współpracował swego czasu Ben.

Elaine skinęła głową.

– Inicjały BB, prawda? One właśnie znalazły się w dokumentach tego detektywa. Ale zbyt dużo to Ben tam chyba nie zarobił. W każdym razie zgodnie z naszymi szacunkami. Chłopak nie ma w tym kierunku żadnych zdolności. Ostatnie, co napisał, a co dane mi było czytać, to nieudolne wiersze traktujące o jakichś sercach rozplywających się ze szczęścia...

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Ale ja kazałam sobie przysłać tę gazetę. BB publikuje tam mniej lub bardziej urocze krótkie historyjki. Bardzo wzruszające i pisane dokładnie w tym samym stylu, co książki Brendy Boleyn.

Elaine potrząsnęła głową.

– Tego sobie nie mogę wyobrazić. Ten chłopak zupełnie nie miał zdolności w tym kierunku, a ta książka... – wskazała na *Panią na Kenway Station* – ... może nie jest to wielka literatura, ale doskonale napisana.

Elizabeth uśmiechnęła się szeroko.

– I jej treścią nie są dzieje rodziny Billerów. Nie mówiąc już o tym, że za Brendą Boleyn raczej ukrywa się kobieta.

Elaine wlepiła w nią zdumione oczy.

– Myślisz, że on tego w ogóle nie pisze? Ty myślisz, że to... Lily? – Elaine wstała i przeszła się kilka razy po pokoju. Elizabeth uratowała w ostatniej chwili cenną chińską wazę, którą Elaine przewróciłaby z całą pewnością.

– Do cholery, przełożę ją przez kolano i sprawię jej lanie! Albo przytrzymam ją, żeby to Tim ją sprzął! On od dawna chce to zrobić! Jak ona

w ogóle mogła?!

Elizabeth się uśmiechnęła.

– Nie denerwuj się tak bardzo. Trzeba naprawdę dobrze znać historię własnej rodziny, aby dostrzec podobieństwa. Mówiąc uczciwie, po przeczytaniu pierwszych dwóch książek nadal bym niczego nie zauważyła, gdyby bohater *Pani na Kenway Station* nie miał na imię Galahad.

– Ona nazwała swego syna tak samo jak jego? – Elaine nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Galahad jest chyba jakimś wymarzonym, wysnionym mężczyzną – stwierdziła Elizabeth sucho. – Nie znam Bena Billera, ale musi być rzadko spotykaną, iście świetlaną postacią, aby dorównać temu bohaterowi. No i co teraz zrobimy? Masz jakiś pomysł?

Elaine tak gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu, że kilka pasm jej mocno kręconych włosów wysunęło się z ciasnego upięcia, a figlarny kapelusz omal nie spadł.

– Napiszę list do Brendy Boleyn – z wyrazami podziwu i uznania. I ostrożnie wypytam ją o wszystkie szczegóły historii mojej rodziny. Że być może to jakaś dawno zaginiona kuzynka, która w sympatyczny sposób próbuje zakłócić kolejność dziedzictwa na Kiward Station. Zobaczymy, co na to odpowie Lilian.

Elizabeth uśmiechnęła się z aprobatą.

– Bardzo dyplomatyczne rozwiązanie. Elegancko, tak niejako obok Tima. Brenda jest być może jakąś dawną przyjaciółką ze szkolnych czasów, prawda? Ale patrząc w przyszłość, musicie to jakoś rozwiązać, Elaine. To farsa, żeby dwie rodziny toczyły z sobą wojnę – właściwie o nic.

– Ale za to oryginalne – zauważyła Elaine. – Rodziny Montekich i Capulettich rozbijają sobie nawzajem głowy, podczas kiedy Romeo uczy się dialektów polinezyjskich, a Julia zarabia majątek, opisując historię własnej rodziny. Coś takiego nie przyszłoby do głowy nawet Szekspirowi!

*Wielce Szanowna Pani Boleyn,
po przeczytaniu trzeciego tomu Pani dzieł pozwalam sobie wyrazić największe uznanie i szacunek wobec Pani talentu literackiego. Niewiele jest autorek, których fantazja i wyobraźnia tak mnie zafascynowały.*

Ale proszę pozwolić, że zadam Pani jedno pytanie: ku swojemu zdumieniu we wszystkich Pani dziełach znalazłam istotne analogie do historii swojej rodziny. Sądziłam, że to przypadek albo może coś w rodzaju pokrewieństwa duchowego. Ktoś tak wrażliwy jak Pani z pewnością obdarzony jest zdolnościami medialnymi. Ale dlaczego Pani duch opiekuńczy zajął się akurat moją rodziną? Takie i podobne rozmyślenia skłoniły mnie do przypuszczeń, że może jest Pani jakąś nieznaną bądź zaginioną osobą należącą do kręgu naszej rodziny, której nieobca jest jej historia. Jeśli tak jest, cieszyłabym się ogromnie, mogąc nawiązać kontakt z Panią.

Raz jeszcze – z wyrazami uznania i pozdrowieniami

Elaine Lambert

Lily się zdziwiła, kiedy zobaczyła charakter pisma autorki listu, choć co prawda otrzymywała tyle listów od czytelników, że od dawna nie zwracała na to uwagi. Jednak przy lekturze pierwszych słów tego listu najpierw się zaczerwieniła, a potem zaczęła chichotać.

Usiadła do maszyny do pisania, ale po namyśle postanowiła zrobić inaczej. Sięgnęła po kartkę swojej ulubionej, mocno wyperfumowanej papeterii i zaczęła pisać:

Kochana mummy...

Gwyneira McKenzie nigdy nie należała do osób obdarzonych wyjątkową cierpliwością i jej zaawansowany wiek też nic tu nie zmienił. A tego lata jej cierpliwość poddana była wyjątkowej próbie: Gwyn najpierw musiała się zmierzyć z przyjazdem Glorii, ciągłym odrzucaniem jej przez wnuczkę, potem z ponownym zniknięciem Glorii, tym razem z Maorysami, a pod koniec lata z powrotem Jacka. Coroczne odwiedziny Elaine zawsze dodawały jej ducha – miło było mieć koło siebie pełną życia wnuczkę i jej energicznych, bystrych synów. Gwyn miała wrażenie, że dzięki szalejącym dzieciom wszystko budzi się do życia. Wszystko – tylko nie Jack, który ciągle snuł się po domu jak jakiś duch. Gloria też nie dawała znaku życia, choć Gwyn była przekonana, że ciągle istniały jakieś kontakty między wędrującym szczeniem a osiadłymi na farmie Maorysami. Gwyneira nie znała dobrze maoryskiego, ale wydawało jej się, że Kiri i Moana często plotkowały w kuchni o kimś, kto odwiedzał Maorysów na farmie. Łatwo byłoby przekazać tą drogą choćby pozdrowienia. Ale Gloria zawzięcie milczała – Gwyneira zaś miała wrażenie, że jej nagromadzone uczucia któregoś dnia eksplodują.

I w końcu skrupiło się to na Jacku, w dniu, w którym Maorysi wreszcie zakończyli swoją wędrówkę. Kiri i Moana poprosiły o możliwość wcześniejszego wyjścia i przygotowały szybką, zimną kolację dla swoich pracodawców.

– Szczep z powrotem, my świętować! – oświadczyła wesoło Moana.

Gwyneira oczekiwała wobec tego rychłego pojawienia się Glorii, ale dziewczyna ciągle się nie pokazywała. Kiedy więc minęło także popołudnie, Gwyneira zapukała do Jacka, a ponieważ nikt nie odpowiadał, straciła cierpliwość i gwałtownie otworzyła drzwi.

Jej syn leżał na łóżku i wpatrywał się w sufit. Wydawało się, że w ogóle nie słyszał pukania. Tuesday, która leżała u jego stóp, poderwała się i zaszczekała radośnie. Ale Gwyn ją odtrąciła.

– Nie wiem, czy masz tu coś ważnego do roboty – zaatakowała syna. – Ale może poświęcisz mi parę godzin, weźmiesz konia i pojedziesz na O’Keefe Station. Szczep już wrócił. I chciałabym... Nie, ja nalegam, aby Gloria pokazała się tutaj jeszcze dziś. Do cholery, nie żądam chyba za wiele. Miała dla siebie całe lato. Ale teraz chciałabym się dowiedzieć, czy ma się dobrze, i usłyszeć choćby parę słów o tym, co robiła w czasie ostatnich miesięcy. Nawet jeśli miałyby się to ograniczyć do zwykłych uwag w rodzaju: „Było pięknie, babciu Gwyn”.

Jack wstał powoli.

– Nie wiem... A czy nie powinniśmy raczej poczekać, aż ona...

Niezbędnie wiedział, co czuł. Z jednej strony niczego tak nie pragnął jak tego, aby wreszcie ujrzeć Glorię, zwłaszcza od chwili, kiedy Maaka rankiem oświadczył, że szczep już wrócił. A z drugiej strony – bał się tego spotkania. Obawiał się reakcji Glorii na swój widok. Czy przerazi się, tak jak większość ludzi? Może będzie się nad nim litować? A może okaże mu pogardę? Jack czasami pogardzał sam sobą za własną słabość, dostrzegał też dezaprobatę w oczach innych mężczyzn. Na przykład ten młody pasterz, Frank Wilkenson. Ten człowiek nadal wierzył w zwycięstwo i triumf Brytyjczyków pod Gallipoli i chciałby powitać Jacka jako bohatera. I niemal chciałby go przeprosić za to, że w swoim czasie zrezygnował z wzięcia udziału w micie na temat tej przeklętej plaży. A teraz, kiedy ten chłopak widział, co zrobiła z Jackiem wojna, uważał McKenziego za pozbawionego godności tchórze.

– O nie, Jack, nie będę czekać! – oświadczyła Gwyneira stanowczo, spacerując nerwowo po pokoju. – A jeśli tam na farmie odbywa się teraz wesele, to z łaski swojej zabierz stamtąd pannę młodą i przywieź ją tutaj, zanim oficjalnie pójdzie do łóżka z tym Wiremu!

Jack w tym momencie niemal się roześmiał. Jego matka z pewnością nie była pruderyjna, ale jeszcze nigdy nie wyraziła się tak dosadnie.

– Spróbuję, mamu, ale obawiam się, że wówczas Tonga przebiję mnie włócznią. Poza tym ja nie wierzę w to wesele. Tonga zaprosiłby się na nie. Z całą pewnością nie dopuściłby do czegoś takiego.

Gwyneira prychnęła lekceważąco.

– Zaprosiłby mnie, ale jutro! – stwierdziła melodramatycznie. – Żeby zobaczyć krew na prześcieradle!

Jack chciał wspomnieć coś na temat maoryskich zwyczajów, ale zrezygnował. Być może kiedyś córki wodzów poślubiły swoich wybranków jako dziewice, aby przypodobać się jakimś bogom. Ale dziś przeciętna maoryska dziewczyna miała za sobą niejedno doświadczenie, i to z kilkoma partnerami, kiedy wybierała męża. Jeśli Gloria była zdecydowana poślubić Wiremu, to z pewnością nie będzie on jej pierwszym mężczyzną.

Jack na myśl o tym odczuwał wściekłość i coś w rodzaju smutku. Czy była to zazdrość? Potrząsnął głową. Bzdura, Gloria była dzieckiem. A on życzył jej szczęścia – nawet jeśli miałyby je znaleźć w ramionach Wiremu.

Anwyl, koń Jacka, czekał w stajni. Jack miał poczucie winy, kiedy myślał o wałachu. Koń zbyt rzadko opuszczał stajnię, podobnie jak Tuesday dom. Teraz mała suka tańczyła radośnie wokół niego.

– Czy mam go osiedlać dla pana, Jack? – spytał Frank Wilkenson z ledwo ukrywaną pogardą. Jack przyjął taką ofertę już kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy. Teraz wstydził się tego.

– Nie, proszę zostawić, sam to zrobię.

Walczył ze słabością, którą odczuwał natychmiast po podniesieniu ciężkiego siodła.

Anwyl czekał cierpliwie, aż przed oczu Jacka ustąpiła ciemność. A Jack wiedział, że przyczyną tego nie jest już odniesiona w czasie wojny rana, lecz fakt, że po prostu zbyt mało się ruszał. Musiał...

Dociągnął popręg i okiełznał Anwyla. A potem wyprowadził konia na zewnątrz.

– Jadę na O’Keefe Station – powiedział krótko. – Za dwie godziny powinienem być z powrotem.

I za chwilę zganił w duchu sam siebie za to, że odmeldowuje się jak dziewczyna, która samodzielnie wyrusza na przejażdżkę. Dawniej nigdy tego nie robił. Ale dawniej nie można go było zranić. Nigdy nie myślał o tym, że jemu albo jego koniowi mogłoby się stać coś, co pociągnęłoby za sobą konieczność szukania go czy też szybkiego znalezienia.

– Jasne, Mr Jack... trzeba poszukać zaginionej córki... – Frank Wilkenson uśmiechnął się porozumiewawczo.

Jack pomyślał przez chwilę, czy nie należałoby go ostro zrugać, ale nie zdobył się na tyle energii.

Był piękny słoneczny dzień, jeden z nielicznych tego zimnego lata. Po kilku milach Jack zaczął się rozkoszować jazdą i nawet dał Anwylowi ostrogę, zmuszając go do krótkiego galopu. Przypomniał też sobie jazdę na wyścigi, w której Gloria tak lubiła brać udział. Pomyślał o koniu, którego jej obiecał. Nie pytał Gwyneiry, co się stało z tym źrebakiem. Ale mała Princess była znów brzemienna. Czy Gwyneira sprzedała klaczkę Vicky? I chciała uspokoić wyrzuty sumienia, każąc pokryć Princess?

Jack przekroczył potok, który tworzył naturalną granicę między O’Keefe i Kiward Station. Maorysi zburzyli budynki dawnej farmy i zbudowali swoje *marae* nieco bardziej na zachód. Kiedyś była tam wieś, ale teraz, ponieważ ta ziemia oficjalnie należała do szczepu,

Maorysi zbudowali solidniejsze domy zebrzań i pomieszczenia sypialne, niż robili to zwykle na Wyspie Południowej. Szczep trzymał na tym terenie kilka tuzinów własnych owiec; ale w tej chwili zwierzęta były na wyżynie razem z owcami z Kiward Station.

Jack widział już domy wsi. Przed *wharenuī* zebrali się ludzie ubrani odświętnie, zgodnie ze zwyczajem. Jack zsiadł z konia, aby wypowiedzieć tradycyjne słowa powitania i poprosić o zaproszenie do wejścia do *marae*. Gdyby to był zwykły dzień, Maorysi zauważyliby go już dawno, mimo że zbliżał się do wsi od tyłu. Nawet jeśli Tonga teraz nie wystawił straży – co zawsze próbował robić do chwili, kiedy jego ludzie znudzili się i wreszcie odmawiali mu posłuszeństwa – wokół wsi zawsze kręciły się dzieci oraz kobiety, które nosiły wodę, oporządzały zwierzęta albo porządkowały ogródki.

Ale dziś uwaga wszystkich członków szczepu koncentrowała się na jakimś wydarzeniu, które miało miejsce w domu zebrzań. Nagle grupę ludzi opuściła jakaś dziewczyna, która wyszła spokojnie z domu zebrzań. Jack przypuszczał z początku, że to kapłanka, która będzie odprawiać jakąś ceremonię. Dziewczyna miała na sobie tradycyjny strój Maorysów: spódniczkę *piupiu* i ręcznie tkaną górną część w kolorach szczepu. Kiedy minęła róg domu i już nie można było zobaczyć jej z *wharenuī*, zaczęła biec w stronę lasu, przez który przejechał także Jack. Wydawało się, że dziewczyna była w drodze do strumyka i potem na Kiward Station – i pobiegła tak szybko, że niemal wpadła na Jacka i Anwyla.

Przerażała się, zobaczywszy nagle mężczyznę i konia, po czym zatrzymała się gwałtownie. Oczy miała pełne wściekłości, kiedy podniosła głowę i spojrzała na Jacka.

A Jack miał przed sobą okrągłą twarz, co prawda nieco szczuplejszą niż u większości maoryskich kobiet. Najpierw rzuciły mu się w oczy kunsztownie wymalowane *moko*, dzięki którym oczy dziewczyny wydawały się jeszcze większe. Niebieskie oczy... Zdumiony Jack wpatrywał się w kobietę. Była jeszcze bardzo młoda, ale nie była już dzieckiem, musiała mieć około dwudziestu lat. A jej włosy... Gęste, niesforne, jasnobrązowe loki, które stosownie do tradycyjnego stroju były przewiązane szeroką opaską.

– Proszę pozwolić mi przejść! – Na twarzy dziewczyny nie było widać ani śladu strachu, tylko nieopanowaną wściekłość. W domu zebrzań musiało się wydarzyć coś ważnego.

Jack z przerażeniem zobaczył nóż w jej ręce.

Podniósł w górę obie ręce w obronnym geście, chcąc dać jej znać, że nie ma żadnych złych zamiarów. Ale wtedy rozpoznał dziewczynę i z ust wyrwało mu się jedno słowo:

– Gloria?

Gloria drżała, choć wydawało się, że się nieco uspokoiła i uważniej przyjrzała stojącemu naprzeciw niej mężczyźnie.

Jack czekał, aż go rozpozna. Spodziewał się litości, przerażenia albo odrzucenia. Ale na twarzy Glorii dostrzegł jedynie ogromne wyczerpanie.

– Jack – powiedziała wreszcie.

Jack przyjrzał jej się dokładniej. Była dorosła i oczywiście o tym wiedział. Upłynęło dziesięć lat od chwili, w której złożył małej, zalanej łzami dziewczynce niemożliwą obietnicę: „Jeśli będzie całkiem źle – przyjedziesz mnie zabrać?”.

– Mam cię zabrać do domu – powiedział cicho.

– Późno przychodzisz. – Ona też sobie przypominała.

– Dałaś radę beze mnie... I jesteś...

Stała przed nim i ciągle przyglądała mu się spokojnie.

Nie miał pojęcia, jak określić wrażenie, jakie na nim zrobiła. Gloria, podobnie jak kiedyś, nie miała w sobie nic eterycznego, ale rysy jej twarzy stały się wyraźniejsze i ostrzejsze. Miała wysokie kości policzkowe, dzięki którym Kura-marō-tini była tak niezwykle piękną, ale płaska twarz dziewczyny i szeroki nos przypominały o jej maoryskich przodkach. Skóra Glorii była mocno opalona po długim lecie, co stanowiło niezwykle kontrast z jasnoniebieskimi oczami. Nieco kanciasta szczeka nadawała jej twarzy wyraz zdecydowania, czego zwykle brakowało na twarzach tubylców. Gęste kręcone włosy dziewczyny uwolniły się częściowo spod opaski – były z całą pewnością dziedzictwem *pakeha*; Jack nigdy nie widział takich włosów u maoryskiej kobiety. U Glorii obie rasy nie tworzyły tak pięknej i harmonijnej całości jak u Kury-marō-tini, miało się raczej wrażenie, że każda z nich stara się uzyskać przewagę. Oczy Glorii miały dziwny wyraz – były niezwykle dojrzałe, a mimo to zbuntowane, wojownicze i młode.

– Chcesz iść ze mną? – spytał w końcu Jack.

Gloria skinęła głową.

– I tak byłam w drodze do domu.

– W tym stroju? – Jack wskazał na maoryski ubiór. – To znaczy... Nie zrozum mnie źle, wyglądasz pięknie, ale...

– Przebiorę się w domu.

Gloria ruszyła zdecydowanym krokiem.

– Nie chcesz jechać ze mną na koniu? – spytał Jack i natychmiast zdał sobie sprawę z niezręczności swoich słów. Gloria nie była już dzieckiem, które mógłby posadzić za sobą na końskim zadzie. Tym bardziej że miała prawie całkiem gołe nogi i krótką spódniczkę.

Ale nie spodziewał się spojrzenia tak dzikiego i pełnego paniki, jakim Gloria skwitowała jego propozycję. Miał wrażenie, że chciała coś powiedzieć, ale nagle zagryzła wargi.

Opanowała się po chwili.

– To... byłoby niestosowne.

Jack zduśił gorzki śmiech. Dawna Gloria nigdy by nie spytała, czy cokolwiek uchodziło dziewczynie. A ta nowa, inna Gloria... Słowo „niestosowne” brzmiało tak, jak gdyby mozolnie szukała właściwego wyrażenia w obcym języku.

– To jedź sama – odpowiedział. – Po damsku. Umiesz to jeszcze, prawda?

Spojrzała na niego kpiąco.

– Kto już nie może jeździć konno, jest martwy – odpowiedziała.

Jack się uśmiechnął i oddał jej cugle Anwyla.

– Ale nie wiem, czy ja jeszcze będę umiał ci pomóc wsiąść.

Stanął u boku Anwyla. Upłynęło wiele lat od chwili, kiedy zgodnie z etykietą pomagał damie znaleźć się w siodle.

Miał wrażenie, że Gloria przez chwilę chciała się bronić; ale w końcu przeważyło jej wychowanie, a może po prostu spostrzegła, że z powodu krótkiej spódniczki obnażyłaby uda aż po krocze, gdyby włożyła lewą nogę w strzemień i przerzuciła drugą przez grzbiet konia bez pomocy kawalera.

Oparła więc obie dłonie o łęk siodła, podniosła ostrożnie prawe kolano i pozwoliła Jackowi jednym ruchem podnieść się w górę, po czym wyładowała w siodle.

Jack w ten sposób ostatni raz pomagał wsiąść na konia Charlotte – była lekka jak piórko. Musiał ją jednak mocno podrzucić w górę, aby znalazła się w siodle, bo nie robiła nic, aby mu pomóc. Za to Gloria odbiła się drugą nogą i ułatwiła mu w ten sposób zadanie, z niebywałą gracją lądując w siodle. Natychmiast też postarała się o dość mocny dosiad. W damskim siodle prawą nogę kobiety przytrzymywał we właściwej pozycji jeden z dwóch „rogów” siodła. Tu Gloria musiała zachować równowagę bez tego, ale udało jej się to bez trudu.

Wyprostowana, siedziała pewnie na koniu.

– Jak maoryska księżniczka – uśmiechnął się Jack.

Gloria spojrzała na niego i odparła:

– Maoryskie księżniczki chodzą na piechotę.

Jack nie skomentował jej odpowiedzi. Począł, aż Gloria zebrała cugle, i ruszył obok niej. Do farmy było daleko, ale Jack nie czuł zmęczenia. Wręcz przeciwnie, czuł się tak pełen życia, jak dawniej.

– Masz swojego konia na Kiward Station – powiedział wreszcie. – Będziesz teraz na nim jeździć?

– Pewnie – odpowiedziała Gloria.

Nie brzmiało to tak, jak gdyby miała zamiar przyłączyć się znów do szczepu Ngai Tahu. Jack zastanawiał się, czy ma spytać o Wiremu, ale się rozmyślił. Przeraził się, kiedy nagle za nimi coś zaszeleściło, odwrócił się nagle do tyłu, gotując się do obrony, i zauważył, że Gloria zareagowała tak samo. Oboje roześmiali się zakłopotani, kiedy z trawy wynurzyła się Nimue. Chyba dość późno dostrzegła, że jej pani znikła, i dopiero teraz za nią przybiegła. Powitała entuzjastycznie Jacka i nieco mniej radośnie sukę Tuesday.

Jack i Gloria ukryli zmieszanie, jak na komendę chwając sukę. Dawniej żadne z nich nie przeraziłoby się tak bardzo, gdyby coś zaszeleściło w buszu. Na Nowej Zelandii praktycznie nie czyhały żadne niebezpieczeństwa. Nie było żadnych dużych drapieżnych zwierząt, a z Maorysami wszyscy żyli w pokoju. A mimo to teraz oboje poczuli się bezpiecznie dopiero wtedy, kiedy dotarli do łąk otaczających Kiward Station. Było tu tak płasko, że nic nie przesłaniało widoku.

– Spóźnimy się na kolację – stwierdziła Gloria. – Babcia Gwyn będzie się złościć – poskarżyła się jak mała dziewczynka.

Jack się uśmiechnął.

– Babcia będzie się cieszyć, że wreszcie jesteś w domu. A Kiri i Moana idą na *waiata-a-ringa*, więc kolacja i tak będzie na zimno.

Przez chwilę zastanawiał się nad właściwymi słowami.

– Cieszę się, że jesteś, Glorio – powiedział.

– To jest mój kraj – odpowiedziała spokojnie.

Jej pewność siebie niemal znikła, kiedy oboje dotarli do stajni na Kiward Station. Frank Wilkenson odebrał od nich konie. Wypił już trochę whisky z innymi pasterzami; teraz wszyscy bez wyjątku gapili się na krótką spódniczkę Glorii. Dziewczyna się zaczerwieniła. Jack zdjął kurtkę i podał jej.

– Trzeba było wcześniej to zrobić – powiedział.

Pomyślał, że powinien był dać jej chusteczkę, aby mogła wytrzeć *moko*. Ale też żadne z nich o tym nie pomyślało. Teraz mogli tylko próbować przekraść się przez kuchnię w nadziei, że Gwyneira ich nie zauważy.

Ale ona czekała na nich w przejściu do pomieszczeń gospodarczych. Miała na sobie domową suknię, którą Jack widział jeszcze po południu, i sprawiała wrażenie mocno zmęczonej. Jack pomyślał, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak staro. Wydawało mu się, że dostrzegł ślady łez na jej policzkach.

– Kogo mi tu przyprowadziłeś, Jack? – spytała twardo. – Maoryską pannę młodą? Nie mówiłam poważnie. Nie musiałeś jej porywać. I tak przy najbliższej okazji uciekniesz z powrotem do swojego szczepu.

Gwyneira odwróciła wzrok od syna i spojrzała na swoją prawnuczkę.

– Nie mogliście mnie przynajmniej zaprosić, Glorio? Nie mogliśmy zrobić wesela tutaj? Czy aż tak bardzo mnie nienawidzisz, że muszę dowiadywać się od mojej kucharki o tym, że moja wnuczka wychodzi za mąż?

Jack zmarszczył czoło.

– A kto mówi o wychodzeniu za mąż, mamó? – spytał łagodnie. – Gloria chciała wziąć udział w tańcu, ale potem się rozmyśliła. I była w drodze do domu, kiedy ją spotkałem.

– Ty, Jack, zawsze byłeś gotów do wszelkich szwindli, jeśli o nią chodziło – oświadczyła Gwyneira.

Jack stanął między nią a dziewczyną, matka odsunęła go jednak zdecydowanym ruchem.

– A więc, Glorio, jak to sobie teraz wyobrażasz? Będziesz mieszkała z Wiremu tutaj? A może jednak w obozie? Zburzycie ten dom tak jak chatę Helen, kiedy szczep to wszystko przejmie? Oczywiście jeszcze Kura musiałaby się na to zgodzić. W końcu ta ziemia jeszcze należy do niej.

Gloria wyprostowała się przed babką, a w jej oczach pojawił się ten sam błysk wściekłości i szaleństwa, który miała w oczach, kiedy uciekała z obozu Maorysów.

– Ta ziemia należy do mnie! Tylko do mnie! I niech Kura Martyn nie waży się mi jej zabierać! Ta ziemia nie będzie należała do nikogo innego, babciu! Nie jestem niczyją narzeczoną! I nie będę żoną żadnego mężczyzny! Ja jestem... – Sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć o wiele więcej, ale się rozmyśliła, odwróciła się nagle i uciekła – już kolejny raz tego dnia.

Jack poczuł nagle zmęczenie.

– Jeśli pozwolisz... chciałbym już iść do siebie...

Gwyneira spojrzała na niego z wściekłością.

– Tak, idźcie wszyscy do siebie, pozamykajcie się w swoich pokojach! – zaatakowała go gwałtownie. – Czasami mam dość, Jack! Czasami mam po prostu wszystkiego dość!

Ani Gloria, ani Jack nie zeszli następnego ranka na wspólne śniadanie. Gwyneira, która zdążyła już ochłonąć i z zażenowaniem myślała o swoim wczorajszym wybuchu, dowiedziała się najpierw od Kiri, gdzie byli oboje – i że tym razem próbowali zatuszować swoje strategie zmierzające do ukrycia się przed nią. Gloria siedziała w swoim pokoju i wydawało się, że całkowicie pochłonęło ją zajęcie polegające na darciu na drobne kawałki albo rozbijaniu wszystkich swoich ręcznych maoryskich wyrobów. Jack za to wziął rano konia i spędził cały dzień przy Kręgu Kamiennych Wojowników. Gwyneira miała więc dość czasu, aby ustalić, co wydarzyło się naprawdę w *marae* na O'Keefe Station. Kiri i Moana chętnie o tym opowiedziały.

– Tonga chciał ożenić z Wiremu. Ogłosił, powiedział przed cały szczep. Ale nie Glory i Wiremu. A oni nie chcieli – mówiła Kiri.

– Wiremu chciał! – poprawiła ją Moana.

– Wiremu chciał *mana*. Ale on tchórzliwy... Glory zła, bardzo zła, bo on...

– On chyba nie dzielił łoża z nią – wyjaśniła Kiri i nawet się przy tym zaczerwieniła. Pięćdziesiąt lat spędzonych w domu *pakeha* zmieniło nieco jej maoryskie wyobrażenia o moralności. – Ale tak zrobić...

Gwyneira przekłęła w duchu swoją nieufność. Powinna była przynajmniej wysłuchać wersji Glorii. Teraz więc postanowiła okazać takt i wielkoduszność – i przeprosić dziewczynę. Kiedy jej wnuczka zjawiła się wieczorem na kolację – w tym samym staropanieńskim kostiumie, w którym babka zastała ją w Dunedin – Gwyn wyraziła w eleganckich słowach swój żal i ubolewanie.

– Byłam po prostu wystraszona tym wszystkim, Glory. Obawiałam się, że nabierzesz się na sztuczki Tongi, podobnie jak Kura.

Gloria zacisnęła wargi.

– Ja nie jestem Kurą – odparła z wyraźną złością.

Gwyneira przytaknęła.

– Wiem... Wiem... Przykro mi, doprawdy.

– W porządku, już dobrze – dodał Jack uspokajająco. Atmosfera panująca między obiema kobietami niemal go przerażała. Miał wrażenie, że Gloria chce zrzucić na Gwyn całą odpowiedzialność za wszystkie swoje przeżycia i cierpienia. Zastanawiał się w duchu, co właściwie przydarzyło się tej dziewczynie. Jak długo podróżowała zupełnie sama? Co skłoniło ją ostatecznie do powrotu na Nową Zelandię? Mając w pamięci jej reakcję na nagły szelest w krzewach w czasie ich drogi powrotnej, zrozumiał jedno: Gloria stoczyła swoją własną wojnę.

– Nie, nie jest dobrze! – krzyknęła teraz w odpowiedzi. – Nie mów za mnie, Jack! Dobrze będzie dopiero wtedy, kiedy ja to powiem... – Zająknęła się i po dłuższej chwili dodała sztywno: – Już dobrze.

Gwyneira odetchnęła.

Po kolacji zatrzymała dziewczynę, która znów chciała szybko uciec do swojego pokoju.

– Mam tu coś dla ciebie, Glorio. Małą paczuszkę od twoich rodziców. Przyszła już kilka tygodni temu.

Gloria prychnęła pogardliwie.

– Niczego nie chcę od moich rodziców! – powiedziała ze złością. – Możesz im to odesłać z powrotem.

– Ale to są tylko listy, dziecko – odparła Gwyn łagodnie. – Kura napisała, że wysłała ci twoją pocztę. Agencja chyba to wszystko zebrała i wysłała jej do Nowego Jorku.

– A kto mógłby do mnie pisać? – spytała Gloria niechętnie.

Gwyn wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, Glory, nie otwierałam koperty. Może ty to zrobisz. Potem możesz to po prostu spalić.

Po południu Gloria rozpałała przed stajniami ognisko i wrzuciła w ogień swój maoryski strój.

Skinęła krótko głową, patrząc w płomienie.

W swoim pokoju otworzyła kopertę. Pierwszy list, który z niej wypadł, był otwarty. Kura zapewne go przeczytała. Gloria spojrzała na adres nadawcy: szeregowy Jack McKenzie, ANZAC, Kair.

Kochana Glorio,

Właściwie miałem nadzieję, że będę mógł napisać do Ciebie już na adres Kiward Station. Skończyłaś przecież szkołę, a mama była tak pełna nadziei, że wreszcie wrócisz. Ale właśnie napisała mi o amerykańskim tournée z Twoimi rodzicami. To z pewnością ciekawe doświadczenie, które przedkładaś nad naszą starą owczą farmę. Twoja babcia Gwyn bardzo się z tego powodu smuci, ale przecież chyba chodzi tylko o pół roku.

Jak zapewne słyszałaś, też zdecydowałem się opuścić Kiward Station na dłużej i służyć mojemu krajowi jako żołnierz. Po śmierci mojego ojca i mojej ukochanej żony Charlotte chciałem po prostu robić i zobaczyć coś innego. I jeśli o to ostatnie chodzi, to moje oczekiwania zostały całkowicie spełnione. Egipt jest fascynującym krajem, ten list piszę, że tak powiem, w cieniu piramid. Te grobowce przypominają niemal zamki wzniesione na stromych, niezdojrzanych górach i mają przez wieki zachować w swym wnętrzu umarłych. Ale cóż to za nieśmiertelność, jeśli dusze zamurwane są w ciałach, starannie ukrytych głęboko pod ziemią w ciągłym, liczącym tysiące lat strachu przed rabusiami zwłok? Nasi Maorysi nie zrozumieliby tego, a ja też wolę widzieć Charlotte w słońcu Hawaiki niż w wiecznej ciemności...

Gloria opuściła list na kolana i zaczęła rozmyślać o Charlotte. Jak ona wyglądała? Prawie nie pamiętała najmłodszej córki Greenwoodów. A Jack... Skąd przyszedł mu do głowy pomysł, aby nagle napisać do niej tak długi list? A może zawsze to robił? Czy szkoła nie przejmowała jego listów do niej? Dlaczego i na czyje polecenie?

Gloria szybko przejrzała przesłane jej listy. Oprócz kilku od Gwyneiry i dwóch kartek od Lilian były to wyłącznie listy od Jacka!

Zaciekawiona otworzyła następną kopertę.

...Nowoczesny Kair uchodzi za wielkie miasto, ale reprezentacyjne budowle, place i pałace są mocno zaniedbane. Ludzie mieszkają w jednopiętrowych kamiennych domach przypominających skrzynki, a ulice to tak naprawdę ciasne, brudne zaułki. W mieście panuje ciągły chaos i hałas, Arabowie są przedsiębiorczy i bardzo gorliwie zajmują się tym wszystkim, co pozwala im przetrwać. W czasie manewrów ćwiczebnych stale towarzyszy nam cała chmara ubranych na biało ludzi, którzy oferują napoje odświeżające. Brytyjskich oficerów doprowadza to do szału, najwyraźniej obawiają się, że także w czasie wojny będziemy oczekiwać, aby gdzieś w pobliżu znajdowali się sprzedawcy melonów. W mieście tubylcy próbują nam sprzedawać różne „starożytne” pamiątki, które rzekomo pochodzą z komór grobowych faraonów. Wobec ilości owych pamiątek jest to po prostu nieprawdopodobne, ten kraj nie miał w swojej historii aż tylu władców. Zakładamy, że ci ludzie po prostu sami rzeźbią figury przedstawiające bogów i Sfinksa. Ale gdyby nawet miały to być przedmioty autentyczne – to przechodzą mnie dreszcze na samą myśl o tym, że zmarli są obrabowywani, bez względu na to, jak osobliwy jest zwyczaj wkładania zmarłym do grobu niezliczonej ilości drogocennych pamiątek. Czasami myślę o małym naszyjniku z jadem, który Charlotte nosiła na szyi. To hei-tiki, wyrzeźbiony przez maoryską kobietę, która powiedziała, że przyniesie jej szczęście. Kiedy znalazłem Charlotte na plaży Cape Reinga, nie miała go już na szyi. Może to on przeniesie jej duszę do Hawaiki. Nie wiem, dlaczego Ci to wszystko opowiadam, Glorio – najwyraźniej Egipt mi nie służy. Zbyt wiele śmierci jest wokół mnie, zbyt wiele przeszłości, nawet jeśli tym razem nie jest to moja własna przeszłość. Ale niedługo będziemy przeniesieni. Robi się naprawdę poważnie. Brytyjczycy chcą zaatakować Turków tuż przy wejściu do cieśniny Dardanele...

Gloria bezwiednie sięgnęła ręką do swojego hei-tiki, ale przypomniała sobie, że rzuciła go Wiremu pod nogi. Może tak będzie lepiej, niech on przeniesie gdzieś jej maoryską duszę.

...Nigdy nie zapomnę widoku tej plaży, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy w świetle poranka. Mała zatoka otoczona skałami, idealna na piknik albo romantyczne spotkanie z kobietą, którą się kocha. I nigdy nie zapomnę odgłosu tego pierwszego wystrzału – choć od tamtej chwili słyszałem już setki tysięcy strzałów. Ale ten pierwszy strzał... To on zerwał pokój, naruszył niewinność tego zakątka, na który dotychczas Bóg na pewno spoglądał z uśmiechem. A my zamieniliśmy to w takie miejsce, gdzie diabeł się śmieje...

Gloria uśmiechnęła się zmęczona. Diabeł bez wątplenia doskonale się czuł i cieszył się, będąc na tym świecie.

Nagle straciła ochotę na dalsze czytanie. Jednak starannie ukryła listy w szufladzie pod swoją bielizną. Należały tylko do niej, nikt inny nie powinien ich znaleźć – a przede wszystkim nie Jack. Może nie byłby dziś zadowolony z ich treści. Przecież teraz nigdy nie opowiadał o swoich przeżyciach na plaży pod Gallipoli. A w dodatku... Jack pisał do innej Glorii. Zapewne miał przed oczami dziecko, któremu opowiadał o tym, jak jeździł na wielbłądach i beształ wielkich, dużych mężczyzn, bo ci jechali przez pustynię na drobnych osiołkach. A z drugiej strony niektóre zdania wydały się skierowane do tej kobiety, którą dziś była Gloria. Marama prawdopodobnie powiedziałaby, że to duchy prowadziły rękę Jacka przy pisaniu...

Gloria się położyła, ale nie mogła zasnąć. Nie było jeszcze całkiem ciemno, wpatrywała się więc w puste ściany pokoju, z których zerwała wszystkie swoje maoryskie pamiątki. Wstała i wyciągnęła z kąta za szafą swój stary blok rysunkowy. Kiedy go otworzyła, z pierwszej strony popatrzyła na nią kolorowa, namalowana przed laty weta. Gloria wyrwała kartkę. A potem namalowała diabła.

– Nie jedziesz na spęd bydła? – spytał Jack.

Nie liczył się z tym, że spotka Glorię przy śniadaniu. Pasterze spędzający bydło wyruszyli już o świcie, aby zebrać wszystkie owce na płaskowyżu i zacząć je spędzać. Prawie cztery tygodnie wcześniej niż zwykle; po mokrym, nieprzyjemnym lecie nastąpiła równie deszczowa i zimna jesień. Gwyneira bała się, że straci zbyt wiele zwierząt, obawiała się też przedwczesnego ataku zimy. Jeśli w górach zaczynało naprawdę wiać, a do tego jeszcze padał śnieg, to nawet konny wypad na przedgórzu był niebezpieczny. Nie mówiąc już o tym, że w czasie burzy śnieżnej bardzo trudno było znaleźć zwierzęta.

– Tak zupełnie sama, że zgrają nieokrzęsanych chłopów? – spytała kąśliwie Gloria w odpowiedzi.

Jack zagryzł wargi. Oczywiście, że nie można było wysłać Glorii samej z pasterzami na spęd zwierząt. Może jedynie wtedy, gdyby on pojechał z nią razem. Spojrzał na swoją matkę i dostrzegł w jej oczach niemy wyrzut. W oczach Gwyneiry jego odmowa byłaby zwykłym wymigiwaniem się – podobnie było z pasterzami *pakeha*. Co myśleli Maorysi, tego nie wiedział nikt. Ale to nie jego matka i nie jej ludzie sprawili, że powoli ustępowała jego słabość i chroniczny brak sił. Był właściwie zdrowy. Jeśli tylko chciał, mógł jechać. Jack dobrze o tym wiedział. Ale nie mógł znieść myśli o namiotach, o wieczornych ogniskach, o głośnych rozmowach nieokrzęsanych mężczyzn. Wszystko to obudziłoby w nim wspomnienia o tych roześmianych, nieco pyszałkowatych chłopcach, którzy potem padli pod Gallipoli. A także wspomnienie o Charlotte, która raz czy dwa razy wyruszyła z nim na spęd bydła i opiekowała się wozem kuchennym. Ona i Jack dzielili jeden namiot, wcześniej kładli się spać i leżeli ramię w ramię obok siebie, podczas kiedy krople deszczu uderzały o brezentową ścianę namiotu albo księżyc świecił tak mocno, że w ich prowizorycznej kwaterze było zupełnie jasno. A teraz w tym samym namiocie będą go dręczyły koszarne sny pełne krwi i śmierci.

Ale bądź co bądź, przynajmniej Gloria nie robiła mu dziś żadnych wyrzutów i obojętnie przyjęła do wiadomości jego wymówki. Najwyraźniej było jej zupełnie obojętne, czy Jack chce się do czegoś przydać na farmie, czy nie.

I rzeczywiście Gloria nie rozmyślała zbyt wiele o tym, czy Jack weźmie udział w spędzie bydła. Za bardzo nurtował ją w tym czasie własny problem. Od czasu, kiedy wróciła z wędrówki ze szczepem, każdego ranka zjawiała się w stajniach z zamiarem pracy przy bydłem bądź przy tych owcach, które zostały na farmie. Ale wszyscy pracujący tam mężczyźni byli uparci i nieprzejednani. Nikt nie przydzielał jej żadnych zadań, nikt nie wskazywał jej pracy, którą miałaby wykonać, żaden z mężczyzn nie był też skory do współpracy. Gloria zaczęła uważać swoją wędrówkę z Maorysami za poważny błąd. Jeszcze większym błędem był jej powrót w maoryskim stroju. Wśród wszystkich *pakeha* pracujących na farmie taki strój uchodził za bezwstydną i wyzywającą. Ludzie ci dziś jeszcze chichotali za plecami Glorii i nazywali ją „narzeczoną wodza” lub „Pocahontas”. Nie mogła oczekiwać, że będą ją darzyli szacunkiem. Nikt też nie wykonywał jej poleceń, a kiedy Gloria o coś pytała, słyszała jakieś ironiczne odpowiedzi. W najlepszym wypadku jej słowa kwitowane były krótkim: „Tak, Miss Gloria” albo też „Nie, Miss Gloria”, a w dodatku zaraz potem mężczyźni zwracali się do Maaki albo do Gwyneiry. A w najgorszym wypadku odwracali głowę, nie zwracając uwagi na dziewczynę, albo wręcz kpili sobie z niej całkiem otwarcie.

Maoryscy pasterze też nie byli o wiele lepsi. Co prawda Gloria zyskała w ich oczach sporo szacunku – jej słowa w *wharenu* zrobiły wrażenie na całym szczepie – ale jednak mężczyźni zachowywali w stosunku do niej dystans. Bierny opór przeciwko ich często nadgorliwemu wódzowi już był niezłym wyzwaniem, ale krzyknąć na niego i cisnąć jego synowi pod nogi statuetkę bogów, to już było zbyt wiele. Dla Maorysów ze szczepu Tongi Gloria uchodziła teraz za *tapu*, przy czym ona sama nie wiedziała, czy zostało to głośno powiedziane, czy też po prostu wynikło samo z siebie. W każdym razie schodzono jej z drogi.

Ale Gloria zdążyła się przyzwyczaić do tego, że ludzie ją potępiali. Nie dawała się jednak zbić z tropu i patrzyła prosto przed siebie, nawet jeśli ktoś próbował jej nie dostrzegać albo jeśli ignorował jej polecenie. Dręczyło ją to jednak i niełatwo przychodziło jej także wymyślanie sobie czy też wynajdywanie różnych zajęć. Czasem całymi godzinami jeździła konno albo próbowała tresować szczeniaki na podwórzu. Ale do tego ostatniego brakowało jej wprawy i wiedzy. Robiła liczne błędy i słyszała śmiechy mężczyzn, jeśli collie jej nie słuchał. Podobnie było z młodymi końmi. Przeklinała lata, które straciła w Anglii na zupełnie bezużyteczną naukę, zamiast poznawać od podstaw pracę na farmie.

Coraz częściej nie spędzała całego dnia na dworze, lecz najpóźniej po południu szła już do swojego pokoju. Przeważnie wyciągała wtedy jeden ze starych listów Jacka i czytała. Pochłaniały ją jego opisy wojny.

Okopujemy się. Gdybyś mogła zobaczyć ten system okopów, który tu powstaje! To niemal podziemne miasto. Turcy naprzeciwko nas robią to samo, można zwarować, jeśli się zacznie o tym rozmyślać. Siedzimy tutaj, obserwujemy się nawzajem i liczymy na to, że jakiś głupiec po przeciwnej stronie nie będzie potrafił utrzymać ciekawości na wodzy i spróbuje wyrzeć. A wówczas zdmuchniemy mu czaszkę – ale czy to zmieni cokolwiek w przebiegu wojny? Kilka tęgich głów w naszych szeregach wymyśliło i skonstruowało peryskop. Za pomocą kija i dwóch lusterek można wyrzeć z okopu, nie narażając się. Ci chłopcy próbują jeszcze skonstruować jakieś urządzenie do strzelania.

Ale w gruncie rzeczy to Turcy mają lepsze karty. Po prostu w ich rękach pozostają ciągle liczne stanowiska obronne w górach – gdyby ich broń sięgała dalej, mogliby strzelać wprost do naszych okopów. Na szczęście tak nie jest. Ale jak mamy zdobyć ten kraj, to już przekracza granice mojej wyobraźni.

W tych dniach rozmyślam często o odwadze, Glorio. Tydzień temu Turcy odważyli się na wyjście z okopów i rajd w naszą stronę. Co za nieprawdopodobna odwaga i dzielność z ich strony. Skosiliśmy tysiące z nich, ale coraz to nowi wyskakowali z okopów i atakowali nasze stanowiska. Pod koniec potyczki było już dwa tysiące zabitych Turków. Możesz sobie to wyobrazić? Dwa tysiące martwych mężczyzn? W którymś momencie przestaliśmy wreszcie strzelać – nie wiem już, czy to był czyjś rozkaz, czy po prostu jakiś ludzki odruch. Oddziały ratownicze Turków pozbiły zabitych i rannych z ziemi niczyjej. A potem przyszła kolejna fala ataku. Czy to jest jeszcze odwaga, czy już głupota, Glorio? A może rozpacz? W końcu to jest ich kraj, ich ojczyzna, której bronią. Co my byśmy zrobili, gdyby to chodziło o naszą ojczyznę? A co robimy tutaj?

Gloria czuła gwałtowne bicie serca, kiedy czytała te słowa. Czy Jack zrozumiałby, co ona zrobiła, aby móc wrócić do domu, na Kiward Station?

Chcąc zająć myśli czym innym, wzięła do ręki blok rysunkowy i ołówki.

Farma Kiward Station po spędzie owiec wprost kipiała życiem. Wszędzie na padokach znajdowały się zwierzęta, ciągle trzeba było je karmić i nadzorować. Gwyneira opracowała misterny plan wykorzystania jeszcze istniejących terenów zielonych – widziała, jak szybko znika mizerny zapas siana, który zdążyła uratować wiosną przed deszczami. Ale ani Gloria, ani Jack nie byli zbyt pomocni przy ciągłym przepędzaniu zwierząt i nadzorowaniu pracowników. Jack jak zwykle barykadował się w swoim pokoju, także Gloria miała ostatnio skłonność do

zamykania się u siebie.

Zrozpaczona Gwyneira raz jeszcze próbowała porozmawiać o tym z Maaką, ale Maorys oświadczył krótko, że nie potrzebuje pomocy dziewczyny.

– Ona tylko zraza mi ludzi – oświadczył i Gwyneira nie pytała więcej. Wydawało jej się, że Maaka przypomniał jej katastrofalny styl prowadzenia farmy jej syna Paula, i przypisała Glorii te same błędy. Raz czy dwa próbowała porozmawiać o tym z wnuczką, ale znów nie wykazała się nadmiarem dyplomacji.

Zamiast zapytać Glorię o wydarzenia, o których niejasno wspomniał Maaka, zaczęła od razu robić jej wyrzuty. Gloria zaprzeczyła oburzona i pobięła do swojego pokoju.

Gwyneira nawet nie przypuszczała, że dziewczyna płakała tam z wściekłości i poczucia bezradności. Potrzebowała w tym momencie wsparcia; zamiast tego Gwyn stanęła po stronie jej przeciwników.

Od Jacka także nie można było się spodziewać żadnej pomocy. Życie na farmie toczyło się jak gdyby obok niego, a on po prostu nie brał w nim udziału.

Gwyneira myślała czasami, że zwariuje. Ciągłe przestrzegała przynajmniej wspólnych posiłków całej rodziny, ale Jack i Gloria milczeli, kiedy próbowała coś wspomnieć na temat skąpych zapasów siana i wynikających stąd kłopotów z karmieniem zwierząt na farmie. Jack wydawał się niczego nie słyszeć, Gloria zagryzała wargi. W pierwszych tygodniach zimy zaproponowała Gwyneirze kilka rozwiązań, ale babka nawet nie chciała słyszeć o jej pomysłach, bo one oznaczały przeważnie kolejne trudności.

– Ziemia wokół Kręgu Kamiennych Wojowników nie jest *tapu* – powiedziała któregoś razu dziewczyna. – Jeśli brakuje paszy, możesz kazać wypędzić tam zwierzęta na wypas, to przecież prawie dwa hektary. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby to sanktuarium znajdowało się w miejscu, którego nigdy się w jakikolwiek sposób nie naruszy, ale przecież trawa i tak odrośnie. Bogom z pewnością będzie to obojętne, a Tonga nie powinien udawać absolutnego autorytetu.

Gwyneirę oburzył ten pomysł – w końcu przyznali Maorysom to sanktuarium już lata temu i tu Gwyn nie chciała niczego zmieniać. Tonga ciągle poszerzał ten kawałek ziemi, do którego rościł sobie prawa, ale Gwyneira nigdy nie chciała żadnych kłótni ze szczepem. Teraz także nie.

Gloria znów poczuła się zdradzona i milczała.

Tuż po świętach Bożego Narodzenia Jack zaskoczył matkę i Glorię, oświadczając, że wybiera się w podróż do Greymouth.

– Właściwie nie mam za bardzo na to ochoty – powiedział – ale w swoim czasie obiecałem Roly'emu, że przyjadę na jego wesele. A on ponawia zaproszenie i wspierają go w tym Elaine i Timothy Lambertowie...

W rzeczywistości Jacka przerażała myśl o tym, że znajdzie się tam, gdzie spędził podróż poślubną z Charlotte. Co prawda nie musiał przecież znów oglądać wszystkich ciekawostek zachodniego wybrzeża. Miał tylko spędzić dwa dni u Elaine – a najlepiej w hotelu. Jakoś przetrwa tę uroczystość, także spotkanie z Gregiem, którego pamiętał jako krnąbrnego i upartego chłopaka, a który teraz siedział w wózku inwalidzkim... Nie, po prostu był to winien Roly'emu.

Gwyneira bez zbędnych komentarzy oddała mu do dyspozycji samochód i Jack poświęcił kilka dni na to, aby nauczyć się nim jeździć. A potem pojechał turkoczącym pojazdem do Christchurch i tam wsiadł do pociągu jadącego do Greymouth.

Elaine i jej synowie powitali go radośnie na dworcu.

– Świetnie wyglądasz, Jack! – stwierdziła Elaine. – Dobrze, że choć trochę przytyłeś. Już ja cię utuczę, zobaczysz...

Jack potrzebował całej swojej energii i siły przekonywania, aby jej wyjaśnić, że woli zamieszkać w hotelu niż nadużywać jej gościnności. Elaine sprawiała wrażenie, że jest tym bardzo rozczarowana, ale w końcu ustąpiła i zaczęła się z nim droczyć.

– Ale nie idź do Lucky Horse, Jack, wtedy nie będę mogła za ciebie odpowiadać! Roly upiera się wprawdzie, aby właśnie tam urządzić jego wesele, a mój Tim i jego stała kompania tylko na to czekają, ale nocleg w tym miejscu mógłby stanowić zagrożenie dla twojej cnoty!

Jack znalazł w końcu pokój w pięknym hotelu przy nabrzeżu i spędził kolejnych kilka godzin, wpatrując się w fale, zanim przyszli po niego Roly i Tim.

– Wieczór kawalerski! – śmiał się Roly. – Pożegnanie z wolnym stanem! Zaszalejemy, Mr... – Uśmiechnął się. – Przepraszam, Jack! Przepraszam, Mr Tim!

Tim Lambert się roześmiał.

– Roly, ty łobuzie... A właściwie w jaki sposób jesteśmy spokrewnieni, Jack? W każdym razie, nieważne, jak nazywasz Jacka. A jeśli ten wieczór będzie tak mocno zakrapiany, jak planujemy, to na koniec wszyscy będziemy na ty.

Mąż Elaine wydał się Jackowi bardzo sympatyczny, więc także spróbował pożartować.

– Sądzę, że Elaine jest moją siostrzenicą. Ale nie ma sprawy, Tim, nie musisz mówić do mnie „wuju”...

Greg McNamara nosił swój los spokojniej, niż spodziewał się tego Jack. A przynajmniej sprawiał takie wrażenie tego wieczoru, kiedy whisky dosłownie płynęła strumieniami. Wśród mężczyzn inwalida wojenny miał status bohatera. I podczas kiedy dla Roly'ego i Jacka nad wyraz nieprzyjemne było wzniesić toast za „bohaterów spod Gallipoli”, Greg wprost promieniał radością, nie ustając w opowieściach na temat swoich przygód pod Cape Helles, których ceną było jego zdrowie. I w pewnej chwili tego szalonego wieczoru znalazła się nawet dziewczyna, która nie tylko z zainteresowaniem wysłuchiwała jego opowieści, ale także usiadła na kikutach jego ud.

– To jest jednak burdel – zwrócił się w którejś chwili Jack do Tima, który swobodnie żartował z właścicielką lokalu i opowiadał anegdoty z czasów swego narzeczeństwa z Elaine.

– Wreszcie zrozumiał! – zaśmiała się w odpowiedzi właścicielka hotelu, mocno starsza kobieta. – Skąd wyście go w ogóle wytrzasnęli? Może z ostatniej zagrody dla owiec w całym Canterbury Plains? Myślałam, że był pan na wojnie, Mr McKenzie. Nigdy pan tam... no, nie szukał pan ani razu rozrywki u jakiejś miejscowej królowej nocy?

Jack się zaczerwienił. Nigdy tego nikomu nie powiedział, ale od śmierci Charlotte rzeczywiście nawet nie objął żadnej kobiety. A już zwłaszcza nie ważył się dotknąć tych tak łatwych do kupienia dziewcząt w porcie w Aleksandrii i w nędznych barach wokół ich obozu w Kairze.

– Hera, zajmij się tym panem!

Hera okazała się maoryską dziewczyną, a przynajmniej tak wyglądała. Nie mogła jednak należeć do żadnego szczepu, bo wówczas nie znalazłaby się w lokalu madame Clarisse. Jack był na tyle uprzejmy, że o to nie pytał. Odetchnął, kiedy zobaczył piękną dziewczynę o smagłej cerze i długich czarnych włosach, która w żaden sposób nie przypominała Charlotte. Zdołał wypowiedzieć kilka grzecznościowych słów, zanim wcześniej opuścił lokal.

– Już jest pan zmęczony? – spytała dziewczyna ze zdziwieniem. – No tak, właściwie to całkiem rozsądne, aby na dzień przed weselem nie upić się do nieprzytomności. Należałoby to zalecić także panu młodemu. Ale tutaj też mamy łóżka... – Uśmiechnęła się zapraszająco.

Jack potrząsnął głową.

– Może jutro – powiedział wymijająco i zawstydził się z powodu tak banalnego frazesu. Oczywiście nie zamierzał iść nazajutrz do łóżka z tą małą dziwką.

Hera się roześmiała.

– Jeszcze wrócimy do tej rozmowy! – pogroziła mu żartobliwie.

Jack cieszył się, że mógł stamtąd wcześniej uciec. Spał niespokojnie w swoim luksusowym pokoju w hotelu z widokiem na morze i śnił

o Charlotte i Herze, których twarze we śnie zlały się w jedną. A dziewczyną, którą we śnie całował, była Gloria.

Rodzina O'Brienów była równie katolicka jak rodzina Flahertych, rodziców narzeczonej Roly'ego. Dlatego też wielbny Kościoła metodystów musiał się zdobyć na tyle tolerancji, na ile tylko było go stać, aby uroczyste zaślubiny w małym kościółku mogły dojść do skutku. I rzeczywiście otworzył świątynię swoim katolickim braciom w wierze z Westport, a Elaine zagrała na organach *Amazing Grace*, co wprawdzie nie za bardzo pasowało do okoliczności, ale przynajmniej było wszystkim znane.

Madame Clarisse zjawiła się w kościele ze wszystkimi swoimi dziewczętami, a Hera uśmiechała się do Jacka, podczas kiedy zacne matki obojga państwa młodych patrzyły z nieukrywaną pogardą na zgromadzony personel powszechnie znanego lokalu. Mężczyźni sprawiali wrażenie wyjątkowo skacowanych, kobiety natomiast nieco poirytowanych, ale w końcu wszystkie bez wyjątku się popłakały, kiedy Mary i Roly nader wyraźnie wypowiedzieli sakramentalne „tak”.

Jack myślał o swoim ślubie z Charlotte i z trudem powstrzymywał łzy. Greg obok niego płakał jak bóbr. Dla niego takie wydarzenie jak wesele w ogóle nie wchodziło w grę. Dziewczyna, z którą spotykał się przed wyjazdem do Gallipoli, opuściła go, kiedy wrócił. Bo jak miałby wyżyć żonę, a potem rodzinę?

Po uroczystości zaślubin w kościele wszyscy udali się na przyjęcie do pubu Lucky Horse, co wyczerpało niemal wszystkie pokłady wyrozumiałości i cierpliwości madame Clarisse, bo Mrs O'Brien i Mrs Flaherty opanowały kuchnię.

– Z nimi dwiema to na pewno zwyciężylibyśmy pod Gallipoli – stwierdziła Elaine, która na krótko znalazła się „na linii ostrzału”. – Madame Clarisse obawia się już, że te panie jeszcze dziś nawrócą na katolicyzm wszystkie jej owieczki. W każdym razie dano nam do zrozumienia, że Charlene i ja jesteśmy tam całkowicie zbędne. Gdzie jest szampan?

Rozejrzała się z przyjemnością po sali, którą pracownicy ozdobiła kwiatami i girlandami wespół z innymi kobietami i dziewczętami. Co prawda nie musiały sprzątać, bo zrobił to personel kuchenny madame Clarisse. Wnętrze Lucky Horse było dziś nienagannie czyste. Część stołów odstawiono na bok, dzięki czemu na środku pomieszczenia powstał parkiet do tańca. W tej chwili stali tam Mary i Roly i z wielkim entuzjazmem odbierali życzenia oraz prezenty od gości. Mary piła małymi łykami szampana – po raz pierwszy w życiu. Wyglądała naprawdę pięknie w swojej kremowej sukni, która oczywiście pochodziła z warsztatu matki Roly'ego. Mrs O'Brien doprawdy przeszła samą siebie. Nikt nie opanował techniki nowoczesnych maszyn do szycia tak perfekcyjnie jak ona.

Mrs Flaherty królowała za to przy kuchni. Nawet stali goście Lucky Horse musieli przyznać, że nie dane im było jeszcze jeść tak smacznych potraw.

Tim Lambert był fundatorem szampana, ale większość gości wolała jednak whisky. Jack się dziwił, że Hera, która piła ją w wielkich ilościach, i to bez żadnych zahamowań, nie była w ogóle pijana.

Elaine i Charlene, zgrabna, czarnowłosa małżonka Matthew Gawaina, niemal popłakały się ze śmiechu, kiedy Jack zadał im to pytanie. Obie kobiety przyłączyły się do niego, bo siedział samotnie przy jednym ze stołów. Pozostali mężczyźni stali przy barze.

– Dziewczeta madame Clarisse w ogóle nie piją – wyjaśniła Charlene. – Albo jeśli, to z wielkim umiarem. W sobotę po zakończeniu zmiany zawsze można było wypić szklaneczkę, prawda, Elaine?

Elaine przytaknęła.

– Bardzo mi to smakowało. A przecież tylko grałam na fortepianie. Ale mówiąc poważnie, Jack, to w szklance Hery jest tylko czarna herbata. Dziś jest wprawdzie inaczej, bo za wszystko płaci Roly, ale zwykle dziewczęta dostają kilka centów za każdą szklanekę, którą stawiają im mężczyźni. Taki dodatkowy zarobek jest nie do pogardzenia – sama w niektóre wieczory niemal tonęłam w herbacie.

Charlene uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Jack co trochę spoglądał na Herę, która tańczyła po kolei ze wszystkimi mężczyznami. Właściwie, podobnie jak na całym zachodnim wybrzeżu, w tym towarzystwie było znacznie więcej mężczyzn niż kobiet i dziewczęta madame Clarisse musiały uzupełniać te braki. Hera sprawiała już wrażenie mocno zmęczonej.

– Ale ona chętnie napije się z tobą szampana, jak ją zaprosisz – stwierdziła Elaine i popchnęła lekko Jacka w stronę Hery. – Jeśli chodzi o szlachetniejsze napoje, madame Clarisse na pewno zabroniła samoobsługi.

Charlene przytaknęła.

– Niechże pan spokojnie przyprowadzi to małe biedactwo do naszego stołu, Mr McKenzie – zachęciła go. – Ona na pewno potrzebuje przerwy w tańcach.

– Małe biedactwo? – spytał Jack. – Wczoraj miałem wrażenie, że ją to wszystko bawi.

Charlene prychnęła.

– To jest część jej pracy, Mr McKenzie. Czy zapłaciłby pan dziwce, która stale płacze?

Jack wzruszył ramionami.

– Jeszcze nigdy nie płaciłem żadnej dziwce – przyznał. – Ale jeśli tym dziewczynom nie sprawia to przyjemności... to dlaczego to robią?

Elaine i Charlene, obie już nie całkiem trzeźwe, zaczęły teatralnie wdychać.

– Słodziutki – odpowiedziała Charlene ochryłym głosem, którego Elaine nie słyszała u niej od czasu jej ślubu z Mattem. – Mają po temu bardzo wiele powodów. Ale o „przyjemności” jeszcze nigdy nie słyszałam...

Jack spojrział na nią niepewnie.

– Pani... też tu pracowała? – spytał zakłopotany.

– Zgadza się, słodziutki! – roześmiała się Charlene. – I uprzedzając następne pytanie: nie, nie grałam na fortepianie. Robiłam to, co wszystkie pozostałe dziewczyny.

Jack nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

Charlene pokręciła głową.

– Jeśli czuje pan wstręt do dawnych dziwek, powinien pan unikać zachodniego wybrzeża – stwierdziła już wyraźnie zła. – Dziewczeta madame szybciej wychodzą za mąż, niż ona jest w stanie uzupełnić braki w żałodze. Tylko ta Hera, to małe biedactwo. Nikt jej nie chce. Jeśli faceci chcą koniecznie jakąś maoryską dziewczynę, to biorą ją sobie ze szczepów. A ona się cieszy i jest ciągle świeża.

– Wcale nie czuję wstrętu – bronił się Jack. – Myślę tylko, że dziewczyna zawsze ma jakiś wybór... – Bawił się swoim kieliszkiem do szampana.

Charlene nalała mu whisky.

– Niechże pan wypije coś porządnego, ta woda z bąbelkami wcale panu nie smakuje, widzę przecież. A jeśli chodzi o ten wybór...

– Oczywiście możesz też z godnością umrzeć z głodu – zauważyła Elaine. – Też bym to wtedy prawdopodobnie zrobiła. Wydawało mi się, że lepiej jest umrzeć, niż choćby dotknąć mężczyzny.

Elaine uciekła do Greymouth od swojego pierwszego męża, który okazał się zwykłym brutalnym.

– Tylko wtedy, gdyby cię o to pytano, kochanie – zauważyła gorzko Charlene. – Nasza madame Clarisse żadnej dziewczyny nie zmusza, ale w większości lokali najwięcej do powiedzenia mają mężczyźni. A jeśli wpadnie im w ręce takie małe biedactwo jak ty wtedy, które najwyraźniej ma coś do ukrycia, a jednocześnie nikt jej nie szuka, to najpierw ją po prostu ujeżdżają. Potem twój opór byłby złamany i zrobiłabyś wszystko.

Jack wypił duży łyk whisky.

– A mała Hera – mówiła dalej Charlene – została sprzedana, kiedy jeszcze nie miała nawet dziesięciu lat. Jej matka była Maoryską i dała się uwieść i zabrać ze szczepu przez pewnego typa, poszukiwacza złota. I on przywlokł ją z Wyspy Północnej na Południową. Żadnej szansy powrotu i odnalezienia domu. I kiedy złoto nie popłynęło, to sprzedał dziewczynę, a później jej córkę. Jej nikt o nic nie pytał, Jack.

– A nawet gdyby ją pytali, to co? – dodała Elaine. – Miałam przyjaciółkę w Queenstown, która robiła to dobrowolnie, aby opłacić podróż ze Szwecji. To był po prostu wybór między dwiema gorszymi możliwościami...

Jack dostrzegł szansę sprzeciwu.

– Ale Gloria dotarła tutaj w przebraniu chłopca okrętowego. Ona nie musiała.

Charlene wypila jeszcze jeden łyk szampana.

– Jako chłopiec okrętowy? Tak pracowała przez całą tę daleką drogę z Anglii do Nowej Zelandii?

– Z Ameryki! – zatriumfował Jack.

Charlene zmarszczyła czoło.

– I w ciągu tak długiego czasu chłopak okrętowy ani razu nie zdjął koszuli? Już nie mówiąc o majtkach? Wiesz, byłam dzieckiem, kiedy wyemigrowaliśmy do Nowej Zelandii. Ale pamiętam doskonale, jak gorąco było na Pacyfiku. Marynarze pracowali rozebrani do połowy, a mężczyźni skakali do wody z pokładu, aby się ochłodzić, i potem byli ciągnięci za statkiem na linie. To była taka próba odwagi, od czasu do czasu każdy się na to zdobywał.

Jack wolał nie słuchać o próbach odwagi młodych marynarzy.

– Co... co chce pani przez to powiedzieć? – spytał nieco agresywnym tonem.

Elaine uspokajająco położyła mu rękę na ramieniu.

– Ona chce powiedzieć, że... jeśli tak było... ja też wiem tylko tyle, ile opowiedziała mi babcia Gwyn... Ale w takim razie przynajmniej jeden albo dwóch członków załogi musiało być w to wtajemniczonych...

– Jeden albo dwóch? – zakpiła Charlene. – A od kiedy chłopcy okrętowi mieszkają w dwuosobowych pokojach? Lainie, kobieto, oni sypiąją w ciasnych kłitkach z przepierzeniami, po sześciu albo nawet dziesięciu w jednej. Dziewczyna od razu rzuciłaby się w oczy.

– No dobrze, to byli i tacy, którzy o tym wiedzieli... – Jack nalał sobie whisky. Ręce mu drżały.

– A oni zachowali dla siebie wiedzę o tym, że Gloria nie jest chłopakiem, nie żądając żadnych wyrazów wdzięczności? – spytała Charlene.

– Niechże pan zdejmie z tej małej aureole świętości, zanim ona nabawi się odcisków od jej ciężaru!

– Powinieneś iść zatańczyć, Jack... – Elaine dostrzegła, że Jack z taką siłą ścisnął w rękę szklanke, że aż zbiały mu kości palców. – Hera...

– Hera może się ze mną napić. Ale nie mam ochoty na taniec.

Jack odetchnął kilka razy głęboko. Nie miał skłonności do ataków wściekłości, tym bardziej kiedy ktoś mówił prawdę.

– A ty, Charlene, może też zatańczysz. – Elaine mrugnęła porozumiewawczo do przyjaciółki. – Przyprowadź swojego Matta i idźcie się poruszać. A przy okazji przyslij do mnie Tima, bo stoi już za długo przy barze. Potem będzie go wszystko bolało i będzie chciał o jedenastej iść do domu...

Jack wypił w milczeniu pół butelki whisky. Najpierw pił sam, a potem obok Hery, która po prostu czekała na niego. W końcu zabrała go na górę i Jack zasnął w jej ramionach.

Następnego ranka wcisnęła jej pieniądze za całą noc.

– Ale przecież nic się nie stało! – protestowała dziewczyna. – Sam o tym wiesz!

Jack potrząsnął głową.

– Stało się więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Po raz pierwszy w życiu Jack McKenzie zapłacił dziwce.

Po bardzo męczącym dniu z rodziną Elaine, kiedy to i Lainie, i jej synowie koniecznie chcieli mu pokazać wszystkie konie i psy, jakie były w posiadaniu całej rodziny, Jack wsiadł do nocnego pociągu do Christchurch. Na dworcu zagadnął go wysoki, szczupły mężczyzna o jasnych włosach. Jack nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska ani imienia, ale mężczyzna się przedstawił.

– Mr McKenzie? Caleb Biller. Znamy się tylko przelotnie. Odbylem kilka bardzo ciekawych rozmów z pańską małżonką, kiedy pan tu z nią był.

Jack przypomniał sobie i podał mu rękę.

– Miło pana widzieć, Mr Biller. Wie pan zapewne, że Charlotte... – Ciągle jeszcze trudno mu było o tym mówić.

Caleb Biller skinął głową.

– Pańska żona zmarła kilka lat temu. Przykro mi bardzo z tego powodu, ona była typem świetnego naukowca. Czytałem potem kilka jej artykułów.

– Tak – powiedział Jack cicho. Zastanawiał się, czego chce od niego Biller. Nie przyszedł przecież na dworzec, aby wyrazić swoje współczucie kilka lat po śmierci Charlotte.

– Nie chciałem pana urazić, Mr McKenzie, ale... Interesuje mnie, czy, a jeśli tak, to jak uregulował pan sprawę spuścizny po Mrs McKenzie. Z jej artykułów wynika, że zebrała, zapisała i przetłumaczyła wiele maoryskich mitów...

Jack przytaknął, mając nadzieję, że wkrótce przyjedzie jego pociąg. Ale niełatwo było uciec przed Calebem Billerem.

– Ona zapisała kilkaset takich mitów – wyznał w końcu.

Oczy Caleba rozbłyły.

– Tak też myślałem. Była w to bardzo zaangażowana. Ale to, co mnie interesuje... Gdzie znajdują się te zapiski? Czy oddał pan spuściznę po swojej żonie do dyspozycji jakiegoś instytutu badawczego?

Jack zmarszczył czoło.

– Do instytutu? A któż miałby się tym zainteresować?

– Każdy uniwersytet, Mr McKenzie. Nie wyrzucił pan tych zapisków? – Jack miał wrażenie, że już sama myśl o tym przerażała Billera.

Jacka też to zainteresowało.

– Wyrzucić? Jakże pan może tak myśleć? Po tym, kiedy Charlotte włożyła w to tyle serca? Oczywiście, że mam jeszcze to wszystko. Mam też wszystkie jej rzeczy... Może powinienem... – Jack poczuł wyrzuty sumienia, kiedy pomyślał o szafach pełnych jej ubrań i butów, o regałach z książkami i o licznych segregatorach zawierających teksty zapisane wyraźnym pismem Charlotte. Dawno powinien był to przejrzeć, zdecydować się na pozostawienie kilku pamiątek, a resztę rzeczy rozdać.

Caleb Biller odetchnął z wyraźną ulgą.

– Miałem nadzieję, że pan jeszcze to ma. Proszę posłuchać, Mr McKenzie, oczywiście respektuję pańskie uczucia, ale Charlotte nie prowadziła tych badań po to, żeby ich wyniki leżały w pana szufladach. I z pewnością byłoby to także po pańskiej myśli, gdyby mieli je do dyspozycji inni naukowcy, którzy mogliby je potem także przekazać potomności. Czy mógłby się pan przemóc i zrobić wszystko, aby tak było?

Jack wzruszył ramionami.

– Jeśli pan sądzi, że ktokolwiek chciałby dostać te materiały... Mam je panu wysłać? – Jack zarzucił na ramię swój worek, bo pociąg właśnie wjechał na peron.

Caleb Biller się zawahał.

– Nie jestem chyba właściwym partnerem do rozmowy – stwierdził. – Tym powinien się zainteresować raczej fakultet zorientowany bardziej na lingwistykę i literaturę. Ja zajmuję się bardziej sztuką i muzyką tubylców, rozumie pan?

Jack wprawdzie rozumiał, ale nie bardzo wiedział, o co tu chodzi.

– A więc, Mr Biller, muszę zaraz wsiadać. Proszę powiedzieć, co właściwie leży panu na sercu. Do kogo mam wysłać te rzeczy?

– Na dowolny uniwersytet...

– Mr Biller! Na który? – Osobliwe niezdecydowanie Billera doprowadzało Jacka do pasji. Ten człowiek chciał, aby wysłać zapiski Charlotte jakiemuś określönemu fakultetowi, ale nie potrafił mówić otwarcie.

– Może... Wellington? Oni właśnie otworzyli docenturę, która... – Caleb przestąpił z nogi na nogę.

Jack skinął głową.

– W porządku, Mr Biller, czyli Wellington. Jak tylko znajdę czas, aby przejrzeć te materiały, zrobię to. Jest tam jakiś konkretny adresat, któremu mam to przesłać?

Biller zaczerwienił się jak wiśnia.

– Właściwie chciałem pana prosić... bo to jest z pewnością dużo papieru... I może uniwersytet przysłałby kogoś, kto sam to obejrzy... Ten człowiek najwyraźniej chciał zwabić na Kiward Station jakiegoś pracownika naukowego. Jack zastanawiał się, co on sobie po tym obiecywał. Ale nagle przyszła mu do głowy inna sprawa, w związku z którą słyszał już nazwisko Biller.

– Proszę powiedzieć, czy pański syn nie wyjechał tam z moją siostrzenicą Lilian?

Tym razem twarz Billera przybrała barwę dojrzałego pomidora.

– Ten chłopak, który porównuje polinezyjskie dialekty czy coś takiego?

Biller skinął głową.

– Mój syn potrafiłby jak nikt inny docenić zapiski pańskiej małżonki – usprawiedliwił się. Prawdopodobnie nie zgadzało się to z jakimiś akademickimi zasadami, aby załatwić synowi interesujący projekt badawczy.

Jack się uśmiechnął.

– Nie mam wątpliwości. I może obok przejrzania tych materiałów przez pańskiego syna dałoby się też zorganizować jakieś małe spotkanie rodzinne.

Biller zagryzł wargi.

– Jeszcze nie mówiłem tego Elaine – odparł. – Nie mówiąc już o mojej żonie i o Timie Lambercie. Oni dwoje i tak nic nie wiedzą o naszych dzieciach. Mówiąc uczciwie, ta myśl przyszła mi do głowy dopiero wczoraj, kiedy usłyszałem, że pan tu jest. Ale nie myślałem tu o jakichś korzyściach własnych, Mr McKenzie. Badania pańskiej żony...

Jack zdecydowanie postawił stopę na stopniu wagonu.

– Napiszę do Wellington, obiecuję – powiedział przyjaźnie. – Jak tylko się pozbięram... Rozumie pan, najpierw muszę sam przejrzeć te materiały.

Caleb uniósł rękę w geście pozdrowienia.

– Dziękuję panu, Mr McKenzie. Mam nadzieję, że wkrótce znajdzie pan czas...

Jack zmusił się do uśmiechu. Czas nie stanowił problemu. Problemem było wejść do pokoju Charlotte, poczuć jej zapach i dotknąć tych rzeczy, których dotykała ona. Ale Caleb miał rację. Charlotte też by sobie tego życzyła. Nie chciała mieć mauzoleum... Jack poczuł ból w piersi i nagle przed jego oczami pojawiły się grobowce faraonów w Egipcie. Zamurowane w nich dusze wraz z ogromną ilością dóbr tego świata, przykute do tego świata, z dala od Hawaiki. Charlotte nienawidziłaby tego. Jack postanowił zajrzeć do jej pokoju zaraz następnego dnia.

Droga powrotna samochodem z dworca w Christchurch na Kiward Station zajęła mu prawie cały dzień. Mogłoby być szybciej, ale Jack nie ufał do końca technice i nie ważył się zbyt mocno przycisnąć pedału gazu. Śmiertelnie zmęczony dotarł po południu na farmę, zaprowadził samochód do garażu i postanowił wejść do domu tylnym wejściem. Gdyby udało mu się zejść matce z drogi, to mógłby przed kolacją przespać się ze dwie godziny. Wówczas mógłby spokojnie opowiedzieć o weselu – i stanąć twarzą w twarz z Glorią.

Glorię zobaczył jednak w corralu koło stajni, który wykorzystywano do tresury psów i ujeżdżania koni. Gloria była tam z młodym collie, liczącym dopiero około sześciu miesięcy, który pochodził z tego samego miotu co Tuesday i Shadow.

– Siad! – rozkazała Gloria już nieco zniecierpliwionym głosem, a znajdująca się poza corralem Nimue usiadła posłusznie. Ale mały piesek w corralu stał przed Glorią, machając radośnie ogonem i wpatrując się w nią – wcale jednak nie zamierzał wykonać rozkazu, choć dziewczyna ciągnęła go za obrozę.

– Siad!

Glorii w zapale spadły na twarz jej mocno kręcone włosy, kiedy pochyliła się nad szczeniakiem. Od kiedy opuściła szczeniaczki Maorysów, nie nosiła opaski na czole, lecz próbowała ujarzmić niesforne, obfite loki za pomocą klamry do włosów, co było raczej mało efektywne. Jack wiedział, że dziewczyna zmuszała się do opanowania. Wiedziała, że w pracy ze zwierzętami nie wolno tracić cierpliwości, ale na jej twarzy można było dostrzec frustrację. Jack pomyślał, że Gloria wygląda bardzo młodo – i że jest śliczna. Podobał mu się jej zapał, ale wiedział, że to, jak próbowała poradzić sobie z psem, nie miało sensu.

Podszedł bliżej.

– Dajesz mu sprzeczne sygnały – powiedział po chwili. – I on nie rozumie, co ma robić.

– Ale nie mogę zrobić więcej niż mu pokazać! – odparła Gloria nieszczęśliwym głosem. Przyciskała siedzenie szczeniaka do ziemi, ale ten wstał natychmiast, kiedy tylko go puściła. – Udało mi się wtedy nauczyć tego Nimue. Może ten pies jest po prostu za głupi...

Jack się roześmiał.

– No, gdyby moja matka to usłyszała! Głupi collie z Kiward, to byłaby sensacja mniej więcej taka sama, jak gdyby urodziła się tu owca w kratkę! Nie, przyczyna leży po twojej stronie, zapomniałaś po prostu technikę szkolenia. Popatrz...

Jack przecisnął się między belkami, które stanowiły ogrodzenie corralu, i powitał pieska, klepiąc go kilkakrotnie. Potem wziął linkę i szarpnął ją lekko, dając jednocześnie rozkaz. Pies natychmiast opuścił zad na ziemię.

– To niesłychane! – westchnęła Gloria. – Czemu on tego nie robi, kiedy ja mu każę?

– Bo popełniasz mały błąd – wyjaśnił Jack. – W momencie, kiedy dajesz mu rozkaz i szarpiesz linkę, pochylasz się nad nim. A on wtedy skacze do ciebie, machając ogonem. I to jest w porządku, tak ma być. O wiele gorzej by było, gdyby się ciebie bał i zaczął się cofać. Ale kiedy się pochylasz, to nie przyjdzie mu do głowy, aby usiąść, zamiast skakać do ciebie. Popatrz, jak ja to robię...

Gloria obserwowała zafascynowana, jak Jack prostował się, wydając psu rozkaz „siad”. Szczeniak patrzył na niego, podniósł łepkę – i usiadł natychmiast.

– Daj, teraz ja spróbuję! – Gloria, naśladowując postawę Jacka, szarpnęła za linkę – collie posłusznie opuścił zad na ziemię. Oboje, i Gloria, i Jack, pochwalili go wylewnie.

– Widzisz? – uśmiechnął się Jack. – To nie jest głupi pies, tylko...

– Tylko głupia Gloria. Nigdy nie robię niczego tak, jak trzeba, chyba dam sobie spokój. – Gloria się odwróciła. Zwykle nie pozwalała sobie na takie słowa, ale tego dnia czuła się doprowadzona do ostateczności.

Już wcześniej rano zjawił się u Gwyneiry Tonga z bardzo ważną miną, po czym zaczął się skarżyć z powodu kilku owiec pasących się na świętych dla Maorysów miejscach. W rzeczywistości zwierzęta przekroczyły jedynie granicę dawnej farmy O'Keefe i pasły się na tym terenie, na którym Howard O'Keefe latami wypasał swoje owce. I przeważnie pilnowali ich maoryscy pasterze. Dziś bez wątplenia ziemia ta należała do szczepu, ale łąki wokół potoku znajdowały się daleko od wszelkich „świętych miejsc”.

Tonga i jego ludzie mogli po prostu przepędzić zabłąkane zwierzęta, zamiast przychodzić z pretensjami do Gwyneiry, i Gloria powiedziała to głośno. Babcia Gwyn ostro ją zbesztiała i przyznała rację wodzowi – takiego podejścia do sprawy Gloria nie rozumiała zupełnie. Gwyneira i Tonga zawsze darli z sobą koty, od kiedy Gloria sięgała pamięcią, i dawniej Gwyneira broniła swojej pozycji. A obecnie farma Kiward Station cierpiała z powodu znacznego braku personelu. Zwłaszcza *pakeha* prawie nie pracowali już na owczych farmach. Poszukiwacze przygód, którzy zwykle najmowali się tu do pracy, w latach wojny wstępowali do ANZAC, a potem osiedlali się w dużych miastach – o ile przeżyli tego rodzaju przygodę. Gwyneira była więc niejako skazana na maoryskich pasterzy. Gdyby Tonga zaczął ją bojkotować, zostałaby sama z dziesięcioma tysiącami owiec. Wolą iść na wszelkie ustępstwa i czegoś podobnego nie ryzykować.

Gloria jednak patrzyła na to inaczej i wcale się z tym nie kryła.

– Byłoby lepiej zagrozić zwolnieniem pasterzy z Ngai Tahu! – dowodziła, wściekła z powodu niesłusznego upomnienia w obecności wodza, który jawnie z niej szydził, uśmiechając się. – Wtedy szybko skruszyłoby kopie. Żniwa były kiepskie, rodziny są skazane na pracę na farmie. Tonga w żadnym wypadku nie ma aż tak dużego *mana*, aby wezwać szczep do wędrówki w środku zimy, bo tu nie ma co jeść. Jesteś o wiele za łagodna, babciu!

Ten zarzut bardzo uraził Gwyneirę, która nie bez słuszności była dumna z tego, że od wielu lat praktycznie sama prowadziła farmę. Już za czasów Geralda Wardena właściwie kontrolowała wszystko.

– Jeśli odziedziczysz farmę, Glorio, to będziesz mogła robić, co zechcesz – oświadczyła ze złością. – Ale tak długo, jak ja ją prowadzę, musisz się dostosować do mnie. Bierz teraz konia i pozbięram te zabłąkane owce.

Gloria wypadła z pokoju z oczami pełnymi łez, po czym wzięła swojego konia i psa – ale pojechała bez pomocników, co okazało się później fatalne w skutkach. Zabłąkane owce były młodymi, jurnymi trykami, które uciekły ze stada. Gloria z doświadczoną Nimue potrzebowała całego przedpołudnia, aby je zagonić do zagrody i prowizorycznie naprawić płot. A wkrótce potem Maaka doniósł Gwyneirze, że zwierzęta znów uciekły, i Gloria otrzymała kolejną naganę. Dumna dziewczyna nie powiedziała Gwyn, że zaraz po powrocie prosiła Franka Wilkersona, aby ten wysłał kilku mężczyzn z narzędziami, by porządnie naprawili płot. Wilkerson oczywiście zignorował jej polecenie i dopiero kilka godzin później zabrał się do tego Maaka. A tymczasem tryki znajdujące się za ogrodzeniem, na terenie, gdzie dawno nie było już trawy, szybko znalazły uszkodzenie w płocie i znów wyszły na „święte” miejsce.

Gloria zamknęła się w swoim pokoju i znów zaczęła czytać listy Jacka. Jednak jego opisy codziennego życia w obozie w chwilach pomiędzy kolejnymi falami ataków i wyraźnie odczuwany smutek zdeprymowały ją jeszcze bardziej. A rysowanie za dnia nie wychodziło jej; potrzebowała ciemności, aby przenosić na papier powstające w jej głowie obrazy.

W końcu wyszła z domu, aby tresować psy – i doznała kolejnej porażki. Gloria uznała, że to wystarczy jak na jeden dzień, i – co niezwykle

– postanowiła o tym dokładnie opowiedzieć.

Jack potrząsnął głową.

– Wcale nie jesteś głupia, podobnie jak ten pies – oświadczył. – Nie znałaś tylko tej sztuczki. To na czym właściwie polega problem?

– Znasz więcej takich sztuczek? – spytała Gloria przekornie.

Jack skinął głową.

– Całe setki – stwierdził. – Ale dziś jestem już zbyt zmęczony. Chętnie pokażę ci je jutro. Co ty na to?

Na twarzy Glorii pojawił się uśmiech. Jacka dosłownie zatkało. Od kiedy wrócił na Kiward Station, nigdy jeszcze nie widział uśmiechu na jej twarzy. Choć właściwie wyglądał on bardziej jak grymas. Ale teraz jej oczy były przez chwilę pełne blasku. Jack dostrzegł w nich nie tylko cień rodzącego się zaufania, którym Gloria obdarzała go jako dziecko – ale i podziwu.

– Zgoda! – odpowiedziała cicho. – Ale gdzieś, gdzie nas nikt nie będzie widział...

Praca z Glorią i psami collie była dobrym pretekstem, aby przesunąć na nieokreślony termin przejrzenie spuścizny po Charlotte. Jack wprowadził nie za bardzo rozumiając, dlaczego mieli to robić w tajemnicy, ale przystał na jej życzenie. Spotykali się na ogrodzonym wybiegu dla owiec, kilka razy udali się też do Kręgu Kamiennych Wojowników. Tam Jack pokazał Glorii podstawy tresury psów, aby mogła ćwiczyć ze szczeniakami.

– Czy to prawda, co mi wtedy powiedziałaś? – spytał, kiedy jechali do domu przez brązową, jak zwykle w zimie, ale ciągle bujną trawę. – Że ta ziemia w ogóle nie jest *tapu*?

– Oczywiście – wyjaśniła Gloria. – Sam możesz przeczytać tę historię. Rongo Rongo mówi, że opowiadała ją twojej... twojej... małżonce.

– Ona miała na imię Charlotte – powiedział Jack cicho. – I zebrała tysiące takich opowieści.

– Ta w każdym razie liczy już kilkaset lat i każdy opowiada ją inaczej. Ale w kamiennym kręgu miał miejsce jakiś pojedynek. Dwóch mężczyzn o wielkich *mana* pokłóciło się...

– O kobietę? – spytał Jack.

Gloria wzruszyła ramionami.

– Rongo Rongo mówiła o jakiejś rybie czy czymś podobnym, nie pamiętam już. Może był to duch ukryty w rybie... Ale chodziło chyba o to, komu należy się zaszczyt jej schwytania. Bo dzięki tej rybie zyskałaby *mana* rybaka. Całość zakończyła się krwawo i obaj mężczyźni zmarli. Od tego czasu miejsce ich walki jest *tapu*. To właściwie nic nadzwyczajnego, jest wiele miejsc, gdzie kiedyś odbyły się pojedynki i one są dziś *tapu*.

Jack skinął głową i pomyślał o Gallipoli. To byłby chyba dobry pomysł, aby od teraz zostawić tę plażę w spokoju na całą wieczność.

– Wewnątrz kamiennego kręgu nie powinniśmy... Maorysi nie powinni jeść ani pić. To jest miejsce refleksji, poświęcone pamięci duchów przodków. Ściśle biorąc, nie wolno tam też nikogo pogrzebać. Ale taki właśnie jest Tonga – on interpretuje każde *tapu* tak, jak mu to pasuje. W każdym razie poza kamiennym kręgiem nic się nie stało. Czy się tam pasie kilka owiec, czy nie – nie ma to większego znaczenia dla wierzeń Maorysów.

– Zakładam, że Wardenowie też nie zapędzali tam owiec właśnie dlatego, żeby przez nieuwagę nie weszły do kamiennego kręgu.

– Tak się to prawdopodobnie zaczęło – rzekła Gloria. – Ale nieważne, co mówi Tonga. Nie byłoby żadnym świętokradztwem, gdybyśmy po prostu ogrodzili kamienny krąg, tak aby owce zawsze trzymały się na zewnątrz. Pewnie, nie jest to miłe modlić się wewnątrz zagrody z kolczastego drutu, ale...

– Przy takiej pogodzie jak dziś i tak nikt tam nie wejdzie! – zauważył Jack.

Był szary, mglisty dzień. Alpy, ukryte za gęstym welonem mgły, były praktycznie niewidoczne, padał deszcz i wiał silny wiatr. Jack po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy nie lepiej w taki dzień zrobić trening z psami w stodole. Choć powoli dostrzegał, jak pracownicy traktowali Glorię. Trudno było nie usłyszeć złośliwości *pakeha*, jeśli przez dłuższy czas było się w stajni. A jeśli chodzi o Maorysów, to wydawało się, że znikali natychmiast, kiedy tylko pojawiała się tam Gloria. Nie było więc niczym dziwnym, że dziewczyna marzyła o dość ostrych środkach, które miałyby zapewnić jej szacunek.

– Nawet gdybyśmy wpuścili tam owce teraz, też byłoby to krótkotrwałe rozwiązanie – westchnęła Gloria. – Najwyżej kilka tygodni, żeby oszczędzić siano, którego zapasy się kończą. Maaka pytał już o nie na kilku farmach – niestety, nikt nie ma nic do sprzedania. Nie mam pojęcia, jak babcia Gwyn rozwiąże ten problem. – Gloria zatrzęsała się mimo płaszcz. Jej gęste, silnie kręcone włosy były teraz mokre i kleiły się do policzków. Dziewczyna niecierpliwym gestem odgarnęła je do tyłu, a Jack przypomniał sobie ten gest z jej dzieciństwa. Gloria zawsze tak robiła, kiedy jej niesforne włosy wymykały się z zawiązanego końskiego ogona. I któregoś dnia po prostu je obcięła. Jack się uśmiechnął, kiedy przypomniał sobie pełną przerażenia minę Miss Bleachum w reakcji na ten widok. Dzisiejsza fryzura Glorii byłaby ostatnim krzykiem mody w Europie. W Anglii tylko najodważniejsze dziewczęta próbowały nosić krótko ścięte włosy. Glorii było w nich bardzo do twarzy.

– Babcia Gwyn jest już stara, ma ponad osiemdziesiąt lat – usprawiedliwiał Jack swoją matkę. – I nie ma już ochoty na konflikty i kłótnie.

Gloria wzruszyła ramionami.

– W takim razie powinna przekazać komuś prowadzenie farmy – odparła chłodno.

Jack zagryzł wargi i spróbował zapomnieć o poczuciu winy, które go ogarnęło. Gwyneira i James McKenzie już przed laty przekazali mu prowadzenie farmy. Kiedy mieszkał tu z Charlotte, był brygadzystą. Wprowadził dyskusję czasami z rodzicami o swoich decyzjach, ale oni nigdy ich nie podważali. Gwyneira też dawno przestała pracować, gdyby on nie poszedł na tę bezsensowną wojnę. Jack przypomniał sobie, jak po jego powrocie Maaka próbował mu przekazać kierownictwo. Pomyślał, że powinien się pozbierać, przynajmniej przejrzeć księgi, sprawdzić zapasy siana, a potem poważnie porozmawiać z Gwyneirą na temat roszczeń i pretensji Tongi. Ale brakowało mu energii nawet na to, aby uporządkować rzeczy Charlotte. Nie męczyły go jedynie lekcje tresury z Glorią, wręcz przeciwnie, cieszył się na nie coraz bardziej.

– Ta ziemia wokół kamiennego kręgu też by nas nie uratowała – stwierdził w końcu. – Zyskalibyśmy może tydzień albo dwa...

Gloria uniosła brwi w górę.

– Jack, kamienny krąg to jedynie wierzchołek góry lodowej. Mogę ci tu pokazać cztery albo pięć ogromnych łąk, których nie wypasamy ze względu na Maorysów. Właściwie żaden problem, jak mówiłam, ale tej zimy... I w większości wypadków roszczenia Maorysów są pozbawione podstaw.

– Zgodnie z prawem rzeczywiście tak jest – zgodził się z nią Jack. – Ta ziemia została nabyta przez Wardenów zgodnie z prawem, nawet Tonga to niedawno uznał.

– Te roszczenia są pod każdym względem pozbawione podstaw! – powtórzyła Gloria. – Nie jest tak, że każdy kawałek ziemi staje się *tapu*, bo kiedyś dwóch maoryskich chłopców obito sobie tu nosy do krwi. To wszystko jest jedynie wymysłem Tongi. On wodzi babcie Gwyn za nos.

– Postrzygacze przyjeżdżają jutro – oznajmiła Gwyneira McKenzie swojemu synowi i swojej wnuczce przy kolacji. Była połowa września i pogoda trochę się poprawiła. Jackowi i Glorii wydawało się chwilami, że czują nadchodzącą wiosnę, kiedy wyjeżdżali konno z psami. Teraz prawie codziennie jechali na trening do którejś z zagród dla owiec. Cztery młodsze psy miały już dobrze opanowane podstawowe umiejętności, a Nimue, która niejako powtórzyła wszystkie ćwiczenia, była w szczytowej formie. Teraz to, czego nauczyły się psy, należało sprawdzić w czasie pracy z owcami – szczeniaki opanowywały to zdumiewająco szybko. Jak wszystkie border collie były urodzonymi owczarkami. Gloria była bardzo dumna ze swoich podopiecznych i nawet nie chciała myśleć o tym, że latem psy prawdopodobnie zostaną

sprzedane. Na Kiward Station było i tak wystarczająco dużo wyszkolonych zwierząt.

– Już teraz? – spytał Jack. – A to nie jest za wcześnie, mam? Przecież nigdy nie strzygliśmy przed październikiem, ani też nawet w pierwszych dniach października.

Gwyneira wzruszyła ramionami.

– Nie mamy już siana i musimy wcześniej wyprowadzić owce w góry. Jeśli pogoda dalej będzie taka jak ostatnio, to maciorki w połowie października wyjdą w góry.

– Ależ to szaleństwo, to jest... – Gloria upuściła widelec i patrzyła na swoją babkę z przerażeniem. – Przecież to o wiele za wcześnie! Stracimy połowę jagniąt!

Gwyneira właśnie zamierzała odpowiedzieć – jak zwykle ostro – ale Jack wykonał ręką uspokajający gest.

– Pogoda może się w każdej chwili zmienić – powiedział pojednawczo.

– Może. Ale teraz już musi zrobić się cieplej! – stwierdziła Gwyneira. – Po tak okropnym lecie i deszczowej zimie... Kiedyś w końcu musi przestać padać!

– Na zachodnim wybrzeżu pada przez trzysta dni w roku – zauważyła gniewnie Gloria.

– To nie ulega wątpliwości, że w końcu przestanie padać. – Jack grzebał widelcem w jedzeniu. Stracił zupełnie apetyt. Gloria miała rację – jego matka właśnie zamierzała podjąć fatalną decyzję.

– Ale nie wcześniej, nim zacznie się prawdziwa wiosna. A już niekoniecznie w Alpach, mam. Wiesz przecież, jaka tam jest teraz pogoda! – dokończył.

– Nie pozostaje nam nic innego. Pogoda musi wreszcie zacząć nam sprzyjać. A co z szopami dla postrzygaczy? Czy jedno z was podejmie się nadzoru nad nimi? Szopa numer trzy jest jeszcze nieobsadzona, chyba że zajmę się tym sama.

Gwyneira patrzyła badawczo to na Jacka, to na Glorię. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale bardzo liczyła na pomoc. W ostatnim czasie bolały ją stawy, czego powodem były z pewnością wilgoć i fatalna pogoda. Gwyn coraz częściej myślała o Jamesie i o jego cierpieniach, których przyczyną był artretyzm.

– Sama? To w ogóle nie wchodzi w grę! – stwierdził Jack.

Wiek Gwyneiry stawał się coraz bardziej widoczny. Jackowi się wydawało, że w ciągu ostatnich miesięcy jego matka jak gdyby się skurczyła. Zawsze była drobna i delikatna, ale teraz sprawiała wrażenie kruchej, zniedołężniałej. Włosy miała już zupełnie białe i nie tak sprężyste jak dawniej. Gwyn upinała je starannie każdego ranka. Cera Gwyneiry, pełna głębokich zmarszczek, nadawała jej twarzy wyraz leśnej wróżki rodem wprost z jej celtyckiej ojczyzny. Do całości obrazu nie pasowały jedynie lazuruwoblękitne, jak zawsze pełne życia oczy Gwyneiry. Nic nie mogło pokonać brytyjskiej wróżki...

– Skoro żadne z was tego nie zrobi... – stwierdziła Gwyneira chłodno, prostując się.

– Ja to zrobię – oświadczyła Gloria i popatrzyła na nią ostrzegawczo. Doskonale wiedziała, że babka liczyła tu raczej na Jacka. Ale oczywiście nie odważyła się powiedzieć tego głośno!

Gloria miała uczucie nieprzyjemnego rozdarcia, jeśli chodziło o nadzór nad szopami postrzygaczy. Z jednej strony paliła się do tego, aby się podjąć tego zadania. Dobrze wiedziała, na czym to polega; w końcu już jako dziecko pomagała liczyć i zapisywać na tablicy wyniki poszczególnych postrzygaczy i ich grup. Szopa, która miała najlepsze wyniki, otrzymywała na koniec nagrodę i oczywiście Gloria razem ze „swoimi” postrzygaczami pragnęła, aby wygrali właśnie oni. Cieszyłoby ją, gdyby mogła teraz odpowiadać za to sama – i na pewno sprostałaby zadaniu.

Z drugiej strony jednak mężczyźni nie ułatwiliby jej tego zadania. Wiedziała, że jako kobiecie trudno jej będzie postawić na swoim, krążące zaś na jej temat plotki też nie ułatwiały sprawy. A zgodnie z tym, co mówiono, Gloria występowała razem ze swoją matką jako tancerka w Ameryce – dla mężczyzn tego pokroju, znających muzykę jedynie z pubu, oznaczało to mniej więcej tyle, że była kimś w rodzaju lepszej dziwki. I w efekcie tych opowieści Gloria musiała coraz częściej stawiać czoła niezbyt wybrednym zalotom – wśród których zaloty Franka Wilkersona należały do bardziej powściągliwych.

A w ogóle Wilkerson... On właśnie sprawiał wrażenie, że wziął Glorii naprawdę za złe odrzucenie jego awansów. Najwyraźniej jego dumę uraziło także to, że przyłączyła się do Maorysów. Oczywiście wszyscy mężczyźni zakładali, że za wspólną wędrówką z Maorysami krył się jakiś wojownik ze szczepu, a do szaleństwa doprowadzał ich fakt, że biała kobieta zadawała się z tubylcem, co zresztą zdarzało się bardzo rzadko. Wilkerson i jego przyjaciele nieraz dawali Glorii odczuć swoją pogardę. A ta akurat część własnej historii dziewczynie zupełnie nie przeszkażala.

Jednak Gloria cały czas się obawiała, że kiedyś mogłaby wyjść na jaw jej przeszłość lub choćby tylko jej fragment. Gwyneira i Jack wiedzieli, że Gloria pracowała jako chłopiec okrętowy oraz pracownik sezonowy i w ten sposób zdobyła pieniądze na przepłynięcie oceanu i przejazd przez Australię. Mężczyźni tacy jak Wilkerson nie uwierzyliby w to nigdy w życiu. Zbyt dokładnie znali warunki, w jakich zwykle przychodziło żyć włóczęgom i poszukiwaczom przygód. Dziewczyna w męskim przebraniu z pewnością nie mogłaby pozostać nierozpoznana.

Babcia Gwyn nie sprawiała wrażenia szczęśliwej na wieść o decyzji Glorii. Kilka razy spojrzała porozumiewawczo na Jacka, ale on zachowywał się tak, jak gdyby niczego nie dostrzegał. Znów prześladowało go poczucie winy – powinien był przynajmniej zaoferować Glorii swoją pomoc. Ale ciągle jeszcze otrząsał się na samą myśl o hałasie, męskich głosach, śmiechach i hałaśliwym koleżeństwie, które stanowiło zasadnicze tło życia w obozie w Aleksandrii. Może w następnym roku pomoże Glorii...

– Muszę się wreszcie zająć rzeczami Charlotte w jej pokoju – powiedział wymijająco. – Napisałem już na ten uniwersytet. Mają się odezwać i wtedy...

Gwyneira nauczyła się być ostrożna w stosunku do syna. Nie robiła więc żadnych min, tylko westchnęła niemal niedosłyszalnie.

– No więc dobrze, Glory – powiedziała wreszcie. – Ale licz dokładnie i nie daj się niczemu ani nikomu zwieść. We współzawodnictwie pomiędzy grupami postrzygaczy nie ma miejsca na osobistą próżność czy zarozumiałstwo. Ono służy jedynie temu, aby zachęcić postrzygaczy do bardziej wydajnej pracy. Nie daj się więc w to wciągnąć...

– W co, w fałszowanie wyników? – dokończyła Gloria. – Chyba nie mówisz poważnie!

– Tylko zwracam ci na to uwagę. Paul... – Gwyneira zagryzła wargi. Wiele lat temu Gerald Warden przekazał swojemu synowi Paulowi nadzór nad jedną z szop, w których pracowali postrzygacze, a wynikiem pracy chłopca był totalny bałagan i chaos.

Jack znał tę historię, podobnie jak Gloria. Starzy pasterze dokuczali jej, kiedy jeszcze była dzieckiem, opowiadając o kiepskiej umiejętności liczenia jej dziadka.

– Mam, Paul Warden był wtedy dzieckiem! – zauważył Jack.

– I William też... – dodała Gwyneira.

Gloria zacisnęła usta. Także jej ojciec nie za bardzo się sprawdził jako brygadzysta na farmie. Ale łączyć jej osobę z błędami Williama – to z pewnością było nie fair. Gloria nagle poczuła się bardzo zmęczona. Pozwoliła, aby opanowało ją uczucie wściekłości, dzięki czemu się nie rozplakała.

– Nie będę tego dłużej słuchać! – krzyknęła. – Jeśli uważasz, że jestem zbyt głupia albo zbyt próżna na to, aby prowadzić listę, babciu, to musisz to robić sama. W przeciwnym wypadku będę jutro o ósmej w szopie numer trzy.

Gloria postarała się dodatkowo o małą sensację, wkładając do pracy spodnie do jazdy konnej. A przynajmniej stali pracownicy Kiward Station widzieli już szerokie bryczesy, w których dziewczyna zwykle jeździła. Nauczyła się szyć je sama i nie widziała w tym żadnego problemu. Różniły się one od modnych spódnicospodni tylko tym, że Gloria wkładała ich nogawki w buty do jazdy konnej. Próbowwała robić

odwrotnie, opuszczając nogawki na buty, ale okazało się to bardzo niepraktyczne. A ponieważ tego ranka w programie przewidziane było nie tylko strzyżenie, ale przede wszystkim zapędzanie owiec do szop, Gloria zjawiła się na koniu w swojej zwykłej odzieży. Postrzygacze, którzy zjawili się dopiero około południa, gapili się na nią zdumieni – i oczywiście natychmiast zostali poinformowani przez pasterzy o wszystkich skandalach związanych z Glorią Martyn.

Na domiar wszystkiego do załogi szopy numer trzy przydzielono także Franka Wilkensa. Gloria zakładała, że Gwyneira zrobiła to celowo. Mężczyzna znalazł się zaraz obok stanowiska brygadzysty; prawdopodobnie też miał ją nadzorować. Z tej przyczyny oboje patrzyli na siebie jeszcze bardziej nieufnie niż zwykle.

Zadaniem Wilkensa było właściwie tylko strzyć owce, podobnie jak wszystkich innych mężczyzn z Kiward Station, którzy dobrze opanowali technikę i nie mieli nic innego do roboty. Było czymś oczywistym, że pracownicy farmy wspierali postrzygaczy, a dobrzy postrzygacze z farm – jak dawniej James McKenzie i później Jack – konkurowali z zawodowcami. To podnosiło dodatkowo napięcie wśród zawodników. Ci, którzy nadzorowali postrzygaczy w szopach, musieli zwracać uwagę także na to, aby wszyscy mężczyźni pracowali, a nie tylko zajmowali się dopingowaniem zawodników. W szopie numer trzy wszyscy próbowali dorównać Frankowi Wilkensonowi i najszybciej z zawodowych postrzygaczy, a Gloria ledwo nadążała notować ich wyniki. Zachęcało to pozostałych do osiągnięcia jeszcze lepszych wyników i Glorii się wydawało, że ma nad wszystkim kontrolę – do chwili kiedy Frank Wilkenson i jego ludzie nie zaczęli podważać słuszności zapisów.

– Hej, Pocahontas, to się nie zgadza, to była owca numer dwieście, a nie sto dziewięćdziesiąt dziewięć. Pomyliłaś się.

Gloria starała się nie reagować gwałtownie.

– Miss Gloria, a nie Pocahontas, Mr Wilkenson. A wyliczenie jest prawidłowe. Mr Scheffer właśnie ostrzygł dwusetną owcę. Pan ostrzygł o dziesięć owiec mniej. A więc proszę się pośpieszyć i zabrać do strzyżenia, zamiast robić problemy.

– Ale ja też to widziałem – odezwał się Bob Tailor, najbliższy przyjaciel Wilkensa i jego kompan od kielicha. – I liczyłem razem z nim.

– Przecież ty w ogóle nie umiesz liczyć, Bob! – zaprotestował jeden z mężczyzn.

– A przynajmniej nie może pan jednocześnie liczyć i strzyć – zauważyła Gloria. – Ale może z powodu tak kiepskiego liczenia ostrzygł pan dopiero osiemdziesiąt pięć owiec.

– No, nie bądź taka bezczelna, córeczko wodza...

Bob Tailor podszedł do Glorii i stanął tuż przed nią. Dziewczyna instynktownie sięgnęła po nóż... Ale natychmiast pomyślała, że to nie był właściwy sposób. Spróbowała oddychać tak spokojnie, jak tylko była w stanie.

– Mr Tailor – oświadczyła spokojnie. – Tak być nie może. Jest pan zwolniony. Proszę stąd natychmiast zniknąć. A wszyscy pozostali proszę zabrać się do pracy.

Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie, a Tailor rzeczywiście opuścił wzrok. Odetchnęła, kiedy ruszył w stronę drzwi.

– Nie daruję tego! – rzucił, otwierając drzwi.

Gloria sądziła, że wygrała – do chwili, kiedy Frank Wilkenson podniósł głowę, uśmiechnął się porozumiewawczo do swojego przyjaciela i zawołał:

– Najpierw muszę wygrać te wyścigi, Bobby! Ale potem porozmawiam sobie z Miss Gwyn, nie martw się!

Gloria zbeształa go ponownie, zachowując pozornie spokój. Nauczyła się tego już dawno na farmie. Wybuchy wściekłości nie prowadziły do niczego. Ale przez resztę dnia czuła narastający strach.

I okazało się, że nie było to bezpodstawne. Frank Wilkenson wygrał jako najszybszy postrzygacz w szopie numer trzy, a jego wynik wynosił wieczorem dwieście sześćdziesiąt osiem ostrzyżonych owiec. Tym samym w ogólnej klasyfikacji znalazł się na pierwszym miejscu.

Gloria zobaczyła go w kantorze Gwyneiry, kiedy brudna i zmęczona po całym dniu pracy szła do domu.

– ... ma skłonność do nieco przesadnych reakcji, a Bob... no fakt, nie powinien był sobie pozwolić na drażnienie dziewczyny...

Gloria wiedziała, że powinna teraz wejść do środka, wyjaśnić sprawę i przede wszystkim bronić słuszności swoich decyzji. Ale pomyślała o ostatniej kłótni z Gwyneirą na temat Tongi i zrezygnowała. Bezszelestnie wślizgnęła się do łazienki.

Podczas kolacji Gwyneira oświadczyła, że zatrudniła Boba Tailora. Gloria wstała bez słowa i poszła do swego pokoju. Rozpłakała się tam, po czym wzięła listy i schroniła się w ich lekturze. Przeczytała już prawie wszystkie. Ten, który właśnie trzymała w ręku, nosił datę 6 sierpnia 1915 roku. Jack został ranny zapewne wkrótce potem. Gloria rozprostowała kartkę.

Dziś w czasie pozorowanego ataku zginęło dwa tysiące ludzi. A wszystko tylko po to, aby odwrócić uwagę Turków. Jutro nie będzie wesoło. Będziemy wyskakiwać z okopów i z krzykiem biec prosto w ogień wroga. A nowe oddziały już się na to cieszą. Dziś wieczorem jeszcze zasiądę z tymi żołnierzami przy ognisku, a oni będą marzyć i roić o tym, że na pewno zostaną bohaterami. Jeśli o mnie chodzi, zaczynam powoli nienawidzić tych pozornie miłych posiadów przy ognisku. Ludzie, z którymi dziś piję, jutro prawdopodobnie zginą. A będziemy pić, bo wydano nam whisky. Ta walka jest nie do wygrania.

Gloria doskonale wiedziała, jak czuł się Jack. Rysowała potem jak w transie przez następne pół nocy.

Jack McKenzie jeszcze nigdy nie pokłócił się ze swą matką tak ostro i gwałtownie.

– Jak możesz najpierw powierzać jej nadzór nad postrzygaczami, a potem podważać jej autorytet?! Gloria najprawdopodobniej miała rację! Bob Tailor to bezczelny gnojek!

– Wszyscy wiemy, że nie jest grzecznym chłopcem z chóru – odparła Gwyneira, gniotąc serwetkę przy śniadaniu. – Ale Glory musi się nauczyć nie zwracać uwagi na ich kpiny i złośliwości. Mój Boże, kiedy byłam młoda, to też się do mnie zalecali w mniej lub bardziej niewybredny sposób. To są w końcu mężczyźni. A ci tutaj nie chodzili na kursy dobrego wychowania.

– A co będzie, jeśli się okaże, że sprawa miała zupełnie inny przebieg? Dlaczego Frank Wilkenson tak bardzo wstawia się za tym typem? Powinnaś była przynajmniej wysłuchać wersji Glorii. A nawet jeśli jej decyzja była błędna – to ona miała nadzór nad postrzygaczami, nikt inny. I jej słowo było prawem. Zawsze tego przestrzegaliśmy. Albo jej ufasz, albo nie.

Jack gwałtownym ruchem odsunął od siebie talerz. Myślał o Glorii, która znów wstała bez słowa od stołu i bez kolacji poszła do swojego pokoju. A musiała być bardzo głodna po męczącym, wypełnionym ciężką pracą dniu. I tak chudła niemal z dnia na dzień. Jack miał przed oczami jej twarz, na której tego dnia widać było nie tyle wściekłość, ile czystą rozpacz.

– Właśnie, Jack. Ja nie wiem, czy mogę jej zaufać – odparła Gwyneira. – Ona jest tak uparta i pełna przekory, wręcz wściekła na cały świat. Nie potrafi sobie poradzić na farmie, a z Maorysami najwyraźniej także nie. Coś jest nie tak z tą dziewczyną...

– Mamo... – Jack nie wiedział, jak ma to powiedzieć. Właściwie nie mógł tego powiedzieć. Zdradziłby w ten sposób Glorię, byłoby to coś w rodzaju nadużycia zaufania. Fakt, Gloria sama nie opowiedziała mu swej historii. Dowiedział się o wszystkim z trzeciej ręki. Ale kim on był i jakim prawem miałby mówić o czymś, o czym nie ważyła się mówić sama Gloria?

Następnego ranka przewyciężył niechęć i własną słabość, wziął konia i pojechał do szopy postrzygaczy. Nie zamierzał interweniować – właściwie nie wiedział, co mógł zrobić, aby pomóc Glorii. Gdyby wziął wszystko w swoje ręce, byłoby to dla niej nie mniej upokarzające. Ale coś należało jednak zrobić.

Jack gwałtownie otworzył drzwi szopy postrzygaczy – w środku panował nieopisany chaos i hałas: owce beczwały donośnie, a mężczyźni głośno wykrzykiwali w stronę Glorii swoje wyniki. Gęsty kurz unoszący się w szopie natychmiast drażnił błony śluzowe – Jack walczył dłuższą chwilę z uporczywym kaszlem. Poszukał wzrokiem Glorii, która stała przy tablicy na środku pomieszczenia. Sprawiała wrażenie drobnej i kruchej. W pierwszym rzędzie postrzygaczy pracowali Frank Wilkenson i Bob Tailor.

– Jack... – Gloria sprawiała wrażenie kogoś, kto nie wie, czy ma się cieszyć, czy złościć. Czy to Gwyn wysłała do niej swojego Jacka, aby ją zmienił w pracy?

Jack uśmiechnął się lekko.

– Ja... chciałem spróbować, czy jeszcze to potrafię – powiedział tak głośno, że musieli go usłyszeć nie tylko Wilkenson i Tailor, ale także inni postrzygacze. – Otworzysz dla mnie konto, Glorio?

Kilku starszych mężczyzn przyjęło to z głośnym aplauzem. Jack McKenzie należał kiedyś do najlepszych postrzygaczy.

Gloria też o tym wiedziała. Uśmiechnęła się do niego niepewnie – i był to uśmiech rozdzierający serce.

– Jesteś pewien? – spytała.

Jack skinął głową.

– Nie sądzę, że wygram, ale chcę spróbować. – Wziął do ręki maszynkę do strzyżenia i poszukał sobie miejsca do pracy. – Zobaczmy, ile zapomniałem...

Jack chwycił pierwszą owcę i szybkim, rutynowym ruchem przewrócił ją na grzbiet. Oczywiście, że niczego nie zapomniał. Te ruchy jedną i drugą ręką wykonał już dziesiątki tysięcy razy. Błyskawicznie przesunął noże maszynki po ciele zwierzęcia.

Koło południa był śmiertelnie zmęczony, ale ostrzygł dziesięć owiec więcej niż Wilkenson. W ogólnej klasyfikacji zwyciężył jednak zawodowy postrzygacz Rob Scheffer.

Jack niechętnie zostawiał teraz Glorię samą, ale wiedział, że przegrałby, gdyby brał dalej udział w strzyży. Płuca wprost go paliły i był wykończony. Wytłumaczył się więc koniecznością pracy przy spuściźnie po Charlotte.

– I nie przynieście szefowej wstydu! – powiedział, patrząc ostro na Wilkensona. – Miss Gloria robi to po raz pierwszy, ale niedługo przejmie farmę. Myślę, że na początek postawi wam dodatkową beczkę, jak wygracie!

Gloria spojrzała na niego z wdzięcznością, kiedy wychodził.

Wieczorem Gloria wreszcie poszła do domu na kolację, choć co prawda nie miała zamiaru stanąć twarzą w twarz z Gwyneirą. Może znów musiałaby się tłumaczyć i coś wyjaśniać. Bo rzeczywiście po południu Wilkenson jeszcze raz próbował podważyć zapisy Glorii – tym razem jednak miał przeciwko sobie wszystkich pozostałych postrzygaczy.

– Jak do tej pory nie zauważyłem żadnych nieprawidłowości – oświadczył Rob Scheffer. – Może skupisz się po prostu na tym, aby szybciej strzyć!

Gloria nie za bardzo rozumiała dlaczego, ale to, co zrobił Jack, przysporzyło jej więcej szacunku.

Wyszła zmęczona ze swego pokoju i ze zdziwieniem natknęła się na Jacka, który czekał na nią przed drzwiami. Sprawiał wrażenie, jakby bolało go dosłownie wszystko; bolały go przede wszystkim mięśnie po pracy, od której się dawno odzwyczaił. Od kurzu w szopie piekły go też oczy, a kiedy chciał coś powiedzieć, dostał ataku kaszlu.

– Odzwyczaiłem się – powiedział po chwili. Gloria patrzyła na niego z troską. – Mam nadzieję, że masz ochotę na mięso z grilla. Ach, prawda, włóż jakąś kurtkę. Jemy dzisiaj z postrzygaczami; matka funduje barana, zabieramy też beczkę piwa. Czas, abyśmy się pokazali przy ognisku.

– Ale ty przecież... – Gloria urwała. Może sobie tylko wmawiała, że Jack po Gallipoli unikał męskiego towarzystwa.

Jack wziął ją za rękę – Glorię przeraziło jego dotknięcie, ale się opanowała. Jack łagodnie objął jej palce.

– Dam radę – powiedział. – I ty także.

Gloria siedziała sztywno przy ognisku naprzeciwko mężczyźni i odpowiadała monosylabami na ich żarty. Postrzygaczom nie przeszkodziło to wzniesić toast w podziękowaniu za beczkę piwa. Najstarsi z nich pamiętali ją jako dziecko i żartowali teraz na temat jej brytyjskiego wychowania rodem wprost z internatu.

– Bądźcie mili dla młodej lady! – radzili młodszym postrzygaczom z szopy numer trzy. – Inaczej znów nam ucieknie. Po prawdzie, to już

nie wierzylimy, że pani wróci, Miss Glory. Myśleliśmy, że wyjdzie tam pani za mąż za jakiegoś lorda i zamieszka w zamku!

Gloria rzeczywiście zdobyła się na uśmiech.

– Cóż miałabym robić w zamku bez owiec, Mr Gordon? – spytała. – Jestem dokładnie tam, gdzie zawsze chciałam być.

Była w osobliwie radosnym nastroju, kiedy Jack odprowadził ją do drzwi jej pokoju. Opuścili wszystkich przy ognisku, kiedy znów zaczął padać deszcz. Gloria znów walczyła ze swoimi włosami, które kręciły się jeszcze silniej pod wpływem wilgoci. Bezskutecznie próbowała odgarnąć je do tyłu, kiedy Jack dziękował jej raz jeszcze.

– Powinnaś je po prostu ściąć – zażartował z uśmiechem i zupełnie nie rozumiał, dlaczego Gloria w odpowiedzi śmiertelnie zbladła.

– Uważasz, że wyglądałabym ładnie, gdybym je...?

Jack myślał o zdjęciach nowoczesnych młodych kobiet z bardzo krótkimi włosami i jego uwaga wcale nie była dwuznaczna. Ale Gloria miała przed sobą twarze tych wszystkich mężczyzn, których jej ogolona głowa zachęcała do takich rzeczy, że na samą myśl jeszcze dziś ścinała jej się krew w żyłach.

– Dla mnie zawsze będziesz wyglądać ładnie... – odrzekł Jack, ale Gloria już tego nie słyszała. Uciekła przerażona do swego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Gloria potrzebowała kolejnych dwóch dni, aby móc znowu patrzeć na Jacka. A Jack, który nic nie rozumiał, przeproszał ją kilkakrotnie. Musiało jednak upłynąć kilka dni, zanim dziewczyna wróciła do siebie. I dopiero wówczas zrozumiała, że Jack być może użył słowa „ściąć” w żartach. Przypomniała sobie, że kiedyś jako dziecko też to zrobiła, i w duchu zganiła się za własną głupotę. Nie wiedziała jednak, jak ma to wszystko wyjaśnić Jackowi. I w końcu oboje o tym zapomnieli.

Strzyżka owiec przebiegała dalej bez większych zakłóceń i szopa numer trzy rzeczywiście osiągnęła najlepsze wyniki. Mężczyźni cieszyli się bardzo, ale Gloria gwałtownie się broniła, kiedy próbowali wziąć „szefową” na ramiona i przenieść ją dookoła szopy. W końcu interweniował Jack i dyplomatycznie przytrzymał jej strzemień swojego konia. A Rob Scheffer, zwycięzca w ogólnej punktacji, poprowadził Anwyla wokół wszystkich szop, podczas kiedy wszyscy śpiewali raczej głośno niż dobrze *She's a Jolly Good Fellow*. Jack, który spodziewał się właśnie takich komplikacji, niechętnie wmieszał się w tłum postrzygaczy, pomachał do niej ręką, a Gloria w odpowiedzi uśmiechnęła się wreszcie. I nawet babcia Gwyn była chyba zadowolona.

Euforia opadła powoli, kiedy postrzygacze odeszli, wykonawszy zadanie. Znów padał deszcz, a Jack i Gloria stali bezradnie przed chudymi, ostrzyżonymi owcami w zagrodach. Gwyneira wydała polecenie, aby wypędzić zwierzęta na wyżynę, kiedy tylko front niosący złą pogodę – jej zdaniem ostatni – wreszcie się przesunie.

– One są takie chudziutkie – powiedziała Gloria. – Zwykle tak nie jest, prawda?

Jack potwierdził.

– Są wychudzone po zimie, bo dostawały za mało paszy, i to w dodatku kiepskiej. A właśnie maciorki przekazują to, co zjadły, jeszcze nienarodzonym jagniętom. Ale to nie jest stan, który mógłby budzić obawy. Po kilku tygodniach na łąkach znów będą okrągłe.

– Najpierw musimy mieć te łąki – wymruczała Gloria. – Jak na razie owce tylko marzną. Bo one czują, że marzną, prawda?

Jack skinął głową.

– Są wychudzone i w dodatku pozbawione wełny... Było za wcześnie na strzyżę. A zwłaszcza za wcześnie jest na to, aby je pędzić na wyżynę. Co na to wszystko mówi Maaka?

Gloria prychnęła ze złością.

– On teraz myśli tylko o swoim weselu! I dlatego bardzo mu pasuje, że owce szybko stąd wyjdą. Nie będzie miał wyrzutów sumienia, kiedy zostawi babcię samą z owcami i tym niemożliwym Wilkensonem. On jest tu całkiem skończony. Ale tak głupia babcia Gwyn nie jest...

– Glorio! – zganił ją Jack. – Twoja babcia wcale nie jest głupia!

Gloria z powątpiewaniem uniosła brwi do góry.

– W każdym razie Maaka bierze konia i przy najbliższej okazji jedzie do Christchurch – stwierdziła.

Waimarama, piękna córka Retiego, wreszcie przyjęła oświadczenia Maaki. Była jednak chrześcijanką i upierała się przy tym, aby ślub i wesele odbyły się zgodnie ze zwyczajami *pakeha*. Maaka zaś był tak zakochany, że postanowił się ochrzcić. W każdym razie w samym Christchurch i w okolicy zostały zaplanowane liczne uroczystości, a na koniec panna młoda miała być powitana w *marae* pana młodego – i dalsze ceremonie miały się odbywać w obecności członków szczepu Ngai Tahu. Maaka zaprosił oczywiście Gwyneirę i Jacka i po krótkim wahaniu oświadczył, że to zaproszenie dotyczy także Glorii.

– Jeśli tylko ma pani ochotę, Miss Glory – powiedział. – Oczywiście nie mogę wyprosić Tongi i Wiremu, ale...

Gloria zgodziła się bez większego przekonania. Najpierw należało rozwiązać problem owiec. A tu miała już konkretne pomysły.

– Co będzie, jeśli je po prostu wypędzimy na resztę łąk Kiward Station? Nie uwzględniając *tapu* Tongi? – spytała Jacka. – Czy tak nie byłoby lepiej?

Jack zmarszczył czoło.

– Oczywiście, że tak byłoby lepiej. Nawet przy najlepszej pogodzie i tak stracilibyśmy na wyżynie jakąś część owiec, kiedy na świat zaczęłyby przychodzić jagnięta. A na przedgórzu alpejskim jest w dodatku o wiele chłodniej niż tutaj – przy tym z owcami zostanie tylko dwóch pasterzy. Czyli nie będzie żadnej pomocy w czasie wykotów. Kiedy jednak wypuścimy na wypas maciorki przy Kręgu Kamiennych Wojowników...

– Na innym kawałku ziemi, do którego Tonga również rości sobie jakieś prawa, jest las, są tam też skalne pieczary – dodała Gloria. – Tam owce miałyby naturalne schronienie. Jack, dlaczego nie postawimy babci Gwyn i Tongi przed faktami dokonanymi? Z czterema małymi psami i Nimue wypędzimy je tam wszystkie w ciągu tej nocy. Jutro trawa będzie zjedzona, wtedy powiemy, że tak czy tak ta ziemia była już sprofanowana.

Jack się zastanawiał.

– Z tego może wyniknąć wiele kłopotów – oświadczył.

– Jack, pomyśl o jagniętach! – powiedziała Gloria błagalnym głosem. – One zamarną tam na górze. Jeśli pozwolimy, aby najpierw zjadły wszystką trawę na Kiward Station, to zyskamy cztery tygodnie. A do tego czasu pogoda się poprawi.

Jack nie miał ochoty przeciwstawiać się Gwyneirze. Zaledwie kilka tygodni wcześniej byłoby mu zupełnie obojętne, co się stanie z jagniętami. Ale dopiero co przytrzymał udami w czasie strzyży prawie dwieście z tych teraz wychudzonych, żałośnie beczących zwierząt. A wkrótce na łąkach miały się pojawić delikatne jagnięta. Czuł ich ruchy w ciałach maciorek, kiedy je strzygł. Myślał o ogromnej satysfakcji i radości odczuwanej w czasie pomocy przy porodzie, kiedy na świat przychodzą dwojaczki. Nawet u bardzo wytrzymałych ras owiec komplikacje przy porodach jagniąt wcale nie były rzadkie. Dlatego Gwyneira w zasadzie zostawiała brzemiennie maciorki na farmie i czekała, aż jagnięta tam właśnie przyjdą na świat, jeszcze przed wypędzeniem owiec w góry. Z wyjątkiem tego roku... Jack skinął głową.

– Dobrze, Glory. Ale zrobimy to potajemnie. Najpierw wypędzimy tę grupę owiec do pustych stajni dla bydła koło wioski Maorysów. Tam będą mogły trochę się ogrzać. A jeśli dziś w nocy nie będzie padać, wyprowadzimy je dalej. Pozostałych zagród nie można dostrzec ze stajni, więc nasz drogi przyjaciel Wilkenson nas nie wsypie. A Maaka też się o niczym nie dowie, choć w zasadzie powinien stać po naszej stronie. Bez względu na wesele – on kocha te owce. Jazda, wołaj psy!

Była to szalona przygoda – wykraść się nocą, domu, a potem wyprowadzić ze stajni konie. Przy tym ostatnim prawdopodobnie dostrzegli ich pracownicy farmy. Gloria już na samą myśl o tym spurpurowiała. Ludzie z pewnością będą gadać na temat jej nocnej wycieczki z Jackiem.

Ale wkrótce potem odczuwała ogromną radość, mogąc jechać obok niego pod rozgwieżdżonym niebem. Rzeczywiście pod wieczór pogoda się poprawiła, przez co okolicę zalało światło księżyca.

– To Krzyż Południa, widzisz? – zapytała Gloria, wskazując na wyraźnie jaśniejszy gwiazdozbiór. – Pokazała mi go kiedyś Miss Bleachum. Pomaga marynarzom przy nawigacji...

– A tobie też pomógł w Australii? – spytał Jack cicho. – Pod Gallipoli byli ludzie z Outback. Mówili, że jest tam naprawdę pięknie, ale teren rozległy i niebezpieczny...

Gloria wzruszyła ramionami.

– Mnie się nie podobało – odrzekła krótko. – Tutaj jest pięknie.

Przed sobą mieli Krąg Kamiennych Wojowników. Psy szybko pogoniły sennie owce, które teraz szły żwawym krokiem. Jazda trwała zaledwie godzinę, a już maciorci, żrąc trawę, rozpięchły się wokół kamiennego kręgu. Jack zabezpieczył święte miejsce za pomocą kolczastego drutu.

– Myślisz, że duch dziadka Jamesa rzeczywiście gdzieś tutaj jest? – spytała Gloria, pomagając mu naprężyć drut między pionowo wbitymi belkami. Nie była bojaźliwa, ale kamienne postacie w księżycowym świetle robiły rzeczywiście trochę niesamowite wrażenie.

Jack kiwnął głową z powagą.

– Ależ oczywiście! Nie słyszysz, jak się śmieje? To, co robimy, nieźle ubawiłoby ojca! Teraz na pewno wspomina, jak przepędzał wielkim farmerom owce z łąk na wyżynie, podczas kiedy ich pasterze grali w karty schowani w chatkach. Wszystko jedno, co jutro powie na to matka, ale James McKenzie byłby z nas dumny!

Gloria się uśmiechnęła.

– Hej, dziadku Jamesie! – zawołała, a wiatr poniósł jej słowa. Jack z trudem się powstrzymał, aby jej nie objąć.

Trawy zaszeleściły cicho w odpowiedzi.

Do rana oboje razem z psami wypędzili na łąki pięć tysięcy owiec. Jack padł na łóżko śmiertelnie zmęczony – i zapadł w głęboki sen, nie myśląc już o Charlotte i Gallipoli.

Gloria drzemała niespokojnie. Spodziewała się, że w każdej chwili obudzi ją awantura. Ale nic się nie stało. A przecież pasterze musieli rano zauważyć brak owiec, bo należało nakarmić zwierzęta.

I rzeczywiście pracownicy nie zameldowali o tym Gwyneirze, tylko zwrócili się do Maaki. A on późnym przedpołudniem zapukał do drzwi pokoju Jacka. Po pogodnej, jasnej nocy rankiem pojawiła się mgła i znów padał deszcz.

– Znalazłem owce – oświadczył krótko Maorys. – I chcę ci tylko powiedzieć, że nie powiem o tym Tondze. Już trzy miesiące temu proponowałem, aby zapędzić tam zwierzęta. Nie tylko Miss Gwyn, rozmawiałem o tym także z Tongą. I z Rongo Rongo.

– Może jeszcze z duchami? – spytał Jack. – Chłopcze, przecież ty się zamierzasz ochrzcić w przyszłym tygodniu...

Maaka wzruszył ramionami.

– To nie przepędzi duchów ze świata.

Jack się roześmiał.

– Rongo w każdym razie nie zgłasza żadnych obaw ani pretensji. Tonga natomiast zachowuje się tak, jak gdyby Te Waka a Maui miało się znów zamienić w kanu i odpłynąć, jeśli jakaś owca zje choćby jedno źdźbło świętej trawy. Po prostu nie traktujcie go poważnie. Jak będziecie mieli szczęście, zauważy to dopiero wtedy, kiedy mnie już nie będzie, a wtedy nie da rady nic zrobić. Sam nie będzie mógł przepędzić zwierząt, a *pakeha* bez kierownictwa są dość bezradni. Wilkenson oczywiście...

– ... tylko czeka na to, żeby zająć twoje miejsce pracy – dokończył Jack.

Maaka się uśmiechnął.

– A to znów jest ostatnia rzecz, jakiej chce Tonga. Maoryski brygadzysta o wiele lepiej pasuje do jego planów. Kiedy ty wreszcie do nas wrócisz, Jack? Jesteś potrzebny na farmie!

Jack zmarszczył czoło.

– Przecież jestem tutaj.

Maaka potrząsnął głową.

– Twoje ciało jest tutaj – odparł. – Ale twoja dusza przebywa ciągle na dwóch plażach: tej na Wyspie Północnej i tej w tamtym kraju... nie potrafię wymówić tej nazwy. W każdym razie to złe miejsce dla twojej duszy. Wróć wreszcie do domu, Jack!

Aby odwrócić własną uwagę od problemu, który tak trafnie określił Maaka, Jack zajął się przeglądaniem rzeczy po Charlotte. Otwieranie szuflad, wyciąganie jej bielizny i układanie tego w pudłach przeznaczonych na pomoc dla najuboższych było prawdziwą udręką. Jack znalazł też zasuszone płatki lawendy i róży i miał znów przed oczami obraz Charlotte starannie układającej kwiaty do suszenia na bibule. Wydawało mu się, że słyszy piosenkę, którą przy tym nuciła, i widział promienie słońca w jej włosach...

Znalazł też jej papier listowy i niedokończone pismo do uniwersytetu w Dunedin. Miał łyż w oczach, kiedy to czytał. Charlotte oferowała fakultetowi lingwistyki wyniki swoich badań. Caleb Biller miał rację. Chciała komuś przekazać swoje notatki. I przeczuwała, że już nie wróci z podróży na Wyspę Północną. To, czego nie mogła wiedzieć, to fakt, że dopiero po latach on będzie porządkować jej rzeczy. I dziś Jack czuł się winny. Co jeszcze znajdzie wśród jej rzeczy?

W tylnym kącie szuflady jej sekretarzyka leżała malutka paczuszka.

Jack

Przeczytał swoje imię napisane wyraźnym pismem Charlotte. Drżał, kiedy odwijał papier. Ze środka wypadł jej naszyjnik z jadeitu. A więc nie zgubiła go w morzu. Zostawiła go tu dla niego. Jack po raz pierwszy przyjrzał mu się dokładniej i stwierdził, że jadeit przedstawiał dwie ciasno złączone postacie. Były to Papatuanuku i Ranginui, niebo i ziemia, zanim je rozdzielono. Jack wyprostował karteczkę, w którą owinięty był amulet.

Pamiętaj o tym, że słońce mogło zaświecić dopiero wtedy, kiedy rozdzielono Papa i Rangi. Ciesz się słońcem, Jack. Kochająca Charlotte

Tego popołudnia Jack opłakiwał Charlotte po raz ostatni. A potem otworzył okno i wpuścił słońce do pokoju.

Także nad maoryską wioską tego popołudnia rozbłysło słońce, a grupa mężczyzn sposobiała się do wyjścia na polowanie. Prawdopodobnie żaden z nich nie wiedział dokładnie, gdzie Tonga wyznaczył *tapu*, a gdzie nie, ale grupę prowadził najstarszy syn wodza.

Wieczorem poinformował swojego ojca o stadzie owiec przy Kręgu Kamiennych Wojowników.

– Nie, to nie jest przypadek. Tam są setki zwierząt. Miss Gwyn narusza ustalenia.

Następnego ranka Tonga wraz z kilkoma mężczyznami udał się do rezydencji Kiward Station.

Gwyneira McKenzie zdrzemnęła się nad swoimi papierami w biurze. Zdarzało jej się to ostatnio często. Była zmęczona i jakoś nie potrafiła poświęcić należytej uwagi tym wszystkim rachunkom, pokwitowaniom i paragonom. Przez całe życie nudziło ją prowadzenie księgowości i już dawno rozważała możliwość, aby zmusić Jacka albo Glorię do zajęcia się tym. Ale także do tego brakowało jej energii. Bardziej liczyła na młodą żonę Maaki, która przecież pracowała swego czasu u Greenwooda. Powinna się więc na tym znać.

– Miss Gwyn?

Gwyneira ocknęła się z drzemki i ku swemu przerażeniu zobaczyła przed sobą maoryskiego wojownika w pełnym uzbrojeniu. Rozpoznała Tongę dopiero po dłuższej chwili, ale zanim mogła cokolwiek powiedzieć, musiała odczekać chwilę, aż uspokoi się jej dziko bijące serce.

– Tonga? A co ty tu, do diabła, robisz?

– To nie wasz diabeł, lecz duchy naszych przodków przyprowadziły mnie tutaj – odparł Tonga poważnym głosem.

Gwyneira poczuła znany jej z dawna gniew. Co ten impertynencki typ sobie wyobraża? I jak śmie zjawiać się niespodziewanie w jej domu z całą swoją kliką i ją straszyc?

– Ktokolwiek cię tu sprowadza, to mógł spokojnie poczekać, aż zapowiedzą cię Kiri lub Moana. To bezczelność zjawiać się tu tak niespodziewanie i...

– Miss Gwyn, nasza sprawa jest bardzo pilna!

Oczy Gwyneiry błysnęły z wściekłością.

Tonga i jego ludzie tłoczyli się w jej małym biurze, które urządzono w dawnym pokoju przyjęć. Wojownicy wyglądali naprawdę śmiesznie, stojąc pośród delikatnych, jasnych mebli, ale raczej nie zamierzali rozśmieszać Gwyneiry.

– Tak? A może macie zamiar budzić duchy i w tym celu musicie straszyc stare kobiety?

Gwyneira była naprawdę wściekła.

Tonga wykrzywił usta w grymasie.

– Proszę nam nie dokuczać! Ale oczywiście przykro mi, że panią obudziłem.

Do głosu doszło brytyjskie wychowanie Tongi. Sześć lat w szkole u Helen O'Keefe pozwoliło mu tak dalece opanować maniery, że dziś przestrzegał ich niemal automatycznie.

Gwyneira wyprostowała się z godnością, cały czas siedząc na krześle za swoim biurkiem, wzięła do ręki pióro i starała się zrobić wrażenie osoby bardzo zajętej sprawami farmy.

– Tak czy inaczej, Tonga...

– Wodzu – przypomniał jej Maorys o swoim tytule.

Gwyneira ostentacyjnie przewróciła oczami.

– Doprawdy nie wiem, jak to się dzieje, że wciąż mam przed oczami bosonogiego pędraka, który zawsze łąził za mną i prosił o cukierki, od kiedy przybyłam na Kiward Station!

Mężczyźni stojący za Tongą roześmiali się głośno. Wódz w odpowiedzi spojrzął na nich groźnie.

– A więc dobrze, niech będzie: wodzu. Cóż takiego mówią duchy? – spytała Gwyneira, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– Naruszyła pani nasze ustalenia, Miss Gwyn. Owce z Kiward Station pasą się na świętych miejscach Ngai Tahu.

Gwyneira westchnęła.

– Znowu? Przykro mi, Tonga, ale mamy za mało trawy. Zwierzęta są głodne, a w efekcie tego bardzo przedsiębiorcze i pomysłowe. Nie możemy nadążyć z łataniem płotów. Zanim to zrobimy, te bestie tymczasem zawsze zdążą się wymknąć. Poślemy tam człowieka, żeby je przepędził.

– Miss Gwyn, tu nie chodzi o kilka tuzinów zbiegłych baranów. Chodzi o tysiące owiec, które celowo wypędzono na naszą ziemię.

– Waszą ziemię, Tonga? Zgodnie z orzeczeniem gubernatora... – Cierpliwość Gwyneiry wyczerpała się ostatecznie.

– To święte miejsce, Miss Gwyn! I przyrzeczenie, które pani złamała! Pamięta pani przecież, co mi pani wówczas obiecała...

Gwyneira skinęła głową. Tonga zażyczył sobie kilku ustępstw, zgadzając się na pochówek Jamesa w Kręgu Kamiennych Wojowników. Na Kiward Station łąk było zawsze pod dostatkiem i Gwyn obiecała nie naruszać wobec tego jeszcze kilku rzekomo świętych miejsc Maorysów. Co prawda w ostatnich latach było ich coraz więcej.

– Jestem pewna, że to zwykłe niedopatrzzenie, Tonga – westchnęła. – Może któryś z pasterzy...

– Może Gloria Martyn! – zagrzymiał Tonga.

Gwyneira zmarszczyła czoło.

– Masz na to jakieś dowody?

Była rozgniewana na Tongę, ale jeśli Gloria rzeczywiście pozwoliła sobie na zlekceważenie jej wyraźnych poleceń...

Tonga popatrzył na nią zimno.

– Założę się, że dowody będzie można zdobyć bez trudu. Proszę popytać w stajniach, na pewno ktoś coś słyszał i widział...

Gwyn spojrzała na niego ze złością.

– Sama wypytam o to moją wnuczkę. Gloria mnie nie okłamuje.

Tonga prychnął lekceważąco.

– Gloria akurat nie jest znana z prawdomówności. Jej czyny przeczą jej słowom. I nie zna respektu przed *mana*.

Gwyneira uśmiechnęła się złośliwie.

– Odważyła się odmówić tobie? To jest mi rzeczywiście przykro z tego powodu. I jak słyszałam, miało to miejsce wobec całego szczepu... Czy to prawda, że nie chciała poślubić twojego syna? Ona, dziedziczka Kiward Station?

Tonga wyprostował się jeszcze bardziej i wykonał taki ruch, jak gdyby chciał się odwrócić.

– Nie padło jeszcze ostatnie słowo na temat dziedzictwa Kiward Station! Jak dotychczas pani Gloria nie wybrała jeszcze żadnego *pakeha!*

Któż więc wie, co przyniesie przyszłość?

Gwyneira znów westchnęła.

– Wreszcie jakieś zdanie, z którym się w całości zgadzam. Poczekajmy więc, Tonga, i przestaśmy snuć swoje plany. O ile wiem, radzą tak nawet wasze duchy. A ja zajmę się tymi owcami.

Tym samym Tonga został niejako odprawiony. Ale nie wyszedł, nie powiedziawszy ostatniego słowa.

– Mam nadzieję, Miss Gwyn. Ale zanim ta sprawa nie zostanie załatwiona, na Kiward Station nie pokaże się żaden z naszych ludzi.

Będziemy karmić tylko nasze własne bydło i uprawiać wyłącznie nasze pola.

Odwrócił się i krocząc dumnie, wyprowadził swą delegację przez główne wyjście.

A Gwyneira zawołała Glorię.

– Wszystko jedno, jakie mieliście zamiary i co dokładnie jest *tapu* – powiedziała Gwyneira gniewnie. Jack i Gloria stali przed nią jak strofowane dzieci. Oboje wstydzili się swej wiernopoddanej postawy, ale nie potrafili zachować się inaczej wobec Gwyn, której oczy wydawały się sypać iskry. – Nie wolno wam było tak po prostu zignorować moich zaleceń! Tonga pojawił się tutaj, a ja nawet o niczym nie wiedziałam! Co mogłam mu powiedzieć?

– Że jesteś w sytuacji bez wyjścia i musiałaś się wycofać ze złożonej w innych warunkach obietnicy – wyjaśnił Jack. – I że jest ci przykro, ale masz takie prawo.

– Nie wycofałam się z niej! – oświadczyła Gwyneira z godnością.

– Ale zrobiła to twoja wnuczka i dziedziczka farmy. Po rozmowie z miejscową pełnomocniczką duchów, jeśli tak mogę powiedzieć. Rongo Rongo też udzieliła nam swego błogosławieństwa...

– Nie chodzi tu o błogosławieństwo Rongo Rongo, lecz o moje! – odrzekła Gwyn. – Gloria nie ma żadnych kompetencji do wydawania poleceń! A ty sam, Jack, zrezygnowałeś z funkcji brygadzysty! A więc nie próbuj mi czegokolwiek przypisywać! Jutro wypędzisz owce na płaskowyż! Albo lepiej wy oboje zostaniecie w domu. Kto wie, co wam jeszcze może przyjść do głowy...

– To areszt domowy, babciu? – spytała bezczelnie Gloria.

Gwyneira spojrzała na nią ze złością.

– Nazywaj to, jak chcesz. Zachowujesz się jak mała dziewczynka. Nie skarż się więc, że tak jesteś traktowana.

– Mogliśmy to wszystko zrobić inaczej – stwierdził Jack, kiedy przyglądali się bezradnie, jak Maaka i pozostali pasterze *pakeha* najpierw zbierali owce, a potem pędzili je na zachód. – To nie jest tak, że ona całkiem nie ma racji. Powinniśmy byli działać otwarcie – dodał.

Gloria wzruszyła ramionami.

– Ona nie ma racji. I w ogóle nie chodzi jej już o owce, o *tapu* i co tam jeszcze. Przecież wszystko poszło dokładnie tak, jak sobie zaplanowaliśmy. Rzekome świętokradztwo dokonano się już dawno temu, ta ziemia nie była więc zupełnie nietknięta. A jeśli Tonga nie chce nam dać żadnego ze swych robotników... no to nie mielibyśmy też ludzi, aby wypędzić owce z *tapu*. Babcia Gwyn mogła potraktować go tym batem, który sam na siebie ukrcił. Ale ona nie chciała potraktować tym batem Tongi, lecz mnie!

Gwyneira pytała samą siebie, jak mogła dopuścić do tego, aby wszystko tak dalece wymknęło jej się z rąk. Kochała Glorię całym sercem, a mimo to stale się z nią kłóciła. Ale po prostu nie mogła znieść nienawiści w oczach dziewczyny – i jej zaciętego wyrazu twarzy, który tak bardzo przypominał jej syna Paula. I to coraz bardziej i coraz częściej, im starsza była Gloria. Dawniej wyglądało to zupełnie inaczej. Wtedy w rysach twarzy Glorii Gwyn dostrzegała łagodność Maramy.

Tego dnia Gwyneira nie mogła wytrzymać w domu. Tam zabarykadowali się w swoich pokojach Gloria i Jack, a na domiar złego Jack zaczął znosić na dół kolejne pudła z ubraniami i osobistymi rzeczami Charlotte McKenzie-Greenwood. Gwyneirze w bolesny sposób przypominało to o czasach, kiedy Jack i Charlotte byli tutaj szczęśliwi, a cały dom wypełniony był śmiechem i nadzieją, że wkrótce pojawią się w nim wnuczka. Teraz panował tu żalobny nastrój i co trochę pojawiały się nowe kłopoty. Gwyneira wędrowała po opustoszałych stajniach i zagrodach dla owiec. Wszyscy mężczyźni byli na płaskowyżu; na farmie została garść *pakeha*, którzy śmiejąc się szydlerczo, zgromadzili się wokół Franka Wilkensa. Na szczęście był jeszcze Maaka. Maoryski zarządca wbrew woli swojego wodza zjawiał się w pracy każdego dnia. Spróbował też wpłynąć na Gwyn, aby zmieniła zdanie.

– Miss Gwyn, w tej chwili pogoda jest dobra. Ale to może się zmienić w każdej chwili, jest dopiero początek października. A zwierzęta są dopiero co ostrzyżone i na płaskowyżu nie wytrzymają ataku zimy przez dwa tygodnie. Proszę pozwolić Tondze protestować, on się wkrótce uspokoi!

– Tu nie chodzi o Tongę – powtórzyła Gwyneira – lecz o mój autorytet. Dotrzymuję swoich obietnic i żądam, aby przestrzegano moich zaleceń. A więc pojedziesz ty, Maaka, czy też mam prosić Franka Wilkensa, aby poprowadził spęd?

Maaka poszedł, wzruszając z rezygnacją ramionami. A Gwyneira poczuła się tak samotna jak jeszcze nigdy w życiu. Poszła do koni i rzuciła im trochę siana. Karmieniem i tak musiała się zająć Gloria, Gwyn miała nadzieję, że wnuczka to zrobiła. Po ostatniej kłótni dziewczyna siedziała nadąsana w pokoju. Ale los koni zawsze leżał jej na sercu.

Gwyneira w zamyśleniu głaaskała Princess, małą klaczkę Glorii, i drapała jej czoło. Od niej wszystko się zaczęło. Gwyneira jeszcze dziś przeklinała samą siebie za to, że pozwoliła, aby sfotografowano kłusującą na niej Glorię. Była przekonana, że właśnie po otrzymaniu tego zdjęcia jej rodzice zwrócili uwagę na braki w wychowaniu córki jako damy. A potem ten drugi błąd... Gwyneira nie mogła zapomnieć wyrazu twarzy Glorii, kiedy ta zapytała o źrebaka Princess. Jack obiecał jej w swoim czasie tego konia. Jak mogła podarować go Lilian? A teraz na świat miał niedługo przyjść kolejny źrebak Princess, ale Gloria nie wykazywała choćby śladu zainteresowania.

Gwyneira głaaskała klaczkę.

– To zapewne wszystko moja wina – westchnęła. – Ty nic tu nie zawiniłaś.

Nie mogła wiedzieć, że właśnie Princess zaledwie kilka dni później będzie przyczyną kolejnej awantury.

Mężczyźni wrócili, a na dworze znów rozpadał się deszcz – wprawdzie ciepły i wiosenny, ale mimo to ciągle dokuczliwy. Robotnicy siedzieli w stajniach i grali w karty. Jack był ciągle zajęty przeglądaniem rzeczy po Charlotte, a Gloria zakładała, że czuł się przy tym tak, jak jej to opisywał w listach z Gallipoli. Nikt nie byłby w stanie znieść tego wszystkiego naraz. Prawdopodobnie Jack siedział bezczynnie w pokoju Charlotte i spędzał większość czasu na ponurych rozmyślaniach.

Sama Gloria próbowała trzymać się jakiejś rutyny w codziennych zajęciach. Wiedziała, że jeśli będzie tylko rysować całymi godzinami w pokoju, to zwariuje. Z poczucia obowiązku tresowała więc psy i wyjeżdżała na spacer na Ceredwen. Princess miała się wkrótce ożrebić...

Akurat kiedy wjechała na dziedziniec, rzuciła spojrzenie na zagrody dla owiec. Klaczka Princess stała między dwoma cobami na wybiegu, którego trawiaste podłoże zamieniło się po deszczu w trzęsawisko. Klaczom cobów w ogóle to nie przeszkadzało. Stały ze stoickim spokojem, wystawiając na wiatr i deszcz swoje zady porośnięte grubą sierścią. Za to Princess sprawiała wrażenie nieszczęśliwej. Gloria zauważyła, że mała klaczka dygotała i usiłowała wyprostować grzbiet. Coś tu się musiało stać.

Pierwszym robotnikiem, na którego natrafiła w stajni, był Frank Wilkenson. Najwyraźniej wracał tam, aby zająć miejsce wśród graczy w karty.

– Mr Wilkenson, niech pan będzie tak miły, zabierze Princess do stajni i da jej trochę owsa. Ja zaraz przyniosę coś, żeby ją okryć, bo marznie.

Wilkenson spojrzął na nią lekceważąco.

– Konie nie marzną, Miss Gloria – odpowiedział, podkreślając przy tym słowo „Miss”, jak gdyby ten uprzejmy zwrot Glorii się nie należał. – A poza tym nie mamy nadmiaru paszy, wszystko jest racjonowane.

Gloria zmusiła się do cierpliwości.

– Pańskie konie i coby welch rzeczywiście nie marzną. Ale Princess ma wysoki udział pełnej krwi, co oznacza cienką skórę, delikatną sierść, brak szcztotki pęcinowej. Te konie przemakają, jeśli długo pada deszcz. Proszę więc wprowadzić tego konia do stajni.

Wilkenson się roześmiał. Gloria z przerażeniem zauważyła, że najwyraźniej pił. Także inni mężczyźni w stajni, którzy patrzyli na nich, nie byli trzeźwi.

– A jak to zrobię, Miss Pocahontas, co dostanę w nagrodę? Pokaże się pani znów w spódnicze z włókien?

Śmiejąc się, sięgnęła ręką do włosów Glorii i nawinała sobie kilka pasm na palce.

Gloria sięgnęła ręką po nóż, ale tego dnia nie miała go przy sobie. Właśnie tego dnia... Zapomniała go wyjąć ze starej skórzanej kurtki i włożyła do kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza. W dodatku wcześniej zdjęła ciężki woskowany płaszcz, kiedy prowadziła swojego konia do stajni. Przeklęła sama siebie za taki brak ostrożności. A już zaczęła się czuć bezpiecznie. Błąd.

– Niech pan zabierze ręce, Wilkenson! – starała się mówić ostro, ale z opanowaniem, jednak głos jej drżał.

– Ach, a jeśli tego nie zrobię? Rzucisz wtedy na mnie kłótnię, ty mała maoryska księżniczko? Z tym mogę żyć. – Błyskawicznie chwycił ją za ramię. – Chodź, Pocahontas! Daj buziaka! Za to odprowadzę twojego konia!

Gloria przekreśliła głowę i ugryzła mężczyznę, który przewrócił ją i przycisnął do snopka słomy. Nimue i młodsze psy szczekały wystraszone, Ceredwen przestępowała z nogi na nogę, a pozostali mężczyźni wrzeszczeli głośno.

Nagle ktoś gwałtownie otworzył drzwi stajni. W wejściu stanął Jack McKenzie z wystraszoną Princess na wodzy. W ułamku sekundy ocenił sytuację, a potem w dwóch krokach znalazł się przy Glorii. Przerażona Princess wybiegła na zewnątrz. Jack szarpnął Wilkensa za ramię i nie zastanawiając się długo, wymierzył mu perfekcyjny cios prawą pięścią w szczękę.

– Nie musi pan już nic robić – oświadczył. – Jest pan zwolniony, i to natychmiast!

Wilkenson wstał i wydawało się, że przez krótką chwilę namyśla się nad odpowiedzią. Nie był wyższy od Jacka, lecz z pewnością o kilka kilogramów cięższy i bez wątplenia silniejszy. Ale jednak nie odważył się zaatakować syna Gwyneiry McKenzie. Cofnął się i wyszczerzył zęby w fałszywym uśmiechu.

– A kto mówi, że ta mała mysz stawiała jakieś opory? – spytał bezczelnie.

Jack bez namysłu wymierzył mu kolejny cios. Tak szybko i precyzyjnie, że zaskoczył Wilkensa po raz drugi. Gloria zaś instynktownie chwyciła nóż, który wisiał koło drzwi i służył do rozcinania związanych snopków siana. Miała w oczach błysk szaleństwa. Odwróciła się w stronę Wilkensa, który zbierał się powoli po ciosie Jacka. Upadł dość nieszczęśliwie – prawe ramię miał mocno zranione. Próbował się podnieść, opierając się na lewym.

– Hej, mała, spokojnie, porozmawiajmy...

Gloria nie słuchała – wydawała się nieobecna. Podniosła rękę z nożem w takim skupieniu, jak gdyby miała do spełnienia jakąś misję.

Jack dostrzegł wyraz jej oczu – znał to. Tak fanatyczne i puste spojrzenie mieli wszyscy mężczyźni wyskakujący z okopów i mający przed sobą tylko jeden cel: zabijać.

– Glorio... Glorio, ta szumowina nie jest tego warta! Glorio, odłóż nóż!

Ale Gloria wydawała się go nie słyszeć. Jack musiał podjąć szybką decyzję, bo wiedział, że Gloria umiała rzucać nożem. Obserwował nieraz, jak to ćwiczyła. Jeszcze jako dziecko i także teraz, w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy przestało to być zabawą. Jack obserwował ją potajemnie – nawet w czasie ćwiczeń nie żartowała.

Musiał ją powstrzymać. Nie chciał jednak jej dotknąć – wiedział, że wówczas będzie następnym mężczyzną, którego zaatakuje. Błyskawicznie stanął między nią a Frankiem Wilkensonem.

– Glorio, nie rób tego. Nie wszyscy są tacy sami. To ja, Jack. Nic mi nie zrobisz.

Przez chwilę myślał, że go nie rozpoznała. Ale potem w jej nieruchomych oczach pojawiło się życie.

– Jack, ja... – Szlochając, osunęła się na wiązkę siana.

– Już wszystko dobrze. – Jack mówił łagodnie, ale nie próbował jej dotknąć.

Po chwili odwrócił się do Wilkensa.

– No, jazda! Niech pan dźwignie swój tyłek i wynosi się z tej farmy, i to już!

Ale Wilkenson wydawał się nie do końca pojmować niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł. Patrzył na Jacka rozgniewany, a po chwili się odezwał:

– Ale jedno musi być panu jasne, Mr McKenzie. Jak ja odejdę, to zabiorę z sobą przynajmniej trzech ludzi... – Zwrócił spojrzenie na Boba Tailora i jego kompana od kieliszka.

Jack wzruszył ramionami.

– Ma pan na myśli tych gnojzków? To nie potrzebuje pan używać swojego wpływu. Oni też są zwolnieni. Niech pan sobie nie zadaje trudu, ja słyszałem wcześniej ich okrzyki. Skoro to pańscy kumple, to w zdrowiu i w chorobie. A teraz jazda stąd! Pomóc mu, wsiadać na konie i wynosić się!

Jack poczekał, aż wszyscy mężczyźni podnieśli się, mamrocząc coś pod nosem. Tailor pomógł Wilkensonowi wsiąść na konia.

– Chodź, musimy złapać Princess – zwrócił się do Glorii. – Znowu wybiegła.

Gloria drżała.

– Ja... muszę rozsiodłać Ceredwen.

Najpierw koń, a potem jeździec. Babcia Gwyn niemal od pierwszej chwili świadomości wbijała to do głowy swoim dzieciom i wnukom. Nikomu nie wolno było wpadać w panikę, jeśli trzeba było wytrzeć konia po jeździe.

Jack skinął głową.

– Ja przyprowadzę Princess. Zostaniesz sama?

Gloria jeszcze raz objęła rękojeść noża i popatrzyła na Jacka. Nie potrafił zinterpretować jej spojrzenia. A potem odpowiedziała cicho:

– Zawsze byłam sama...

Jack walczył z pokusą, aby ją objąć. Zagubione dziecko – i zhańbiona kobieta. Ale Gloria nie chciała, aby ją teraz obejmował. Jack nie wiedział, co w nim widziała, ale wiedział, że była daleka od tego, aby mu zaufać.

– Byłeś odważny – powiedziała Gloria, kiedy oboje wracali do domu. Byli przemoczeni i zmęczeni. Jack czuł się kompletnie wyczerpany – zaprowadził do stajni wszystkie konie, nakarmił je, podobnie jak wszystkie pozostałe owce i woły. A teraz musiał jeszcze w miarę ostrożnie powiedzieć matce o tym, że zwolnił większość tych robotników, którzy jej jeszcze pozostali na farmie. Tylko nieliczni *pakeha* nie należeli do kliki Wilkensa. Jack miał nadzieję, że zjawią się następnego dnia w pracy. Maaka był w Christchurch, Tonga i jego ludzie bojkotowali farmę Kiward Station. W dodatku deszcz lał jak z cebra. Jack nawet nie chciał myśleć o burzach śnieżnych na przedgórzu alpejskim. Mimo wszystko był zadowolony, wręcz szczęśliwy. Gloria szła obok niego. Była spokojna i rozluźniona, o wiele bardziej niż przed zajściem w stajni.

– Byłem pod Gallipoli – powiedział Jack z krzywym uśmiechem. – Jesteśmy bohaterami.

Gloria potrząsnęła głową.

– Czytałam twoje listy.

Jack się zaczerwienił.

– Ale ja myślałam...

– Przysłali je do mnie rodzice.

– Och...

Jack nie pamiętał każdego słowa, które napisał, ale wiedział, że za niektóre fragmenty powinien się wstydić. Kiedy pisał te listy, widział przed sobą Glorię jako dziecko. Kilku zdań nie zrozumiałaby, pominęłaby je przy czytaniu, jak prawie każda dziewczyna. Nie zrobiłaby tego tylko Charlotte. I nie ta kobieta, którą stała się Gloria.

– Ostatnich listów już nie wysłałam – rzekł Jack, czując z tego powodu niemal ulgę. Bo te ostatnie listy, ze szpitala w Aleksandrii i potem z Anglii, były najgorsze.

Był wtedy u kresu swoich sił fizycznych i psychicznych i pisał je do dziewczyny, którą uważał raczej za martwą niż żywą. Od chwili zaginięcia Glorii upłynęło wówczas kilka miesięcy. Nie było jej prawie rok.

– Nie? – spytała Gloria zdziwiona. Jeszcze tylko dwa listy nie były otwarte, ich lekturę przesunęła na później, kiedy przeczytała opis kolejnej bitwy pod Gallipoli. Ale zauważyła je już pierwszego dnia, ponieważ pismo na kopercie było inne. Nie tak równe jak pismo Jacka, raczej niezdarne. Niepełny był też adres, brakowało kodu pocztowego. Ale pracownicy poczty w Nowym Jorku bez trudu znaleźli odbiorcę. A nazwa agencji koncertowej była napisana poprawnie.

Glorii się wydawało, że już wie, co się stało. Jack zapewne odłożył gdzieś te listy, a potem któraś z pielęgniarek – a może ów Roly, który tak często pomagał Jackowi – wsadził je do koperty, zaadresował i wysłał. Tak, to musiał być Roly. Z pewnością jeszcze przedtem wysłał pocztę Jacka i zapamiętał nazwę agencji.

Gloria nagle zapragnęła znaleźć się natychmiast w swoim pokoju. Musiała przeczytać te listy.

Glorio, najdroższa,

pisanie do Ciebie właściwie nie ma sensu, bo wiem, że nigdy nie dostaniesz tego listu. Ale z rozpaczą czepiam się nadziei, że żyjesz i może o mnie myślisz. Wiem teraz, że myślałaś o nas wszystkich, choć może byłaś pełna gniewu. Jestem już pewien, że nigdy nie otrzymałaś moich listów pisanych do Anglii. Bo wówczas poprosiłaś o pomoc. A ja... czy przyjechałbym? Leżę tutaj, Glorio, i zastanawiam się, czy mógłbym zrobić coś innego. Czy Charlotte cokolwiek by uratowała? Czy uratowałoby Cię to, gdybym z powodu jednej miłości nie mógł zapomnieć o innej? Chciałem wierzyć, że jesteś tak samo szczęśliwa jak ja, i w ten sposób Cię zdradziłem. A potem, po śmierci Charlotte, uciekłem. Przed sobą i przed Tobą – na tę obcą, bezsensowną wojnę. Walczyłem – i zabijałem mężczyzn, których jedynym przestępstwem było to, że bronili własnej ojczyzny. A ja zdradziłem swoją ojczyznę.

Piszę ten list i słyszę z minaretu nawoływanie muezina do modlitwy. Pięć razy dziennie. Inni pacjenci mówią, że to ich doprowadza do szaleństwa. Ale dzięki temu ludziom tutejszym życie wydaje się łatwiejsze. Słowo „islam” oznacza „poddanie się”. Przyjąć wszystko takim, jakie jest. Zaakceptować to, że Bóg nie przestrega żadnych reguł...

Anglia – a więc wyładowałem aż tutaj i znów myślę o Tobie, Glorio. Patrzyłaś na tutejsze niebo, na zieleń tych łąk, na olbrzymie, tak obce nam drzewa. Ponoć mam suchoty, co niekoniecznie musi być prawdą, bo kilku lekarzy ma wątpliwości. Ale chyba się nie mylą, bo mam takie osobliwe uczucie, że łatwiej i prościej byłoby umrzeć niż żyć. Niczego się właściwie tak nie obawiam, jak powrotu na Kiward Station, w pustkę panującą tam po śmierci Charlotte i Twoim zniknięciu.

Tak długo już Cię nie ma, Glorio, i choć moja matka ciągle ma nadzieję, że wrócisz na Kiward Station, to według wszelkiego prawdopodobieństwa już nie żyjesz. Policja w San Francisco wstrzymała już poszukiwania, także wszyscy detektywi, których zaangażowała moja matka, i George Greenwood nie natrafił na najmniejszy ślad. Może pisanie tego listu jest więc bezsensowne, wręcz głupie. Zupełnie jakbym pisał do Twojego ducha. I tylko myśl o tym, że według Boga pojęcie „według wszelkiego prawdopodobieństwa” także jest absurda, daje mi trochę siły.

Gloria trzymała oba listy na kolanach i płakała rozpaczliwie. Nie płakała tak od chwili tamtej pamiętnej nocy w ramionach Miss Bleachum. Jack pisał do niej do Anglii. Zawsze o niej myślał. I on także się wstydił. Może... może robił o wiele gorsze rzeczy niż ona.

Gloria nie do końca wiedziała, co robi. Jak w transie wyjęła wszystkie swoje rysunki z bloku i włożyła je do ostatniej teczki z notatnikami Charlotte McKenzie na temat mitologii Ngai Tahu. Przed wyruszeniem na wędrowną podróż z Maorysami Gloria przeczytała wszystkie teksty Charlotte. Ostatni notes leżał jeszcze na jej półce z książkami. Jack prawdopodobnie będzie go szukał.

Gwyneira niespokojnie chodziła tam i z powrotem po salonie, nasłuchując szalejącego wiatru i kropel deszczu uderzających w okna. Pogoda poprawiła się tylko na chwilę. Ciągłe było chłodno i padał deszcz; Gwyn nawet nie chciała myśleć o tym, jak mogło być na wyżynie. Oczywiście owce doskonale znały ten teren; także latem zdarzały się chwile niepogody. Ale w tym roku znalazły się tam za wcześnie, i to zaraz po strzyży – Gwyneira żałowała swojej decyzji już od dłuższego czasu. Teraz jednak nic już nie można było zmienić. W tak krótkim czasie nie znalazłaby ludzi, którzy spędziliby owce z powrotem. Jedynie Frank Wilkenson miał dość dużo doświadczenia, aby poprowadzić spęd. Zwłaszcza w takich warunkach.

Gwyneira mimo to przekleła samą siebie za to, że nie zwolniła tego człowieka wcześniej. Nie ulegało wątpliwości, że Jack miał prawo go zwolnić, i to ze skutkiem natychmiastowym, ale to ona wcześniej powinna była zauważyć, że Frank prześladował Glorię. Kiedy tylko myślała o tym zajściu w szopie postrzygaczy... Nie mogłaby nigdy spojrzeć Glorii w oczy! Gwyneira nałała do szklanki whisky i próbowała uświadomić sobie pewien fakt: straciła nad wszystkim kontrolę. Nie wiedziała, co się właściwie działo na jej farmie. A dawniej potrafiła przecież udzielić informacji na temat najdrobniejszych przejawów rywalizacji między robotnikami. Wiedziała doskonale, kto ma skłonności do

fanfaronady albo do pijaństwa, a kto potrzebuje szczególnego nadzoru. I oczywiście zwracała baczną uwagę na Tongę. Jeszcze kilka lat temu sprawdziłaby starannie, która część terenu była rzeczywiście święta dla Maorysów. Nie oddałaby Tondze kilku hektarów bez żadnej walki. A teraz przekazała wszystkie zadania Maace, który najwyraźniej był nimi mocno przeciążony. Maaka był dobrym pasterzem, ale nie urodzonym brygadystą. A Jack...

Ponure rozmyślenia Gwyneiry przerwał przenikliwy dźwięk telefonu. Centrala zawiadomiła o rozmowie z Christchurch. Wkrótce potem Gwyneira usłyszała głos George'a Greenwooda.

– Miss Gwyn? Chciałem właściwie rozmawiać z Jackiem, ale może mu pani wszystko przekazać. Proszę mu powiedzieć, aby przygotował wszystkie notatki Charlotte, bo w następnym tygodniu przyjedzie po nie ekspert z Wellington.

Głos George'a był pełen życia i radości.

– Proszę zgadnąć, Miss Gwyn, kogo on z sobą przywiezie! Nie popierałem nigdy robienia takich tajemnic, ale moja żona i Elaine uwielbiają się bawić w Matę Hari! Mówiąc krótko, uniwersytet w Wellington przysłała Bena Billera, a Lilian będzie mu towarzyszyć. A ten chłopak w dodatku nie ma pojęcia o wszystkich rodzinnych powiązaniach. I Lily oczywiście w nic go nie wtajemnicza, podobnie jak Elaine swojego Tima.

Po tych słowach nastrój Gwyneiry wyraźnie się poprawił.

– Mówi pan, że Lily też przyjedzie? Ze swoim małym... Jak on się nazywa?

– Galahad – odpowiedział George. – Bardzo dziwne imię, prawda? No ale w każdym razie... ona też przyjedzie. I najprawdopodobniej także Elaine z Timem. Kiward Station jest o wiele lepszym miejscem na takie spotkanie niż mój mały dom. Proszę się przygotować, Miss Gwyn, będzie pani miała zajęte wszystkie pokoje!

Serce Gwyneiry z radości zaczęło bić szybciej. Wszystkie pokoje zajęte! Popłakujący dzieciak, żartobliwe docinki między Lily i Elaine... A Lily zawsze udawało się doprowadzić do śmiechu nawet Glorię! Będzie cudownie... Może należałoby zaprosić także Rubena i Fleurette...

– Ach, prawda, mam pani też przekazać wiadomość od Maaki – mówił dalej George, choć tonem już mniej radosnym, za to bardziej służbowym. – Niech pani niezwłocznie wyśle tego Wilkensa, aby spędził z powrotem wszystkie owce. Meteorolodzy i szczepy maoryskie z płaskowyżu przewidują, że wkrótce nadejdą burze śnieżne. Kolejny atak zimy, nad Alpami już to widać. Dlaczego w ogóle wszystkie pani owce zostały już wypędzone, Miss Gwyn? Tak wcześniej w tym roku...

Radosny nastrój Gwyneiry zgasł w jednej chwili jak zdmuchnięta świeczka. Kolejny atak zimy... Szczepy maoryskie, które wędrowały po Canterbury Plains, bo ich *tohunga* przepowiedziały burze śnieżne...

Gwyneira podziękowała George'owi i szybko się z nim pożegnała. Potem wypila jeszcze jedną whisky. A potem zrobiła to, co musiała zrobić.

Jack zapukał do drzwi pokoju Glorii. Nie znalazł ostatniego notesu Charlotte i wiedział, że mógł on być tylko u Glorii. To przecież ona zwróciła mu uwagę na niektóre notatki żony. Musiała więc przeczytać te teksty.

I może Gloria da się namówić na jakąś krótką rozmowę. Jack czuł się samotny i przygnębiony po niezbyt miłej rozmowie z matką. Choć trzeba przyznać, że tym razem Gwyneira była bardziej wyrozumiała; Jack miał nawet wrażenie, że poczuwała się do winy. Przyznała mu rację w sprawie z Wilkensomem i przyrzekła porozmawiać o tym z Glorią. Ale jednak cała rozmowa z matką była deprymująca. Gwyneira robiła wrażenie tak chorej i starej, jak jeszcze nigdy. A obecna sytuacja przerosła ją chyba całkowicie. Jack próbował ją przekonać o swojej gotowości do pomocy. Ale właściwie sam nie wiedział, jak to ma wyglądać. Dawniej w takim wypadku jechało się do Haldon, zamawiało się w pubie piwo i dawało się do zrozumienia obecnym tam klientom, że Kiward Station poszukuje pasterzy. Przeważnie zaraz zjawiał się jeden lub kilku poszukiwaczy przygód. Ale czy dziś też dało się coś takiego zrobić? I czy Jack w ogóle mógłby się przemóc, aby to właśnie zrobić?

Gloria uchyliła drzwi na szerokość wąskiej szpary.

– Zakładam, że szukasz tego... – Podała mu notes, wysuwając rękę na zewnątrz i chowając przy tym twarz. Jack dostrzegł tylko, że ta twarz była mocno zaczerwieniona. Czy Gloria płakała? Jej silnie kręcone włosy sterczały tak, jak gdyby umyślnie je spletała, zamiast rozczesać.

– Coś się dzieje, Glorio? – spytał Jack.

Potrząsnęła głową.

– Nic... To jest twoja książka...

Zamknęła drzwi, zanim zdążył zadać kolejne pytanie. Jack cofnął się, potrząsając głową z niepokojem. Notes, który trzymał w ręku, wydawał się znacznie grubszy niż pozostałe, zupełnie jak gdyby coś włożono między kartki. Jack zabrał go do swojego pokoju i otworzył w świetle elektrycznej lampy.

To, co zobaczył, przeraziło go. Zadygotał.

Ciemne, wielkie miasto pod czarnym niebem bez jednej gwiazdy. W wąskich zaułkach między domami śmiejący się diabeł – i statek opuszczający port. Jack widział wiszącą na maszcie flagę z trupa czaszką, ale przypominało to nagą dziewczynę. Na pokładzie stał chłopiec i wpatrywał się w diabła. Chłopiec wydawał się pewny zwycięstwa, ale z martwych oczodołów dziewczyny z flagi na maszcie płynęły łzy.

A potem dziewczyna w ramionach mężczyzny – a może to był ów diabeł z obrazka powyżej? Wydawało się, że rysownicza nie potrafiła się zdecydować. Mężczyzna trzymał dziewczynę mocno i zapewne chciał ją pośiąć, ale ona nie patrzyła na niego. Para leżała na pokładzie statku, wzrok dziewczyny skierowany był jednak na morze, w wyspę wyłaniającą się zza horyzontu. Dziewczyna się nie broniła, ale najwyraźniej w ogóle nie cieszyła jej bliskość tego mężczyzny. Jack się zaczerwienił, kiedy zobaczył monstrialnej wielkości penis, który uderzał jak nóż między nogi dziewczyny.

I znowu miasto. Ale inne niż na poprzednim rysunku, tym razem wielkie budowle zastąpiły małe domki. Morze małych domków. Pośród nich – herbaciarnia czy jakiś podobny lokal. Przypominał raczej arabską kafejkę niż europejski pub czy kawiarnię. Jakiś mężczyzna pił z diabłem. A między nimi, przyrządzona jak ryba na talerzu, dziewczyna. Obok leżały naszykowane noże. Diabeł – tym razem można go było dobrze rozpoznać – podsuwał w stronę mężczyzny pieniądze. Dziewczyna nie była naga, ale skąpa sukienka sprawiała, że wydawała się jeszcze bardziej bezbronna. Robiła wrażenie przestraszonej, nic nierozumiejącej.

Od tego momentu rysunki były wręcz przerażające. Jack widział dziewczynę w piekle, związaną łańcuchami, a wokół niej tańczyły diabły. Każdy z nich co chwila chwycił dziewczynę w objęcia, aby ją pośiąć w coraz to inny, coraz bardziej odrażający sposób. Jackowi chwilami krew uderzała do głowy; obrazki przedstawiały wciąż nowe i bardziej wyraźne szczegóły. Często były one zamalowane na czarno węglowym ołówkiem, jak gdyby w ataku wściekłości – pierwotny rysunek był ledwo widoczny pod spodem. Gloria chwilami przyciskała ołówek tak silnie, że papier był poprzebijany na wylot. Jackowi nieomal dane było odczuć przerażenie, którego doznawała ona sama.

W końcu po całej serii budzących grozę obrazków dziewczyna znalazła się na plaży. Spała, a między nią a diabłami znajdował się teraz ocean. Ale po drugiej stronie plaży czekały następne potwory. Kolejne rysunki przedstawiały ponowną odyseję przez piekło. Jack się przeraził, kiedy zobaczył ogoloną głowę dziewczyny, która na kolejnych rysunkach coraz bardziej przypominała trupa czaszkę. Na ostatnich obrazkach rysów twarzy nie można już było rozpoznać – zostały tylko puste oczodoły i kości. Dziewczyna, przedstawiona już tylko jako szkielet, miała na sobie ciemny kostium i zapiętą pod szyję bluzkę. Znowu była na statku i wpatrywała się w wyłaniającą się zza horyzontu wyspę, tę samą, która narysowana była na pierwszym obrazku.

Gloria zabrała Jacka w swoją podróż.

– Ty oszalałaś! – donośny głos Glorii rozległ się w salonie akurat wtedy, kiedy Jack rankiem schodził na dół.

Dziewczyna stała naprzeciw Gwyneiry – i był to kolejny z wielu bardzo nieprzyjemnych i zbyt emocjonalnych konfliktów między babką a wnuczką, który tego ranka był szczególnie niepotrzebny. Choć co prawda Gwyneira dziś wydawała się nie odpłacać tą samą monetą co zwykle. Ze stoickim spokojem – a raczej z opanowaniem – zniosła wybuch Glorii. Jack ze zdumieniem zauważył, że jego matka miała na sobie strój do konnej jazdy, a na plecach sakwy jeździeckie.

– Ona chce jechać konno na płaskowyż! – zawołała Gloria, kiedy zobaczyła Jacka schodzącego po schodach. Była tak wzburzona, że z pewnością nie myślała teraz o obrazkach, które Jack oglądał w nocy. Nie dostrzegła też jego zaczerwienionych po bezsennej nocy oczu.

– Twoja matka chce jechać konno na płaskowyż i spędzić z powrotem owce!

Gwyneira popatrzyła na oboje z godnością.

– Nie rób ze mnie wariatki, Glorio – powiedziała spokojnie. – Częściej jeździłam na płaskowyż, niż wy oboje jesteście w stanie policzyć. Dobrze wiem, co robię.

– Chcesz tam jechać sama? – spytał Jack zaskoczony. – Chcesz jechać sama na przedgórze i przypędzić z powrotem dziesięć tysięcy owiec?

– Trzej pasterze *pakeha*, którzy tu zostali, jadą ze mną. A dziś w nocy byłam u Maramy...

– Co ty mówisz? Pojechałaś dziś w nocy sama na O’Keefe Station i rozmawiałaś z Maramą? – Jack z trudem mógł pojąć to, co właśnie usłyszał.

Gwyneira spojrzała na niego ze złością.

– Od kiedy wróciłeś z wojny, Jack, wielu rzeczy nie byłeś w stanie zrobić, ale przynajmniej twój słuch jak na razie nie zawodził. Ale dobrze, powtórzę jeszcze raz: rozmawiałam w nocy z Maramą, a ona przyśle do nas swoich trzech synów. I jest jej zupełnie obojętne, co na to powie Tonga. Możliwe, że jeszcze ktoś się do nas przyłączy, zaoferowałam podwójne wynagrodzenie. A teraz jadę. Wezmę Ceredwen, Glorio, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ta klacz jest najlepiej ujeżdżona.

Jack ciągle jeszcze był jak w transie.

– Ona ma rację, ty oszalałaś...

Nigdy jeszcze nie rozmawiał z matką w ten sposób. Zamiar Gwyneiry wydał mu się wręcz niesłychany.

– Masz ponad osiemdziesiąt lat. Nie możesz już prowadzić spędu bydła.

– Mogę robić to, co muszę. Popeniłam błąd i teraz chcę go naprawić. Zwierzęta muszą się znaleźć na dole, zapowiedziano burze śnieżne.

A ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby i chciałby...

– Mamo, przestań, ja pojedę. – Jack się wyprostował. Zaledwie chwilę przedtem czuł się zmęczony i zrezygnowany, ale Gwyneira miała rację! Trzeba było zrobić to, co było konieczne. A on nie mógł dopuścić do tego, aby dorobek życia jego rodziców – i dziedzictwo Glorii – przepadł w śnieżnej zamieci.

– Jadę z tobą – oświadczyła Gloria bez wahania. – Z psami każde z nas wykona robotę trzech mężczyzn. A owce będą i tak dążyły w stronę domu.

Jack wiedział, że tak nie będzie. W czasie złej pogody zwierzęta były raczej zdezorientowane i trudniej było je prowadzić niż zwykle. Ale Gloria miała wkrótce sama się o tym przekonać.

– Kazałaś już przygotować juczne konie? – spytał matkę. – I proszę, nie kłóć się teraz ze mną, sprawa jest oczywista. My pojedziemy, a ty tu wszystko przygotowujesz. Poszukaj w Haldon kogoś, kto ci pomoże – to można zrobić telefonicznie. I zamów owies i pszenicę, owce muszą szybko wrócić do sił po długiej drodze, w dodatku przez burzę. Zagonimy je do szop dla postrzygaczy i do starych obór dla krów. Trzeba je wyprowadzić z tego deszczu. A potem... Ale to możemy omówić później. Glorio, sprawdź zawartość wszystkich sakw. Mamo, powiedz jej, co będzie potrzebne. Na pewno dużo whisky, będzie zimno. Ludzie potrzebują czegoś do rozgrzania się od wewnątrz. Ja idę do stajni i zobaczę, jak z ludźmi.

Jack od powrotu z wojny nie powiedział jeszcze tylu słów naraz, a już zwłaszcza nie tym tonem. Kapral McKenzie umarł pod Gallipoli. Gwyneirę ogarnęło nagle wrażenie, że Jack McKenzie, brygadzysta Kiward Station, wreszcie wrócił do domu.

Przed stajniami czekali już synowie Maramy, przyrodni bracia Kury-marō-tini. Najmłodszy z nich miał dopiero piętnaście lat i był bardzo podekscytowany wobec czekającej go przygody. Do synów Maramy przyłączyło się jeszcze dwóch maoryskich pasterzy, którzy odważyli się sprzeciwić Tondze. Na widok trzeciego mężczyzny Jack zmarszczył czoło: był to najmłodszy syn wodza, Wiremu.

– Pracowałeś kiedyś z owcami? – spytał niechętnie. Nie przyszedł mu do głowy żaden powód, dla którego miałyby odesłać syna Tongi, ale nie wiedział, jak na jego obecność zareaguje Gloria.

Wiremu potrząsnął głową.

– Tylko jako mały chłopiec. Potem wysłano mnie do miasta. Ale umiem jeździć konno. I myślę, że przyda wam się każdy człowiek. – Opuścił głowę. – A poza tym myślę, że jestem coś winien Glorii.

Jack wzruszył ramionami.

– Pozwólmy więc zdecydować o tym Glorii. Słuchajcie wszyscy, wiecie, że to będzie trudna, długa jazda i nie całkiem bezpieczna. Powinniśmy jak najszybciej wyruszyć, bo pogoda nie będzie się poprawiać, jeśli wierzyć ostrzeżeniom. Szykujcie więc konie.

W stajni Jack spotkał trzech pozostałych pasterzy *pakeha* – byli młodzi, bardzo niedoświadczeni. Westchnął. Nie prowadził jeszcze spędu z grupą składającą się z tak przypadkowych ludzi. A przecież czekała ich długa i bardzo niebezpieczna jazda. Miał obawy, czy zabierać na nią Tane, najmłodszego syna Maramy. Ale Wiremu miał rację: potrzebowali każdego człowieka.

Gloria związała włosy szeroką opaską, jakiej zwykle używali Maorysi, i włożyła na głowę kaptur. Opaskę znalazła gdzieś w kącie swojej szafy i nie miała czasu się zastanawiać, jak to zostanie przyjęte. Miała przytrzymać jej niesforne włosy, a poza tym Gloria liczyła na to, że będzie ciepła i nie zmarzną jej uszy.

Z nieba lały się potoki deszczu, kiedy jedenastu jeźdźców i pięć jucznych koni wreszcie opuściło farmę. Ciągle było ciemno i wydawało się, że tego dnia nie zrobi się jasno. Jack zwrócił uwagę na osobliwe spiętrzenie chmur nad Alpami – te chmury tłumiły skutecznie światło słoneczne. Majestatyczne góry w tle Canterbury Plains, których widok zawsze dodawał otuchy, tego dnia sprawiały wrażenie groźnych cieni, a ich sylwetki ledwo można było rozpoznać za ścianą deszczu. Na nieutwardzonych drogach, które prowadziły na pola i łąki, od tygodni już grzęzło się jak w bagnie i nie było co myśleć o szybkiej jeździe. Pierwsze zielone kielki traw były bezlitośnie wgniecione w glebę przez padający od wielu dni deszcz. Jack miał nadzieję, że nie będzie choć gradobicia.

Dopiero około południa wyjechali na drogi o nieco twardszym podłożu. Tu rzadko jeźdzono konno, a nigdy samochodem, także dlatego podłoże było twardsze. Można było ruszyć klusem, a potem galopem. Jack narzucił szybkie tempo, ale starał się nie przeciążać koni. Przerwy były bardzo krótkie; w takim deszczu, bez dachu nad głową nikt nie chciał długo wypoczywać. Pod wieczór natknęli się na stado młodych baranów, które Gloria często przepędzała ze świętych miejsc Tongi. Stado było najwyraźniej w drodze do domu.

– Bystre chłopaki! – pochwalił je Jack. – Zabierzemy je z sobą. Przenocujemy dziś w chacie pasterzy przy Gabler's Creek. Tam będą mogły się paść. A jutro Tane pojedzie z nimi do domu.

Najmłodszy syn Maramy wydawał się rozdarty między uczuciem rozczarowania wobec zakończenia przygody a dumą z powierzonego zadania samodzielnego pędzenia stada. Miał z sobą psa owczarka, którego dobrze wyszkolił. Jack był pewien, że chłopak bez problemu dotrze do domu. On sam będzie miał wówczas o jedno zmartwienie mniej – odpowiedzialność za Tane bardzo mu ciążyła.

Kiedy ruszyli dalej, skierował swojego konia w stronę Glorii. Widział, że drgnęła z przestraszeniem, kiedy wspomniał o noclegu w chacie.

– Możemy rozbić namiot dla ciebie – powiedział. – Albo przenocujesz w stajni. Ale niechętnie zostawiam cię samą.

– W namiocie też byłabym sama – odparła Gloria.

– Ale między twoim namiotem a stajnią znajdowałby się mój namiot – oświadczył. Szukał jej spojrzenia, lecz ona nie patrzyła na niego.

W gruncie rzeczy przerażała go myśl o rozstawianiu namiotów w takim deszczu; a z drugiej strony, podobnie jak Gloria, z niechęcią myślał o wspólnym noclegu w chacie.

– To możesz... – Gloria miała opuszczoną głowę i mówiła bardzo cicho. – Właściwie też możesz spać w stajni.

W chacie rzeczywistość byłoby przytulniej. W czasach kradzieży bydła, czym swego czasu zajmował się James McKenzie, owczy baronowie pobudowali w górach takie właśnie chaty z bali, w których latem mieszkali strażnicy. Były to małe, ale bardzo stabilne budowle z miejscem na ognisko i pryzcami. Mężczyźni rozpalili ogień i zaoferowali Glorii jedną z nich.

– Miss Gloria wolałaby spać w stajni – oświadczył Jack – ale najpierw zróbcie jej miejsce przy ogniu, żeby się ogrzała. Kto gotuje?

Wiremu zaproponował, aby to mężczyźni spali w stajni. Wszyscy się zgodzili, choć niechętnie. Ale Gloria potrząsnęła głową.

– Wtedy będziemy mieli za mało miejsca dla koni – oświadczyła. – A ja nie chcę jakiegoś specjalnego traktowania. Jest tutaj dość miejsca dla wszystkich. Jeśli nie chcę nocować razem z wami, to jest to mój problem.

I w końcu Gloria wślizgnęła się do swego śpiwora i ułożyła się do spania w stajni na słomie koło Ceredwen. Byłoby jej ciepło, bo Nimue i dwa szczeniaki przytuliły się do niej, gdyby nie to, że były całkowicie przemoczone. Dopiero Jack stanowczo nakazał im odejść w drugi kąt stajni.

– Ale... my zatrzymamy je tutaj, prawda? – spytała. Patrzyła przestraszona i zakłopotana, jak Jack rozkładał swój śpiwór w drugim końcu stajni, tuż koło drzwi łączących chatę i stodołę.

Jack się uśmiechnął.

– Tak, myślę, że je tu zatrzymamy. – Był szczęśliwy, słysząc słowo „my”, i odetchnął, usłyszawszy za chwilę równy oddech śpiącej Glorii. Pamiętał, jak nasłuchiwał jej oddechu, kiedy była małym dzieckiem. Wtedy często wpełzała do niego do łóżka i opowiadała mu o swoich snach, szczególnie kiedy śniła jej się coś strasznego. Czasami nawet go to denerwowało.

Tej nocy Jack się cieszył, że nie chciała nic mówić – że jeszcze nie chciała mówić.

Następnego ranka trochę się przejaśniło i około południa trafili na następne owce. Spędzenie ich w stado nie było problemem. Maorysi rozpalili ognisko i upiekli dopiero co złowione ryby. Spęd na razie sprawiał wręcz przyjemność. Ale potem znów zaczął padać deszcz, zaczął też wiać silny wiatr. Jechali teraz szybko w góry i pod wieczór dotarli do doliny, w której mężczyźni z Kiward Station tradycyjnie rozbijali obóz. Gloria знаła to miejsce także ze swej wędrówki z Maorysami. Był to właściwie górski kocioł porośnięty trawą i ograniczony z dwóch stron wysokimi skałami, co ułatwiało utrzymanie owiec w stadzie. Stąd mieli wyjechać następnego ranka, aby szukać owiec, a potem je tu spędzić.

Zwykle skały otaczające kocioł stanowiły dobrą osłonę przed wiatrem, ale tym razem jego uderzenia były zbyt silne. Chociaż było dopiero późne popołudnie, było już prawie całkiem ciemno, a krople deszczu zamieniały się w płatki śniegu – akurat wtedy, kiedy mężczyźni zaczęli

rozbijając obóz. Z każdym namiotem walczyło dwóch mężczyzn – i rzeczywiście była to walka, bo wiatr zamienił się już w wichurę, której porywy uderzały w twarz wraz ze śniegiem, wyrwijając z rąk namioty już przy próbie ich wyładowania z juków. Jack z trudem oddychał. Lodowate powietrze paliło go w płucach przy każdym oddechu. Do tego był spocony pod grubym ubraniem, kiedy już wreszcie udało mu się wyjąć z sakw stelaże namiotów. Konie stały ze stoickim spokojem, obrócone zadami do wiatru, zmarnięte owce tuliły się do siebie w stadzie.

– Dwie maciorki zaczynają się kocić – zameldował na domiar wszystkiego Wiremu. Dzielił namiot z najstarszym synem Maramy i dobrze sobie radził z jego rozbijaniem. Ale poród jagniąt – to go najwyraźniej przerastało.

Jack przedarł się przez zamieć do pierwszej owcy, jeden z Maorysów poszedł do drugiej. Na szczęście oba porody przebiegły prawie bez komplikacji. Musieli pomóc tylko jednemu jagnięciu.

– Pozwól mi to zrobić! – poprosiła Gloria. – Mam mniejsze ręce.

Jack kaszlał ciężko już od dłuższej chwili.

– Ale nie robiłaś tego od lat! – zawołał, przekrzykując ryk wiatru.

– Ty też nie – odparła, a potem zreźnie wymacała jagnię, które utkwilo w drogach rodnych owcy, i przekręciła jego przednią nóżkę do prawidłowej pozycji. Z ostatnią falą wód płodowych przyszło szczęśliwie na świat.

– Zabiorę je do namiotu – stwierdził stary Maorys i wepchnął słabo protestujące zwierzęta do wnętrza swego namiotu.

Jack szukał w ogólnym bałaganie stelażu swojego namiotu. Nikt nie pomyślał, aby go rozstawić, podczas kiedy on zajmował się owcami. Powinien był komuś kazać to zrobić. Ale teraz wszyscy ludzie leżeli już we własnych posłaniach. Wszyscy – oprócz Glorii. Bez słowa podeszła do niego, chcąc mu pomóc, ale wiatr wyrwał jej płótno i stelaż z ręki. Jack, ciężko dysząc, przytrzymał stelaż, aż Gloria umocowała go porządnie. Kiedy namiot był rozstawiony, osunął się na jego podłogę. Gloria właśnie wyciągnęła śpiwory i całkowicie wyczerpana ułożyła się w drugim kącie. W tym momencie Jackowi przyszło do głowy, że jej własny namiot leżał jeszcze w śniegu.

– Nie mogę teraz rozstawić drugiego namiotu – wyszeptał. – Musimy poprosić kilku mężczyzn...

Wszyscy byli już zagrzebani w swoich namiotach, a z dwóch dochodziło beczenie owiec. Cierpliwi Maorysi rozdzielili je między siebie. Ale z całą pewnością nikt dobrowolnie nie wyszedłby już na tę wichurę, aby postawić namiot Glorii. Dziewczyna rozejrzała się panicznie w ciasnym pomieszczeniu, którego połowę zajmowało prowizoryczne posłanie Jacka. To było nie fair z jego strony. Obiecał jej przecież...

I wtedy usłyszała jego świszczący oddech.

Jack leżał z zamkniętymi oczami na swoim kocu i próbował oddychać ciszej, ale kiedy zrobiło się nieco cieplej, musiał walczyć z męczącym kaszlem.

– Przykro mi, Glory... może później, ale...

Gloria uklękła obok niego, kiedy zaczął ciężko kaszleć.

– Poczekaj – powiedziała i zaczęła czegoś szukać w sakwach. Babcia Gwyn wetknęła tam jakieś lekarstwa, a ona sama je uzupełniła.

– Olej... Olej z drzewa herbacianego? – próbował żartować Jack. – Oni... dawali to Australijczykom... jako żelazną rację...

– Pomaga jedynie na pęcherze na piętach – stwierdziła Gloria.

– Dlatego mieliśmy mniej roboty w czasie walki. – Uśmiechnął się i znów zaczął kaszleć.

Gloria wydobyla buteleczkę syropu *rongoa*.

– Wypij łyk. – Przyłożyła mu buteleczkę do ust, ale nie reagował. – Masz gorączkę – powiedziała zatroskana.

– To tylko wiatr... – wyszeptał Jack. Gloria widziała, że dygotał. Poszukała jego śpiwora i rozpięła go. Jack ledwo był w stanie wejść do środka. Gloria pomogła mu zapiąć śpiwór, ale wkrótce dostrzegła, że wcale nie zrobiło mu się cieplej.

– Mam sprawdzić, czy komuś udało się ugotować herbatę? – spytała. Nie chciała iść do innych namiotów, zresztą na dworze nadal szalała wichura. Ale niepokoiła się o Jacka.

Ale on potrząsnął głową.

– Przy takiej wichurze... nie da się rozpalić ognia. – Dygotał na całym ciele. – Glory, ja... ja ci nic nie zrobię, wiesz przecież. Zrób sobie posłanie i spróbuj zasnąć.

Gloria była niezdecydowana.

– A ty?

– Ja też będę spał – odpowiedział.

– Musisz zdjąć mokre rzeczy.

Po wejściu do namiotu Jack zdjął jedynie przemoczony płaszcz. Jego wilgotna koszula i bryczesy miały wyschnąć w śpiworze. Ale w ten sposób nie zrobi mu się ciepło.

Spojrzał na Glorię sceptycznie.

– Mnie to nie przeszkadza – odparła. – Wiem, że mi nic nie zrobisz.

Odwróciła się i wygrzebała ze swoich sakw suchą flanelową koszulę i dzinsy. Jack z trudem ściągnął przemoczone ubranie. Drżał tak, że z trudem mógł włożyć suche rzeczy, a po tym wysiłku znów zaczął kaszleć. Gloria siedziała w swoim kącie i patrzyła na niego zmartwiona.

– Ty jesteś chory...

Jack potrząsnął głową.

– Śpij, Glorio...

Zdmuchnęła latarnię, której mdłe światło trochę rozjaśniało mrok. Jack leżał w ciemnościach, próbował się rozgrzać i nasłuchiwał jej oddechu. Gloria także nasłuchiwała. Powoli mijały godziny, a Jack cały czas dygotał i kaszlał. W końcu Gloria podniosła się i przysunęła do niego.

– Ty masz gorączkę – powiedziała. – I dreszcze.

Nie odpowiedział, ale jego dygocące ciało mówiło samo za siebie. Gloria walczyła z sobą. Wiedziała, że on nie zaśnie bez źródła ciepła i rankiem będzie z nim jeszcze gorzej. Przypomniał jej się jego list z sanatorium. Płuca Jacka nie były w porządku – mógł nawet umrzeć...

– Nie będziesz próbował mnie objąć, prawda? – spytała cicho. – Nie obejmuj mnie, proszę...

Potem drżącymi palcami rozpięła jego śpiwór, wślizgnęła się do środka i narzuciła swój śpiwór na wierzch. Poczula jego wychudzone ciało obok siebie i przytuliła się do niego, aby go rozgrzać. Po chwili głowa Jacka osunęła się na jej ramię i zasnął.

Gloria chciała czuwać i w żadnym wypadku nie stracić kontroli, ale wysiłek całego dnia zrobił swoje. Kiedy się obudziła, leżała tak, jak zasnęła. A ramię Jacka obejmowało ją.

Chciała się uwolnić w panice, ale spostrzegła, że on ciągle spał. Dłoń miał otwartą i miała wrażenie, że leżące na niej ramię stanowiło jedynie coś w rodzaju ochrony. Po jej drugiej stronie leżała Nimue, a obok Tuesday. Gloria niemal się uśmiechnęła. W końcu uwolniła się ostrożnie z obejmującego ją ramienia Jacka – wolałaby, aby się przy tym nie obudził. Ale on otworzył oczy.

– Glorio...

Zastygła w bezruchu. Jeszcze nikt nie wymówił jej imienia tak łagodnie i tkliwie. Przełknęła ślinę i chrząknęła.

– Dzień dobry. Jak... jak się czujesz?

Chciał ją zapewnić, że doskonale, ale to nie była prawda. Bolała go głowa i znów walczył z atakiem kaszlu.

Gloria ostrożnie położyła mu rękę na czole – było rozpalone.

– Musisz leżeć.

Jack potrzęsnał głową.

– Tam na dworze czeka kilka tysięcy owiec – odpowiedział pozornie wesoło. – I wydaje się, że śnieg już przestał padać.

To rzeczywiście była prawda, ale niebo było szare – nisko nad nimi wisiały ciemne chmury. Śnieg, który spadł poprzedniego dnia, jeszcze się nie stopił. Głorię przerażała myśl o jeździe na koniach w tych warunkach. Jack miał uczucie, że do jego płuc dotarły jakieś gryzące opary.

Przy namiotach pasterzy *pakeha* płonął już ogień.

– Musimy mieć gorącą herbatę. A potem trzeba wyruszyć jak najszybciej. – Jack spróbował się podnieść, ale kiedy tylko usiadł, poczuł nagły zawrót głowy. Ciężko oddychając, osunął się znów na posłanie.

Gloria przykryła go jeszcze jednym kocem.

– Ty zostaniesz tutaj – oznajmiła. – A ja poradzę sobie z owcami.

– I z mężczyznami? – spytał cicho.

– I z mężczyznami! – odparła zdecydowanie.

Nie czekając na jego sprzeciw, włożyła jeszcze jeden sweter i płaszcz przeciwdeszczowy, po czym wyszła z namiotu.

– Wszystko w porządku, ludzie? Noc była spokojna?

Opanowany głos Glorii brzmiał zachęcająco i dodawał otuchy. Nawet jeśli czegoś się obawiała, potrafiła to dobrze ukrywać. Ale już pierwsze spojrzenie na obóz dodało jej odwagi. Zmarznięci mężczyźni siedzieli przed swoimi namiotami – z całą pewnością nikt nie miał zamiaru podchodzić bliżej do dziewczyny. Owce i konie spacerowały wokół obozu, pilnowane przez młode psy i owczarki mężczyzn.

Paora, najstarszy z Maorysów, skinął głową w odpowiedzi na pytanie Glorii.

– Wszystkie jagnięta żyją. I dwie owce okocły się nocą. Jedno jagnię zdechło, pozostałe są zdrowe. Zabraliśmy je do siebie do namiotu. Było ciasno, ale wesoło.

Gloria czekała na jakąś aluzję na temat Jacka i jej, ale dzięki Bogu nie było w grupie Franka Wilkensa ani Boba Tailora. To dodało Glorii odwagi.

– Napijemy się herbaty, a potem ruszymy spędzić tyle zwierząt, ile tylko się da. Pogoda może się pogorszyć w każdej chwili, tak jak wczoraj. Ale Mr Jack jest chory i musi zostać w namiocie. Wiremu, zajmiesz się nim...

Wiremu w odpowiedzi posłał Glorii udręczone spojrzenie.

– Ja nie jestem lekarzem, ja...

– Studiowałaś kilka semestrów medycynę i byłeś prawą ręką Rongo Rongo. Każdego lata – opowiadała mi. I jesteś całkiem zbędny przy spędzie.

Gloria nie dopuściła do dalszej dyskusji, zwracając się od razu do pozostałych mężczyzn:

– Paora i Hori, wy razem z Willingsem i Carterem objeździecie te okolice, w których zwykle zbierają się owce. Anaru pojedzie razem z Bealesem... Anaru, byłeś kiedyś na spędzie? Nie? Ale byłeś na wędrowce ze szczepem, to powinieneś znać tę okolicę. Paora ci powie, gdzie są największe szanse, aby znaleźć większe stada. Rihari pojedzie ze mną.

Rihari, średni syn Maramy, był dobrym jeźdźcą i tropicielem śladów – miał z sobą psa mieszańca, który dobrze się sprawdził w czasie polowań.

– Poszukamy dalej w górach tych zwierząt, które się rozbiegły. Kuri i Nimue powinny je wyczuć. Paora i Hori – wy macie własne psy. Anaru, Willings, Carter i Beales wezmą po jednym z młodych psów. Łatwo je prowadzić. I znacie wszystkie gwizdy sygnalizacyjne.

Aby się upewnić, że tak było, Gloria powtórzyła najważniejsze gwizdy i była dumna, że każdy szczeniak zareagował na nie perfekcyjnie. Psy Maorysów słuchały rozkazów wydawanych w języku ich panów, a Gloria sobie przypominała, że jej dziadek wydawał swoim psom rozkazy po galijsku. Gwyneira natomiast od początku upierała się przy tym, aby szkolić młode psy według jednego systemu. Gloria zawsze uważała to za jakieś ograniczenie, w dodatku nudne, ale teraz zrozumiała, że miało to sens. Owczarki z Kiward Station pracowały z przewodnikiem; były szkolone tak, aby szybko potrafiły się dopasować do pozostałych psów i były przydatne.

Jack skinął głową z uznaniem, kiedy przyszła do namiotu z kubkiem gorącej herbaty.

– Dokładnie tak bym zrobił, Glory – powiedział łagodnie. – Ale nie puściłbym cię samej w góry. Jesteś pewna...? – Grzał dłonie o gorący gliniany kubek z herbatą.

Gloria przewróciła oczami.

– Tu na dole do niczego się nie przydam. Ani Rihari, ani ja nie znamy dolin, w których zwykle pasą się owce. Możemy najwyżej pomóc pozostałym, ale oni powinni poradzić sobie bez nas. A jeśli we dwoje dotrzemy na przełęcze, możemy uratować setki zwierząt.

– Bądź ostrożna. – Jack pogłaskał palcami jej dłoń.

Gloria się uśmiechnęła.

– A ty bądź grzeczny i słuchaj Wiremu, dobrze? On nie chce się do tego przyznać, ale Rongo jest zdania, że on będzie *tohunga*. Jest tylko rozgoryczony, bo nie wyszło mu z uniwersytetem *pakeha*. Udaje, że woli być myśliwym i zastawiać pułapki, zamiast robić to, czego chce i co umie.

– Nie brzmi to tak, jak gdybyś go nienawidziła – zauważył Jack na wpół poważnie.

Gloria wzruszyła ramionami.

– Gdybym miała nienawidzić wszystkich tchórzy na świecie... – odpowiedziała, po czym wyszła.

Jack został w namiocie i odczuwał na przemian dumę z Glorii i lęk o nią. Górskie przełęcze nie były bezpieczne, zwłaszcza przy tak nagłym ataku zimy. Ale za chwilę przyszedł Wiremu i Jack nie za bardzo miał czas na rozmyślanie. Młody Maorys rozpałił ognisko przed namiotem, rozgrzał w nim kamienie, po czym ułożył je wokół Jacka, aby zrobiło mu się ciepło. Chwilę potem Jack był mokry od potu. Wiremu położył mu na piersiach okłady ziołowe i kazał wdychać ich opary.

– Twoje płuca były zranione – powiedział, obejrawszy jego blizny. – Mnóstwo tkanki płucnej zostało zniszczonej, to cud, że przeżyłeś. Prawe płuco ma wiele blizn – ten organ nie może już pochłaniać tyle tlenu co zdrowy. Dlatego tak szybko się męczysz i masz mało sił.

Jack miał uczucie, jakby opary ziół parzyły wewnątrz jego płuc.

– A co to znaczy? – spytał, dysząc ciężko. – Powiniennem siedzieć w domu jak... jak dziewczyna?

Wiremu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dziewczyny Wardenów raczej nie mają skłonności do tego, aby siedzieć w domu – zauważył. – A dla ciebie to też nie będzie dobre. Normalna praca na farmie nie stanowi żadnego problemu. Ale powinieneś unikać ciężkich wysiłków fizycznych przy takiej pogodzie jak wczoraj. I musisz więcej jeść. Jesteś za chudy.

Wiremu nalał mu herbaty i podał jeszcze raz syrop *rongoa*.

– Ten syrop jest bardzo skuteczny. Ale nie wierzy w to każdy, kto dopatruje się w nim różnych hokus-pokus i czarów. Zanim Rongo zerwie potrzebne do niego płatki, tańczy trzy razy wokół kwiatów... – W głosie Wiremu Jack usłyszał cień lekceważenia. Chłopak wyrzekł się medycyny Maorysów, a potem musiał zaznać goryczy odrzucenia go przez medyków *pakeha*.

– Rongo okazuje w ten sposób swój szacunek roślinie – powiedział Jack. – Co jest w tym złego? Wielu *pakeha* odmawia modlitwę, zanim pokroi chleb. Też pewnie musiałeś to robić w internacie.

Wiremu znów wyszczerzył zęby.

– Hokus-pokus *pakeha*...

– Wiremu... Co powiedziała Gloria? – spytał nagle Jack bez związku. – Wtedy w *marae*. Do Tongi. Z daleka widziałem, że powiedziała mu

coś prosto w oczy, ale nie słyszałem, co to było.

Wiremu się zaczerwienił.

– To była jej *pepeha*, coś jakby prezentacja własnej osoby w szczepie. Wiesz, na czym to polega?

Jack wzruszył ramionami.

– Tylko mniej więcej. Coś takiego jak: Dzień dobry, jestem Jack, moja matka przybyła na Aotearoa na statku „Dublin”...

– Najpierw wymienia się nazwę kanu, na którym przybyli przodkowie ojca – poprawił Wiremu. – Ale to nie jest takie ważne, ważniejsze jest znaczenie. Poprzez *pepeha* przypominamy sobie naszą przeszłość, bo to ona wyznacza naszą przyszłość. *I nga wa o mua*, rozumiesz?

Jack westchnął.

– Tylko dosłowne brzmienie tych słów. Aby zrozumieć zasadę, trzeba chyba było przybyć na Aotearoa z pierwszym kanu. A co tak okropnego było na statkach, którymi przybyli tu Wardenowie i Martynowie?

Wiremu powtórzył mu przemowę Glorii.

Gloria jechała w gęstej mżawce i miała nadzieję, że mgła wreszcie się podniesie albo ona wreszcie wyjedzie na tyle wysoko w góry, że będzie ponad nią. Zastanawiała się, jak Rihari, który jechał przed nią, tak szybko potrafił odnajdywać ścieżkę i w jaki sposób psy Kuri i Nimue, głośno szczekając, równie szybko znajdowały owce i natychmiast zaganiały je w stado. W tej chwili udało im się zebrać stado liczące około pięćdziesięciu zwierząt. Były to samotniki, często pasące się jedynie w małych grupach, głównie stare i młode barany, które niezbyt chętnie pozwalały się spędzić w stado. „Ousiderzy i krętacze” – pomyślała Gloria i roześmiała się. Rihari jechał w milczeniu przed nią. Było coś uspokajającego w tym, że tak doskonale znał drogę.

Kiedy zostawili za sobą ławicę mgły, przed ich oczami rozpostarła się wspaniała panorama. Mieli przez chwilę wrażenie, że ośnieżone wierzchołki gór szybują nad chmurami. Nad wszystkimi szczytami górował Aoraki, a konie wydawały się stąpać po ledwo widocznych mostkach jak z bajki, łączących doliny bądź wznoszących się nad przepaściami. Góry chwilami wyglądały jak piaszczyste diuny, a chwilami jak pocięte ostrym nożem fragmenty krajobrazu.

– Myślisz, że znajdziemy tutaj owce? – spytała Gloria. Była oczarowana urodą rozciągającego się przed nią surowego górskiego krajobrazu i wprost nie mogła oderwać od niego oczu. Wiedziała jednak, że czekało ich jeszcze długie zejście – z licznymi okrężnymi drogami wiodącymi do miejsc, gdzie mogli się ukryć ich czworonożni uciekinierzy.

Rihari potrząsnął głową.

– Chciałem tu wjechać tylko dlatego, żeby zobaczyć pogodę – powiedział osobiście głuchym głosem. – Bo ja... chciałem zobaczyć to...

Gloria patrzyła na południe w stronę szczytu Mount Cook, a Rihari wskazał na zachód.

Widoczna tam dziwna, wznosząca się stromo w górę formacja chmur była swoistym teatrem natury. Ale zamiast zachwycać się jej pięknem, każdy widz musiał na ten widok zadrzeć ze strachu.

– Do cholery, Rihari, co to jest? Następna burza? Czy też świat zaraz się skończy? – Gloria patrzyła z przerażeniem na kłębiące się czarne chmury przecinane raz po raz błyskawicami. Widok był wręcz upiorny. – Czy to idzie w naszą stronę?

Rihari skinął głową.

– A nie widzisz tego? – dodał.

Rzeczywiście, front czarnych chmur przesunął się w ich stronę, co było można zauważyć już tylko w czasie ich rozmowy. Gloria zebrała cugle i wyprostowała się.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do obozu i ostrzec wszystkich. Do diabła, Rihari, jeśli będzie tak źle, jak na to wygląda, to wiatr pozrywa nam wszystkie namioty...

Skierowała Ceredwen na ścieżkę i gwizdnęła na psy. Rihari ruszył za nią. Konie wiedzione instynktem przyśpieszyły i za chwilę narzuciły bardzo szybkie tempo. Gloria musiała powstrzymać klacz. Zbyt duże było niebezpieczeństwo upadku w przepaść. Rihari próbował kontrolować owce, ale wobec tempa musiał pozostawić to psom. Burzowy front zbliżał się coraz bardziej i zwierzęta były bliskie paniki. Ale za to nie było przed nimi mgły, którą rozproszył już i tak silny wiatr. Był to jednak zły znak, a za chwilę zaczęło padać.

– Gloria, nie możemy zostać tutaj na przełęczy! – Rihari przedarł się przez ścianę deszczu i dotarł do Glorii. – Jeśli będzie burza śnieżna, tak jak wczoraj, wiatr po prostu zwieje konie. Nie mówiąc już o tym, że nie będziemy widzieli własnej ręki przed oczami.

– To dokąd mamy jechać? – Coraz silniejszy wiatr zagłuszał słowa Glorii.

– Tu, w jednej dolinie w pobliżu, znam pieczary skalne...

– No i? – spytała Gloria zirytowana. – To czemu tam nie pojechaliśmy? Mogliśmy je wykorzystać do założenia obozu.

– One są *tapu!* – odrzyknął Rihari. – Duchy... Ale ty przecież znasz Pourewa. Nie byłaś tam z Rongo?

Gloria zastanawiała się przez chwilę. Rongo zabierała ją do licznych dolin leżących w górach, pokazała jej bardzo wiele pieczar i skalnych formacji, w których ponoć bardzo dawno temu żyli jacyś przodkowie. Gloria próbowała przypomnieć sobie znaczenie tego słowa. I nagle wiedziała: było to coś w rodzaju skalnej twierdzy. Głęboka dolina otoczona ze wszystkich stron górami. Może był to krater dawno wygasłego wulkanu, a może lodowiec doprowadził do powstania wiele tysięcy lat temu czegoś w rodzaju skalnego fortu.

– Duchy będą musiały się przygotować na odwiedzinę – oświadczyła Gloria zdecydowanie. – Rihari, gdzie jest ta skalna twierdza? Wiem, że to było gdzieś w tej okolicy, ale dość daleko od głównego obozu. Rongo i ja szliśmy tam całymi godzinami.

– Rongo jest starą kobietą... – Rihari mówił z wyraźnym wahaniem. Znał to sanktuarium i zapewne było to gdzieś w pobliżu. Ale wydawało się, że obawia się jego profanacji. Jednak z drugiej strony burza była coraz bliżej...

Gloria zignorowała jego brak zdecydowania.

– Zaprowadzisz nas tam, a potem odpalimy race – oświadczyła. – Może im na dole przyjdzie do głowy pomysł, aby nas tu poszukać.

Mamy przecież race, prawda?

Rihari wzruszył ramionami, ale Gloria była już pewna, że tak jest. Babcia Gwyn przypomniała jej o tym, kiedy przeglądała zawartość sakw. Jechali jeszcze węższą ścieżką, a burzę poprzedzał deszcz przypominający wręcz kaskady wody. Rihari prowadził Glorię to w dół, to znów w górę. Prawdopodobnie jeszcze nigdy nie szedł tędy koń – i tylko niewielu ludzi w czasie ostatnich stuleci.

Glorii wydawało się, że rozpoznaje już okolice. Pogoniwszy Ceredwen, znalazła się przed wyraźnie wahającym się Riharim. Deszcz powoli przechodził w śnieg i Gloria zastąpiła sobie twarz szałem. I omal nie minęła wejścia do krateru. Dostrzegł je jednak Rihari.

– Zaczekaj! – zawołał, przekrzykując szum wiatru. – Myślę, że to tutaj!

Gloria starała się coś dostrzec przez coraz gęściej wirujące płatki śniegu. Wydawało się, że to same duchy bronią wejścia do doliny, które latem trudno było przeoczyć. Ale Rihari skierował konia wprost na dwie skały, które tworzyły coś w rodzaju łuku nad bramą. Była to brama do Pourewa duchów. Rihari miał wyraźne skrupuły, aby tam wjechać. Gdyby był chrześcijaninem, prawdopodobnie by się przeżegnał.

Gloria za to nie zastanawiała się zbyt długo. Gwizdnęła, a psy natychmiast popędziły owce w kierunku skalnej bramy. Za nią przed oczami Glorii rozpostarł się widok, który oczarował ją już wtedy, kiedy była tam z Rongo. Za skałami zejście prowadziło prosto do małego kotła, otoczonego przez wznoszące się stromo w górę skały. Ogromne naturalne pomieszczenia powstałe w efekcie kaprysu natury poeta porównałby do katedry albo do sali rycerskiej. Ale Gloria widziała przede wszystkim naturalne schronienie dla ludzi i zwierząt – wszyscy mogliby tu przetrwać najgorszą burzę.

Pomiędzy skałami wokół małego jeziora rozciągała się łąka, teraz porośnięta rzadką trawą. Latem woda w jeziorze była wyjątkowo intensywnym niebieskim kolorem. Ale dziś po niebie pędziły ciemne, ciężkie chmury.

Gloria walczyła z sobą. Była to kryjówka wręcz idealna – nie tylko dla kilku tuzinów jej owiec, lecz dla wszystkich, także dla Jacka i jego ludzi.

Czy powinna pojechać na dół i sprowadzić ich tutaj? To chyba byłoby najsluszniejsze, ale nie wiedziała, czy zdąży przed burzą. A może należało wystrzelić race i liczyć na to, że Jack je zobaczy i prawdopodobnie zinterpretuje? Co będzie, jeśli zrozumie strzał jako wołanie o pomoc? Może wówczas wysłje tylko grupę poszukiwawczą, ta z kolei mogłaby zabłądzić i w rezultacie wszyscy byliby jeszcze bardziej bezbronni wobec nadciągającego żywiołu. Mężczyźni powinni byli już widzieć nadchodzący front niepogody. Jeśli Jack jest przy zdrowych zmysłach, to każe zwinąć obóz.

– Czy oni wiedzą o tym miejscu? – spytała.

Rihari próbował jednocześnie przytaknąć i potrząsnąć głową.

– Może Wiremu, ale pozostali z pewnością nie. Znam tę dolinę tylko dlatego, że raz byłem tu z Rongo. Spotkaliśmy wówczas inny szczerp, który przywędrował z płaskowyżu McKenzie, a ich czarownica chciała koniecznie odwiedzić to miejsce. A znasz Maramę – zawsze obawia się o Rongo, bo ona już jest tak stara. I wysłała z nią mnie, abym ją chronił. A z dwiema starymi kobietami było nudno, w dodatku musiałem czekać na nie na zewnątrz tej doliny. Jeśli zagnasz tu owce, Gloria, to duchy bardzo się rozgniewają.

Gloria niecierpliwie przewróciła oczami. A potem podjęła decyzję.

– Żaden łagodny duch ziemi nie może być bardziej wściekły niż jest teraz Tawhrimatea – zauważyła. Tawhrimatea był bogiem pogody. – Słuchaj, Rihari, zaczekasz tutaj. Czy na zewnątrz, czy w środku, jest mi wszystkim jedno, nie pozwól jednak, aby moje owce stąd wyszły. Ja jadę na dół, do obozu. Kuri wezmę z sobą, pomoże mi trafić tutaj w drodze powrotnej, jak zabłądzą. Przyprawdzą tu wszystkich, zanim zacznie się burza.

– Nie dasz rady... – stwierdził Rihari. – Przecież nie wiesz, gdzie to jest.

Gloria prychnęła z oburzeniem.

– Zawsze lubiłam brać udział w wyścigach konnych. A obóz znajdę. Pojadę po prostu w dół, aż zacznę się orientować i będę wiedzieć, gdzie jestem, to nie będzie aż takie trudne. Czekaj więc na mnie... Ach, prawda, odpalaj co jakiś czas race, to mi pomoże znaleźć drogę. Może oni wyjadą mi naprzeciw. Jeśli Jack już coś wie, to przypuszczalnie ma dość rozumu, aby pozwolić *tapu* być *tapu*, i przyprowadzi tu ludzi.

Rihari zagryzł wargę.

– Nie wiem, ja... może to ja powinienem pojechać? Obiecałem Mr Jackowi, że będę na ciebie uważał.

Gloria spojrzała na niego ze złością.

– Sama potrafię na siebie uważać. I jeżdżę konno dziesięć razy lepiej niż ty.

Jakby chcąc tego dowiedzieć, chwyciła opierającą się Ceredwen i obróciła ją we właściwym kierunku. Ceredwen czuła się w cichej dolinie duchów wyraźnie lepiej niż w czasie jazdy w burzy śnieżnej, posłuchała jednak Glorii. Nimue oczywiście też ruszyła, ale Kuri, pies Rihariego, opierał się i z początku trzeba go było ciągnąć.

Gloria pozwoliła Ceredwen galopować w dół. Nigdy się nie bała w czasie jazdy konnej, ale teraz była przerażona. Ceredwen oczywiście nie mogła tego zauważyć. Gloria zdała się całkowicie na klacz, lecz nie popuszczała cugli, aby w ten sposób pomóc koniowi utrzymać równowagę. Zwierzę chwilami ślizgało się na piargach, a wtedy Glorii się wydawało, że zamiera jej serce. Jednak Ceredwen nie traciła równowagi. Przeskakiwała przez kamienie zgrabnie jak kot i szybko pokonywała zakręty. A niżej, na przedgórzu deszcz lał już jak z cebra, ale na szczęście jeszcze nie padał śnieg. Gloria uciekała przed burzą, która nie osiągnęła jeszcze swego apogeum, choć już szarpała gałęziami rosnących tu wysokich drzew. Przeraziła się, kiedy tuż obok niej spadła na ziemię ogromna gałąź. Ceredwen wystraszyła się także i zaczęła pędzić jeszcze szybciej. Wszystko wskazywało na to, że klacz doskonale wiedziała, dokąd miała biec, także Nimue i Kuri biegły w tym samym kierunku. Gloria odetchnęła, kiedy w dole zobaczyła dolinę, w której poprzedniego dnia rozbili obóz. Teraz dolina była pełna owiec. Mężczyźni w ciągu dnia spędzili ich tysiące.

Gloria próbowała wypatrzeć obóz i dostrzegła już kilku mężczyzn. Wszystko wskazywało na to, że pasterze już wrócili i właśnie składali namioty. Szybko zwijali plandeki; ktoś kazał im to robić jak najszybciej.

Gloria wypatrywała Jacka i w końcu zobaczyła go przy ognisku. Siedział oparty o siodło, z kocem na ramionach i dawał ludziom wskazówki. Od czasu do czasu nerwowo zerkał w kierunku zachodnim. Gloria zagryzła wargi. Musiał więc być chory, jeśli kazał pracować innym, zamiast robić to razem z nimi. Miała nadzieję, że będzie w stanie jechać konno...

Ceredwen szarpała niecierpliwie cugle, ale Gloria nie pozwoliła jej wpaść w pełnym galopie w sam środek obozu. Klacz powoli weszła między owce. Gloria zsiadła wreszcie i przeprowadziła klacz między ostatnimi owcami. Błada twarz Jacka rozjaśniła się na jej widok. Z pewnym trudem podniósł się i wyszedł jej naprzeciw.

– Gloria, o Boże, Gloria! Pojechałbym na dół dopiero wtedy, kiedy bym cię znalazł! – Jack impulsywnie chwycił dziewczynę w ramiona i Gloria nagle poczuła śmiertelne zmęczenie. Najchętniej osunęłaby się na ziemię. Tęskniła za ciepłem ciała Jacka nocą w namiocie.

Odepchnęła go jednak od siebie.

– Nie na dół... – powiedziała, oddychając szybko. – Do góry, na zachód. Wiem, że to brzmi, jak gdybym zwariowała, ale tam jest dolina i pieczary...

– Ale ona jest *tapu* – zauważył Wiremu.

Jack spojrział na niego surowo.

– Maoryskie hokus-pokus? – spytał.

Skarcony Wiremu spuścił oczy.

– Chciałem pojechać do chaty na dole... – powiedział Jack niezdecydowanie. – W południe wysłałem już w drogę Hori i Cartera z częścią owiec.

– To oni może zdążą, zanim burza się zacznie. Ale my nie, Jack! To dzień jazdy stąd. A w pieczarach będziemy za godzinę do dwóch.

Chciała dodać: „zaufaj mi”, ale nie zrobiła tego.

Jack zastanawiał się chwilę, a potem skinął głową.

– Jedziemy za Glorią – zdecydował, zwracając się do mężczyzn. – Pośpieszcie się, musimy być szybsi niż burza.

– Ale jedziemy przecież prosto w kierunku, z którego nadciąga – zauważył jeden z *pakeha*.

– Tym prędzej powinniśmy jechać.

Wiremu przyprowadził Jackowi jego konia.

– Czy on sobie poradzi? – spytała Gloria młodego Maorysa, kiedy Jack wsiadał na konia.

Wiremu wzruszył ramionami.

– Musi. Wszystko jedno czy w dół, czy w górę, ale tu w żadnym wypadku nie może zostać. Na otwartej przestrzeni jesteśmy zgubieni. To nie jest zwykła burza, to orkan. Nadsięgnął tak nagle...

– Był ukryty za mgłami! – zawołała Gloria, przekrzykując wiatr. – Chodźcie, pojedą przodem. Słabsi jeźdźcy muszą się naprawdę mocno trzymać! Jedziemy szybko, a droga nie jest równa. Ale nie jest zbyt niebezpieczna, może z wyjątkiem jednego czy dwóch miejsc.

Było nieprawdopodobne, że dopiero co urodzone jagnięta dotrzymają im tempa, ale już nie mogli brać tego pod uwagę. Glorii krwawiło serce, kiedy pomyślała o beczących maleństwach, ale wiedziała, że w ten sposób uratują przynajmniej maciorki. Próbowała jechać galopem chociaż przez pierwszych kilka mil, bo tu teren nie był trudny. Ale mimo pośpiechu nie jechali tak szybko, jak na to liczyła. Konie, w tym także Ceredwen, płoszyły się na widok każdego drobiazgu. Nie chciały jechać wprost w ciemność. Instynkt nakazywał im uciekać przed burzą, a nie jechać prosto w nią. Podobnie reagowały owce i psy dwoiły się i troiły, aby utrzymać je w stadzie.

A pogoda stawała się coraz gorsza. Deszcz przeszedł najpierw w śnieg, a za chwilę w twarze jeźdźców uderzyły ostre kulki lodu. Gloria z niepokojem patrzyła na Jacka i na mniej wprawnych jeźdźców z wioski Maorysów. Ci ostatni jechali dzielnie, trzymając się końskich grzyw jak małpki. Za to Jack sprawiał wrażenie całkowicie wyczerpanego. Gloria zastanawiała się, czy ma się zatrzymać, aby odpocząć. Za chwilę jednak popędziła Ceredwen. Jack musiał wytrwać i jechać szybko. Nie było innej możliwości, aby dotrzeć do pieczar, zanim burza rozszała się naprawdę.

Jack jechał nisko pochylony nad szyją Anwyla, z twarzą owiniętą szalikiem. Płuca paliły go wprost przy każdym oddechu i w duchu dziękował Bogu za każdą skałę, za którą mógł znaleźć schronienie choćby przez chwilę. Cały czas miał wątpliwości, czy podjął słuszną decyzję wobec propozycji Glorii. Jeśli coś pójdzie nie tak, jak trzeba, jeśli burza dopadnie ich w drodze... Zginą wszyscy.

Gloria odczuwała to podobnie. Jej niepokój rósł, bo burza szalała coraz bardziej, a oni jechali coraz wolniej. Wydawało jej się, że jazda w dół trwała krócej, a jazda w przeciwnym kierunku ciągnie się godzinami. Płaszcz jeźdźców już dawno pokryte były śniegiem i lodem, ale Gloria nie miała wręcz czasu, aby marznąć. Gorączkowo starała się odnaleźć drogę, choć padający śnieg niemal zupełnie przesłaniał jej widok. Za to Kuri wydawała się doskonale wiedzieć, gdzie są i dokąd jadą. Dziewczyna uczepliła się linki, dzięki której mały mieszaniec Rihariego nie mógł popędzić przed siebie na oślep, a ona nie spuszczała z niego wzroku. Miała nadzieję, że pies nie poprowadzi ich ścieżką stanowiącą zagrożenie dla ich życia. Gdyby postanowił pobiec najkrótszą drogą do swojego pana, musiałby iść przez przełęcze, których konie i owce nie mogłyby pokonać.

Nagle mężczyźni za Glorią zaczęli coś krzyczeć. Huk wystrzału przebił się przez ryk wichury. Dostrzegli słaby błysk za wirującymi płatkami śniegu. Rihari odpalał race. Byli już blisko kryjówek i był doprawdy najwyższy czas, aby tam jak najszybciej dotarli. Konie przedzierały się ostatkiem sił przez szalejącą zamieć, a psy kryły się za zasłoną stada owiec, jeźdźcy jechali za zwierzętami nieomal na ślepo. Płatki śniegu wirowały w powietrzu zmieszane z drobkami lodu – te ostatnie były tak ostre, że wszyscy musieli owinąć sobie twarze. Mogli jedynie zdać się na konie i ich instynkt – zwierzęta miały już grzywy całkowicie pokryte lodem. Kiedy Anwyl potknął się i z trudem odzyskał równowagę, Jack był bliżej tego, aby nakazać wszystkim postój. Pomyślał, że może uda im się przetrwać, jeśli wszyscy ciasno przylgną do siebie. Czytał kiedyś o jakimś człowieku z Islandii, który przeżył burzę tylko dlatego, że zabił swojego konia, rozciął jego brzuch i ukrył się w trzewiach. Ale Jack wiedział, że nie byłby w stanie wydać takiego rozkazu. To już lepiej umrzeć.

Bóg znów naruszył swoje zasady. Jedno trzeba było Mu przyznać: miał stale nowe pomysły. Jack czepiał się swego wisielczego humoru i mocno trzymał cugle Anwyla. I nagle usłyszał głośne szczekanie Kuri, psa Rihariego.

– To tam! – Głos Glorii przerwał się przez ryk wichury. – To brama! Widzicie skały? Jedźmy wzdłuż nich, zaraz dotrzemy do wejścia!

Pies już wbiegł do środka. Gloria wypuściła z ręki linkę, a Kuri, szczekając, pobiegł do swego pana. Mężczyźni i zwierzęta wjeżdżali już przez skalną bramę.

Rihari oczywiście nie czekał przed skalnym kotłem. Kiedy deszcz i śnieg były już nie do wytrzymania, poprosił bogów o przebaczenie i poszedł do swojego konia i owiec. Jeśli weszło się odpowiednio głęboko do powstałych w wyniku erozji pieczar, można było w nich nawet rozpalic ognisko. Rihari z początku się wahał, ale pomyślał o Glorii, o przemarzniętych mężczyznach i o chorym Jacku. Jeśli duchy gniewają się na nich, to tak i tak będą zgubieni. Rihari pobierał chrust i suchą trawę, które wiatr zwał pod skały. A w końcu Maorys naruszył ostatnie *tapu*, zabijając starego barana, który zapewne i tak nie przeżyłby tej drogi. Jego mięso odganiał się na ognisku, kiedy wyczerpani mężczyźni wjechali do kotła. Jack bardziej spał z konia, niż z niego zsiadł, ale z wdzięcznością przyjął kubek gorącej herbaty.

– Pozostali muszą chwilę poczekać, nie ma tu zbyt wiele miejsca – usprawiedliwił się Rihari. Sakwy jego i Glorii zawierały tylko podstawowe wyposażenie.

Gloria mimo wiatru poczekała przed bramą, aż przeszła przez nią ostatnia owca. Dopiero wtedy wjechała do wnętrza i z trudem mogła uwierzyć, ile zwierząt znalazło tu schronienie. Oczywiście między skałami też wiał wiatr i śnieg padał prosto w twarz. Ale skały znacznie ograniczały prędkość wiatru, więc w porównaniu z tym, co mieli za sobą, Glorii to miejsce wydało się wręcz przytulne.

Jeszcze cieplej było w pieczarach, gdzie można się było prawie całkiem schronić przed wiatrem. Co prawda ostra woń starego nawozu owczego była dość męcząca – kilka zwierząt знаło więc to miejsce i także nie zwracały uwagi na *tapu*. Teraz instynkt kazał owcom wchodzić jak najdalej i trzeba było gwizdnąć na psy, aby powstrzymały owce – w innym wypadku po prostu zabrakłoby miejsca dla ludzi. Gloria odważyła się na krótki ogląd sytuacji, trzymając kubek z gorącą herbatą i grzejąc zesztywniałe ręce. Dla „szefowej”, jak ją z respektem nazywano, przeznaczono pierwszą porcję napoju.

– Bardzo źle? – spytał Jack. Wiremu rozsiadł jego konia, Jack siedział przy ognisku i opierał się o leżące na ziemi siodło.

Gloria zagryzła wargi.

– Nie straciliśmy tylu jagniąt, jak myślałam. Prawdopodobnie dlatego, że konie nie chciały jechać w tym kierunku i szły wolniej. Gdybyśmy jechali w dół, pędziłyby szybciej, a jagnięta nie wytrzymałyby tego tempa. Ale oczywiście to będzie bardzo zły rok. Mamy jak na razie najwyżej dwie trzecie zwierząt. Reszta jest jeszcze na zewnątrz. Zobaczymy, ile z nich przetrwa burzę. A ty jak się czujesz?

Płuca paliły Jacka wprost przy każdym oddechu, był też przemarznięty do kości, ale jego odpowiedź „dobrze” jednak była szczerą. W ciągu ostatniej godziny nie wierzył już, że uda im się przeżyć burzę w tych warunkach, także jego wcześniejsze polecenia były bardziej czymś w rodzaju aktu rozpacz niż wynikiem przeświadczenia o słuszności własnych poczynań. Zjazd w dół do chaty miał być jedynie próbą ucieczki przed najsilniejszym uderzeniem orkanu, które miało miejsce w górach. Jack wiedział, że ludzie mieliby wówczas jakąś niewielką szansę, by dotrzeć w porę do bezpieczniejszych miejsc. On sam i tak nie zamierzał jechać z nimi bez Glorii. Teraz czuł głęboką wdzięczność.

Wiremu przyniósł jemu i Glorii mięso i świeżo zaparzoną herbatę, wzmocnioną solidną porcją whisky. Mężczyźni siedzący przy ogniu pili whisky wprost z butelki i wznosili toasty za „szefową”, także za Rihariego. W miarę upływu czasu coraz częściej pili także za duchy.

– Powinni rozbić namioty, dopóki jeszcze są w stanie – stwierdziła Gloria. Siedziała przy Jacku, który leżał przy małym ognisku nieco z boku. – Da się tu wbić śledzie, czy też podłoże składa się tylko z kamienia?

Wiremu, trzymając w ręce kawałek mięsa, usiadł obok nich.

– Nie wolno ci tutaj jeść – powiedziała Gloria złośliwie.

Wiremu się uśmiechnął.

– Jem tam, gdzie chcę. I tak zamierzam opuścić szczep. Wracam do Dunedin...

– Będiesz dalej studiować? – spytała Gloria. – Mimo... – Dotknęła ręką swojej twarzy, jak gdyby wskazując niewidzialne *moko*, znak namalowany na skórze.

Wiremu skinął głową.

– Nie jestem u siebie ani tu, ani tam. Ale tam podoba mi się bardziej. Napiszę na nowo moją *pepeha*. – Spojrzał na nią twardo i dokończył: – Jestem Wiremu, a moim *maunga* jest uniwersytet w Dunedin. Moi przodkowie przybyli na Aotearoa łodzią „Uruao”, ja zaś przemierzam ten kraj autobusem. Na mojej skórze wypisana jest historia mojego ludu, ale swoją własną historię będę pisał sam.

Wiremu rozbił namiot Jacka i pomógł mu wejść do środka. Znów rozgrzał kamienie w ognisku, aby go ogrzać, a po kolejnych okładach ziołowych oddech Jacka nieco się uspokoił. Potem Wiremu towarzyszył Glorii podczas ostatniej inspekcji zwierząt, która bardzo się przeciągnęła. Trzy owce właśnie się kociły, jedna z nich nie przeżyła porodu.

Jack się obudził, kiedy Gloria wślizgnęła się do śpiwora obok niego. Tym razem to ona dygotała. Po bardzo wyczerpującym dniu i pomocy przy porodzie była na wpół przemarznięta. Jack najchętniej przytuliłby ją do siebie, ale się powstrzymał. Wiedział, jak reaguje na dotyk

mężczyzny.

– Nie znalazł się nikt, kto rozstawiłby twój namiot? – spytał.

Gloria skinęła głową.

– Oczywiście, że się znalazł – Wiremu. Ale on jest tam teraz razem z dwojgiem osieroconych jagniąt. Z pewnością będzie dobrym lekarzem, choć nie sądzę, że będzie się specjalizował w położnictwie. Kiedy maciorka zdechła, był zielony na twarzy.

– A więc kolejna owca stracona? – spytał Jack.

Gloria westchnęła.

– Stracimy jeszcze kilka. Ale na szczęście nie wszystkie. To bardzo odporna rasa.

Jack się uśmiechnął.

– Nie tylko wśród czworonogów występują odporne rasy – powiedział łagodnie.

Gloria zwinęła się w kłębek, odwracając się do niego plecami.

– Oglądałeś obrazki? – spytała cicho.

Jack skinął głową, ale pomyślał, że ona tego nie mogła widzieć.

– Tak. Ale ja wiedziałem o tym już wcześniej.

– Wiedziałeś...? Skąd mogłeś o tym wiedzieć? – Gloria się odwróciła. W mdłym świetle latarni Jack dostrzegł, że najpierw się zaczerwieniła, a potem śmiertelnie zbladła. – Czy to po mnie można poznać?

Jack potrząsnął głową. Nie mógł się powstrzymać, podniósł rękę i odgarnął jej włosy z czoła.

– Elaine – powiedział po chwili. – Elaine o tym wiedziała, a raczej domyśliła się tego. Oczywiście nie zna szczegółów. Ale powiedziała, że na tym świecie dziewczyna nie mogłaby poradzić sobie inaczej.

– Ona sama się nie... – Gloria szukała właściwych słów. – Sprzedała... – wyszeptała w końcu.

Jack uniósł brwi.

– O ile dobrze zrozumiałem, swoją cnotę zawdzięcza tylko temu, że miejscowa burdelmama potrzebowała akurat pianistki do baru, a nie kolejnej dziewczyny. Gdybyś ty miała wybór, to też wolałabyś grać na pianinie.

– Chyba nikt nie chciałby tego słuchać – wyszeptała Gloria w nagłym przypływie wisielczego humoru.

Jack się roześmiał, a potem odważył się położyć rękę na jej ramieniu. Gloria nie protestowała.

– Babcia Gwyn? – spytała, wstrzymując oddech.

Jack pogłaskał ją uspokajająco. Czuł, mimo grubego swetra, jak bardzo dziewczyna była wychudzona. Był więc jeszcze ktoś, kto powinien więcej jeść.

– Moja matka nie musi wszystkiego wiedzieć. Ona wierzy w historię o chłopcu okrętowym. Tak jest dla niej lepiej.

– Znienawidziłaby mnie – wyszeptała Gloria.

Jack potrząsnął głową.

– Nie. Nigdy niczego tak nie pragnęła, jak tego, abyś wróciła. A w jaki sposób to zrobiłaś... Może troska w końcu by ją zabiła, ale raczej znienawidziłaby tych facetów, którzy ci to zrobili. Także Kurę-maró-tini!

– Wstydzę się – wyznała Gloria.

– Ja też się wstydzę – odpowiedział Jack. – Ale mam po temu o wiele więcej powodów. Okupowałem obcą plażę, oszpeciłem ją, budując tam obrzydliwe okopy, a potem zabijałem prawowitych właścicieli tego kraju szpadlem. To coś o wiele gorszego.

– Miałeś rozkazy.

– Ty też – powiedział. – Twój rodzice chcieli, abyś została w Ameryce. Wbrew twojej woli. Miałeś prawo powiedzieć: nie. Ty możesz jeszcze popatrzeć w lustro, Glorio. Ja nie.

– Ale przecież Turcy strzelali do ciebie – odrzekła Gloria. – Nie miałeś wyboru.

Jack wzruszył ramionami.

– Mogłem zostać na Kiward Station i liczyć owce.

– Mogłam zostać w San Francisco i prasować sukienki mojej matki.

Jack się uśmiechnął.

– Musisz teraz spać, Glorio. Czy mogę... czy mogę cię objąć?

Tej nocy Gloria oparła głowę o ramię Jacka. Kiedy się obudziła, pocałował ją.

Timothy Lambert nienawidził podróży pociągiem. Nawet przedziały pierwszej klasy były tak ciasne, że nie był w stanie usiąść wygodnie, także wtedy, kiedy zdjął szyny z nogi. Poza tym tory kolejowe między Greymouth a Christchurch wiodły wprawdzie przez przepiękne okolice, ale w wagonach jadących na przemian przez góry i doliny mocno trzęsło. Dla większości pasażerów stanowiło to swego rodzaju rozrywkę, ale w przypadku Tima powodowało ostre bóle jego źle zrosniętego biodra. W dodatku rozkład jazdy zmuszał go do wielogodzinnego siedzenia na twardej ławce. Nie było możliwości robienia częstych przerw, które czyniły znośnymi długie jazdy bryczką czy samochodem.

Ale George Greenwood w tym wypadku nie ustąpił. Z jakichś powodów spotkanie pracowników uniwersytetu w Wellington, którzy mieli zaprezentować przełomowe ponoć nowości w technologii górniczej, musiało się odbyć koniecznie w Christchurch. I linia kolejowa stanowiła po prostu najbardziej praktyczne i oszczędne czasowo rozwiązanie. Nie było porównywalnych dróg prowadzących przez góry. Zanim położono tory kolejowe, przejazd między Christchurch a zachodnim wybrzeżem zajmował kilka dni.

Tim po raz dziesiąty w czasie ostatnich kilku minut przesunął ciężar ciała i spojrzał na swoją żonę. Elaine nie mogła sobie odmówić przyjemności towarzyszenia mu. A jeśli już mieli być w Christchurch, argumentowała, to należało też odwiedzić rodzinę na farmie Kiward Station. Czyli czekała ich jeszcze jazda samochodem albo bryczką. Tim nawet nie chciał o tym myśleć.

Ale mimo wszystko widok Elaine prawie pozwolił mu zapomnieć o bólu. Bo tego dnia jego żona wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Tim dotychczas nie zauważył, że wobec perspektywy odwiedzin u jej babki niemal wstępowało w nią nowe życie. I już na początku podróży jej oczy zaczynały błyszczeć, a twarz była zarumieniona z radości. W dodatku Elaine zrobiła wszystko, aby poprawić swój wygląd; także jej rude kręcone włosy były upięte bardziej wymyślnie niż zwykle. Zielona suknia, zgodnie z modą nieco krótsza, znakomicie podkreślała jej ciągle szczupłą i zgrabną figurę. Tim z przyjemnością popatrzył na smukłe łydki żony.

Elaine zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się, po czym podciągnęła trochę suknię, jak gdyby chcąc go sprowokować. Oczywiście upewniła się przedtem, że Roly, siedzący w drugim końcu przedziału, twardo spał.

Ten krótki flirt nieco ożywił Tima, a Elaine odetchnęła. Z troską obserwowała, jak jej mąż rozpaczliwie szukał jakiejś w miarę wygodnej pozycji, która nie powodowałaby takich bólów biodra. Choć Elaine aż tak bardzo nie martwiła się o jego biodro. Bóle ustępowały zawsze po kilku godzinach, a Tim mógł im zapobiec, sięgając po opium, co powinien był robić zawsze w wyjątkowych wypadkach. Jeśli jednak o to chodziło, Tim wykazywał żelazną konsekwencję: nie brał morfiny tak długo, jak długo mógł wytrzymać. Miał przed oczami obraz swojej matki, która przy najłżejszych dolegliwościach szukała buteleczki z opium. Tim nie chciał się zamienić w płaczący, uzależniony od narkotyku wrak człowieka. Choć co prawda wyładowywał swój zły humor na otoczeniu. A to, zdaniem Elaine, było zupełnie niepotrzebne.

Cieszyła się, kiedy pociąg dotarł do Arthur's Pass, gdzie pasażerowie mogli wysiąść i rozprostować nogi. Tim był w stanie zrobić to tylko z pomocą Roly'ego – był to wyraźny znak, że czuł się naprawdę źle. Ale możliwość zajęcia innej pozycji i wykonania kilku kroków wydawała się łagodzić cierpienia Tima. Elaine się uśmiechnęła, kiedy objął ją ramieniem, stojąc obok i podziwiając górską panoramę. Niebo było akurat bezchmurne, choć w dali, za stromo wznoszącymi się zboczami gór kłębiły się i rosły czarne chmury. Tworzyły one dość niesamowite, dziwnie świecące tło dla pokrytych śniegiem wierzchołków. Chmury stanowiły też filtr dla słonecznego światła, co sprawiło, że doliny przybierały dość osobliwą barwę, od niebieskawej do fioletowej. Niemal czuło się zawartą w powietrzu elektryczność. Była to cisza przed burzą.

Elaine przewidywała, że w rodzinie także nastąpi burza, i to nie mniej gwałtowna – nie tylko Lambertowie i Roly rozprostowywali nogi, spacerując po peronie. Z jednego z wagonów wysiadł właśnie Caleb Biller, a dostrzegłszy ich, szedł w tę stronę, aby się przywitać i wymienić parę uprzejmości. Dla Elaine widok jego dryblasowatej postaci nie był żadnym zaskoczeniem. Ale czy nie byłoby lepiej, gdyby pozostał w swoim przedziale? Choć taka myśl była właściwie dziecinna. Tim nie był przecież skłócony z Calebem. Mężczyźni wymienili kilka uprzejmych uwag na temat pogody – po czym oczywiście wsiedli razem do wagonu. Tim nawet nie ukrywał swojego niezadowolenia, ale Caleb nie dostrzegał w jego postawie sygnałów nadchodzącej burzy. Wyrzucić Caleba z przedziału – to byłoby bardzo nieuprzejme. Caleb zaczął od nieśmiałego stwierdzenia, że chciał się spotkać w Christchurch z innymi naukowcami. A potem szczegółowo opowiedział o swoich ostatnich badaniach, w których chodziło o studia porównawcze między sposobami przedstawienia bogów u Maorysów a słynnymi figurami z Wyspy Wielkanocnej.

– Znamienne jest, że nasi Maorysi raczej ustawiają figury we wnętrzu *whareniui*, co odróżnia ich od innych polinezyjskich szczepów, które...

– Prawdopodobnie tam tak nie pada – wyraziła swoje przypuszczenie Elaine. Caleb popatrzył na nią skonsternowany. Wydawało się, że na tak oczywistą myśl nikt z naukowców jeszcze nie wpadł.

Tim w końcu z rezygnacją poddał się losowi i zaoferował Calebowi miejsce w przedziale. Elaine obserwowała ubawiona, jak starał się, aby spotkanie wypadło jak najlepiej, i jak próbował wypytać Caleba o kopalnię Billerów. Szybko jednak tego zaprzestał – Caleb po prostu nic nie wiedział. Kopalnia była mu całkowicie obojętna, a jego geologiczne zainteresowania ograniczały się do sposobu pozyskiwania jadeitu *poenami*, jak też muszli *paui*, z których wykonywano czy boskiej statuy.

– Wówczas taka statua sprawia niekiedy wrażenie groźnej, czy zauważył pan? Wydaje się, że to ona właśnie patrzy na kogoś, kto wchodzi do domu, choć są to tylko refleksy światła w kamieniu, które...

Tim westchnął i znów przesunął środek ciężkości ciała. Gdyby Caleba nie było w przedziale, prawdopodobnie zrezygnowałby ze swojej dumy i położył się na ławce, aby przynajmniej móc wyciągnąć nogi. Ale w tej sytuacji oczywiście nie wchodziło to w grę.

Elaine spróbowała poruszyć jakiś inny temat, przy czym już sama kwestia „rodziny” była oczywiście materiałem zapalnym. Caleb bez specjalnego entuzjazmu opowiedział, że Sam, jego drugi syn, pracował już kopalni.

– Nie chciał się uczyć w college'u – stwierdził Caleb z żalem. – Nie chciał nawet studiować ekonomii, choć Florence też uważała, że byłoby to sensowne. Ale on sądzi, że może przeczytać sam parę książek i wykorzystać tę wiedzę natychmiast. On ma... bardzo praktyczne zdolności.

– To ostatnie zabrzmiało tak, jak gdyby chodziło o jakiś rodzaj chronicznego schorzenia.

Elaine opowiedziała, że najstarszy z jej synów interesuje się prawem, średni zaś jest raczej uzdolniony technicznie. Bobby chodził jeszcze do szkoły.

– Ale wydaje mi się, że bardzo lubi liczyć. Może zostanie kupcem. Zobaczymy.

– Pańskie dzieci mają szczęście, Tim. – Caleb uśmiechnął się melancholijnie. – Mogą robić, co chcą, poza tym w waszej rodzinie nie ma żadnej kopalni do odziedziczenia...

Tim chciał ostro zareagować na taką uwagę, ale Elaine uspokajająco położyła mu rękę na ramieniu. Caleb nie miał przecież nic złego na myśli. Prawdopodobnie nawet sobie nie wyobrażał, że Tim przeżył coś bardzo podobnego i odczuwał to niemal dokładnie tak samo, kiedy

ojciec sprzedał jego dziedzictwo. Później co prawda wszystko obróciło się na dobre i Tim jako prowadzący zakład odnosił same sukcesy, ale strata rodzinnej firmy ciągle była dla niego czymś na kształt ciernia w sercu. Teraz Elaine spokojnie wyjaśniła Calebowi to, o czym od dawna wiedziała Florence: Lambertowie wykorzystali olbrzymie zyski kopalni z pierwszych lat wojny do tego, aby odkupić część udziałów. I teraz było już co dziedziczyć. Lambertowie będą mieli sporo do powiedzenia na temat następcy Tima.

Tim uśmiechnął się z dumą, ale dla Caleba bogactwo oznaczało raczej obciążenie następnych generacji. Lambertowie pozwolili mu więc kontynuować zaczęte tematy i nudzili się śmiertelnie, a Caleb opowiadał o kościach, z których rzeźbiono maoryskie instrumenty muzyczne, oraz o tym, jaki wpływ na dźwięk *pahu pounamu* miało to, że wykonywano go tradycyjnie z kości wieloryba, zamiast z kości wołu.

– Kura wykorzystwała ten instrument w jednej ze swoich podróży koncertowych, ale nie była zadowolona...

– A co słyszała u Kury? – spytała Elaine, aby skierować jego uwagę na coś innego, zanim na dobre zagłębi się w temacie „kości”. Caleb ciągle pracował przy aranżacji muzyki do programów koncertowych Kury-marō-tini.

– Och, u niej wszystko dobrze! Planują wrócić do Londynu. William wprawdzie kocha Nowy Jork, ale Kurę chyba ciągnie do Anglii. Czar Europy prawdopodobnie... – Caleb uśmiechnął się wyrozumiale. – A w nowym programie próbujemy już wyjść poza połączenie klasyki, względnie folku i folkloru maoryskiego i zająć się nowymi gatunkami muzycznymi. Także tymi z Nowego Świata. Na Kurze duże wrażenie zrobiły negro spiritual i jazzowe synkopy...

Elaine zazdrościła Roly'emu, który przepisał następną część podróży pociągiem. Ale zapomniała o Calebie, kiedy pociąg wtoczył się na peron dworca w Christchurch. Czekał na nich George Greenwood, Elaine dostrzegła też Elizabeth huśtającą w ramionach niemowlę.

Tim zmarszczył czoło, kiedy jego żona podskoczyła tak gwałtownie, że aż przewróciła jego kule. Podniósł je Roly i pomógł wyjść Timowi. Caleb wydawał się tak samo zainteresowany jak Elaine. Tak ożywiony bywał w zasadzie tylko wtedy, kiedy w pobliżu stał fortepian albo kiedy tańczył dla niego jakiś Maorys.

– Kto z potomstwa Greenwoodów ma takie małe dzieci? – spytał Tim niechętnie, kiedy z pomocą Roly'ego wydostał się wreszcie z ciasnego przedziału. Ale Roly tylko wzruszył ramionami. Wprawdzie coś do niego dotarło, ale raczej nie prowadził zapisków na temat błogosławieństwa w dzieciach znajomych jego pana. Nawet dyskutował ze swoją żoną, czy powinien uchylić nieco rąbka tajemnicy przed Timem. Ale Mary zaprotestowała bardzo energicznie.

– Ma być przecież pięknie!

Mówiąc to, trzymała w ręku książkę *Pani na Kenway Station*. Roly nigdy przedtem nie widział, aby Mary cokolwiek czytała. Ale teraz wylewała krokodyły łzy nad losem bohaterki.

Elaine zwinnie wyskoczyła z wagonu. Nowa moda, nakazująca skrócić suknie, co rusz okazywała się bardzo praktyczna. Przywitała się z George'em w kilku słowach i odwróciła się do Elizabeth i do niemowlęcia. Rudowłose mały chłopiec.

Tim nie za bardzo wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Elaine była dobrą matką, ale raczej nie okazywała dotychczas zbyt wielkiego zainteresowania obcym dzieciom. Blizsze były jej raczej szczenięta i żrebaki.

– Witaj, George! – Tim podał rękę Greenwoodowi. – Macie jakiegoś nowego potomka? Elaine wprost za nim szaleje... – Tim przyjrzał się dziecku i stwierdził: – Jest do niej wręcz podobne. To Stephena i Jenny?

Zięć George'a był bratem Elaine.

George wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Powiedziałbym, że jest raczej podobny do ciebie...

Tim zmarszczył czoło. Rzeczywiście. Mały chłopczyk miał nieco ostre rysy twarzy, jak on sam, i dołeczki w policzkach. Choć jego buzia była trochę pociągła...

– W każdym razie nie ma w sobie nic z Florence. – Był to Caleb Biller, który sprawiał wrażenie wyraźnie zadowolonego. Kielkujące zaledwie przypuszczenie Tima zamieniło się w pewność.

– George – powiedział surowo. – Przyznaj się. Nie ma żadnych naukowców z Wellington. To jest spisek. A to jest...

– Galahad – zagruchała Elizabeth. – Powiedz dziadkowi dzień dobry, Gal!

Dziecko patrzyło zaciekawione na wszystkich po kolei. A potem wykrzywiło buzię w radosnym grymasie, patrząc na Roly'ego.

Tim nagle zaczął mieć trudności z utrzymaniem równowagi.

– Owszem, jest tu jeden naukowiec z Wellington – zaprzeczył George. – Wiesz przecież, że nigdy bym cię nie okłamał. I nawet zna się on trochę na górnictwie... jeśli wliczyć do tego eksploatację *pounamu* koło Te Tai-poutini – o jego historii oraz jej echem w maoryskich mitach naukowiec ów wygłosił dziś rano przy śniadaniu długi i bardzo wzniosły wykład.

Elaine zdusiła chichot, co tak bardzo spodobało się Galahadowi, że aż zagulgotał. Elaine wzięła dziecko z rąk Elizabeth.

– O tak, jest nawet pewna *haka*... – Wszystko wskazywało na to, że Caleb ma wielką ochotę uzupełnić wykład syna, ale jednak przypomniał sobie o obowiązkach dziadka. Caleb zawsze był dżentelmenem w każdym calu. Teraz z poważną miną wyciągnął z torby miniaturowe *putarara* i pokazał instrument dziecku.

– Robi się je z muszli – wyjaśniał z powagą ciekawie patrzącemu chłopczykowi. – Głównie z tego rodzaju muszli, który jest bardzo rozpowszechniony na plażach wschodniego wybrzeża. Im większa muszla, tym głębszy ton. Najprędzej instrument ten można porównać do europejskiej trąbki, która...

– Caleb! – westchnęła Elaine. – Dmuchnij w to po prostu!

Wszyscy dorośli zatkali sobie uszy, ale dzieciak aż zapiszczał zachwycony, kiedy Caleb wydobyl z instrumentu przenikliwy dźwięk.

Tim nagle poczuł się głupio. Też powinien był dać dziecku jakiś prezent. Coś, co nadawałoby się dla chłopca! I dlaczego właściwie Caleb o wszystkim wiedział?

Roly trącił go i podał mu drewnianą lokomotywę-zabawkę.

– Ty...? – wyszeptał Tim, czując ogromną ochotę, żeby mu udzielić ostrej reprimendy, ale Roly wskazał palcem Elaine, którą pochłonęła zabawa z dzieckiem. Tim spróbował być na nią zły, ale nie był w stanie – wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Galahad właśnie odkrył lokomotywę, sięgnął po nią i wydał okrzyk zachwyty.

– Powiedział: „burd...” – cieszyła się Elizabeth.

Elaine rzuciła Timowi przeproszające spojrzenie, ale Tim nie miał zamiaru dyskutować teraz na temat tajemnic żony ani też na temat znaczenia dźwięków wydawanych przez dziecko.

– No dobrze – zamruczał, dodając z udawaną srogością: – A gdzie jest Lilian? I jak można nazwać dziecko „Galahad”?

Lilian i Elaine wprost nie mogły się od siebie oderwać, podobnie jak Caleb i Ben. Matka i córka rozprawiły w kółko o szczegółach życia na Wyspie Północnej, ojciec zaś i syn z powagą dyskutowali o obrazowych przedstawieniach mitów w sztuce maoryskiej. I niemal wzięły się przy tym za łby, nie mogąc się zgodzić co do kwestii, czy przedstawienie rozdzielenia Papa i Rangi wyrzeźbione w jadeicie i drewnie można określić jako „statyczne”, czy też nie. Tim, ciągle jeszcze nieco skrępowany, rozmawiał z George'em i Elizabeth, popijając małymi łykami whisky jako lekarstwo na swoje bóle, a w końcu udał się do łóżka z ostatnią powieścią Lilian – *Piękność z Westport*. Pół godziny później Roly przyniósł mu butelkę z resztą whisky.

– Miss Lainie przyjdzie troszkę później. Odprowadza Lilian i pomaga jej położyć do łóżka Gila... Galo... no, dziecko.

Greenwoodowie oddali do dyspozycji Lambertów swoje pokoje gościnne, Billerowie zaś mieszkali w pobliskim hotelu.

– Ale Miss Lainie mówi, żeby wziął pan to wszystko na wesoło.

Tim rzucił mu udręczone spojrzenie.

– Idź spać, Roly, jutro mamy ciężki dzień. Będziesz musiał mi pomóc przełożyć przez kolano moją córkę!

– Chętnie bym was wszystkich tutaj zatrzymał – stwierdził George Greenwood przy śniadaniu, do którego zasiedli wszyscy obecni w jego domu – ale będzie lepiej, jeśli pojedziecie jeszcze dzisiaj na Kiward Station. Martwię się o Miss Gwyn, w czasie rozmowy telefonicznej była zrozpaczona i pełna niepokoju. O ile ją dobrze rozumiałem, jest zupełnie sama na farmie, nie ma tam nikogo oprócz maoryskiego chłopca, który pomaga jej przy zwierzętach. Jack i Gloria są na płaskowyżu i próbują spędzić z powrotem owce. W czasie takiej burzy! Miss Gwyn się zamartwia – i nie bezpodstawnie. Zadzwoniłem do stacji meteorologicznej, oni przewidują bardzo silne załamanie pogody.

Tim i Elaine przytaknęli. Spodziewali się tego już wtedy, kiedy widzieli ciemne chmury i osobliwe światło z Arthur's Pass. Ale dlaczego owce z Kiward Station znalazły się tak wcześnie w górach?

Lilian nic nie mówiła. Ukryła twarz za pasmami swoich włosów, które jak zwykle wymknęły się z bardzo „dorosłego” upięcia. Tim przyniósł z sobą jej ostatnią powieść i z wiele mówiącym spojrzeniem położył koło swego talerza. Lilian na ten widok zaczerwieniła się jak pomidor. Wprawdzie nie życzyła sobie aż katastrofy, aby odwrócić uwagę wszystkich od swego dzieła, ale właściwie wcale nie chciała, aby tego dzieła nikt nie zauważył.

– Porozmawiamy o tym w samochodzie – powiedział Tim surowo. – A ty się zastanów, o czym myślałaś wtedy, kiedy to pisałaś! George, możesz nam pożyczyć jakieś auto albo pomóc w wynajęciu? Duże, jeśli to możliwe. Potrzebuję trochę miejsca dla moich nóg.

Po długiej jeździe pociągiem bolały go wszystkie kości i nie miałyby nic przeciwko temu, aby położyć się do łóżka z kolejnym tandetnym dziełem Lilian. Oczywiście była to literatura najgorszego rodzaju i w ogóle skandal, bo dotyczyła życia rodzinnego Lambertów. Ale jak dotychczas nic jeszcze tak skutecznie nie odwróciło jego uwagi od bolących kości.

George skinął głową.

– Proszę pójść ze mną, Roly, mamy w firmie różne pojazdy...

Lilian natychmiast dostrzegła swoją szansę.

– Nie! Ja pojadę! Proszę, wujku, zawsze byłam szoferem u mojego *daddy*!

Elaine przewróciła oczami.

– Zachowuj się choć od czasu do czasu jak dama, Lily, i nie zabieraj Roly'emu pracy!

Lilian w odpowiedzi potrząsnęła głową, uwalniając przy tym z upięcia jeszcze więcej swoich loków.

– Ale ja jeżdżę o wiele szybciej! – wyjaśniła. – Roly nie będzie się czuł zbędny, prawda?

Spojrzała na Roly'ego prosząco, aby zgodnie z oczekiwaniami natychmiast owinąć go sobie wokół palca. Ta metoda była równie skuteczna jak w wypadku jej ojca.

Roly nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu, Miss Lily. No i mogę przez ten czas popilnować dziecka. Jak ono się nazywa?

Lilian skupiła się na prowadzeniu samochodu, w którym jednak nie doszło do jakichś poważniejszych rozmów. Jedynie Ben wygłosił szczegółowy wykład w celu usprawiedliwienia pisarskiej działalności swojej małżonki. Udało mu się to, co prawda, w ograniczonym zakresie. Najpierw porównał jej książki z romantycznymi historiami typu *Jane Eyre* i doszedł jednak do wniosku, że dzieła Lily – z powodu braku bliższego odniesienia do rzeczywistości – mieszczą się raczej w granicach fantastyki. Jako przykłady wymienił takie pozycje jak *Frankenstein* i *Dracula*. Tim bezlitośnie zwrócił mu uwagę, że Lilian w celach rynkowych po prostu wykorzystała historię rodzinną. Ale bądź co bądź na szczęście ani nie zamieniała swoich bohaterów w wampiry, ani też nie musieli oni grzebać po cmentarzach. Lilian uśmiechnęła się do ojca z wdzięcznością, co sprawiło, że samochód lekko zarzucił.

Ben w odpowiedzi wygłosił kolejny wykład na temat motywu wampiryzmu w przekazach ustnych Polinezji. Elaine zajmowała się Galahadem, który wydawał się już przyzwyczajony do stylu jazdy swojej matki i z zadowoleniem gulgotał coś, bawiąc się lokomotywą. Roly skulił się w kącie siedzenia – odwagi dodawał mu fakt, że przecież przeżył Gallipoli.

Dotarli na Kiward Station w rekordowym czasie. Lilian była trochę urażona, że nikt nie potrafił tego docenić. Pomyślała jednak, że babcia Gwyn z pewnością będzie z niej dumna.

Ale Gwyneira nie miała nastroju do zachwycania się rekordami Lilian. Nawet nie za bardzo zwróciła uwagę na swojego praprawnuka Galahada. Pierwszy raz w życiu Gwyneira McKenzie była zupełnie bezradna i u kresu swoich sił.

– Oni zginą tam w górach – powtarzała bez przerwy. – I to wszystko moja wina.

Elaine zadbała najpierw o to, aby Kiri i Moana zrobiły dla wszystkich herbatę. Obie Maoryski zupełnie straciły głowy, podobnie jak ich pani, i opowiadały w kółko coś o kłótni między Maramą a wodzem Tongą i Rongo Rongo. Takie wydarzenie dosłownie wstrząsnęło posadami ich świata – podobnie jak burza światem Gwyneiry.

– Marama mówić, jak umrzeć Jack i Glory, to wina Tongi, a Rongo mówić, duchy gniewne...

To ostatnie wydawało się bardzo niepokoić Kiri, co Ben wyjaśnił w ten sposób, że *mana* wodza ma wielkie znaczenie i wpływa na równowagę maoryskiego szczepu we wszystkich sferach. A przynajmniej było tak zdaniem samego zainteresowanego.

Lily się uśmiechnęła i dołała sobie herbaty.

– Jak na razie jeszcze nikt nie zginął – zauważył spokojnie Tim. – A o ile dobrze widziałem, wjeżdżając na dziedziniec, pierwsze owce już wróciły, prawda?

Gwyneira przytaknęła. Rzeczywiście, mały Tane bezpiecznie dotarł do domu ze stadem młodych tryków. Choć co prawda zwierzęta już zdążyły znów się wymknąć. Ogrodzenie otaczające padok, na który zapędził je Tane, było uszkodzone.

– Jak mi ktoś powie, gdzie są jakieś narzędzia, to mógłbym to naprawić. – Roly koniecznie chciał się na coś przydać.

– Przyczyną jest przede wszystkim brak paszy – stwierdziła Gwyneira. – Na padokach nic już nie rośnie, a jak wypędzimy je na ostatnie miejsca, gdzie jeszcze jest trawa...

Tim i Elaine słuchali jej ze zmarszczonymi czołami i próbowali pojąć coś z chaotycznej opowieści, w której niemalą rolę grały *tapu* i duchy.

– Chwileczkę, czy dobrze zrozumiałem? – przerwał jej w końcu Tim. – Ten Krąg Kamiennych Wojowników należy przecież do farmy, prawda, babciu? Ale za możliwość pogrzebania tam dziadka Jamesa wódz domaga się wyłącznego prawa korzystania z obszarów, które do niego nie należą, czy tak?

– Oni tego nie wykorzystują... – wyszeptwała Gwyneira.

– A o co chodzi z owym *mana*?

– *Mana*, mówiąc w uproszczeniu, oznacza wpływ i poważanie, jakie mężczyzna posiada w kręgu swojego szczepu. Ale ma to także aspekty spirytualne. Rośnie ono wtedy, kiedy... – Ben sposobił się do kolejnego wykładu.

– ... kiedy między innymi wywiera się nacisk na stare kobiety – dokończył Tim. Był w dość kiepskim humorze; jego bóle jeszcze się nasiliły na skutek jazdy samochodem po nierównych drogach. Najchętniej położyłby się, zamiast rozwiązywać problemy rodzinne.

– Poważnie, o to przecież chodzi. Ten człowiek chciałby zrobić wrażenie na swoich współplemieńcach poprzez kontrolę wszystkich *pakeha* i przez swoje wpływy w kwestii wykorzystania ziemi oraz rynku pracy. Musisz to ukrócić, babciu Gwyn! Wypędzisz teraz te owce tam, gdzie rośnie trawa, a jeśli on będzie się z tego powodu wściekał, to podważymy nieco jego *mana*. Byłoby interesujące zobaczyć, jak to podziała na świat duchów, kiedy pogroźysz, że przepędzisz jego ludzi ze swojej ziemi. Powiedz mu, że zrównasz z ziemią wioskę nad jeziorem.

Gwyneira spojrzała na niego z przerażeniem.

– Ci ludzie żyją tam od stuleci!

Tim wzruszył ramionami.

– A w Greymouth od stuleci pod ziemią leży węgiel, który teraz wydobywam. Jak na razie żaden duch się nie zdenerwował z tego powodu.

– Nie przesadzaj od razu! – zgnęła go Elaine. – A poza tym owce są ostrzyżone, a na dworze jest burza i pada deszcz. Jak je wypędzimy, to właściwie równie dobrze można było je zostawić na płaskowyżu. Czy już w ogóle nie macie siana, babciu Gwyn?

– Tylko resztki dla koni. Jack powiedział, żebym zamówiła paszę. Ale dostawca siedzi teraz w Christchurch i nie chce wysłać transportu...

– Co takiego? Gdzie jest telefon? – Tim wreszcie znalazł właściwą ofiarę dla swojego humoru.

Po kilku minutach wrócił wściekły.

– Ten typek oświadczył, że nie może wysłać paszy przed następnym tygodniem! Ponoć z powodu pogody! Jak gdyby tu nigdy nie padało.

Powiedziałem mu, że jutro wyślemy samochód i sami przywieziemy paszę. Znajdź się jakiś człowiek, który się tym zajmie?

Gwyneira potrząsnęła głową.

– W tej chwili nie mamy nikogo oprócz Tane. A jego w żadnym wypadku nie możemy wysłać samego do Christchurch.

– To ja pojadę! – oświadczyła Lilian. – Macie coś takiego jak wóz z plandeką, babciu Gwyn? Musimy przecież przykryć paszę. A jakie konie mam zaprzęgnąć? Samochód byłby oczywiście lepszy...

Elaine wzniosła oczy do nieba.

– Wolałabym widzieć cię trzymającą cugle – stwierdziła. – Wówczas mogę przynajmniej zdać się na rozum koni...

– I zabierz z sobą swojego Bena! – rozkazał Tim. – Nawet jeśli ładowanie worków nie całkiem mieści się w zakresie jego zainteresowań i profesji.

– Tu się pan myli, sir! – Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu, podciągnął rękaw koszuli i pokazał mu swoje bicepsy. – Zanim Lilian zaczęła pisać te... ee... książki, pracowałem nocami w porcie.

Tim po raz pierwszy poczuł uznanie dla swojego zięcia. Dotychczas nie przypisywał mu umiejętności utrzymania rodziny pracą własnych rąk. A z drugiej strony Lilian kiedyś opowiadała coś o jego karierze sportowej. O ile Tim sobie przypominał, Ben nie tylko brał udział w zawodach wioślarskich, ale także je wygrywał. Tim zaczynał stopniowo czuć się coraz lepiej. Mimo zewnętrznego podobieństwa i tych samych, mocno denerwujących otoczenie zainteresowań jedno było pewne: Ben to nie był Caleb. Jego zięć był mężczyzną.

– Jeśli on chce i jeśli babcia nie ma nic przeciwko temu, to może w drodze powrotnej przywieźć tu swego ojca – mruknął Tim pojednawczo. – Zupełnie zapomnieliśmy o nim przy tak pośpiesznym wyjeździe z Christchurch. Kiedy siedzi tam sam, to nic nie ma ze swojego wnuka...

Gwyneira wreszcie się nieco ożywiła, prowadząc Lilian i Bena do stajni i pokazując im uprzęż dla koni oraz wóz, do którego należało zaprząć coby. Elaine poszła z nimi i natychmiast zajęła się organizacją pracy w stajni.

– Tu trzeba koniecznie posprzątać. To może zrobić Tane, ale czy potrzebujesz go do pomocy przy naprawie płotów, Roly? Ach, wiesz co? Zostaw ten płot. Zagonimy owce do jednej z szop dla postrzygaczy. A pozostałe szopy też trzeba przygotować, Jack i Gloria przyprowadzą jeszcze więcej owiec.

Jack i Gloria. Wobec palącego problemu paszy dla zwierząt wszyscy zapomnieli o ludziach znajdujących się teraz w górach. A pogoda była naprawdę niepokojąca. Elaine pożyczyła od Gwyneiry staroświecką suknię do jazdy konnej i woskowany płaszcz, ale kiedy z pomocą Tane zagoniła barany do szopy, była zupełnie przemoczona. W górach ten lodowaty deszcz zamieniał się w śnieg. A przecież były to dopiero pierwsze wiadomości orkanu, jeśli wierzyć meteorologom z Christchurch.

– Czy to coś w ogóle da, jeśli ktoś do nich tam pojedzie? Jak myślisz? – spytała Tima, siedząc przed kominkiem i usiłując się rozgrzać. Tim w końcu się poddał i leżał na sofie przykryty kocem. Przedtem jednak kilkakrotnie jeszcze telefonował do George'a. Greenwood Enterprises zaoferowała pomoc w postaci kolejnego samochodu dostawczego, który miał tu dotrzeć jeszcze tej nocy. Kierowcy mieli też zostać na farmie i pomóc przy karmieniu zwierząt oraz najpilniejszych pracach.

– Oni wprawdzie jeszcze nigdy nie widzieli owcy, ale z pewnością będą umieli wywijać widłami. A w razie konieczności sam im pokażę, jak się reperuje płot. To tutaj – Tim wskazał z irytacją na swoje nogi – powinno się jutro sprawować lepiej.

Elaine miała wątpliwości – w czasie deszczu i burzy Tim zawsze czuł się gorzej. Ale nie podjęła tego tematu. Bardziej martwiła się o ludzi w górach.

– Nie zdołamy sprowadzić owiec na dół przed burzą. Ale może ktoś mógłby ich ostrzec?

Gwyneira wzruszyła ramionami.

– Nikt nie jest w stanie z tym zdążyć – stwierdziła. – To dwa dni drogi stąd. No, bardzo szybki koń i dobry jeździec może zajechałby tam w jeden dzień...

– To niemożliwe, tam na górze już pada śnieg – zauważył Tim. – Gdzie taki posłaniec miałby ich szukać? Oni mogą być wszędzie...

– Wiem, gdzie oni są. – Gwyneira wykonywała takie ruchy, jak gdyby zamierzała się tam wybrać.

– Zostań tam, gdzie jesteś, babciu Gwyn! – rozkazała Elaine. – I niech ci nie przychodzą do głowy żadne głupie pomysły! Wygląda na to, że musimy po prostu poczekać. I zdać się na doświadczenie Jacka w górach, przy takiej pogodzie.

Gwyneira westchnęła.

– Na Jacka ostatnio nie za bardzo można się zdać.

Tu Roly O'Brien, który także grzał się przy kominku po całym dniu pracy w stajni, spojrział na nią gniewnie.

– Na Mr Jacka zawsze można się zdać! On jest chory, ale jeśli będzie trzeba, to przyprowadzi pani owce nawet z piekła!

Gwyn z początku sprawiała wrażenie zirytowanej. Ale potem przyjrzała się uważnie młodemu mężczyźnie – wydawała się walczyć sama z sobą.

– A więc to pan jest ten Roly – powiedziała w końcu. – Czy opowie mi pan o wojnie, Mr O'Brien?

Roly nigdy wcześniej nie opowiadał tak szczegółowo o Gallipoli, a teraz pomogła w tym z pewnością nie tylko doskonała whisky, za pomocą której Gwyneira usiłowała rozwiązać mu język, lecz także jej zainteresowanie. Stara dama wsłuchiwała się uważnie w słowa Roly'ego, wpatrując się w niego, a im dłużej Roly mówił, tym więcej przerażenia i żalu pojawiało się w jej niebieskich, ciągle intensywnie błyszczących oczach.

Oboje długo siedzieli przy kominku – Tim i Elaine dawno już poszli do swego pokoju. Tim marzył o łóżku, także Elaine po całym dniu pracy z owcami niemal zasnęła w fotelu. Nocą wystraszył ją jakiś nieznaną dźwięk – wstała, mając w pamięci szalony pomysł Gwyneiry, aby pojechać w góry i szukać tam Jacka i Glorii. Elaine postanowiła sprawdzić, co ją obudziło.

Jakoż na dziedziniec zajechał samochód wiozący paszę z Christchurch. Gwyn i Roly witali kierowców w salonie – wszyscy siedzieli przy kominku i rozmawiali. Gwyneira częstowała whisky przemoczonych i zmęczonych mężczyzn. Na dworze szalała burza śnieżna, która przecież nie była tak gwałtowna jak w górach.

– A więc dobrze, Roly, idziemy karmić – westchnęła Elaine, spojrzawszy w okno. – Stracimy jeszcze więcej owiec, jeśli przy takiej pogodzie i zimnie nie dostaną wystarczająco dużo jedzenia. Możemy podjechać pod szopy? Tam będziemy mogli wszystko wyładować.

Roly, chwycąc się mocno, poszedł z Elaine do owiec i z satysfakcją patrzył, jak zwierzęta chrupały za chwilę paszę.

– Zawsze chciałam mieszkać na farmie – westchnęła Elaine. – Jakże zazdrościłam Kurze-maró-tini Kiward Station... Ale takie noce jak ta...

– Jack nigdy nie opowiadał o wojnie – wymamrotał Roly bez związku. – Jego matka o niczym nie wiedziała, bo on po powrocie godzinami

leżał w pokoju i wpatrywał się w sufit. Wytworni ludzie są... jakoś cierpliwi czy co. Moja mama dawno by mnie przegrała, gdybym się tak zachowywał...

Następnego dnia Elaine wraz z dwoma pomocnikami dokonała szczegółowej inspekcji szop i znów nakarmiła owce. Tim rozglądał się po farmie i nie był zbyt zachwycony.

– Ten uszkodzony płot to zaledwie czubek góry lodowej. Tu wszystko trzeba wyremontować, babciu. Twój Maaka ma chyba skłonności do improwizacji: tu załatać, tam przybić deskę. Kiedy Jack wróci, to będzie musiał zabrać się do wszystkiego w nieco szerszym zakresie.

– Dotyczy to także szop dla postrzygaczy – dodała Elaine. – One wkrótce się rozlecą. Czy nie myślałaś o zbudowaniu nowych, babciu? Macie teraz przecież o wiele więcej owiec. Musicie pomyśleć o nowych budynkach.

– No i ten problem z personelem... – Tim patrzył z zaskoczeniem, kiedy w pracy jak gdyby nigdy nic pojawiło się tylko trzech Maorysów. – Nie może przecież być tak, że ci ludzie przychodzą do pracy wtedy, kiedy im pasuje.

– To wszystko przez pogodę, oni nie mogą teraz polować – wyjaśniała Gwyneira. – A zapasy zboża im się skończyły. Mają nadzieję, że dostaną od nas trochę żywności, kiedy zostawią Tongę.

– Koniec z tym jego *mana* – mruknął Tim. – Ale poważnie, babciu, płacicie im w naturze? To przedpotopowa metoda! I oni nie mają umowy o pracę? Jack będzie musiał się tym zająć, żyjemy w dwudziestym wieku! Dziś nie reguluje się kwestii zatrudnienia według zasad stosowanych przez dawnych właścicieli ziemskich! A w ogóle rozważyłbym kwestię zatrudnienia fachowców, babciu. Może dałoby się zwerbować ludzi do pracy w Szkocji albo w Walii. Nie może być tak, że jedynie brygadzysta wie coś na temat owiec!

Po południu zjawili się Lilian, Ben i Caleb z kolejną dostawą paszy – i nowym pracownikiem. Sprawdzona metoda Lily, polegająca na wdawaniu się w rozmowę z każdym, kogo napotkała, zaowocowała znalezieniem doświadczonego pasterza. Mężczyzna po jakichś rodzinnych problemach wyjechał z Wyspy Północnej i próbował ułożyć sobie życie na Południowej.

– Nieszczęśliwa miłość – sprecyzowała Lilian z melodramatycznym westchnieniem. Nowo zatrudniony pasterz pracował też w handlu paszą. Po kilku zdaniach zdradził jednak, że wolałby pracować z owcami. Lilian zatrudniła go z miejsca.

Wieczorem nastrój na Kiward Station był jeszcze bardziej przygnębiający. Za dnia uwagę wszystkich pochłaniała praca, ale burza szalała już także nad Canterbury Plains. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak mogło to wyglądać w górach.

– Dawniej mieliśmy przynajmniej wóz kryty plandeką – powiedziała cicho Gwyneira, patrząc przez okno. – Jeśli oni...

– Przy takiej pogodzie plandeka odleci tak samo jak namiot – zauważyła Elaine. „A jeśli tam szaleje orkan, to porwałby także wóz”. Tego ostatniego Elaine jednak już nie powiedziała.

Nieco nadziei wniosła Marama, która zjawiała się na farmie wraz ze swoim mężem. Nie należał do szczepu i ciągle nie odważył się otwarcie przeciwstawić Tondze. Teraz jednak zgłosił się znów do pracy na farmie – był doświadczonego pasterzem i postrzygaczem. Marama była absolutnie przekonana, że wkrótce będzie tu dla niego dość pracy.

– Może oni zjawią się tutaj już jutro z pierwszymi stadami – wyjaśniła. – A połowa owiec zacznie się kocić w nocy, będzie więc co robić.

Obawy Gwyneiry i Elaine skwitowała lekceważącym machnięciem ręki.

– Wiedziałabym, gdyby moim synom coś się stało – oświadczyła.

Była o tym przekonana tak mocno, jak kiedyś o tym, że Kurze nic się nie stało, choć nikt nie miał pojęcia, gdzie ona była.

Tim znów zmarszczył czoło z powątpiewaniem, kiedy Elaine opowiedziała mu o przypuszczeniach Maramy.

– A czy ty wtedy wiedziałas, że żyję, kiedy byłem zasypany w kopalni? – spytał.

Elaine uczciwie potrząsnęła głową.

– Nie, ale zawsze wiedziałam, że z Lilian wszystko w porządku – odparła.

Tim przewrócił oczami.

– Kochana, przypuszczenia, które opierają się na doniesieniach prywatnych detektywów, w ogóle się nie liczą!

Lilian próbowała odwrócić uwagę Gwyn, pokazując jej zabawy z Galahadem, ale dziecko było marudne i śpiące. W końcu zaniósł chłopca do łóżka i w milczeniu usiadła przy rodzicach.

Jedynie Caleb i Ben Billerowie rozmawiali tego wieczoru przyciszonymi głosami, choć z wielkim przejęciem. Caleb czuł się jak w niebie: wreszcie mógł podyskutować na frapujące go tematy z kimś o podobnych zapatrywaniach, zamiast wymieniać różne uwagi pisemnie, i w dodatku był to jego własny syn. Ben szczegółowo opowiadał o pojęciu *mana* i o tym, jak ono korespondowało z podobnymi zasadami na innych obszarach Polinezji. Caleb odniósł się do kwestii wielkości figur bogów, co doprowadziło do ożywionej dyskusji o tym, jakim *mana* dysponowali różni bogowie i półbogowie.

– Tu bardzo pomocne byłoby powołanie się na zapiski Miss Charlotte – zauważył Caleb i w kwiecistych słowach uczcił dorobek nieżyjącej żony Jacka.

Gwyneira, pełna dręczącego ją niepokoju, podniosła się. Była zadowolona, że może się czymś zająć.

– Mój syn przygotował już te rzeczy. Jeśli pan sobie życzy, mogę je przynieść.

Caleb nie chciał sprawiać kłopotów, ale Ben patrzył jak dziecko, któremu zabierają obiecany deser.

– To żaden kłopot.

Gwyneira ruszyła po schodach na górę, próbując przy tym zignorować swój artretyzm. Nigdy nie wchodziła bez pytania do pokoju syna, ale widziała notatniki Charlotte na stole. A jeśli wszystkie jej obawy miały się potwierdzić, to wkrótce i tak będzie musiała uporządkować i opróżnić ten pokój. Odetchnęła głęboko, wchodząc do środka – to samo powietrze, którym on oddychał. Nagle zakreśliło jej się w głowie.

Stara kobieta usiadła na łóżku Jacka i przycisnęła twarz do jego poduszki. Jej syn. Nigdy go nie rozumiała. Niczego teraz nie pojęła.

W głębi ducha uważała go za tchórza. A teraz on, być może, nigdy już nie wróci.

Opanowała się po chwili i sięgnęła po notatniki. Jeden z nich leżał obok pozostałych, ułożonych w stos. Gwyneira wzięła go do ręki – i bezskutecznie próbowała przytrzymać plik kartek, które się z niego wysunęły i upadły na podłogę.

Westchnęła, zapaliła światło i zaczęła zbierać rysunki. Przeraziła się, kiedy zobaczyła trupa czaszkę.

Gwyneira spędziła poprzednią noc pod Gallipoli.

Tej nocy podróżowała na „Mary Lou” i „Niobe”.

Następnego dnia burza nieco się uspokoiła, ale za to zrobiło się lodowato zimno. Elaine i Lilian dygotały w czasie karmienia koni i owiec.

Roly, Ben oraz nowi pomocnicy nosili wodę. Aż wreszcie na farmę dotarły pierwsze stada mokrych i zmarzniętych owiec, które przyprowadzili Hori i Carter, na szczęście bez większych strat. Dotarli oni do chaty jeszcze przed burzą i tam spędzili noc.

– Ale obawialiśmy się, że wiatr porwie chatę! – opowiadał Carter. – Koniecznie trzeba tam kogoś wysłać, aby ją choć trochę wyremontować. Część dachu jest zupełnie zniszczona. Wyruszyliśmy dziś wczesnym rankiem. Czy są jakieś wieści od Mr Jacka i Miss Glorii? Widzieliśmy race.

– To nie pojechaliście z powrotem na górę, aby ich poszukać, kiedy burza ucichła? – zapytała surowo Elaine.

Hori potrząsnął głową.

– Miss Lainie, jeśli tam na górze ktoś żyje, to poradzi sobie bez nas. A jeśli nie... to przynajmniej uratowaliśmy trochę owiec.

Jak każdy Maorys był przede wszystkim praktyczny.

– Wystrzelili race – opowiadała Elaine mężowi. Tim nadzorował w stajni niektóre prace remontowe. – Czyli oni wołali o pomoc, a my tego nawet nie widzieliśmy.

– A co by to dało, gdybyśmy to zobaczyli? Choć właściwie dziwne, że to w ogóle robili. Jack wiedział przecież, że są oddaleni o dwa dni drogi od cywilizacji. Byłoby logiczne, gdyby strzelali po burzy. Wtedy można by przypuszczać, że ci, co przeżyli, wołają o pomoc. Ale odpalać race w czasie zamieci i burzy śnieżnej? Niezbyt dobrze przemyślane.

Timothy Lambert nauczył się zachowywać spokój nawet w najtrudniejszych sytuacjach. W końcu, jako inżynier górnictwa, zajmował się głównie zabezpieczeniami w kopalni. Jednak Elaine niemal miała mu za złe, że wątpił w kompetencje i doświadczenie Jacka.

– Mój Boże, nie każdy zawsze myśli logicznie! Musimy zorganizować grupę poszukiwawczą...

– Zajmij się teraz przede wszystkim owcami – polecił Tim. – I nie złość się na Cartera i Horiego. Postąpili słusznie.

Tim odwrócił się do swoich robotników.

– Jak się czuje babcia Gwyn? – spytał.

Gwyneira ostatniej nocy wróciła do salonu dopiero w godzinę po tym, jak poszła na górę do pokoju Jacka. Była śmiertelnie blada i bez słowa wręczyła Billerom notatniki Charlotte. Wróciła do swojego pokoju i dotychczas się nie pokazała.

– Kiri zaniósła jej śniadanie. Ale ona nie chce nikogo widzieć, nie chce też jeść, dobrze, że choć wypła herbatę. Zajrzę do niej później.

Elaine wyszła ze stajni i zajęła się rozprawdaniem stada do szop i stajni. Kilka owiec miało się właśnie okocić, koło innych kręciły się już maleńkie jagnięta. Zwierzętami zajął się już nowo zwerbowany przez Lilian pracownik. Okazało się, że znakomicie potrafił sobie poradzić z pomocą owcom przy porodach, zalecił też wstawić do szop po kilka żelaznych piecyków na węgiel jako dodatkowe źródło ciepła, aby choć trochę ogrzać jagnięta i ich matki. Pasterz szybko też zdobył zaufanie psów.

Elaine wysłała więc Cartera i Horiego do izby, aby mogli się przespać i odpocząć. Obaj byli kompletnie wyczerpani.

Dużo później zdała sprawozdanie ze wszystkiego babci. Gwyneira wreszcie zeszła na dół, siedziała przy kominku, bawiąc się z wnukiem. Była jakby nieobecna duchem i sprawiała wrażenie, jakby postarzała się tej nocy o całe lata.

– Hori i Carter przyprowadzili na dół dwa tysiące owiec, z tego osiemset to maciorki. Stracili większość jagniąt, które urodziły się wczoraj w nocy. Nie mogły przeżyć w czasie burzy śnieżnej i takiej zamieci. Ale wiele matek będzie się kocić dzisiaj, a Jamie dokonuje istnych cudów...

– Kto to jest Jamie? – spytała Gwyneira.

– Nowy pasterz, którego znalazła i zatrudniła Lilian. Ach, prawda, przyszło jeszcze czterech czy pięciu Maorysów. A wobec tej sprawy z Tongą musieli wysłuchać kazania Tima. Jeśli jeszcze raz zdarzy się coś takiego, to nie znajdą tu już zatrudnienia... – Elaine mówiła i mówiła.

Gwyneira miała wrażenie, że prowadzenie farmy coraz bardziej wymyka jej się z rąk. I nie było to przykre uczucie.

Gloria nie oddała Jackowi pocałunku, leżała obok niego w zupełnej ciszy. Zanim zamknęła oczy, spojrzała na niego nieśmiało – z zaskoczeniem i zakłopotaniem.

Rankiem przed namiotem widniała cienka warstwa śniegu. Mimo że rozstawili namiot pod skalnym dachem, wiatr nawiał śnieg do środka – było też na tyle zimno, że śnieg nie topniał. Także w skalnym kotle leżał śnieg, choć na szczęście staw nie zamarzł. W czystej wodzie odbijało się ołowiane niebo. Kilka owiec piło wodę; stały w głębokim, brudnym od odchodów śniegu. Wszystko wskazywało na to, że większość zwierząt przeżyła, z namiotu stojącego obok dobiegało też beczenie jagniąt – co prawda dość żalosne, ale z całą pewnością bardzo ożywione. Z zewnątrz słychać było przekleństwa – Wiremu i Paora złapali jedną z maciorek i próbowali wydoić na wpół dzikie, broniące się zwierzę, aby mieć choć trochę mleka dla osieroconych jagniąt. Pozostali mężczyźni rozniecali właśnie ogień, Rihari niósł już wodę ze stawu.

– Szefowo, zaraz będzie gorąca herbata! Jak się czuje Mr Jack?

Jack miał nadzieję, że tego dnia będzie już w stanie jechać konno, ale po szalonym galopie poprzedniego dnia było to raczej niemożliwe. Miał gorączkę i ciągle walczył z zawrotami głowy, kiedy Wiremu pomagał mu dojść do ogniska. Wyczerpany osunął się na ziemię i próbował w jakiś sensowny sposób zaplanować kolejny dzień.

– A więc, co sądzicie wszyscy? Jedziemy jak najszybciej na dół, aby razem ze zwierzętami znaleźć się w bezpiecznym miejscu, czy też próbujemy jeszcze znaleźć resztę owiec?

– Pan nie może jechać, Mr Jack – zauważył rozsądnie Willings. – Już wczoraj wisiał pan w siodle jak worek mąki. Przecież od tego zależy pana życie. W każdym razie powinien pan teraz zostać tutaj tak długo, aż poczuje się pan lepiej.

– Tu nie chodzi o mnie... – odparł szorstko Jack.

– Oczywiście, że poszukamy pozostałych owiec – powiedziała Gloria. – O ile jeszcze jakies przeżyły. Choć te bydłeta nie są takie głupie i spędzają tu każde lato. Prawdopodobnie znają wiele kryjówek podobnych do tej, gdzie teraz jesteśmy.

– Ale powinniśmy wysłać kogoś do Kiward Station – stwierdził Paora. – Miss Gwyn odchodzi od zmysłów ze zmartwienia.

Gloria wzruszyła ramionami.

– Nic na to nie poradzę – odparła niecierpliwie. – Nie mamy nikogo, kto byłby zbędny. Trzeba szybko znaleźć wszystkie zwierzęta i spędzić je na dół. Tu i wokół tej doliny wystarczy dla nich trawy do jutra. Mogą odsuwać z niej śnieg, który i tak będzie zaraz topniał. Dajmy im taką przerwę – potrzebują odpoczynku po wczorajszej burzy. A potem jedna grupa może z nimi schodzić w dół, podczas kiedy my pozbieramy pozostałe zwierzęta i wyruszymy pojutrze. O ile oczywiście pogoda pozwoli. Co o tym myślisz, Rihari?

Maoryski tropiciel śladów i obserwator pogody popatrzył uważnie w niebo i wiszące nisko nad nimi chmury.

– Myślę, że wściekłość Tawhimatei już minęła. Znosi się na deszcz, może także na śnieg, ale wydaje się, że jest już po burzy.

Rzeczywiście wiatr już prawie ustał, w powietrzu nie czuć też było osobliwego napięcia, które odczuwali wczoraj. Był to jeden z wielu typowych deszczowych poranków na wyżynie, które choć nieprzyjemne, to jednak nie były niebezpieczne.

Gloria i jej ludzie spędzili pozostałe owce już nie do skalnej „twierdzy”, lecz w poprzednie miejsce obozowania.

– Przenieśmy tam obóz – postanowiła dziewczyna. – I to zaraz jutro rano. Aż do tej chwili zwierzęta nie zjedzą wszystkiej trawy wokół jeziora ani nie zniszczą darniny. Kiedy latem przyjdą tu znów *tohunga*, wszystko będzie takie jak przedtem i będą mogły rozmawiać z duchami.

Gloria pozostawiła otwartą kwestię, czy rzeczywiście przestrzegano *tapu*, czy też po prostu nie chciała zdenerwować Rongo. Dziwiła się trochę, że nikt nie protestował, ale magia ukrytego schronienia w górach poruszyła chyba duszę każdego *pakeha*.

Wieczorem weszła do namiotu Jacka i wślizgnęła się do jego śpiwora, jak gdyby było to oczywiste. Jack poczuł, że zesztyniała, ale milczał, podobnie jak ona nie powiedziała ani słowa na temat porannego pocałunku. Wymienili kilka nic nieznaczących uwag na temat wczorajszej jazdy i poszukiwań owiec – Gloria wraz z pozostałymi mężczyznami spędzili jeszcze około pięciu tysięcy zwierząt. Jack łagodnie pocałował dziewczynę w czoło.

– Jestem z Ciebie tak dumny – powiedział z tkliwością. – Śpij dobrze, moja Glorio.

Niczego nie pragnął w tej chwili tak jak tego, aby wziąć ją w ramiona i zrobić wszystko, aby przestała być tak sztywna i pełna lęku, ale wiedział, że byłby to błąd. Nie chciał już popełniać żadnych błędów. Nie w stosunku do kobiety, którą kochał.

I w końcu zmusił się do tego, aby odwrócić się do niej plecami. Zasnął, daremnie czekając, aby jej napięcie choć trochę ustąpiło. Kiedy się obudził, czuł ciepło jej ciała. Przytuliła się do niego, opierając głowę o jego ramię, a pierś o plecy. Jej ramię obejmowało go, jak gdyby chciała się przytrzymać. Jack poczekał, aż się obudziła, a potem ją pocałował.

Tego ranka Gloria wysłała połowę swoich ludzi z większą częścią stada w dół. Jack nie wrócił jeszcze na tyle do sił, aby móc robić to, co zwykle robił przy spędach. Ale pilnował wraz z Tuesday pozostałych owiec, aby się nie rozbiegły, podczas kiedy Gloria, Wiremu i dwóch doświadczonych maoryskich pasterzy raz jeszcze przeszukiwali dolinę w poszukiwaniu zwierząt. I właśnie Wiremu odniósł po południu zaskakujący sukces: w ukrytej kotlinie odnalazł ostatnie sześćset maciorek. Wiele z nich straciło jagnięta, ale tak cenne zwierzęta hodowlane prawie wszystkie przeżyły.

Gloria była szczęśliwa, a kiedy wieczorem siedzieli przy ognisku, przytuliła się lekko do Jacka. W namiocie znów pozwoliła, aby ją pocałował, choć leżała przy tym sztywno i nieruchomo na plecach, nie próbując nawet wykonać żadnego ruchu. Jack się nie odwrócił, ale też jej nie dotykał. Dziewczyna była pełna napięcia, choć nie sprawiała wrażenia przestraszonej – Jack odbierał to jako coś w rodzaju pełnego rezygnacji poddania się czemuś, co nieuniknione. I było to dla niego wręcz nieznośne. Potrafiłby sobie poradzić z jej przerażeniem, ale takie zrezygnowane poddanie się dziewczyny było formą jej rozpacz.

– Nie chcę niczego, czego ty nie chcesz, Glorio – powiedział.

– Ja chcę – wyszeptła. Ku jego przerażeniu zabrzmiało to wręcz obojętnie i beznamytnie.

Jack potrząsnął głową. Potem pocałował ją delikatnie w skronie.

– Dobranoc, moja Glorio – powiedział.

Tym razem nie trwało to tak długo, aż jej napięcie ustąpiło. Czuł ciepło jej ciała na plecach, kiedy zasypiał.

Następnego ranka mieli wracać na Kiward Station. Prawdopodobnie Gloria znów się wycofa i nabierze dystansu. Ale Jack wiedział, że będzie czekać.

Następnego dnia na Kiward Station pojawił się najpierw Maaka. Młody brygadzysta postanowił, że wszystkie uroczystości związane z jego

zaślubinami mogą poczekać. Zamiast powitać oficjalnie swoją piękną młodą żonę w *marae* szczepu, zakwaterował ją w jednym z wielu pokoi na Kiward Station. I po raz pierwszy od wielu lat zaczęło brakować miejsca.

Tim Lambert odczuwał wielką ulgę z powodu przybycia Maorysa, ale przeraził go na samym początku, oświadczając, że jego przedsiębiorcza małżonka wraz z szukającą kolejnych wrażeń córką Tima mogłyby bez niczyjej pomocy zaplanować akcję ratunkową dla zaginionych na płaskowyżu.

I kiedy tylko nadarzyła się po temu okazja, odciągnął Maakę na stronę.

– A teraz bez zbędnych sentymentów – oświadczył. – Czy tam na górze ktoś w ogóle mógł jeszcze pozostać przy życiu?

Maaka wzruszył ramionami.

– Oczywiście, sir. Jest tam wiele pieczar, ukrytych dolinek, są nawet pojedyncze fragmenty lasów, gdzie także można się schronić przed burzą. Nie należy się tylko dać zaskoczyć burzy i trzeba znać okolice...

– No i? – dopytywał się Tim. – Czy Jack zna okolice?

– Nie tak dobrze jak maoryscy chłopcy, sir – stwierdził Maaka. – Szczep często spędza tam na górze całe lato. Synowie Maramy znają tam przypuszczalnie każdy kamień.

– A Jack... – Tim zagryzł wargi. Takie pytanie skierowane do pracownika było raczej delikatne. – Czy on potrafi sobie poradzić?

Maaka ponownie wykonał gest oznaczający niewiedzę i niepewność.

– Jack to był zawsze równy chłop. Ale od chwili powrotu z wojny... trudno go oceniać. On stał się jakiś bierny, rozumie pan? Możliwe, że zda się we wszystkim na Glorię...

Maaka nie powiedział tego, ale z jego miny Tim wywnioskował, że Gloria uchodziła raczej za wyjątkowo upartą. Tima to nie zaskoczyło. Znał Kurę-marō-tini. Kobieta, która zawsze dostawała to, czego chciała.

– A co pan sądzi o pomysle zorganizowania grupy poszukiwawczej? – spytał. – Widzieliśmy błyski rac. Moja żona przypuszcza, że może tam ludzie czekają na pomoc.

– Przecież stąd nie może pan zobaczyć błysków odpalanych tam rac – odparł Maaka zdziwiony. – Przypuszczalnie były to błyskawice.

Tim opowiedział mu o obserwacjach Horiego i Cartera, ale Maaka machnął ręką lekceważąco.

– Zawsze zabieramy z sobą race na wypadek, gdyby ktoś się zgubił albo gdyby ktoś był ranny. Wówczas alarmujemy w ten sposób główny obóz. Ale z Kiward Station nie można tego zobaczyć ani też zlokalizować miejsca odpalenia racy.

– Czyli nie wysyłamy grupy poszukiwawczej? – Spokój młodego Maorysa coraz bardziej denerwował Tima. Nie miało to być aż tak bardzo pozbawione sentymentów.

– A po co?

– Aby ratować tych ludzi, człowieku! Musiało się tam coś stać, bo dawno już byliby z powrotem! Co, pana zdaniem, oni tam robią na górze? – Tim w końcu eksplodował.

– Spędzają owce – odparł krótko Maaka.

Tim był zaskoczony.

– Myśli pan, że ktoś dysponujący zaledwie podstawowym wyposażeniem przeżył burzę stulecia i jeszcze nie wraca prosto do domu, tylko zbiera owce, jak gdyby nic się nie stało?

Maaka zacisnął wargi.

– Ktoś może by nie przeżył, ale nie mężczyzna z rodu McKenzie. – Umilkł na chwilę i dodał: – I nie kobieta z rodu Wardenów. Zajmę się teraz przygotowaniem wszystkich stajni i obór, sir. Aby owce miały dużo suchego miejsca.

Kiedy przybyła pierwsza grupa mężczyzn ze stadem maciorek, wszystkie stajnie i obory były wyczyszczone i wyłożone świeżą ściółką, płoty skontrolowane i naprawione. Marama, uśmiechając się radośnie, chwyciła w ramiona swojego drugiego syna. Elaine odetchnęła, kiedy przybyli mężczyźni zapewnili ją, że reszta grupy przyjedzie następnego dnia.

– A nie mogliście wysłać kogoś z wiadomością? – spytała Gwyneira, na przemian śmiejąc się i płacząc. Zabrała wszystkich przemoczonych i zmęczonych mężczyzn do domu, częstowała ich whisky i dopytywała się o dalsze szczegóły.

– Proponowaliśmy, aby tak zrobić, ale szefowa stwierdziła, że tam potrzebny jest każdy człowiek.

Kiedy Elaine i Lilian zeszły na wspólny posiłek, Gwyneira siedziała przy kominku i wpatrując się w ogień, kołysała trzymaną w ręku szklanką z whisky.

– Mnie nigdy nie nazywali „szefową” – powiedziała w zamyśleniu.

Lilian zachichotała.

– No tak, czasy się zmieniają. Mogłaś znać się na owcach dziesięć razy lepiej niż mężczyźni, ale zawsze byłaś słodką „Miss Gwyn”. Gloria miała pecha – albo i szczęście – bo nigdy nie była słodka. Choć dawniej była co prawda nieśmiała.

Lilian się uśmiechnęła.

– Zdaje się, że to już minęło.

Jack, Gloria i pozostali mężczyźni spędzili ostatnią noc spędu w chacie. Tym razem Wiremu upierał się, aby oboje spali w środku. Jack ciągle był chory i powinien był po długiej jeździe leżeć w ciepłym pomieszczeniu. I tu Gloria zaskoczyła mężczyzn.

– Wszyscy będziemy spali tutaj – oświadczyła. – Do stajni pójdą jagnięta, a przy ich beczeniu nikt nie będzie w stanie zmrzyć oka.

Spoglądała przy tym na wszystkich po kolei. Oprócz Jacka i Wiremu nikt nie miał pojęcia, z jakim trudem zdobyła się na tę propozycję. Poza Jackiem wszyscy pozostali mężczyźni byli Maorysami – zawsze nocowali we wspólnych pomieszczeniach i żadnemu z nich nie przyszedłoby do głowy pomysł zaczepiania w nocy młodej dziewczyny. A już zwłaszcza takiej, która należała do kogoś innego.

Jack miał nadzieję, że Gloria znów przyjdzie do niego, ale ona ukryła się na swojej pryczy w najgrubszym ze śpiworów. Jack bez sprzeciwu zajął drugą pryczę; znów czuł się gorzej po długiej jeździe w niskiej temperaturze. Cierpliwie sączył napar z ziół i herbaty, który przyniósł mu Wiremu.

– Nie rozumiem – powiedział młody Maorys. – Ona dzieli namiot z tobą, ale tu...

Jack wzruszył ramionami.

– We wspólnym pomieszczeniu, Wiremu? Czy to nie byłoby zbyt wiele?

– To wy się nie pobierzecie? – spytał Wiremu. – Myślałem, że...

Jack się uśmiechnął.

– To nie zależy ode mnie. Ale zanim dostanę takiego kosza jak ty...

Wiremu uśmiechnął się boleśnie.

– Uważaj na swoją *mana!* – powiedział.

Dotarli do Kiward Station następnego wieczoru i na szczęście tego dnia już nie padało. Dla owiec otwarte już były wszystkie stajnie, Elaine wypuściła nawet konie z boksów na wybieg i cieszyła się, że mogą się wyszaleć. Tego dnia wszyscy w napięciu oczekiwali przybyszów, a w końcu Elaine i Lilian dosiadły koni i wyjechały im naprzeciw.

Gloria nie posiadała się ze zdumienia, widząc swoją kuzynkę.

– To ty nie zniknął w Auckland? – dopytywała się, patrząc na Lilian. Rudowłosa skrzat w ciągu minionych lat prawie się nie zmienił. Lilian

oczywiście sprawiała wrażenie bardziej dorosłej, ale na jej twarzy ciągle gościł łobuzerski, bez troski uśmiech.

– To ty znikłaś! – stwierdziła Lily. – Ja tylko wyszłam za mąż!

Także ona przypatrywała się Glorii. Widziała jednak kogoś zupełnie innego niż grubawa, przestraszona i mrukliwa dziewczynka z Oaks Garden. Gloria była dumnie wyprostowana i siedziała pewnie w siodle. Miała zaczerwioną twarz, na której wyraźnie odcisnęły się trudy ostatnich dni, ale ta twarz miała teraz wyraźne kontury i ostre rysy. Lilian rzadko widywała tak interesujące twarze. Postanowiła ją zapamiętać i wykorzystać w nowej książce... Dziewczyna, która w poszukiwaniu ukochanego przemierza cały świat. Nowe wydanie *Jackaroo*. Choć Lilian miała wrażenie, że Gloria nigdy nie opowie jej całej historii.

Za to ona sama z przyjemnością opowiadała o swoim życiu w Auckland i o swoim dziecku. Elaine zaś opowiadała o Kiward Station. Jack i Gloria słuchali w milczeniu i od czasu do czasu spoglądali dumnie na pędzone zwierzęta. Kiedy wreszcie dotarli na dziedziniec, Maaka wraz z pozostałymi mężczyznami czekali już, aby rozdzielić owce do stajni i zagród. Maaka miał wszystko koordynować, ale mężczyźni spoglądali wyczekująco na Glorię. A Gloria popatrzyła na Jacka.

– A więc, w porządku, chłopcy – powiedział Jack. – Dobrze jest być znowu w domu. Wszyscy możemy sobie pogratulować – Paora, Anaru, Willings, Beales. To była dobra robota. Myślę, że możemy porozmawiać z szefową o małych bonusach.

Jack spojrzął na Glorię, a ona się uśmiechnęła.

– Zakładam, że przygotowaliście dla maciurek szopy postrzygaczy – mówił dalej Jack. – Barany popędzimy od razu dalej, na łąki za Bold's Creek. I nie chcę już słyszeć słowa *tapu*! Jak będzie sucho, to można te owce, które się okocą, wypędzić na Krąg Kamiennych Wojowników...

Jack spokojnie wydawał polecenia, podczas kiedy Gloria i mężczyźni gwizdali na psy i dzielili stado.

– Maaka, przejmiesz nadzór nad wszystkim? Chcę iść do domu przywitać się z matką. I zdaje się, że cały dom jest pełen rodziny.

– Kąpiel to też byłby dobry pomysł – zauważyła Gloria, zsiadając z konia. – Zaprowadzę konie do stajni, Jack. Idź spokojnie do domu i się ogrzej.

Ruszyła z Ceredwen i Anwylen w stronę budynku, kiedy drzwi stajni otworzyły się gwałtownie i wybiegła z nich Gwyneira. Jack spodziewał się właściwie, że zastanie matkę w domu – zwykle kiedy było tylu gości, rzadko znajdowała czas, aby zajrzeć do koni. Gwyneira miała na sobie suknię do konnej jazdy, upięła też starannie zupełnie już siwe włosy, a jej twarz dawno nie wyglądała tak młodo i radośnie. Jack nie widział jej takiej od lat.

– Jack, Gloria! – Gwyneira podbiegła do obojga i objęła ich jednocześnie. Zupełnie nie zwracała uwagi na to, że Gloria zeszytniała, a Jack uściśnął ją bardzo powściągliwie, choć uprzejmie. Ale to miało się wkrótce zmienić. Jednak wszystko w oczach Gwyneiry bładło dziś wobec tego, co wydarzyło się w stajni, a co ona sama uważała za cud.

– Wejście do środka, ktoś chce was przywitać! – powiedziała tajemniczo i nie zwracając na nic uwagi, pociągnęła syna i prawnuczkę do boksu Princess.

– Właśnie się urodził! – oświadczyła, wskazując na jego wnętrze. Jack i Gloria przepychali się nawzajem, chcąc zajrzeć do środka.

Obok klaczy stał mały czekoladowy ogierek. Między jego nozdrzami można było dostrzec delikatną białą kreskę, a na czole białą gwiazdkę.

Gloria spojrzała na Jacka.

– Żrebak, którego mi obiecałeś.

Jack skinął głową.

– Miał na ciebie czekać, kiedy wrócisz – odpowiedział.

– Jack! – Tim Lambert nie wyszedł z domu, aby powitać przybyszów. Pod wieczór zrobiło się jeszcze zimniej i bardziej nieprzyjemnie, a ostatnio i tak wychodził na deszcz o wiele częściej niż powinien ze względu na swoje bóle kości. Poza tym ogromny dwór zawsze wydawał mu się niedograny. Tak naprawdę utrzymać ten budynek w komforcie można było tylko przy pomocy o wiele liczniejszego personelu niż ten, który zatrudniała Gwyneira. Tim tęsknił za swoim małym, przytulnym domem w Greymouth i właściwie także za biurem. Cieszyła go perspektywa widoku węglowych hałd i szybów kopalnianych. Owiec naoglądał się dość na najbliższe kilka lat.

Było dla niego zagadką, co zatrzymywało Jacka i Glorię w stajni jeszcze dwie godziny po przybyciu. Nawet Maaka, który po ich przybyciu przejął nadzór nad zwierzętami, przyszedł już do domu i siedział nieco zakłopotany koło Tima przed kominkiem. Ale wreszcie także Jack i Gloria weszli do domu, oboje brudni, z potarganymi włosami, ale z uszczęśliwionymi twarzami. Maaka natychmiast nalał przyjacielowi whisky. Jak wszyscy Maorysi, zwlekał z powitaniem. Wiedział, że na to jeszcze będzie czas.

– Musimy koniecznie porozmawiać, Jack. Te szopy dla postrzygaczy... I twój personel tutaj. Rozmawiałem już z twoim brygadzystą. Prosiłem, żebyśmy...

Jack bronił się z uśmiechem.

– Tim... Proszę, później. I nie, teraz dziękuję za whisky, Maaka. Potrzebna mi jest kąpiel i coś do jedzenia... Ale zjemy przecież wszyscy razem, prawda? Potem możemy pomówić.

Maaka skinął głową.

– Mówić możemy w każdej chwili – powiedział. – Teraz, kiedy już wróciłeś do domu.

W wielkiej jadalni przy stole na Kiward Station dawno już nie zebrało się tyle ludzi, co tego wieczoru. Tim i Elaine, Lilian i Ben, Caleb, Maaka ze swoją młodą żoną sprawiającą wrażenie nieco zakłopotanej. Waimarama czuła się niezbyt dobrze wśród tych wszystkich *pakeha*, ale jej maniry przy stole były nienaganne. Jack powitał Roly'ego serdecznie i usiadł koło Glorii. Gwyneira patrzyła radośnie na rodzinę, trzymając na kolanach swojego pierwszego praprawnuka. Galahad oślinił jej najpiękniejszą suknię i zrujnował fryzurę, ale coś takiego nigdy Gwyneirze nie przeszkadzało. Z zadowoleniem i wyraźną przyjemnością patrzyła na prawnuczkę. Dziewczyna miała na sobie spódnicospodnie – te same, które razem kupiły w Dunedin. Lilian nie mogła powstrzymać słów zachwytu.

– Doskonale w tym wyglądasz. Ale sukienki szyte zgodnie z nową modą też będą ci pasować. Pokażę ci potem w żurnalach...

Jack i Gloria cały czas milczeli, ale nie było to milczenie pełne zakłopotania. Oboje zupełnie nie czuli się już skrepowani w tak licznym towarzystwie. Jeśli w ogóle coś mówili, to tylko o żrebacku Princess, co oczywiście skłoniło Lily do opowieści o Vicky.

– Musiałam ją, niestety, zostawić w Greymouth. Chociaż bardziej romantycznie byłoby uciekać konno... W każdym razie chciałabym mieć ją już w domu. Czy można przewozić konie promem, *daddy*? Może one też dostają choroby morskiej?

Ku ogromnemu zaskoczeniu Gwyneiry na to pytanie odpowiedział Jack. Cichym głosem – jak gdyby zupełnie nie był przyzwyczajony do mówienia – opowiedział o koniach kawaleryjskich w czasie podróży morskiej do Aleksandrii.

– Raz dziennie statki zawracały i płynęły pod wiatr, aby nieco złagodzić potworny upał i jego skutki. Już wtedy przychodziło mi nieraz do głowy, że koni doprawdy nie powinno się zabierać na statek. A zwłaszcza na wojnę...

– To może przeprowadzimy się na Wyspę Południową – marzyła głośno Lilian. – Mnie jest wszystko jedno, gdzie piszę, a Ben przecież może tu sobie czegoś poszukać! Uniwersytet w Dunedin będzie z pewnością za nim szalał... – Lilian spojrzała z dumą na męża.

Tim przewrócił wymownie oczami, a Elaine popatrzyła na niego strofująco.

Gwyneira uśmiechała się radośnie, choć nieco melancholijnie.

A później wszyscy zbrali się w salonie przy kominku. Tim z Maaką opowiadali Jackowi i Glorii o swoich projektach remontowych i w ogóle nie zwracali uwagi na to, że oboje już na wpół zasypiali, nie za bardzo słuchając. Po długiej jeździe w niskiej temperaturze ciepło kominka działało jak jakiś napój nasenny.

Lilian pochłonęła rozmowa z żoną Maaki – jej zdaniem Waimarama stawała się jeszcze piękniejsza, kiedy nie była tak skrępowana. Gloria zauważyła ze zdumieniem, ale i zadowoleniem, że Jack w ogóle nie zaszczycał maoryskiej dziewczyny spojrzeniem. Podobnie reagował Ben Biller, który wdał się w zawiłą dyskusję z ojcem na temat rzeczywistego znaczenia upadku Mauis wobec istnienia bogini śmierci. Czy chodziło tu o zdradę fałszywych przyjaciół, czy też o nieodwracalność śmiertelności? Ben argumentował na podstawie zapisków Charlotte, Caleb zaś opierał się na rzeźbach z Wyspy Północnej. Obaj wymachiwali przy tym rękami i żarliwie dowodzili słuszności swoich teorii – aż wreszcie Jack dostrzegł ostatni notatnik Charlotte w ręku Bena. Poczul bolesny ucisk w sercu. Nie mogło tak być, żeby rysunki Glorii dostały się w ręce kogoś obcego. Nikomu nie wolno było ich oglądać... Dlaczego ich nie ukrył, tylko po prostu zostawił w notatniku?

Ben Biller zauważył jego spojrzenie i zinterpretował je jako dezaprobatę.

– Proszę wybaczyć, Mr McKenzie, doprawdy nie chcieliśmy zabierać tych zapisków bez pańskiego zezwolenia. Ale pańska matka była tak uprzejma...

Gloria ocknęła się z półsnu, w który zapadła, słuchając wywodów Tima i Maaki. W ogóle nie zwracała uwagi na dyskusję Bena i Caleba. Ale teraz poczuła niepokój.

Spojrzenie Jacka powędrowało w stronę Gwyneiry. Stara kobieta podniosła wzrok i dostrzegła przerażenie w oczach Glorii.

– Wy dwoje powinniście byli po prostu wrócić do domu – powiedziała cicho Gwyn. – I nic nie musieliście mówić. A teraz, kiedy wreszcie już tu jesteście, chciałabym po prostu wziąć was w ramiona. Oboje.

Jack i Gloria nie przysłuchiwali się za bardzo planom snutym przez wszystkich obecnych. Tim Lambert chciał jak najszybciej wracać do domu, a Elaine przekonała Bena i Lilian, aby ci przyłączyli się do nich na kilka dni. Dla młodej pary podróż do Greymouth była kwestią trochę sporną: Lilian chciała koniecznie zobaczyć swoich braci i konia, ale Ben obawiał się spotkania z matką. I jak można było oczekiwać, zdanie Lilian przeważyło. Elaine wyszeptala do Tima, że Ben „jest naprawdę kochanym chłopcem”.

– Chciałabym tylko wiedzieć, co takiego widzi w nim Lilian – dodała, podczas kiedy Ben i Caleb znów zajęli się roztrząsaniem kwestii zasadniczej nieobliczalności działań bogów i legendarnych postaci występujących w maoryskiej mitologii. Tim zamruczał coś niewyraźnie, co Elaine zinterpretowała jak przytaknięcie.

Maaka i jego piękna żona wkrótce poszli do pokoju; prawdopodobnie uważali dyskusje Bena i Caleba za bardziej denerwujące niż pozostała cześć towarzystwa. Jack wykorzystał okazję i także się pożegnał, również Gloria życzyła wszystkim dobrej nocy. Przed odejściem pocałowała babcię w policzek, czego nie robiła od chwili, kiedy była małą dziewczynką. Gwyneira była poruszona do łez.

Gloria bez pukania cicho otworzyła drzwi do pokoju Jacka. Dawniej też nigdy nie pukała. I tak samo jak dawniej, wślizgnęła się pod jego kołdrę. Ale jako małe dziecko zawsze miała na sobie nocną koszulę i przytulała się bez słowa do swojego opiekuna, aby móc spać dalej bez dręczących ją koszmarów. Kobieta, którą dziś była Gloria, zrzuciła szlafrok, zanim weszła do jego łóżka. Była naga. Drżała, a Jackowi wydawało się, że słyszy gwałtowne uderzenia jej serca.

– Co muszę robić? – spytała cicho.

– W ogóle nic – odpowiedział Jack, ale ona potrząsnęła głową. Podniosła rękę, chcąc odgarnąć z twarzy świeżo umyte włosy; jednocześnie podniosła rękę Jack – ich palce się spotkały. Gwałtownie cofnęły ręce, czując, że ich palce były jak gdyby naelektryzowane.

– W ogóle nic, to już próbowałam – wyszeptala Gloria.

Jack pogłaskał jej włosy i zaczął ją całować. Najpierw w czoło, potem w policzki i wreszcie w usta. Ale ona nie rozchyliła warg, tylko leżała nieruchomo, nie ważąc się drgnąć.

– Glorio, nie musisz tego robić – powiedział Jack łagodnie. – Kocham cię. I to bez względu na to, czy dzielisz ze mną łóżko, czy nie. Jeśli tego nie chcesz...

– Ale ty przecież chcesz – wymruczała Gloria.

– To nie o to chodzi. Jeśli to jest miłość, to oboje musimy tego chcieć. Jeśli tylko jedno z nas miałoby znajdować w tym przyjemność, to jest... – Nie znalazł właściwego słowa. – W każdym razie jest to coś złego – dokończył.

– Twojej Charlotte podobało się to za pierwszym razem? – Gloria nieco się rozluźniła.

Jack się uśmiechnął.

– O, tak. Chociaż też była dziewicą, kiedy się pobieraliśmy.

– Też? – spytała Gloria.

– Dla mnie jesteś dziewicą, Glorio, bo nigdy nie kochałaś mężczyzny. Gdyby tak było, nie pytałabyś, co masz robić.

Jack znów zaczął ją całować, potem powoli wodził wargami po jej szyi i ramionach. Delikatnie gładził jej piersi.

– A więc pokaż mi – poprosiła cicho. Ciągle drżała, uspokajała się powoli, kiedy całował jej ramiona, jej małe dłonie o szorstkiej skórze i krótkie, silne palce. Ujął jej ręce i powoli przesuwiał je po swojej twarzy, zachęcając, aby go dotykała. Dotykał jej tkliwie i ostrożnie.

Jack po śmierci Charlotte nie był z żadną kobietą i trochę się tego obawiał. Ale Gloria była zupełnie inna niż Charlotte. Tak, jego żona nie była nigdy z żadnym mężczyzną i na początku była przestraszona i nieśmiała. Lecz Charlotte była obytą w świecie sufrażystką, razem z koleżankami brała udział w ulicznych demonstracjach, których uczestniczki domagały się równych praw dla kobiet – te studentki popierały także sprawę zaopatrywania prostytutek w medykamenty. Charlotte nie była nieświadomą niczego kobietą; dziewczęta z pewnością wymieniały między sobą różne doświadczenia. I Charlotte cieszyła się na noc poślubną. Była ciekawa i żądna sztuki miłości.

Natomiast Gloria była tylko wystraszona, a przejawem jej lęku nie było cofanie się, lecz coś w rodzaju rezygnacji i poddania, mającego wszelkie cechy cierpiętnictwa. Nie była już taka sztywna – kiedyś na „Niobe” zorientowała się zapewne, że uniknąć bólu można było, rozluźniając mięśnie. Jack musiał robić wszystko, aby zrezygnowała z tego i nie stała się w jego ramionach czymś w rodzaju bezwolnej lalki. Między pieszczotami nie szczędził jej słów pełnych tkliwości i miłości i próbował dotykać ją w taki sposób, w jaki nigdy jeszcze nie dotykali jej mężczyźni. Był szczęśliwy, kiedy położyła mu głowę na ramieniu i całowała go, kiedy w nią wszedł. Kochał ją powoli, całował ją i dotykał także wtedy, kiedy w niej był. W pewnym momencie obrócił się i położył ją na sobie – nie chciał osunąć się na nią w momencie ekstazy jak któryś z jej lubieżnych klientów. Osunęła się obok niego i przytuliła do jego ramienia, kiedy jego oddech powoli się uspokajał. W końcu przestraszonym, cichym głosem odważyła się zadać jedno pytanie:

– Jack... to, że jesteś taki... powolny... czy to dlatego, że byłeś chory? Albo jeszcze jesteś?

Jack był całkowicie zbity z tropu. A po chwili roześmiał się cicho.

– Oczywiście, że nie, Glory. I nie jestem powolny. Tylko chciałem, żeby to trwało dłużej, bo... bo wtedy jest pięknie. Czy nie tak było, Glory?

Gloria zagryzła wargi.

– Ja... nie wiem. Ale jeśli zrobisz to jeszcze raz, to mogę spróbować zwrócić na to uwagę.

Jack przyciągnął ją do siebie.

– Glory, to nie jest eksperyment naukowy. Spróbuj na nic nie zwracać uwagi. Tylko na siebie i na mnie. Widzisz... – Szukał właściwego słowa, aby wyjaśnić jej, co to jest miłość, i nagle przypomniała mu się ostatnia, pełna tkliwości wiadomość od Charlotte.

– Pomyśl o Papa i Rangi – powiedział łagodnie. – To ma być tak, jak gdyby niebo i ziemia stawały się jednym – i nie chciały się nigdy rozstać.

Gloria przelknęła ślinę.

– Czy mogłabym... czy mogłabym stać się zaraz niebem?

Pierwszy raz nie leżała po prostu pod mężczyzną, lecz położyła się na Jacku, całowała i dotykała go tak, jak on to robił przed chwilą. A potem przestawała już na cokolwiek zwracać uwagę. Niebo i ziemia eksplodowały w najczystszej ekstazie.

Gloria i Jack obudzili się ciasno objęci. Jack pierwszy otworzył oczy i zobaczył przed sobą dwa kudłate psie pyski. Nimue i Tuesday zwinęły się w kłębki w nogach łóżka i wyraźnie się cieszyły, że ich państwo zapewne wkrótce zaczną nowy dzień.

– Żeby mi się to nie stało przyzwyczajeniem! – powiedział surowo Jack ze zmarszczonym czołem i jednym ruchem głowy odesłał psy z łózka.

– Dlaczego nie? – wymruczała Gloria, na wpół śpiąc. – Za drugim razem naprawdę mi się podobało.

Jack całował ją, aż się obudziła, i zaczął ją pieścić coraz gwałtowniej.

– Czy za każdym razem jest coraz lepiej? – spytała po długiej chwili, oddychając szybko i wracając do przytomności.

Jack się uśmiechnął.

– Staram się, aby tak było. Ale jeśli mowa o przyzwyczajeniu... Glorio, co byś powiedziała na to, gdybym poprosił, abyś za mnie wyszła?

Gloria przytuliła się do niego jeszcze ciaśniej. I kiedy Jack czekał w napięciu na jej odpowiedź, nasłuchiwała odgłosów budzącego się domu.

Lilian śpiewała głośno i fałszywie w łazience, Tim kuśtykał o kulach, schodząc po schodach w dół – ciągle próbował zejść pierwszy, aby nikt z domowników nie mógł zobaczyć, jak się przy tym męczy i jaki jest niezdarly. Elaine wołała swojego psa, a gdzieś dyskutowali znów Ben i Caleb – prawdopodobnie na temat maoryskich zwyczajów.

– A czy musimy się pobierać? – spytała Gloria. – Leżałam przecież obok ciebie w domu zebrań.

Jack i Gloria życzyli sobie bardzo skromnego, małego wesela, lecz Gwyneira sprawiała wrażenie rozczarowanej, a Elaine także ostro zaprotestowała. Czuła się najwyraźniej oszukana z tego powodu, że ominęło ją wesele Lilian, toteż chciała przynajmniej przy okazji ślubu Glorii i Jacka wziąć udział w jego planowaniu.

– Uroczystość w ogrodzie! – postanowiła Gwyneira. – Najpiękniejsze śluby zawsze odbywały się w ogrodzie, a teraz nadchodzi przecież lato. Możecie zaprosić całą okolicę. Musicie nawet! W końcu za mąż wychodzi dziedziczka Kiward Station i ludzie będą się spodziewać wielkiego splendoru!

Gwyneira co prawda pamiętała takie zaślubiny w ogrodzie na Kiward Station, które nie zakończyły się szczęśliwie. Ale z drugiej strony zawsze fascynowały ją lampiony wśród drzew, parkiet do tańca pod gwiazdami i bajkowa atmosfera ogrodu.

– Ale żadnej muzyki fortepianowej! – zastrzegła Gloria.

– I żadnych walców... – Jack pomyślał o pierwszym tańcu z Charlotte.

A Gwyneira pomyślała o swoim pierwszym tańcu z Jamesem.

– Nie! W ogóle nie będzie żadnej orkiestry. Tylko kilka osób, które umieją grać na flecie i na gitarze. Którzy po prostu zagrają parę melodii. Zawsze byli tacy wśród robotników. Może któryś z pracowników zatańczy jeszcze ze mną gigue...

Gwyneira wyraźnie odmłodziła od chwili zaręczyn Jacka i Glorii, a w trakcie snucia wszystkich planów związanych z weselem była podekscytowana jak młoda dziewczyna.

– I nie będziemy czekać w nieskończoność – oświadczył Jack. – Żadne półroczne narzeczeństwo czy coś takiego. My...

– Najpierw musimy wypędzić owce z powrotem na płaskowyż, kiedy zrobi się ciepło – odparła Gloria. – A więc wesele nie może się odbyć przed grudniem. I pomyśl o nowych szopach dla postrzygaczy. Nie mam ochoty mierzyć sukni, podczas kiedy wy będziecie się zajmować nadzorem albo samym remontem.

Gwyneira się rozemiała i opowiedziała o niekończących się przymiarkach jej sukni ślubnej w Anglii. Dzisiaj fakt, że wówczas wyprawiano pannę młodą z posagiem do przyszłego męża na drugi koniec świata, wydał jej się nie do pomyślenia.

Gloria niezbyt chętnie rozmawiała na temat swojej sukni ślubnej. Właściwie sama myśl o tym ją niepokoiła, i to bardzo. Nigdy nie wyglądała korzystnie w sukience. A goście na pewno będą ją porównywać z Kurą-maró-tini – wiele osób pamiętało jej bajkowe wręcz wesele. Kiedy Gloria była dzieckiem, opowiadano jej o prostej jedwabnej sukni matki, o kwiatach w jej czarnych włosach... Gloria najchętniej stanęłaby przed ołtarzem w bryczesach.

W końcu rozwiązała ten problem Lilian. Perspektywa zatrudnienia Bena jako wykładowcy na uniwersytecie w Dunedin rysowała się coraz wyraźniej – Lilian przypuszczała, że to Caleb uruchomił wszystkie potrzebne znajomości. Ale tego oczywiście nigdy nie powiedziałyby Benowi. I cztery tygodnie przed weselem Lilian przyjechała na Wyspę Południową z dzieckiem, niańką oraz maszyną do pisania, aby rozejrzeć się tam za jakimś odpowiednim domem. Taki był przynajmniej oficjalny powód. Lilian urządziła się najpierw na Kiward Station i zajęła się tymi przygotowawcami do wesela, których jej matka dosłownie nie wyrwała jej jeszcze z rąk. Fakt, że Gloria ciągle jeszcze nie miała sukni ślubnej, oburzył ją w najwyższym stopniu.

– Musimy kupić sukienkę! – oświadczyła energicznie protestującej Glorii. – Żadnych wymówek, jutro pojedziemy do Christchurch. I wiem bardzo dokładnie, co ci jest potrzebne!

Tu Lilian wyciągnęła jakiś angielski kobiecy magazyn z modą, po czym go otworzyła. Gloria ze zdumieniem popatrzyła na luźne suknie z lekkich materiałów, częściowo ozdobione cekinami i frędzlami, które przypominały trochę *piupiu*, maoryskie spódnice wkładane do tańca. Nowe suknie były też dużo krótsze; sięgały zaledwie tuż za kolano i nie wymagały talii osy, lecz przesuwaly ją w dół.

– To jest teraz najmodniejszy! W tym się tańczy nowy taniec zwany „charlestonem”. Ach oczywiście, włosy musimy ci trochę podciąć. Zobacz, tak jak u tych dziewczyn...

Kobieta ze zdjęcia w czasopiśmie miała krótkie i mocno wycieniowane włosy.

– To zrobimy najpierw, chodź!

Lilian sama strzygła Benowi włosy. W swoim czasie nie mieli pieniędzy na fryzjera. Teraz trzymane w jej rękach nożyce fruwały wprost wokół głowy Glorii zgodnie z manierą, która przypominała zwyczaj postrzygaczy. Gloria nie śmiała się poruszyć i oczywiście nie opowiedziała Lilian o swoich ostatnich „postrzyżynach”. Siedziała więc cicho, choć na samo wspomnienie dygotała i nie ważyła się zerknąć do lustra. Bo potem trudno jej było uwierzyć, że to ta sama osoba. Jej gęste, mocno kręcone włosy nie sterczały już wokół głowy, lecz otaczały jej twarz. Nowa fryzura podkreślała wysokie kości policzkowe dziewczyny i o wiele teraz wyraźniejsze rysy. Egzotyczne maoryskie dziedzictwo było teraz ledwo zauważalne, a szeroka, trochę płaska twarz Glorii sprawiała wrażenie o wiele bardziej pociągłej.

– Czarujące! – stwierdziła Lilian z zadowoleniem. – I oczywiście musisz się umalować. Pokazywałam ci jeszcze w szkole, jak to się robi, ale ty nie chciałaś. Ja to zrobię tuż przed weselem. A jutro kupimy sukienkę.

Ten zamiar niestety spalił na panewce, bo w całym Christchurch nie można było dostać sukienki do charlestona. Sprzedawcy byli nawet zaszokowani, oglądając zdjęcia w katalogu Lilian.

– Bezwstydne! – stwierdziła jakaś obrażona matrona. – Coś takiego tu nie przejdzie.

Gloria przymierzyła kilka innych sukienek – i w efekcie chciała w ogóle zrezygnować z wesela.

– Wyglądam w tym okropnie!

– To te sukienki są okropne – oświadczyła Lilian. – Mój Boże, zupełnie jak gdyby ktoś tu urządził zawody w przyszywaniu falbanek do ślubnych sukien! Wyglądasz jak tort z kremem! Nie, muszę coś wymyślić. Czy ktoś na Kiward Station ma maszynę do szycia?

– Chyba nie chcesz szyc sama! – spytała Gloria przerażona. Prace ręczne były jednym z przedmiotów w szkole w Oaks Garden i Gloria doskonale pamiętała, jakie dzieła tworzyła Lilian.

Lilian zachichotała.

– Ja nie...

Jedyna maszyna do szycia między Christchurch a Haldon znajdowała się w posiadaniu Maramy – był to jeden z ostatnich prezentów jej zięcia Williama. Marama stale szyla na niej bryczesy i koszule dla swoich synów.

– Cudownie! – ucieszyła się Lilian. – To obudzi w niej dawne wspomnienia. Za pomocą tego urządzenia ona wyczarowała także suknię

ślubną dla mojej matki. Mogę zadzwonić do Greymouth?

Dzięki przygotowaniu do wesela Jacka i Glorii matka Roly'ego odważyła się na pierwszą w życiu podróż koleją. Bardzo podekscytowana i chętna do działania zawiątała w Christchurch dzień po telefonie Lilian i była zaszokowana, podobnie jak sprzedawcy, oglądając żurnale Lilian. Później jednak potraktowała sprawę jako swego rodzaju wyzwanie i od razu przystąpiła do wyboru właściwego materiału.

– To spokojnie może być jedwab, drogie dziecko. W każdym razie musi to być miękki, lejący się materiał. Nigdy tiul. A te frędzle... Czy to moda amerykańska, Miss Lily? Prosto od Indian? No, mnie nie musi się podobać.

Kiedy Gloria mogła wreszcie przymierzyć suknię, Mrs O'Brien była zachwycona swoim dziełem. A Lilian natychmiast zażądała takiego samego fasonu – w końcu miała być druhną Glorii.

Dzięki nowej sukni Gloria stała się zupełnie inną kobietą. Robiła wrażenie wyższej, doroślejszej, ale także bardziej delikatnej i kobiecej. Właściwie nigdy nie była gruba, ale dotychczas w sukience zawsze robiła wrażenie krępej i przysadzistej. Kiedy teraz spojrzała w lustro, po raz pierwszy wydała się sobie szczupłą. Zakreśliła się wokół własnej osi, na ile pozwalały jej na to buty na wysokich obcasach, przy których upierała się Lilian.

– A zamiast welonu założysz kapelus z piórami – postanowiła Lily i znów wskazała na jedno ze zdjęć w żurnalu. Dotychczas nie odważyła się tego powiedzieć, ale teraz wydawała się zachwycona.

– Potrafi pani to uszyć, Mrs O'Brien?

Im bliżej było dnia ślubu, tym bardziej cichy i milczący stawał się Jack. Gorączkowe przygotowania Lilian i Elaine za bardzo przypominały mu zaślubiny z Charlotte i rozgardiasz, jaki wówczas robiły wokół tego Elizabeth i Gwyneira. Choć co prawda Gloria uciekała przed radosną wrzawą do stajni, podczas kiedy Charlotte wprost się tym rozkoszowała.

– Powinniśmy byli po prostu zwiać – stwierdził Jack wieczorem przed dniem wesela. – Lilian i Ben dobrze zrobili: dali drapak, a potem tylko podpisali papiery w urzędzie stanu cywilnego w Auckland.

Gloria potrząsnęła głową.

– Nie, to musi być tutaj – powiedziała dziwnie miękkim głosem.

Dzień wcześniej na farmę dotarł list od Kury-maró-tini i Williama – była to odpowiedź na zawiadomienie o zaręczynach Jacka i Glorii i zaproszenie na ślub. Oczywiście rodzice Glorii nie mogli przybyć i byli bardzo obrażeni, że w trakcie planowania nie uwzględniono terminów ich tournée. Wraz z grupą swoich tancerzy przebywali teraz w Londynie. Teoretycznie mogli przyjechać – ale za osiem miesięcy, kiedy mieli wszystkie terminy wolne. Gloria najpierw zdenerwowała się z powodu tego listu, ale potem Jack wyjął jej list z ręki, szybko przebiegł oczami jego treść i upuścił kartkę na podłogę.

Przyciągnął do siebie Glorię, która znów była sztywna i niechętna, jak gdyby wystarczyło samo dotknięcie listu od matki.

– Nigdy bym się nie odważył kochać cię w ten sposób... – powiedział w zamyśleniu, zanurzając twarz w jej włosy.

Gloria uwolniła się z jego objęć i spojrzała na niego zaskoczona.

– Co masz na myśli? – spytała.

– Gdyby nie wysłali cię wtedy do Anglii – mówił Jack – zostałabyś tutaj i dla mnie nigdy nie stałabyś się dorosła. Kochałbym cię tak, jak gdybyś była młodszą siostrą albo jakąś bliską krewną. Ty...

Gloria zrozumiała.

– Byłabym dla ciebie *tapu* – stwierdziła. – To prawdopodobne. Ale czy mam teraz dziękować za to moim rodzicom na kolanach?

Jack się roześmiał.

– W każdym razie nie powinnaś być już na nich taka zła. Powinnaś też przeczytać post scriptum... – Podniósł kartkę i podał ją Glorii.

Gloria, nic jeszcze nie rozumiejąc, patrzyła na kilka słów na dole kartki: Kura prosiła Gwyneirę, aby przygotowała akt. Zamierzała przepisać Kiward Station na córkę w dniu jej ślubu. Gloria chciała coś powiedzieć – ale nie była w stanie.

– Nie boisz się teraz, że żenię się z tobą tylko z powodu wszystkich twoich owiec? – spytał Jack z uśmiechem.

Gloria wzruszyła ramionami i odetchnęła głęboko.

– Tak też może być. Ale pomyśl o babci Gwyn, ona z owcami swojego małżonka spędziła tu długie i szczęśliwe życie.

Uśmiechnęła się i ujęła rękę Jacka.

– A teraz chodź, powiemy jej o tym. Będzie mogła po raz pierwszy od wielu lat spać spokojnie.

Dzień wesela był pięknym, letnim, pełnym słońca dniem. Jack odetchnął, kiedy rankiem zobaczył bezchmurne niebo. W czasie wesela jego i Charlotte padał deszcz. Elaine niemal z krwawiącym sercem zrezygnowała z marsza weselnego pod koniec ceremonii – Gloria po prostu nie chciała nawet widzieć pianina. Marama mimo wszystko postanowiła podtrzymać tradycję *pakeha* i zagrała *Lohengrina* na flecie *putorino*. W ogóle zadbała o oprawę muzyczną zaślubin i swoim eterycznym głosem śpiewała pieśni miłosne Maorysów.

– To było cudowne – powiedziała miękko Miss Bleachum, która stała jako świadek u boku Glorii. Dawna guwernantka Glorii sprawiała wrażenie szczęśliwej i w swojej jasnoniebieskiej, modnej sukni wyglądała przepięknie i bardzo młodo. Najwyraźniej powodem tego był siedzący obok niej doktor Pinter. Dawnego lekarza sztabowego też prawie nie można było rozpoznać. Przytył nieco, a wyraz zaszczucia i przestachu, jaki stałe miał na twarzy jeszcze długo po wojnie, ustąpił spokojnemu, opanowanemu spojrzeniu. Doktor Pinter opowiedział Jackowi, że znów może operować.

– To był mały chłopiec z nieprawidłowo ukształtowanym biodrem. Dziecko jednego z inwalidów wojennych. I oczywiście ci ludzie nie mieli pieniędzy. Ich syn zostałby kaleką do końca życia. A Sarah była zdania, że powinienem po prostu spróbować.

Doktor Pinter objął Sarah takim spojrzeniem, jak gdyby sam zawdzięczał jej powrót do zdrowia.

– A teraz otwieramy szpital dla dzieci! – mówiła z radością Miss Bleachum. – Robert odziedziczył trochę pieniędzy, a ja oszczędzałam.

Kupiliśmy cudowny dom, znakomicie nadający się na szpital! Dzieci po takich operacjach muszą długo leżeć w łózkach i nie mogą chodzić do szkoły. Mogę więc je uczyć. Ciężko byłoby mi zrezygnować z mojego zawodu...

Sarah zaczerwieniła się przy ostatnich słowach.

– Czy to znaczy, że wychodzi pani za mąż, Miss Bleachum? – spytał Jack. Wiedział o tym oczywiście, ale uważał, że to fascynujące, widzieć rumieniącą się dawną nauczycielkę Glorii. – A my tak liczyliśmy na to, że wkrótce znów pani do nas wróci...

Miss Bleachum rzuciła spojrzenie na bardzo jeszcze szczupłą postać Glorii i znów się zaczerwieniła. Gloria wybawiła ją z zakłopotania i niezręcznej sytuacji, przedstawiając jej Wiremu. W przeciwieństwie do Tongi oraz innych najważniejszych wojowników szczepu, którzy pojawili się na weselu w tradycyjnych strojach maoryskich, Wiremu miał na sobie garnitur, który co prawda nie za bardzo na niego pasował. Najprawdopodobniej nosił go jeszcze w czasie, kiedy uczył się w Dunedin – a bycie wojownikiem i myśliwym wyszło raczej na dobre jego muskułom. Jego ramiona niemal rozsadały marynarkę.

– Wiremu studiuje medycynę. Może będzie wam potrzebna pomoc w szpitalu?

Doktor Pinter spojrział z dezaprobatą na tatuaże Wiremu.

– No nie wiem – odpowiedział niepewnie. – Może wystraszyć dzieci...

– A skąd! – oświadczyła Sarah wyraźnie uradowana. – Wręcz przeciwnie! On im doda odwagi! Wielki, silny wojownik Maorysów tuż obok nich. Te dzieci czegoś takiego potrzebują! Jeśli tylko ma pan ochotę – prosimy bardzo!

Sarah podała Wiremu rękę, a zaraz po niej zrobił to doktor Pinter.

Tonga patrzył na syna z wyraźną dezaprobatą. W końcu zwrócił się do Gwyneiry.

– Mogę pani ponownie pogratulować – powiedział. – Najpierw Kura, a teraz Gloria.

Gwyneira wzruszyła ramionami.

– Żadnej nie wyszukałam męża – stwierdziła. – I nigdy nie chciałam się w to bawić. Kura zawsze była inna. Nigdy byś jej nie zatrzymał, nawet gdyby poślubiła Maorysa. Ja też nie mogłam jej tu zatrzymać. Ale Gloria... Ona tu wróciła. Do mnie i do was. Ona należy do tego kraju. Kiward Station jest jej... Jak wy to nazywacie? Jej *mana*, prawda? Nie potrzebujesz budować związków między nią a szczeniem. Jej korzenie są po prostu tutaj. Jacka także. – Spojrzała razem z Tongą na swojego syna. – I Wiremu. Może on też kiedyś wróci. Ale nie możesz go do tego zmusić.

Tonga się uśmiechnęła.

– Na stare lata staje się pani mądra, Miss Gwyn. Niech więc pani powie im obojgu, żeby przy następnej pełni księżyca przyszli do *marae*. Dokonamy ceremonii *powhiri* – powitania nowego członka szczenia.

– Nowego... – Gwyneira nie rozumiała.

– Nie całkiem nowego – dodała Rongo. – Na to jest jeszcze czas. Powitamy Jacka jako męża Glorii.

– No a jak poszło z Florence?

Tim Lambert przybył na Kiward Station dopiero rankiem w dzień wesela i podczas wszystkich przygotowań, a także w czasie samej ceremonii nie miał okazji ani czasu, aby zamienić choć kilka słów z Elaine. Teraz siedzieli oboje wraz z Gwyneirą i rodzicami Elaine przy stole, daleko od parkietu, na którym właśnie wirował Roly ze swoją Mary w ramionach.

Tim w odpowiedzi obrzucił żonę niemal rozpaczliwym spojrzeniem.

– Ciągłe jeszcze nie jesteśmy przyjaciółmi. Ale myślę, że ona wreszcie pojęła, o co tu chodzi, choć z pewnością jest najpierw kobietą interesu, a potem wszystkim innym. Ale rozważ nasze propozycje.

Oczywiście nie obyło się też bez napięć w czasie wizyty Bena i Lilian w Greymouth. Lilian miała nadzieję, że matka Bena ulegnie wdziękowi i czarowi jej dziecka, podobnie jak rodzice Elaine, ale Florence Weber-Biller była ulepiona z zupełnie innej gliny. Patrzyła na małego Galahada raczej nieufnie, a nie z radością. Zupełnie jak gdyby już rozważała, czy okaże się on takim samym nieudacznikiem jak jego ojciec i dziadek. Ale z drugiej strony Florence musiała się pogodzić z faktami. Gal był jednym z dziedziców jej kopalni – i kopalni Tima, nawet gdyby nigdy nie podjął prowadzenia firmy. Bo jeśli o to chodzi, gniew, jaki Florence odczuwała wobec Bena, był łagodzony przez jej drugiego syna. Samuel Biller wydawał się stworzony do kierowania kopalnią. Już teraz potrafił chłodno kalkulować i podejmować właściwe decyzje, a Florence niemal dostrzegała w nim samą siebie. Ale sprawami górnictwa interesowali się także synowie Lamberta. Przy odrobinie szczęścia będzie więc można kiedyś spłacić Lilian i Bena. Ben uważał ten pomysł za wspaniały, ale ku zaskoczeniu wszystkich, pomysł Florence spotkał się z ostrym sprzeciwem Caleba.

– Nie pozwolę, abyś zbyła mojego syna, wypłacając mu jakąś śmieszna sumę czy coś w rodzaju kieszonkowego – oświadczył spokojnie, ale tak twardo, że Florence uznała, że lepiej będzie się z nim nie kłócić. Teraz i tak nie mogło być o tym mowy. Jeśli kopalnia zacznie przynosić zyski, rodzina będzie mogła sobie pozwolić na kolejnego pięknoducha.

Jeśli o to ostanie chodziło, Billerowie nie mogli teraz zlekceważyć propozycji Tima. Florence będzie musiała zrezygnować z rujnującej rywalizacji z Lambertem. I może rzeczywiście będzie też zmuszona zamknąć koksownię. Tim za to zaproponował zbudowanie na terenie jej kopalni już wcześniej planowanej fabryki brykietów.

– Połączenie kolejowe jest teraz o wiele lepsze, a tereny są uzbrojone. Nie potrzebujemy od nowa karczować lasów i dzięki temu wszystko będzie tańsze. A Greenwood Enterprises może inwestować zarówno w twoją kopalnię, jak i w moją. Oczywiście potrzebujemy pewnych zabezpieczeń, ale na pewno nie rodzinnych waśni...

Kiedy już zakończono wszystkie ustalenia, wzniesiono toast szklaneczką whisky. Florence wypila ją jednym haustem i zniosła to, jak zauważył Tim, jak prawdziwy mężczyzna.

– To wszystko brzmi naprawdę dobrze – stwierdziła z ulgą Elaine i spojrzała na Lilian i Bena. Ben rozmawiał z wytatuowanym młodym Maorysem, a Lilian plotkowała w najlepsze z dawną guwernantką Glorii.

– I doprawdy nie możemy się uskarżać na Bena, on rzeczywiście wydaje się naprawdę kochać Lilian. Gdybym tylko miała choć blade pojęcie o tym, co takiego ona w nim widzi!

Tim wzruszył ramionami.

– Oświeć mnie, jak do tego dojdiesz – odparł. – Ale obawiam się, że prędzej rozwiążesz zagadkę piramid egipskich...

– A więc Miss Bleachum też będzie miała męża! – powiedziała Lilian ze śmiechem. Podczas kiedy Ben rozmawiał z Wiremu, a Jack pił z kilkoma sąsiadami whisky, Lilian i Gloria zasiadły przy stole. Lilian piła szampana i była w doskonałym nastroju. Jej racje, nie wyłączając osoby, znowu były w centrum zainteresowania – zwłaszcza od chwili, kiedy goście zaczęli się prześcigać w komplementach na temat sukni ślubnej Glorii. Choć co prawda pan młody milczał w nabożnym skupieniu. Ale podziw można było dostrzec w jego oczach. Gloria widziała to wyraźnie, kiedy szła wśród gości, opierając się na jego ramieniu. Trudno było teraz dostrzec jakiegokolwiek podobieństwo między mrukliwą, trochę otyłą, zawsze osamotnioną i nieszczęśliwą dziewczynką ze szkoły w Oaks Garden a tą młodą kobietą, która miała ochotę uciec przed weselem. Lilian czuła się szczególnie szczęśliwa dzięki takim okolicznościom i wydarzeniom. Było to o wiele więcej niż happy endy wszystkich jej powieści. I rozmarzyła się jeszcze bardziej na wieść o tym, że także życie Miss Bleachum zacznie się rozwijać we właściwym kierunku.

– Czy ona jeszcze może mieć dzieci? Nie jest już najmłodsza. A doktor Pinter... No ale co ona takiego w nim widzi, to jest doprawdy dla mnie zagadka!

– A co ty widzisz w swoim Benie? – spytała Gloria w zamyśleniu. Chodziło jej teraz tylko o to, aby uchronić ukochaną Miss Bleachum przed wszelkimi plotkami. W ogóle nie zauważyła, że wszystkie siedzące przy stole kobiety wstrzymały oddech z obawy.

Lilian zmarszczyła czoło i wydawało się, że się zastanawia.

– W każdym razie zawsze myślałam, że ty wyjdiesz za kogoś w rodzaju księcia – mówiła dalej Gloria, cały czas swobodnym, plotkarskim tonem. Choć nie wydawała się bardzo zainteresowana tematem. – Zgodnie ze wszystkimi tymi piosenkami i opowiadaniem, i w ogóle...

Lilian westchnęła teatralnie, po czym oświadczyła:

– Ach, wiesz co? Te książkowe przygody... Jak się o nich czyta, to wydają się takie cudowne i romantyczne, ale tak naprawdę to żadna przyjemność być biedną jak mysz kościelna, nie mieć porządnego mieszkania i nie wiedzieć, co z sobą zrobić.

– Ach, doprawdy? – spytała ubawiona Elaine. – Nie przypuszczałybyśmy w ogóle czegoś takiego.

Jej matka Fleurette i Gwyneira dusiły się od powstrzymanego śmiechu i nawet twarz Glorii była rozbawiona. Ale Lilian wydawała się w ogóle nie dostrzegać ironii.

– Tak, oczywiście – dzieliła się dalej swoimi przemyśleniami. – A jeśli jeszcze ktoś do kogoś strzela, co stale się zdarza bohaterom i nie tylko... No, gdyby na przykład Ben pływał gdzieś po morzu czy coś takiego... no, stale bym się o niego martwiła!

– A co to wszystko ma wspólnego z tym, co widzisz w swoim Benie? – Gloria zmarszczyła czoło. Ciągłe nie mogła nadążyć za wywodami Lilian.

– No, o Bena nie potrzebuję się obawiać – sprecyzowała Lilian beztrąsko. – On idzie rano do swojej biblioteki i studiuje swoje dialekty mórz południowych czy coś. A najbardziej ekscytującym z jego planów jest wycieczka na Wyspy Cooka.

– A piękne mieszkanki tych wysp? – dokuczala jej Elaine. – On z pewnością umie powiedzieć: „kocham cię” przynajmniej w dziesięciu dialektach.

Lilian zachichotała.

– Ale najpierw musiałby przedyskutować zasadę tworzenia się par ze względów emocjonalnych w poszczególnych kręgach kulturowych. Także zbadać ich praktyczne bądź mitologiczne korzenie i wymienić wiele uwag z innymi naukowcami na temat obrazowego przedstawienia stosunków płciowych w odpowiednim obszarze geograficznym. Ben przecież nie chciałby zrobić czegokolwiek źle. Do tego czasu znudzi się każda dziewczyna. A więc nie martwię się w ogóle.

Teraz śmiali się już wszyscy, ale Lilian nikomu nie miała tego za złe.

– I nigdy się nie nudzisz? – spytała Gwyneira, co zaskoczyło wszystkich. Była najstarsza w kręgu kobiet siedzących przy stole, ale jej oczy błyszczały tak jak kiedyś, tak dawno temu, kiedy na Kiward Station wyprawiano jej własne wesele...

Lilian wzruszyła ramionami.

– Jak się nudzę, to mam Galahada. I jeszcze Floriana, i Jeffery’ego... A ten nowy nazywa się Juvert...

Z uśmiechem wymieniała protagonistów swoich książek.

– A jeśli muszę pisać wieczorami, bo mój bohater został schwytany albo musi ratować swoją dziewczynę z jakiejś okropnej sytuacji, to Ben też nie ma nic przeciwko temu, że musi gotować.

– Ale prawdziwi bohaterowie nigdy nie muszą polować na króliki, żeby zjeść kolację – droczyła się z nią Gwyneira. Myślała jednak o Jamesie i szczęśliwych wspólnych chwilach, kiedy on dla niej łowił ryby, polował, a potem piekł mięso na ognisku.

Jej córka Fleurette przytaknęła.

– A na koniec owi bohaterowie zwykle zostawiają rozrzucone dookoła ogniska wnętrzności upolowanych zwierząt! – skwitowała sucho. – Doskonale rozumiem, co masz na myśli, Lily. Twój Ben jest doprawdy wielki...

O północy synowie Elaine wystrzelili barwne fajerwerki. Wszyscy goście, choć już mocno wstawieni, wydawali okrzyki podziwu.

Gwyneira McKenzie powoli szła w stronę stajni. Wiedziała, że wszystkie konie były dobrze uwiązane. Wiedziała, że nie spotka tam Jamesa, który w pośpiechu prowadził do stajni kłaczę, zanim wystraszy je hałas. Koło szop też nikt już nie grał na skrzypcach. Jack i Gloria nie chcieli osobnej uroczystości dla pracowników, co zwykle działo się dawniej. Wtedy w oświetlonym ogrodzie grała orkiestra smyczkowa, podczas kiedy pasterze tańczyli z pokojówkami do muzyki z szafy grającej albo skrzypiec czy też piszczałki typu *tin whistle*. Gwyneira miała przed oczami ognisko i radosną twarz Jamesa, kiedy ona sama ofiarowała mu taniec. Ona go wtedy nie pocałowała.

Dziś w tym miejscu, gdzie wtedy zbudowano prowizoryczny parkiet, Gwyneira dostrzegła całującą się parę. Jack i Gloria wymknęli się ukradkiem z weselnego zgiełku i ciasno objęci stali tutaj właśnie, podczas kiedy spadające fajerwerki rozświetlały niebo.

Gwyneira patrzyła w ciszy. A potem cofnęła się i zostawiła ich samych. Oni byli teraz przyszłością.

– To chyba moje ostatnie wesele na Kiward Station – powiedziała Gwyneira melancholijnie. Zrezygnowała z szampana i powoli sączyła whisky. W milczeniu wzniosła toast za Jamesa.

– Nie dożyję już następnego pokolenia – dokończyła cicho.

Lilian, lekko wstawiona i poruszona do łez, chwyciła starą kobietę w ramiona.

– Ależ babciu, co ty mówisz!? Popatrz, masz już przecież praprawnuka!

Zabrzmiało to tak, jak gdyby należało się liczyć z tym, że Galahad następnego dnia będzie się żenić.

– A właściwie... My też mogliśmy się tak naprawdę pobrać, Ben. W urzędzie stanu cywilnego w Auckland było dość smutno, a takie wesele tutaj jest dziesięć razy lepsze. A przede wszystkim te fajerwerki. Albo zrobimy jeszcze inaczej i pobierzemy się zgodnie ze zwyczajami Maorysów. Tak jak w *Dziedzicze z Wakanui* – to było takie romantyczne!

Spojrzała na Bena rozpromieniona.

– Kochanie, romantyczne wesela nie są rozpowszechnione wśród maoryskich szczepów. – Ben sprawiał wrażenie zaniepokojonego, przypuszczalnie wygłosił ten wykład przed swoją żoną wielokrotnie. – Formalne ceremonie weselne miały określoną funkcję tylko w związkach dynastycznych, przy czym ważne były także powiązania klerykałne... – Chciał wyklądać dalej, ale zauważył, że publiczność nie za bardzo była w stanie cokolwiek zrozumieć.

– Rytuał opisany w *Dziedzicze z Wakanui* wymyśliłaś od początku do końca sama! – zwrócił się do żony.

Lilian wzruszyła ramionami.

– No i co z tego? – odparła, po czym uśmiechnęła się wyrozumiale. – A komu to przeszkadza? Tak naprawdę zawsze chodzi tylko o dobrą historię!

POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIE

Powieść historyczna także potrzebuje interesującej fabuły, ale poważny autor powinien wystrzegać się tak swobodnego obchodzenia się z historią i mitologią, na jakie pozwalała sobie moja beztroška Lily. Ja w każdym razie starałam się, aby opisane w tej powieści losy moich fikcyjnych bohaterów poparte były garścią solidnie zbadanych faktów. W przypadku bitwy pod Gallipoli było to względnie proste. Historię oddziałów ANZAC można dziś znaleźć we wszystkich możliwych wersjach – poczynając od relacji świadków jeszcze z tamtych czasów, poprzez wszelkiego rodzaju książki dla młodzieży i inne publikacje, kończąc na niezliczonych opisach znajdujących w Internecie dzięki jednemu kliknięciu myszy. Choć co prawda cierpienia wszystkich żołnierzy walczących w okopach są zwykle przedstawiane w nieco zbyt heroicznym, wzniosłym sposobie.

Trudno znaleźć w historiografii porównywalną liczbę interpretacji owej tak wówczas katastrofalnie błędnej oceny sytuacji militarnej i wynikłej z tego klęski obu walczących stron! Bitwa pod Gallipoli należała do najkrwawszych w czasie pierwszej wojny światowej, a jedyną zasługą i sukcesem dowództwa były niewielkie straty w czasie wycofywania oddziałów o zaskakująco niskim stopniu demoralizacji po tak długim okresie walk. Oczywiście już wówczas znaleźli się krytycznie nastawieni dziennikarze, którzy zaczęli zadawać dręczące pytania na temat sensu samej bitwy i być może w efekcie tego ogrom zniszczeń i strat szedł niejako na drugi plan. W pamięci pozostało jedynie bohaterstwo żołnierzy, walczących miesiącami w okopach i wysyłanych bez skrupułów na pewną śmierć. Wyjątkiem jest tu jedynie song Erica Bogle'a *And the Band Played Waltzing Matilda*, który zrobił na mnie większe wrażenie niż wszystkie parady corocznie obchodzonego Anzac Day.

Starałam się przedstawić jak najbardziej autentycznie przebieg walk pod Gallipoli i panujący tam wówczas nastrój. Postacie żołnierzy i ich przełożonych są fikcyjne. Wyjątkiem jest jedynie oficer medyczny Joseph Lievesley Beeston i jego tak nie lubiący wojskowej dyscypliny pupil – piesek Paddy. O ich przygodach można poczytać w Internecie. Pamiętnik Beestona z okresu wojny był źródłem wielu informacji i właściwie stał się tłem mojej opowieści. Niestety nie zachowały się żadne zdjęcia Beestona i jego psa. Musiałam więc odwołać się do mojej fantazji i w przypadku Paddy'ego nasunął mi się od razu przed oczy obraz pewnego mieszkańca jamnika, bardzo „odpornego” na wszelkie rozkazy. Buddy, dzięki za tę inspirację!

Maoryski szczerp osiadły na terenach farmy Kiward Station odgrywał ważną rolę także w moich wcześniejszych książkach. Tym razem dzięki postaci Glorii przedstawiłam jeszcze dokładniej sposób życia i obyczaje jego członków, oczywiście w intencji przybliżenia czytelnikom rzeczywistości Wyspy Południowej w początkach XX wieku. Badania kultury maoryskiej nie są jednak łatwe – już choćby dlatego, że ona w gruncie rzeczy w ogóle nie istnieje.

Rzeczywiście każdy szczerp posiadał i posiada swoje własne zwyczaje oraz *tapu*. Zwyczaje te częściowo silnie się różnią i zwykle zależą od warunków życia wspólnoty plemiennych. I tak Wyspa Południowa była zawsze słabiej zaludniona niż Wyspa Północna, toteż oferowała mniejszą liczbę źródeł koniecznych do badań. Rzadziej dochodziło tu do sporów między szczepami, zasady zaś współżycia, *tapu* i system wartości były też słabiej nacechowane pod względem „militarnym”.

Kultura maoryska Wyspy Północnej jest bardziej kompleksowa. Wspólny dla mieszkańców obu wysp jest właściwie jedynie panteon bogów i świat legend. Studia nad kulturą maoryską są dziś oferowane praktycznie na każdym lepszym uniwersytecie w Nowej Zelandii – w efekcie takiej różnorodności badane są jej odrębne aspekty, aby potem móc połączyć je w całość. Mniej poważne publikacje sięgają do maoryskich tradycji niemal tak, jak gdyby to był supermarket, i wyławiają to, co zdaniem ich autorów bardziej pasuje do naszego obrazu świata i da się lepiej sprzedać. Tak na przykład pewien niemiecki uzdrowiciel leczący metodami niekonwencjonalnymi poświęcił całą książkę olejkowi herbacianemu jako lekowi rzekomo uniwersalnemu, który stosują Maorysi. Za to oficjalna website maoryskich organizacji w ogóle nie wspomina o drzewie *manuka*, które przecież uchodzi za roślinę leczniczą.

Także ezoterycy lubią ostatnio nawiązywać do rzekomej mądrości Maorysów – co odwraca uwagę od ich dotychczasowych, tak „lubianych” ofiar, a mianowicie australijskich Aborygenów. Bo ci wcale nie są zachwyceni przypisywanymi im przez zachodnich marzycieli rzekomymi cudownymi siłami. Zamiast zachwyconą publicznością woleliby się oni cieszyć większą akceptacją, szansą zdobycia lepszego wykształcenia i co za tym idzie – lepiej płatną pracą. Zasadniczo wszystkie publikacje na temat kultury maoryskiej (a także Aborygenów) są bardzo wątpliwe, a prawdziwość ich źródeł jest trudna do zweryfikowania. Dlatego w czasie prowadzenia badań i zbierania materiałów potrzebnych do napisania tej książki ograniczyłam się do wypowiedzi i publikacji Maorysów, względnie organizacji maoryskich. Nie gwarantuje to wprawdzie całkowitej autentyczności (mroczne aspekty własnej kultury chętnie są pomijane, co zrozumiałe, w efekcie działania mechanizmu „my o nas samych”), ale za to pozwala się ustrzec przed zbyt odważnymi spekulacjami.

Jeśli chodzi o naukowe studia kultury maoryskiej, należy tu zaznaczyć, że w tej książce nieco wyprzedziłam czas. W początkach XX wieku na uniwersytecie w Auckland nie było jeszcze żadnego fakultetu zajmującego się kulturą maoryską. Napisałam więc, że Ben podjął studia na wydziale lingwistyki, ale nawet ten był wówczas dopiero organizowany. Choć co prawda tacy uczeni hobbyści jak Caleb i Charlotte mogli już w tym czasie działać.

Rozdzwięk między Maorysami i *pakeha* nigdy nie był tak głęboki, jak między pierwotnymi mieszkańcami a kolonistami w innych częściach świata. Dotyczy to szczególnie Wyspy Południowej. Nigdy nie doszło tam do poważniejszych, godnych wzmianki sporów między imigrantami a Ngai Tahu – do których należał nie tylko mój fikcyjny szczerp z książki, ale praktycznie wszyscy „kiwi”. Zgodnie z wypowiedziami pewnej badaczki kultury maoryskiej, która rozmawiała ze mną na ten temat, szczepy dobrowolnie dopasowywały się do zachodnioeuropejskich standardów życia, bo na pierwszy rzut oka związane to było z lepszą jakością życia. Dopiero później pojawiły się wątpliwości i także tutaj postać Tongi nieco wyprzedziła swój czas. Dziś szczególnie na Wyspie Północnej istnieje silny ruch Maorysów nawiązujący do własnej kultury i korzeni i dążący do powrotu do nich, który zachęca do tego także młodych *pakeha*.

Jeśli zaś chodzi o historię Lilian, czytelnicy może zadają sobie pytanie, czy historia ślubu jej i Bena nie jest może zbyt naciągana. Jednakże w Nowej Zelandii można było i nadal można zawrzeć spontanicznie związek małżeński – o ile posiada się paszport i o ile osiągnie się minimalny zezwalający na to wiek. Pisemne zezwolenie rodziców osób poniżej osiemnastego roku życia było i nadal jest zwykłą formalnością.

W czasach Lilian istniał też na Wyspie Północnej dziennik „Auckland Herald” i rzeczywiście była to własność rodziny Wilsonów. Mój bardzo obrotowy redaktor naczelny Thomas Wilson jest jednak postacią całkowicie fikcyjną, w przeciwieństwie do znanego wówczas w całym świecie medium Margery Crandon. Jest jednak nieprawdopodobne, że ta szanowna dama uprawiała swój nieczyny proceder także na terenie Nowej Zelandii, a przynajmniej nie miało to miejsca w czasie trwania wojny. W tym okresie bowiem była ona bardzo pomocna na terenie Nowej

Anglii, gdzie jeździła ambulansiem. Choć istotnie owinęła sobie wokół palca Arthura Conan Doyle'a. Ocenę Lilian podzielał natomiast wielki mag Houdini – zdemaskował on bowiem panią Crandon jako oszustkę. Co prawda nie zaszkodziło to za bardzo jej sławie jako mistyczki. Nic chyba nie jest w stanie naruszyć dobrej legendy i historii...

Jak zawsze dziękuję moim przyjaciołom i lektorom za rady i pomoc w czasie powstawania tej książki. A szczególnie dziękuję – jak zawsze – mojemu czyniącemu cuda agentowi Bastianowi Schlückowi. Klara Decker jak zwykle dokonała próbnego czytania tekstu, a Eva Schlück i Melanie Blank-Schröder poza swą pracą lektorską brały czynny udział w dyskusji na temat nieco skomplikowanej postaci Glorii. To bez wątpienia nieco niezwykły fakt, że bohaterka powieści wręcz szkodzi postaci prawnuczki Gwyneiry, a i mnie samej ta dziewczyna działała już na nerwy. Ale ona taka właśnie była: to człowiek w opowieści, która traktuje o ludziach.

Rob Ritschie pomagał mi, dostarczając wielu informacji na temat stopni wojskowych i życia w armii brytyjskiej tamtych czasów i zadał sobie wiele trudu, sprawdzając autentyczność całego rozdziału poświęconego bitwie pod Gallipoli. Nie posługuję się zbyt łatwym niemieckim i z pewnością kosztowało go to wiele godzin pracy. A co to znaczy być ostrzelanym w czasie niewinnego spaceru, przekonałam się „dzięki” miejscowemu, bardzo niezdyscyplinowanemu związkowi strzeleckiemu, któremu jednak jestem za to naprawdę wdzięczna.

W czasie pracy nad pierwszymi rozdziałami książki towarzyszyła mi Cleo, suka rasy border collie, której obecność inspirowała mnie także w czasie pisania pierwszych tomów trylogii *W krainie białych obłoków*. Prawie dwudziestoletnia Cleo pożegnała się ze mną na zawsze po ukończeniu pracy, udając się wraz z duchami w podróż na Hawaiki...

Do zobaczenia w niebie, Cleo... i może parę gwiazd dalej...

Krzyk Maorysów

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

W serii

Dedykacja

WZRASTANIE CANTERBURY PLAINS, GREYMOUTH, CHRISTCHURCH, CAMBRIDGE 1907 – 1908 – 1909

1

2

3

4

5

6

7

8

RAJ UTRACONY CANTERBURY PLAINS, CAMBRIDGE, AUCKLAND, CAPE REINGA, AMERYKA, AUSTRALIA, GREYMOUTH 1914–1915

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

WOJNA CANTERBURY PLAINS, GREYMOUTH, GALLIPOLI, WELLINGTON 1914 – 1915 – 1916

1

2

3

4

5

6

7

8

DALEKIE DROGI GREYMOUTH, CANTERBURY PLAINS, AUCKLAND 1915 – 1916 – 1917 – 1918

1

2

3

4

5

6

7

8

POKÓJ DUNEDIN, KIWARD STATION, CHRISTCHURCH 1917–1918

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:
DER RUF DES KIWIS

Copyright © 2008 by Bastei Lübbe GmbH & Co. KG, Köln
Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Małgorzata Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Aneta Iwan, Anna Just

ISBN: 978-83-7999-120-4

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl

www.soniadrage.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2014

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.elib.pl